

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



EMIL ZOLA

GERMINAL

Copyright by **Tower Press**
Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Nagą równiną, w bezgwiezdną noc, czarną i gęstą jak atrament, jakiś człowiek szedł samotnie drogą z Marchiennes do Montsou. Brukowany gościniec na przestrzeni dziesięciu kilometrów przecinał pola buraczane. Wędrowiec nie widział drogi przed sobą; ogrom przestrzeni wyczuwał jedynie w podmuchach marcowego wiatru, który szeroką, lodowatą falą wiał znad mokradeł i nagich pól. Żaden cień drzewa nie plamił nieba. Prosty gościniec ciągnął się we mgle oślepiających ciemności.

Człowiek ów wyszedł z Marchiennes około drugiej w nocy. Szedł wyciągniętym krokiem drżąc z zimna w cienkiej bawełnianej marynarce i welwetowych spodniach. Pod pachą ścisnął małe zawiniątko związane kraciastą chustką. Zawadzało mu bardzo. Przekładał je ustawicznie i przyciskał do siebie usiłując wsunąć do kieszeni obydwie do krwi posiekane wichrem dłonie. W pozbawionej jakichkolwiek myśli głowie tego robotnika bez pracy i bez domu żyła jedna jedyna nadzieja, że jak słońce wszędzie, zrobi się cieplej. Szedł tak przeszło godzinę, gdy nagle, po lewej stronie, dwa kilometry przed Montsou, ujrzał czerwone światła trzech stosów węgla palących się na wolnej przestrzeni, jakby zawieszonych w powietrzu. Zrazu zawahał się wylękniony, nie mógł jednak oprzeć się niepohamowanej chęci ogrzania rąk przez chwilę.

Wszedł w głęboki wąwóz. Wszystko znikło. Po prawej ręce miał parkan z grubych desek, chroniący tor kolejowy. Po lewej wznosiło się porośnięte trawą wzgórze, spoza którego wyzierały płaskie, jednakowe dachy jakiegoś osiedla. Uszedł może ze dwadzieścia kroków. Nagle na zakręcie ukazały się znowu światła, a podróżny i tym razem nie mógł pojąć, jak mogą palić się tak wysoko na martwym niebie, podobne do dymiących księżyców. Lecz u wyjścia z wąwozu inny widok zajął jego uwagę. Ujrzał olbrzymią, bezkształtną masę zabudowań. Ponad nimi sterczał komin fabryczny. Przez brudne szyby okien połyskiwały rzadkie światła, pięć czy sześć smutnych latarń chwiało się na poczeriałych belkowaniach potwornego rusztowania. Pograżona

w ciemnościach nocy i dymu masa wydawała z siebie jeden tylko głos: ciężkie i głuche dyszenie niewidzialnej maszyny parowej.

Wędrowiec rozpoznał wreszcie kopalnię. I znów przysłała mu myśl, że nie warto... I tutaj też na pewno nie znajdzie pracy. Zamiast zawrócić w stronę budynków, skierował się ku hałdzie, gdzie w żelaznych koszach żarzyły się węgle, służące równocześnie do oświetlania placu i do ogrzewania robotników. Robotnicy musieli widocznie pracować do późnej nocy, bo dotąd jeszcze szuflowano miał. Posłyszał turkot wózków na szynach i dostrzegł cienie ludzi zajętych opróżnianiem ich przy ogniskach.

– Dobry wieczór – rzekł i zbliżył się do jednego z koszów.

Odwrócony plecami do ognia stał poganiacz. Był to stary człowiek w fioletowym swetrze i króliczej czapce na głowie. Obok niego stał rosły gniadosz. Jak z kamienia wykuty, czekał na opróżnienie sześciu wózków, które właśnie przyciągnął. Pomocnik, zajęty wyładowywaniem wózków, nie śpieszył się. Był to wysoki rudy chłopak. Leniwie naciskał dźwignię. Tu, na wzgórzu, dał wiatr jeszcze ostrzejszy. Lodowaty powiew ciął jak kosą, w równomiernych odstępach.

– Dobry wieczór – odparł stary.

Zapanowało milczenie. Przybysz czując, że patrzą na niego podejrzliwie, wymienił swoje nazwisko.

– Nazywam się Stefan Lantier, jestem maszynistą. Czy nie mógłbym tu znaleźć pracy?

Płomień ogniska oświetlał go teraz jasno. Mógł mieć ze dwadzieścia jeden lat, ciemnowłosy, przystojny, o silnej, choć drobnej budowie.

Uspokojony, poganiacz potrząsnął głową.

– Pracy... tutaj... maszynista? Nie... Wczoraj dopiero zgłaszało się dwóch. Nie ma pracy – odparł.

Gwałtowny podmuch wiatru przerwał rozmowę. Po chwili Stefan zapytał wskazując na ponurą grupę zabudowań u stóp hałdy:

– To kopalnia, prawda?

Tym razem stary nie mógł mu odpowiedzieć. Dusił go silny atak kaszlu. Odplunął wreszcie, a flegma padła czarną plamą na zaróżowioną od ognia ziemię.

– Tak, kopalnia le Voreux... Osiedle robotnicze jest tuż obok.

Wyciągniętą ręką wskazał w kierunku osiedla, którego dachy dostrzegł Stefan już przedtem.

Tymczasem wózki zostały opróżnione i stary udał się na sztywnych od reumatyzmu nogach za grubym gniadoszem, który bez bicza ruszył z miejsca i kroczył powoli między szynami, nie troszcząc się o wiatr jeżący mu sierść.

Kopalnia le Voreux zarysowała się teraz wyraźniej. Stefan grzał pokrzwawione dłonie u ogniska i rozglądał się dokoła. Rozróżniał poszczególne części kopalni; sortownie o ścianach jakby posmarowanych mazią, wieżę szybu, obszerny budynek, w którym znajdowała się maszyna wyciągowa, czworokątną wieżyczkę pompy. Ta ukryta w kotlinie kopalnia, ze swymi przysadzistymi budowlami z cegły i podobnym do groźnie wzniesionego rogu kominem z cegły wydała mu się żarłocznym potworem czyhającym na życie ludzkie. Przypatrując się jej myślał o sobie, o swojej bezdomności i trwających już od tygodnia poszukiwaniach pracy. W myślach ujrzał się w warsztacie kolejowym w Lilie, skąd usunięto go za pobicie szefa. Wyrzucony stamtąd wszędzie zastawał drzwi zamknięte. W sobotę przybył do Marchiennes, gdzie, jak mówiono, były wolne miejsca w hucie. Tymczasem nie znalazł nic ani tam, ani u Sonnevillie'a. Niedzielę spędził ukryty wśród belek wielkiego składu drzewa, skąd o drugiej w nocy wygnał go dozorca. Nie miał ani grosza, ani okruszyny chleba. Czym skończy się ta tułaczka po nieznanym drogach, na wietrze, przed którym nie wiadomo gdzie się schronić? Tak – to była kopalnia. Nieliczne latarnie oświetlały czworobok budynków fabrycznych. Nagle otworzyły się jakieś drzwi i dojrzał paleniska kotłów. Zrozumiał teraz ten regularny, głęboki oddech niby sapanie dławiącego się potwora: to dyszała pompa.

Pomocnik poganiacza, skulony przy ognisku, nie podniósł nawet oczu na przybysza. Stefan miał właśnie schylić się po swe zawiniątko, kiedy głośny kaszel oznajmił powrót woźnicy. Powoli wyłonił się on z ciemności wraz z gniadoszem, ciągnącym sześć świeżo naładowanych wózków.

– Czy w Montsou są jakieś fabryki? – spytał Stefan.

Stary odplunął ciemną ślinę i głosem rwącym się na wietrze odparł:

– O, fabryk to tu nie brak. Trzeba tu było być przed trzema, czterema laty! Wszędzie huczały maszyny. Nie można było nastarczyć robotników. A ile zarabiali! Teraz znów trzeba zaciskać pasa. Nędza wszędzie, zwalniana z pracy, fabryki stają jedna po drugiej. Może to i nie wina cesarza... Ale po co mu było mieszać się do walk w Ameryce? A tu jeszcze zwierzęta i ludzie mrą na cholere.

I obaj zaczęli żalić się w krótkich, urywanych zdaniach. Stefan opowiadał dzieje swej

tygodniowej, daremnej wędrówki. Więc ma zdechnąć z głodu? Drogi roić się będą wkrótce od żebraków.

– Tak – mówił stary – to się źle skończy. Kto to widział, żeby tylu chrześcijan wyrzucać na ulicę.

– Nie co dzień mają teraz ludzie mięso na obiad.

– Żeby chociaż chleb mieli co dzień.

– Tak, tak. Żeby chociaż chleb.

Głosy gubiły się w ponurym świście wichru.

– To tam jest Montsou – zawołał poganiacz zwracając się na południe.

Wyciągniętą ręką wskazywał w ciemnościach jakieś niewidzialne punkty i kolejno wymieniał ich nazwy. Tam, w Montsou, idzie jeszcze cukrownia Fauvelle'a, natomiast cukrownia Hotona zwolniła część robotników. Tylko młyn Dutilleula i fabryka powroźnicza Bleuze'a, dostarczająca lin do kopalni, trzymają się jeszcze jako tako. Następnie szerokim gestem objął część widnokregu od północy: zakłady budowlane Sonnevile nie otrzymały ani połowy dawnych zamówień; z trzech wielkich pieców hutniczych w Marchiennes tylko dwa są czynne, a hucie szkła w Gagebois grozi strajk, gdyż zapowiedziano obniżkę płac.

– Wiem, wiem – powtarzał Stefan przy każdej nazwie. – Byłem tam.

– U nas – dodał poganiacz – do tej pory wszystko jest jeszcze bez zmian, chociaż i tu kopalnie zmniejszają już wydobywanie. Ot, na przykład tam naprzeciwko, w Victoire, palą się już tylko dwie baterie koksowe.

Splunął i zaprzęgnąwszy sennego konika do pustych wózków, ruszył za nim.

Stefan znał już teraz całą okolicę. Ręka starego poganiacza nadała wymowę otaczającym ciemnościom, napełniła je udręką, którą młody człowiek wyczuwał wokół siebie. Czyż to nie krzyk głodu niósł ze sobą marcowy wicher dmąc ponad nagimi polami? Podmuchy stawały się coraz gwałtowniejsze. Zdawało się, że zamrze od nich praca i zapanuje nędza, która zabije wielu ludzi. Stefan błędził wzrokiem po równinie, jednocześnie lękając się i pragnąc ją zobaczyć. Wszystko tonęło w obcych mrokach nocy i tylko bardzo daleko dostrzegał sylwetki wielkich pieców i baterii koksowych. Te ostatnie tworzyły ukośny rząd czerwonych płomieni. Dwie wieże, nieco bardziej na lewo, płonęły niebiesko jak olbrzymie pochodnie. Był w tym smutek pożaru, zdawało się, że w krainie węgla i żelaza nie ma na ponurym niebie innych gwiazd jak te nocne ognie.

– Wy może z Belgii?

Poganiacz wrócił i podjął przerwana rozmowę.

Tym razem przywiózł tylko trzy wózki. W kopalni wydarzył się wypadek: pękła jakaś śruba w windzie i robota stanęła na dobry kwadrans. U stóp hałdy zapanowała cisza. Ładowacze przestali toczyć wózki po szynach. Z głębi podziemia dochodziły tylko dalekie uderzenia młota, bijącego w żelazną blachę.

– Nie, pochodzę z południa – odparł Stefan.

Opróżniwszy wózki pomocnik poganiacza usiadł na ziemi, zadowolony z przerwy. W milczeniu podniósł na starego przygąśle spojrzenie, jakby zdziwiony jego gadatliwością. Poganiacz nie należał do ludzi rozmownych. Może spodobała mu się twarz obcego przybysza, a może ogarnęła go chęć zwierzeń, która sprawia, że starzy ludzie mówią czasami na głos sami do siebie?

– A ja jestem z Montsou – odparł. – Nazywam się Bonnemort.

– Bonnemort? – zapytał Stefan zdziwiony. – To chyba przezwisko?

Stary roześmiał się z zadowoleniem i rzekł wskazując na kopalnię:

– Tak, tak... Trzy razy wyciągano mnie stamtąd... Raz z opalonymi włosami, drugi raz, jak mnie przysypało, a trzeci raz, jak mnie woda zalała... Brzuch miałem wzdęty jak ropucha. Jak się przekonali, że nie chcę umierać, przezwali mnie Bonnemort, dla żartu.

Poweselał jeszcze bardziej. Śmiał się chrypliwie. Przypominało to zgrzyt źle naoliwionych trybów i zakończyło się strasznym atakiem kaszlu. Żarzące się w koszu węgle oświetlały jego wielką głowę o rzadkich siwych włosach i płaską twarz, bardzo bladą, pokrytą sinawymi plamami. Był małego wzrostu, szyję miał grubą, nogi powykręcane, ręce sięgające aż do kolan, dłonie kwadratowe. Podobnie jak jego koń stojący nieruchomo i nieczuły na wiatr, wyglądał jak wyciosany z kamienia. Zdawało się, że nie czuje zimna ani ostrych podmuchów wichru. Gdy się wykaszlał, odchrząknął z głębi piersi i splunął. Na ziemi ukazała się znów czarna plama.

Stefan przyjrzał mu się, przyjrzał się czarnej plamie i zapytał:

– Dawno już pracujecie w kopalni?

Bonnemort szeroko rozłożył ręce.

– Och, dawno... Nie miałem jeszcze ośmiu lat, jak pierwszy raz zjechałem do le Voreux, a teraz mam pięćdziesiąt osiem. Porachujcie. Robiłem tam na dole wszystko. Naprzód byłem chłopcem do pomocy, potem jak już byłem silniejszy, ładowaczem, a potem przez osiemnaście

lat rębaczem. Później przez te przeklęte nogi przeznaczili mnie do kopania ziemi, przesypania miazgi, do rozmaitych poprawek, aż wreszcie musieli mnie zatrudnić na wierzchu, bo doktor powiedział, że im, tam zdechnę. No i od pięciu lat jestem poganiaczem. Ładny kawał czasu, co? – pięćdziesiąt lat w kopalni, z tego czterdzieści pięć pod ziemią!

Wypadające od czasu do czasu z kosza rozżarzone węgle rzucały na jego twarz krwawe odbłaski.

– Każą mi przerwać pracę – ciągnął. – Ale ja nie chcę. Nie głupim! Poczekam jeszcze te dwa lata do sześćdziesiątki, żeby mieć sto osiemdziesiąt franków emerytury. Jakbym się wyniósł dzisiaj, daliby mi sto pięćdziesiąt. Chytre bestie! Zresztą trzymam się jeszcze zupełnie dobrze, tylko te nogi... To wszystko przez wodę. Za dużo człowiek namókł przy robocie i weszło mu pod skórę. Są takie dni, że nie mogę ruszyć nogą, żeby nie krzyknąć.

Przerwał mu nowy atak kaszlu.

– Kaszlecie też od tej wody? – spytał Stefan.

Stary zaprzeczył gwałtownie ruchem głowy. Gdy odzyskał głos, objaśnił:

– Nie, nie od wody. Przeziębilem się w zeszłym miesiącu. Nigdy dotąd nie kaszlałem, a teraz nie mogę się jakoś tego pozbyć... Wiecznie tylko pluje i pluje...

Odchrząknął i znowu splunął czarno.

– Czy to krew? – ośmielił się wreszcie zapytać Stefan.

Bonnemort powoli ocierał usta wierzchem dłoni.

– Nie, to węgiel... Tyle mam tego w środku, że do końca życia miałbym czym palić w piecu. A przecież od pięciu lat nie byłem pod ziemią. Człowiek nawet nie wiedział, że sobie taki zapas uzbiera! Ale to nic, to zdrowo!

Zapanowało milczenie. Z kopalni dochodziły równomierne uderzenia młota; z głębin nocy wiatr przynosił skargi głodnych i zmęczonych. Przy ogniu, który przygasł, stary ciągnął dalej swoje wspomnienia.

Tak, tak, i on, i jego rodzina nie od wczoraj znają się z kilofem. Pracują w kopalni od chwili powstania Towarzystwa Węglowego w Montsou przed stu sześciu laty. Jego dziad, Wilhelm Maheu, jako piętnastoletni chłopak odkrył pokłady węgla w Requillart. Była to pierwsza kopalnia Towarzystwa, stara, dziś już opuszczona, niedaleko cukrowni Fauvelle'a. Wszyscy o tym wiedzą, a pierwszy szyb nazwano szybem Wilhelma od imienia dziadka. Bonnemort go nie znał, opowiadają, że był silny i tęg. Umarł w sześćdziesiątym roku życia. Jego ojciec, Mikołaj

Maheu zwany Rudym, zginął w kopalni mając czterdzieści lat. Pogłębiano wówczas le Voreux.

Nastąpiło obsunięcie. Zawaliło się wszystko – ani śladu nie zostało po człowieku. Dwaj jego wujowie i trzech bracia również stracili tu życie. Jego, Wincentego Maheu, który wyszedł z kopalni prawie cało, postradawszy tylko siłę w nogach, uważali wszyscy za szczęściarza. Ale cóż robić – pracować trzeba! Szli do kopalni jedni po drugich – najpierw ojcowie, potem dzieci, męczy się tam teraz jego syn, Toussaint Maheu, jego wnuki i reszta rodziny. Mieszkają wszyscy w osiedlu. Sto sześć lat pracy u jednego chlebowca! Najpierw dziadkowie, teraz prawnuki. – Niejeden mieszczuch nie potrafiłby opowiedzieć tak dziejów swojej rodziny, co?

– Tak, tak, byleby było co jeść – mruknął znowu Stefan.

– Właśnie do tego mówię – odparł stary. – Póki jest chleb, można żyć!

Bonnemort zamilkł i zwrócił oczy w stronę kolonii robotniczej. W oknach zaczęły zapalać się światła. Na wieży w Montsou zegar wybił czwartą. Było coraz zimniej.

– Bogate jest to wasze Towarzystwo? – spytał Stefan.

Stary podniósł ramiona w górę, a później opuścił je, jak gdyby uginał się pod ciężarem złota.

– Jeszcze jak! – odparł. – Może nie takie bogate jak sąsiednie Towarzystwo w Anzin, ale i tak ma tyle milionów, że ani byś porachował... Dziewiętnaście kopalń, z czego trzynaście czynnych, le Voreux, la Victoire, Crévecoeur, Mirou, Saint-Thomas, Madeleine, Feutry-Cantel i inne jeszcze, a sześć służy za szyby odwadniające albo wentylacyjne, jak Réquillart... Dziesięć tysięcy robotników, koncesje na obszarach sześćdziesięciu gmin, dzienna produkcja pięć tysięcy ton, kolej łącząca wszystkie kopalnie, warsztaty, fabryki!... Ho, ho, pieniędzy im nie brak!

Zadudniły po szynach wózki. Gruby gniadosz nastawił uszu. Windę widocznie już naprawiono, ładowacze wzięli się na nowo do roboty. Zaprzęgając konia poganiacz zwrócił się doń łagodnie:

– Nie przyzwyczajaj się do gadulstwa, leniu jeden! Gdyby tak pan Hennebeau dowiedział się, co robisz na postojach.

Stefan spoglądał zamyślony w ciemność.

– Więc kopalnia jest własnością pana Hennebeau? – zapytał.

– Nie – wyjaśnił stary – pan Hennebeau jest naczelnym dyrektorem. Otrzymuje zapłatę jak i my.

Stefan wskazał ruchem ręki otaczający ich bezmiar mroku:

– Więc czyjeż to wszystko?

Ale Bonnemort dostał nagle tak silnego ataku kaszlu, że nie mógł pochwycić tchu. Kiedy odplunął wreszcie i otarł czarną pianę z warg, odparł wśród wzmagających się podmuchów wiatru:

– Czyje? A no, nie wiadomo... Pańskie!

I dłonią wskazał jakiś punkt w ciemności, jakieś odległe, niewidzialne miejsce, zamieszkałe przez tych, dla których rodzina Maheuów od stu lat wydobywała węgiel z głębi ziemi. W jego głosie zabrzmiał zabobonny lęk, jak gdyby mówił o jakimś niedostępnym przybytku, kryjącym w swym wnętrzu syte bóstwo, które pasło się ich krwią, a którego nigdy nie oglądali.

– Tak, tak, byle mieć chleba do syta – powtórzył Stefan po raz trzeci, pozornie bez związku.

– Za pięknie by to było!

Koń ruszył, a starzec powłókł się za nim pociągając nogami jak inwalida. Skurczony obok wywrotnicy pomocnik nie drgnął nawet. Siedział z brodą utkwioną między kolanami, tępo zapatrzony w przestrzeń.

Stefan podniósł z ziemi zawiniątko, ale nie odchodził. Na plecach czuł lodowate podmuchy wiatru, a na piersiach żar bijący od ognia. Może powinien jednak zwrócić się do zarządu kopalni o pracę? Stary mógł się nie orientować tak dobrze. Zresztą zadowoli się byle czym, przyjmie jakiegokolwiek zajęcie. Dokąd pójść i co począć w tej wygłodzonej bezrobociem okolicy? Zdechnąć pod płotem jak bezdomny pies? A jednak wahał się.

Spowita gęstym mrokiem kopalnia le Voreux wzbudzała w nim lęk. Podmuchy wiatru były coraz bardziej porywiste, jakby wiał od coraz rozleglejszych przestrzeni. Jedyne światłem rozjaśniającym martwe niebo był czerwony blask, jakim broczyły w ciemnościach wielkie piece. Przyczajona w swej jamie jak zły zwierz kopalnia dyszała ciężko, utrudzona trawieniem oddanych na jej pastwę ciał ludzkich.

II

Położona wśród pól, na których uprawiano zboże i buraki, osada robotnicza Dwieście Czterdzieści spała wśród ciemnej nocy. W mroku majaczyły kontury czterech ogromnych kompleksów składających się z małych domków, kompleksów przypominających koszary lub

szpital. Ustawione w równoległe szeregi, przedzielone były szerokimi ulicami. Przed każdym domkiem znajdował się ogródek. Przepływający nad równiną wiatr targał porwanymi siatkami ogrodzeń i niósł ze sobą ich skargę.

W drugim bloku, pod numerem szesnastym, w mieszkaniu rodziny Maheuów nikt się nie ruszał. Jediną izbę na piętrze zalegały głębokie ciemności, przygniatając swym ciężarem pogrążanych we śnie, śmiertelnie utrudzonych ludzi. Mimo zimna panującego na dworze w pokoju było duszno i gorąco: w powietrzu unosiły się wzywy ludzkich ciał.

W izbie na parterze kukulka zegara odezwała się cztery razy. Ale nikt się nie poruszył. Rozlegały się tylko świszczące oddechy i dwa głośne chrapania. Pierwsza poderwała się Katarzyna, z przyzwyczajenia policzyła przez sen cztery uderzenia zegara dolatujące z dołu, nie miała jednak siły rozbudzić się zupełnie. Wysunęła spod kołdry nogi, namacała zapalki i zapaliła świecę. Ale nie wstała z łóżka. Głowa chwiała jej się i ciążyła do tyłu, jakby chciała opaść z powrotem na poduszkę.

Blask świecy rozjaśnił kwadratową izbę o dwóch oknach. Stały w niej trzy łóżka, szafa, stół, dwa orzechowe krzesła; poczerniałe od starości, ostro odcinały się od żółto malowanych ścian. I to było całe umeblowanie. Na gwoździu wisiało trochę łachmanów, na podłodze stał dzbanek i czerwona miska służąca za miednicę. W łóżku po lewej stronie spał najstarszy syn Zachariasz, chłopak dwudziestoletni, ze swym jedenastoletnim bratem, Jankiem. W łóżku po prawej stronie spało obejmując się ramionami dwoje malców, Lenora i Henryk. Dziewczynka miała sześć lat, chłopiec cztery. Trzecie łóżko dzieliła Katarzyna z dziewięcioletnią Alzirą; była ona tak drobna i szczupła na swój wiek, że siostra nie odczuwałaby wcale jej obecności, gdyby nie garb małej kaleki, który urażał ją w bok. Przez otwarte oszklone drzwi widać było wąską sionkę, rodzaj alkowy, w której stało czwarte łóżko, zajmowane przez rodziców, i kołyska z najmłodszym dzieckiem, trzymiesięczną Estelką.

Katarzyna zdobyła się na rozpaczliwy wysiłek. Przeciągnęła się, zanurzyła dłonie w rudych włosach opadających na czoło i kark. Jak na piętnaście lat była jeszcze bardzo drobna. Spod wąskiej koszuli widać było jedynie sine stopy, jakby wytatuowane węglem, i delikatne ramiona, których mleczna białość odbijała od ziemistego koloru twarzy, zniszczonej stałym myciem czarnym mydłem. Ziewnęła raz jeszcze, ukazując wspaniałe zęby i blade anemiczne dziąsła. Walczyła ze snem. Jej szare oczy łzawiły z niewyspania, a ciało wydawało się nabrzmiałe znużeniem.

Z komórki rodziców dobiegł pomruk. Maheu postękiwał niewyraźnie:

– Psiakrew! Już czas! Zapaliłaś światło, Katarzyno?

– Tak ojcze. Na dole wybiła czwarta.

– No to ruszajże się prędzej! Jakbyś wczoraj mniej tańcowała przy niedzieli, zbudziłabyś nas dzisiaj wcześniej... A to próżniacze życie! – Burczał coś jeszcze pod nosem, ale sen zmorzył go na nowo i słowa przeszły w chrapanie.

Dziewczyna wstała i boso, w koszuli zaczęła krzątać się po izbie. Przechodząc obok łóżka Henryka i Lenory, narzuciła na nich zsuniętą kołdrę. Nie zbudzili się pograżeni w głębokim, dzieciennym śnie. Alzira nie spała już i bez słowa odwróciła się na bok, zajmując wygrzane miejsce starszej siostry.

– Zachariasz, Janek, czas wstawać! – wołała Katarzyna stojąc przy łóżku braci, którzy spali z twarzami w poduszce.

Musiła potrząsnąć starszego za ramię. Kłął pod nosem, jej zaś przyszło do głowy ściągnąć z nich kołdrę, żeby zmusić do wstania. Widząc, jak wymachują gołymi nogami, zaczęła się śmiać.

– Wynoś się, co za głupie żarty! – krzyknął ze złością Zachariasz siadając na łóżku. – Nie lubię tego! Psiakrew... że też znowu trzeba wstawać!

Chudy, wyrosnięty, o długiej twarzy, na której ciemniały kępki rzadkiego zarostu, miał podobnie jak cała rodzina jasne włosy i bladą, anemiczną cerę. Obciągnął koszulę, nie przez wstydlivość, ale dlatego, że było mu zimno.

– Już czwarta – powtarzała Katarzyna. – Dalej, wstawajcie! Ojciec będzie się gniewał!

Janek zwinął się w kłębek, zamknął z powrotem oczy i rzekł:

– Daj mi święty spokój, ja śpię!

Zaśmiała się dobrodusznie. Był tak mały, jego członki o zgrubiałych stawach tak drobne, że objąwszy go ramionami podniosła bez trudu. Wrywał się. Jego małpia, ziemista twarz, o odstających uszach i małych, zielonych oczach, pobladła ze złości, że jest taki słaby. Nie powiedział ani słowa, tylko ugryzł ją w prawą pierś.

– Szkaradniku jakiś! – szepnęła tłumiąc okrzyk bólu i postawiła go na ziemi.

Milcząca Alzira podciągnęła kołdrę pod brodę. Nie zasnęła. Mądrymi oczami kaleki wodziła za ubierającym się rodzeństwem. Nowa kłótnia wybuchła przy misce z wodą. Chłopcy odepchnęli Katarzynę, bo za długo się myła. Koszule fruwały w powietrzu, a oni, zaspani jeszcze, załatwiali się bez skrępowania jak szczenięta, które wychowały się razem. Katarzyna

pierwsza była gotowa. Włożyła górnicze spodnie i płócienny kaftan, włosy wsunęła pod niebieską chustkę. W tym czystym, męskim stroju wyglądała jak chłopak. Tylko lekkie kołysanie się bioder zdradzało, że jest kobietą.

– Poczekaj, jak stary wróci, będzie się złościł, że łóżko nie posłane... Powiem mu, że to twoja wina – rzucił złośliwie Zachariasz.

Starym nazywano dziadka Bannemort, który pracował w nocy, a kładł się ze świtem, tak że łóżko nie ostygło nigdy, zawsze ktoś w nim leżał.

Katarzyna nie odpowiedziała nic, tylko przykryła je kołdrą.

Od kilku chwil z sąsiedniego mieszkania dobiegały odgłosy krzątania się. Domki robotnicze, zbudowane przez Towarzystwo jak najniższym kosztem, miały ściany tak cienkie, że słychać było każdy szelest. Rodziny tręcały się niejako łokciami i żaden szczegół osobistego życia sąsiadów nie pozostawał w ukryciu, nawet dla dzieci. Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie, a wkrótce potem ktoś miękko opadł na łóżko z westchnieniem ulgi.

– Aha – powiedziała Katarzyna – Levaque poszedł do roboty, a Bouteloup przyszedł do Lewaczki.

Janek roześmiał się złośliwie, nawet oczy małej Alziry zabłyśły.

Każdego ranka zabawiali się historią tego trójkąta małżeńskiego w sąsiedztwie. Rębacz Levaque przyjął jako sublokatora kopacza i żona miała teraz dwóch mężów; jednego we dnie, drugiego w nocy.

– Filomena kaszle! – podjęła Katarzyna nasłuchując.

Mówiła o najstarszej córce Levaque'ów, wysokiej, dziewiętnastoletniej dziewczynie, kochance Zachariasza, z którym miała już dwoje dzieci. Była chora na płuca. Otrzymała zajęcie sortowaczki, gdyż nie nadawała się do pracy pod ziemią.

– Ta to ma święte życie – mruknął Zachariasz. – Wysypia się do szóstej.

Wciągnął spodnie, podszedł do okna i otworzył je. Osiedle ożywało, w oknach zapalały się światła. I znowu w izbie doszło do sprzeczki: Zachariasz wychylił się, żeby podpatrzeć, jak z domku Pierrona, mieszkającego naprzeciwko, wyjdzie Dansaert, starszy sztygar z le Voreux, którego posądzano, że sypia z Pierroną. Tymczasem Katarzyna wołała, że Pierron od wczoraj pracuje we dnie, więc Dansaert nie mógł tam spać tej nocy. Lodowate powietrze wdierało się do izby, a oni klócili się, każde upierało się przy swoim. Nagle rozległ się krzyk. To Estelka, której zrobiło się zimno, zaczęła płakać.

Obudziło to Maheu. Co mu się stało, że tak dziś zasnął? Klął tak głośno, że w przyległej izbie dzieci nie śmiały już pisnąć ani słowa. Janek i Zachariasz powoli kończyli się myć. Alzira przyglądała im się w dalszym ciągu szeroko otwartymi oczyma. Tylko Lenora i Henryk spali dalej mimo zgiełku.

– Katarzyna, podaj mi świecę! – zawołał Maheu.

Zapięła kaftan i zniosła ojcu świecę. Bracia musieli się ubierać przy skąpym świetle wpadającym przez drzwi. Ojciec wstawał. Katarzyna w grubych wełnianych pończochach zeszła po omacku do izby na dole i zapaliła drugą świecę, żeby przyrządzić kawę. Saboty całej rodziny stały pod kredensem.

– Przystaniesz ty się drzeć, bachorze jeden! – wrzasnął Maheu rozwścieczony krzykami Estelki.

Małego wzrostu, jak stary Bonnemort, podobny był do niego. Miał wielką głowę, płaską, ziemistą twarz i jasne, krótko przystrzyżone włosy. Dziecko przerażone widokiem wzniesionych nad sobą muskularnych ramion wrzeszczało jeszcze głośniej.

– Daj jej spokój! Wiesz przecież, że to nic nie pomoże – odezwała się żona wyciągając się pośrodku łóżka.

Obudziła się przed chwilą i narzekała teraz, że nigdy nie dadzą jej się wyspać. Czy nie mogą wynieść się po cichu? Spod nasuniętej kołdry wyglądała tylko jej podłużna twarz o grubych rysach. Ta trzydziestodwuletnia kobieta zniszczona już była życiem w niedostatku i siedmiokrotnym macierzyństwem. Z oczyma utkwionymi w sufit mówiła powoli do ubierającego się męża. Żadne z nich nie zwracało uwagi na małą, siniejącą od krzyku.

– Nie mam ani grosza, słyszysz, a dziś dopiero poniedziałek. Do wypłaty jeszcze sześć dni. Tak nie może być dłużej. Wszyscy razem przynosicie dziewięć franków. Jakże to ma wystarczyć? Jest nas w domu dziesięcioro.

– Jak to dziewięć franków? – zaprotestował Maheu. – Ja i Zachariasz przynosimy po trzy, to razem sześć, Katarzyna i ojciec po dwa, to razem cztery; sześć i cztery to dziesięć, a jeszcze Janek franka, to jedenaście

– Tak jedenaście, ale nie liczysz niedziel i dni bez pracy. Nigdy nie dostaję więcej jak dziewięć... rozumiesz?

Nie odpowiedział, zajęty szukaniem na podłodze swego skórzanego paska. Po chwili wyprostował się i rzekł:

– Nie narzekaj, stara, nie narzekaj, ja jeszcze i tak dobrze się trzymam. Są tacy, co mają po czterdzieści dwa lata jak ja, a przenoszą ich do naprawek.

– Możliwe, ale i co z tego?... Co ja mam robić bez pieniędzy, powiedz? Nie masz nic?

– Mam dwa sous.

– Schowaj je sobie na piwo. Mój Boże! Co ja pocznę? Jeszcze sześć dni! Maigrat wyrzucił mnie wczoraj za drzwi, winniśmy mu już sześćdziesiąt franków. Spróbuję pójść do niego jeszcze raz, ale jak mi odmówi?...

Leżąc nieruchomo Maheudka mówiła dalej przygnębionym głosem, od czasu do czasu przymykając powieki, gdy raziło ją światło. Opowiadała o pustym kredensie, o tym, że dzieci proszą o chleb z masłem, a tu nawet na kawę nie ma, o złej wodzie, od której dostaje się kłucia w boku, o długich dniach, kiedy trzeba oszukiwać głód jedząc gotowane liście kapusty. Musiała podnieść głos, gdyż krzyk Estelki głużył jej słowa. Krzyk ten stawał się nie do zniesienia. Maheu porwał dziecko z kołyski, rzucił je na łóżko obok matki i wyksztusił z wściekłością:

– Weź ją, bo ją uduszę! To czort nieznośny! Nic jej nie brak, ma co jeść, a drze się głośniejsze od innych.

Estelka zaczęła ssać. W ciepłe łóżka, pod kołdrą, uspokoiła się zaraz i słychać było już tylko mlaskanie warg chciwych pokarmu.

– Czy państwo z Piolaine nie mówili ci nic, żebyś do nich przyszła? – podjął Maheu po chwiał milczenia.

Kobieta skrzywiła się ze zniechęceniem.

– Spotkałam ich. Rozdają ubrania biednym dzieciom... Zaprowadzę dziś do nich Lehorę i Henryka. Żeby mi tak dali chociaż z pięć franków!

Znowu zapanowało milczenie. Maheu był gotów. Chwilę stał bez ruchu, wreszcie zakończył rozmowę:

– Cóż chcesz? Tak to już jest. Pomyśl lepiej, z czego zrobić zupę na wieczór. Gadanie nic nie pomoże, wolę już być przy robocie.

– Pewnie – odparła żona. – Zgaś świecę, nie potrzebuję przyglądać się moim myślom.

Maheu dmuchnął. Zachariasz i Janek schodzili już na dół; poszedł za nimi. Schody trzeszczały pod ich ciężkimi krokami. Alkova i izba pogrążyły się znów w ciemności. Malcy spali, nawet Alzira przymknęła powieki. Tylko matka wpatrywała się w ciemności, podczas gdy Estelka ssała jej zwiędłą pierś mruczając jak kocię.

Na dole Katarzyna gotowała śniadanie. Pod płytą żelaznej kuchenki o dwóch fajerkach tliły się bez przerwy węgle na żelaznym ruszcie. Towarzystwo przydzielało co miesiąc każdej rodzinie osiemset kilo odpadków węglowych. Twarde węgle nie chciały się rozpalać, więc dziewczyna nie gasiła ich wieczorem, zasuwała tylko fajerki, a rano rozniecała tłący się jeszcze ogień dorzucając parę kawałków drobnego węgla. Postawiwszy na fajerce sagan z wodą, przykucnęła przed kredensem.

Izba, dość obszerna, zajmowała bowiem cały parter, i bardzo czysta, miała ściany pomalowane na zielono, a podłogę posypaną białym piaskiem. Prócz kredensu z lakierowanej jedliny umeblowanie składało się ze stołu i kilku krzeseł z tego samego drzewa. Przyklepione do ścian jaskrawe obrazki, ofiarowane przez Towarzystwo podobizny cesarza i cesarzowej, złożone postacie żołnierzy i świętych stanowiły jedyne kolorowe plamy na jasnym i gładkim tle izby, ozdobionej poza tym różowym pudełkiem z kartonu, stojącym na kredensie, i barwnie malowanym zegarem z kukułką, którego tykanie wypełniało pustą przestrzeń. Obok drzwi wiodących na górę było wejście do piwnicy. Pomimo panującej w izbie czystości unosił się w niej zastarzały zapach gotowanej cebuli zatruwając powietrze i tak już przesycone ostrymi wyziewami z kopalni.

Katarzyna spoglądała z namysłem do wnętrza kredensu. Znajdowała się w nim tylko resztkę chleba, odrobina masła i spory kawałek białego sera. Miała z tego zrobić śniadanie dla nich czworga. Wreszcie zdecydowała się, ukroiła jedną kromkę i położyła na niej plasterkę sera, potem ukroiła drugą, pociągnęła ją lekko masłem i zlepiła je razem. Była to tak zwana cegielka, podwójna kanapka, jaką każdy robotnik brał ze sobą rano do kopalni. Niebawem wszystkie cztery cegielki leżały na stole, przygotowane z surową sprawiedliwością – największa dla ojca, a najmniejsza dla Janka.

Mimo że Katarzyna wydawała się pochłonięta gospodarstwem, nie zapomniała widocznie historii o sztygarze i Pierronce, którą opowiedział jej Zachariasz, gdyż uchyliła drzwi wejściowe i wyjrzała na dwór. Wiatr dął wciąż jeszcze. Coraz liczniejsze światła błyskały w oknach osiedla, skąd dolatywały odgłosy porannego krzątania. Jedne za drugimi otwierały się drzwi domów i czarne szeregi górników znikwały w ciemnościach nocy. I po co tak stoi na zimnie, kiedy zapychacz Pierron na pewno śpi sobie spokojnie i dopiero o szóstej pójdzie do pracy! Mimo to jednak trwała na stanowisku i spoglądała na dom po drugiej stronie ogródków. Ciekawość jej wzrosła na widok otwierających się drzwi. Ale to tylko mała Lidka, córka Pierronów,

wychodziła do pracy.

Słyszając bulgotanie Katarzyna odwróciła się. Szybko zamknęła drzwi i podbiegła do kuchenki: woda kipiała i zalewała ogień. Nie było już kawy, musiała więc po raz drugi zalać wczorajsze fusy. Osłodziła płyn melasą. Ojciec i bracia schodzili właśnie z góry.

– Psiakość! – zaklął Zachariasz powąchawszy kawę – a to dopiero lura!

Maheu wrzucił ramionami z rezygnacją.

– Cóż chcesz, przynajmniej gorąca. I to coś warte!

Janek pozgamał okruszki chleba i wrzucił je do kubka. Katarzyna zlała resztę kawy do blaszanych manierek. Przy migotliwym świetle kopczącej świecy wszyscy czworo połykali szybko śniadanie stojąc.

– No, jazda – zawołał ojciec. – Grzebiemy się jak jaśnie państwo.

Przez niedomknięte drzwi dobiegł ich głos matki:

– Weźcie wszystkim chleb ze sobą, dla małych mam jeszcze trochę makaronu.

– Dobrze, dobrze! – zawołała Katarzyna.

Zasunęła fajerki i postawiła na nich resztę wczorajszej zupy dla dziadka, żeby zjadł gorącą, gdy wróci do domu o szóstej. Każde z nich wyciągnęło spod kredensu swoje saboty, zarzuciło sznurek od manierki na ramię i schowało cegielkę na plecy, między koszulę a kaftan; wszyscy razem wyszli z domu. Mężczyźni szli przodem, dziewczyna za nimi; ona gasiła świecę i przekręcała klucz w zamku. Dom pogrążył się z powrotem w ciemności.

– I znów się spotykamy – powiedział mężczyzna, który zamykał właśnie drzwi sąsiedniego mieszkania.

Był to Levaque z synem Bébertem, chłopcem dwunastoletnim, wielkim przyjacielem Janka. Katarzyna, zdziwiona, stłumiła śmiech i szepnęła Zachariaszowi do ucha:

– A to co?

Bouteloup nie czekał już nawet na odejście męża. Jedne za drugimi gasły światła w osiedlu. Jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami i pogrążyło się ono z powrotem we śnie. Kobiety i dzieci wyciągały się teraz swobodnie w przestronniejszych łózkach. Z pociemniałego miasteczka sunął w podmuchach wiatru długi rząd cieni w stronę le Voreux. Górnicy szli z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Z tyłu jak garb sterczała im wsadzona pod kaftan cegielka. Ubrani w cienkie drelichy drżeli z zimna, lecz nie przyśpieszali kroku, rozsypani bezładnie wzdłuż drogi, tupocząc jak stado bydła.

III

Stefan zdecydował się wreszcie wejść na teren kopalni. Ludzie, których pytał o pracę, kręcili przecząco głowami, ale radzili, żeby poczekał na przybycie starszego sztygara. Pozostawiono mu zupełną swobodę. Błąkał się między słabo oświetlonymi budynkami, pełnymi mrocznych zakamarków, wśród niepokojącego labiryntu sal i pięter. Wszedł na jakieś ciemne, w półprzeznite schody, minął wąski chwiejący się mostek, a następnie sortownię, pogrążoną w takich ciemnościach, że musiał wyciągnąć ręce, żeby na coś nie wpaść. Nagle zabłysła przed nim para ogromnych, żółtych oczu. Znajdował się pod wieżą szybu, w hali kontrolnej, u samego wejścia do kopalni.

Sztygar Richomme, tęgi mężczyzna o twarzy dobrotliwego żandarma, przeciętej siwym wąsem, zmierzał właśnie do biura kontrolera.

– Czy nie potrzeba tu robotnika do jakiegokolwiek pracy? – zapytał Stefan.

Richomme chciał powiedzieć: nie – ale powstrzymał się i odchodząc rzekł jak inni:

– Zaczekajcie na pana Dansaerta, starszego sztygara.

U zejścia do kopalni stały cztery latarnie. Ich reflektory jasno oświetlały żelazne poręcze, dźwignie sygnałów i prowadnice, pomiędzy którymi ślizgała się winda. Resztę olbrzymiej ciemnej sali, podobnej do nawy kościoła, wypełniały ruchome cienie. Tylko lampiarnia połyskiwała w głębi. W biurze kontrolera paliła się mała lampka podobna do gasnącej gwiazdy. Przed chwilą rozpoczęto pracę. Żelazne trawersy tętniły nieustannym grzmotem, kręciły się koła wózków, za którymi biegali wozacy. Pośród tych hałaśliwych czarnych przedmiotów, będących w ciągłym ruchu, migały pochylone plecy robotników.

Stefan stał przez chwilę nieruchomo, ogłuszony, oślepy. Wiejące ze wszystkich stron prądy zimnego powietrza przejmowały go lodowatym chłodem.. Zrobił kilka kroków, przyciągnięty widokiem maszyny, której metalowe człony połyskiwały przed jego oczyma. Znajdowała się ona nieco w tyle, o jakieś dwadzieścia pięć metrów od zjazdu, w osobnej sali położonej trochę wyżej. Tak mocno osadzona była na fundamencie z cegieł, że mimo iż pracowała z siłą czterystu koni parowych, wznoszenie się i opadanie jej olbrzymich tłoków nie przyprawiało go nawet o

najlżejsze drgnienie. Obsługujący maszynę robotnik stał z ręką na korbie, wsłuchany w dzwonki sygnałów, ze wzrokiem utkwionym w tablicę orientacyjną, na której widniał przekrój kopalni poprzez wszystkie piętra. Podłużne rowki przedstawiały szyby, a przesuwające się na sznurkach kawałki ołowiu – krążenie wind. Na dwa olbrzymie bębny, koła o promieniu pięciu metrów, nawijały się i rozwijały w odwrotnych kierunkach dwa stalowe kable z taką szybkością, że wyglądały jak smugi szarego pyłu.

– Uwaga! – krzyknęło na Stefana trzech robotników dźwigających olbrzymią drabinę.

O mało go nie rozgnietli. Oczy jego oswajały się powoli z półmrokiem. Przyglądał się długim, trzydziestometrowym linom wznoszącym się w pędzie ku wieżycze, przepływającym przez walce i zanurzającym się prostopadle w szybie. U ich końca uczipione były klatki wyciągowe. Walce spoczywały na potężnym rusztowaniu żelaznym, podobnym do wiązania dzwonnicy. Płynnie jak ptak, bez najmniejszego szumu, bez najmniejszego wstrząsu mknęła tam i z powrotem olbrzymia lina, która mogła unieść do dwunastu tysięcy kilogramów z szybkością dziesięciu metrów na sekundę.

– Uwaga, do wszystkich diabłów! – krzyknęli znowu robotnicy przenosząc drabinę, by zbadać walce po lewej stronie.

Wolnym krokiem Stefan zawrócił do biura. Przelot potężnych lin nad głową oszałamiał go. Drżąc z zimna spoglądał na znikające i wynurzające się klatki, uszy rozdzierał mu turkot jadących wózków.

U wylotu szybu funkcjonował sygnał, ciężki młot na dźwigni poruszanej liną. Jedno uderzenie znaczyło: stać! Dwa: jazda w dół! Trzy: jazda do góry! Były to jakby nieustanne uderzenia maczug górujące nad rozgwarem.

Wtórowały im dzwonki. Robotnik obsługujący młot wykrzykiwał przez tubę rozkazy dla maszynisty. Pośród tego zgiewku klatki ukazywały się i znikały, opróżniały i napełniały z taką szybkością, że Stefan nie mógł zdać sobie sprawy ze skomplikowanego mechanizmu ich działania.

Jedno tylko było dla niego widoczne: szyb połykał po dwudziestu, trzydziestu ludzi na raz z taką łatwością, jakby nie czuł tej porcji. Od czwartej rano robotnicy zaczęli zjeżdżać pod ziemię. Nadchodzili od strony baraku, boso, z latarkami w rękę, i w małych grupkach czekali, aż zbierze się ich dostateczna ilość. Cicho jak zwierz nocny zjawiała się czteropiętrowa klatka, zahaczała się żelaznymi pazurami, z każdego przedziału wyciągano po dwa wózki napełnione węglem, na

ich miejsce wtaczano próżne lub naładowane kłocami drzewa. Do próżnych wózków wsiadali górnicy po pięciu do każdego, tak że jeżeli wszystkie były do dyspozycji, mogło się ich pomieścić czterdziestu. Z tuby dobywał się głuchy, niewyraźny pomruk komendy, a czterokrotne uderzenie młota zapowiadało zjazd „mięsa”. Drgnąwszy lekko klatka zniknęła cicho jak rzucony w głąb kamień. Jedynym śladem, jaki po niej pozostawał, było drżenie sunącego w dół kabla.

– Ile metrów w głąb? – spytał Stefan stojącego obok górnika o zaspanym wyglądzie.

– Pięćset pięćdziesiąt cztery! – odparł tamten. – Ale są cztery podszybia, pierwsze na głębokości trzystu dwudziestu metrów.

Zamilkli obaj spoglądając na sunący teraz w górę kabel.

– A jakby się urwało? – podjął Stefan.

– Ano, jakby się urwało... – zdanie to uzupełnił wymowny gest górnika.

Nadeszła jego kolej. Niestrudzona klatka ukazała się znowu. Wszedł do niej z towarzyszami; zniknęła, by w niespełna cztery minuty wrócić po nowy ładunek.

Przez pół godziny szyb pożerał ludzi mniej lub bardziej żarłocznie, zależnie od tego, jak głęboko zjeżdżali. Nie ustawał jednak ani na chwilę, wciąż głodny – olbrzymie trzewia zdolne strawić całe plemię ludzkie. Pośród martwych ciemności klatka wynurzała się w milczeniu z nienasyconej głębi.

Stefan doznał znów tego samego niemiłego uczucia, jakie ogarnęło go na hałdzie. Po co się upierać? Starszy sztygar odprawi go z niczym tak samo jak inni. Niewytłumaczony lęk kazał mu ruszyć z miejsca. Zatrzymał się dopiero na dworze, koło hali maszyn. Przez otwarte drzwi ujrzał siedem kotłów i dwa ogromne piece. W obłokach białej, syczącej pary palacz podsyczał ogień. Już na progu czuć było żar bijący od paleniska.

Uszczęśliwiony, że może się ogrzać, Stefan skierował się w tamtą stronę. Po drodze napotkał jeszcze jedną grupkę górników zmierzających do kopalni. Była to rodzina Maheuów i dwaj Levaque'owie. Łagodny wyraz idącej na przedzie Katarzyny, którą wziął za chłopca, natchnął go myślą, żeby jeszcze raz zaryzykować to samo pytanie – może tym razem mu się poszczęści?

– Słuchajcie, kolego, nie potrzeba tutaj robotnika do jakiegokolwiek pracy?

Dobytający się z ciemności głos przestraszył nieco Katarzynę. Spojrzała na Stefana zaskoczona. Ale idący za nią Maheu dosłyszał pytanie i wdał się w krótką rozmowę. Nie, nie potrzebowano nikogo. Ten bezdomny robotnik wzbudził jego zainteresowanie. Pożegnawszy się z nim, rzekł do swoich:

– I pomyśleć, że człowieka też mógłby spotkać taki los... Nie trzeba narzekać... Niejeden chciałby się mordować tak jak my.

Grupa skierowała się do ubieralni, obszernej sali z grubsza tylko otynkowanej, gdzie pod ścianami stały szafy zamknięte na kłódki. Pośrodku sterczał żelazny piec bez drzwiczek, tak naładowany rozżarzoną węglą, że kawałki jego z trzaskiem wypadały na ubitą ziemię. Blask bijący od ogniska stanowił jedyne oświetlenie sali. Czerwone refleksy tańczyły po brudnych szafach i pokrytym węglowym pyłem suficie.

Wchodząc do sali Maheuowie usłyszeli wybuchy śmiechu. Około trzydziestu górników z lubością wygrzewało się przy ogniu. Zanim zjechali pod ziemię, przychodzili tutaj nasycić się ciepłem i zabrać go nieco ze sobą do wilgotnej kopalni. Tego ranka panowała tu wesołość głośniejsza niż zwykle. Przedmiotem żartów była Mouquette, osiemnastoletnia robotnica z sortowni, poczciwa dziewczyna, której olbrzymie piersi i pośladki rozpierały roboczy kombinezon. Mieszkała w Requillart z ojcem, starym stajennym Mouque'em, i bratem wozakiem w nadszybiu. Każde z nich rozpoczynało pracę o innej porze i dziewczyna udawała się do kopalni sama. Po drodze zabawiała się z kochankami, których zmieniała co tydzień. Latem chronili się w zbożu, zimą pod ścianami zabudowań. Mouquette przechodziła z rąk do rąk, zawsze jednak wybierając sobie górników. Kiedy pewnego dnia wytknięto jej jakiegoś gwoździarza z Marchiennes, wybuchnęła gniewem i oświadczyła, że za bardzo się szanuje, aby zadawać się z obcymi, i że da sobie rękę odciąć, jeżeli ktoś jej udowodni, że widział ją kiedykolwiek z kim innym jak z górnikiem.

– Więc to już nie ten wielki Chaval? – zaśmiał się któryś z robotników. – Wziąłś sobie teraz tego małego? Ależ jemu by trzeba drabiny!... Widziałem was za Requillart i mogę przysiąc, że musiał wleźć na kamień...

– No to i co z tego? – odparła wesoło Mouquette. – Co cię to obchodzi? Nikt cię nie prosił, żebyś go podsadzał!

Ten prostoduszny żart wzmógł jeszcze wesołość górników. Ich rozprażone ramiona trzęsły się od śmiechu. Mouquette śmiała się również, nieprzyzwoita i wyzywająca w opiętym kombinezonie, podkreślającym jeszcze nadmierną wypukłość jej kształtów.

Ale śmiech ustał, kiedy Mouquette powiedziała ojcu Maheu, że Florka, wielka Florka, nie przyjdzie więcej do pracy. Znalaziono ją wczoraj nieżywą na łóżku. Jedni mówili, że jej się serce oberwało, a inni, że za prędko wypila litr jałowcówki. Maheu był zrozpaczony. Znowu

niepowodzenie! Tracił ładowniczkę, a nie miał jej kim zastąpić. Pracowali na akord: on i jeszcze trzech rębaczy – Zachariasz, Levaque i Chaval. Sama Katarzyna nie podoła teraz ładowaniu i zarobek się zmniejszy.

– Prawda! Tamten gość przed kotłownią szukał pracy! – wykrzyknął nagle.

Właśnie przechodził koło baraku Dansaert. Maheu opowiedział mu, co się stało, i poprosił o pozwolenie przyjęcia do roboty nieznanego, dodając, że Towarzystwo samo dąży do tego, aby ładowniczki zastąpić mężczyznami, tak jak w Anzin. Starszy sztygar uśmiechnął się, gdyż projekt usunięcia dziewcząt z pracy pod ziemią był dotychczas niechętnie przyjmowany przez górników, którym zależało, aby ich córki zarabiała w kopalni, bez względu na kwestię moralności i higieny.

Po krótkim wahaniu dał swoje przyzwolenie, zastrzegając jednak, że sprawę zatwierdzić musi inżynier Négrel.

– Wszystko pięknie, ale on już pewnie jest daleko, ten człowiek – zauważył Zachariasz.

– Nie – odezwała się Katarzyna. – Widziałam, że zatrzymał się przy kotłowni.

– Leć mi zaraz po niego! – krzyknął ojciec. Dziewczyna wybiegła, a tymczasem górnicy schodzili do szybu, robiąc miejsce innym przy ogniu. Nie czekając na ojca Janek wziął latarkę i poszedł naprzód wraz z grubym Bébertyem i wążką dziesięciolatką Lidką. Idąca przed nimi Mouquette pokrzykiwała w ciemnościach schodów i groziła chłopcom, że jeżeli nadal będą ją szczypać, to oberwą po buzi.

Stefan rzeczywiście stał w kotłowni i rozmawiał z palaczem. Na samą myśl, że znów ma zagłębić się w noc, przenikał go chłód. Mimo to zabierał się już do wyjścia, kiedy nagle uczył czyjaś dłoń na ramieniu.

– Chodźcie! – powiedziała Katarzyna. – Znalazło się coś dla was.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, a później ogarnięty radością uściśnął mocno rękę dziewczyny:

– Dziękuję wam, kolego... Porządny z was człowiek, daję słowo!

Roześmiała się spoglądając na niego; z kotłowni padał na nich czerwony blask. Bawiło ją to, że brał ją za chłopca, wprowadzony w błąd smukłością jej postaci i nakryciem głowy, które zasłaniało włosy. Stefan, uradowany, śmiał się również i stali tak przez chwilę roześmiani i zarumienieni od gorąca.

W baraku Maheu zdejmował saboty i grube wełniane pończochy siedząc koło swojej szafki.

Gdy Stefan przyszedł, prędko doszli do porozumienia: dniówka trzydzieści sous, praca ciężka, ale łatwo można się jej nauczyć. Rębacz poradził mu, aby nie zdejmował butów, i pożyczył mu swój stary hełm skórzany dla ochrony głowy – przezorność, której on ani dzieci nigdy nie stosowali. Wyjęto narzędzia ze skrzyni. Była pośród nich i szufla Florki. Maheu, schowawszy saboty, pończochy i zawiniątko Stefana, rozgniewał się nagle:

– A gdzie jest ten gałgan, Chaval? Znów gzi się z jakąś dziewczyną! Mamy dzisiaj już pół godziny spóźnienia!

Zachariasz i Levaque spokojnie grzali sobie plecy. Wreszcie Zachariasz rzekł:

– Czekasz na Chavala?... Przyszedł jeszcze przed nami i zaraz zjechał na dół!

– Jak to? wiesz o tym i nic nie mówisz? Dalej, prędko, schodźmy!

Katarzyna, która grzała sobie ręce, poszła za nimi. Stefan puścił ją przed siebie. Znów znalazł się w labiryncie schodów i ciemnych korytarzy rozbrzmiewających plaskaniem bosych stóp. Wreszcie zabłysła przed nimi lampiarnia, wielka, oszklona sala pełna drabinek, na których jedne nad drugimi stały rzędy lamp górniczych systemu Davy’ego, umytych i sprawdzonych poprzedniego wieczoru. Płonęły teraz niby świece przy katafalku. Każdy górnik dostawał swoją, opatrzoną jego numerem, oglądał ją i zamykał, podczas gdy siedzący przy stole kontroler zapisywał w rejestrze godzinę zjazdu. Maheu wystarał się o lampę dla swego nowego ładowacza. Jeszcze jeden kontroler sprawdzał, czy wszystkie lampy są należycie zamknięte.

– Brr! Jak tu zimno! – szepnęła Katarzyna drżąc cała.

Stefan skinał tylko głową. Uważał się zawsze za odważnego, a mimo to, gdy znaleźli się w wielkiej sali, po której hulał wiatr, uczył, że gardło ma ściśnięte: przetaczały się z łoskotem wózki, głucho uderzał młot sygnałowy, z tuby dobywały się zduszone poryki, tam i z powrotem przesuwały się stalowe liny, nawijane na szpule maszyny idącej pełną parą. Winda podjeżdżała do góry i znikwała miękkim ruchem drapieżnego zwierzęcia. Czarna paszczyka szybu połykała coraz to nowych ludzi. Wreszcie przyszła kolej na Stefana. Drżał z zimna i milczał, zdenerwowany. Zachariasz i Levaque kpili sobie z niego. Obaj byli niezadowoleni z przyjęcia nieznanego do pracy, zwłaszcza Levaque czuł się dotknięty, że stary Maheu nie spytał go o zdanie. Katarzyna ucieszyła się słysząc, jak ojciec objaśnia Stefanowi:

– Widzicie? Tutaj jest zatrask ochronny, żelazne pazury, które jak lina się urwie, wbijają się w prowadnice. Nie zawsze to co prawda działa, no, ale czasem... Tak, szyb podzielony jest na trzy części oszalowane brusami od góry do dołu: środkiem chodzi winda, na lewo są drabiny...

Urwał i mruknął, nie śmiejąc zbytnio podnosić głosu: – Co to za porządki, psiakrew! Jak można trzymać ludzi na takim zimnie!

Sztygar Richomme, który również czekał na windę i stał obok z lampą przymocowaną do hełmu, usłyszał jego narzekanie.

– Uważaj! Ściany mają uszy! – szepnął po ojcowsku (jako były rębacz utrzymywał przyjacielskie stosunki z dawnymi kolegami). – Zanim wózki podjadą, zawsze musi potrwać... O, masz, już jest.

Winda, obita blachą i gęstą żelazną siatką, czekała już na nich zawieszona na hakach. Maheu, Zachariasz, Levaque i Katarzyna wsunęli się do jednego z wózków. Stefan wszedł za nimi jako piąty. Lepsze miejsca były już zajęte, musiał więc wcisnąć się w kąt, obok dziewczyny, której łokieć gniótł go w brzuch. Zawadzała mu lampa. Doradzali mu, by zawiesił ją u dziurki od guzika przy kaftanie. Nie dosłyszał i trzymał ją nadal niezgrabnie w ręku. Nad i pod nimi ludzie wsiadali jeszcze. Dlaczego nie ruszają? Stefan niecierpliwił się. Nagle uczył wstrząs i wszystko znikło. Doznał zawrotu głowy. Trwało to dopóty, dopóki mijając dwa pierwsze piętra hali zjazdowej dostrzegał miganie brusów. Z chwilą jednak gdy zapadł w ciemność szybu, oszołomiony, stracił możliwość kontrolowania swych wrażeń.

– Ruszyliśmy – powiedział spokojnie Maheu. Wszyscy zachowywali się swobodnie. On jeden zadawał sobie chwilami pytanie, czy spada, czy też wznosi się do góry. Gdy winda nie dotykając ścian pędziła w dół, zdawało się, że wisi bez ruchu. Ale chwilami przebiegało ją gwałtowne drżenie przejmując go lękiem. Mimo że przyciskał twarz do siatki, nie dostrzegał ścian szybu. W nikłym świetle lamp majaczyły stłoczone postaci ludzkie. Tylko otwarta lampa sztygara w sąsiednim wózku błyszczała jak latarnia morska.

– Ten szyb ma cztery metry średnicy – objaśniał dalej Maheu. – Na dobrą sprawę należałoby oszalować go od nowa. Woda przecieka ze wszystkich stron... Uwaga, dojeżdżamy do poziomu, słyszycie?

Uszu Stefana dobiegł jakby szum ulewy. Kilka ciężkich kropli padło na dach windy, jak na początku rześnego deszczu, który wzmagał się, przemieniał w prawdziwe oberwanie chmury. Dach windy musiał być dziurawy, gdyż Stefan poczuł, że strumień wody spływa mu po ramieniu, przeinacza ubranie. Przejęło go lodowate zimno. Winda zanurzała się w wilgotną ciemność, którą na chwilę tylko rozdarł niby blask błyskawicy; w świetle jej mignęła jakaś pieczara pełna ludzi. I znów wszystko pogrążyło się w nicości.

– Pierwsze podszybie – powiedział Maheu. – Jesteśmy na głębokości trzystu dwudziestu metrów... Spójrzcie, z jaką szybkością zjeżdżamy.

Podnosząc lampę oświetlił jedną z prostopadłych belek dębowych, która umykała im sprzed oczu jak szyna spod kół pędzącego pociągu; poza tym nic nie było widać. Trzy następne podszybia mignęły im tylko jak nagłe błyski. W ciemności woda bębniła o dach windy.

– Ależ to głęboko – szepnął Stefan. Wydawało mu się, że zjeżdżają już od paru godzin. Niewygodnie mu było w pozycji, jaką przybrał, ale nie śmiał się ruszyć. Doskwierał mu zwłaszcza łokieć Katarzyny. Nie odzywała się ani słowem, ale czuł bijące od niej ciepło. Kiedy winda zatrzymała się wreszcie na głębokości pięciuset pięćdziesięciu czterech metrów, dowiedział się ze zdziwieniem, że zjazd trwał dokładnie minutę. Łoskot haków bezpieczeństwa wbijających się w drzewo, uczucie, że nie osuwa się już w próżnię, wprawiły go w nagłą wesołość i zażartował zwracając się poufale do Katarzyny:

– Cóżes ty taki gorący? A twój łokieć to mam już w brzuchu!

Dziewczyna roześmiała się również. Ten głuptas bierze ją wciąż jeszcze za chłopca! Ślepy czy co?

– Nie w brzuchu masz mój łokieć, ale w oku! – odparła wśród głośnych śmiechów, których zdziwiony Stefan nie umiał sobie wytłumaczyć.

Winda opróżniała się, górnicy wchodzili do podszybia wykutego w skale, o podmurowanym sklepieniu, oświetlonego trzema potężnymi lampami. Po żelaznych szynach ładowacze pchali szybko pełne wózki. Ściany ociekały wilgocią, której zapach unosił się w powietrzu. W piwniczny chłód wdzierały się chwilami ciepłe podmuchy z pobliskiej stajni. W głębi otwierały się cztery paszcze chodników.

– Tędy – powiedział Maheu do Stefana. – Mamy jeszcze dobre dwa kilometry.

Robotnicy rozdzielali się i grupkami znikali w czarnych czeluściach. Około piętnastu skręciło na lewo. Stefan szedł ostatni, za ojcem Maheu, którego wyprzedzali Katarzyna, Zachariasz i Levaque. Znaleźli się w przestronnym chodniku, wykutym w tak twardej skale, że tylko tu i ówdzie podierały ją murowane filary. Szli w milczeniu, pojedynczo, oświetlając drogę lampkami. Stefan potykał się co krok, zawadzał o szyny. Od pewnej chwili niepokoił go jakiś głuchy odgłos, jakby szum dalekiej burzy, dochodzący z głębi ziemi i przybierający na sile. Czyżby za chwilę miały osunąć się im na głowy grube pokłady węgla, które dzieliły ich od powierzchni ziemi? Stefan dojrzał jakiś błysk i poczuł, że chodnik zadrżał. Idąc w ślady

towarzyszy przyłgnął plecami do ściany; tuż obok siebie ujrzał dużego siwego konia ciągnącego sznur wózków. Na pierwszym siedział Bébert trzymając lejce, a za ostatnim, uchwyciwszy się jego krawędzi, biegł bosonogi Janek.

Ruszyli dalej, aż doszli do miejsca, gdzie otwierały się dwa nowe korytarze. Grupa podzieliła się znowu, górnicy kierowali się w stronę swoich urobisk. Sklepienie chodnika podpierały tutaj dębowe słupy. Łatwo kruszącą się skałę ujęto w pokrowiec z belek, poprzez które połyskiwały płytki łupku, iskrzyła się mika i przezierały chropowate płyty piaskowca. Z łoskotem grzmotu mijały ich sznury pełnych lub pustych wózków, ciągnięte przez upiory koni. Na podwójnym torze przed garażem spał długi, czarny wąż wózków. Zaprzężony do nich koń parsknął w pewnej chwili, zdradzając tym swą obecność. Zatopiony w ciemności przypominał swym zarysem olbrzymi złom węgla. Tamy wentylacyjne otwierały się i zamykały powoli. W miarę jak posuwali się naprzód, chodnik stawał się coraz węższy, coraz niższy, o nierównym sklepieniu, tak że musieli pochylać się co chwila.

Stefan śledził każdy ruch idącego przed nim ojca Maheu, a mimo to uderzył się w głowę tak silnie, że gdyby nie skórzany hełm, byłby roztrzaskał sobie czaszkę. Żaden z górników nie potykał się, widocznie znali każdy występ skały, każdy sęk w drzewie. Stefan ślizgał się na wilgotnym spagu. Chwilami brodził w kałużach, które zdradzał jedynie błotnisty chlupot. Ale co dziwiło go najbardziej, to nagłe zmiany temperatury. W podszybiu było zimno, głównym chodnikiem dął lodowaty wiatr, gwałtowny jak huragan, im dalej natomiast zapuszczali się w boczne chodniki, które tylko pośrednio otrzymywały dopływ powietrza, tym lżejszy stawał się powiew, a wzmagало się gorąco dławiące, ciężkie jak ołów.

Maheu nie odzywał się teraz ani słowem. W pewnej chwili skręcił na prawo i nie obracając się rzekł do Stefana:

– Pokład Wilhelma.

Tutaj właśnie pracowali. Zaraz na wstępie Stefan obtarł sobie łokieć i uderzył się w głowę. Strop zwisał tutaj tak nisko, że nieraz na przestrzeni dwudziestu i więcej metrów musiał iść zgięty w pół. Woda sięgała do kostek. Uszli w ten sposób ze dwieście metrów. Naraz Katarzyna, Zachariasz i Levaque znikli mu z oczu w wąskiej szczelinie, która otwarła się przed nim.

– Teraz jazda do góry! – powiedział Maheu. – Zahaczcie sobie lampę o dziurkę od guzika i włączcie po drabinie.

I sam zniknął również. Stefan musiał iść za nim. Ten ślepy szybik wykuty w pokładzie łączył

ze sobą poszczególne powierzchnie. Miał zaledwie sześćdziesiąt centymetrów szerokości. Na szczęście Stefan był szczupły; niewprawy jeszcze, piał się z ogromnym wysiłkiem, przeciskając bary i biodra, kurczowo chwytając się szczebli drabiny. Pierwsza powierzchnia znajdowała się o piętnaście metrów wyżej, ale oni musieli wdrapywać się dalej, gdyż Maheu i jego towarzysze pracowali dopiero na szóstej ścianie, „w piekle”, jak mówili.

Co piętnaście metrów mijali nową powierzchnię. Ich wędrówka przez ten wąski przesmyk, którego ściany ocierały im plecy i piersi, zdawała się nie mieć końca. Stefan charczał, jakby zmiażdżony ciężarem pokładów węgla. Ręce miał obolałe, nogi pokaleczone, a przede wszystkim brakowało mu powietrza. Czuł, jak krew napływa mu do głowy. W jednym z chodników dojrzał zarysy dwóch postaci, małej i dużej, które pchały przed sobą wózki: była to Lidka i Mouquette, już przy pracy. A on musiał się jeszcze wspinać o dwie kondygnacje wyżej! Pot zalewał mu oczy. Stracił nadzieję, że uda mu się doścignąć zręcznie posuwających się towarzyszy.

– Odwagi! Jesteśmy już u celu! – zawołała Katarzyna.

Gdy dostał się wreszcie na miejsce, usłyszał jakiś głos z głębi urobiska:

– Kpicie sobie czy co u licha? Mam dwa kilometry do Montsou, a pierwszy przychodzę do roboty!

Był to Chaval, wysoki, dwudziestopięcioletni chłopak, kościsty, o grubych rysach. Rozgniewał się, że musiał czekać. Spostrzegłszy Stefana, spytał z pogardliwym zdziwieniem:

– A to kto znowu?

Gdy Maheu objaśniał go, mruknął przez zęby:

– To mężczyźni odbierają teraz chleb dziewczętom?

Wymienili między sobą spojrzenia pełne instynktownej, nagle rozbłysłej nienawiści. Stefan wyczuł obelgę, choć jej nie zrozumiał. Zapanowało milczenie. Wszyscy wzięli się do roboty. Przędki zapełniły się, ściany ożywiły, na każdym piętrze wrzała praca. Kopalnia wchłonęła już dzienną porcję górników, około siedmiuset ludzi, którzy krzatali się teraz po tym potężnym mrowisku, wierząc ziemię we wszystkich kierunkach, podobnie jak robaki toczą stare drzewo. Gdyby ktoś przyłożył ucho do ściany skalnej, usłyszałby, jak ociężałe milczenie warstw węgla tętni ruchem wind i uderzeniami kilofów wgrzyzających się w caliznę.

Odwróciwszy się, Stefan znalazł się znów obok Katarzyny. Przyciśnięty do niej wyczuł nieśmiałą krągłość jej piersi i zrozumiał nagle ciepło, jakim przejmowała go jej bliskość, kiedy

zjeżdżali pod ziemię.

To ty jesteś dziewczyna? – szepnął ze zdumieniem

Ale też gapa z ciebie! Dopiero teraz się domyśliłeś. - odparła wesoło, nie zaczerwieniwszy się nawet.

IV

Czterej rębacze zajęli miejsca jeden ponad drugim na całej pochyłości ściany. Dzielili ich od siebie deski umocowane na hakach. Na te właśnie deski spadał wyrąbany węgiel. Każdy z rębaczy pracował na przestrzeni mniej więcej czterech metrów. Grubość pokładu dochodziła tutaj zaledwie do pół metra, tak że górnicy ściśnięci pomiędzy stropem i spągami czołgali się na łokciach i kolanach, nie mogli się obrócić, żeby nie uderzyć się ramieniem o ścianę. Musieli kłaść się na bok, przekrzywiali szyję i uderzali kilofem z ukosa.

Na dole pracował Zachariasz, nad nim Levaque i Chaval, a na samej górze Maheu. Obrywano najpierw warstewkę łupku, potem każdy robił w ścianie dwa prostopadłe wręby i odrywał bryłę zanurzając w górny otwór żelazny klin. Węgiel był kruchy. Spadająca bryła rozsypywała się, a jej odłamki osuwały się wzdłuż ciała rębaczy i zatrzymywały na deskach. Kiedy nagromadziła się ich większa ilość, górnicy znikali za nimi, jakby zamurowani.

Ojciec Maheu miał najgorsze miejsce. W górze temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni, a wobec utrudnionego dopływu powietrza panował tam zabójczy zaduch. Zawieszona na gwoździu tuż nad głową lampa prażyła mu czaszkę. Ale najbardziej cierpiał z powodu wilgoci. Skąła ponad nim ociekała wodą. Nieustępliwe krople spadały jedna za drugą, wciąż w to samo miejsce. Na próżno wykręcał szyję, usuwał się. Padały mu na twarz, rozpryskiwały się na niej, spływały bez przerwy. Po piętnastu minutach pracy był przemoknięty i spocony, buchała od niego para jak z kotła z bielizną. Tego ranka jakaś uparta kropla spadała mu co chwila na oko. Kłął, ale nie przerywał pracy i kuł z rozmachem, uwięziony między dwiema ścianami, jak owad, który dostał się pomiędzy kartki książki i w każdej chwili może być zgnieciony.

Pracowano w milczeniu. Wszyscy kuli i słychać było tylko nieregularne, przytłumione, jakby z oddali dochodzące odgłosy uderzeń. W nieruchomym powietrzu nabierały one dziwnej

chropowatości. Ciemność gęstniała od węglowego pyłu i gazu, który ciążył na powiekach. Knoty lamp w metalowych siatkach żarzyły się czerwonymi punktami. Niczego nie można było rozróżnić. Ukośnie biegnąca ściana przypominała szeroki, płaski komin, poczerniały od nagromadzonej latami sadzy. Poruszały się w nim jakieś upiory. W słabym blasku lamp ukazywało się czasem czyjeś biodro, żylaste ramię lub umazana twarz. Połyskiwały osuwające się bryły węgla. Później wszystko znów zapadało w ciemność, kilofy uderzały głucho, a z piersi robotników dobywało się dyszenie i pomruki zmęczenia.

Zachariasz osłabiony niedzielną hulanką przestał kuć pod pretekstem konieczności podstemplowania stropu i poświstywał cicho ze wzrokiem utkwionym w mrok, nic nie robiąc. Trzymetrowej długości wykop za rębaczami był niepodstemplowany. Żałując czasu na tę pracę nie zważali na grożące im niebezpieczeństwo i nie robili umocnień.

– Hej, ty, arystokrato! – krzyknął Zachariasz na Stefana. – Podaj no mi belki!

Stefan, którego Katarzyna uczyła władać łopatą, musiał przerwać robotę i podawać belki. Pewien ich zapas leżał naszykowany poprzedniego dnia. Zazwyczaj zwożono je na dół rano, przycięte odpowiednio do wymiarów pokładu.

– Ruszajże się, guzdrało! – przynaglał Zachariasz, widząc, jak nowy ładowacz niezgrabnie przedziera się przez stosy węgla, ciągnąc cztery dębowe belki.

Zachariasz kilofem robił wręby w ścianach wyrobiska i umocowywał w nich końce belek, które w ten sposób podpierały strop. Po południu zmiana podsadzkowa wypełniała żwirem przestrzeń między kłocami zostawiając tyle miejsca, aby mógł przejechać tędy wózek.

Maheu przestał postękiwać. Uporał się wreszcie z bryłą, którą podwazał, i ocierał teraz rękawem spotniałą twarz.

Zaniepokoił się, dlaczego Zachariasz pozostał w tyle.

– Zostaw! Zajmiemy się tym po śniadaniu... Weź się do roboty, bo inaczej nie wyjdziemy na swoje.

– Kiedy tu się zarysowuje, spójrz – powiedział chłopak. – Jeszcze się zawali.

Ale ojciec wzruszył ramionami.

– Zawali się! A gdyby nawet, to i co! – Nieraz się już zawałało i jakoś dawali sobie radę. Rozgniewał się w końcu i odesłał syna w głąb przodka.

Pozostali rębacze również przerwali pracę. Levaque leżał na plecach i klnąc oglądał otarty do krwi kciuk lewej ręki. Chaval z pasją ścigał koszulę, aby się ochłodzić. Czarni byli od pyłu

węglowego, który pokrywał ich ciała i zmieszany z potem spływał cienkimi strugami. Maheu pierwszy powrócił do roboty. Woda kapała mu teraz na czoło i miał wrażenie, że wierci mu dziurę w czaszce.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Katarzyna do Stefana. – Oni zawsze się kłóca.

I dalej usłużnie udzielała mu wskazówek. Naładowane wózki jadą do góry. Każdy z nich oznaczony jest specjalnym żetonem, aby kontroler wiedział, kto go ładował. Trzeba więc ładować je starannie i wybierać dobry węgiel, gdyż inaczej kontroler może wózka nie przyjąć.

Stefan oswojony z ciemnością przyglądał się Katarzynie. Jej bezkrwista twarz bielą w mroku nie ubrudzona jeszcze węglem. Nie potrafił określić jej wieku. Była tak drobna, że dawał jej najwyżej dwanaście lat, domyślał się jednak, że jest starsza. Krępowała go trochę jej chłopięca swoboda i naiwna zuchwałość. Nie podobała mu się. Jej blada twarz w górniczym hełmie przypominała maskę Pierrotta. Zdziwiony był siłą i zręcznością tego dziecka. Katarzyna napełniała wózek prędzej niż on, wrzucając węgiel szybkimi regularnymi ruchami. Później posuwała go gładko aż do pochylni, bez trudu przechodząc pod niskim stropem, gdy tymczasem on potykał się i kaleczył, a wózek zeskakiwał co chwila z szyn, co doprowadzało go do rozpacz.

Droga nie była łatwa. Wąska, wyboista, o nierównym pułapie, miała około sześćdziesięciu metrów długości. W niektórych miejscach pełny wózek ledwo mógł się przecisnąć, a ładowacz musiał się schylać, aby nie uderzyć głową o skałę. Dębowe stemple wyginały się i załamywały. Środkiem ich biegły białawe pęknięcia jak w zbyt słabych kulach inwalidy. Trzeba było uważać, aby nie zaczepić o te zadry. Widząc, jak pod naporem pokładów węgla uginają się dębowe kloce grubości uda ludzkiego, czołgający się ładowacze doznawali uczucia głuchego lęku, czy za chwilę oni sami nie ulegną zmiżdżeniu.

– Znów! – zawołała śmiejąc się Katarzyna. Wózek Stefana wykoleił się w najtrudniejszym miejscu. Nie potrafił on przesunąć wagoników po szynach powyginanych na nierównym, podmokłym gruncie. Klął, unosił się gniewem, mocował z kołami, ale pomimo rozpaczliwych wysiłków nie mógł nasunąć ich z powrotem na właściwe miejsce.

– Poczekaj – powiedziała Katarzyna. – Jak się będziesz złościć, to nic z tego nie wyjdzie.

Zręcznym ruchem wśliznęła się pod wózek, wyprężyła, wysiłkiem mięśni dźwignęła go do góry i postawiła na szynach. Wózek ważył około siedmuset kilogramów. Stefan zdumiony i zawstydzony jąkał słowa podziękowania.

Musiała pokazać mu, jak trzeba rozstawiać nogi, przywierać stopami do belek stemplowania po obu stronach chodnika, aby mieć silny punkt oparcia. Całe ciało powinno być pochylone, ręce sztywno wyciągnięte przed siebie, aby wykorzystać pracę wszystkich mięśni. Poszedł raz za nią, gdy toczyła wózek, i patrzył, jak stąpa zgięta, z rękami opuszczonymi tak nisko, że wyglądała jak posuwający się na czworakach karzeł z cyrku. Oblewała się potem, dyszała, stawy jej trzeszczały, ale nie skarżyła się, zobojętniała i przywykła. Nie potrafił jej naśladować. Zawadzały mu trzewiki, nie umiał iść z głową tak nisko opuszczoną. Po kilku minutach pozycja taka stawała się dlań męką nie do wytrzymania i klękał na chwilę, żeby wyprostować się i odetchnąć.

Przy pochylni czekała nowa trudność. Katarzyna nauczyła go, co należy robić, aby szybko nadać wózek. Pochylnię, z której korzystały wszystkie chodniki na jednym poziomie, obsługiwali kilkunastoletni chłopcy, obrzucający się nawzajem ohydnyimi wyrazami. Aby ich przywołać, trzeba było krzyczeć z całych sił. Kiedy na dole czekał pusty wózek, jeden z chłopców dawał znak, ładowaczka podsuwała pełny, który swoim ciężarem podnosił tamten. Na dole pełne wózki szepiano razem i konie dowoziły je do szybu.

– Hej, smarkacze! – krzyczała Katarzyna w stumetrową, obitą deskami pochylnię, a głos jej rozchodził się donośnie jak przez tubę.

Malcy odpoczywali zapewne, gdyż żaden z nich się nie odezwał. Za to wszędzie naokół ustało dudnienie wózków, a jakiś cienki głosik dziewczęcy zawołał:

– Pewnie któryś z nich polazł na Mouquette!

Ładowaczki zaniósły się głośnym śmiechem.

– Kto to się odezwał? – spytał Stefan Katarzyny.

Katarzyna wymieniła imię Lidki, małej dziewczynki, która wiedziała już niejedno, a swymi malutkimi jak u lalki rączkami popychała wózki równie dzielnie jak dorosła kobieta. Co do Mouquette, to mogła śmiało zabawiać się z obu chłopcami na raz.

Lecz nagle z dołu rozległ się głos odbieracza. Widocznie gdzieś w pobliżu przechodził sztygar. Zaturkotały wózki, chłopcy powrócili na swoje miejsca i pokrzykiwali miarowo, a ładowaczki, od których buchała para jak od przeciążonych klaczy, sapały zatrzymując się przy pochylni. Poprzez kopalnię wiały podmuchy zwierzęcej żądy. Na widok bujnych kształtów dziewcząt pochylonych przy pracy niejednym z górników targało nagle pożądanie.

Za każdym nawrotem w głąb dusznego chodnika dobiegały Stefana głuche uderzenia kilofów

i głębokie westchnienia utrudzonych rębaczy. Wszyscy czterej zdjęli koszule i umazani byli czarnym błotem aż po daszki hełmów. W pewnej chwili trzeba było przyjść z pomocą ojcu Maheu, odsunąć deski, aby przytłaczający go węgiel mógł wysypać się na chodnik. Levaque i Zachariasz kleli, że pokład staje się coraz twardszy, robota idzie coraz wolniej, a przez to zmniejsza się zarobek.

Chaval odwrócił się i leżąc na grzbiecie wymyślał Stefanowi, którego obecność wyraźnie wyprowadzała go z równowagi.

– Niezdaro jedna! Słabsze to niż dziewczyna, a bierze się do roboty! Poczekaj, niech nam nie przyjmą choćby jednego wózka, zaraz ci potracę dziesięć sous!

Stefan milczał. Szczęśliwy, że udało mu się dostać tę pracę galernika, przyjmował bez sprzeciwu ustaloną brutalną hierarchię.

Ale nie mógł się już ruszać. Stopy miał pokrwawione, ramiona powykręcane straszliwymi skurczami, całe ciało jakby ściśnięte żelazną obręczą. Na szczęście była już dziesiąta, pora śniadania.

Maheu miał zegarek, na który zresztą nie spojrział. Pośród otaczającej go nocy bez gwiazd nigdy nie mylił się ani o minutę. Rębacze włożyli koszule i kaftany, zeszli z pola i przykucnęli z opuszczonymi rękami, w pozie tak właściwej górnikom, że kiedy siadają gdzieś poza kopalnią, często przybierają ją również. Każdy wyciągnął swoją cegielkę i jadł z powagą, z rzadka tylko rzucając jakieś słowo o rannej robocie. Katarzyna nie usiadła. Podeszła do Stefana, który znalazł sobie prawie suche miejsce i wyciągnął się na szynach opierając plecy o stempel.

– A ty nie jesz? — spytała z pełnymi ustami, trzymając kromkę w ręku.

Nagle uświadomiła sobie, że Stefan, który przybłąkał się tu nocą, jest może bez grosza, bez kawałka chleba.

– Masz, weź połowę mojego.

A kiedy odmówił, zapewniając drżącym z pożądliwości głosem, że wcale nie jest głodny, dorzuciła wesoło:

– Brzydzisz się? Popatrz, z tej strony wcale nie ruszałam, weź!

Podzieliła cegielkę na dwie części. Stefan musiał powstrzymać się całą siłą woli, aby nie włożyć swego kawałka w całości do ust. Oparł ręce na kolanach, żeby ukryć ich drżenie. Ona tymczasem wyciągnęła się spokojnie obok niego na brzuchu, oparła brodę na jednej ręce, drugą wsuwając powoli chleb do ust. Lampy stojące pomiędzy nimi oświecały ich oboje. Katarzyna

przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu. Musiał jej się spodobać ze swymi delikatnymi rysami i czarnym wąsikiem, gdyż uśmiechnęła się lekko z zadowoleniem.

– Więc jesteś maszynistą i zwolniono cię z kolei? A dlaczego?

– Dlatego, że dałem w twarz mojemu zwierzchnikowi.

Wdrożona do biernego posłuszeństwa, mając we krwi przekazywane z pokolenia na pokolenie poczucie subordynacji, spojrzała na niego wstrząśnięta i zdumiona.

– Prawdę mówiąc, byłem pijany – ciągnął Stefan. – Jak się upiję, wpadam w szal i sam nie wiem, co robię... Wystarczy mi dwa kieliszki... A potem choruję przez parę dni.

– Nie powinieneś pić – rzekła poważnie.

– O, nie bój się, nie mam zamiaru!

Potrząsnął głową. Czuł nienawiść do wódki, nienawiść ostatniego potomka rasy pijaków, który ponosił skutki pijaństwa swych przodków, do tego stopnia uczulony na alkohol, że jedna kropla wódki działała na niego jak trucizna.

– Żał mi tylko matki – powiedział przełknawszy kęs chleba. – Ciężkie ma życie. Dopóki pracowałem, posyłałem jej od czasu do czasu piątaka.

– A gdzie jest twoja matka?

– W Paryżu... Ma pralnię przy ulicy Goutte-d'Or.

Zapanowało milczenie. Kiedy Stefan myślał o tych sprawach, w oczach jego pojawiał się błysk niepokoju – świadomość, że nosi w sobie skazę, która mimo jego młodzieńczej tężyzny rozwija się w nim i nie wiadomo, jakie wyda owoce w przyszłości. Przez chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w ciemności kopalni. Odżyły w nim wspomnienia z dzieciństwa; obraz matki, młodej jeszcze i pełnej życia, porzuconej przez jego ojca, który wrócił do niej, kiedy była już żoną innego. Od tej pory żyła pomiędzy obu tymi mężczyznami, udręczona, i razem z nimi staczała się do rynsztoka. Przypominał sobie ulicę, gdzie mieszkali, pewne szczegóły: stosy brudnej bielizny w matczynej pralni, pijackie sceny w domu, głośnie policzki.

– Zarabiając trzydzieści sous dziennie – podjął wolno – nie będę mógł jej pomagać... Umrze z nędzy...

Bezradnie wzruszył ramionami i znów ugryzł kawałek chleba.

– Napijesz się? – spytała Katarzyna odkorkowując manierkę.

– Nie bój się, to kawa, nie zaszkodzi ci... Człowieka zatyka, jak je samo suche.

Stefan podziękował: wystarczy, że zjadł połowę jej chleba. Ale Katarzyna nalegała

serdecznie, wreszcie rzekła:

– No, dobrze, skoroś taki uprzejmy, to napiję się pierwsza, ale potem nie możesz mi już odmawiać, bo to byłoby nieładnie.

Podawała mu manierkę. Uniosła się na kolanach, widział ją tuż przy sobie, w świetle dwu lamp. Jak się to stało, że przedtem, wydała mu się brzydka? Teraz, z twarzą pokrytą pyłem węglowym, miała szczególny urok. W trochę zbyt szerokich ustach połyskiwała biel zębów, oczy powiększyły się i błyszczały zielonkawo jak oczy kota. Spod hełmu wymykało się pasmo rudych włosów i łaskocząc ją za uchem, pobudzało do śmiechu. Nie wyglądała już teraz tak dziecinnie, można jej było dać jakieś czternaście lat.

– Żeby ci zrobić przyjemność – powiedział, napił się i oddał jej manierkę.

Podniosła ją do ust i oddała mu z powrotem zmuszając, żeby znów się napił. Krążąca od jednego do drugiego flaszka rozśmieszała ich. Nagle Stefan zadał sobie pytanie, czy nie pochwycić dziewczyny w ramiona i nie pocałować. Jej pełne, blad różowe wargi wzbudzały w nim pożądanie. Czuł się jednak onieśmielony; nie wiedział, jak się ma wobec niej zachować – dotychczas, w Lilie, stykał się tylko z prostytutkami i to najniższego rzędu.

– Ile też ty masz lat? Ze czternaście? – spytał z powrotem zabierając się do chleba.

– Ile? Czternaście? – zdziwiła się, rozgniewała prawie. – Ależ ja mam piętnaście skończone!... To prawda, że może na tyle nie wyglądam, ale u nas dziewczęta rosną powoli.

W dalszym ciągu zadawał jej pytania, a ona odpowiadała. W jej odpowiedziach nie było nic wyzywającego, ale też nie było i zażenowania. Sprawy miłości fizycznej nie stanowiły dla niej tajemnicy, a mimo to wyczuwał jej dziewiczość, dziewiczość dziecka opóźnionego w swym rozwoju przez ciężkie warunki życia. Kiedy chcąc wprawić ją w zakłopotanie zwrócił rozmowę na temat Mouquette, opowiedziała mu, ubawiona, niesłychane historie o tej dziewczynie. Ach, ta to się dopiero puszcza na wszystkie strony! A kiedy zapytał, czy ona sama nie ma jeszcze kochanka, odparła śmiejąc się, że nie chce robić przykrości matce, ale że prędzej czy później to nastąpi. Drżała z zimna w wilgotnym od potu ubraniu i kulila się zrezygnowana i łagodna, gotowa przyjąć bez protestu wszystko, co przyniesie jej los i ludzie.

– O kochanka pewnie nie trudno, jak się tak żyje razem, co?

– Pewnie, że nie trudno.

– A zresztą cóż to komu szkodzi... Ksiądz o tym wiedzieć nie musi.

– E, co tam ksiądz! Akurat bym się księdza bała!... Ale jest Czarny Rębacz.

– Co za Czarny Rębacz?

– Stary górnik, który chodzi po kopalni i ukreca szyję rozpustnym dziewczętom.

Spojrzał na nią sądząc, że kpi sobie z niego.

– I ty wierzysz w takie brednie? Nie chodziłaś nigdy do szkoły?

– Chodziłam! Umiem czytać i pisać, to się może przydać. Ale moi rodzice nie umieją. Wtedy nie uczono.

Była naprawdę bardzo miła. Postanowił, że jak dziewczyna skończy jeść, weźmie ją w ramiona i ucałuje w te duże, różowe usta. Nieśmiały z natury, na samą myśl o tym czuł skurcz w gardle. Ten męski strój, te spodnie i kurtka okrywające dziewczęce ciało wprawiały go w zakłopotanie i podniecały jednocześnie. Zjadł ostatni kęs chleba, pociągnął z manierki i oddał ją Katarzynie, aby wypila resztę. Nadeszła chwila działania i Stefan spoglądał właśnie niespokojnie ku siedzącym w głębi górnikom, kiedy jakiś cień przesłonił wejście do chodnika.

Już od pewnej chwili Chaval stojąc przyglądał im się z daleka. Teraz postąpił kilka kroków, upewnił się, że Maheu nie może go zobaczyć, pochwycił siedzącą na ziemi dziewczynę za ramiona, przegiął ją do tyłu i zgniótł jej usta brutalnym pocałunkiem, udając, że nie zwraca uwagi na obecność Stefana. Pocałunek ten wyrażał wzięcie w posiadanie, postanowienie dojrzałe pod wpływem zazdrości.

Dziewczyna obruszyła się jednak.

– Puść mnie! Słyszysz?

Trzymał jej głowę i patrzył w głąb oczu. W czarnej twarzy, pod orlim nosem, płonęły rude wąsy i bródka. Puścił ją wreszcie i odszedł bez słowa.

Stefanem wstrząsnął zimny dreszcz. Głupi był, że czekał. Teraz nie pocałuje jej już, bo pomyślałaby, że naśladuje tamtego. Urażony w swej dumie czuł się naprawdę nieszczęśliwy.

– Dlaczego skłamałaś? – spytał cicho. – To twój kochanek.

– Ależ nie, przysięgam ci! – krzyknęła. – Między nami nic nie ma! On tylko tak czasem, dla śmiechu... Ale on nawet nie jest stąd, pół roku temu przyjechał z Pas de Calais.

Wstali oboje, gdyż trzeba się było wziąć na nowo do pracy. Katarzyna posmutniała widząc, że Stefan odsunął się od niej. Widocznie podobał się jej bardziej niż tamten i wolałaby go może. Chciała okazać mu jakoś swą życzliwość, pocieszyć go. Widząc, że ze zdziwieniem przygląda się swojej lampie palącej się niebieskawym płomieniem, otoczonym szeroką, mglistą aureolą, powiedziała przyjaźnie, pragnąc rozerwać go trochę:

– Chodź, pokażę ci coś.

Zaprowadziła go w głąb urobiska i pokazała szczelinę w pokładzie węgla. Wydobywał się stamtąd jakiś bulgot, jakiś cichy dźwięk podobny do pogwizdywań ptasich.

– Przyłóż rękę, a poczujesz, jak ciągnie... To gaz.

Stanął zdumiony. Więc to tylko tyle – ta straszna rzecz, która mogła wszystko wysadzić w powietrze? Dziewczyna śmiała się i tłumaczyła, że musi go być dużo tego dnia, jeżeli lampy palą się tak niebiesko.

– Kiedy przystaniecie gadać, leniuchy jedne? – krzyknął ostro Maheu.

Zabrali się śpiesznie do ładowania wózków i pełząc prawie pod nierównym stropem pchali je do pochylni. Już przy drugim wózku oblani byli potem, a kości trzeszczały im od nowa.

Rębacze również zabrali się do pracy. Często skracali czas śniadania, aby się nie przeziębic. Żarłocznie zjadane cegiełki ciążyły im później w żołądku jak ołów. Wyciągnięci na boku rąbali ze wzmożoną zaciekłością, opanowani jedną tylko myślą, aby wydobyć jak największą ilość wózków. Wszystko nikło wobec nadziei zarobku okupionego tak żmudną pracą. Nie czuli ściekającej po nich wody, skurczów spowodowanych nienaturalną pozycją ani mrocznego zaduchu, od którego bledli jak rośliny przeniesione do piwnicy. W miarę jak mijały godziny, powietrze zatrufane kopceniem lamp, wyziewami ciał ludzkich i gazem kładło się na oczach coraz gęściejszą pajęczyną, którą dopiero nocna wentylacja miała usunąć. Ukryci w głębi swych kretowisk, przytłoczeni ciężarem ziemi, pozbawieni tchu, rębacze kuli bez przestanu.

V

Nie patrząc na zegarek, który zostawił w kieszeni kaftana, Maheu przerwał pracę i powiedział:

– Niedługo pierwsza... Jak tam, Zachariasz, gotowe?

Chłopak stemplował strop. W pewnej chwili przerwał jednak pracę i wyciągnięty na plecach, ze wzrokiem zagubionym w ciemności, oddał się rozmyśleniom o rozegranych poprzedniego dnia partiach gry w piłkę. Głos ojca wyrwał go z odrętwienia.

– Tak – odparł – na dziś wystarczy, a jutro jeszcze zobaczymy.

I wrócił na swoje miejsce. Levaque i Chaval odłożyli na chwilę kilofy. Odpoczywano. Ocierali pot z twarzy i spoglądali na popękany strop. Jedynym tematem ich rozmów była praca.

– A to mieliśmy szczęście – mruknął Chaval – żeby dostać łamiący się pokład!... Oczywiście nie uwzględnili tego w umowie.

– Łajdaki! – sarknął Levaque. – Naciągają nas, jak mogą.

Zachariasz roześmiał się. Praca mało go obchodziła, ale cieszył się, ile razy udało im się przyłapać Towarzystwo na jakimś szachrajstwie. Maheu wyjaśnił spokojnie, że rodzaj pokładu zmienia się co kilkanaście metrów i że nie można przewidzieć, jaki komu przypadnie. To trzeba sprawiedliwie przyznać. I kiedy tamci nie przestawali wygadywać na szefów, niespokojnie rozejrzał się wokoło.

– Cicho bądźcie! Dosyć już tego!

– Masz rację – powiedział Levaque, który również zniżył głos. – To niezdrowo tak gadać.

Nawet tu, głęboko pod ziemią, nie opuszczała ich trwoga przed donosicielami, jakby myśleli, że nie wydobyty jeszcze węgiel, który należał do akcjonariuszy, ma możliwość podsłuchiwania ich rozmów.

– W każdym razie – dorzucił bardzo głośno Chaval wyzywającym tonem – jeżeli ten bydlak, Dansaert, jeszcze raz odezwie się do mnie takim tonem jak kiedyś, to oberwie!... Co on się będzie do mnie wtrącał? Czy ja mu przeszkadzam zabawiać się z jego blondyneczką?

Teraz Zachariasz wybuchnął głośnym śmiechem. Miłostki starszego sztygara z Pierronką były niewyczerpanym tematem żartów całej kopalni. Nawet oparta na łopacie Katarzyna śmiała się do rozpuku i w kilku słowach wyjaśniła Stefana, o co chodzi. Maheu rozgniewał się ogarnięty lękiem, którego już nie ukrywał.

– Przestań! Jak chcesz napytać sobie biedy, to poczekaj, aż będziesz sam!

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy od strony powierzchni dobiegł, ich odgłos kroków. Prawie w tej samej chwili u wylotu chodnika ukazał się inżynier, mały Négrel, jak go nazywali górnicy, w towarzystwie starszego sztygara Dansaerta.

– A co, nie mówiłem? – szepnął Maheu, – Zawsze wyleżą jak spod ziemi.

Paweł Négrel, siostrzeniec pana Hennebeau, był mężczyzną dwudziestosześcioletnim, smukłym i przystojnym, o ciemnych wąsach i falującej czuprynie. Spiczasty nos i żywe oczy nadawały mu wygląd łasicy. Ze strony górników nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Ubrany był jak oni i jak oni uwalany węglem. Żeby zyskać sobie ich szacunek, okazywał brawurową odwagę, wybierał najtrudniejsze przejścia, pierwszy zjawiał się na miejscu katastrofy.

– To tutaj, prawda, Dansaert? – spytał.

Dansaert, Belg o grubych rysach twarzy i zmysłowym nosie, odpowiedział z przesadną grzecznością:

– Tak jest, panie inżynierze. Tu właśnie pracuje ten człowiek, którego przyjęliśmy dziś rano.

Obaj wsunęli się do przodka. Zawołano Stefana. Inżynier podniósł lampę i przyjrzał mu się bez słowa.

– No, dobrze – powiedział wreszcie. – Ale na drugi raz nie przyjmujcie nieznanomych, którzy wałęsają się koło kopalni. Nie lubię tego.

Nie słuchając udzielanych mu wyjaśnień zaczął oglądać strop. Rębacze podjęli pracę. Nagle zawołał:

– Czy wy sobie kpiny urządzacie, czy co? Słuchajcie no, Maheu, chcecie chyba, żeby was tu wszystkich przygniotło!

– Och, strop się jeszcze dobrze trzyma! – odparł spokojnie górnik.

– Co, dobrze się trzyma? Ależ skała zaczyna już siadać, a wy stawiacie stemple co dwa metry, jakby wam szkoda było drzewa! Zawsze to samo! Wolicie, żeby was zmiażdżyło, niż przerwać na chwilę robotę i podstemplować jak należy. Natychmiast zabrać mi się do tego i gęściej stawiać stemple, słyszycie?

Wobec oporu górników, którzy ociągali się twierdząc, że sami najlepiej wiedzą, czy grozi im niebezpieczeństwo, czy nie, Négrel uniósł się gniewem:

– Co mi tu będziecie opowiadać. Jak wam głowę zmiażdży, to kto będzie ponosić konsekwencje? Nie wy, tylko Towarzystwo, prawda? Towarzystwo będzie płacić emeryturę wam albo waszym żonom! Już my was znamy: dalibyście się zabić, żeby tylko mieć wieczorem o dwa wózki więcej!

Mimo wzbierającego w nim gniewu Maheu odrzekł spokojnie:

– Gdyby nam lepiej płacono, moglibyśmy lepiej stemplować.

Za całą odpowiedź inżynier wrzucił tylko ramionami. Znalazłszy się przy końcu pola dorzucił:

– Macie jeszcze godzinę czasu. Zabierajcie się do stemplowania. Uprzedzam, że cała grupa ma trzy franki kary.

Rębacze odpowiedzieli na te słowa głuchym pomrukiem. Tylko uległość wobec ustalonej hierarchii, tej hierarchii wojskowej, która podporządkowywała jednych drugim, powstrzymała ich od wybuchu. Levaque i Chaval zdobyli się jednak na odruch protestu, ale Maheu uspokajał

ich wzrokiem. Zachariasz wzruszył tylko drwiąco ramionami. Najbardziej poruszony był Stefan. Od chwili gdy znalazł się w głębi tego piekła, wzrastał w nim głuchy bunt. Spojrzał na Katarzynę pochyloną nad wózkiem, zrezygnowaną. Czy to możliwe, żeby ludzie zabijali się tak ciężką pracą, w tych śmiertelnych ciemnościach i nie zarobili nawet na chleb?

Négrel odszedł z Dansaertem, który podczas rozmowy inżyniera z górnikami ograniczał się do potakującego kiwania głową. W chwilę później dobiegły ich podniesione głosy. Zatrzymali się jeszcze raz i sprawdzali obudowę chodnika. Górnicy obowiązani byli mieć go w swej pieczy na przestrzeni dziesięciu metrów od miejsca, w którym pracowali.

– Powtarzam wam, że oni kpią sobie z ludzi! – krzyczał inżynier. – A wam nie chce się dopilnować, do stu diabłów!

– Ależ, pilnuję, panie inżynierze – bąkał Dansaert.

– Człowiek powtarza im wciąż to samo w kółko.

– Maheu! Maheu! – zawołał gniewnie Négrel.

Podeszli wszyscy.

– Jak to się trzyma? – ciągnął Négrel. – Co to za robota? Ta belka już się oblużowała, tak niedbale ją wbiliście! Rozumiem teraz, dlaczego tyle kosztują nas poprawki! Każdy robi, byle zbyć, byle tylko nie zważyło mu się na głowę, póki tu pracuje. A później wszystko się rozlatuje i Towarzystwo musi osobno płacić robotnikom za naprawę. Spójrzcie tylko tutaj, co to za partactwo!

Chaval chciał coś powiedzieć, ale tamten gestem nakazał mu milczenie.

– Wiem, już wiem, co mi powiecie. Żeby wam podwyższyć płacę, to będziecie pracować lepiej, co? Otóż uprzedzam was: zmusicie dyrekcję do tego, że będzie wam osobno płacić za stemplowanie, ale za to proporcjonalnie obniży opłatę od wózka. Zobaczymy, czy dobrze na tym wyjdziecie... A tymczasem podstemplujecie mi tu zaraz na nowo! Jutro sprawdzę.

I odszedł zostawiając górników przejętych jego groźbą. Dansaert, tak pokorny wobec inżyniera, krzyknął brutalnie do górników, kiedy tamten oddalił się trochę:

– Już wy mnie popamiętacie! Żebym ja obrywał od inżyniera za wasze niedbalstwo! Nie wykpicie się trzema frankami kary.

Po jego odejściu Maheu wybuchnął:

– Co niesprawiedliwe, to niesprawiedliwe, psiakrew! Nie lubię się awanturować, bo wtedy nigdy się jeden z drugim nie dogada, ale z nimi to i najspokojniejszego krew zalewa!

Słyszeliście? Za stemplowanie osobno, a od wózka mniej. Wszystko po to, żeby znów nam obciąć zapłatę!

Szukał kogoś, na kim mógłby wyładować swój gniew. Spostrzegł Katarzynę i Stefana stojącego beczynnie.

– Dalej, marsz po drzewo! Co tu stoicie? Chcecie oberwać kopniaka?

Stefan ruszył po drzewo nie mając staremu za złe jego grubiaństwa. Tak był oburzony na kierownictwo, że uważał zachowanie się górników za aż nazbyt spokojne.

Levaque i Chaval dawali teraz upust swej złości klnąc. Wszyscy, nawet Zachariasz, zabrali się z wściekłością do stemplowania. Przez pół godziny słychać było tylko trzask wbijanych młotami belek i sapanie pracujących. Nie mówili ani słowa, rozjuszeni na osuwający się strop, który chętnie podźwignęliby własnymi ramionami, gdyby to było możliwe.

– No, dosyć tego! – powiedział wreszcie Maheu zmęczony i gniewny. – Pół do drugiej... Ładny dzień, nie ma co gadać! Nie zarobimy nawet pięćdziesięciu sous. Idę do domu, niech to wszystko diabli wezmą.

I chociaż do końca pracy było jeszcze pół godziny, ubrał się, a inni poszli za jego przykładem. Sam widok chodnika wyprowadzał ich z równowagi. Widząc, że Katarzyna bierze się do ładowania wózka, zawołali na nią złoścąc się, że jest taka pilna. Niech sobie węgiel sam idzie, jeżeli ma nogi! Wzięli narzędzia pod pachę i ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przyszli rano.

Rębacze poszli przodem, a Katarzyna i Stefan pozostali nieco w tyle. Spotkali Lidkę. Zatrzymała się, żeby ich przepuścić, i powiedzieć im, że Mouquette gdzieś znikła. Dostała przed godziną silnego krwotoku z nosa, poszła obmyć twarz zimną wodą i do tej pory nie wróciła. Katarzyna i Stefan poszli dalej; a biedne, zmęczone dziecko podjęło swą pracę popychając wózek chudymi rączkami, podobne do czarnej mrówki walczącej z brzemieniem zbyt dla niej ciężkim. Młodzi zsuwali się w głąb wtulając głowę w ramiona, żeby nie otrzeć skóry na czole. Zjeżdżali z taką szybkością po wyslizganej przez górników pochyłości, że od czasu do czasu musieli chwycić się belek, żeby im się pośladki nie zapaliły z tego pędu, jak mówili ze śmiechem.

Na dole znaleźli się sami. Czerwone gwiazdy latarek zniknęły w oddali za zakrętem. Wesołość ich zgasła nagle. Ruszyli przed siebie ociężałym krokiem ludzi zmęczonych. Katarzyna szła przodem. Lampy kopciły tak, że Stefan ledwie mógł ją dojrzeć. Myślał o tym, że

jest dziewczyną, i czuł się nieswojo. Uważał, że powinien ją pocałować, ale wspomnienie o Chavalu powstrzymywało go. Skłamała, to jasne: Chaval na pewno był jej kochankiem. Po samym kołysaniu biodrami widać, że to zwykła dziwka. Czuł do niej nieuzasadniony żal, jakby go oszukała. Ona tymczasem odwracała się co chwila, uprzedzała go o przeszkodach po drodze, całym swym zachowaniem zdawała się zachęcać do tego, żeby był miły. Byli zupełnie sami – co za doskonała okazja, aby pośmiać się po przyjacielsku! Wreszcie doszli do głównego chodnika. Położyło to kres wahaniom Stefana i sprawiło mu ulgę. Katarzyna obejrzała się na niego po raz ostatni i rzuciła mu spojrzenie, w którym był żal o niewykorzystaną chwilę radości.

Otoczył ich teraz ruch. Co chwila przechodzili tam i z powrotem sztygarzy, krążyły wagoniki, rozlegał się tupot kopyt końskich. Lampy połyskiwały w ciemnościach jak gwiazdy. Musieli usuwać się pod ścianę, aby zrobić miejsce ceniom ludzi i zwierząt, których oddech czuli na twarzach. Janek, biegnący boso za wózkami, krzyknął im jakąś złośliwą uwagę, której nie dosłyszeli w zgiełku kół. Szli wciąż naprzód. Ona milczała teraz, on nie poznawał zakrętów i chodników, którymi szedł rano. Zdawało mu się, że dziewczyna prowadzi go coraz głębiej pod ziemię. Najbardziej dokuczało mu zimno, coraz dotkliwsze, w miarę, jak zbliżali się do szybu. Wąskim korytarzem dał wiatr. Stefan zważył już, czy wyjdzie stąd kiedykolwiek, gdy nagle znaleźli się w podszybiu.

Chaval spojrzął na nich podejrzliwie. Wszyscy rębacze z ich grupy stali już tam, spoceni, drżący w podmuchach zimnego powietrza, w milczeniu przeżuując gniew. Przyszli za wcześnie i nie chciano zawieźć ich na powierzchnię, tym bardziej że winda była zajęta, gdyż miano spuszczać konia. Ładowacze napełniali jeszcze wózki z ogłuszającym łoskotem żelaza i klatki ulatywały do góry, znikwały w czarnym otworze, z którego lała się strumieniami woda, wpadając do zbiornika na dole – dziesięciometrowej studni, skąd unosiły się wilgotne wyziewy. Wokół szybu krążyli bez przerwy jacyś ludzie, ciągnęli za sznury sygnalizacyjne, naciskali drągi dźwigni, przemoczeni rozpryskującym się pyłem wodnym. Czerwone światła trzech ogromnych lamp rzucały wielkie, ruchome cienie i nadawały podszybiu wygląd pieczary zbójców sąsiadującej z wodospadem.

Maheu raz jeszcze spróbował szczęścia. Zbliżył się do Pierrona, który rozpoczął służbę o szóstej:

– Wypuście nas!

Ale Pierron, przystojny mężczyzna o silnych ramionach i łagodnej twarzy, odmówił

przelęknionym gestem.

– Nie mogę. Poproś sztygara... Wlepiliby mi karę.

Zdusili pomruk gniewu. Katarzyna pochyliła się i szepnęła Stefanowi do ucha:

– Chodź, pokażę ci stajnię! Tam jest ciepło.

Wysunęli się ukradkiem, gdyż do stajni nie wolno było wchodzić. Znajdowała się ona przy końcu krótkiego korytarza, na lewo. Miała dwadzieścia pięć metrów długości i cztery wysokości. Wykuta w skale, o sklepieniu z cegieł, mogła pomieścić dwadzieścia koni. Od ciał końskich było przyjemne ciepło, unosił się zapach ich czystej ściółki, jedyna lampa rzucała spokojne światło. Odpoczywające konie odwracały ku nim łby o dużych, dziecięcych oczach i bez pośpiechu powracały do swego owsa – dobrze utrzymani, zdrowi pracownicy, otoczeni ogólną sympatią.

Katarzyna odczytywała głośno imiona koni wypisane na cynkowych tabliczkach nad żłobami. Naraz wydała lekki okrzyk widząc przed sobą jakąś postać. Była to Mouquette – spłoszona, zerwała się ze słomy, gdzie spała. W każdy poniedziałek, zmęczona niedzielną hulanką, uderzała się mocno w nos wywołując krwotok, udawała, że idzie szukać wody, i kryła się w stajni, gdzie zagrzebywała się w ciepłą słomę pomiędzy konie. Ojciec jej, bardzo pobłażliwy dla córki, pozwalał na to, mimo lęku przed karą.

Właśnie zjawił się w stajni, mały, łysy, zniszczony pracą, ale tęgi, co się rzadko spotyka u górników po pięćdziesiątce. Od czasu gdy został stajennym, przyzwyczał się żuć tytoń i robił to stale, aż mu krwawiły dziąsła. Ujrzawszy dwoje obcych obok córki, rozgniewał się.

– Co wy tu robicie, he? Wynosić mi się stąd zaraz! Chłopa sobie sprowadziły i gżą się na mojej słomie!

Rozbawiona Mouquette trzymała się za boki ze śmiechu. Stefan, zmieszany, wyszedł natychmiast. Katarzyna uśmiechnęła się do niego. Wracając w stronę załadowni spotkali po drodze Bóberta i Janka z wózkami, które na chwilę musiały się zatrzymać. Korzystając z tej przerwy Katarzyna zbliżyła się do konia i pogłaskała go, opowiadając jego dzieje Stefanowi. Był to Bataille, najstarszy koń w kopalni, siwek, który od dziesięciu już lat żył pod ziemią. Od dziesięciu lat zajmował ten sam kąt w stajni, spełniał tę samą pracę krążąc po ciemnych chodnikach i nie widywał nigdy słońca. Wypasiony, o błyszczącej sierści, łagodny, zdawał się wieść tutaj żywot filozofa, z dala od burz ziemskich. Z biegiem lat stał się bardzo mądry. Tak dobrze poznał chodnik, w którym pracował, że umiał sam otwierać głową tamy wentylacyjne, wiedział, kiedy ma się pochylić, żeby nie zawadzić o niski strop. Widocznie umiał również

policzyć swe kursy, gdyż ilekroć odbył ich przepisową liczbę, odmawiał dalszej pracy i musiano odprowadzać go do stajni. Teraz zestarzał się już i jego kocie oczy przesłaniała chwilami melancholia. Może majaczył mu we wspomnieniach młyn koło Marchiennes, gdzie się urodził, młyn nad brzegami Skarpy, otoczony zielonymi łąkami, poruszany wiatrem. Na niebie ponad nim płonęła jakaś olbrzymia lampa. Bataille stał ze spuszczoną głową, na drżących ze starości nogach i na próżno usiłował przypomnieć sobie słońce.

Rozległo się czterokrotne uderzenie młota, znak, że koń, którego miano spuszczać, zjeżdża na dół. Zjazd koni zawsze stanowił emocję, gdyż zdarzało się, że zwierzę zdychało w windzie z przerażenia. Związane, szarpało się najpierw rozpaczliwie, a później czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg, nieruchomiało ze zgrozy i zniknęło w głębi szybu jak skamieniałe, z szeroko rozwartymi oczami. Tym razem koń był za duży, aby mógł zmieścić się w windzie, i musiano przywiązać mu łeb do boku. Zjazd trwał blisko trzy minuty. Przez ostrożność zwolniono bieg windy. Wzmogło to podniecenie oczekujących. Co się stało? Czy zatrzymano klatkę ze zwierzęciem w połowie drogi? Wreszcie nadjechał, nieruchomy jak posąg, z oczami rozszerzonymi strachem. Był to trzyletni gniadosz imieniem Trompette.

– Uwaga! – krzyknął Mouque, który przyjmował konia. – Dajcie go tu, nie rozwiązujcie go jeszcze.

Trompette złożono na ziemi jak bryłę. Nie ruszał się w dalszym ciągu, jakby wciąż jeszcze ciążył na nim koszmar niekończącego się zjazdu w ciemnościach i jakby ogłuszył go rozgwar podszybia. Zaczęto go rozwiązywać; Bataille, wyprężony przed chwilą, podszedł do niego i wyciągnął szyję, aby powąchać towarzysza, który zjawiał się oto z powierzchni ziemi. Górnicy rozsunęli się, zartując. Cóż to za zapach go zwabił? Ale Bataille ożywił się, nieczuły na drwiny. Nowoprzybyły przyniósł ze sobą woń pól, zapomnianą woń traw nagranych słońcem. I nagle stary koń zarżał dźwięcznie, z rozczuleniem i smutkiem jednocześnie. Było to jakby radosne przypomnienie sobie *rzeczy* minionych, których tchnienie znów go owiało, i melancholijne powitanie nowego współwięźnia, którego dopiero śmierć wyzwoli.

– Ach, ten Bataille! – wołali robotnicy rozbawieni zachowaniem się ulubieńca. – Gada sobie z kolegą!

Mimo że go rozwiązano, Trompette nie ruszał się jeszcze. Leżał na boku, jakby czuł nadal krępujące go sznury, splecione strachem. Poderwało go dopiero uderzenie biczem. Podniósł się ogłupiały i drżący. Mouque odprowadził oba konie, po bratersku idące obok siebie.

– No, puściecie nas już teraz? – spytał Maheu.

Ale trzeba było opróżnić windę, a poza tym brakowało jeszcze dziesięciu minut do godziny odjazdu. Przędki opróżniały się powoli, zewsząd schodzili się górnicy. Było ich już około pięćdziesięciu, wszyscy przemoknięci i drżący z zimna. Pierron, o łagodnej twarzy, uderzył córkę za to, że opuściła swoje miejsce przed końcem pracy. Zachariasz poszczypywał ukradkiem Mouquette – dla rozgrzewki. Niezadowolenie wzrastało. Levaque i Chaval opowiadali o pogroźce inżyniera: obniżenie zapłaty od wózka, z osobną dopłatą za stemplowanie stropu. Wykrzyki oburzenia przywitały ten projekt. W tej ciasnej przestrzeni na sześćset metrów, pod ziemią kiełkował bunt. Ubrudzeni węglem, przemarznięci od długiego oczekiwania ludzie oskarżali Towarzystwo, że część robotników dobija w kopalni, a resztę morzy głodem. Stefan słuchał przejęty grozą.

– Prędzej! Prędzej! – wołał na zapychaczy sztygar Richomme.

Przyśpieszał odjazd. Nie chciał występować przeciw robotnikom i udawał, że nie słyszy. Ale pomruki stały się tak głośne, że musiał wreszcie na nie zareagować. Za jego plecami ludzie wykrzykiwali, że to nie będzie tak trwało wiecznie, że pewnego pięknego poranku cała buda wyleci w powietrze.

– Należysz do rozsądnych – zwrócił się Richomme do Maheu – więc postaraj się ich uciszyć. Jak się nie jest silnym, należy być rozumnym.

Ale Maheu, sam zaniepokojony, nie musiał już interweniować. Górnicy zamilkli: u wylotu jednego z chodników ukazali się Négrel i Dansaert powracający z inspekcji, spoceni. Nawykli do dyscypliny ludzie rozstąpili się, a inżynier przeszedł pomiędzy nimi bez słowa. Wsiadł do próżnego wózka, starszy sztygar do drugiego, sygnał uderzył pięć razy zapowiadając „grubego zwierza”, jak określano przełożonych, i winda uniosła się do góry wśród ponurego milczenia.

VI

Stłoczony razem z innymi w windzie, Stefan postanowił podjąć z powrotem głodową wędrówkę po drogach. Lepiej zdechnąć od razu niż wracać w głąb tego piekła, gdzie nie można zarobić nawet na chleb, Katarzyna wsiadła tym razem do górnego wózka i nie czuł już jej miłego

ciepła. Wolał nie myśleć o głupstwach i odejść. Bardziej uświadomiony od tych ludzi, czuł, że nie potrafiłby zdobyć się na ich zwierzęcą rezygnację i w końcu rzuciłby się na któregoś z przełożonych.

Nagle oślepiło go światło. Mrugał powiekami, oszołomiony jasnością, od której zdążył już odwyknąć. Poczul z ulgą, że winda stanęła. Otwarto drzwi, z wózków wysypał się tłum górników.

– Słuchaj no, Mouquet – szepnął Zachariasz do ucha wozaka – pójdziemy dziś wieczorem do „Wulkanu”?

Wulkan była to knajpa w Montsou. Mouquet przymrużył lewe oko i uśmiechnął się w milczeniu. Mały i gruby jak ojciec, miał minę zawiadacza nie troszczącego się o jutro. Ukazała się właśnie Mouquette, a on z braterskiej czułości przyłożył jej potężnego klapsa.

Stefan z trudem poznał halę kontrolną, która w mdłym świetle lamp górniczych wydała mu się rano niepokojącym miejscem. Teraz była tylko naga i brudna. Przez zakurzone okna napływało ziemiste światło. Jedyne maszyna wyciągowa połyskiwała mosiądzem; stalowe liny, posmarowane tłuszczem, sunęły jak wstęgi zanurzone w atramencie. Od nagromadzonego żelastwa padał na halę szary cień. Podłoga trzęsła się bez ustanku od turkotu kół, a z głębi szybu dobywał się drobny pył węglowy i osiadał na ziemi, na ścianach, nawet na belkach stropu.

Tymczasem Chaval poszedł rzucić okiem na rejestr w oszklonej budce kontrolera i wrócił wściekły. Nie zaliczono im dwóch wózków: jednego, ponieważ był niepełny, drugiego, ponieważ zawierał węgiel zanieczyszczony.

– Tego tylko brakowało! – krzyknął. – Jeszcze o dwadzieścia sous mniej! Ale po co było przyjmować do roboty wałkoników, co ruszają rękami jak świnia ogonem.

I spojrzął z ukosa na Stefana. Ten miał ochotę odpowiedzieć mu pięścią, ale pomyślał, że nie warto, skoro i tak odchodzi. Ten incydent utwierdził go tylko w powziętym postanowieniu.

– Nie można się wszystkiego nauczyć pierwszego dnia – powiedział Maheu pojednawczo. – Jutro pójdzie lepiej.

Mimo to wszyscy byli skwaszeni; wzrastała chęć do kłótni. W lampiarni Levaque pokłócił się z lampiarzem, że źle oczyścił jego lampę. Uspokoił się dopiero w ubieralni, gdzie wciąż jeszcze palił się ogień. Piec rozżarzony był do czerwoności, po ścianach tańczyły krwawe refleksy, tak że cała ta wielka izba bez okien zdawała się płonąć. Rozległy się pomruki zadowolenia. Oddaleni nieco od pieca górnicy grzali sobie plecy. Dymilo się z nich jak z talerza zupy. Kiedy przypiekli

się już z tyłu, odwracali się przodem. Mouquette spokojnie opuściła spodnie i suszyła koszulę. Chłopcy kpili z niej; nagle wybuchnął śmiech, bo dziewczyna pokazała im tyłek, co było u niej wyrazem najgłębszej pogardy.

– Idę! – powiedział Chaval zamknąwszy narzędzia w skrzyni.

Nikt się nie ruszył, tylko Mouquette zerwała się i wymknęła za nim pod pozorem, że oboje wracają do Montsou. Żartowano dalej, gdyż wiedziano, że on jej już nie chce.

Zamyślona dotychczas Katarzyna poszeptała z ojcem. Stary zdziwił się najpierw, później skinął głową na znak zgody. Zawołał Stefana i oddając mu zawiniątko powiedział:

– Słuchajcie no, jeżeli nie macie ani grosza, to do piętnastego zdążycie zdechnąć z głodu. Chcecie, żebym się wam postarał o kredyt?

Młody człowiek zmieszał się. Miał właśnie zamiar poprosić o wypłatę i odejść. Ale obecność Katarzyny krępowała go. Dziewczyna patrzyła na niego badawczo. Zawstydził się: gotowa pomyśleć, że ucieka od pracy.

– Oczywiście niczego wam nie obiecuję – ciągnął Maheu. – Bardzo możliwe, że skończy się na odmowie.

Wobec tego Stefan przystał. I tak przecież odmówią. A zresztą to go do niczego nie obowiązuje. Przekąsi coś i pójdzie sobie, jeżeli będzie chciał. Ale widząc radość Katarzyny, jej uśmiech, jej przyjazne spojrzenie pożałował, że nie odmówił. Po co to wszystko?

Włożywszy saboty i zamknąwszy skrzynię Maheuowie opuścili barak w ślad za towarzyszami, którzy wychodzili jeden za drugim, kiedy się ogrzali. Stefan wyszedł za nimi. Levaque z synem przyłączyli się także. Gdy przechodzili przez sortownię, zatrzymała ich gwałtowna scena.

Sortownia mieściła się w wielkiej szopie o belkach czarnych od pyłu węglowego i oknach, przez które dał wiatr. Wózki z węglem zjeżdżały tu wprost od kontrolera. Dźwigowi wysypywali je do specjalnych koryt, a stojące na podwyższeniu po obu stronach robotnice, uzbrojone w szufle i grabie, wybierały kamienie i posuwały dalej czysty węgiel, który żelaznymi rynnami spływał wprost do wagonów kolejowych, stojących na torze pod szopą.

Pracowała tu Filomena Levaque, szczupła i blada dziewczyna o głupim wyrazie twarzy, plująca krwią. Głowę miała owiniętą strzępem niebieskiej chustki, ręce uczernione aż po łokcie. Stała poniżej starej czarownicy, matki Pierronki, zwanej la Brûlé, strasznej ze swymi sowimi oczami i ustami zaciśniętymi jak sakiewka skąpca. Kobiety biły się. Filomena oskarżała starą, że

zabiera jej kamienie, i ona nie może napelnić nawet jednego kosza w ciągu dziesięciu minut. Płacono im od kosza i to było powodem bezustannych kłótni. Wydierały sobie włosy, zostawiały czarne odciski rąk na zaczerwienionych twarzach.

– Przyłóż no jej raz, a dobrze! – krzyknął z góry Zachariasz do kochanki.

Robotnice parsknęły śmiechem, ale stara Brûlé zaniósła się zaczepnym jazgotem.

– Ty śmierzdiu, lepiej byś zrobił uznając za swoje te dwa bękarty, któreś jej zmajstrował. Słyszał to kto, żeby taka osiemnastoletnia tyczka, co ledwo na nogach stoi, już miała taki przychówek!

Maheu musiał powstrzymać syna, który chciał zejść na dół i poprzetrzącać gnaty temu kościotrupowi, jak mówił. Nadbiegł dozorca, grabie znów wzięły się do rozgarniania węgla i z góry widać już było tylko pochylone grzbiety kobiet wychwytyjących sobie kamienie.

Na dworze wiatr ustał nagle, szare niebo ociekało wilgotnym chłodem. Górnicy skurczyli się, skrzyżowali ręce na piersiach i szli szybko, kołysząc się w biodrach, a każdy ruch uwydatniał ich grube kości, okryte cienkimi ubraniami. W świetle dziennym wyglądali jak gromada Murzynów umazanych błotem. Niektórzy nie zjedli swoich cegiełek i kawałki chleba wsunięte pod bluzy tworzyły im garb na plecach.

– Patrzcie, Bouteloup! – zaśmiał się drwiąco Zachariasz.

Levaque nie zatrzymując się zamienił parę słów ze swoim lokatorem, tęgim, trzydziestopięcioletnim brunetem o spokojnym, uczciwym wyrazie twarzy.

– Czy zupa gotowa, Ludwiku?

– Tak, zdaje się, że gotowa.

– To znaczy, że stara w dobrym humorze, co?

– Tak, zdaje się, że w dobrym.

Nadchodzili robotnicy ze zmiany podsadzkowej, nowe grupy, które znikwały jedne za drugimi w kopalni. Była to popołudniowa szychta, nowy żer dla szybu. Mieli oni zająć miejsce rębaczy. Praca w kopalni nie ustawała nigdy, we dnie i w nocy robaki ludzkie drażyły skałę sześćset metrów pod polami buraczanymi.

Chłopcy szli przodem. Janek zwierzał Bébertowi swój skomplikowany plan otrzymania na kredyt tytoniu za cztery sous. Lidka trzymała się z szacunkiem w pewnej odległości za nimi. Dalej szła Katarzyna, Zachariasz i Stefan. Żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Levaque i Maheu przyłączyli się do nich dopiero pod drzwiami szynku „Tu najtaniej”.

– No, jesteśmy na miejscu – powiedział Maheu do Stefana. – Wejdziecie?

Rozłączono się. Katarzyna stała przez chwilę nieruchomo i patrzyła na młodego człowieka swymi wielkimi oczyma przejrzystymi jak woda źródłana i połyskującymi w ubrudzonej węglem twarzy. Uśmiechnęła się i znikła wraz z innymi na drodze wiodącej do osiedla.

Szynk znajdował się na skrzyżowaniu dróg pomiędzy osiedlem a kopalnią. Był to dwupiętrowy budynek z cegły, pobielony od góry do dołu, z oknami otoczonymi wesołym pasem błękitu. Na kwadratowym szyldzie przybitym nad drzwiami widniał napis: „Tu najtaniej, restauracja z wyszynkiem, właściciel Rasseneur.” Za domem mieścił się plac do gry w kręgle, obsadzony żywopłotem. Towarzystwo czyniło daremne wysiłki, by odkupić ten mały skrawek gruntu, wciskający się klinem w jego posiadłości, i z niechęcią patrzyło na szynk usadowiony pośród pól, u samych niemal wrót le Voreux.

– Wejdźcie – powtórzył Maheu, zwracając się do Stefana.

Mała salka świeciła nagością białych ścian. Stały tu trzy stoliki, tuzin krzeseł i mały bufet z jodłowego drzewa. Na bufecie znajdowało się najwyżej dziesięć kuflów, trzy flaszki wódki, karafka z wodą i mały cynowy rezerwuar na piwo. I nic więcej, ani jednego obrazka na ścianie, ani jednej półki, ani jednej gry. W żelaznym piecyku, lakierowanym i lśniącym, tlił się ogień. Deski podłogi posypane były białym piaskiem, chłoniącym wilgoć tej nasiąkłej wodą okolicy.

– Jedno piwo! – rzucił Maheu wysokiej, jasnowłosej dziewczynie, córce sąsiadki posługującej tu czasem. – Rasseneur w domu?

Gospodarz zaraz wróci. Górnik wychylił powoli pół kufła, aby splukać pył drapiący go w gardle. Nie poczęstował towarzysza. Oprócz nich jedynym gościem był jakiś górnik przemoczony i brudny. Siedział przy stoliku i popijał w milczeniu z wyrazem głębokiej zadumy na twarzy. Wszedł jeszcze jeden, gestem poprosił o piwo, zapłacił za nie, wypił i wyszedł bez słowa.

Po chwili ukazał się gruby mężczyzna lat trzydziestu ośmiu, o pełnej, gładko wygolonej twarzy, dobrotliwie uśmiechniętej. Był to Rasseneur, dawny rębacz, którego Towarzystwo zwolniło przed trzema laty z pracy na skutek strajku. Bardzo; dobry robotnik, a przy tym wymowny, ujmował się za pokrzywdzonymi towarzyszami i został niebawem przywódcą niezadowolonych.

Żona jego, jak wiele żon górników, prowadziła nieduży szynk. Wyrzucony na bruk, Rasseneur sam również stanął za ladą, zdobył trochę grosza i wybudował nowy szynk

naprzeciwko le Voreux, niby wyzwanie rzucone Towarzystwu. Interes szedł dobrze, stał się punktem zbornym, a jego właściciel bogacił się na niezadowoleniu, jakie umiał obudzić w sercach dawnych towarzyszy.

– Tego chłopca przyjąłem dziś rano do naszej grupy – objaśnił Maheu. – Czy masz wolny pokój i czy mógłbyś poczekać na zapłatę ze dwa tygodnie?

Pełna twarz Rasseneura przybrała od razu wyraz nieufności. Obrzucił Stefana podejrzliwym spojrzeniem, i odparł nie starając się nawet udawać, że jest mu przykro:

– Oba pokoje są zajęte, nie mogę!

Stefan spodziewał się odmowy, a mimo to zaboląła go. Zdziwił się, że myśl o oddaleniu się stąd sprawiła mu przykrość. No, ale mniejsza z tym, pójdzie sobie, niech tylko dostanie swoje trzydzieści sous. Górnik, który pił przy drugim stoliku, wyszedł. Nadchodzili inni, aby przepłukać gardło, i wynosili się zaraz kołyszącym krokiem. Nie było w tym żadnej radości, nic, tylko milczące zaspokojenie nawyku.

– No i jak tam? – zwrócił się Rasseneur szczególnym tonem do Maheu, który powoli kończył piwo.

Maheu obejrzał się dokoła i widząc, że prócz Stefana nie ma nikogo, powiedział:

– Znów była awantura... O stemplowanie.

Opowiedział wydarzenie. Szynekarz zaczerwienił się, wzburzenie płomieniem ogarnęło mu twarz i oczy.

Wreszcie wybuchnął:

– No, jeżeli zechcą obniżyć płacę, to już po nich!

Obecność Stefana krepowała go. Mimo to ciągnął dalej, spoglądając nań tylko od czasu do czasu z ukosa. Operował niedomówieniami, domyślnikami, mówił o dyrektorze Hennebeau, o jego żonie, o siostrzeńcu, małym Négrelu, nie wymieniając jednak nazwisk. Powtarzał, że tak dalej być nie może, że prędzej czy później to źle się skończy. Nędza jest zbyt wielka. Wymienił świeżo zamknięte fabryki, wyrzuconych na bruk robotników. Już od miesiąca wydaje przeszło sześć funtów chleba dziennie. Dowiedział się wczoraj, że pan Deneulin, właściciel jednej z pobliskich kopalń, bliski jest bankructwa. A przed paru dniami dostał z Lilie list pełen niepokojących szczegółów.

– To od tego gościa, wiesz – szepnął – którego widziałeś u mnie kiedyś wieczorem.

Przerwano mu. Do sklepu weszła jego żona, wysoka kobieta, chuda i gwałtowna, o długim

nosie i sinawych policzkach. W polityce była poglądów znacznie bardziej radykalnych niż mąż.

– Od Plucharta – powiedziała. – Ech, gdyby tak on miał władzę w swoim ręku, zaraz wszystko wyglądałoby inaczej!

Stefan przysłuchiwał się rozmowie. Zaczynał rozumieć; myśl o odwecie pasjonowała go. Na dźwięk tego nazwiska zadrżał.

– O, ja go znam, Plucharta – powiedział głośno.

Spojrzenia skierowały się w jego stronę, musiał więc wyjaśnić:

– Był moim majstrem w Lilie, bo ja jestem maszynista... To rozumny człowiek, nieraz z nim rozmawiałem.

Rasseneur powtórnie przyjrzał się przybyszowi i twarz jego przybrała wyraz nagłej sympatii.

– Maheu przyprowadził do nas tego pana – powiedział wreszcie do żony. – To jego nowy ładowacz i Maheu pyta, czy nie mamy wolnego pokoju na górze i czy nie moglibyśmy udzielić mu kredytu na dwa tygodnie.

Sprawę załatwiono z miejsca. Właśnie rano wyprowadził się jeden lokator i pokój był wolny. Szynek podniecony wypowiadał się teraz szczerzej, zaznaczając stale, że nie żąda od pracodawców rzeczy niemożliwych, tak jak to robią inni. Jego żona wzruszała ramionami; była przeciwna jakimkolwiek ustępstwom.

– No, to do widzenia – powiedział Maheu. – Tak czy inaczej, ludzie będą musieli zjeżdżać na dół, a dopóki będą zjeżdżać, będą się i mordować. Popatrz tylko na siebie – od trzech lat nie byłeś pod ziemią, to i wyglądasz inaczej.

– Rzeczywiście, poprawiłem się bardzo – przyświadczył gospodarz.

Stefan odprowadził Maheu do drzwi i podziękował mu, ale stary potrząsnął tylko głową i wyszedł bez słowa. Stefan patrzył, jak ociężałym krokiem szedł pod górę drogą wiodącą do osiedla. Pani Rasseneur, zajęta obsługiwaniem gości, poprosiła, aby chwilę zaczekał, a zaraz zaprowadzi go do pokoju. Będzie się tam mógł umyć. Więc miał tu zostać? Na nowo ogarnęło go wahanie. Poczul, że żał mu jest swobody, wędrówek szerokim gościńcem, słońca i świadomości, że jest panem samego siebie, która nawet głód czyniła znośnym. Wydało mu się, że od chwili jego przybycia do kopalni, od godzin spędzonych w mrocznych korytarzach pod ziemią upłynęły już całe lata. Z odrazą myślał o tym, że miałby wrócić do tej pracy, zbyt ciężkiej dla człowieka. Jego godność ludzka buntowała się przeciwko roli zwierzęcia roboczego, które ślepnie z czasem, którym się pomiata.

Bił się z myślami, a oczy jego błądziły po niezmierzonej równinie. Obraz ten dotarł wreszcie do jego świadomości. Stefan zdumiał się. Nie tak sobie wyobrażał tę okolicę, kiedy stary Bonnemort wskazywał mu ją w ciemnościach ruchem ręki. Przed sobą, w zagłębieniu, dostrzegał le Voreux z jego drewnianymi i murowanymi budynkami, sortowniami krytymi papą, wieżą krytą łupkiem, halą maszyn i wysokim, bladoróżowym kominem. Dokoła budynków rozpościerała się szeroka przestrzeń, większa, niż sobie wyobrażał, podobna do atramentowego jeziora: wysokie fale węgla jeżyły się drewnianymi kozłami bocznic, a w jednym rogu leżały stosy drzewa – pokłósie zżętego lasu. Z prawej strony zamykała horyzont hałda, ogromna jak barykada wzniesiona przez olbrzymów. W części porośnięta już trawą, z jednego końca tliła się od roku nieustannie, zżerana wewnętrznym ogniem, który znaczył na jej powierzchni długie, krwawe ślady. Za kopalnią, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola, nagie o tej porze roku, podmokłe tereny, na których tu i ówdzie rosły karłowate wierzby, i łąki poprzecinane wąskimi szeregami topól. Jeszcze dalej widniały małe, białe plamki miast: Marchiennes na północy, Montsou na południu. Od wschodu las Vandame obrzeżał horyzont fioletową linią bezlistnych drzew. Pod ołowianym niebem, w zmroku zimowego popołudnia wydawało się, że unoszący się w powietrzu pył węglowy z le Voreux przyprószył całą równinę, osiadł na drzewach, pokrył drogi i jak ziarno przeniknął w głąb ziemi.

Stefan stał we drzwiach i patrzył. Najbardziej zdziwił go widok kanału, uregulowanej rzeki Skarpy, której nie dostrzegł nocą. Kanał ten ciągnął się w prostej linii z le Voreux do Marchiennes dwumilową wstęgą matowego srebra, ujętą w dwa rzędy wysokich drzew tworzących aleję o niekończącej się perspektywie zielonych brzegów. Na tle bladej wody odcinały się cynobrowe rufy barek przewożących węgiel. W pobliżu kopalni znajdowała się przystań, do której dostawiano węgiel i wprost z wózków wysypywano do czekających nań statków. Nieco dalej kanał zakręcał i przecinał na ukos bagniste tereny. Geometryczna linia rzeki zdawała się być duszą tej nagiej równiny, główną arterią, którą płynęły węgiel i żelazo.

Wzrok Stefana przeniósł się na położone na wzgórzu osiedle robotnicze, z którego dostrzegał jedynie czerwone dachy, a następnie wrócił znów ku le Voreux i zatrzymał się na dwóch olbrzymich stosach cegieł, wypalanych na miejscu. Należąca do Towarzystwa bocznica kolejowa obsługiwała kopalnię. Ostatni robotnicy ze zmiany podsadzkowej zjechali już pewno w głąb kopalni. I tylko jakiś popychany przez kilku ludzi wagon zgrzytał po szynach. To, na co patrzył, przestało już być dla Stefana otchłanią ciemności, z której dochodziły jakieś

niewytłumaczone grzmoty i którą rozjaśniało migotanie nieznanych gwiazd. Piece i baterie koksowe przygasły ze świtem. Do jego uszu dolatywał tylko niestrudzony oddech pompy – sapanie nienasyconego potwora, z którego paszczy buchały kłęby pary.

I nagle Stefan zdecydował się. Może zamajaczyły mu jasne oczy Katarzyny. A może raczej owiał go powiew buntu idący od le Voreux. Nie wiedział. Zapraǳnął jednak pozostać tu, powrócić do kopalni, żeby cierpieć i walczyć, i z nienawiścią myślał o ludziach, o których mówił mu Bonnemort, o owym sytym bożku, żywiącym się krwią dziesięciu tysięcy wygłodniałych robotników.

CZEŚĆ DRUGA

I

Posiadłość Grégoire'ów, Piolaine, położona była o dwa kilometry na wschód od Montsou, przy drodze do Joiselle. Był to duży kwadratowy dom, bez stylu, zbudowany z początkiem minionego stulecia. Z obszernych gruntów, należących niegdyś do Piolaine, pozostało zaledwie trzydzieści hektarów, otoczonych murem, łatwych do uprawy. Sad i ogród warzywny słynęły w całej okolicy z najpiękniejszych owoców i nowalijek, natomiast brak było parku. Zastępował go mały lasek. Stara aleja lipowa, zielone sklepienie długości około trzystu metrów, wiodące od bramy wjazdowej aż do ganku, stanowiło osobliwość tej nagiej równiny, której drzewa można było policzyć na palcach.

Grégoire'owie wstali tego ranka o ósmej. Zazwyczaj rozpoczynali dzień o godzinę później, wysypiając się z lubością, ale szalejąca tej nocy wichura wytrąciła ich z równowagi. Pan domu poszedł natychmiast sprawdzić, czy wiatr nie wyrządził jakichś szkód, a pani Grégoire w rannych pantoflach i flanelowym peniuarze zeszła do kuchni. Mała, pulchna, dobiegająca już sześćdziesiątki, miała zdziwioną twarz lalki i lśniące białe włosy.

– Melanio – odezwała się do kucharki – a może by tak Melania upiekła maślanych bułeczek na śniadanie, skoro ciasto jest już gotowe? Panienska nie wstanie wcześniej jak za pół godziny, zjadłaby sobie do czekolady. To by dopiero była niespodzianka!

Kucharka, stara, chuda kobieta, służąca u nich od lat trzydziestu, roześmiała się:

– To prawda, niespodzianka byłaby wspaniała. Piec jest gorący, a Honorka pomoże mi trochę.

Honorka, dziewczyna dwudziestoletnia, wzięta jako dziecko i wychowana u Grégoire'ów, była teraz pokojówką. Prócz nich obu, do służby domowej zaliczał się jeszcze stary stangret

Franciszek, do którego należały również cięższe prace. Ogrodem zajmowali się ogrodnik i ogrodniczka, odpowiedzialni za owoce, kwiaty, warzywa i drób. Stosunki ze służbą były patriarchalne i cały ten mały światek żył w przykładowej zgodzie.

Pani Grégoire, której jeszcze w łóżku przyszedł do głowy pomysł niespodzianki dla córki, została teraz w kuchni, aby przypilnować wkładania bułeczek do pieca. Kuchnia była olbrzymia, a jej nadzwyczajna czystość i cały arsenał znajdujących się tam rondli, garnków, naczyń i sprzętów gospodarskich wskazywały na jej ważną rolę w życiu domowym. Wypełniały ją smakowite zapachy. Półki spiżarni uginały się od zapasów.

– Tylko żeby były ładnie przyrumienione, dobrze? – rzuciła ostatnie polecenie pani Grégoire przechodząc do jadalni.

Niezależnie od centralnego ogrzewania, na kominku palił się wesoły ogień. Pokój urządzony był zresztą bez żadnego zbytku: duży stół, krzesła, mahoniowy kredens. I tylko dwa wygodne fotele świadczyły o zamiłowaniu gospodarzy do wygód, o błogich godzinach spędzanych na trawieniu. Po skończonym posiłku rodzina nie przechodziła do salonu, lecz pozostawała w jadalni.

Zjawił się pan Grégoire; ubrany był w grubą, barchanową kurtkę; rumiany pomimo sześćdziesiątki, twarz miał uczciwą i dobrą, okoloną bielą falującej czupryny. Widział się ze stangretem i ogrodnikiem: wichur nie uczynił żadnej poważniejszej szkody, zburzył tylko jeden z kominów. Pan Grégoire lubił codziennie rano rzucić okiem na swoją posiadłość, która nie była na tyle rozległa, aby sprawiać mu kłopoty, a dawała mu zaznać wszystkich rozkoszy właściciela majątku ziemskiego.

– A Cecylka? – spytał. – Czy nie myśli wstać dzisiaj z łóżka?

– Nie wiem doprawdy – odparła żona. – Zdawało mi się, że słyszałam, jak chodziła po pokoju.

Nakryto do śniadania: trzy kubki na białym obrusie. Honorka poszła zobaczyć, co się dzieje z panienką.

Wróciła zaraz i wstrzymując śmiech powiedziała przyciszonym głosem, jak gdyby znajdowała się jeszcze w pokoju na górze:

– Och, gdyby też państwo widzieli panienkę! Śpi, śpi jak Jezusek! Aż przyjemnie na nią popatrzeć!

Rodzice zamienili rozczulone spojrzenia. Grégoire uśmiechnął się i powiedział:

– Pójdziemy zobaczyć?

– Biedne maleństwo! – szepnęła matka. – Chodźmy.

I oboje udali się na górę. Pokój Cecylki był jedynym zbyt kownie urządzonym pokojem w całym domu. Obity niebieskim jedwabiem, miał białe lakierowane mebelki, pokryte białą materią w niebieski deseń – kaprys rozpieszczonej jedynaczki. Firanki były uchylone i w półmroku rysowała się postać śpiącej, z twarzą przytuloną do nagiego ramienia. Nie była ładna: zbyt pełna, tryskająca zdrowiem, dojrzała już osiemnastolatka. Jej mleczno-białe ciało tchnęło jednak upajającą świeżością. Włosy miała kasztanowate, twarzyczkę okrągłą, nosek arogancko zadarty do góry. Oddychała tak lekko, że jej pełne już piersi, widoczne spod zsuniętej nieco kołdry, nie podnosiły się wcale.

– Ten przekłety wiatr nie dał jej spać w nocy – szepnęła matka.

Ojciec gestem nakazał jej milczenie. Oboje pochylili się nad śpiącą i z zachwytem wpatrywali się w dziecko, które tak bardzo pragnęli mieć, a które przyszło na świat w wiele lat po ich ślubie, kiedy przestali się już go spodziewać. W ich oczach Cecylka była doskonałością; nigdy nie wydała im się zbyt pulchna, zawsze lękali się, że jest niedożywiona. Dziewczyna spała, nie czując ich bliskości. Nagle przez twarz jej przebiegło lekkie drżenie. Przerażeni, że ją obudzą, na palcach wycofali się z pokoju.

– Cicho! – szepnął ojciec we drzwiach. – Jeżeli nie mogła spać w nocy, to niech się wyśpi teraz.

– Do której tylko będzie chciała! – dorzuciła pani Grégoire. – Zaczekamy na nią ze śniadaniem.

Zeszli na dół i usiedli w fotelach, a służące, śmiejąc się z głębokiego snu panienki, bez szemrania trzymały czekoladę na kominie, aby nie wystygła. Pan Grégoire wziął do ręki gazetę, żona zabrała się do szydełkowania wełnianej chustki na nogi. W pokoju było bardzo ciepło, w całym domu panowała głęboka cisza.

Majątek Grégoire'ów, dający około czterystu tysięcy franków rocznego dochodu, ulokowany był całkowicie w akcjach kopalni Montsou. Lubili opowiadać o jego powstaniu związanym ściśle z utworzeniem Towarzystwa.

W początku ubiegłego wieku wszystkich – na przestrzeni od Lilie de Valenciennes – opanowała gorączka poszukiwania złóż węgla. Powodzenie koncesjonariuszów, którzy później utworzyli Towarzystwo d'Anzin, wywołało ogólne podniecenie. W każdej gminie

przeprowadzono próbne wiercenia, w ciągu jednej nocy powstawały nowe towarzystwa, nabywano koncesje. Najbardziej zagorzałym i najbardziej upartym spośród wszystkich poszukiwaczy był jednak niewątpliwie baron Desrumeaux. Przez czterdzieści lat z niegasnącym zapalem borykał się z przeszkodami: pierwsze wiercenia dały rezultat ujemny, po długich miesiącach pracy trzeba było nieraz opuszczać świeżo założone kopalnie, chodniki się zapadały, niespodziewane powodzie zatapiały robotników, setki tysięcy franków szły na marne. Później przyszła kolej na kłopoty administracyjne, tłumienie wybuchającej od czasu do czasu wśród akcjonariuszy paniki, spory z właścicielami gruntów, którzy nie chcieli uznać królewskich koncesji, o ile poprzednio nie zawarto z nimi umowy. Wreszcie jednak powstało towarzystwo „Desrumeaux, Fauqueneux et Cie”, uprawnione do eksploatacji terenów w Montsou. Kopalnia zaczęła przynosić już nawet nieznaczące zyski, lecz konkurencja sąsiadujących z nią kopalń w Cougny i w Joiselle o mało nie przywiodła jej do ruiny. Na szczęście dnia 24 sierpnia 1760 r. po długich pertraktacjach doszło do ugody i wszystkie trzy przedsiębiorstwa połączyły się. W ten sposób powstało istniejące do dziś dnia Towarzystwo kopalń w Montsou. Aby obliczyć udział poszczególnych wspólników, cały majątek podzielono według ówczesnej stopy monetarnej na dwadzieścia cztery sous, każdy zaś sous na dwanaście denarów, co dało w sumie dwieście osiemdziesiąt osiem denarów. Ponieważ denar przedstawiał wartość 10 000 franków, ogólny kapitał wynosił około trzech milionów franków. Desrumeaux, już na łożu śmiertelnym, wyszedł z walki zwycięsko i otrzymał przy podziale sześć sous i trzy denary.

W owych czasach baron był właścicielem Piolaine liczącej trzysta hektarów ziemi. Zatrudnił on u siebie jako rządcę pewnego młodzieńca z Pikardii, Honoriusza Grégoire, pradziada Grégoire, ojca Cecylii. Kiedy zawarta została umowa w Montsou, Honoriusz uległ ze drżeniem niezachwianej wierze swego chlebobdawcy, wyciągnął z pończochy oszczędności, poświęcił 10 000 franków i nabył udział w wysokości jednego denara, przerażony, że okrada w ten sposób swoje dzieci.

Dywidendy, jakie przypadły w udziale jego synowi, Eugeniuszowi, były rzeczywiście bardzo skromne, a ponieważ żył on ponad stan i roztrwonił pozostałe czterdzieści tysięcy, więc na stare lata wiodło mu się dość kiepsko. Powoli jednak dywidendy wzrastały i syn Eugeniusza, Felicjan, mógł urzeczywistnić marzenie dziada, dawnego rządcy: kupił Piolaine. Majątek ten stracił tymczasem znaczną część swoich gruntów i ogłoszony jako własność narodowa dostał się Felicjanowi za śmiesznie niską cenę. Następne lata nie były pomyślne: trzeba było przeczekać

katastrofy rewolucji, krwawy upadek Napoleona. Dopiero Leon Grégoire zaczął zbierać wzrastające w zadziwiającym tempie plony ze skromnej sumki z lękiem umieszczonej w przedsiębiorstwie przez pradziada. Nędzne dziesięć tysięcy franków rosły i pomnażały się wraz z rozwojem przedsiębiorstwa. Od 1820 roku przynosiły sto procent zysku, dziesięć tysięcy rocznie, w roku 1844 dwadzieścia tysięcy, w 1850 czterdzieści tysięcy. Przez dwa lata z rzędu dywidendy wzrosły nawet do niesłychanej sumy pięćdziesięciu tysięcy franków. Kurs denara, notowany na giełdzie w Lilie, wynosił milion franków. W ciągu stulecia jego wartość zwiększyła się stokrotnie.

Gdy wysokość kursu osiągnęła milion, doradzano panu Grégoire sprzedaż udziału, ale on odmówił z pobłażliwym uśmiechem. W pół roku później nastąpił przełom i wartość denara spadła do sześciuset tysięcy franków. Ale pan Grégoire uśmiechał się nadal i nie żałował niczego, gdyż Grégoire'owie wierzyli teraz niezachwianie w swoją kopalnię. Kurs się poprawi, to pewniejsze niż Bóg na niebie. Z religijną niemal wiarą łączyła się głęboka wdzięczność dla tych akcji, dzięki którym rodzina Grégoire'ów od stu lat mogła próżnować. Kopalnia stała się dla nich bóstwem, które w swym egoizmie otaczali rodzajem kultu, dobrodziejką ogniska domowego, z pokolenia na pokolenie kołyszącą ich w wielkim łożu lenistwa, tuczając smakowitymi posiłkami. Po cóż było drażnić los okazując mu nieufność? Na dnie tej wiary tkwił zabobonny lęk, że denar zamieniony na gotówkę i schowany do szuflady mógłby się rozplynać. Bardziej pewny wydawał im się on w głębi ziemi, skąd górnicy – całe pokolenia wygłodzonych ludzi – wydobywali go dla nich po trochu, w miarę ich potrzeb.

Zresztą los zsyłał na ich dom same pomysły. Pan Grégoire ożenił się bardzo młodo z córką aptekarza z Marchiennes, panną brzydką, bez grosza, którą uwielbiał i która odpłaciła mu za wszystko obdarowując go niezmaconym szczęściem. Nie widziała świata poza mężem i we wszystkim posłuszna była jego woli. Mieli te same upodobania, dla obojga ideałem był dobrobyt. Od czterdziestu lat żyli ze sobą w atmosferze wzajemnej serdeczności i drobnych starań. Było to życie uregulowane, ciche spożywanie czterdziestu tysięcy rocznie, oszczędności wydawane na Cecylkę, której późne urodzenie zachwiało przez chwilę równowagę budżetu. Dziś jeszcze zaspokajali każdy jej kaprys, kupili jej drugiego konia, dwa powozy, sprowadzali jej suknie z Paryża. Było to dla nich jeszcze jedno źródło radości – nic nie wydawało im się zbyt piękne dla córki, chociaż sami żyli jak najskromniej i ubierali się według mody, jaka panowała za czasów ich młodości. Każdy wydatek, który nie przynosił korzyści, wydawał im się

bezsensowny.

Raptem drzwi się otworzyły i ktoś zawołał radośnie:

– A cóż to znowu? Śniadanie beze mnie?

Wpadła Cecylka jeszcze zapuchnięta od snu. Upięła tylko włosy i narzuciła szlafroczek z białej wełny.

– Ale skądże – rzekła matka – widzisz przecie, że czekamy na ciebie. Pewnie wichur nie dał ci spać, biedactwo najmilsze?

Dziewczyna spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

– Wichur?... Nic nie słyszałam, spałam całą noc doskonale.

Wydało im się to tak zabawne, że roześmiali się wszyscy troje. Śmiały się również służące wnoszące śniadanie; sama myśl, że paniątka mogła przespać jednym tchem dwanaście godzin, rozweseliła cały dom. Widok rumianych bułeczek do reszty rozradował twarze.

– Co? Już upieczone? – zawołała Cecylka. – A to dopiero niespodzianka! Wyborne do czekolady, jeszcze gorące!

Usiedli przy stole. Czekolada parowała z filiżanek; przez dłuższy czas rozmowa toczyła się na temat bułeczek. Melania i Honorka zostały w pokoju i opowiadały szczegóły pieczenia przyglądając się, jak tamci zajadają. Oświadczyły, że to prawdziwa przyjemność upiec ciasto, kiedy się potem widzi, jak ono państwu smakuje.

Rozległo się zajadłe szczekanie psów. Sądono, że to zapewne nauczycielka muzyki, która przyjeżdżała z Marchiennes w poniedziałki i piątki. Przyjeżdżał również profesor literatury. Cecylka uczyła się w domu, wzrastając w szczęśliwej nieświadomości, rozkapryszona jak dziecko. Kiedy przedmiot ją nudził, wyrzucała książkę przez okno.

– Przyjechał pan Deneulin – oznajmiła Honorka.

Wszedł Deneulin, kuzyn Grégoire'a, głośny, o żywych ruchach i sposobie bycia dawnego oficera kawalerii. Chociaż przekroczył już pięćdziesiątkę, jego krótko strzyżone włosy i gęste wąsy były czarne jak węgiel.

– Tak, to ja, dzień dobry... Nie przeszkadzajcie sobie.

Usiadł przy wtórze okrzyków powitalnych. Po chwili Grégoire'owie powrócili do czekolady.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytał pan domu.

– Nie, nic specjalnego – pośpieszył z odpowiedzią Deneulin. – Wyjechałem konno na spacer, żeby trochę rozprostować kości, a ponieważ przejeżdżałem obok waszej bramy, więc wstąpiłem

powiedzieć wam dzień dobry.

Cecylka zapytała go o córki, Janinę i Łucję. Miewały się doskonale, pierwszej nie można było oderwać od sztalugi, a druga wyśpiewywała od rana do wieczora, akompaniując sobie na fortepianie. Głos Deneulina drżał lekko. Pod maską hałaśliwej wesołości krył on jakieś strapienie.

– A co tam słyhać w kopalni, wszystko w porządku? – zapytał pan Grégoire.

– Ten przekłety kryzys daje nam się porządnie we znaki! Płacimy teraz za lata pomyślności. Pobudowano za wiele fabryk, za wiele kolei, zamrożono kapitały w przewidywaniu olbrzymiej produkcji. I dzisiaj kapitał jest unieruchomiony, brak go, aby produkcję utrzymać. Na szczęście nie ma nic straconego, wybrnę z tego jakoś...

Deneulin podobnie jak jego kuzyn odziedziczył w spadku akcje Montsou. Ale przedsiębiorczy inżynier, trawiony żądzą zrobienia fortuny, sprzedał swój denar, kiedy osiągnął wartość miliona. Od wielu miesięcy dojrzywał w nim pewien plan. Jego żona miała po wuju małą koncesję w Vandame, gdzie funkcjonowały tylko dwie kopalnie: Jean-Bart i Gaston-Marie, tak zaniedbane, że dochód, jaki przynosiły, ledwo pokrywał koszty eksploatacji. Deneulin marzył o tym, aby doprowadzić do porządku i odnowić urządzenie Jean-Bart, poszerzyć szyb i zwiększyć wydobywanie, a Gaston-Marie zachować jako szyb odwadniający. Twierdził, że Jean-Bart napełni mu kieszenie złotem. Jego plan był dobry. Ale milion stopniał, a w chwili, kiedy kopalnia mogła przynieść mu wielkie zyski, które potwierdziłyby słuszność jego przewidywań, zaczął się ten przekłety kryzys. Zresztą zły był z niego administrator: robotnikom okazywał szorstką dobroć, od śmierci żony pozwalał okradać się w straszny sposób. Córki również nie umiał trzymać w cuglach. Starsza z nich zamierzała zostać artystką teatralną, a młodsza malarką. Trzy razy już odrzucano w Salonie jej krajobrazy. Klęska grożąca ojcu w niczym nie psuła im humoru, i widmo niedostatku wyzwalało utajone w nich talenty gospodarskie.

– Widzisz, Leonie – ciągnął Deneulin z wahaniem w głosie – źle zrobiłeś, że nie sprzedałeś swojego udziału razem ze mną. Teraz wszystko spada i możesz narazić się na straty... Gdybyś mi wtedy powierzył swoje pieniądze, przekonałbyś się, co byśmy zrobili z Vandame!

Pan Grégoire nie śpiesząc się skończył pić czekoladę i odpowiedział spokojnie:

– Za nic! Wiesz dobrze, że nie uznaję spekulacji. Żyję spokojnie i cóż za sens miałoby ściągać sobie na głowę kłopoty? A co do Montsou, to akcje mogą spadać dalej, bieda nie grozi nam i tak. Trzeba umieć powściągać trochę swoje apetyty! Zresztą to nie ja, a ty będziesz jeszcze

kiedyś żałował, bo akcje Montsou pójdą w górę i wnukom Cecylki na pewno nie zabraknie białego chleba.

Deneulin słuchał uśmiechając się z zakłopotaniem.

– A więc gdybym ci zaproponował, żebyś włożył w moje przedsiębiorstwo sto tysięcy, odmówiłbyś?

Widząc zaniepokojone twarze Grégoire'ów pożałował swego pośpiechu i postanowił zaczekać z prośbą o pożyczkę. Wolał zarezerwować ją sobie na wypadek, gdyby znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– Och, tak źle jeszcze ze mną nie jest! To był tylko żart... Mój Boże, może masz i rację: cudza praca najbardziej tuczy.

Rozmowa zeszła na inne tematy. Cecylka wypytywała znów o kuzynki, których upodobania gorszyły ją i ciekawiły zarazem. Pani Grégoire przyrzekła, że w pierwszy słoneczny dzień odwiedzi z córką te kochane dziewczątka. Pan Grégoire, z roztargnionym wyrazem twarzy, nie brał udziału w rozmowie. W pewnej chwili powiedział głośno:

– Gdybym był na twoim miejscu, nie upierałbym się dłużej i wszedłbym w porozumienie z Montsou... Oni mają na to wielką ochotę, a ty odzyskałbyś pieniądze.

Miał na myśli dawny spór pomiędzy koncesjonariuszami kopalń Montsou i Vandame. Mimo że ta ostatnia nie miała wielkiego znaczenia, potężną jej sąsiadkę doprowadzała do wściekłości owa mila kwadratowa wbita klinem pomiędzy jej posiadłości. Najpierw usiłowała ją zmiażdżyć, a kiedy się to jej nie udało, knuła spisek, aby nabyć ją po niskiej cenie, kiedy tamta bliska będzie katastrofy. Walka nie ustawała. Każdy nowy chodnik zbliżał przeciwniczki do siebie. Był to pojedynek do ostatniej kropli krwi, mimo że stosunki pomiędzy dyrektorami i inżynierami z obu kopalń układały się poprawnie.

Oczy Deneulina rozgorzały.

– Nigdy! – wykrzyknął. – Póki żyję, Montsou nie dostanie Vandame! Byłem we czwartek na obiedzie u Hennebeau i doskonale zauważyłem, że się koło mnie kręcił. Już zeszłej jesieni, kiedy przyjechały tu te grube ryby z Zarządu, prawili mi różne czułości. Tak, tak, znam ja ich dobrze, tych markizów i książąt, tych generałów i ministrów! Rozbójnicy, którzy radzi by ściągnąć z człowieka ostatnią koszulę.

Kiedy zaczął mówić na ten temat, nie mógł skończyć. Pan Grégoire nie występował zresztą w obronie Zarządu. Sześciu zarządców, wybranych przy ugodzie zawartej w roku 1760, kierowało

sprawami Towarzystwa w sposób despotyczny. Kiedy jeden z nich umierał, pozostali wybierali zastępcę spośród bogatych i wpływowych akcjonariuszy. Pan Grégoire, człowiek umiarkowany i rozsądny, uważał, że w swej przesadnej miłości pieniądza ci panowie pozwalali sobie czasem zbyt wiele.

Weszła Melania, żeby sprzątnąć ze stołu. Znowu rozległo się szczekanie psów i Honorka skierowała się ku drzwiom, kiedy Cecylka, której po obfitym posiłku zrobiło się zbyt gorąco, podniosła się.

– Poczekaj, pójde sama. To pewnie do mnie na lekcję.

Deneulin powstał również. Spojrzał na wychodzącą dziewczynę i spytał z uśmiechem:

– A jak tam małżeństwo z małym Négrelem?

– O, to jeszcze nic pewnego – odparła pani Grégoire.

– To tylko taki luźny projekt... Musimy się zastanowić.

– Niewątpliwie – ciągnął Deneulin z szelmowskim uśmiechem. – Wydaje mi się, że siostrzeniec i ciocia... Co mnie zdumiewa, to to, że właśnie pani Hennebeau tak się rzuca Cecylce na szyję.

Pan Grégoire oburzył się. Dama tak dystygowana i o czternaście lat starsza od Négrela! To potworne, taka myśl! Nie lubił, aby żartowano na podobne tematy. Deneulin śmiejąc się ciągle uścisnął mu rękę i wyszedł.

– Nie, to jeszcze nie na lekcję – powiedziała Cecylka wchodząc.

– To ta kobieta z dwojgiem dzieci, wiesz, mamo, żona górnika, którą spotkałyśmy wtedy... Czy wprowadzić ich tutaj?

Nastąpiła chwila wahania.

Czy bardzo są brudni? Nie, nie bardzo; a saboty zostawią na ganku. Państwo Grégoire siedzieli już wygodnie w głębokich fotelach trawiąc. Lęk przed koniecznością wyjścia na dwór przeważał szalę:

– Powiedz im, niech wejdą, Honorciu.

Weszła Maheudka z dziećmi. Zziębnięci, zgłodniali i wystraszeni, stanęli pośrodku pokoju, w którym było tak ciepło i pachniało maślanymi bułeczkami.

II

Poprzez spuszczone żaluzje do zamkniętego pokoju wciskał się powoli świt, ścieląc się wachlarzem szarych smug na suficie. Powietrze stawało się coraz cięższe.

Wszyscy spali: Lenora i Henryk objęci ramionami, Alzira z głową odrzuconą do tyłu, wspartą na garbie. Dziadek Bonnemort, zajmujący sam jeden łóżko Zachariasza i Janka, chrapał z otwartymi ustami. W alkwie, gdzie spała Maheudka leżąc na boku, tak jak usnęła karmiąc Estelkę, panowała zupełna cisza. Dziecko opite mlekiem, również zmęczone, spało w poprzek brzucha matki, dusząc się pomiędzy jej obwisłymi piersiami.

Kukułka na dole oznajmiła godzinę szóstą. Rozległ się skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, stapanie drewnianych sabotów po bruku. Robotnice szły do sortowni, I znów zapadło milczenie aż do godziny siódmej. O siódmej zastukały rozsuwane okiennice, poprzez ściany dobiegły odgłosy ziewania i kaszlu. Przez dłuższy czas zgrzytał jakiś młynek do kawy, ale w izbie nikt się nie ruszał.

Nagle daleki odgłos uderzeń i krzyki obudziły Alzirę.

Uświadomiła sobie, która godzina, i pobiegła bosą do łóżka matki.

– Mamo! Mamo! Już późno, a ty miałaś gdzieś iść!... Uważaj, bo zgnieciesz Estelkę. I wyciągnęła małą na wpół uduszoną.

– Przeklęty los – wymamrotała Maheudka przecierając oczy. – Człowiek taki jest zmordowany, że spałby cały dzień... Ubieraj Henryka i Lenorę, wezmę ich ze sobą, a ty pobawisz Stelkę. Nie chcę jej zabierać, bo się boję, żeby nie złapała czego w taki psi czas.

Umyła się pośpiesznie, włożyła starą niebieską spódnicę, najlepszą, jaką miała, i kaftan z szarej wełny, w którym poprzedniego wieczora załatała dwie dziury.

– A zupa... przeklęty los! – zamruczała znowu. Podczas gdy matka schodziła na dół potracając wszystko, Alzira wróciła do izby, dokąd przeniosła rozkrzyczaną Estelkę. Przywykła już do jej napadów złości i umiała, mając lat osiem, uspokoić ją i zabawić czułymi wybiegami jak dorosła kobieta. Ostrożnie ułożyła małą w swoim łóżku, ciepłym jeszcze, i uspiła dając jej palec do ssania. Ledwie jej się to udało, gdy od nowa rozległy się krzyki i musiała uspokajać Henryka i Lenorę, którzy obudzili się wreszcie. Tych dwoje zgadzało się i obejmowało czule tylko we śnie. Sześciolatka Lenora, ledwo otworzyła oczy, rzuciła się na swego o dwa lata

młodszeo brata. Chłowiec przyjmował kuksańce nie oddając ich. Oboje mieli głowy zbyt wielkie, jakby rozdęte, i jasne rozczochrane włosy. Alzira musiała odciągnąć siostrę za nogi, grożąc, że jej da lanie. Kiedy je myła i wkładała im ubranie, dzieciaki tupały nogami. Nie podnoszono żaluzji, aby nie budzić dziadka Bonnemort, który chrapał dalej w najlepsze wśród przeraźliwych krzyków dzieci.

– Śniadanie gotowe, zejǳcie zaraz! – zawołała Maheudka.

W izbie na dole otworzyła okiennice, rozdmuchała ogień, dołożyła węgla. Miała nadzieję, że stary zostawił może trochę zupy, ale garnek był jak wylizany. Ugotowała więc garść makaronu, który chowała od trzech dni. Zje się go na wodzie, bez masła. Na pewno nic już nie zostało z tej odrobinki, jaka była poprzedniego dnia. Zdumiała się widząc, że Katarzyna robiąc cegielki potrafiła dokonać tego cudu i zostawić jeszcze kawałek masła wielkości orzecha. Lecz prócz tego nic więcej nie znalazła w kredensie, ani skórki chleba, ani nawet kości do ogryzienia. Co się z nimi stanie, jeżeli Maigrat uprze się, aby nie udzielać im kredytu, a państwo z Piolaine odmówią jej pięciu franków? Kiedy mężczyźni i Katarzyna wrócą z kopalni, musi im przecież dać jeść, bo na nieszczęście nie wynaleziono dotąd sposobu, żeby żyć bez jedzenia.

– Schodzicie czy nie! – krzyknęła ze złością. – Już dawno powinnam była wyjść!

Gdy Alzira zeszła z dziećmi, Maheudka podzieliła makaron na trzy małe porcje. Ona sama, powiedziała, nie jest głodna. Chociaż Katarzyna wygotowała już wczorajsze fusy, zalała je ponownie wrzątkiem i wypila dwa kubki kawy tak słabej, że wyglądała jak rdzawa woda. To doda jej jednak trochę sił.

– Pamiętaj – powtarzała Alzirze – nie budź dziadka i uważaj, żeby Estelka nie rozbiła sobie głowy. Gdyby krzyczała zanadto, to masz kawałek cukru, rozpuść i dawaj jej po łyżeczce. Wiem, że jesteś rozsądna i nie zjesz go sama.

– A szkoła, mamó?

– Szkoła? Do szkoły pójdiesz kiedy indziej. Dziś musisz zostać w domu.

– A zupa? Czy mam ugotować zupę, gdyby mamusi długo nie było?

– Zupę... zupę... Nie, zaczekaj, aż wrócę. Alzira, rozwinięta przedwcześnie jak wiele ułomnych dzieci, umiała doskonale ugotować zupę. Musiała domyślić się wszystkiego, bo nie nalegała.

Teraz całe już osiedle było na nogach. Gromadki dzieci szły do szkoły, powłócząc sabotami. Wybiła godzina ósma. Z mieszkania Levaque'ów dochodziła głośna rozmowa. Kobiety stojąc

przy garnkach z kawą, wsparte pod boki, rozgadane, zaczynały swój dzień. W jednym z okien pojawiła się jakaś ziemista twarz o wydatnych wargach i rozplaszczonym nosie i czyjś głos zawołał:

– Chodź no na chwilę, powiem ci nowinę!

– Nie, nie, potem – odparła Maheudka – teraz muszę coś załatwić.

W obawie, że ulegnie pokusie i da się zaprosić na szklanekę gorącej kawy, nakarmiła Lenorę i Henryka i wyszła z nimi. Na górze ojciec Bonnemort chrapał rytmicznie, kołysząc swym chrapaniem cały dom do snu.

Maheudka spostrzegła ze zdziwieniem, że wiatr ustał zupełnie. Przyszła gwałtowna odwilż. Niebo miało kolor ołowiu, mury domów ociekały zielonawą wilgocią, ulice pełne były błota charakterystycznego dla okręgów górniczych, czarnego jak rozpuszczona sadza, gęstego i lepkiego, w którym grzęzły saboty. Od razu musiała dać klapsa Lenorze, która zabawiała się nabierając błoto na czubek buta jak na łopatę. Wydostawszy się z osiedla Maheudka skierowała się wzdłuż hałdy, weszła na drogę nad kanałem, a potem, dla skrócenia, zapuściła się w grząskie ścieżki biegnące przez pola, wśród parkanów z przegniłych desek. Jedne za drugimi ciągnęły się drewniane szopy, długie zabudowania fabryczne, wysokie kominy plujące sadzą, zanieczyszczające tę odartą z wszelkiego uroku przemysłową okolicę. Spoza grupy topól wychylała się stara opuszczona kopalnia Requillart, słupy pozostałe po zawalonym szybie. Skręciwszy na prawo Maheudka znalazła się na gościńcu.

– Czekaj, czekaj, świntuchu jakiś! Już ja cię nauczę bawić się błotem! – krzyknęła na Henryka, który miesił w dłoni czarną kulę.

Dzieci, po otrzymaniu jednakowej porcji klapsów, uspokoiły się i zerknęły tylko za siebie na ślady, jakie zostawiały ich saboty. Brnęli po błocie zmęczeni, z wysiłkiem wyciągając nogi.

Od strony Marchiennes brukowany na przestrzeni dwóch mil gościńiec ciągnął się brudną wstęgą poprzez rudawe pola. Z przeciwnej strony opadał on serpentyną przez Montsou zbudowane na rozległej pochyłości. Drogi łączące ośrodki przemysłowe na północy kraju wiją się w łagodnych skrętach, wznoszą i opadają lekko, zabudowują się po obu stronach i powoli przemieniają cały departament w jedno wielkie, pracowite miasto.

Małe domki z cegieł pomalowane na różne kolory, aby ożywić krajobraz, jedne żółte, inne niebieskie, jeszcze inne od razu tynkowane na czarno, zbiegały aż do stóp pagórka. Kilka dwupiętrowych domów zamieszkałych przez majstrów przerywało monotonię stłoczonych,

wąskich fasad. Kościół również zbudowany z cegły, z kwadratową dzwonnica przybrukaną węglowym pyłem, przypominał nowy model wielkiego pieca.

Czego było najwięcej pośród tych cukrowni, przędzalni i młynów, to karczmy, tancbud i szynków, tak licznych, że na tysiąc domów przypadało ich ponad pięćset.

Widząc przed sobą warsztaty Towarzystwa, długi łańcuch magazynów i zabudowań, Maheudka wzięła Lenorę i Henryka za ręce. Nieco dalej znajdował się dom dyrektora, pana Hennebeau, obszerna willa oddzielona od drogi żelazną siatką i otoczona ogrodem, w którym wegetowały nędzne drzewa. Przed bramą zatrzymał się właśnie jakiś pojazd – zapewne goście z Paryża, gdyż pani Hennebeau, która ukazała się w półmroku przedsionka, wydała okrzyk zdumienia i radości na widok przybyłego pana z rozetką legii w klapie i pani w futrze.

– Prędeż, prędeż guzdrały! – burknęła Maheudka pociągając za sobą grzęznące w błocie dzieci.

Zbliżała się do sklepu Maigrata mocno podniecona. Dom Maigrata sąsiadował z willą dyrektora, oddzielony od niej tylko murem. Był to długi budynek; w głębi mieścił się skład, a z frontu, od drogi, sklep. Można tam było dostać wszystko: towary kolonialne, wyroby masarskie, jarzyny, owoce, chleb, piwo, garnki. Maigrat, dawny dozorca z le Voreux, zaczął od małego kramu; później, dzięki protekcji przełożonych, rozszerzył swój handel i zmiążdżył detalistów z Montsou. Znaczna liczba klientów pozwalała mu sprzedawać taniej i udzielać większego kredytu. Pozostał jednak nadal zależny od Towarzystwa, które wybudowało mu dom i skład na towary.

– Przyszłam jeszcze raz, panie Maigrat – odezwała się Maheudka pokornie, ujrawszy go przed drzwiami sklepu.

Spojrzał na nią i nie odpowiedział nic. Był otyły, uprzejmy i chłodny. Jego punktem honoru było nie odstępować nigdy od raz powziętej decyzji.

– Nie odprawi mnie pan chyba z niczym, jak wczoraj. Musimy przecież coś jeść do końca tygodnia... Ja wiem, już od dwóch lat jesteśmy panu winni sześćdziesiąt franków...

Tłumaczyła się z trudem, urywanymi zdaniem. Był to stary dług, zaciągnięty w czasie ostatniego strajku. Dziesiątki razy obiecywali go wyrównać, ale nigdy nie udało im się odłożyć dwu franków z wypłaty. A jeszcze teraz spotkało ją takie nieszczęście; musiała przedwczoraj zapłacić dwadzieścia franków szewcowi, który im groził sekwestrem. Dlatego są bez grosza; Inaczej dociągnęliby do soboty jak inni.

Maigrat, z wypiętym brzuchem, ze skrzyżowanymi rękami, na wszystkie błagania odpowiadał przeczącym ruchem głowy.

– Tylko dwa bochenki chleba, panie Maigrat, nie proszę już o kawę... Nic więcej, tylko dwa trzyfuntowe bochenki chleba dziennie, do soboty.

– Nie! – krzyknął wreszcie na całe gardło. Ze sklepu wyjrzała pani Maigrat, chorowite stworzenie, spędzające całe dni nad książkami handlowymi, nie śmiejąc podnieść nawet głowy. Cofnęła się zaraz, przerażona, że Maheudka do niej zwraca błagalne spojrzenie. Opowiadano sobie, że ustępuje małżeńskiego łoża młodym ładowaczkom. Wszystkim było wiadome, że jeżeli jakiś górnik chciał uzyskać od Maigrata przedłużenie kredytu, posyłał do niego córkę albo żonę, obojętne ładną czy brzydką, byle tylko nie była oporna.

Maheudka zebrała jeszcze wzrokiem, lecz nagle zmieszała się. Błade spojrzenie małych oczek Maigrata obnażało ją. Zawrzał w niej gniew. Mogłaby jeszcze zrozumieć coś podobnego dawniej, kiedy była młoda. Ale teraz, matka siedmiorga dzieci... Odwróciła się i pociągnęła gwałtownie Lenorę i Henryka, którzy zajęci byli zbieraniem i oglądaniem znalezionych w rynsztoku łupinek od orzechów.

– To panu nie przyniesie szczęścia, panie Maigrat, wspomni pan moje słowa.

Ostatnią deską ratunku stali się teraz dla niej państwo z Piolaine. Jeżeli nie dadzą im ani grosza, to przyjdzie położyć się i zdychać. Skręciła na lewo w stronę Joiselle. Na rogu znajdował się gmach zarządu, prawdziwy pałac z cegieł, gdzie jaśnie panowie z Paryża, książęta, generałowie i członkowie rządu, zjeżdżali każdej jesieni i urządzali wspaniałe przyjęcia. Maheudka rozmyślała po drodze, co kupi za te pięć franków, które miała nadzieję dostać: przede wszystkim chleba, potem kawy, ćwierć kilo masła, miarkę ziemniaków na ranną zupę i wieczorną polewkę, wreszcie może odrobinę salcesonu, bo mąż musi mieć czasem mięso.

Ksiądz Joire, proboszcz z Montsou, przechodził drogą wysoko unosząc sutannę, ostrożnie jak tłusty kot, który boi się, aby nie zamoczyć futerka. Był cichego usposobienia i trzymał się od wszystkiego z daleka, aby nie narazić się ani robotnikom, ani chlebobdawcom.

– Dzień dobry, księżo proboszczu!

Nie zatrzymał się. Uśmiechnął się do dzieci i przeszedł mimo niej. Nie była wierząca, ale przyszło jej na myśl, że ten ksiądz mógłby ją poratować.

Ruszyła dalej po czarnym, lepkiem błocie. Miała przed sobą jeszcze dwa kilometry, dzieci wlokły się coraz wolniej, osowiałe. Po obu stronach drogi ciągnęły się te same zmurszałe płoty,

te same zabudowania fabryczne zbrukane dymem, najeżone kominami. Dalej, aż po fioletową linię lasu Vandame, rozpościerała się niezmierna płaszczyzna pól, podobna do oceanu brunatnych skib ziemi nieskażonego ani jednym masztem drzewa.

– Mamo, weź mnie na ręce!

Niosła dzieci jedno po drugim. Na gościńcu stały kałuże wody, podnosiła więc wysoko spódnicę bojąc się, że przyjdzie za bardzo ubłocona. Trzy razy o mało nie upadła, tak śliska była nawierzchnia. Kiedy znaleźli się wreszcie przed gankiem, dwa ogromne psy rzuciły się na nich ujadając tak gwałtownie, że malcy zaczęli krzyczeć ze strachu. Dopiero stangret odpędził je batem.

– Zostawcie w sieni saboty i wejście! – powiedziała Honorka.

W jadalni matka i dzieci stanęły oniemiałe, oszołomione nagłym ciepłem, zmieszane spojrzzeniami starszego pana i starszej pani wyciągniętych w fotelach.

– Spełń swój obowiązek, córeczko – powiedziała ta ostatnia.

Rozdawanie jałmużny powierzyli Grégoire'wie córce. W ich pojęciu wchodziło to w zakres właściwego sposobu wychowania. Należy być miłosiernym. Oni sami twierdzili, że ich dom jest domem miłosierdzia. Trawieni nieustannym lękiem, żeby się nie omylić i nie wesprzeć występku, pochlebiali sobie, że w swych miłosiernych uczynkach kierują się zawsze rozsądkiem. Dlatego też nigdy nie dawali pieniędzy. Nigdy! Ani dziesięciu sous, ani nawet dwu, gdyż rzecz to wiadoma, że skoro tylko biedny dostanie dwa sous, przepija je. Jałmużnę dawali zawsze w naturze, zazwyczaj w postaci ciepłego odzienia rozdzielanego w zimie pomiędzy dzieci biednych robotników.

– Biedne maleństwa! – wykrzyknęła Cecylka – aż poblady z zimna! Honorciu, przynieś paczkę z szafy.

Służące również spoglądały na dzieci z litością zabarwioną lekkim niepokojem, właściwą osobom, które nie muszą troszczyć się o to, co włożą do ust. Pokojówka wyszła, a kucharka, zapomniawszy o robocie, postawiła resztę bułek na stole i stała z opuszczonymi rękami.

– Mam jeszcze dwie wełniane sukienki i dwie chustki – ciągnęła Cecylka. – Zobaczycie, będzie biedactwom ciepło.

Maheudka odzyskała wreszcie mowę i wybąkała:

– Dziękuję panience bardzo... Państwo są tacy dobrzy...

Łzy napłynęły jej do oczu. Była pewna, że dostanie oczekiwane pięć franków, zastanawiała

się tylko, w jaki sposób poprosić o nie, gdyby państwo nie domyślili się sami. Pokojowa nie wracała. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Dzieci uczone spódnicy matki przyglądały się bułkom wielkimi oczyma.

– Macie tylko tych dwoje dzieci? – spytała pani Grégoire, żeby przerwać milczenie.

– O nie, wielmożna pani, mam siedmioro!

Pan Grégoire, który wrócił do czytania dziennika, zachnął się.

– Siedmioro? Ależ po co, miły Boże?

– To lekkomyślność – mruknęła starsza pani.

Maheudka uczyniła niewyraźny gest, jakby się tłumacząc. Cóż robić? To przychodzi samo. A później, kiedy małe dorosną, przynoszą do domu pieniądze, pomagają. Oni też daliby sobie jakoś radę, gdyby nie to, że mają w rodzinie zniedołęźniałego dziadka, a tylko troje dzieci, córka i dwaj synowie, są w tym wieku, że mogą już pracować w kopalni. A malców, z których nie ma jeszcze żadnego pożytku, też trzeba nakarmić!

– Od dawna pracujecie już w kopalni? – spytała pani.

Milczący uśmiech rozjaśnił bladą twarz Maheudki.

– O, tak... Ja do dwudziestu lat pracowałam na dole. Potem, po drugim łożu, doktor powiedział, że zostanę tam na zawsze, jeżeli nie przestanę. Zdaje się, że coś mi się popsło w kościach od tej roboty. Zresztą wtedy akuratnie wyszłam za mąż i dość miałam zajęcia w domu. Ale w rodzinie mojego męża pracują w kopalni już od niepamiętnych czasów. Od prapradziada, od samego początku, jak tylko zaczęli kopać w Requillart.

Pan Grégoire spoglądał w zamyśleniu na kobietę i te żalosne dzieci o woskowych twarzach, bezbarwnych włosach, dziedzicznie obciążone i skarłowaciałe, zżerane anemią, brzydkie brzydota ludzi przymierających głodem.

Zaległo ponowne milczenie przerywane tylko trzaskaniem ognia na kominku. W pokoju panowała atmosfera ociężałego dobrobytu, senna szczęśliwość mieszczańskiego wnętrza.

– Co ona tam robi tak długo? – zawołała Cecylka ze zniecierpliwieniem. – Melanio, idź na górę i powiedz jej, że paczka leży w szafie na dole po lewej stronie!

Tymczasem pan Grégoire zakończył głośno myśli, jakie mu nasunął widok tych wygłodniałych istot.

– Niełatwo jest żyć na tym świecie, to prawda. Ale trzeba przyznać, moja dobra kobieto, że robotnicy nie postępują rozsądnie... Zamiast oszczędzać jak nasi chłopci, górnicy piją, zaciągają

długi i w końcu nie mają z czego utrzymać rodziny.

– Wielmożny pan ma słuszność! – odparła powoli Maheudka. – Wielu nie żyje tak, jak powinno. Zawsze to powtarzam różnym nicponiom, ile razy się skarżą... Ja sama dobrze trafiłam. Mój mąż nie pije. Co najwyżej w niedzielę łyknie sobie czasem trochę za wiele, ale to wszystko. To bardzo ładnie z jego strony, tym bardziej że przed ślubem pił z przeproszeniem jak ostatnia świnia. Ale i co z tego, że jest rozsądny? I tak zdarzają się dni, jak dziś na przykład, że można by wywrócić do góry nogami wszystkie szuflady w domu, a nawet złamany grosz z nich nie wypadnie.

Chciała w ten sposób nasunąć im myśl o pięciu frankach. Mówiła dalej bezbarwnym głosem, wyjaśniała, jak powstał ów fatalny dług, niewielki zrazu, a później coraz bardziej dotkliwy. Przez dłuższy czas spłacali regularnie co dwa tygodnie, ale raz zabrakło im pieniędzy i od tej pory nie mogą tego nadrobić w żaden sposób. Dziura zwiększa się coraz bardziej, a mężczyźni tracą ochotę do pracy, przy której nie można nawet tyle zarobić, żeby wyżyć bez długów. Przepadło! Już do śmierci nie wygrzebie się człowiek z tej biedy! Trzeba to wyrozumieć – górnik musi spłukać od czasu do czasu pył z gardła. Od tego się zaczyna, a później jak przyjdą kłopoty, żadna siła nie wyciągnie go już z szynku. Nie żeby się na kogoś skarżyła – ale może jednak robotnicy zarabiają trochę za mało?

– Sądziłam – odezwała się pani – że Towarzystwo daje wam mieszkanie i opał?

Kobieta rzuciła okiem na ogień w kominku.

– Tak, węgiel nam dają. Nadzwyczajny on nie jest, ale zawsze jakoś się tam pali... Co się tyczy czynszu, to płacimy sześć franków miesięcznie. Wydaje się, że to nic, ale często człowiek dobrze to poczuje... I zdarza się... jak dziś, że choćby mnie kto pokrajał na kawałki, nie wyciągnąłby ode mnie ani grosza. Jak nie ma, to nie ma!

Pan i pani milczeli, wygodnie rozparci w fotelach, trochę znudzeni. Słuchając o tej nędzy, doznawali niemilego uczucia. Maheudka przelekła się, że uraziła ich może, i dodała spokojnym, i równym głosem kobiety praktycznej:

– Och, ja się nie skarzę. Tak już jest i trzeba się z tym pogodzić, tym bardziej że i tak nic się zmienić nie da. Więc najlepiej, prawda? starać się uczciwie spełniać swe obowiązki tam, gdzie nam Pan Bóg żyć przeznaczył.

Pan Grégoire poparł ją skwapliwie:

– O, niewątpliwie, dobra kobieto, mając takie zasady jest się zawsze ponad wszelkimi

przeciwnościami losu.

Honorka i Melania przyniosły wreszcie paczkę. Cecylka rozwinęła ją i wyjęła dwa ubranka. Dołączyła jeszcze chusteczki, a nawet pończochy i mitenki. Wszystko to będzie w sam raz. Spieszyła się, kazała służącym zapakować wybrane dary. Przed chwilą zjawiała się nauczycielka muzyki i Cecylka popychała Maheudkę z dziećmi ku drzwiom.

– Jesteśmy w potrzebie – wybąkała Maheudka. – Gdybyśmy mieli chociaż z pięć franków...

Słowa grzęzły jej w gardle. Maheuowie byli dumni i nie żebrali nigdy. Cecylka spojrzała z niepokojem na ojca, ale on odmówił wprost, bez ogródek, z miną człowieka spełniającego swój obowiązek:

– Nie, to nie jest u nas w zwyczaju. Nie możemy.

Cecylka poruszona rozpaczliwym wyrazem twarzy kobiety zapragnęła obdarować chociaż dzieci. W dalszym ciągu wpatrywały się one w bułki. Odkroiła dwa kawałki i dała im.

– Macie, to dla was.

A później odbierając im ciasto i prosząc o kawałek starej gazety do zapakowania dodała:

– Zaczekajcie, podzielicie się z rodzeństwem.

I wypchnęła ich za drzwi. Rodzice spoglądali na nią z rozczeniem. Biedne dzieci, które nie miały chleba, odeszły trzymając z szacunkiem bułeczki w rączkach zdrętwiałych z zimna.

Maheudka ciągnęła je za sobą nie widząc ani nagich pól, ani czarnego błota, ani ołowianego nieba. Znalazszy się w Montsou zdecydowanym krokiem skierowała się do sklepu Maigrata prosiła go tak natarczywie, że dał jej wreszcie dwa chleby, kawę, masło, a nawet pięć franków, bo trudnił się też pożyczaniem na lichwiarski procent.

To nie jej chciał Maigrat, to Katarzyny. Zrozumiała to, kiedy polecił jej, aby przysłała córkę po zakupy. No, zobaczymy! Niech tylko spróbuje się do niej zabierać, a na pewno oberwie.

III

Na wieży kościółka w kolonii Dwieście Czterdzieści, murowanej kaplicy, w której ksiądz Joire odprawiał co niedziela mszę, wybiła godzina jedenasta. Z pobliskiej szkoły, mimo zamkniętych z powodu zimna okien, dolatywały głosy dzieci sylabizujących z trudem. Ogródki

przed czterema kompleksami jednakowych domków, puste i ogołoczone przez zimę, rozstaczały przed oczami przechodniów smutek gliniastej ziemi, na której tu i ówdzie ciemniały jeszcze kępki jarzyn. W domach gotowano obiad, z kominów unosił się dym. Od czasu do czasu na ulicze ukazywały się jakieś kobiety i znikwały w drzwiach wejściowych. Choć nie padał deszcz, z rynien skapywała do beczek woda, tyle wilgoci kryło w sobie poszarzałe niebo. Osiedle to, wyrosłe niespodziewanie pośrodku obszernego płaskowzgórza, obrzeżone żalobną wypustką czarnych dróg, rozweselały jedynie kryte czerwoną dachówką dachy, bezustannie zmywane ulewą.

Maheudka wracając nadłożyła drogi, aby kupić ziemniaków u żony pewnego dozorczy, która miała ich jeszcze trochę z własnych zbiorów. Za zasłoną wychudłych topól, jedynych drzew w tej okolicy, znajdowało się wyodrębnione od innych skupisko domów zbudowanych po cztery obok siebie i otoczonych ogródkami. Ponieważ dyrekcja przeznaczyła je dla sztygarów, robotnicy nazwali ten zakątek Osiedlem Jedwabnych Pończoch, tak jak o swoim mówili Osiedle Splącaj Długi z dobrotliwą ironią wyśmiewając własną nędzę.

– Uff, wreszcie jesteśmy w domu – powiedziała obładowana pakunkami Maheudka, popychając przed sobą Lenorę i Henryka, obłożonych i ledwie trzymających się na nogach.

Przy kuchni stała Alzira kołysząc na rękach rozkrzyczaną Estelkę. Zabrakło cukru i mała nie chciała się uspokoić. Alzira postanowiła dać jej swoją pierś na niby. Ten wybieg udawał się czasem. Ale tym razem na próżno rozpięła stanik i przykładała usta małej do swej chudej piersi ośmioletniej kaleki. Dziecko krzychało jeszcze bardziej, rozszoszczone, że nic nie może wyssać.

– Daj mi ją! – zawołała matka pozbywszy się paczek. – Inaczej nie da nam dojść do słowa.

Wydobyła z kaftana pierś ciężką jak bukłak. Dziecko łapczywie pochwyciło sutkę ustami i natychmiast zamilkło. Starsi mogli porozmawiać. Wszystko było w porządku, mała gospośka przypilnowała ognia, żeby nie wygasł, zamiotła i uporządkowała izbę. Z góry dolatywało głośnie chrapanie dziadka, to samo rytmiczne chrapanie, które nie milkło ani na chwilę.

– Ile tego – szepnęła Alzira uśmiechając się do zakupów. – Jeżeli chcesz, mam, to ugotuję zupę.

Cały stół założony był pakunkami. Leżała na nim paczka z ubraniami, dwa chleby, ziemniaki, masło, kawa, cykoria i pół funta salcesonu.

– Och, zupę! – powiedziała Maheudka znużonym głosem. – Trzeba by dopiero narwać szczawiu i porów... Nie, zupę ugotuję później, dla ojca i tamtych, a teraz nastaw ziemniaki,

zjemy je z masłem. I nie zapomnij o kawie!

Nagle przypomniała sobie o dwu kawałkach bułki. Spojrzała na próżne ręce Lenory i Henryka, którzy – wypoczęci już i weseli – bili się ze sobą na podłodze. Czy te łakomczuchy nie zjadły bułeczek po kryjomu w czasie drogi? Wymierzyła każdemu policzek. Alzira krzątająca się przy kuchni starała się ją uspokoić.

– Daj spokój, mamó! Jeżeli to miało być dla mnie, to wiesz, że mnie na bułce nie zależy, a oni na pewno byli głodni, taki kawał szli na piechotę.

Wybiła dwunasta. Zastukały saboty dzieci wracających ze szkoły. Ziemniaki były gotowe, kawa, do której dodano sporą porcję cykorii, sączyła się przez sitko ze śpiewnym odgłosem spadających kropli. Opróżniono róg stołu, ale tylko matka przy nim jadła, dzieci oparły talerze na kolanach. Chłopiec, wiecznie zgłodniały, odwracał bez przerwy głowę w stronę salcesonu.

Przesiąkłe tłuszczem opakowanie nie dawało mu spokoju.

Maheudka piła kawę małymi łykami, obejmując oburącz szklanę, aby ogrzać ręce, kiedy zeszedł na dół dziadek Bonnemort. Zazwyczaj wstawał później i jedzenie czekało na niego na piecu. Tym razem nie widząc zupy zaczął mruzczyć. Gdy synowa powiedziała mu, że nie zawsze można mieć to, co się chce, w milczeniu zabrał się do ziemniaków. Od czasu do czasu wstawał i splotował w popiół, aby nie walać podłogi, a później wracał i skulony na krześle przeżuwał jedzenie, z głową spuszczoną na piersi i zgasłym spojrzeniem.

– Ach, mamó, zapomniałam – powiedziała Alzira. – Była tu sąsiadka...

– A ta czego znowu? – przerwała jej matka.

Miała głuchą urazę do Lewaczki, która skarżyła jej się wczoraj na swą nędzę, żeby uniknąć prośby o pożyczkę. Tymczasem Maheudka wiedziała, że tamta ma w tej chwili pieniądze, gdyż lokator Bouteloup zapłacił jej z góry za dwa tygodnie. W kolonii niechętnie pożyczano sobie nawzajem.

– Ale, przypomniałaś mi – podjęła Maheudka – odsyp no trochę kawy i zapakuj... Pożyczyłam przedwczoraj od Pierronki, teraz jej odniosę.

Kiedy córka przygotowała jej paczuszkę, dodała jeszcze, że wróci za chwilę nastawić zupę dla ojca, i wyszła z Estelką na rękę. Dziadek żuł powoli ziemniaki, a Lenora i Henryk bili się o spadłe łupiny.

Zamiast obejść naokoło, Maheudka poszła na przełaj przez ogródki bojąc się, żeby Lewaczka jej nie zawołała. Ogród ich graniczył z ogrodem Levaque'ów. W zniszczonej siatce, która je

dzieliła, znajdowała się dziura, przez którą można było przejść. Obok stała studnia, z której korzystały cztery rodziny. Nieco dalej, za wątlym krzakiem bzu, mieściła się niska szopa, skład na narzędzia, w którym chowano króliki. Raczone się nimi w dnie świąteczne. Wybiła godzina pierwsza, pora picia kawy, i w drzwiach ani w oknach nie było widać żywej duszy. Tylko jakiś robotnik, korzystając z wolnej chwili przed zjazdem do kopalni uprawiał zagon pod jarzyny nie podnosząc głowy. Gdy Maheudka znalazła się przed domem sąsiadki, ujrzała ze zdziwieniem jakiegoś pana i dwie panie koło kościoła. Stanęła na chwilę i poznała: była to pani Hennebeau, która pokazywała kolonię swoim gościom, panu z rozetką i damie w futrze.

– Och, i po cóż się było tak śpieszyć! – zawołała Pierronka, gdy Maheudka oddała jej kawę. – To nic pilnego.

Miała lat dwadzieścia osiem i uchodziła za piękność osiedla: brunetka, o niskim czole, wielkich oczach i małych ustach. Zalotna przy tym, czysta jak kotka, miała piękny biust kobiety bezdzietnej. Jej matka, stara Brûlé, wdowa po rębaczku, który zginął w kopalni, wysłała niegdyś córkę do fabryki i przysięgła, że nie pozwoli jej nigdy wyjść za górniką. Od chwili kiedy córka wyszła za męża za Pierrona, wdowca z ośmioletnią córeczką, nie przestała mieć do niej pretensji. Małżeństwo jednak żyło ze sobą bardzo szczęśliwie, mimo plotek o kochankach żony i pobłażliwości męża. Nie mieli długów, jadali mięso dwa razy w tygodniu, a w domu panował taki porządek, że w każdym rondlu można się było przejrzeć. Na dodatek, dzięki protekcji, Pierronka uzyskała od dyrekcji Towarzystwa pozwolenie na sprzedaż cukierków i ciastek. Ustawiła je w szklanych słojach za szybą; sprzedaż ta przynosiła jej sześć do siedmiu sous dziennie, a w niedzielę nawet do dwunastu. Szczęście mąciły tylko wybuchy gniewu matki Brûlé, starej rewolucjonistki, która nie przestawała się odgrażać, że pomści na pracodawcach śmierć męża, i mała Lidka, *na* której skrupiały się zwykle niehumory całej rodziny.

– Jak urosła! – powiedziała Pierronka uśmiechając się do Estelki.

– Ach, nie mów mi o niej – odparła Maheudka. – Twoje szczęście, że nie masz dzieci. Możesz przynajmniej utrzymać porządek w domu.

Mimo że i u niej było porządnie, a podłogę myła co sobotę, obrzuciła zazdrosnym spojrzeniem gospodyni tę jasną izbę, nie pozbawioną nawet pewnej kokieterii: na kredensie stały złożone wazoniki, na ścianach wisały trzy obrazki w ramach i lustro.

Pierronka piła sama kawę, gdyż wszyscy domownicy byli w kopalni.

– Napijesz się ze mną szklaneczkę – zaproponowała.

– Nie, dziękuję, dopiero co piłam w domu.

– To nic nie szkodzi.

Rzeczywiście, to nic nie szkodziło. Zasiadły obie i piły powoli. Spojrzenia ich prześliznęły się pomiędzy słojami cukierków i ciastek i zatrzymały na domach naprzeciwko. Stopień czystości firanek zawieszonych w oknach pozwalał ocenić zalety gospodyni. Firanki u Levaque'ów były bardzo brudne. Prawdziwe ścierki, którymi wyciera się spód garnków.

– Nie pojmuję, jak można żyć w takim brudzie! – szepnęła Pierronka.

Ta uwaga rozwiązała język Maheudce. Ach, co by ona dała za takiego lokatora jak Bouteloup. Dopiero by urządziła sobie gospodarstwo! Sublokator to doskonały interes, kiedy człowiek umie się wziąć do rzeczy. Tylko nie trzeba zaraz z nim sypiać. Poza tym ten mąż Lewaczki to pijak, bije żonę, ugania się za takimi, co śpiewają po knajpach w Montsou.

Pierronka skrzywiła się z obrzydzeniem. Och, od takich najłatwiej się zarazić. W Joiselle była jedna, to zaraziła całą kopalnię.

– Nie rozumiem, że pozwalasz synowi zadawać się z ich córką.

– Ach, spróbuj zabronić... Ich ogród graniczy z naszym. Latem Zachariasz przesiadywał stale z Filomeną za krzakiem bzu. I nic sobie z niczego nie robili. Ile razy człowiek poszedł po wodę, zawsze się na nich natknął.

Były to zwykle następstwa wspólnego życia w kolonii. Chłopcy i dziewczęta deprawowali się szybko. Niski, spadzisty dach szopy był ich ulubionym miejscem schadzek. Spotykali się tam z zapadnięciem zmroku. Wszystkie ładowaczki przynosiły stamtąd pierwsze dziecko, o ile nie wolały przynieść go ze starej kopalni w Requillart albo ze spaceru po polach. Nie okrywało to ich żadną hańbą. Ślub następował później. I tylko matki gniewały się, kiedy chłopcy zaczęli zbyt wcześnie, gdyż syn, który się żenił, przestawał być źródłem dochodu dla rodziny.

– Na twoim miejscu wybiłabym im to z głowy. – podjęła Pierronka rozsądnie. – Twój Zachariasz już dwa razy zrobił jej dziecko i na pewno nie poprzestaną na tym... Zejdą się ze sobą na dobre i potem nie zobaczysz już ani grosza z zarobków Zachariasza.

Maheudka wyciągnęła ręce z wściekłością.

– Słuchaj: przeklnę ich, jeżeli się ze sobą zejdą... Czy Zachariasz nie powinien szanować rodziców? Kosztował nas, nie? Więc teraz musi zwrócić te pieniądze, zanim sobie weźmie żonę na kark... Co by to było, powiedz sama, gdyby nasze dzieci od razu zaczynały pracować na innych? Chybaby przyszło człowiekowi zdechnąć.

Po chwili uspokoiła się jednak.

– Tak sobie mówię w ogólności... a co do Zachariasza, to zobaczymy jeszcze... Mocna ta twoja kawa; widać, że wsypujesz, ile trzeba.

Porozmawiała jeszcze z kwadrans, po czym wybiegła wołając, że musi ugotować dla swoich zupę.

Dzieci wracały z powrotem do szkoły, tu i ówdzie we drzwiach stały kobiety przyglądając się pani Hennebeau, która szła z gośćmi chodnikiem i pokazywała im osiedle, ta wizyta poruszyła wszystkich. Robotnik kopiący grzędę podniósł na chwilę głowę, dwie spłoszone kury umknęły do ogrodu.

Wracając do domu Maheudka natknęła się na Lewaczkę, która wyskoczyła na chwilę, aby złapać doktora Vanderhaghena, lekarza kolonii. Był to niski, wiecznie śpieszący się człowieczek, przytłoczony nadmiarem pracy. Porad udzielał w przelocie.

– Panie doktorze – mówiła Lewaczka – nie mogę wcale sypiać i wszystko mnie boli... Chciałam się poradzić.

Doktor mówił wszystkim „ty”.

– Daj mi spokój! Pijesz za dużo kawy – odpowiedział nie zatrzymując się.

– A mój mąż, panie doktorze? – odezwała się z kolei Maheudka. – Te bóle w nogach nie ustąpiły wcale. Może pan doktor przyszedłby popatrzeć.

– Daj mi spokój, nie bolałyby go nogi, gdybyś ty nie była taka nienasycona.

Zbyte byle czym kobiety stały patrząc, jak doktor oddalał się spieszenie.

– Wejdz na chwilę – powiedziała Lewaczka, kiedy zamieniły rozpaczliwe wzruszenie ramion.
– Mam ci coś powiedzieć... Napij się ze mną kawy. Świeżo naparzona.

Maheudka uległa pokusie. Ot, jeden łyk, żeby nie urazić tamtej odmową. Weszła.

Izba była czarna od brudu, podłoga i ściany pokryte tłustymi plamami, stół i kredens lepkie i niechlujne. Odór źle utrzymanego mieszkania bił w nozdrza. Niedaleko komina, oparty łokciami o stół, z nosem w talerzu siedział Bouteloup. Barczysty, o twarzy spokojnej i tępej, wyglądał młodo jak na swoje trzydzieści pięć lat. Kończył jeść zupę. Stojący obok trzyletni Achilles, starszy synek Filomeny, spoglądał na niego z milczącym błaganiem łakomego zwierzątka. Lokator, bardzo dobrotliwy mimo swej groźnej, czarnej brody, wtykał mu od czasu do czasu kawałek mięsa do ust.

– Czekaj, zaraz osłodzę – powiedziała Lewaczka wlewając melasy do czajnika.

O sześć lat starsza od swego lokatora Lewaczka wyglądała odrażająco: wyniszczona, z obwisłymi piersiami i obwisłym brzuchem, twarz miała płaską, włosy siwiejące i zawsze rozczochrane. Bouteloup wziął ją nie przyglądając się jej, tak samo jak nie przyglądał się zupie, którą jadł co dzień i w której znajdował czasem włosy, jak nie przyglądał się pościeli zmienianej raz na trzy miesiące; płacił za wszystko razem. Mąż jej lubił powtarzać: grunt to solidny obrachunek.

– Chciałam ci powiedzieć – ciągnęła Lewaczka – że wczoraj wieczorem widziano Pierronkę, jak kręciła się niedaleko Jedwabnych Pończoch. Za gospodą Rasseneura czekał na nią wiesz kto i poszli razem wzdłuż kanału... Ładne rzeczy, co? Mężatka!

– Cóż – odparła Maheudka. – Pierron zanim się ożenił, zanosił sztygarowi króliki, a teraz pożycza mu żony. To taniej kosztuje.

Bouteloup wybuchnął głośnym śmiechem i wsunął Achillesowi do ust kawałek chleba umaczany w sosie.

Obie kobiety zabawiały się dalej kosztem Pierronki. To kokietka, nie ładniejsza od innych, ale wciąż zajęta sobą, nic tylko by się myła i smarowała pomadą. W końcu to rzecz męża, jeżeli mu to wszystko smakuje... Zdarzają się tacy, co gotowi by podtrzeć szefowi tyłek, żeby tylko usłyszeć od niego „dziękuję”. Rozmowę przerwało im dopiero wejście sąsiadki, która przyniosła dziesięciomiesięczną Désirée, młodsze dziecko Filomeny.

Filomena jadła obiady w sortowni i umówiła się, że przynoszono jej małą – karmiła ją przysiadając na chwilę na węglu.

– Ja mojej nie mogę zostawić ani na minutę, bo od razu krzyczy – powiedziała Maheudka spoglądając na uśpioną w jej ramionach Estelkę.

Nie udało jej się jednak uniknąć poruszenia przez, Lewaczkę drażliwego tematu.

– Słuchaj no, trzeba by to jednak w końcu załatwić.

Kiedyś obydwie kobiety bez słów porozumiały się co do tego, że Zachariasz i Filomena mogą jeszcze poczekać ze ślubem. Matka Zachariasza chciała jak najdłużej korzystać z zarobków syna, a matkę Filomeny ogarniał gniew na samą myśl, że miałyby utracić zarobek córki. Nic nie piliło i Lewaczka wolała nawet chować małego, dopóki był on jedynym dzieckiem. Ale kiedy Achilles podrośł i zjadał chleb, a na świat przyszło drugie dziecko, Lewaczka zrozumiała, że to się jej nie opłaca, i zaczęła gwałtownie nalegać, aby młodzi się pobrali, ponieważ nie miała zamiaru dokładać do utrzymania małych.

– Zachariasz nie idzie do wojska – ciągnęła – nic już nie stoi na przeszkodzie... Więc kiedy?

– Odłóżmy to do lepszych czasów. – Odparła Maheudka z zakłopotaniem. – Z tymi rzeczami jest straszne urwanie głowy. Słowo daję, jakby nie mogli poczekać z dziećmi, aż będą po ślubie. Ja tam zatłukłabym Katarzynę, gdybym się dowiedziała, że jej się coś przytrafiło.

Lewaczka wzruszyła ramionami.

– Et, co tam opowiadasz. A bo to ona inna niż wszystkie? I na nią przyjdzie kolej.

Bouteloup spokojnie przeszukiwał kredens jak ktoś, kto jest u siebie. Szukał chleba. Na rogu stołu leżały na w pół obrane jarzyny na zupę dla Levaque'a. Lewaczka po dziesięć razy brała je do rąk i znów odkładała zajęta plotkowaniem. Już miała się do nich zabrać na nowo, gdy nagle podeszła do okna.

– A to co? Popatrz, pani Hennebeau z jakimś państwem. Wchodzą do Pierronki.

I znowu wzięły Pierronkę w obroty. Oczywiście, ile razy ktoś obcy zwiedzał osiedle, zawsze prowadzono go prosto do Pierronki, bo u niej było czysto. Ale pewno nie opowiadano historii ze starszym sztygarem. To żadna sztuka utrzymać dom w czystości, jak się ma kochanków, co zarabiają trzy tysiące franków rocznie prócz mieszkania, opału i podarków, jakie dostają. Tak, tak, z wierzchu to tam jest czysto, ale pod spodem to nie. I przez cały czas, kiedy goście byli u Pierronki, kobiety rozprawiły na ten temat.

– O, wychodzą – powiedziała wreszcie Lewaczka. – Skręcają... Spójrz no, moja droga, zdaje się, że idą do ciebie.

Maheudka przestraszyła się. Kto wie, czy Alzira stała ze stołu? I zupa nie gotowa! Wybąkała „do widzenia” i pobiegła prosto do siebie.

Ale wszystko błyszczało. Alzira, z miną bardzo poważną, przepasana ścierką zabrała się do gotowania zupy widząc, że matka nie wraca. Wyrwała resztę porów w ogrodzie, nazbierała szczawiu i czyściła właśnie jarzyny. Na ogniu w wielkim kotle grzała się woda na kąpiel dla tych, którzy mieli wrócić z pracy. Henryk i Lenora, zajęci rozrywaniem starego kalendarza, byli wyjątkowo grzeczni. Ojciec Bonnemort w milczeniu palił fajkę.

Ledwo Maheudka odsapnęła, zapukała pani Hennebeau.

– Pozwolicie, zacna kobieto, nieprawdaż?

Wysoka, jasnowłosa, nieco ociężała we wspaniałej dojrzałości swoich lat czterdziestu, wysilała się na przyjazny uśmiech, aby nie okazać obawy, że pobrudzi brązową jedwabną suknię i pelerynę z czarnego aksamitu.

– Proszę, niech państwo wejdą – zapraszała swoich gości. – Nie przeszkadzamy nikomu... No i cóż?

Czysto? A ta zacna kobieta ma siedmioro dzieci. Wszystkie mieszkania tak wyglądają... Wspominałam już państwu, że Towarzystwo liczy im sześć franków miesięcznie za mieszkanie składające się z wielkiego pokoju na dole, dwu pokoiów na piętrze, piwnicy i ogrodu.

Pan z rozetką i pani w futrze przybyli rannym pociągiem z Paryża. Spoglądali teraz trochę nieprzytomnie jak zwykle ludzie zaskoczeni sprawami zupełnie dla nich obcymi.

– I ogrodu – powtórzyła dama. – Ależ to urocze!

– Dajemy im węgla więcej, niż mogą wypalić – ciągnęła pani Hennebeau. – Dwa razy w tygodniu przychodzi do nich lekarz, a na starość otrzymują emeryturę, chociaż nie potracamy im nic z zarobków.

– Raj! Istny raj! – szepnął pan z rozetką, zachwycony.

Maheudka podsunęła krzesło, ale panie podziękowały. Panią Hennebeau zaczynała już nużyć rola oprowadzającego po menażerii, chociaż z początku rada była, że rozerwie się trochę w ten sposób na swym odludziu. Mdły zapach nędzy – mimo że wybrała domy utrzymane wyjątkowo czysto – budził w niej obrzydzenie. Powtarzała zresztą tylko strzępki zasłyszanych frazesów, gdyż sama nie interesowała się nigdy bliżej losem robotników żyjących w skrajnym niedostatku tuż obok niej.

– Jakie śliczne dzieci – szepnęła dama, której wydawały się one okropne ze swymi wielkimi głowami i spletaną gęstwą słomianych włosów.

Maheudka musiała powiedzieć, w jakim są wieku. Z grzeczności pytano ją również i o Estelkę. Ojciec Bonnemort w dowód szacunku wyjął fajkę z ust. Był on jednak zjawiskiem trochę niepokojącym: wyniszczony czterdziestoma latami pracy w kopalni, pokręcony, nogi miał zeszywniałe, twarz ziemistą. Dostał właśnie gwałtownego ataku kaszlu, wołał więc wyjść, żeby odplunąć na dworze, gdyż nie chciał swą czarną plwociną wzbudzać wstępu w przybyłych. Najbardziej zachwycano się Alzirą. Co za śliczna mała gosposia ze ściereczką! Winszowano matce, że ma córkę tak nad wiek rozwiniętą. Nikt nie wspominał o garbie, ale spojrzenia pełne litości i zażenowania wracały wciąż do biednej kaleki.

– Teraz – zakończyła pani Hennebeau – gdyby zapytał ktoś państwa w Paryżu o nasze osiedla robotnicze, będą państwo wiedzieli, co odpowiedzieć... Spokój, obyczaje patriarchalne, wszyscy szczęśliwi, zdrowi, jak państwo widzą. Zakątek, do którego powinni by państwo przyjechać

odpocząć w ciszy, na świeżym powietrzu.

– To wspaniałe, wspaniałe . – wykrzyknął pan w porywie zachwytu.

Wyszli zadowoleni, jak się wychodzi z jarmarcznego muzeum osobliwości. Maheudka wyprowadziła ich i stanęła na progu, a oni oddalali się powoli, rozmawiając bardzo głośno. Ulice się zaludniły. Mijali grupy kobiet wyległych na wieść o ich przybyciu, podawaną od domu do domu.

Lewaczka zatrzymała przed drzwiami Pierronkę, która również wybiegła z ciekawości. Obie udawały złośliwe zdziwienie. A to co? Czy ci państwo zamierzają nocować u Maheuów? Nie byłoby im tam zbyt wesoło!

– Wiecznie bez grosza, chociaż zarabiają wcale nieźle! Cóż, jak ktoś lubi zajrzeć do kieliszka!

– Dowiedziałam się przed chwilą, że poszła dziś rano na żebry do państwa z Piolaine, a Maigrat, który najpierw odmówił im chleba, dał go w końcu... Wiadomo, czym każe sobie płacić Maigrat.

– Chyba nie na nią ma ochotę! Na to trzeba, by było odwagi... Na pewno liczy na Katarzynę.

– Posłuchaj tylko, jaka ona bezczelna! Dopiero co odgrażała się u mnie, że zatłukłaby Katarzynę, gdyby coś o niej usłyszała!... A Chaval to co? Może nie chodzili ze sobą na szopę?

– Cicho! Idą ci państwo.

Obie kobiety spokojnie, bez niegrzecznej ciekawości, zerknęły ukradkiem na odchodzących. Potem żywo dały znak i Maheudka z Estelką na rękach przyłączyła się do nich. Wszystkie trzy stojąc nieruchomo spoglądały teraz na oddalające się pięknie odziane plecy pani Hennebeau i jej gości. Kiedy tamci znaleźli się o jakieś trzydzieści kroków od nich, języki rozwiązały się ze zdwojoną gwałtownością.

– Ale też one mają suknie! Więcej może warte od nich samych!

– Na pewno!... Tej drugiej nie znam, ale za tę naszą nie dałabym złamanego grosza, choć taka tłusta. Opowiadają o niej rozmaiteści.

– Jakie rozmaiteści?

– No, że ma tam różnych!... Przede wszystkim inżyniera...

– Tego chudzinę? Ależ on za malutki! Zgubiłaby go w łóżku.

– A cóż to szkodzi, jak jej się taki podoba? Ja tam nie dowierzam nigdy takim paniom, co się wiecznie krzywią i zawsze są niezadowolone... Popatrz tylko, jak ona kręci tym zadkiem, jakby nas wszystkich miała gdzieś. Czy to tak przystoi?

Goście szli dalej wolnym krokiem, rozmawiając. Nagle ukazała się karetka i zatrzymała na drodze, przed kościołem. Wysiadł z niej mężczyzna lat około czterdziestu ośmiu, smagły, z twarzą pełną urzędowej powagi i uprzejmości, ubrany w czarny surdut.

– Jej mąż! – szepnęła Lewaczka zniżając głos, jak gdyby mógł ją usłyszeć, przejęta lękiem przed władzą naczelnego dyrektora, lękiem, jaki wzbudzał on w dziesięciu tysiącach swoich robotników. – Ale też to i prawda, widać po nim, że jego kobieta sypia z innymi.

Teraz już całe osiedle wyległo na ulicę. Ciekawość wzrastała, grupki przybliżały się do siebie, tworzyły tłum. Po chodnikach biegały gromady zasmarkanych dzieci z otwartymi ustami.

Spoza parkanu okalającego szkołę wyjrzała nawet na chwilę błada twarz nauczyciela. Robotnik kopiący grzędę przerwał pracę, oparł nogę o łopatę i szeroko otworzył oczy. Szepty plotkujących kobiet wzmagaly się na sile, podobne do szelestu potrącanych przez wiatr zeschniętych liści.

Najwięcej kobiet zebrało się przed drzwiami Lewaczki.

Najpierw podeszły tam dwie, potem dziesięć, wreszcie dwadzieścia. Pierronka zamilkła teraz przezornie. Zbyt wiele uszu jej słuchało. Maheudka, jedna z najrozsądniejszych, również poprzestała na patrzeniu. Żeby uspokoić rozbudzoną i krzyczącą Estelkę, wyjęła swą pierś dobrej karmicielki, obwisła, jakby wydłużoną od pokarmu, którego zawsze była pełna.

Gdy pan Hennebeau wsadził panie do powozu, który ruszył w stronę Marchiennes, wśród kobiet podniosła się wrzawa. Wymachiwały rękami i przekrzykiwały się nawzajem. Przypominało to mrowisko, w którym wybuchła rewolucja.

Wybiła godzina trzecia. Robotnicy ze zmiany podsadzkowej, Bouteloup i inni, udali się do pracy. Nagle zza kościoła wynurzyli się pierwsi górnicy wracający z kopalni, o twarzach czarnych, w przemoczonej odzieży, zgarbieni, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kobiety rozbiegły się na wszystkie strony w poczuciu własnej winy – nadmiar kawy i plotek sprawił, że zaniedbały się w swych obowiązkach. Zewsząd dobiegały okrzyki kryjące w sobie zarodek przyszłej kłótni:

– Ach, mój Boże! A moja zupa! Moja zupa jeszcze nie gotowa!

IV

Kiedy Maheu wrócił do domu zostawiwszy Stefana u Rasseneura, zastał Katarzynę, Zachariasza i Janka przy stole. Kończyli zupę. Wracający z kopalni byli zazwyczaj tak zgłodniali, że siadali do jedzenia w przemoczonym ubraniu, jeszcze zanim się umyli. Jeden nie czekał na drugiego. Stół był nakryty cały dzień i zawsze siedział przy nim ktoś, bo różne godziny pracy kazały im spożywać posiłki o różnych porach.

Już od drzwi Maheu zobaczył zakupy. Nie powiedział nic, ale jego zatroskana twarz rozpogodziła się. Przez cały ranek dręczyła go myśl o pustym kredensie, bez kawy i masła, wracała bolesną świadomością, podczas gdy rąbał ścianę w głębi dusznego urobiska. Co zrobi żona? Jak sobie poradzi? I co będzie, jeżeli wróci z pustymi rękami? A tymczasem zastawał kredens pełen. Później się dowie, jak się to stało. Na razie śmiał się z zadowolenia.

Katarzyna i Janek wstali od stołu i pili kawę. Zachariasz, któremu nie wystarczyła zupa, ukroił sobie grubą kromkę chleba i posmarował ją masłem. Widział, że na talerzu leży salceson, ale nie ruszał go, gdyż mięso – jeżeli starczało go tylko dla jednej osoby – było dla ojca. Każde z nich popiło zupę wodą, pocziwym napojem, którym raczyli się zawsze przed wypłatą.

– Nie mam piwa – powiedziała Maheudka, kiedy mąż siadł do stołu. – Chciałam zostawić sobie trochę pieniędzy, ale jeśli chcesz, to mała poleci po kwaterkę.

Spojrzał na nią rozpromieniony. Jak to, więc i pieniądze ma także?

– Nie, nie – odparł. – Wypiłem już kufelek, to wystarczy.

Zabrał się do spożywania posiłku. Jadł powoli piętzącą się przed nim w misce gęstą mieszaninę chleba, kartofli, porów i szczawiu. Maheudka nie wypuszczając z rąk Estelki, pomagała Alzirze obsługiwać ojca. Przysuwała mu masło i salceson, stawiała kawę na ogniu, żeby była gorąca.

Tymczasem koło pieca zaczynała się kąpiel w obciętej do połowy beczce służącej za wannę. Pierwsza kąpała się Katarzyna. Napełniła beczkę letnią wodą i rozbierała się spokojnie. Zdjęła czapkę, bluzę, spodnie, wreszcie koszulę. Przywykła do tego od dzieciństwa i nie widziała w tym nic złego. Odwróciła się tylko przodem do ognia i mydliła się czarnym mydłem. Nikt na nią nie patrzył. Nawet Henryk i Lenora nie byli już ciekawi, jak ona wygląda. Po umyciu zupełnie naga poszła na górę, zostawiwszy przemoczone ubranie w kuchni. Teraz wybuchła kłótnia

między dwoma braćmi. Pod pretekstem, że Zachariasz jeszcze je, Janek wskoczył pierwszy do wody, Zachariasz odpychał go, krzyczał, że to jego kolej i że jeżeli ustąpił pierwszeństwa Katarzynie, to nie zamierza bynajmniej kąpać się w opłuczkach po nich obojgu, tym bardziej że wodą po Janku można by napelnić kałamarze szkolne. Skończyło się na tym, że zwróceniu przodem do ognia kąpali się równocześnie, pomagali sobie nawet wzajemnie szorując plecy. Potem, podobnie jak siostra, poszli nadzy na górę.

– Ależ nachlapali – mruknęła Maheudka podnosząc z ziemi przemoczone ubrania, żeby je wysuszyć. – Alziro, zetrzyj podłogę.

Przerwał jej hałas dolatujący zza ściany: przekleństwa, płacz, tupot nóg i głuche odgłosy uderzeń.

– Lewaczka dostaje swoje – stwierdził spokojnie Maheu skrobiąc łyżką po dnie miski. – A Bouteloup mówił, że zupa gotowa.

– Akurat, gotowa! – odparła Maheudka. – Widziałam jarzyny na stole jeszcze nawet nie obrane.

Krzyki wzmogły się, ściana zadrżała, z taką siłą pchnięto na nią kogoś, a później zapanowała cisza.

Górnik połknął ostatni kęs i zawyrokował spokojnie:

– Jeżeli zupa nie gotowa, to Levaque był w swoim prawie.

Wypił szklankę wody i wziął się do salcesonu. Kroił go w kostkę, nabierał na ostrze noża i zagryzał chlebem. Kiedy ojciec jadł, wszyscy zachowywali milczenie. On sam również się nie odzywał. Wydało mu się, że mięso nie pochodzi ze sklepu Maigrata, ale nie zadawał żonie żadnych pytań. Spytał tylko, czy stary śpi jeszcze. Nie, dziadek wyszedł już na swą codzienną przechadzkę. I znów umilkli.

Zapach salcesonu zwabił Henryka i Lenorę, którzy bawili się na podłodze rysując rzeki z rozlanej wody. Podeszli do ojca i stanęli tuż obok niego. Śledzili wzrokiem każdy kęs, z wyrazem nadziei, gdy ojciec brał go z talerza, a rozczarowania, gdy kładł go do ust. W końcu spostrzegł ich pożądlive spojrzenia, buzie pobladłe z łakomstwa i usta nabiegłe śliną.

– Czy dzieci jadły mięso? – spytał. Maheudka zawahała się.

– Wiesz – ciągnął dalej – że nie lubię takich niesprawiedliwości. To mi odbiera apetyt, jak tak stoją koło mnie i żebrzą o kawałek.

– Ależ jadły, jadły! – zawołała z gniewem. – No, jeżeli będziesz ich słuchał, to możesz im

oddać i swoją porcję i innych! Takie to nigdy nienasycone! Pękłyby, a jeszcze by jadły! Prawda, Alzira, że wszyscy mieliśmy mięso?

– Ależ tak, mamusiu – odparła garbuska, która w takich okolicznościach kłamała ze spokojną pewnością siebie dorosłej osoby.

Lenora i Henryk znieruchomieli z wrażenia, oburzeni, że matka, która ich bije, kiedy kłamie, sama mówi nieprawdę. Ich serduszka wezbrały żalem, mieli ochotę zaprotestować, powiedzieć, że ich nie było przy tym, kiedy *inni* jedli mięso.

– Wynoście mi się stąd! – krzyknęła matka odpędzając ich w drugi kąt izby. – Wstydzilibyście się tak zaglądać ojcu do talerza. A niechby nawet on sam tylko jadł mięso, to i co? Albo to nie pracuje? A wy co, łobuzy jedne, tylko pieniądze kosztujecie, a pożytku z was żadnego!

Maheu przywołał dzieci do siebie, posadził Lenorę na lewym kolanie, Henryka na prawym i podzielił się z nimi resztką salcesonu. Krajał im drobne kawałki, a malcy wcinali uradowani.

Skończywszy odezwał się do żony:

– Nie, nie nalewaj mi teraz kawy. Najpierw się umyję. Pomóż mi tylko wylać brudną wodę.

Wzięli ceber za uszy i wylali jego zawartość do ścieku przed domem. Tymczasem Janek zszedł z góry. Ubrany był w suchą odzież, miał na sobie wełniane spodnie i bluzę brata, zbyt obszerne i spełznięte. Widząc, że chce wymknąć się ukradkiem, matka zatrzymała go we drzwiach:

– Gdzie?

– A, w jedno miejsce.

– Gdzie „w jedno miejsce”?... Słuchaj, musisz przynieść na wieczór trochę zimowej sałaty. Słyszysz? Jak nie, to dostaniesz!

– Dobrze, dobrze!

Odszedł z rękami w kieszeniach, powłócząc sabotami i kołysząc się w biodrach jak stary górnik. Po nim zjawiał się Zachariasz, ubrany bardziej starannie, w czarnym wełnianym trykocie w niebieskie paski. Ojciec krzyknął do niego, żeby nie wracał późno. Skinął głową bez słowa i oddalił się z fajką w zębach.

Beczkę napełniono znów letnią wodą. Maheu powoli zdejmował bluzę. Na jego skinienie Alzira wyprowadziła Lenorę i Henryka na dwór. Ojciec nie lubił myć się przy wszystkich, jak to czyniło wielu jego kolegów. Nie miał tego zresztą nikomu za złe, mówił tylko, że chlapanie się

razem w wodzie to dobre dla dzieci.

– Co ty tam robisz? – zawołała Maheudka podchodząc do schodów.

– Naprawiam sukienkę, wczoraj mi się rozdarła – odpowiedziała Katarzyna.

– Dobrze. Nie schodź teraz, ojciec się myje.

Maheu został sam z żoną. Maheudka ułożyła Estelkę na krześle, a mała, której było ciepło przy piecu, nie płakała tym razem, spoglądała na rodziców pozbawionymi wyrazu oczami niemowlęcia. Maheu, rozebrany do naga, pochylił się najpierw nad cebrem i zanurzył w nim głowę. Używane przez górników czarne mydło sprawiało, że włosy ich żółkły z czasem i traciły właściwą barwę. Potem wszedł do wody, namydlił piersi, brzuch, ramiona, lędźwie i szorował je energicznie obu dłońmi. Żona stała obok i spoglądała na niego.

– Słuchaj – zaczęła. – Widziałam, jaką miałeś minę, jak przyszedłeś... Martwiłeś się, co? I dopiero ci się humor poprawił, jak zobaczyłeś te zakupy... Wyobraź sobie, że w Piolaine nie dali mi ani grosza. Och, byli bardzo grzeczni, dali ubrania dla dzieci i wstyd mi było prosić ich jeszcze o pieniądze. Jakoś mi to nigdy nie chce przejść przez gardło.

Przerwała na chwilę i poszła poprawić Estelkę bojąc się, żeby nie spadła z krzesła. Maheu mył się nie przyśpieszając pytaniami dalszego ciągu jej opowiadania, chociaż go ciekawiło, czekając cierpliwie, aż zrozumie, o co chodzi.

– Muszę ci jeszcze powiedzieć, że Maigrat odprawił mnie z niczym, prawie że wypędził jak psa... Wyobrażasz sobie, jakem się czuła. Ciepłe ubranie piękna rzecz, ale tym się człowiek nie naje.

Maheu podniósł głowę milcząc w dalszym ciągu. W Piolaine nic, u Maigrata nic – więc skąd? Maheudka podwinęła rękawy, żeby zgodnie z codziennym zwyczajem wymyć mu plecy i te miejsca, do których trudno mu było sięgnąć samemu. Lubił, kiedy nacierała go mydłem z całych sił. Stawał sztywno, żeby oprzeć się jej rękom.

– W końcu wzięłam i wróciłam do Maigrata, i nagadałam mu, ile wlezie... Ze nie ma sumienia, że go jeszcze kiedyś los pokarze, jeżeli jest sprawiedliwość na tym świecie. Nie mógł tego słuchać, wywracał oczami i najchętniej byłby zwiął...

Od pleców przeszła do pośladków i szorowała męża z zapalem jak garnki przy sobotnim sprzątaniu. Spociała się przy tym i nie mogła złapać tchu.

– Powiedział mi wreszcie, że nie sposób się ode mnie odzepić... Będziemy mieli chleb do soboty i co najważniejsze, pożyczył mi pięć franków. Wzięłam u niego trochę masła, kawy,

cykorii, chciałam jeszcze wziąć mięsa i ziemniaków, ale zaczął burczeć... Siedem sous za salceson, osiemnaście za ziemniaki, to zostało jeszcze trzy franki siedemdziesiąt pięć na mięso i rosół... Nie zmarnowałam dzisiejszego ranka, co?

Wycierała go teraz, a on, szczęśliwy, nie myśląc o następstwach tego nowego długu, wybuchnął głośnym śmiechem i pochwycił ją w ramiona.

– Daj spokój, jesteś mokry i przemoczysz mi suknię... Boję się tylko, żeby Maigrat...

Już miała powiedzieć o Katarzynie, ale urwała w połowie zdania. Po co niepokoić męża? Zaczęłyby się awantury.

– Żeby co Maigrat? – zapytał.

– Żeby Maigrat nas nie oszukał, Katarzyna będzie musiała dobrze przejrzeć rachunki.

Objął ją znów i tym razem już nie puścił. Kąpiel zawsze kończyła się w ten sposób. Krew żywiej krążyła mu w żyłach, kiedy żona wytarła go mocno ręcznikiem. Zresztą dla wszystkich górników była to godzina zbytków, której zawdzięczało życie niejedno nieproszone dziecko. Noc ściągała im na kark całą rodzinę. Maheu przyparł żonę do stołu dowcipkując jak człowiek, który cieszy się jedyną dobrą chwilą w ciągu dnia. Nazywał to swoim „deserem” i to deserem, który nic go nie kosztował. Maheudka, ociężała i niekształtna, broniła się trochę dla żartów.

– Dajże spokój, człowieku, czyś ty oszalał!... Estelka na nas patrzy. Poczekaj, odwrócę jej głowę.

– Idź, niemądra! Abo to ona co rozumie?

Kiedy się podniósł, włożył na razie tylko kalessony. Lubił, kiedy się już umył i pobaraszkował z żoną, zostać przez chwilę bez koszuli, obnażony do pasa. Na jego białej skórze anemicznej dziewczyny ślady ran, zadraśnień, jakie wyniósł z kopalni, tworzyły osobliwy tatuaż, „pismo”, jak mówią górnicy. Maheu pysznił się tym, wyciągał mocne ramiona i wydymał szeroką pierś jakby wykutą z połyskliwego marmuru o niebieskich żyłkach. W lecie wszyscy górnicy wychodzili tak na progi domów. Maheu wyszedł i dziś na chwilę mimo wilgoci i rzucił poprzez ogródki słony żart koledze rozebranemu tak jak on. Ukazywali się coraz to nowi, a bawiące się na chodniku dzieci podnosiły głowy i łączyły swój śmiech z radością tych utrudzonych ciał wypoczywających na powietrzu.

Pijąc kawę, ciągle jeszcze nieubrany, Maheu opowiedział żonie o tym, jak inżynier złościł się na nich o stemplowanie. Odprężywszy się i wypocząwszy przytakiwał teraz mądrym radom Maheudki, która okazywała wiele zdrowego rozsądku w tych sprawach. Powtarzała mu zawsze,

że buntowanie się przeciw Towarzystwu do niczego nie doprowadzi. Potem opowiedziała mu o wizycie pani Hennebeau. Chociaż nie wyrazili tego na głos, oboje czuli się dumni.

– Mogę już zejść? – pytała z góry Katarzyna.

– Możesz, możesz, ojciec już się umył.

Dziewczyna włożyła odświętną sukienkę, starą sukienkę z szafirowej popeliny, spelzłą już i poprzecieraną.

Na głowie miała skromny czepeczek z czarnego tiulu.

– A cożeś się tak wystroiła? Gdzie idziesz?

– Do Montsou, kupić wstążkę do czepek... Odprułam starą, bo się już zbrudziła.

– To masz pieniądze?

– Nie, ale Mouquette obiecała mi pożyczyć dziesięć sous.

Matka pozwoliła jej wyjść, ale gdy już była we drzwiach, przywołała ją jeszcze:

– Tylko nie idź do Maigrata. Oszukałby cię, a poza tym mógłby pomyśleć, że mamy Bóg wie ile pieniędzy.

Ojciec, który grzał się koło ognia, dodał:

– I nie włócz się po nocy.

Po powrocie z kopalni Maheu pracował w ogrodzie. Posadził już tam ziemniaki, fasolę, groch, a teraz zamierzał posadzić kapustę i sałatę. Ogródek dostarczał im warzyw, tylko ziemniaków mieli zawsze za mało. Maheu doskonale znał się na ogrodnictwie, chodował nawet karczochy, co w oczach sąsiadów uchodziło za przesadę. Podczas gdy przygotowywał się do sadzenia, w sąsiednim, ogródku zjawił się Levaque, aby wypalić fajkę i zobaczyć, czy przyjęła się włoska sałata wysadzona rano przez Bouteloupa, bez którego starań w ogrodzie nie rosłoby nic prócz pokrzyw. Zawiązała się rozmowa poprzez siatkę. Levaque, podekscytowany biciem żony, usiłował namówić Maheua, żeby poszedł z nim, do Rasseneura. Cóż to, boi się wstąpić na szklankę piwa? Zagrają partię kręgli, pogadają chwilę z kolegami i wrócą na kolację. Tak robili zawsze po wyjściu z kopalni. Niewątpliwie nie było w tym nic złego, ale Maheu opierał się i twierdził, że jeżeli nie posadzi zaraz sałaty, to do jutra mu zwiędnie. W gruncie rzeczy odmawiał przez rozsądek. Nie chciał brać od żony ani grosza z tych pożyczonych pięciu franków.

Była piąta, kiedy Pierronka przysła dowiedzieć się, czy to nie z Jankiem wymknęła się ich Lidka. Levaque odparł, że na to wygląda, bo i Bébert zniknął także, a te urwisy trzymają się zawsze razem. Maheu uspokoił ich wyjaśnieniem, że Janek ma przynieść zimowej sałaty, i obaj

z kolegą zaczęli zaczepiać młodą kobietę rzucając jej sprośne żarty. Gniewała się niby, ale nie odchodziła, polectana ordynarnymi słowami, pokrzykując z udanym oburzeniem. Z pomocą przyszła jej jakaś chuda kobieta, której gniewliwe jąkanie przypominało gdakanie kury. Stojące we drzwiach domów inne kobiety obruszały się również, choć nie wiedziały, o co chodzi.

W szkole lekcje już się skończyły i ulice nappełnił tupot i rozgwar poszturchującej się dzieciarni.

Ojcowie, o ile nie poszli do szynku, przysiadali grupkami pod murami domów jak w głębi kopalni. Palili fajki odzywając się z rzadka. Pierronka odeszła zagniewana, kiedy Levaque próbował przekonać się, czy ma jędrne udo, on zaś ruszył sam do Rasseneuera, a Maheu dalej sadił kapustę.

Wieczór zapadał szybko, Maheudka zapaliła lampę zła, że ani córka, ani synowie nie wrócili. Żeby choć raz wszyscy zeszli się na ten jedyny posiłek, który mogli spożywać wspólnie! Czekala też na sałatę, którą miał przynieść Janek. Co on mógł zbierać o tej porze w tych ciemnościach? Smarkacz nieznośny! A sałata tak by się przydała na kolację do potrawki z kartofli, porów i szczawiu kraszonych smażoną cebulą. Jej zapach – ów charakterystyczny dla domów ludzi biednych zapach zjełczalego tłuszczu, którym nasiąkały mury i który czuć było z daleka – wypełniał całe mieszkanie.

Z zapadnięciem zmroku Maheu skończył pracę w ogrodzie, wrócił do domu i natychmiast usnął oparłszy głowę o ścianę. Wieczorem wystarczyło, żeby usiadł, a zaraz zasypiał.

Wybiła godzina siódma. Henryk i Lenora uparli się pomagać Alzirze w nakrywaniu do stołu i stłukli talerz.

Pierwszy zjawił się na kolację dziadek Bonnemort, któremu spieszno było do kopalni. Maheudka zbudziła męża.

– Wstawaj, nie będziemy już dłużej czekać na nich z kolacją... Do domu trafiają i tak. Szkoda tylko, że nie przynieśli mi sałaty!

V

Posiliwszy się Stefan poszedł na górę do swej ciasnej izdebki na poddaszu, z widokiem na le Voreux, w ubraniu rzucił się na łóżko i – śmiertelnie znużony – zaraz zasnął. W ciągu ostatnich dwóch nocy spał może cztery godziny. Kiedy obudził się o zmroku, przez chwilę nie potrafił zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje. Czuł się rozbity, głowa mu ciężła. Z trudem wstał z łóżka i postanowił przejść się trochę przed kolacją i nocnym spoczynkiem.

Na dworze ociepliło się. Pociemniałe niebo nabrało miedzianego połysku. Unosząca się w powietrzu wilgoć zwiastowała zbliżanie się jednego z owych przewlekłych deszczów północy. Noc zagarniała równinę szeroką falą, zatapiając ją w mroku. Nawet najłżejszy powiew wiatru nie ożywiał zawisłych ponad rudawą ziemią ciemności ponurych jak całun śmiertelny.

Stefan szedł przed siebie bez celu, chcąc orzeźwić się nieco. Mijając le Voreux, nie oświetlone jeszcze żadną latarnią, przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się robotnikom wychodzącym z kopalni. Widocznie wybiła już szósta, gdyż wozacy z nadszybia i zapychacze wysypywali się gromadnie, a wraz z nimi dziewczęta z sortowni, których śmiechy rozbrzmiewały w mroku.

Pierwsza wyszła stara Brûlé ze swym zięciem Pierronem.

Kłóciła się z nim, że nie stanął po jej stronie w sprzeczce z kontrolerem, który policzył jej za mało kamieni.

– Och, ty przeklęty niedołęgo! Kto to widział tak się płaszczyć przed tymi łajdakami, co nas wyzyskują!

Pierron szedł za nią w milczeniu, a w końcu rzekł:

– Miałem się może rzucić na niego, żeby potem mieć nieprzyjemności?

– No, to nastawiaj dalej tyłek, jak ci to sprawia przyjemność! – krzyknęła. – Ach, żeby moja córka była mnie posłuchała... Więc to jeszcze mało, że mi zabili męża, chciałbyś może, żebym im za to dziękowała, co? Niedoczekanie twoje! Jeszcze ja się kiedyś dobiórę do ich skóry!

Głosy przycichły. Stefan widział jeszcze orli nos starej Brûlé, jej białe rozwiane włosy i chude ramiona, którymi wymachiwała z gniewem. Potem znikła w ciemności.

Za sobą usłyszał rozmowę dwóch młodych ludzi i nastawił uszu. Poznał Zachariasza, który czekał na kogoś. Podeszedł do niego jego przyjaciel Mouquet.

– Przyjdiesz? – zapytał. – Przegryziemy coś najpierw, a potem pójdziemy do Wulkanu.

– Za chwilę. Muszę najpierw coś załatwić.

– Co znowu?

Mouquet odwrócił się i zobaczył Filomenę wychodzącą z sortowni. Domyślił się, o co chodzi.

– Aha... no, to ja pójdę naprzód.

– Dobrze, dogonię cię.

Mouquet odszedł i spotkał ojca, starego Mouque'a, który również wychodził z le Voreux. Pozdrowili się tylko nawzajem i syn skierował się na gościniec, a ojciec poszedł drogą wzdłuż kanału.

W tę samą stronę pociągnął Zachariasz opierając się Filomenę. Dziewczyna mówiła, że jej się śpieszy, że innym razem. Sprzeczali się ze sobą jak stare małżeństwo.

Co to za przyjemność spotykać się tylko gdzieś na dworze, zwłaszcza zimą, jak wszędzie mokro i nie ma już zboża, żeby się można w nim schronić.

– Ale nie, to nie o to idzie! – mruknął niecierpliwie Zachariasz. – Mam ci coś do powiedzenia.

Trzymał ją wpół i łagodnie prowadził ze sobą w parów, a gdy zniknęli w cieniu hałdy zapytał, czy ma pieniądze.

– A bo co? – powiedziała.

Zmieszał się, zaczął opowiadać o jakimś długu, którego nie ma czym spłacić.

– Co mi tam będziesz gadał! Widziałam, jak rozmawiałeś z Mouquetem. Znow chcecie iść do „Wulkanu”, do tych obrzydliwych śpiewaczek.

Zapierał się, bił się w piersi, dawał słowo honoru. Wreszcie widząc, że dziewczyna wzrusza na to ramionami, rzekł nagle:

– No to chodź z nami, jeżeli masz ochotę. Widzisz sama, że mi nie zależy na śpiewaczkach i że wcale mi nie będziesz przeszkadzać. Pójdiesz?

– A dziecko? – odparła. – Czy to człowiek może się ruszyć gdziekolwiek, jak ma dziecko, co wiecznie wrzeszczy?... Zostaw, muszę iść do domu. Dam głowę, że znow się tam żrą ze sobą.

Ale on zatrzymał ją i prosił. Obiecał Mouquetowi, że przyjdzie. Jak on by teraz wyglądał, gdyby nie poszedł? Mężczyzna nie może przecież codziennie chodzić spać razem z kurami. Przekonał ją wreszcie. Odwinęła połą kaftana, paznokciem rozerwała nitkę i wyciągnęła spod podszewki parę półfrankówek. Chowała tam swoje zarobki za godziny nadliczbowe, bojąc się,

że matka zagarnęłaby i to również.

– Mam wszystkiego pięć sztuk – powiedziała. – Dam ci trzy, ale najpierw musisz mi przysiąc, że nakłonisz matkę, aby zgodziła się na nasz ślub. Dostyc już tego życia w zawieszeniu! A jeszcze do tego moja matka wymawia mi każdy kęs, który biorę do ust... No, przysięgnij.! Przysięgnij najpierw!

Mówiła bezbarwnym głosem kobiety chorowitej, znużonej życiem, w której nie płonie już żadna namiętność. Zachariasz zaklinał się w głos, że to rzecz przyrzeczona, święta. Potem, gdy dostał pieniądze, całował dziewczynę, łaskotał, pobudzał do śmiechu i byłby może posunął się jeszcze dalej, gdyby nie to, iż powtórzyła mu kilkakrotnie, że nie, że nie sprawi jej to żadnej przyjemności. Zawróciła w stronę osiedla sama, zaś Zachariasz poszedł na przełaj przez pola, żeby dogonić kolegę.

Stefan machinalnie szedł z daleka za tamtymi dwojgiem, przekonany, że jest to zwykła schadzka miłosna. Dziewczeta z kopalni szybko dojrzewały. Przypomniawszy sobie robotnice z Lilie, na które czekał za bramą fabryki, te gromady czternastoletnich dziewcząt zdeprawowanych przez nędzę. Ale inne spotkanie zaciekało go bardziej. Przystanął.

U samych stóp hałdy, w zagłębieniu, do którego stoczyło się kilka dużych kamieni, siedział Janek i złościł się na Lidkę i Béberta, przycupniętych po obu jego stronach.

– Co takiego? Dam wam w zęby, jeżeli będziecie się jeszcze upominać? Czyj to był pomysł, co?

Rzeczywiście, pomysł był Janka. Przez godzinę wszyscy troje zbierali dziką sałatę na łąkach koło kanału. Potem stwierdziwszy, że nazrywali jej bardzo dużo, Janek doszedł do wniosku, że u niego w domu i tak wszystkiego nie zjedzą. Zamiast więc wrócić do osiedla poszedł do Montsou. Bébertowi kazał trzymać straż, a Lidkę wypchnął naprzód, żeby pukała do domów i sprzedawała sałatę. Z doświadczenia już wiedział, że dziewczynkom zawsze udaje się postawić na swoim. W zapale sprzedaży ani się spostrzegli, jak z sałaty nic nie pozostało. Ale Lidka zebrała za to aż jedenaście sous i teraz pozbywszy się towaru dzielili zyski.

– To niesprawiedliwe – oświadczył Bébert. – Trzeba podzielić na trzy... Jak ty weźmiesz siedem sous, to dla nas zostanie tylko po dwa.

– Co *znaczy* niesprawiedliwie? – zawołał Janek z gniewem. – Po pierwsze ja nazbierałem najwięcej!

Zazwyczaj Bébert podporządkowywał się Jankowi, a lękliwy podziw i łatwowierność czyniły

zeń ofiarę tamtego. Mimo że starszy i silniejszy, pozwalał się nawet bić po twarzy. Lecz tym razem żądza pieniędzy podniecała go do oporu.

– No powiedz, Lidka, czy on nas nie oszukuje? Jeżeli nie podzieli się po sprawiedliwości, to poskarżymy jego matce.

Janek podsunął mu pięść pod nos.

– Powtórz to jeszcze raz! To ja poskarżę na was, że sprzedaliście sałatę mojej matki... A zresztą jak ja u licha mam podzielić na trzy części te jednaście sous? Spróbuj sam, jakżeś taki mądry!... No, macie tu swoje dwa sous, a jak nie chcecie, to je schowam z powrotem i już.

Poskromiony Bébert wziął dwa sous. Lidka drżąca nie odezwała się przez cały czas ani słowem, gdyż czuła dla Janka pewną tkliwość, a jednocześnie bała się go, jak kobieta boi się mężczyzny, który ją bije, a którego kocha. Kiedy podawał jej dwa sous, wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się pokornie. Ale Janek rozmyślił się nagle.

– Nie, co byś ty z nimi zrobiła? Matka wzięłaby ci je na pewno. Więc lepiej ja ci je przechowam. Jak będziesz potrzebowała, to mi powiesz,

I dziewięć sous zniknęło w jego kieszeni. Żeby zamknąć jej usta, objął ją śmiejąc się i oboje osunęli się na stok hałdy. To była jego żoneczka. W ciemnych kątach próbowali bawić się ze sobą w tę miłość, z którą stykali się w domu zerkając przez szpary w drzwiach i podsłuchując. Wiedzieli już wszystko i nieraz całymi godzinami baraszkowali jak psiaki. Janek nazywał to zabawą w „tatę i mamę”. Ilekroć zabierał ją ze sobą, dziewczynka biegła w podskokach drząc wewnątrz w oczekiwaniu na coś, co nie przychodziło.

Béberta nie dopuszczano do tej zabawy i ile razy chciał dotknąć Lidki, dostawał szturchańca. Przyglądał się więc tylko, zły i rozgorączkowany, igraszkom tamtych dwojga, którzy bynajmniej nie krępowali się jego obecnością. Największą przyjemność sprawiało mu, kiedy mógł ich przestraszyć, przeszkodzić im wołając, że ktoś idzie.

– Nic z tego, jakiś gość na was patrzy!

Tym razem nie kłamał. Był to Stefan, który zmierzał w tę stronę. Dzieci zerwały się i uciekły, a on minął hałdę i poszedł dalej drogą nad kanałem, rozbawiony, że napędził stracha tym urwisom. Wcześniej zaczynali, to prawda, ale cóż? – tyle widzieli naokoło siebie, tyle słyszeli, że trzeba by ich chyba przywiązywać, aby nie robili tego samego. Ogarnął go smutek.

Kilkadziesiąt kroków dalej napotkał inne pary. Dochodził do Requillart, gdzie w ruinach starej kopalni spotykały się ze swymi kochankami dziewczęta z Montsou.

Zmurszałe ogrodzenie starej kopalni dawało wolny wstęp na plac zarzucony gruzem rozwalonych zabudowań, pośród których sterczały jeszcze szkielety belkowania. Leżały tu wózki niezdatne do użytku i stosy przegniłych pali. Bujna roślinność zagarnęła z powrotem ten zakątek, tryskała ku górze gęstym kobiercem traw i kępami młodych drzewek. Każda z dziewcząt czuła się tu jak w domu. Dla nikogo nie brakło ciemnych zakamarków, pary układały się na stosach belek, w wózkach, niejednokrotnie tuż obok siebie, ale nikt nie zwracał uwagi na sąsiadów. Wokół tej wygasłej kopalni i szybów znużonych wypluwaniem węgla życie, wolna miłość, rozpętane instynkty brały swój odwet.

A jednak ktoś tu przecież mieszkał: stróż, stary Mouque, któremu Towarzystwo zostawiło dwie izdebki przylegające do zniszczonej wieży wyciągowej, grożącej zawaleniem. Mouque podparł część zarysowanej powały i zamieszkał tu z rodziną. On z synem w jednej izbie, córka w drugiej. Ponieważ okna nie miały ani jednej szyby, pozabijał je deskami. Ciemno było teraz, ale za to ciepło. Zresztą Mouque nie dozorował niczego, doglądał tylko swoich koni w le Voreux, a o ruiny Requillart nie troszczył się wcale. Zachował się tylko szyb, który służył jako otwór wentylacyjny dla sąsiedniej kopalni.

I tak to stary Mouque kończył życie pośród par kochanków. Mając zaledwie dziesięć lat Mouquette zaczęła odwiedzać ciemne kąty kopalni, nie jako płochliwe, niedojrzałe jeszcze stworzonko jak Lidka, ale jako rozwinięta już i dorodna dziewczyna, dobra dla dorosłych mężczyzn. Ojciec nie miał tu nic do powiedzenia, zwłaszcza że Mouquette okazywała należyty mu szacunek i nie wprowadzała nigdy do domu swych przygodnych kochanków. Zresztą przywykł do takiego stanu rzeczy. Ile razy szedł do le Voreux lub wracał stamtąd, ilekroć wychodził ze swojej nory, musiał uważać, by nie nadepnąć na jakąś parę leżącą w trawie. Bywało jeszcze gorzej: kiedy szedł po drzewo lub po trawę dla królików na drugi koniec placu, jedna po drugiej podnosiły się głowy dziewcząt z Montsou, a on musiał uważać, żeby nie potknąć się o czyjeś nogi leżące w poprzek ścieżki. Z czasem obie strony nawykły do tych spotkań. Poczciwy staruszek uważał tylko, żeby nie upaść, i oddalał się dyskretnie, a dziewczęta nie kępowały się jego osobą. Z czasem poznał je wszystkie, tak jak się zna sroki siadające na gałęziach grusz w naszym ogrodzie. Ach, ci młodzi, jacyż oni byli żarłocznymi, jacy nienasyconymi!

Czasem kiwał głową z milczącym żalem i odwracał się, gdy któraś z dziewcząt zbyt głośno dyszała w ciemnościach. Jedno go tylko gniewało: jakaś para obrała sobie miejsce tuż pod murem jego domu. Nie mąciło mu to co prawda snu, ale narażało na szwank i tak słabą ścianę.

Co wieczór przychodził w odwiedziny do Mouque'a jego przyjaciel, dziadek Bonnemort, który w tym czasie odbywał swoją codzienną przechadzkę przed kolacją. Starcy mówili niewiele, przez pół godziny potrafili zamienić ze sobą zaledwie parę słów, ale sprawiało im przyjemność, że mogą posiedzieć razem i podumać wspólnie o minionych dziejach. Siadali jeden obok drugiego na belce, od czasu do czasu rzucali jakieś słowo, a później popadali w zamyślenie. Wracali ku własnej młodości. Wokół nich słychać było odgłosy pocałunków i zduszone śmiechy, a świeża woń traw mieszała się z ciepłym zapachem ciał dziewczęcych. Przed czterdziestoma trzema laty tu właśnie, za kopalnią, ojciec Bonnemort po raz pierwszy posiadał swoją żonę, dziewczynę tak drobną, że kiedy chciał ją wycalować, podsadzał ją na wózek. Ach, piękne to były czasy! Kiwając głowami starcy rozstawali się wreszcie, często nawet bez pożegnania.

Tego wieczoru jednak, w chwili gdy zjawił się Stefan, ojciec Bonnemort wstając z belki powiedział do swego przyjaciela:

– Dobranoc, stary... Słuchaj no, a znałeś Rudaskę?

Mouque milczał przez chwilę, potem wzruszył ramionami i zawracając w stronę domu mruknął:

– Dobranoc, dobranoc.

Teraz Stefan usiadł na belce. Posmutniał jeszcze bardziej, sam nie wiedząc dlaczego. Postać oddalającego się starca przypominała mu dzisiejszy ranek i potok słów, który wyrwał się temu milczącemu zazwyczaj człowiekowi. Ileż nędzy! I wszystkie te dziewczęta, upadające przez cały dzień pod ciężarem nadmiernego wysiłku, są jeszcze na tyle głupie, że wieczorem płodzą dzieci, żer dla cierpienia i pracy! Czy nie powinny raczej zaciskać lędźwi, aby nie dopuścić do narodzin nowych głodomorów? Może dlatego przeżuwał teraz te ponure myśli, że był sam, gdy inni spędzali ten wieczór we dwoje, i samotność ciążyła mu. Było ciepło, rzadkie krople deszczu chłodziły jego płonące dłonie. „Tak, to jest silniejsze niż rozsądek – myślał – i żadna z nich nie potrafi się temu oprzeć.”

Kiedy tak siedział w mroku, bez ruchu, jakaś para nadeszła od strony Montsou, minęła go nie zauważywszy i zapuściła się w głąb terenu Requillart. Dziewczyna, zapewne jeszcze niewinna, wrywała się, stawiała opór, szepcząc coś błagalnie, gdy tymczasem mężczyzna popychał ją w milczeniu w stronę szopy, pod którą leżał stos zbutwiałych lin. Byli to Katarzyna i Chaval. Ale Stefan nie poznał ich, kiedy go mijali, i teraz śledził ich wzrokiem, ciekaw, jak się to skończy,

ogarnięty nagle zmysłowym podnieceniem. Po co miałyby interweniować? Kiedy dziewczęta mówią „nie”, to znaczy, że mają ochotę, aby wzięto je siłą.

Katarzyna wyszedłszy z domu poszła gościńcem do Montsou. Od dziesiątego roku życia, to jest od chwili, kiedy zaczęła pracować w kopalni, chodziła wszędzie sama. Górnicy zostawiali dzieciom całkowitą swobodę. Jeżeli żaden mężczyzna nie wziął jej dotychczas, to dlatego, że wciąż jeszcze była dzieckiem a nie dojrzałą fizycznie dziewczyną. Doszedłszy do warsztatów Towarzystwa przeszła na drugą stronę i wstąpiła do znajomej praczki, pewna, że zostanie u niej Mouquette, od rana do wieczora było tam bowiem pełno kobiet, które popijały kawę. Ale spotkało ją rozczarowanie. Mouquette wydała właśnie pieniądze na poczęstunek i nie mogła jej pożyczyć obiecanych dziesięciu sous. Aby ją pocieszyć, zaproponowano jej szklankę gorącej kawy.

Katarzyna nie zgodziła się, żeby Mouquette zapożyczała się dla niej u jakiejś innej kobiety. Ogarnął ją zabobonny lęk, że gdyby kupiła teraz tę wstążkę, przyniosłaby jej ona nieszczęście.

Wyszła więc szybko i zawróciła w stronę osiedla. Gdy mijała ostatnie domy Montsou, jakiś mężczyzna stojący w drzwiach szynku Piquette'a zawołał ją:

– Dokąd tak pędzisz, Katarzyna?

Był to Chaval. Poczowała niezadowolenie, nie dlatego, że się jej nie podobał, ale dlatego że nie miała ochoty do żartów.

– Wejdz no na chwilę, napijesz się czegoś... Kieliszeczek słodkiej, chcesz?

Odmówiła grzecznie. Ściemnia się, czekają na nią w domu. Podszedł do niej i zaczął namawiać ją szeptem. Od dawna już chciał skłonić ją, aby przyszła do niego. Zajmował u Piquette'a piękny pokój na pierwszym piętrze, z wielkim łóżkiem w sam raz na dwoje. Więc się go boi, że zawsze odmawia? Katarzyna śmiała się dobrodusznie, mówiąc, że przyjdzie do niego w taki dzień, kiedy się z tego nie biorą dzieci. Od słowa do słowa powiedziała mu wreszcie o niebieskiej wstążce, której nie udało jej się kupić.

– Ależ ja ci ją kupię! – zawołał.

Zarumieniła się czując, że powinna odmówić, ale jednocześnie nie potrafiła oprzeć się chęci posiadania wstążki. *Znów* przyszło jej na myśl, że mogłaby tylko pożyczyć i pod tym warunkiem przystała. Zaczęli żartować na nowo: umówili się, że o ile się z nim nie prześpi, to zwróci mu pożyczone pieniądze. Ale kiedy zaproponował jej, aby poszli do Maigrata, zaprotestowała.

– Nie, nie do Maigrata, mama mi zabroniła.

– Dajże spokój, kto by tam opowiadał mamie, gdzie idzie. Maigrat ma najładniejsze wstążki w całym Montsou.

Gdy Maigrat zobaczył Katarzynę i Chavala wchodzących do sklepu jak dwoje kochanków kupujących podarek weselny, poczerwieniał mocno i pokazał im niebieskie wstążki z wściekłością człowieka, z którego zadrwiono.

Potem, gdy wyszli ze sklepu, stanął we drzwiach i spoglądał za nimi, dopóki nie zniknęli w zmroku. Żonie, która zapytała go o coś nieśmiałym głosem, odkrzyknął z gniewem, że on jeszcze kiedyś pokaże tym wszystkim niewdzięcznikom, którzy powinni całować go po rękach, a okazują się bezczelni!

Chaval szedł obok Katarzyny z rękami spuszczoneymi, popychając ją tylko lekko biodrem i w ten sposób niepostrzeżenie nadając kierunek jej krokom. Dopiero po pewnym czasie spostrzegła, że zeszli z gościńca i znaleźli się na wąskiej ścieżce wiodącej do Requillart. Ale nim zdążyła się rozgniewać, Chaval objął ją wpół i zasypał czułymi słówkami. Jaka ona niemądra, że się go boi. Czy mógłby zrobić coś złego takiemu kurczątku, gładziutkiemu jak jedwab, słodziutkiemu, że miałby ochotę je zjeść? Czula jego oddech na szyi, przechodził ją dreszcz. Gardło miała ściśnięte i nie znajdowała ani słowa odpowiedzi. Rzeczywiście już od dawna wydawał się w niej zakochany. W sobotę, zgasiwszy świecę, myślała nawet o tym, co by to było, gdyby ją tak wziął? Usypiając już wyobraziła sobie, że przestała się opierać, i ogarnęło ją rozkoszne znużenie. Dlaczegoż więc dzisiaj na myśl o tym samym odczuwała wstręt i jakby żal? I kiedy Chaval pochylał się nad nią, a jego wąsy łaskotały ją w szyję tak pieszczotliwie, że aż przymykała oczy, w ciemności opuszczonych powiek przesunął się przed nią cień innego mężczyzny, chłopca, którego spotkała rano.

Raptem rozejrzała się dokoła. Chaval zaprowadził ją do Requillart. Cofnęła się wzdrygając na widok pograżonej w ciemności na pół rozwalonej szopy.

– Och, nie – szepnęła – proszę cię, puść mnie!

Ogarnął ją strach przed samcem, strach, który napina mięśnie dziewcząt w instynkcie samoobrony nawet wówczas, gdy pragną mężczyzny i czują jego zwycięską bliskość. Dziewiczość jej, wszystkiego już świadoma, trwożyła się jednak jak przed groźbą ciosu, przed bólem, którego nie знаła jeszcze.

– Nie, nie chcę! Mówię ci, że jestem jeszcze za młoda... Naprawdę, później, jak już będę chociaż miała swój czas.

– Głupia, tym lepiej, nie musisz się przynajmniej bać dzieciaka, więc co ci to szkodzi – rzucił zduszonym głosem.

Później zamilkł.

Chwycił ją mocno i rzucił pod szopę. Upadła na wznak na liny i przestała się opierać, oddając się mężczyźnie, zanim doszła do lat, z tą dziedziczną uległością dziewcząt z jej środowiska, sprawiającą, że jeszcze niemal w dzieciństwie tracą one cnotę. Jej przerażony szept zagasł i słychać było tylko przyspieszony oddech mężczyzny.

Stefan słuchał nieporuszony. Jeszcze jedna więcej... Potem podniósł się ogarnięty niemiłym uczuciem jakiegoś zazdrosnego podniecenia graniczącego z gniewem. Nie usiłował już ukryć swojej obecności, głośno przechodził przez belki. Tamci dwoje zbyt byli w tej chwili zajęci sobą, żeby zwracać na to uwagę. Zdziwił się więc, kiedy uszedłszy kilkadziesiąt kroków obejrzał się i zobaczył, że już wstali i tak samo jak on kierują się w stronę osiedla. Mężczyzna obejmował ramieniem dziewczynę, tulił ją do siebie z wdzięcznością, szepcząc jej coś do ucha, ona zaś przyspieszała kroku, jakby niezadowolona, że o tak późnej porze nie jest jeszcze w domu.

Stefana ogarnęła nagle chęć zobaczyć ich twarze. Czuł, że to niemądre, i naumyślnie szedł szybciej, żeby nie ulec pokusie. Ale nogi zwalniały same; przy pierwszej latarni skrył się w cieniu. Z osłupieniem poznał w tych dwojgu Katarzynę i Chawala. W pierwszej chwili sam nie był pewien: czy to naprawdę ona, ta dziewczyna w szafirowej sukience i tiulowym czepeczku? Czy to ten sam wyrostek, którego widział w spodniach i w płóciennej czapce? Teraz nie dziwił się już, że mógł otrzeć się o nią i nie wyczuć jej kobiecości. Wątpliwości jego rozproszyły się, gdy ujrzał jej oczy, te same oczy zielonkawe i przejrzyste jak woda źródłana. Dziwka! Odczuwał gwałtowne pragnienie zemśczenia się na niej, niczym nieumotywowane, płynące z pogardy. Zresztą wcale nie było jej do twarzy w tym dziewczęcym stroju: wyglądała okropnie.

Katarzyna i Chaval minęli go powoli. Nie wiedzieli, że ktoś na nich patrzy. On przyciągał ją do siebie, żeby pocałować w szyję, ona zwalniała kroku rozbawiona jego pieszczotami. Wyprzedzili Stefana i zmuszony był teraz iść za nimi, zły, że zagrażają mu drogę i każą być świadkiem rzeczy, które doprowadzały go do wściekłości.

Więc to była prawda, co powiedziała mu dziś rano: nie należała jeszcze do nikogo. A on jej nie uwierzył, wyrzekł się jej, pozwolił ją sobie sprzątnąć sprzed nosa, zabawiał się głupio podglądaniem ich! Myśl o tym doprowadzała go do szału. Zaciskał pięści ostatecznie wyprowadzony z równowagi.

Przechadzka trwała pół godziny. Dochodząc do le Voreux Chaval i Katarzyna jeszcze bardziej zwolnili kroku. Dwukrotnie zatrzymali się nad kanałem, a trzy razy koło hałdy, bardzo weseli teraz i czule sobą zajęci. Z obawy, aby go nie zauważyli, Stefan robił te same przystanki co oni. Usiłował zagłuszyć w sobie wszystkie inne uczucia prócz brutalnego żalu: na przyszłość nie będzie się już bawił w delikatność i oszczędzał dziewcząt! Kiedy minęli le Voreux i mógł już swobodnie pójść do Rasseneura na kolację, nie zrobił tego. Poszedł dalej za tamtymi dwojgiem, odprowadził ich aż do osiedla, zatrzymał się i stał przez kwadrans czekając, aż Chaval puści Katarzynę do domu. I dopiero kiedy upewnił się, że nie są już razem, poszedł w kierunku Marchiennes. Szedł długo, nie myśląc o niczym, zbyt przygnębiony i smutny, żeby zamknąć się w czterech ścianach swej izby.

Dopiero o godzinę później, około dziewiętej, zawrócił tłumacząc sobie, że musi coś zjeść i przespać się, jeżeli chce wstać jutro do pracy o czwartej rano. Osiedle pograżone już było we śnie i w mroku. Ani jeden promień światła nie przedzierał się przez szpary opuszczonych żaluzji. Fasady domów ciągnęły się szeregiem jak koszary zmożone sennością. Jakiś kot przemknął przez opustoszałe ogródki. Dzień się skończył. Górnicy zmordowani pracą i ociążali po wieczornym posiłku ledwo wstali od stołu, kładli się do łóżek.

U Rasseneura jeden mechanik i dwóch robotników dziennych popijało w oświetlonej sali. Zanim tam wszedł, Stefan zatrzymał się i raz jeszcze ogarnął wzrokiem ciemności. Przed nim rozpościerał się ten sam czarny bezmiar, który ujrzał rano, kiedy tu przybył. Przyczajone w mroku jak zła bestia le Voreux jarzyło się tu i ówdzie światłami latarni. Trzy stosy węglowe na hałdzie płonęły jak krwawe księżyce, a na ich tle rysowały się czasem powiększone do nadnaturalnych rozmiarów sylwetki ojca Bonnemort i jego gniadosza. Dalej wszystko tonęło w ciemności: Montsou, Marchiennes las Vandame, morze buraków i zboża, na którym jaśniały jedynie, niby odległe latarnie morskie, czerwone światła baterii koksowych i niebieskie światła wielkich pieców. Mżył drobny deszcz napełniając monotonnym szmerem tę pustkę, w której tylko jeden głos dawał się jeszcze słyszeć: powolny, ciężki oddech pompy dyszącej dniem i nocą.

CZĘŚĆ TRZECIA

I

Nazajutrz i w dni następne Stefan podjął swą pracę w kopalni. Przyzwyczał się do niej, dostosował do nowego trybu życia, który wydawał mu się tak ciężki na początku.

Monotonie pierwszych dwóch tygodni przerwała mu tylko choroba, chwilowa gorączka, która zatrzymała go przez dwa dni w łóżku. Czuł się rozbity, głowa mu pałała, majaczył, że pcha wózek chodnikiem zbyt ciasnym, żeby mógł się w nim zmieścić. Było to po prostu przemęczenie i prędko przyszedł do siebie.

Dnie mijały za dniami, upływały tygodnie, miesiące. Teraz, tak jak i inni koledzy, wstawał o trzeciej, wypijał kawę, brał przygotowaną poprzedniego dnia przez panią Rasseneur cegiełkę. Codziennie rano idąc do pracy spotykał Bonnemorta, który szedł do domu, a wracając po południu Bouteloupa udającego się do kopalni. Nosił hełm, spodnie i kaftan płócienny, dygotał z zimna i grzał plecy w baraku przy piecu. Potem czekał bosy w przeciagu, przed okienkiem biura. Przestał już zwracać uwagę na stalowe człony wyciągu połyskujące w górze, na czarne skrzydła kabli pomykających bezszelestnym lotem nocnych ptaków, na klatki windy pojawiające się i znikające wśród zgiełku sygnałów, nawoływań i zgrzytu wózków.

Jego lampa źle się paliła, ten przeklęty lampiarz nie oczyścił jej widać. Z odrętwienia budził się Stefan dopiero wtedy, gdy młody Mouquet wpychał ich do windy żartobliwie klepiąc dziewczęta po pośladkach. Winda spadała jak kamień w głąb szybu, a on nie podnosił nawet głowy, żeby zobaczyć niknące w górze światło dzienne. Nie myślał o możliwości katastrofy; im głębiej zjeżdżał, tym bardziej czuł się u siebie. Gdy Pierron wypuszczał ich na dole, wylegali na

chodniki tupocząc i rozchodzili się grupami, każdy do swego miejsca pracy.

Stefan znał teraz wszystkie przejścia lepiej niż uliczki w Montsou, wiedział, gdzie trzeba skręcić, a gdzie się pochylić lub ominąć kałużę. Tak oswoił się z dwukilometrową trasą, którą przebywał co dzień, że mógłby iść tamtędy bez lampy, z rękami w kieszeniach. Spotykał zawsze te same postacie: sztygar przechodząc oświecał twarze górników, ojciec Mouque wiódł konia, Bébert prowadził parsającego Bataille'a, Janek biegł za wózkami, żeby pozamykać tamy wentylacyjne, tłusta Mouquette lub chuda Lidka popychała wózki z węglem. Z czasem coraz mniej odczuwał wilgoć i zaduch urobisk.

Ślepy szybik wydawał mu się obecnie wygodnym przejściem, jak gdyby on sam zmałał i mógł się teraz przedostać przez szczeliny, do których przedtem nie odważyłby się wsunąć ręki. Widział w ciemności, przywykł do pyłu, który wdychał, i do tego, że od rana do wieczora odzież jego mokra była od potu. Nie marnował już teraz niepotrzebnie sił, doszedł do wprawy tak szybko, że koledzy dziwili się temu. Po trzech tygodniach zaliczał się do dobrych ładowaczy. Wkrótce nikt nie puszczał tak szybko wózka na pochylnię i nie ładował tak składnie jak on. Drobnej budowy, wszędzie się precyzował, a jego małe jakby kobiece ręce były przy pracy jak ze stali. Zapewne przez wrodzoną dumę nie skarżył się nigdy, nawet kiedy upadał ze zmęczenia. Zarzucano mu tylko, że nie zna się na żartach i o byle co się obraża. Wszyscy uważali go już teraz za prawdziwego górnika – został przyjęty do ich grona, a przytłaczająca siła przyzwyczajenia zamieniała go powoli w maszynę.

Największą sympatią darzył Stefana Maheu, który szanował ludzi umięjących dobrze pracować. Tak samo jak inni czuł zresztą, że Stefan góruje nad nim wykształceniem. Widział niejednokrotnie, że tamten czyta, pisze, robi jakieś wykresy, słyszał, jak mówi o rzeczach jemu samemu zupełnie nie znanych. Nie dziwiło go to; był zdania, że górnicy mają głowy twardsze od maszynistów. Zdumiewała go tylko odwaga tego chłopca, stanowczość, z jaką zabrał się do pracy w kopalni, żeby nie zginąć z głodu. Z przyjętych przypadkowo robotników on pierwszy zaaklimatyzował się tak szybko. Gdy więc śpieszyło się im z wyrębem i Maheu nie chciał odrywać od pracy żadnego z rębaczy, a trzeba było podstemplować strop, powierzał tę robotę Stefanowi, pewien, że tamten wykona ją jak należy. Przełożeni nie dawali im spokoju z tym przeklętym stemplowaniem i Maheu bał się stale, że lada chwila może nadejść inżynier Négrel w towarzystwie Dansaerta, i zacząć się krzyki i napominania. Zauważył, że kiedy Stefan podstempluje strop, tamci panowie, mimo że z zasady mieli zawsze miny niezadowolone i-

odgrażali się, że Towarzystwo położy kiedyś radykalnie kres wszelkim nieporządkom – w gruncie *rzeczy są* jednak kontenci. Pretensje do Towarzystwa wzrastały, w kopalni powstawał ferment, nawet Maheu, człowiek spokojny, zaciskał pięści.

Między Stefanem a Zachariaszem istniała z początku rywalizacja. Któregoś dnia o mało nie doszło do bójki. Lecz Zachariasz, dobroduszny z natury, dbały jedynie o własną przyjemność, natychmiast dał się ułagodzić zaproszeniem na piwo, a po pewnym czasie sam uznał wyższość kolegi. Również i Levaque odnosił się teraz, do Stefana przyjaźnie i rozmawiał z nim o polityce, w której jak twierdził, ładowacz miał swoje zdanie. I tylko ze strony Chawała odczuwał Stefan jeszcze skrytą niechęć, choć zewnętrznie nawiązali stosunki koleżeńskie. Kiedy jednak pośród żartów spojrzenia ich spotykały się, jarzył się w nich gniew.

Katarzyna, zmęczona i zrezygnowana, pchała wózki wyężdżając wszystkie siły, w dalszym ciągu miła dla swego współtowarzysza, który pomagał jej nieraz, równocześnie jednak uległa wobec kochanka, któremu pozwalała pieścić się przy wszystkich. Ich stosunek nie był dla nikogo tajemnicą i nie wywołał niczyjego sprzeciwu, nawet rodzina Katarzyny przymykała na to oczy. Co dzień wieczorem Chaval szedł z dziewczyną za hałdę, a potem odprowadzał ją do samych drzwi i całował na pożegnanie na oczach całego osiedla. Stefan, któremu zdawało się, że pogodził się z tym stanem rzeczy, żartował z tych spacerów używając dosadnych słów, jakie padają w rozmowach pomiędzy dziewczętami i chłopcami pracującymi razem w kopalni. Katarzyna odpowiadała mu w ten sam sposób, przechwalała się tym, co robił z nią kochanek, lecz kiedy oczy jej spotkały się z oczami Stefana, spuszczała powieki zmieszana i pobladła. Oboje odwracali głowy i nie odzywali się do siebie przez dłuższy czas, jakby zagniewani z powodu czegoś, co legło pomiędzy nimi, a co pokrywali milczeniem.

Nadeszła wiosna. Pewnego dnia wychodząc z kopalni Stefan wciągnął w piersi ciepłą falę kwietniowego powietrza przesiąkniętego zapachem świeżej ziemi i kielkujących pędów. I z każdym dniem wiosna pachniała coraz piękniej i grzała go coraz mocniej po dziesięciogodzinnej pracy w wiecznym zimnie kopalni, wśród wilgotnych ciemności, gdzie nie istniało lato.

Dnie stawały się coraz dłuższe i w maju Stefan rozpoczynał pracę o wschodzie słońca, kiedy niebo obsypywało le Voreux złotym pyłem jutrzeńki i różowiło kłęby pary. Objęci płynącym z dalekiej równiny ciepłym oddechem górnicy przestali dygotać z zimna. Wysoko na niebie śpiewały skowronki.

O trzeciej, kiedy wychodzili, widnokrąg płonął, rzucając czerwony odbłask na pokryte

węglowym pyłem mury. W czerwcu zboża były już wysokie, a ich modra zieleń odcinała się od ciemnej zieleni liści buraczanych. Razem tworzyły bezbrzeżny ocean falujący za lada podmuchem i coraz to wzbiegający zielonością. Topole nad kanałem okryły się liśćmi, hałda porośla trawą, na łąkach zakwitły kwiaty. Ziemia tryskała życiem, a on tymczasem męczył się w jej głębi.

Kiedy wychodził teraz wieczorem na spacer, już nie za hałdą spotykał pary kochanków. Ślady ich stóp biegły pośród zbóż, a ich gniazda niby gniazda tokujących ptaków wskazywało kołysanie się dojrzewających kłosów i wielkich czerwonych maków. Zachariasz i Filomena przychodzili tam z przyzwyczajenia, jak stare małżeństwo. Matka Brûlé, stale szukająca Lidki, za każdym razem odnajdywała ją z Jankiem. Dzieci zaszywały się tak głęboko, że trzeba było niemal nastąpić na nie, aby nakłonić je do ucieczki. Co do Mouquette – to wszędzie jej było pełno i nie sposób było przejść przez pole, żeby nie dojrzeć jej głowy zanurzającej się w zbożu i wychylających się stamtąd za chwilę gołych nóg.

Stefan nie widział w tym wszystkim nic złego i gorszył się jedynie wtedy, gdy spotykał Katarzynę z Chavalem.

Dwa razy widział, jak za jego zbliżeniem zniknęli w zbożu, kłosy zastygły nieruchomo nad miejscem, gdzie się skryli. Innym razem idąc wąską ścieżyną wśród pól ujrzał ponad łanem jasne oczy Katarzyny, które nagle znikły. Wówczas ogromna równina wydała mu się zbyt mała. Spędził wieczór u Rasseneura.

– Pani Rasseneur, proszę o jedno ciemne... Nie, nie wyjdę dziś nigdzie, jestem zmęczony.

I zwrócił się do kolegi, który siadywał zazwyczaj przy stole w głębi, z głową opartą o ścianę.

– A ty, Suwarin, nie napijesz się?

– Dziękuję, nie piję.

Stefan poznał Suwarina stykając się z nim u Rasseneura. Suwarin był maszynistą w le Voreux i zajmował umeblowany pokój obok Stefana. Mógł mieć lat trzydzieści, szczupły, blondyn o bujnej czuprynie i nikłym zarostcie, rysy miał delikatne, a białe zęby, mały nos, drobne usta i różowość cery nadawały jego twarzy wyraz dziewczęcy, wyraz łagodnego uporu zaostrowany jedynie stalowym błyskiem szarych oczu. W jego ubogim pokoju stała tylko paka z papierami i książkami. Był Rosjaninem, nie opowiadał nigdy o sobie i nie troszczył się o to, co ludzie o nim mówią. Górnicy, nieufni w stosunku do cudzoziemców, sądzili widząc jego małe dłonie burżuja, że należy do obcej im klasy, i wymyślili z początku historię jakiejś zbrodni i kary, przed którą

rzekomo uciekł. Okazał się jednak taki braterski, bez cienia pychy, rozdawał smarkaczom z osiedla wszystkie drobne, jakie posiadał, że koledzy przyjęli go do swego grona, uspokojeni krążącą o nim gadką, że jest zbiegiem politycznym. To słowo, niezupełnie dla nich jasne, było w ich oczach usprawiedliwieniem nawet dla popełnionej zbrodni i rękojmią braterstwa w cierpieniu.

W pierwszych tygodniach Stefan stronił od niego i dopiero później poznał jego dzieje. Suwarin był najmłodszym dzieckiem pewnej szlacheckiej rodziny z guberni tulskiej. W Petersburgu, gdzie studiował medycynę, zetknął się z prądami socjalistycznymi, które nurtowały wówczas całą młodzież rosyjską, przejął się nimi, postanowił nauczyć się rzemiosła i wejść pomiędzy lud, żeby poznać go i nieść mu pomoc. Został mechanikiem i w ten sposób zarabiał na życie. Po nieudanym zamachu na cara (cały miesiąc spędził Suwarin w piwnicy pewnego handlarza owocami szykując podkop i przygotowując bomby, w każdej chwili narażony na to, że razem z kamienicą wyleci w powietrze) musiał uciekać z Rosji. Rodzina się go wyrzekła, pieniędzy nie miał, jako obcokrajowiec nie mógł otrzymać pracy w żadnym warsztacie francuskim, gdyż tutejsze władze widziały w nim szpiega, przymierał więc głodem, kiedy Towarzystwo w Montsou zdecydowało się wreszcie przyjąć go nie mając innego fachowca pod ręką. Pracował już od roku, w jednym tygodniu we dnie, a w następnym nocą. Wstrzemięźliwy, milczący i dokładny zyskał sobie opinię dobrego robotnika i stawiany był przez przełożonych za przykład.

– Więc tobie nigdy nie chce się pić? – spytał ze śmiechem Stefan.

– Chce mi się pić przy jedzeniu – odparł tamten łagodnie i prawie bez obcego akcentu.

Stefan zaczął żartować z niego, zaklinając się, że widział go kiedyś w zbożu niedaleko Jedwabnych Pończoch z jedną ładowniczką. Tamten wzruszył obojętnie ramionami. Z ładowniczką? Kobieta uważał za koleżę, za przyjaciela, o ile była odważna i lojalna jak mężczyzna. W przeciwnym razie po co dopuszczać do siebie możliwość brzydkich postępów? Nie chciał wiązać się z nikim, chciał pozostać wolny.

Każdego wieczora, kiedy szynk się opróżniał, Stefan zostawał na dole, żeby porozmawiać z Suwarinem. Popijał piwo drobnymi łykami, a mechanik nie wyjmował z ust papierosa – palce pożółkłe miał od tytoniu. Poprzez mgły własnych marzeń spoglądał na smugi dymu nieprzytomnym wzrokiem mistyka, lewą ręką szukając czegoś nerwowo w próżni. Zazwyczaj brał na kolana wielką, zawsze niemal ciężarną królicę, która chowała się na swobodzie i biegała

po domu. Zwierzę tak przywiązało się do niego, że gdy tylko się ukazał, biegło, obwąchiwało mu spodnie, stawało na tylnych łapkach i póty skrobało pazurami, póki nie wziął go na kolana jak dziecko. Przytulone do niego kładło wtedy uszy po sobie i zamykało oczy, a Suwarin ruchem bezwiednej pieśczoży gładził jedwabistą, szarą sierść. Łagodne ciepło żywego stworzenia działało nań kojąco.

– Wiecie – powiedział pewnego wieczoru Stefan – dostałem list od Plucharta.

Oprócz nich dwóch i Rasseneura w izbie nie było nikogo. Ostatni klient udał się już w drogę powrotną do osiedla, które układało się do snu.

– Ach! – zawołał szynkarz. – I cóż on pisze?

Od dwóch miesięcy Stefan prowadził ożywioną korespondencję z mechanikiem z Lilie. Powiadomił go o swojej pracy w Montsou i Pluchart udzielał mu teraz wskazówek pragnąc, aby Stefan wykorzystał sposobność propagandy w ośrodku górniczym.

– Pisz, że stowarzyszenie rozwija się bardzo dobrze i że przystępują do niego coraz liczniej.

– I cóż ty na to? – spytał Rasseneur Suwarina.

Ten ostatni drapiąc z czułością łeb królicy wypuścił kłęb dymu i szepnął z właściwym mu spokojem:

– Zawracanie głowy!

Lecz Stefan zapalił się. Wrodzony mu duch buntu popychał go do walki, jaką praca wypowiedziała kapitałowi. Związek, o którym mówił, było to Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników, owa słynna Międzynarodówka, utworzona niedawno w Londynie.

Czyż to nie był wspaniały wysiłek, bój, w którym wreszcie zatriumfuje sprawiedliwość? Żadnych granic! Robotnicy całego świata powstaną i połączą swe siły, aby zapewnić sobie chleb powszedni. I jaka organizacja prosta a potężna! Sekcje reprezentujące gminy, okręgi skupiające sekcje z jednego terenu, wreszcie cały naród, a na samym szczycie ludzkość, której uosobieniem jest Rada Generalna. Każdy naród ma tam swego przedstawiciela w osobie sekretarza-korespondenta. Nie upłynie i pół roku, jak Międzynarodówka ogarnie całą kulę ziemską i zmusi do posłuchu opornych pracodawców.

– Zawracanie głowy – powtórzył Suwarin. – Wasz Karol Marks chce pozostawić wszystko naturalnemu biegowi rzeczy. Precz z polityką, precz z konspiracją, prawda? Wszystko czynić jawnie, a za jedyny cel uznać podwyżkę płac... Dajcie wy mi spokój z waszą ewolucją! Podpalcie miasta z czterech stron, zgładźcie z powierzchni ziemi narody, zniszczcie wszystko, a

gdy nic już nie zostanie z tego zgniłego świata, może na jego gruzach wyrośnie inny, lepszy!

Stefan roześmiał się. Nie zawsze rozumiał słowa przyjaciela. Jego teorię zniszczenia brał za pozę. Rasseneur, jeszcze praktyczniejszy od niego i rozsądny jak człowiek, który ma być zapewniony, nie raczył się nawet obruszyć. Chciał jedynie poinformować się dokładnie.

– No, więc jak? Będziesz zakładał sekcję w Montsou?

Tego właśnie chciał Pluchart, który był sekretarzem okręgu Północ. Ze szczególnym naciskiem wykazywał korzyści, jakie przyniosłoby górnikom należenie do Stowarzyszenia, gdyby pewnego dnia doszło u nich do strajku. A zdaniem Stefana strajk mógł wybuchnąć lada chwila: sprawa stemplowania przybrała zły obrót. Wystarczy nowe jakieś żądanie ze strony Towarzystwa, a górnicy zbuntują się.

– Najgorsze to składki – oświadczył Rasseneur rzeczowo. – Pięćdziesiąt centimów rocznie na fundusz ogólny i dwa franki dla sekcji. To nie jest bagatelka i założę się, że wielu odmówi zapłaty.

– Tym bardziej – dodał Stefan – że należy stworzyć tu najpierw kasę zapomogową, która umożliwiłaby nam potem stawianie oporu... Czas już pomyśleć o tych sprawach. Ja jestem gotów do działania, jeżeli tylko inni też są gotowi.

Zapanowało milczenie. Na kontuarze kopciała lampa naftowa. Przez otwarte drzwi dobiegał zgrzyt łopaty palacza w le Voreux dosypującego węgiel do paleniska.

– Wszystko takie drogie – odezwała się pani Rasseneur, która weszła przed chwilą i przysłuchiwała się rozmowie z ponurą twarzą, jakby jeszcze wyższa w swojej nieśmiertelnej czarnej sukni. – Czy uwierzycie, że dziś za jaja płaciłam po dwadzieścia dwa sous? Tak dalej być nie może!

Tym razem wszyscy trzej mężczyźni byli tego samego zdania. Zaczęły się utyskiwania. Los robotnika jest coraz cięższy. Rewolucja pogłębiła jedynie jego nędzę.

To tylko mieszczenie obrośli w piórka po 89 roku. z taką łapczywością rzucając się na wszystko, że dla innych nawet i talerze do wylizania nie zostały. Niech tylko kto powie, czy robotnicy odczuli w czymkolwiek ów niesłychany wzrost dobrobytu i bogactwa w ostatnim stuleciu? Zadrwiono sobie z nich ogłaszając, że są wolni: wolni, bo wolno im zdychać z głodu, czego też sobie nie odmawiają. Człowiek nie naje się tym, że ma prawo wybrać posła, który potem opływa we wszystko i tyle się troszczy o swoich wyborców, co o zeszłoroczny śnieg. Nie, w ten czy w inny sposób trzeba z tym skończyć: albo po dobroci, ustanawiając nowe prawa,

zawierając układy, albo też jak dzicy pałac wszystko i różąc się nawzajem. Jeżeli starsi tego nie doczekają, to dzieci doczekają na pewno, bo to niemożliwe, aby jeszcze przed końcem tego wieku nie wybuchła nowa rewolucja robotnicza, przewrót, który wstrząsnąłby całym społeczeństwem i odbudował je na nowo lepiej i sprawiedliwiej.

– Tak dalej być nie może – powtórzyła energicznie pani Rasseneur.

– Tak, tak – zawołali wszyscy trzej – to się musi skończyć!

Suwarin podrapał za uszami królicę, która aż zmarszczyła nos z ukontentowania. Zapatrzonny w przestrzeń powiedział półgłosem jakby do samego siebie:

– Czyż można podnieść płacę? Żelazne prawo ustala je na takim poziomie, że wystarczą zaledwie na suchy chleb i płodzenie dzieci... Gdyby spadły niżej, robotnik zdechłby z głodu i popyt na nową siłę roboczą znów by je podniósł. Gdyby zaś wzrosły, nadmierna podaż tej siły natychmiast spowodowałaby ich obniżkę. Jest to równowaga pustych brzuchów, wyrok skazujący na wieczną nędzę.

Ilekróć Suwarin zagalopował się w swych rozważaniach człowieka wykształconego i obznajmionego z naukowym podłożem socjalizmu, Stefana i Rasseneura ogarniał niepokój. Twierdzenia wygłaszane przez tamtego przygnębiały ich i nie potrafili znaleźć na nie odpowiedzi.

– Widzicie sami – dodał spoglądając na nich z wrodzonym mu spokojem – że trzeba najpierw zniszczyć wszystko, bo inaczej głodu nigdy nie da się wyplenić. Tak, tylko anarchia, ziemia obmyta krwią, oczyszczona ogniem!... A co będzie potem – zobaczymy.

– Pan ma zupełną rację – oświadczyła pani Rasseneur, osoba w swych rewolucyjnych uniesieniach niezmiernie uprzejma.

Stefan, zawstydzony własną niewiedzą, nie chciał przedłużać dyskusji.

Podniósł się mówiąc:

– Chodźmy spać. Tak czy inaczej, jutro rano muszę wstać o trzeciej.

Suwarin wypłuł przyklejony do wargi niedopałek i delikatnie zdjął z kolan królicę. Rasseneur zamknął drzwi wejściowe. Rozstali się w milczeniu. W uszach im szumiało, z pałającą głową rozważali ciężkie problemy, jakie zostały poruszone.

I co wieczór toczyły się teraz podobne rozmowy w pustej izbie, nad jednym kuflem, który starczał Stefanowi na godzinę. Drzemiące w nim niejasne myśli przychodziły obecnie do głosu, zataczały coraz szersze kręgi. Trawiony żądzą wiedzy po długich wahaniach zwrócił się do

sąsiada z prośbą o pożyczenie książek. Na nieszczęście Suwarin miał same prawie tylko dzieła niemieckie i rosyjskie. Ostatecznie jednak Stefan pożyczył od niego francuską rozprawę o Stowarzyszeniach Spółdzielczych – także bzdury mówił Suwarin. Poza tym czytywał regularnie abonowaną przez sąsiada „Walke” czasopismo anarchistyczne wychodzące w Genewie. Mimo, że stykali się teraz co dzień, Stefan w dalszym ciągu uważał Suwarina za odludka, człowieka niezwiązanego z życiem ani uczuciem, ani też jakiegokolwiek rodzaju interesami.

W pierwszych dniach lipca w położeniu Stefana zaszła zmiana na lepsze. Zdarzyło się coś, co przerwało codzienną monotonię życia górników: rębacze z pokładu Wilhelma natrafili na pewne zmiany, które zapowiadały zanik żyły węglowej. I rzeczywiście okazało się, że pokład rozszczepia się w tym miejscu o czym mimo dokładnej znajomości terenu nie wiedzieli dotąd inżynierowie z Towarzystwa. Cała kopalnia zawrzała. Nie mówiono o niczym innym jak o tej żyłę, która na pewno załamywała się i występowała gdzieś niżej, po drugiej stronie rozpadliny. Starzy górnicy wietrzyli już nową zdobycz jak dobre psy myśliwskie. Rębacze z pokładu Wilhelma nie mogli jednak czekać z założonymi rękami i Towarzystwo ogłosiło przetarg na wykonywanie prac w innych partiach kopalni.

Pewnego dnia Maheu zaproponował Stefanowi, żeby przystąpił do jego grupy jako rębacz na miejsce Levaque’a, który przeszedł gdzie indziej. Starszy sztygar i inżynier, bardzo zadowoleni ze Stefana, wyrazili już na to zgodę. Tak więc Stefanowi, rozradowanemu uznaniem ze strony Maheu, nie pozostało nic innego jak przyjąć ten szybki awans.

Jeszcze tego samego wieczora wrócili do kopalni, żeby przeczytać ogłoszenie. Przetarg obejmował pokład Filonnière położony w północnej części le.Voreux. Teren ten wydawał się mało korzystny. Stefan czytał głośno warunki, a stary potrząsał głową słuchając go. Kiedy nazajutrz wybrali się obejrzyć nowe miejsce pracy, zwrócił Stefanowi uwagę na oddalenie chodników od szybu wyciągowego, na kruchość sklepień grożących zawaleniem, na to, że węgiel tu jest twardy, a żyły małej grubości.

Ale skoro chcieli jeść, musieli pracować. Następnej niedzieli zgłosili się więc do przetargu. Odbywał się on w baraku, pod przewodnictwem inżyniera, któremu asystował starszy sztygar. Przed ustawionym w kącie niewielkim podium zgromadziło się pięciuset do sześciuset górników. Jedne cyfry padały za drugimi, słyhać było jedynie głuchy pomruk głosów.

W pewnej chwili Maheu przestraszył się, że nie uda mu się otrzymać ani jednego z czterdziestu ofiarowanych przez Towarzystwo miejsc. Przedstawiciele poszczególnych ekip

zaniepokojeni pogłoskami o kryzysie, przerażeni widmem bezrobocia, zniżali ceny. Inżynier Négrel nie śpieszył się więc z zamykaniem przetargu czekając, aż spadną one do minimum. Dansaert zaś obłudnie wychwalał nowe pokłady. By dostać swoje pięćdziesiąt metrów pola, Maheu musiał stoczyć zaciętą walkę z kolegą. To jeden, to drugi z nich opuszczał po centymie z wózka. Maheu zwyciężył, ale za cenę takiej obniżki płac, iż stojący za nim sztygar Richomme szturchał go łokciem i mruzczał ze złością, że przy takiej zapłacie nigdy nie wyjdzie na swoje.

Kiedy opuścili barak, Stefan zaczął kłać. Gniew jego wzmógł się jeszcze, kiedy zobaczył Chavala wracającego z Katarzyną od strony pól, przechadzającego się wówczas, gdy jego teść kłopotał się o chleb dla wszystkich.

– Psiakrew! – krzyknął. – To dopiero draństwo! Zmuszają robotników, żeby pożerali się nawzajem!

Chaval wybuchnął. On nigdy nie byłby opuścił! Zachariasz, który podszedł do nich przez ciekawość, oświadczył, że to oburzające. Lecz Stefan przerwał mu gestem tłumionej wściekłości:

– To się skończy! Przyjdzie dzień, kiedy my będziemy gospodarzami!

Maheu, który od chwili zakończenia przetargu nie odezwał się ani słowem, ocknął się jakby i powtórzył:

– Gospodarzami.... No, czas już na to najwyższy!

II

Była ostatnia niedziela lipca, doroczny kiermasz w Montsou. Już w sobotę wieczorem dobre gospodynie szorowały mieszkania, robiąc istny potop, całymi wiadrami wylewając wodę na podłogę i posypując ją potem białym piaskiem. Dzień zapowiadał się upalny. Ponad nagimi równinami północnej Francji ciężko zawisło niebo zwiastujące burzę.

W domu Maheuów niedziela zakłócała normalny bieg życia. Sam Maheu już od godziny piątej kręcił się na łóżku i wreszcie wstawał, gdy tymczasem dzieci wylegiwały się do dziewiątej.

Tego dnia Maheu wyszedł z fajką do ogrodu, potem nie mogąc doczekać się śniadania sam

zjadł kromkę chleba. Ranek upłynął mu nie wiadomo na czym: naprawił ciekący cebrzyk, pod zegarem z kukułką powiesił portret następcy tronu, którym poprzedniego dnia bawili się malcy. Tymczasem jeden po drugim zaczęli schodzić się domownicy; dziadek Bonnemort zniósł krzesło i usiadł przed domem na słońcu. Matka z Alzirą zabrały się do gotowania. Nadeszła Katarzyna popychając przed sobą Lenorę i Henryka. Biła jedenasta, zapach królika gotowanego z ziemniakami rozchodził się już po całym domu, kiedy zjawili się wreszcie Zachariasz i Janek, zaspani jeszcze i poziewający.

W kolonii wrzało. Podnieceni świętem wszyscy szykowali się spiesźnie, aby jak najprędzej się wybrać do Montsou. Dzieci biegały gromadkami, mężczyźni bez marynarek leniwie człapali sabotami. Szeroko otwarte na przyjęcie pięknego dnia drzwi i okna ukazywały wnętrza izb pełnych ruchu i gwaru. Zewsząd dolatywała woń gotowanego królika, woń właściwa kuchniom ludzi zamożnych, która tego dnia głużyła zastarzały zapach smażonej cebuli.

Maheuowie zasiedli do obiadu punkt o dwunastej. W porównaniu z hałasem naokół, ciągłymi nawoływaniami, sąsiedzkimi prośbami o pożyczenie garnka, pokrzykiwaniem na dzieci i odgłosem klapsów, u nich panował względny spokój. Stosunki z Levaque'ami uległy od trzech tygodni znacznemu ochłodzeniu z powodu projektowanego małżeństwa Zachariasza z Filomeną. Mężczyźni widywali się, ale za to kobiety udawały, że się nie znają. Ta sprzeczka przyczyniła się do zacieśnienia przyjaźni z Pierronką. Lecz tego dnia Pierronka, zostawiwszy pod opieką matki męża i Lidkę, wybrała się do Marchiennes, do kuzynki. Żartowano sobie, bo wszyscy znali tę kuzynkę: miała wąsy i była starszym sztygarem w le Voreux. Maheudka oświadczyła, że to nie przystoi tak zostawiać rodzinę w dniu kiermaszu.

Oprócz królika z ziemniakami, od miesiąca tuczonego w szopie, na obiad był rosół i wołowina – wypłata przypadła akurat na dzień poprzedni. Od niepamiętnych czasów nie urządzali podobnej uczty. Nawet na świętą Barbarę – owo święto górników, kiedy przez trzy dni wolno im nic nie robić – królik nie był taki tłusty i kruchy. Toteż dziesięć par szczęk, od Estelki, której wcześniej wyrzynały się zęby, począwszy, a na ojcu Bonnemort, który zaczynał je tracić, skończywszy, z takim zapałem wzięło się do pracy, że wkrótce zniknęły nawet kości.

To dobra rzecz mięso, ale jadałi je zbyt rzadko i dlatego trudno im było je strawić. Na wieczór został tylko kawałek gotowanej wołowiny. Jeżeli będą głodni, zjedzą ją z chlebem.

Pierwszy wymknął się Janek. Bébert czekał na niego za szkołą. Długo musieli krążyć, zanim udało im się zwać Lidkę. Stara Brûlé, mając zamiar nie wychodzić z domu, chciała zatrzymać

ją przy sobie. Kiedy spostrzegła jej zniknięcie, zaczęła krzyczeć i wymachiwać chudymi rękami. Zniecierpliwiony tym hałasem Pierron spokojnie wybrał się na przechadzkę, jak mąż, który z czystym sumieniem idzie się zabawić wiedząc, że i żona również ma swoją rozrywkę.

Następnie wyszedł dziadek Bonnemort, a w ślad za nim Maheu, spytawszy najpierw żony, czy spotkają się potem w Montsou. Nie, skądże, nie dałaby sobie rady z małymi. A zresztą – może i przyjdzie, zastanowi się jeszcze, jakoś się tam odnajdą. Wyszędłszy Maheu zawahał się chwilę, a potem wstąpił do sąsiadów zobaczyć, czy Levaque jest już gotów. Zastał Zachariasza czekającego na Filomenę. Lewaczka zaraz zaczęła rozmowę na odwieczny temat ich małżeństwa krzyżąc, że to są kpiny, że musi rozmówić się ostatecznie z Maheudką. Co to jest za życie dla niej wychowywać dzieci córki, kiedy ta ugania się po polach z kochankiem? Filomena spokojnie włożyła czepek i Zachariasz zabrał ją ze sobą powtarzając, że on chętnie się ożeni, jeżeli matka mu pozwoli. Ponieważ Levaque już wyszedł, Maheu odesłał sąsiadkę do żony, a sam wymknął się pośpiesznie. Bouteloup, oparty łokciami o stół, kończył kawałek sera i stanowczo odmówił wstąpienia razem na piwo. Jako przykładowy mąż zostawał w domu.

Osiedle pustoszało zwolna; ojcowie rodzin opuszczali je jeden za drugim, a czatujące w drzwiach dziewczęta ruszały w przeciwnym kierunku, uwieszone u ramienia kochanków. Widząc, że Maheu znika za kościołem, Katarzyna, która akurat dostrzegła Chavala, podbiegła do niego i razem udali się w stronę Montsou. Maheudka została sama z rozdokazywanymi dzieciakami. Nie miała siły wstać z krzesła. Nalała sobie drugą szklankę wrzącej kawy i piła ją małymi łykami. W całej kolonii pozostały tylko kobiety. Zapraszały się wzajemnie i wysuszały do dna dzbanki z kawą, siedząc wokół stołów ciepłych jeszcze i tłustych od obiadu.

Maheu przypuszczał, że zastanie Levaque'a u Rasseneura. Udał się tam bez pośpiechu i rzeczywiście za domem, w wąskim ogródku otoczonym żywopłotem, Levaque grał w kręgle z kolegami. Dziadek Bonnemort i stary Mouque przyglądali się grze tak zaabsorbowani, że zapomnieli nawet trącać się łokciami. Słońce prażyło i tylko pod ścianą szynku znaczyła się wąska smuga cienia. Stefan popijał piwo przy stoliku zły, że Suwarin zostawił go samego i poszedł do siebie na górę. Prawie w każdą niedzielę mechanik zamykał się w swoim pokoju i pisał lub czytał.

– Zagrasz? – spytał Levaque Maheua.

Ale ten odmówił. Było zbyt gorąco i chciało mu się pić.

– Rasseneur! – zawołał Stefan. – Przynieś no kufel!

I zwróciwszy się Maheua dodał:

– Dzisiaj ja stawiam.

Mówili sobie teraz po imieniu. Rasseneur nie śpieszył się wcale, trzeba go było trzy razy wołać, aż wreszcie pani Rasseneur przyniosła kufel letniego piwa. Stefan zniżył głos i szeptem zalił się na gospodarzy. To porządni ludzie, pochwała ich zapatrywania, ale piwo dają nic niewarte, a zupy okropne. Już dawno byłby się przeniósł, gdyby nie to, że nie chciał oddalać się od Montsou. Ale prędzej czy później skończy się na tym, że przeprowadzi się do jakiejś rodziny w osiedlu.

– Pewnie – powtarzał wolno Maheu – pewnie, że przy rodzinie byłoby ci lepiej.

Przerwał im krzyk: Levaque przewrócił wszystkie kręgle za jednym rzutem. Wśród ogólnego gwaru tylko Bonnemort i Mouque wyrażali swoje głębokie uznanie milczeniem. Wesołość znalazła ujście w głośnych żartach, zwłaszcza gdy nad żywopłotem ukazała się rozradowana twarz Mouquette. Od godziny krążyła już wokoło gospody i wreszcie ośmieliła się podejść bliżej zwabiona śmiechem.

– Jak to, sama? – zawołał Levaque. – A gdzież twoi kawalerowie?

– Odstawiłam ich – odparła niefrasobliwie – i teraz szukam nowego.

Każdy z obecnych zaofiarował swoje usługi, prowokowali ją tłustymi dowcipami. Kręciła przecząco głową i śmiała się coraz głośniejszymi, zalotnymi śmiechami. Ojciec jej, obecny przy tej scenie, nie raczył nawet podnieść oczu od przewróconych kręgli.

– Ho, ho! – ciągnął Levaque rzuciwszy okiem na Stefana – już my wiemy, na kogo miałabyś chrapkę! Ale tego będziesz musiała wziąć siłą.

Rozweseliło to Stefana. Rzeczywiście Mouquette kręciła się koło niego. Odmawiał rozbawiony. Nie miał na nią najmniejszej ochoty. Przez chwilę jeszcze stała koło żywopłotu spoglądając na niego uparcie swoimi wielkimi oczami, później spoważniała nagle i odeszła powoli, jakby przytłoczona ciężarem słońca.

Stefan powrócił do prowadzonej półgłosem rozmowy z Maheu. Tłumaczył mu długo konieczność założenia kasy zapomogowej dla górników w Montsou.

– Ponieważ Towarzystwo oświadcza, że zostawia nam wolną rękę, to czegoż mamy się bać? Możemy liczyć tylko na emeryturę, którą, ponieważ nie potracają nic z zarobków, wypłacają nam, jak im się podoba. Byłoby więc bardzo rozsądnie stworzyć kasę wzajemnej pomocy, na którą moglibyśmy liczyć w nagłej potrzebie.

Wyjaśniał szczegóły, omawiał sposoby zorganizowania takiej kasy, obiecywał, że sam zajmie się wszystkim.

– Zgoda – powiedział wreszcie Maheu. – Ja nie mam nic przeciw temu, ale reszta? Postaraj się przekonać resztę.

Levaque wygrał i wszyscy porzucając kręgle weszli do sali, żeby się napić. Ale Maheu odmówił wypicia drugiego kufła: słońce jeszcze wysoko, powolutku! Przypomniawszy sobie o Pierronie. Gdzie on mógł się podziewać, ten Pierron? Pewnie siedzi u Lenfanta. Namówił Levaque'a i Stefana i wszyscy trzej udali się do Montsou ustępując miejsca nowym graczom.

Po drodze wypadało wstąpić do szynku Kazimierza, potem do knajpy „Postęp”. Koledzy wołali ich przez otwarte drzwi: niesposób było odmówić. Za każdym razem wypijali po jednym kufle albo po dwa, jeżeli chcieli się zrewanżować. Siedzieli parę minut, zamieniali pięć słów i szli dalej. Znali to piwo i wiedzieli, że nic im od niego nie grozi. Najwyżej będą musieli trochę częściej przystawać koło płotów.

U Lenfanta zastali Pierrona przy drugim kufle. Dla towarzystwa wypił jeszcze trzeci razem z nimi. Było ich teraz czterech i wybrali się do Tisona, żeby zobaczyć, czy nie ma tam Zachariasza. Sala była pusta. Poprosili o piwo i usiedli na chwilę. Później zajrzeli do „Saint-Eloi”, gdzie sztygar Richomme postawił im jedną kolejkę. Wałęsali się teraz od knajpy do knajpy, nie szukając już żadnych pretekstów, po prostu żeby się przewietrzyć.

– Musimy iść do „Wulkanu” – powiedział nagle Levaque podochocony.

Koledzy odpowiedzieli mu śmiechem, ale po chwili wahania poszli za nim przeciskając się przez coraz to wzrastającą ciżbę.

W wąskiej i długiej salce „Wulkanu” pięć śpiewaczek – wybirki z domów publicznych w Lilie – występowało na estradzie skleconej z desek. Ich gesty i głębokie dekolty były ohydne. Kiedy jakimś gościowi przyszła ochota na którąś z nich, płacił dziesięć sous i szedł z nią za estradę. Najczęściej zaglądali tam młodszy chłopcy z kopalni, ładowacze i wozacy, niejednokrotnie wyrostki po lat czternaście. Cała ta młodzież wołała jałowcówkę od piwa.

Czasem zjawiał się jakiś stary górnik, jeden z tych rozpustników, których rodziny staczały się w nędzę.

Ledwie usiedli przy małym stoliku, Stefan zaczął wykladać Levaque'owi swój projekt utworzenia kasy samopomocy. Mówił z zapalem neofity, który wierzy, że ma do spełnienia ważną misję.

– Każdy członek kasy – powtarzał – wpłacałby co miesiąc dwadzieścia sous. Zebrane razem dałyby po czterech, pięciu latach poważną sumę. A pieniądz – to siła w każdej sytuacji, prawda? No więc, cóż ty na to?

– Nie mówię nie – odparł Levaque z roztargnieniem. – Pogadamy o tym później.

Zapalił się do jakiejś obfitych kształtów blondynki i chociaż Maheu i Pierron chcieli już wyjść, uparł się, że zostanie posłuchać następnej piosenki.

Na dworze Stefan znów natknął się na Mouquette, która przyszła tu widocznie za nim. Patrzyła na niego swymi wielkimi oczyma i śmiała się dobrodusznie, jakby pytając tym śmiechem: chcesz? Stefan rzucił jakiś żart, wzruszył ramionami. Zrobiła gniewny gest i zniknęła w tłumie.

– A gdzie jest Chaval? – spytał Pierron.

– Na pewno u Piquette’a – powiedział Maheu. – Chodźmy do Piquette’a.

Kiedy zbliżali się we trójkę do szynku Piquette’a, odgłos bójki zatrzymał ich na progu. Wewnątrz Zachariasz wygrażał pięścią jakiemuś barczystemu walońskiemu robotnikowi z fabryki gwoździ, którego to bynajmniej nie wytrącało z równowagi. Chaval przyglądał im się z rękami w kieszeniach.

– O, jest Chaval – rzekł spokojnie Maheu. – Stoi tam z Katarzyną.

Od pięciu godzin ładowaczka i jej kawaler przechadzali się wśród tłumu drogą prowadzącą do Montsou, szeroką i obrzeżoną niskimi jaskrawo malowanymi domkami. Płynęła nią rzeka ludzi podobna do pochodu mrówek wędrujących nagą równiną. Błoto wyschło i w powietrzu unosił się czarny pył jak chmura zwiastująca burzę. Szynki po obu stronach drogi po brzegi wypełnione były ciżbą: stoły wystawiono aż, na chodnik, gdzie podwójnym szeregiem ciągnęły się kramy. Były na nich chustki i lusterka dla dziewcząt, koziki i czapki dla chłopców, nie licząc słodczy, cukierków i ciastek. Przed kościołem strzelano z łuku. Naprzeciw magazynów Towarzystwa grano w kręgle. Na rogu ulicy wiodącej do Joiselle, niedaleko zarządu, ludzie tłoczyli się wokół zagrody z desek, w której walczyły ze sobą koguty, dwa duże czerwone koguty uzbrojone w żelazne ostrogi i ociekające krwią. Nieco dalej u Maigrata można było grać w bilard i wygrać fartuszek lub spodnie. Chwilami rozmowy cichły, tłum pił i sycił się w milczeniu. Ciężki odór piwa i smażonych na powietrzu ziemniaków wzmagał jeszcze panujący upał.

Chaval kupił Katarzynie lusterko za dziewiętnaście sous i chustkę za trzy franki. Kilkakrotnie spotkali Mouque’a i Bonnemorta, którzy przechadzali się w zamyśleniu z trudem wlokąc

ocięzale nogi.

Nagle młodzi zauważyli z oburzeniem, że Janek namawia Béberta i Lidkę, żeby ściągnęli parę flaszek jałowcówki z przygodnego szynku zaimprovizowanego na uboczu. Katarzyna wymierzyła bratu policzek, ale mała zdążyła już umknąć z butelką wódki. Te urwisy skończą kiedyś w kryminale!

Kiedy znaleźli się przed szynkiem „Pod Trupią Główną”, Chaval postanowił wejść tam z Katarzyną, aby przyjrzeć się zawodom zięb, ogłaszanych już od tygodnia na drzwiach szynku. Do zawodów przystąpiło piętnastu robotników z fabryki gwoździ w Marchiennes, a każdy przyniósł ze sobą tuzin klatek. Powieszono je rzędem na podwórzu szynku, a ośleple ptaki tkwiły w nich nieruchomo. Chodziło o to, która z zięb powtórzy najwięcej razy w ciągu godziny swój trzask. Każdy z robotników stał obok swych klatek z tabliczką, zaznaczając na niej cyfry, pilnując sąsiadów, sam również przez nich pilnowany. Zięby nieśmiało zrazu, niebawem zaniosły się śpiewem, podniecając się nawzajem, przyspieszając rytm, do tego stopnia ogarnięte gorączką współzawodnictwa, że niektóre z nich padały nieżywe. Robotnicy dopingowali je pokrzykując po walońsku, żeby śpiewały jeszcze i jeszcze, i jeszcze troszkę, a widzowie, około stu osób, z zapartym oddechem czekali na wynik, wśród ogłuszającego wrzasku stu osiemdziesięciu ptaków powtarzających wciąż jedno w kółko. Wreszcie jedna z zięb zwyciężyła, a jej właściciel otrzymał metalowy dzbanek do kawy.

Katarzyna i Chaval byli tam już, kiedy nadszedł Zachariasz z Filomeną. Przywitali się i stanęli razem. Nagle Zachariasz wybuchnął gniewem widząc, że jeden z przyglądających się zawodom robotników szczypie Katarzynę.

Dziewczyna, cała w piasach, starała się go uspokoić drżąc na myśl, że mogłoby dojść do bójki, że wszyscy ci robotnicy mogliby rzucić się na Chavala, gdyby ten wystąpił. Wołała znosić zaczepki w milczeniu. Na szczęście jej kawaler roześmiał się tylko drwiąco i wszyscy czworo wyszli. Wydawało się, że sprawa jest zakończona. Ledwo jednak znaleźli się u Piquette’a, zjawił się ten sam robotnik najwyraźniej kpiąc sobie z nich i prowokując ich swym zachowaniem. Zachariasz, dotknięty w swoich uczuciach rodzinnych, rzucił się na zuchwalca.

– Ty świni! To moja siostra!... Już ja cię nauczę szacunku dla niej!

Rozdzielano ich, a Chaval powtarzał z niewzruszonym spokojem:

– Dajże spokój, to moja rzecz... Mówię ci, że gwizdzę na niego!

Nadszedł Maheu z kompanami i uspokoił Filomenę i Katarzynę, które zdążyły się popłakać.

Robotnik znikł, wśród zebranych rozległy się teraz śmiechy. Żeby zatuszować całą sprawę Chaval, stały bywalec Piquette'a, postawił piwo. Stefan musiał trącić się z Katarzyną, wszyscy pili razem, ojciec, córka i jej kawaler, syn i jego kochanka.

– Za zdrowie całego towarzystwa! – przepijali do siebie uprzejmie.

Potem Pierron uparł się, że teraz on stawia, i wszystko odbywało się w najlepszej zgodzie, kiedy nagle Zachariasz widząc, że przyszedł jego kolega, Mouquet, przypomniał sobie o swym gniewie. Zawołał Mouqueta i oświadczył, że pójdą zrobić porządek z tamtym.

– Spiorę go na kwaśne jabłko! Słuchaj no, Chaval, pilnuj Filomeny i Katarzyny, ja zaraz wrócę.

Z kolei Maheu kazał podać piwa. Ostatecznie, jeżeli ten mały chce ująć się za siostrą, to dlaczego nie? Da nawet dobry przykład.

Ale Filomeną ujrawszy Mouqueta pokiwała głową uspokojona. Była pewna, że obaj młodzi wymknęli się do „Wulkanu”.

Kiermasze kończyły się zazwyczaj zabawą w tancbudzie

„Bon-Joyeux”. Lokal ten był własnością wdowy Désir, zażywej jejmości lat pięćdziesięciu, okrągłej jak beczka i tak jeszcze krzepkiej, że miała sześciu kochanków, po jednym na każdy dzień tygodnia, jak mówiła, a wszystkich sześciu na niedzielę. Górników nazywała swoimi dziećmi, rozczulona myślą o rzece piwa, jaką wlewała w nich od lat trzydziestu: chwaliła się również, że żadna ładowaczka nie zaszła w ciążę nie rozruszawszy się najpierw na zabawie u niej. Lokal „Bon-Joyeux” składał się z dwóch sal: szynku, gdzie stał bufet i stoły, oraz sali do tańca, obszernej i tylko w środku wyłożonej deskami, a po bokach brukowanej cegłą. Zdobiły ją girlandy papierowych kwiatów szczipione po środku wiankiem z takich samych kwiatów. Na ścianach wisiały rzędem pozłacane tarcze z imionami świętych: świętego Eliasza, patrona metalowców, świętego Kryspina, patrona szewców, świętej Barbary, patronki górników – cały kalendarz cechów. Sufit był tak niski, że siedzący na nie większym od ambony podium trzej muzykanci trącali weń głowami. Oświetlenie stanowiły cztery lampy naftowe zawieszane w czterech rogach sali.

Tej niedzieli tańce zaczęły się o piątej, ale dopiero koło siódmej zapełniły się sale. Na zewnątrz silny wiatr podnosił tumany czarnego pyłu, który oslepił ludzi i skwierczał padając na ustawione na ulicach żelazne piecyki.

Maheu, Stefan i Pierron zastali w „Bon-Joyeux” Chawala tańczącego z Katarzyną i Filomenę,

która przyglądała im się stojąc samotnie. Levaque ani Zachariasz nie przyszli. Ponieważ na sali nie było ławek, więc Katarzyna po każdym tańcu odpoczywała przy stoliku ojca. Wołali Filomenę, ale wołała stać. Zapadał wieczór. Muzyka rznąła od ucha, i w jej takt poruszały się biodra, piersi i ramiona. Hałaśliwie powitano wniesienie lamp. W ich świetle ukazały się rozognione twarze, włosy przylepione do skroni i powiewające w powietrzu spódnice. Maheu pokazał Stefanowi Mouquette, tłustą i okrągłą jak baryłeczka, wirującą zaciekle w objęciach wysokiego, chudego wozaka. Widocznie pocieszyła się jednak i znalazła sobie kogoś.

Wreszcie około ósmej zjawiała się Maheudka z Estelką u piersi, prowadząc za sobą całą dzieciarnię: Alzirę, Henryka i Lenorę. Przyszła tu wprost, pewna, że zastanie męża. Kolację zjedzą później – opici kawą i piwem nie czuli głodu. Nadchodziły inne kobiety. Na widok Lewaczki wchodzącej z Bouteloupem, który prowadził za rękę Achillesa i Désirée, dzieci Filomeny, rozległy się szepty. Maheudka i Lewaczka wydawały się być w jak najlepszej zgodzie. Po drodze do Montsou rozmówiły się ostatecznie i Maheudka, rada nierada, przystała na małżeństwo Zachariasza. Żal jej było zarobków syna, ale argument, że zatrzymywać go dłużej w domu byłoby niesprawiedliwością, trafił jej do przekonania.

Nadrabiała miną, w głębi duszy zaniepokojona, jak zwiąże teraz koniec z końcem.

– Siądźcie tu, sąsiadko – powiedziała wskazując stół obok tego, przy którym siedział Maheu ze Stefanem i z Pierronem.

– A mojego męża z wami nie ma? – spytała Lewaczka.

Mężczyźni odparli, że na pewno przyjdzie niedługo. Robiło się coraz ciasniej. Stoliki zsunięto ze sobą tak, że wyglądały jak jeden. Zażądano piwa. Ujrawszy matkę i dzieci Filomena zdecydowała się podejść. Usiadła i wydawała się zadowoloną, że wreszcie wydają ją za mąż. Zapytana o Zachariasza odpowiedziała swym bezbarwnym głosem:

– Czekam na niego. Jest gdzieś tutaj.

Maheu wymienił spojrzenie z żoną. A więc zgodziła się? Spoważniał i palił w milczeniu. I jego również ogarnął niepokój o jutro. Rozmyślał nad niewdzięcznością dzieci, które żenią się zostawiając rodziców w nędzy.

Tańczono dalej. Kadryl napępiał salę tumanami rudawego pyłu. Deski podłogi trzeszczały, klarnet piszczał cienko, z tancerzy buchała para.

– Pamiętasz – spytała Lewaczka pochylając się do ucha Maheudki – jak to raz mówiłaś, że zamordowałabyś Katarzynę, gdyby się puściła?

Chayal odprowadził właśnie dziewczynę do stołu rodziców. Przystanęli oboje za plecami Maheua i pili piwo.

– Och – szepnęła Maheudka z rezygnacją – to się tak mówi... jedyna pociecha, że nie może mieć jeszcze dzieci, co do tego mogę być spokojna! Wyobrażasz sobie tylko, co by to było, gdyby mi urodziła dziecko i musiałabym wydać ją za męża? Ciekawa jestem, co byśmy wtedy jedli!

Klarnet zagwizdał polkę; przy wzmagającym się tupocie i hałasie Maheu zwierzył się żonie ze swego planu. Dlaczego nie mieliby wziąć lokatora? Na przykład Stefana, który chciałby zamieszkać przy jakiejś rodzinie? Miejsca będzie dosyć, jak Zachariasz odejdzie. A przynajmniej wyrównają sobie chociaż w części utratę zarobków Zachariasza. Twarz Maheudki pojaśniała: to świetny pomysł, trzeba tak zrobić! Wydało jej się, że zostali uratowani od śmierci głodowej, i od razu odzyskała humor, zamówiła nawet nową kolejkę piwa.

Stefan usiłował tymczasem przekonać Pierroha o potrzebie utworzenia kasy zapomogowej i uzyskał już od niego obietnicę przystąpienia, gdy nieostrożnie odsłonił właściwy cel takiej kasy.

– A gdyby tak wybuchł strajk, rozumiesz, jakie by nam oddała usługi? Moglibyśmy gwizdać na Towarzystwo, bo mielibyśmy fundusze, żeby mu się oprzeć... No i co ty o tym myślisz?

Pierron spuścił oczy i pobladł. Wreszcie wykrztusił:

– Zastanowię się jeszcze... Kiedy człowiek robi wszystko, co do niego należy, to to jest najlepsza kasa zapomogowa.

Maheu przysunął się do Stefana i otwarcie zaproponował mu, żeby u nich zamieszkał. Młody człowiek zgodził się od razu, rad, że będzie mógł przenieść się do osiedla i dzięki temu bardziej zbliżyć z kolegami. W kilku słowach sprawa została załatwiona. Maheudka oświadczyła, że z przynosinami trzeba będzie poczekać do ślubu Zachariasza.

Nadszedł on właśnie z Levaque'iem i Mouquetem. Wnieśli ze sobą zapach „Wulkanu” – odór jałowcówki i kwaśną woń niedomytych ciał kobiecych. Wszyscy trzej byli pijani, trącali się łokciami i chichotali zadowoleni z siebie. Kiedy Zachariasz dowiedział się, że wreszcie go żenią, zaniósł się głośnym śmiechem. Filomena oświadczyła spokojnie, że woli, gdy się śmieje, niż gdyby miał płakać. Ponieważ nie było wolnego krzesła, więc Bouteloup odstąpił połowę swego Levaque'owi. Tamten rozczulił się nagle widząc, że zebrali się wszyscy razem jak w rodzinie, i postawił jeszcze jedną kolejkę piwa.

– Co u diabła, nie co dzień się człowiek bawi! – krzyczał.

Pozostali tam do dziesiątej. Nadchodziły coraz to inne kobiety, aby zabrać mężów do domu, a za nimi ciągnęły grupki dzieci. Matki nie krępowały się, wyjmowały piersi obwisłe i jasne jak worki z owsem i mleko tryskało na pyzate buzie niemowląt. Dzieci umiejące już chodzić, opite piwem, kręciły się na czworakach pod stołami wypróżniając się bez wstydu. Piwo płynęło szeroką falą z beczek pani Désir, wzdymało brzuchy i sączyło się z nosów, oczu i skądinąd. Napęczniali, zduszeni w ścisku, potracali się łokciami, kolanami, rozbawieni, zachwyceni wzajemną bliskością. Usta bezustannie rozwarte były śmiechem. Panował taki upał, że rozpinali koszule obnażając ciało pociemniałe w dymie. Jedyłą niewygoda była konieczność wychodzenia od czasu do czasu. Dziewczęta szły w głąb ogrodu pod pompę, podkasywały spódnice i wracały za chwilę. Pod girlandami z kolorowego papieru tańczący nie widzieli się już nawzajem, pot mgłą przesłaniał im oczy. Ośmielało to niektórych i przewracali swe partnerki na podłogę. Piskliwe dźwięki klarnetu głużyły odgłos upadku, nogi tańczących odpychały leżącą parę na bok i zabawa toczyła się dalej ponad nią.

Ktoś przechodząc powiadomił Pierrona, że jego córka Lidka leży przy wejściu w poprzek chodnika i śpi. Wypiła porcję skradzionej jałowcówki i upiła się tak, że musiał wziąć ją na ręce. Janek i Bébert, bardziej wytrzymali, szli za nimi w pewnej odległości, śmiejąc się do rozpuku.

Stało się to hasłem do rozejścia. Maheuowie i Levaque'owie wyszli razem z innymi z „Bon-Joyeux” i skierowali się w stronę osiedla. Także dziadek Bonnemort i stary Mouque opuszczali Montsou; szli krokiem lunatyków, zawzięci w milczącym wspomnianiu rzeczy minionych. Wszyscy razem przechodzili po raz ostatni przez teren kiermaszu, mijali piecyki, na których zastygał tłuszcz, i szynki, z których wylewano resztki piwa aż na środek ulicy.

Burza wciąż jeszcze wisiała w powietrzu, a z ciemności rozpościerających się za Montsou dolatywały śmiechy. Od dojrzałych zbóż ciągnął gorący powiew, niejedno dziecko zostało poczęte tej nocy. Do osiedli wrócili małymi grupkami. Nikomu nie chciało się jeść. Maheuowie dokończyli resztek z obiadu na pół przez sen.

Stefan zaciągnął jeszcze Chavala do Rasseneura.

– Zgoda! – wykrzyknął Chaval, kiedy tamten wyjaśnił mu sprawę kasy zapomogowej. – Przybij no, jesteś porządny chłop!

Oczy Stefana połyskiwały pijackim blaskiem.

– Dobrze, idźmy ręka w rękę! – zawołał. – Za dobrą sprawę oddam wszystko, piwo i dziewczęta! Jedna tylko myśl mnie raduje: że kiedyś zmieciemy burżujów!

III

Około połowy sierpnia Stefan sprowadził się do Maheuów, kiedy Zachariasz po ślubie otrzymał od Towarzystwa mieszkanie w kolonii dla siebie i Filomeny z dziećmi.

Z początku młody człowiek czuł się skrępowany obecnością Katarzyny, nieuniknionym zbliżeniem w codziennym współżyciu. Zajął miejsce starszego brata, sypiał z Jankiem w jednym łóżku, tuż obok Katarzyny. Wstając rano i kładąc się wieczorem musiał ubierać i rozbierać się przy niej i widział, jak ona rozbiera się i ubiera. Wychylała się spod bielizny biała przejrzystą bielą anemicznych blondynek. Patrząc na jej ciało jakby skąpane w mleku Stefan odczuwał podniecenie. Ręce i twarz miała już zniszczone, a opalenizna tworzyła na jej szyi bursztynowy naszyjnik. Udawał, że się odwraca, ale powoli poznał ją całą: stopy najpierw, które napotykał wzrokiem, gdy spuścił oczy, kolana, drobne, twarde piersi. Katarzyna nie patrzyła na niego, ale śpieszyła się teraz przy rozbieraniu i natychmiast wsuwała się pod kołdrę zręcznie jak zmija. Nim zdążył zdjąć buty, ona zniknęła w łóżku, odwracała się plecami i widział tylko ciężki węzeł jej włosów.

Nigdy zresztą Stefan nie dawał Katarzynie powodu do gniewu. Chociaż mimo woli śledził ją wzrokiem, gdy układała się do snu, unikał jednak żartów i nigdy nie pozwalał sobie na dotknięcia. Rodzice spali obok, a przy tym Stefan żywił dla dziewczyny jednocześnie przyjaźń i urazę, co hamowało jego pożądanie i nie pozwalało mu na poufałość, mimo że wciąż byli razem: w domu, przy jedzeniu, podczas pracy. Niczego nie mogli ukryć, nawet załatwiania najkonieczniejszej potrzeby.

Cała wstydlivość ograniczała się do tego, że teraz Katarzyna myła się osobno na górze, a mężczyźni na dole jeden po drugim.

Nim upłynął miesiąc, przestali na siebie zważać. Wieczorem, przed zgaszeniem światła chodzili rozebrani po pokoju, Katarzyna nie śpieszyła się już i jak dawniej splatała włosy siedząc na krawędzi łóżka w koszuli podciągniętej wysoko, aż na uda, a Stefan, bez spodni, pomagał jej czasem, szukał szpilek, które upadły na podłogę. Przyzwyczajenie zabijało wstyd, nie robili nic złego, własna nagość wydawała im się naturalna. Nie było to zresztą ich winą, że musieli tłoczyć

się w jednej izbie. A jednak czasem niepokój powracał niespodziewanie, w chwilach kiedy nie myśleli o niczym grzesznym. Stefan dostrzegał nagle z powrotem biel ciała Katarzyny, ową biel, która budziła w nim dreszcz. Odwracał się wówczas w obawie, że nie oprze się pokusie. Również i Katarzynę ogarniało czasem, bez widocznej przyczyny, wstydlive podniecenie. Uciekała wtedy, kryła się pod kołdrą, jak gdyby czuła dotyk rąk młodego człowieka. Kiedy zgaszono świecę, leżeli z otwartymi oczyma, myśląc o sobie nawzajem i czując, że mimo zmęczenia nie zasną. Następnego dnia boczyli się zmieszani. Woleli owe spokojne wieczory, kiedy obcowali ze sobą bez skrępowania jak dwoje kolegów.

Stefan narzekał jedynie na Janka, którego budził najdrobniejszy szelest. Alzira oddychała lekko, a Henryk i Lenora spali objęci ramionami. Pograżony w ciemnościach dom rozbrzmiewał jedynie chrapaniem obojga Maheuów sapiących jak miechy. W sumie Stefanowi było tu lepiej niż u Rasseneura. Łóżko miał wygodne, a pościel zmieniano raz na miesiąc. Zupy też były lepsze, dokuczał mu tylko brak mięsa. Ale cała rodzina jadała je tak samo rzadko, za czterdzieści pięć franków miesięcznie nie mógł wymagać codziennie królika na obiad. Te czterdzieści pięć franków pomogło Maheuom związać koniec z końcem. Okazywali za to wdzięczność swemu lokatorowi, bieliznę miał upraną i wyreperowaną, guziki poprzyszywane, wszystko utrzymane w porządku; czuł troskliwą rękę kobiecą.

W tym okresie Stefan zrozumiał pewne rzeczy, które do tej pory tkwiły w nim, ale których nie uświadamiał miał sobie jasno. Pośród utajonego fermentu towarzyszy on sam buntował się tylko instynktownie. Nasuwały mu się rozmaite pytania: dlaczego jedni są ubodzy, a drudzy bogaci? Dlaczego jedni gnębieni są przez drugich i nie mogą wydostać się spod ich buta? Pierwszym krokiem było to, że uświadomił sobie swoją ignorancję. Gnębił go od tej pory tajony wstyd i żal. Nie wiedział nic, nie śmiał rozmawiać o tym, co poruszało go do głębi: o równości wszystkich ludzi, o sprawiedliwości, która wymagała uczciwego rozdziału dóbr.

Opanowała go żądza wiedzy połączona z właściwym samoukom brakiem metody. Prowadził teraz regularną korespondencję z Pluchartem, bardziej wykształconym od niego i doskonale obznajmionym z ruchem socjalistycznym. Sprowadzał książki, a ich źle przetrawiona treść potęgowała jeszcze jego egzaltację. Przejął się zwłaszcza pewną książką lekarską *Higiena górnika*, w której jakiś doktor belgijski wyliczał przyczyny dużej śmiertelności wśród górników. Czytywał również rozprawy z dziedziny ekonomii politycznej, niezrozumiałe, suche w swej fachowej terminologii; broszury anarchistyczne, które siały w nim zamęt, i stare gazety, z

których czerpał nieodparte argumenty do ewentualnych dyskusji. Pożyczał także książki od Suwarina. Dzieło o Stowarzyszeniach Spółdzielczych nasunęło mu myśl utworzenia wszechświatowej organizacji produkcyjno-- konsumcyjnej, wyrugowania pieniądza i oparcia całego życia społecznego na pracy. Jego wstyd, że nic nie wie, topniał. Rodziła się duma z samodzielnego myślenia.

W tym okresie Stefan przeżywał uniesienia neofity, pełen szlachetnego oburzenia na ciemieżców i nadziei, że triumf ciemieżonych jest bliski. Zagubiony w lekturze nie potrafił wybudować jeszcze żadnego systemu. Praktycznie żądania Rasseneura stapiały się w jedno z destruktywnymi wystąpieniami Suwarina i opuszczając szynk „Tu najtaniej”, gdzie codziennie piorunował wraz z nimi na Towarzystwo, Stefan szedł jak we śnie. W myślach był świadkiem całkowitego odrodzenia narodów, które nie kosztowało ani kropli przelanej krwi, ani jednej rozbitej szyby. Nie zastanawiał się zresztą, na jakiej dokona się ono drodze, wołał wierzyć, że wszystko ułoży się samo, bo z chwilą gdy usiłował sformułować jakiś program działania, tracił głowę. Okazał się pełen umiarkowania i niekonsekwencji. Powtarzał czasem, że z zagadnień społecznych należy wykluczyć politykę. Zdanie to przeczytał gdzieś i wydawało mu się, że trafi ono do przekonania flegmatycznym górnikom, pośród których żył.

U Maheuów kładziono się teraz trochę później – pół godziny przed spaniem przeznaczone było na pogawędkę. Stefan powracał stale do tego samego tematu. Im subtelniejsza stawała się jego natura, tym bardziej raziły go warunki życia w kolonii. Jakim prawem stłoczono ich tak jak bydłeta, że nie mogli zmienić koszuli, aby nie pokazać tyłka sąsiadom? Jakież fatalny wpływ wywierał ten natłok na ich zdrowie i moralność!

– Jakby człowiek miał więcej pieniędzy – odpowiadał Maheu – to by się tak nie cisnął... Pewno, że to nikomu nie wychodzi na dobre taka ciasnota: siedzi jedno na drugim i koniec taki, że mężczyźni są wiecznie pijani, a dziewczęta chodzą z brzuchem.

Cała rodzina brała udział w dyskusji, każdy miał coś do powiedzenia, a lampa naftowa do reszty zatruwała powietrze przesycone zapachem smażonej cebuli.

To prawda, życie nie było wesołe! Człowiek harował jak wół, ciężiej niż kiedyś galernicy, co krok narażony był na śmierć, a nie miał nawet na kawałek mięsa do obiadu. Dobrze, że w ogóle jest co do gęby włożyć, ale tyle akurat, żeby nie zdechnąć z głodu. Długów pełno i tylko wieczny strach, a czy to się komu co ukradło? Jak przyjdzie niedziela, człowiek wali się na łóżko ze zmęczenia, cała jego przyjemność, jak się może upić albo zmajstrować żonie dzieciaka. Nie,

takie życie to nie jest życie!

– Najgorsze, to jak człowiek sobie już powie, że nic się nie da zmienić – wtrącała Maheudka.
 – Za młodu każdy wierzy, że będzie szczęśliwy, spodziewa się różności. Ale później nędza tak go przycisnie, że wszystkiego mu się odechciewa... Ja tam nie życzę nikomu nic złego, ale tak sobie czasem myślę, gdzie tu jest sprawiedliwość, i aż mnie ciska.

Zapadało milczenie. Wydawało im się, że są w jakiejś matni i czuli się przytłoczeni. I tylko dziadek Bonnemort, o ile był z nimi, otwierał oczy ze zdziwieniem. Za jego czasów ludzie nie gadali w ten sposób: rodzili się pośród węgla, pracowali w węglu i nie żądali nic więcej. A tymczasem teraz górnicy zaczynają podnosić głowy.

– Nie trzeba płuć na nic – mruczał. – Dobry kufelek też coś wart... Patron często bywa draniem, ale przecie bez patrona i tak być nie może, no nie? Więc co się tam nad tym zastanawiać!

Stefan ożywał się natychmiast. Jak to, robotnik nie miałby prawa zastanawiać się nad swym losem? Właśnie dlatego, że robotnik zaczął myśleć, wszystko zmieni się niedługo. Za czasów dziadka górnicy żyli w kopalni jak zwierzęta, pracowali jak maszyny do wydobywania węgla, zawsze pod ziemią, ślepi i głusi na wszystko. Dlatego też bogaczom, którzy rządzą, nie trudno było się porozumieć, sprzedawać ich, kupować, aby sycić się ich krwią: tamci nie spostrzegali tego nawet. Ale dzisiaj górnik budzi się. W głębi ziemi kiełkuje ziarno, które wytryśnie kiedyś na powierzchnię. Wzrasta armia ludzi, którzy wywalczą sprawiedliwość. Czyż od czasów Rewolucji wszyscy obywatele nie są sobie równi? Dlaczego robotnik miałby pozostać niewolnikiem pracodawcy, który mu płaci, jeżeli obaj tak samo biorą udział w wyborach? Wielkie Towarzystwa ze swymi maszynami ciężą nad wszystkim, a robotnik nie może nawet bronić się przeciwko nim tak jak niegdyś, kiedy istniały cechy, które umożliwiały pracownikom stawianie oporu. Dlatego właśnie i dla wielu innych przyczyn ten stan *rzeczy* nie potrwa długo! Oświata zrobi swoje! Wystarczy wziąć za przykład choćby tylko nasze osiedle: dziadowie nie umieli się podpisać, ojcowie podpisują się już, a synowie piszą i czytają jak profesorowie. Kiełkuje już, kiełkuje i dojrze w słońcu przyszłe żniwo! Skoro robotnik nie jest przywiązany na całe życie do jednego miejsca i wolno mu mieć ambicję zajęcia miejsca sąsiada, dlaczego nie natężyć wszystkich sił i nie sięgnąć po zwycięstwo?

Maheu, głęboko poruszony, pełen był jednak zastrzeżeń.

– Niech się tylko człowiek spróbuje ruszyć, to zaraz zwracają mu książeczkę. Dziadek ma

rację, górnik zawsze się będzie męczył, i nawet na kawałek mięsa nie zarobi.

Milcząca od pewnego czasu Maheudka ocknęła się jakby:

– Żeby to choć była prawda, co mówią księża, że ci, co cierpią biedę na tym świecie, na tamtym będą bogaci!

Przerwał jej wybuch śmiechu. Nawet dzieci wzruszały ramionami. Wszyscy oni przestali wierzyć i chociaż zachowali tajony lęk przed upiorami, pokpiwali sobie jednak z nieba, które stało się dla nich puste.

– A jakże, księża! – zawołał Maheu.—Jakby sami wierzyli w to, co mówią, mniej by jedli, a więcej pracowali, żeby zapewnić sobie dobre miejsce na tamtym świecie... Nie, nie, jak już człowiek umiera, to umiera!

– Oj Boże, Boże – westchnęła ciężko Maheudka, a później, opuściwszy ręce na kolana gestem bezmiernego znużenia dodała:

– Więc rzeczywiście nie ma dla nas żadnego ratunku?

Popatrzyli jedni na drugich. Dziadek Bonnemort splotował w chustkę do nosa, a Maheu siedział z zagasłą fajką w ustach. Malcy spali wsparci o róg stołu, a siedząca między nimi Alzira słuchała. Katarzyna z twarzą opartą na dłoni wpatrywała się w Stefana wielkimi jasnymi oczyma, gdy ten głosił swoje credo, odsłaniał przed nimi czarowną przyszłość, którą dla nich wymarzył. Wokół nich osiedle układało się do snu. Ciszę przerywało czasem kwilenie dziecka lub krzyki zapóźnionego pijaka.

Zegar z kukułką tykał miarowo, a z posypanej piaskiem podłogi unosił się wilgotny chłód.

– A cóż to znowu za pomysły! – rzekł Stefan. – Czy koniecznie potrzebny wam jest Bóg i niebo, żebyście mogli być szczęśliwi? Czy nie potraficie stworzyć sobie sami szczęścia na ziemi?

Z zapalem w głosie mówił dalej, otwierał przed nimi nowe horyzonty, rzucał snop światła w ich mroczne życie biedaków. Wieczysta nędza, zwierzęcy wysiłek, los bydłałt wyzyskiwanych, mordowanych, wszystko to znikło jakby wymiecione promieniami słońca; sprawiedliwość zstępowała z nieba. Ponieważ Bóg nie istniał, ona miała zapewnić szczęście ludziom, wprowadzić rządy równości, braterstwa. Jak we snach wyrastało nagle nowe społeczeństwo – niezmierzone miasto piękne niby w bajce, w którym każdy obywatel żył ze swej pracy i brał udział we wspólnych radościach. Stary, zgniły świat rozpadł się w gruzy, a młoda ludzkość oczyszczona z dawnych zbrodni tworzyła jedną wielką rzeszę pracowników, którym

przyświecała dewiza: każdy według swoich zdolności, każdemu według jego pracy. Marzenie zataczało coraz szersze kręgi, tym piękniejsze i bardziej kuszące, im trudniej osiągalne.

Z początku przejęta lękiem Maheudka nie chciała tego słuchać. Nie, nie, to zbyt piękne, nie można myśleć o takich rzeczach, bo później człowiekowi odechciewa się żyć i potargałby wszystko, żeby tylko osiągnąć to szczęście. Kiedy widziała, że oczy męża błyszczą, że ulega, budził się w niej niepokój, wołała przerywając Stefanowi:

– Nie słuchaj go! Sam widzisz, że opowiada bajki! Gdzieżby kiedy bogacze chcieli pracować tak jak my?

Powoli jednak i ona ulegała urokowi. Jej wyobraźnia budziła się i z uśmiechem wkraczała Maheudka do cudownego świata. Tak dobrze było móc zapomnieć na jedną godzinę o smutnej rzeczywistości! Kiedy się żyje jak zwierzę z nosem przy ziemi, trzeba mieć swój kącik kłamstwa, w którym można nasycić się tym wszystkim, czego nigdy nie posiadzie się naprawdę. Tym, co ją pasjonowało, co sprawiało, że zgadzała się ze Stefanem, była idea sprawiedliwości.

– Co do tego, to masz słuszość! – wołała. – Ja, jak widzę, że coś jest sprawiedliwe, to dałabym się za to porąbać w kawałki... A to jest sprawiedliwe, żebyśmy teraz my byli górą!

Wówczas i Maheu dawał unieść się zapałowi:

– Do pioruna, nie jestem bogaty, ale dałabym chętnie pięć franków, żeby dożyć tych czasów! To się dopiero wszystko wywróci do góry nogami! Jak myślisz, prędko to będzie? I jak się do tego wezmą?

Stefan z powrotem zabierał głos. Stare społeczeństwo trzeszczy już w swych posadach, nie przetrwa dłużej niż parę miesięcy, oświadczał zuchwale. Ale gdy przyszło mówić o sposobach dokonania przemiany, stawał się mniej konkretny, powoływał się na przeczytane książki, ośmielony ignorancją słuchających zapuszczał się w rozważania, w których sam się gubił. Nie było systemu, o którym by nie wspomniał, a wszystkie miały w jego ustach tę dobrą stronę, że gwarantowały łatwe zwycięstwo. Walka klas zakończy się braterskim pocałunkiem; co najwyżej zajdzie potrzeba przywołania do rozsądku kilku upartych pracodawców i burżujów. Maheuowie robili takie miny, jakby rozumieli jego wywody, potakiwali, przyjmowali cudowne rozwiązania ze ślełą wiarą neofitów, podobni do pierwszych chrześcijan wyglądających narodzin nowej, doskonalej ery na gruzach świata antycznego. Mała Alzira łowiła poszczególne słowa i szczęście wyobrażała sobie pod postacią ciepłutkiego domu, w którym dzieci mogą jeść i bawić się do woli. Katarzyna, z twarzą opartą na dłoniach, nieruchoma, słuchała z oczyma utkwionymi w

Stefana, a kiedy przestawał mówić, drżała lekko, pobladła jak z zimna.

Ale Maheudka spoglądała na zegar.

– Już po dziesiątej, słyszał to kto coś podobnego? Jutro nikt nie będzie mi chciał wstać!

Podnosili się od stołu ze ściśniętym sercem, przygnębieni. Zdawało im się, że przed chwilą byli bogaczami, a teraz z powrotem popadają w nędzę. Dziadek Bonnemort, który wychodził do kopalni, mruczał, że cała ta gadanina psu na budę się nie zda; reszta domowników udawała się na górę uświadamiając sobie nagle, iż ściany są wilgotne, a w domu panuje zaduch. Katarzyna kładła się do łóżka ostatnia i gasiła świecę. Stefan słyszał, jak przewraca się niespokojnie, zanim uśnie.

Często w rozmowach brali udział sąsiedzi. Levaque'a podniecała myśl o podziale dóbr; Pierron był na tyle ostrożny, że szedł spać, ilekroć zaczynało atakować Towarzystwo. Od czasu do czasu wpadał na chwilę Zachariasz, ale polityka nudziła go. Wolał iść do Rasseneura na piwo.

Chaval prześcigał Stefana w swych żądaniach, domagał się krwi. Prawie co wieczór spędzał teraz jakąś godzinę u Maheuów. Tkwiła w tym utajona zazdrość, lęk, żeby mu nie skradziono Katarzyny. Ta dziewczyna, którą zdążył się już znużyć, na powrót stała mu się droga, od kiedy inny mężczyzna sypiał obok niej i mógł osiąść ją nocą.

Wpływ Stefana rósł z każdym dniem. Zrewolucjonizował powoli całe osiedle, a jego podziemna propaganda była tym skuteczniejsza, że jednocześnie zyskiwał coraz większy szacunek wśród mieszkańców. Mimo wrodzonej nieufności przezornej gospodyni Maheudka odnosiła się do niego z uznaniem, gdyż Stefan płacił regularnie, nie pił, nie grał, stale zajęty lekturą. Wyrobiła mu pośród sąsiadek opinię wykształconego i teraz przychodziły do niego prosząc, żeby pisał im listy; Stał się niejako doradcą prawnym, który załatwiał korespondencję i rozstrzygał drażliwe kwestie. Wreszcie we wrześniu założył kasę zapomogową, wprawdzie bardzo jeszcze wątłą, liczącą jako członków tylko mieszkańców osiedla, ale miał nadzieję, że przystąpią do niej górnicy ze wszystkich kopalń, zwłaszcza jeżeli Towarzystwo w dalszym ciągu pozostanie bierne i nie będzie mu stawiało przeszkód. Został wybrany sekretarzem stowarzyszenia i za związaną z tym pracą pobierał nawet niewielkie wynagrodzenie; uczyniło go to niemal bogatym. O ile górnikowi obarczonemu rodziną nie udaje się związać końca z końcem, o tyle kawaler wolny od obowiązków i wstrzemięzliwy może nawet odłożyć coś ze swych zarobków.

W Stefanie dokonała się powolna przemiana. Ocknęła się w nim przytłumiona nędzą dbałość o wygląd zewnętrzny, zamiłowanie do dobrobytu. Sprawił sobie sukienne ubranie, cienkie trzewiki i wyrósł nagle na przywódcę. Całe osiedle skupiło się wokół niego. Połechtano to rozkosznie jego miłość własną i pozwoliło sycić się popularnością. To, że on, taki młody, wczoraj jeszcze zwykły pomocnik rębacza, teraz stoi na czele innych, napełniało go dumą i zwiększało rozpiętość jego marzeń o rewolucji, w której spodziewał się odegrać jakąś rolę. Twarz jego nabrała nowego wyrazu, spoważniał, z lubością przysłuchiwał się własnym słowom. Rodząca się ambicja dodawała żaru jego teoriom i popychała go do myśli o walce.

Tymczasem jesień miała się ku końcowi. Październikowe chłody pokryły rdzą ogródki w osiedlu. Za osłoną wątych bzów chłopcy z kopalni nie przewracali już ładowaczek na dach szopy. Na działkach pozostały tylko zimowe jarzyny, główki kapusty operlone szronem i pory. Ulewa bębniła znowu po czerwonych dachówkach, strugi wody spływały z łoskotem do ustawionych pod rynnami beczek. Rozżarzone piecyki napełniały zaduchem zamknięte izby. Znowu rozpoczynał się dla górników okres wielkiej nędzy.

W październiku, podczas jednej z pierwszych mroźnych nocy Stefan rozgorączkowany niedawno wygłoszonym przemówieniem nie mógł zasnąć. Wieczorem przyglądał się, jak Katarzyna znika pod kołdrą i gasi świecę. Ona również robiła wrażenie ogromnie podnieconej, trawionej wstydem, który kazał jej się pośpiesznie wślizgiwać do łóżka, przy czym robiła to tak niezgrabnie, że odkrywała się jeszcze bardziej. Leżała teraz w ciemnościach jak martwa; ale Stefan słyszał, że nie śpi. Czuł, że myśli o nim tak jak on o niej; nigdy dotąd ta milcząca wymiana myśli nie napełniała go takim niepokojem. Mijały minuty, a żadne z nich się nie poruszyło i tylko nierówny oddech zdradzał ich podniecenie. Dwukrotnie już Stefan gotów był wstać i iść do dziewczyny. Dlaczego mieliby nie ulec pokusie? Po co dłużej opierać się żądy? Dzieci spały, pewien był, że zgodzi się zaraz, że czeka na niego i bez słowa obejmie go ramionami. Minęła blisko godzina. Nie wstał i nie poszedł do niej, a ona nie odwróciła się z obawy, że go zawoła. Im dłużej żyli obok siebie, tym bardziej rozdzielał ich mur uczuć, z których sami nie zdawali sobie jasno sprawy; była tam i wstydlivość, i niechęć, i przyjacielska delikatność.

IV

Słuchaj no – powiedziała do męża Maheudka – wracając z Montsou po wypłacie przynieś mi paczkę kawy i kilo cukru.

Maheu łątał właśnie trzewik, żeby oszczędzić wydatku na szewca.

– Dobrze – mruknął nie przerywając roboty.

– A może byś tak wstąpił też do rzeźnika, co? Kupiłbyś kawałek cielęciny. Tak dawno nie mieliśmy już tego w ustach.

Tym razem podniósł głowę.

– Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja dostanę setki i tysiące? Ciągłe przerywają robotę i potem wypłacają człowiekowi grosze.

Oboje umilkli. Było to po śniadaniu, w którąś sobotę pod koniec października. Towarzystwo pod pozorem wypłaty zatrzymało tego dnia wydobywanie węgla we wszystkich kopalniach. Ogarnięte paniką przed coraz to pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, nie chcąc zwiększać swych i tak już olbrzymich zapasów, korzystało z najmniejszej sposobności, żeby zmusić dziesięć tysięcy górników do przymusowego próżnowania.

– Stefan czeka na ciebie u Rasseneura – podjęła Maheudka. – Weź go ze sobą, on lepiej da sobie radę, gdyby chcieli was oszukać na godzinach.

Maheu skinął głową.

– I pomów z tymi panami o dziadku. Lekarz trzyma z dyrekcją... Prawda, dziadku, że lekarz się myli, że możecie jeszcze pracować?

Od dziesięciu dni dziadek Bonnemort siedział przykuty do krzesła. Nogi mu drętwiały, jak mówił. Maheudka musiała powtórzyć pytanie.

– Pewnie, że mogę – mruknął. – Człowiek nie kończy się dlatego tylko, że go nogi boją. Wymyślili te wszystkie historie, żeby mi nie wypłacić stu osiemdziesięciu franków renty.

Maheudka pomyślała o czterdziestu sous, których dziadek nie przyniesie już może nigdy więcej, i wykrzyknęła z przerażeniem:

– Boże miłosierny, przecież my pomrzemy z głodu, jak tak dalej pójdzie!

– Umarłemu nie chce się już jeść – odparł Maheu.

Wbił jeszcze parę gwoździ w podeszwę, wstał i wyszedł. Kolonia Dwieście Czterdzieści

miała otrzymać wypłatę dopiero około czwartej. Górnicy nie śpieszyli się więc, przystawali, a żony szły za nimi upominając, żeby zaraz po wypłacie wracali do domu. Niektóre dawały im zlecenia, aby nie mogli zasiedzieć się w szynku.

U Rasseneura Stefan dowiedział się nowin. Chodziły niepokojąca słuchy, że dyrekcja, coraz bardziej niezadowolona ze stemplowania, gnębi górników karami. Konflikt wydawał się nieunikniony. Stemplowanie było zresztą tylko pretekstem, za którym kryły się sprawy skomplikowane, niedomówione i ważkie.

Kiedy Stefan wszedł, jeden z rębaczy wracający z wypłaty opowiadał przy piwie, że nad kasą wisi jakieś ogłoszenie, ale nie wiedział dokładnie, czego dotyczyło. Nadeszli inni górnicy i każdy z nich przynosił inne wieści. Jedno wydawało się pewne, że Towarzystwo powzięło jakąś decyzję.

– A ty co na to mówisz? – spytał Stefan siadając obok Suwarina przy stole, na którym leżała jedynie paczka tytoniu.

Mechanik nie śpieszył się. Skręcił papierosa.

– To było do przewidzenia. Chcą doprowadzić was do ostateczności.

On jeden był na tyle inteligentny, żeby właściwie ocenić sytuację. Objasniał spokojnie: Towarzystwo dotknięte kryzysem musi obniżyć koszty produkcji, żeby nie zbankrutować. Naturalnie odbije się to na robotnikach. Będą musieli zacisnąć pasa, pod jakimkolwiek pretekstem dyrekcja obniży im płace. Od dwóch miesięcy gromadzą się zapasy węgla, prawie wszystkie fabryki stoją. Bojąc się, żeby kopalnie nie musiały stanąć również, Towarzystwo chciałoby znaleźć jakiś złoty środek, na przykład spowodować strajk, z którego robotnicy wyszliby pognębieni, gotowi przyjąć obniżkę płac. Wreszcie Towarzystwo zaniepokojone jest zapewne powstaniem kasy zapomogowej, która stanowi dla niego groźbę na przyszłość, i pragnie pozbyć się jej. Strajk opróżniłby ją, zanim zdąży wzmóc się na siłach.

Rasseneur usiadł obok Stefana i obaj słuchali strapieni. Mogli mówić głośno, oprócz pani Rasseneur siedzącej za ladą, nie było nikogo.

– Co za pomysł! – szepnął szynkarz. – Strajk nie przyniósłby żadnej korzyści ani Towarzystwu, ani robotnikom. Jedyne wyjście to porozumieć się.

Rasseneur był zawsze zwolennikiem rozsądku i nie uznawał roszczeń wykraczających poza jego granice. Od czasu, kiedy jego dawny lokator zyskał sobie popularność wśród górników, jeszcze głośniejsze powtarzał, że nie da się niczego osiągnąć domagając się wszystkiego na raz.

Jego dobroduszość utuczonego piwem grubasa coraz mocniej barwiła się tajoną zazdrością, tym głębszą, im mniej robotników z le Voreux przychodziło do szynku napić się i posłuchać jego wywodów. Zdarzało się nawet, że bronił Towarzystwa zapominając o swych urazach górnika zwolnionego z pracy.

– Więc jesteś przeciwnikiem strajku? – zawołała pani Rasseneur nie ruszając się od lady.

A kiedy odpowiedział, że tak, przerwała mu energicznie:

– Cicho bądź i pozwól mówić tym panom, jak sam tchórzysz!

Stefan zamyślił się z oczyma utkwionymi w stojący przed nim kufel piwa. Wreszcie podniósł głowę.

– To, co mówi towarzysz, jest zupełnie prawdopodobne i będziemy musieli zdecydować się na ten strajk, jeżeli nas do niego zmuszą... Pluchart pisze mi właśnie bardzo słuszne uwagi na ten temat. On również jest przeciwko strajkom, gdyż robotnik traci na nich tyle co pracodawca, a nie zyskuje nic decydującego. Ale zdaniem Plucharta, strajk stanowi doskonałą okazję, aby pozyskać nowych członków dla jego stowarzyszenia... Zresztą tu jest jego list.

W istocie Pluchart zmartwiony nieufnym stosunkiem robotników z Montsou do Międzynarodówki miał nadzieję, że przystąpią oni do niej masowo, gdy przyjdzie im walczyć z Towarzystwem. Stefan mimo wysiłków nie zwerbował jeszcze ani jednego członka. Zresztą z o wiele większym zapalem propagował swoją kasę wzajemnej pomocy, która cieszyła się znacznie większą popularnością. Lecz kasie tej, bardzo jeszcze ubogiej, groziło w razie strajku szybkie wyczerpanie, jak to już powiedział Suwarin. I wówczas strajkujący niechybnie przystąpiliby do Stowarzyszenia Robotników szukając pomocy u swych braci z innych krajów.

– Ile macie gotówki? – zapytał Rasseneur.

– Zaledwie trzy tysiące franków – odparł Stefan. – A wiecie chyba o tym, że dyrekcja wezwała mnie przedwczoraj. Och! Oni są bardzo uprzejmi. Powtórzyli mi parę razy, że nie zamierzają przeszkadzać robotnikom w tworzeniu funduszu rezerwowego, ale zrozumiałem doskonale, że chcieliby roztoczyć nad nim kontrolę... Tak czy tak, o to również będziemy musieli walczyć.

Szynkarz chodził tam i z powrotem po izbie pogwizdując pogardliwie. Trzy tysiące franków, cóż to jest! Nie starczy nawet na chleb przez tydzień. A liczyć na pomoc zagranicy, to lepiej od razu się powiesić! Nie, to nie ma najmniejszego sensu, ten strajk!

Po raz pierwszy doszło do ostrej wymiany zdań między tymi dwoma ludźmi, którzy zwykle

dochodzili do porozumienia, złączeni wspólną nienawiścią do kapitału.

– A ty co na to powiesz? – powtórzył Stefan zwracając się do Suwarina.

– Strajk? Zawracanie głowy! – odparł tamten ze zwykłą pogardą, a po chwili, wśród gniewnego milczenia, dodał łagodniej:

– Ostatecznie nie mówię nie, jeżeli wam tak zależy na tym strajku: jednych to rujnuje, innych zabija, słowem na coś się przydaje... Ale gdybyśmy chcieli osiągnąć w ten sposób przebudowę świata, musielibyśmy czekać tysiące lat. Lepiej od razu wysadzić w powietrze to wasze miejsce kaźni!

I szczupłą ręką wskazał na widoczne przez uchylone drzwi zabudowania le Voreux. Przerwało mu niespodziewane zajście: do izby wpadła królicia Rasseneurów uciekając przed bandą chłopaków, którzy ciskali w nią kamieniami. Przerazona, z opuszczonymi uszami, ze sterczącym do góry ogonem, przypadła do nóg Suwarina i zaczęła go drapać prosząc w ten sposób, żeby wziął ją na kolana. Podjął ją z ziemi, otulił dłońmi i zapadł w rodzaj sennej zadumy, w jaką pogrążało go zawsze pieszczotliwe dotknięcie tego futerka jedwabistego i ciepłego.

W chwilę potem wszedł Maheu. Nie chciał się niczego napić mimo uprzejmych nalegań pani Rasseneur, która sprzedawała piwo tak, jakby je ofiarowywała za darmo. Stefan wstał i obaj udali się do Montsou.

W dni wypłaty Montsou przybierało wygląd odświętny jak podczas kiermaszu. Ze wszystkich kolonii schodziły się gromady górników. Ponieważ biuro kasjera było bardzo małe, woleli więc czekać na zewnątrz i tłumnie zalegali chodniki. Korzystali z tego uliczni handlarze i rozstawiali swe przenośne kramy, na których niczego nie brakowało począwszy od wędlin aż do naczyń kuchennych. Najlepszy jednak interes robiły szynki. Górnicy czekali tam najpierw, aż przyjdzie ich kolej, a potem oblewali wypłatę. Dobrze, jeżeli nie przepijali jej do reszty w „Wulkanie”.

W miarę jak Maheu i Stefan zagłębiali się pomiędzy czekającymi, czuli wzbierający wokół nich głuchy gniew. Ani śladu zwykłej bez troski właściwej dniom wypłaty, kiedy każdy zastanawiał się, w której knajpie przepuścić część zarobku. Pięści się zaciskały, słowa pełne zajadłości padały z ust do ust.

– Więc to prawda? – zapytał Maheu Chavala, którego spotkali przed drzwiami Piquette’a. – Zrobili to łajdactwo?

Ale Chaval mruknął tylko coś z wściekłością i krzywym spojrzeniem obrzucił Stefana.

Pracował teraz w innej grupie, drażony zawiścią do kolegi, tego przybłądy, który udawał przywódcę i któremu jak mówił, cała kolonia lizała buty. Uczucie to komplikowała jeszcze zazdrość kochanka. Ile razy szedł teraz z Katarzyną do Requillart lub za hałdę, w ohydnych słowach wyrzucał jej, że sypia z lokatorem matki, a później dusił w uściskach opanowany dziką żądzą.

– Czy już kolej na le Voreux? – zapytał go ponownie Maheu.

Chaval skinął głową i odwrócił się do nich plecami. Stefan i Maheu weszli do biura.

Kasa mieściła się w niewielkim, prostokątnym pokoiku przedzielonym kratą na dwie części. Na ławkach wzdłuż ścian czekało pięciu czy sześciu górników, a siódmy stał przy okienku z czapką w ręku. Nad ławką z lewej strony widniał żółty afisz odbijający od szarości okopconej ściany. Od rana zatrzymywali się przed nim górnicy. Przychodzili po dwóch, po trzech i postawszy chwilę odchodzili bez słowa, wstrząsając ramionami, jakby przetrącono im krzyż.

Właśnie stali przed ogłoszeniem dwaj górnicy: jeden młody, o kwadratowej twarzy brutala i drugi, bardzo chudy, zidiociały ze starości. Żaden z nich nie umiał czytać. Młodszy sylabizował mozolnie poruszając ustami, a stary wpatrywał się tępo w afisz. Wielu wchodziło tak jak on, żeby tylko zobaczyć ogłoszenie, choć nie rozumieli jego treści.

– Przeczytaj nam to! – powiedział do swego towarzysza Maheu, sam również niezbyt biegle w czytaniu.

Stefan zaczął czytać głośno. Było to zarządzenie Towarzystwa skierowane do górników ze wszystkich kopalń. Dyrekcja oznajmiała, że wobec niezadowolającego stanu obudowy i bezcelowości nakładanych za to kar, postanawia wprowadzić nowy system płac. Od tej pory za stemplowanie płacić się będzie osobno, od metra kubicznego drzewa użytego na ten cel, za podstawę obliczeń przyjmując ilość drzewa potrzebną do wykonania tej pracy w sposób należyty. Opłata od wózka zostanie naturalnie obniżona, mniej więcej w proporcji z pięćdziesięciu centymów na czterdzieści, oczywiście w zależności od gatunku węgla i oddalenia chodników od szybu. Następowaly zawile obliczenia, które miały wykazać, że tę dziesięciocentymową obniżkę wyrównają całkowicie opłaty za stemplowanie. Dyrekcja dodawała zresztą, że chcąc, aby każdy miał czas zastanowić się nad dobrymi stronami nowego systemu, wprowadzi go dopiero od poniedziałku, pierwszego grudnia.

– Może byście tak czytali trochę ciszej! – krzyknął kasjer. – Człowiek nie słyszy własnych słów.

Nie zwracając uwagi na jego protest Stefan przeczytał afisz do końca. Głos mu drżał, a kiedy skończył, wszyscy wpatrywali się nadal w ogłoszenie. Młody i stary górnik zdawali się wsłuchiwać nadal w jego słowa, a później wyszli pochyleni ku ziemi.

– Psiakrew! – syknął Maheu.

Usiedli ze Stefanem na ławce. Opuściwszy głowy pograżyli się w rachubach, a tymczasem przed żółtym afiszem defilowali coraz to nowi robotnicy. Czy to były drwiny? Nigdy opłaty za stemplowanie nie wyrównają im dziesięciu centymów utraconych na każdym wózku. Najwyżej uda im się wyrobić osiem, czyli Towarzystwo kradnie dla siebie dwa. A ile czasu tracą przy tym na stemplowanie? Więc to o to idzie! Dyrekcja chce robić oszczędności z kieszeni górników!

– Psiakrew! Psiakrew! – powtórzył Maheu podnosząc głowę. – Bylibyśmy ostatnimi głupcami, gdybyśmy się zgodzili na coś podobnego.

Widząc, że nikt nie stoi przy okienku, podszedł po wypłatę.

Do kasy zgłaszali się tylko rębacze – przodownicy, a otrzymane pieniądze dzielili pomiędzy swoich ludzi. W ten sposób zyskiwało się na czasie.

– Grupa Maheu! – zawołał pomocnik kasjera. – Pokład Filonniere, ściana numer siedem.

Przejrzał listy sporządzone na podstawie książeczek, w których sztygarzy zapisywali codziennie ilość dostarczonych wózków.

– Grupa Maheu, pokład Filonniere, ściana numer siedem – powtórzył. – Sto trzydzieści pięć franków. Kasjer wypłacił należność.

– Przepraszam pana – wykrztusił rębacz przerażony – czy pan się przypadkiem nie omylił?

Spoglądał na tę garsteczkę pieniędzy, nie brał jej do rąk. Nagły chłód dreszczem spłynął mu do serca. Był przygotowany na niski zarobek, ale tak mało nie mógł on przecież wynosić. A może źle policzył? Jak wypłaci to, co należy się Zachariaszowi, Stefanowi i trzeciemu koledze, zastępującemu Chawała, to dla niego, dziadka, Katarzyny i Janka zostanie najwyżej pięćdziesiąt franków.

– Nie, nie omyliłem się – odparł urzędnik. – Odpadają dwie niedziele i cztery dni bez pracy, zostaje więc dziewięć dni roboczych.

Maheu liczył po cichu: dziewięć dni, to znaczy około trzydziestu franków na niego, osiemnaście dla Katarzyny, dziewięć dla Janka. Dziadek Bonnemort pracował trzy dni. Ale i tak w sumie wypada na pewno więcej licząc dziewięćdziesiąt franków dla Zachariasza i dwóch

kolegów.

– Proszę nie zapominać o karach – dokończył urzędnik. – Dwadzieścia franków kary za złe stemplowanie.

Maheu zrobił gest rozpaczony. Dwadzieścia franków kary, cztery dni bezrobocia! No tak, w ten sposób rachunek się zgadza. I pomyśleć, że czasem przynosił do domu po sto pięćdziesiąt franków, kiedy jeszcze dziadek Bonnemort pracował, a Zachariasz nie był żonaty.

– Bierzecie wreszcie czy nie? – krzyknął zniecierpliwiony kasjer. – Widzicie przecież, że inni czekają! Jak nie chcecie, to mówcie od razu!

Maheu wyciągnął drżącą rękę.

– Czekajcie no – zatrzymał go urzędnik – mam tu zanotowane wasze nazwisko. Toussaint Maheu, tak? Pan sekretarz generalny chce z wami mówić. Wejdźcie, jest sam.

Maheu, oszołomiony, znalazł się w gabinecie, w którym stały mahoniowe meble, a ściany obite były zielonym rypsem, i przez pięć minut słuchał sekretarza generalnego, wysokiego bladego mężczyzny, który mówił do niego spoza biurka, nie podnosząc się z miejsca. Szum w uszach przesłaniał mu jego słowa. Uświadomił sobie niejasno, że chodzi o jego ojca, którego sprawa miała być rozpatrzona: po czterdziestu latach pracy, w pięćdziesiątym roku życia przysługuje mu sto pięćdziesiąt franków renty rocznie. Nagle wydało mu się, że głos sekretarza generalnego stał się bardziej twardy. Gromił go, że zajmuje się polityką, robił aluzje do osoby jego lokatora i do kasy zapomogowej. Wreszcie poradził mu, żeby nie kompromitował się takimi rzeczami, on, jeden z najlepszych robotników kopalni. Maheu chciał zaprotestować, ale wybąkał tylko parę słów bez związku, zmiął czapkę w drżących palcach i wycofał się jękając:

– Oczywiście, panie sekretarzu... Zapewniam pana sekretarza...

Gdy zobaczył Stefana, który czekał na niego, wybuchnął:

– Jestem dureń, powinienem był odpowiedzieć... Człowiek nie ma chleba, a tu mu jeszcze gadają bzdury! Tak, to o ciebie im chodzi. Powiedział mi, że cała kolonia jest zatruta... I co robić? Ukłonić się, cholera, i powiedzieć dziękuję! Ma rację, to najrozsądniejsze!

Umilkł pełen gniewu i obawy. Stefan zadumał się ponuro. Mijali grupy robotników stojących na ulicy. Rozjątrzenie rosło, rozjątrzenie ludzi spokojnych, pomruk nadchodzącej burzy. Ci, co umieli rachować, wyliczyli, ile zarobi Towarzystwo na osobnych wypłatach za stemplowanie; owe dwa centymy oburzały nawet najspokojniejszych. Ale przede wszystkim ogarnęła wszystkich wściekłość na tę katastrofalną wypłatę, bunt ludzi głodnych przeciwko bezrobociu i

karom. Już dzisiaj nie mają co do gęby włożyć, a co będzie, jak jeszcze obniżą im płacę? W szynkach wrzało. Gniew tak wysuszał gardła, że ta garstka pieniędzy, jaką dostali, zostawała na ladzie.

W drodze z Montsou do osiedla Maheu i Stefan nie zamienili ze sobą ani słowa. Gdy weszli do domu, Maheudka spostrzegła zaraz, że mąż wraca z próżnymi rękami.

– A to ładnie! – zawołała. – Gdzież moja kawa, cukier i mięso? Nie zbankrutowałbyś, jakbyś kupił kawałek cieleciny!

Nie odrzekł nic dławiąc żal. Jego twarda, męska twarz górnika nabrzmiewała powoli rozpaczą i wreszcie łzy trysnęły mu z oczu, ciepłym deszczem spływając po policzkach. Opadł ciężko na krzesło i płakał jak dziecko, rzuciwszy na stół pięćdziesiąt franków.

– Masz! – wyjąkał. – Tyle przyniosłem... cały nasz zarobek!

Maheudka spojrzała na Stefana, a widząc, że stoi milczący i przygnębiony, także wybuchnęła płaczem. W jaki sposób wyżywi dziewięć osób mając pięćdziesiąt franków na dwa tygodnie? Najstarszy syn poszedł na swoje, dziadek nie może ani nogą ruszyć: czeka ich śmierć! Słyszając płacz matki Alzira rzuciła się jej na szyję wstrząśnięta. Estelka krzyczała, Henryk i Lenora szlochali.

W całej kolonii podniósł się niebawem ten sam krzyk nędzy. Mężowie wrócili i każda rodzina przeżywała klęskę wypłaty. Drzwi domów otwierały się i kobiety wybiegały lamentując głośno, jak gdyby ich skargi nie mogły pomieścić się w czterech ścianach izb. Mżył drobny deszczyk, lecz one go nie czuły, nawoływały się wzajemnie, pokazywały sobie otrzymaną wypłatę – mieściła się we wgłębieniu dłoni.

– Patrzcie, ile mojemu dali! Czy to nie kpiny z człowieka?

– Nie będę nawet miała czym zapłacić za chleb!

– A ja? Policz no tylko! Przyjdzie chyba sprzedać koszule!

Maheudka wyszła przed dom jak i inne. Wokół Lewaczki, która krzyczała najgłośniej, utworzyło się zbiegowisko. Jej mąż, pijanica, nie wrócił dotychczas. Przeczuwała, że wypłata – duża czy też mała – stopnieje w „Wulkanie”. Filomena pilnowała Maheua, żeby Zachariasz nie dostał swoich pieniędzy do rąk. Tylko Pierronka zachowywała się spokojnie. Ten krętacz Pierron zawsze potrafi tak jakoś urządzić, żeby mieć zapisane więcej godzin niż inni.

Stara Brûlé uważała to za podłość i oburzała się razem z innymi. Stała wyprostowana, chuda, z pięścią wyciągniętą w stronę Montsou.

– I pomyśleć tylko – zawołała nie wymieniając nazwiska państwa Hennebeau – że widziałam dziś rano ich kucharkę, jak jechała karetą po ryby do Marchiennes!

Powstał zgiewk, krzyki rozległy się na nowo. Ta służąca w białym fartuszkui jadąca po zakupy karetą wywołała oburzenie. Kiedy robotnicy przymierają głodem, tamtym zachciewa się ryb? Skończą się kiedyś te czasy. Przyjdzie kolej i na biedaków. Posiane przez Stefana ziarno wzrosło, trysnęło ku górze tym okrzykiem buntu. Było w nim niecierpliwe pożądanie obiecanej ery pomyślności i szczęścia wykraczającego poza otaczający ich horyzont nędzy. Przepelniła się czara niesprawiedliwości! Teraz, kiedy odejmują im chleb od ust, wystąpią do walki o swe prawa! Szczególnie kobiety gotowe były zdobywać szturmem, natychmiast, tę idealną krainę postępu, w której nie będzie nędzarzy. Nadciągała noc, deszcz się wzmaczał, a one napelniały całe osiedle swym zawodem.

Tego wieczora u Rasseneura zapadła decyzja rozpoczęcia strajku. Szynekarz już mu się nie sprzeciwiał, a Suwarin przyjmował go jako pierwszy krok. Stefan streścił sytuację w jednym zdaniu: ponieważ Towarzystwo chce strajku – będzie go mieć!

V

Minął tydzień. Pracowano w posepnym oczekiwaniu konfliktu.

U Maheuów następna wypłata zapowiadała się jeszcze gorzej niż poprzednia. Mimo swej rozwagi i rozsądku Maheudka popadała w coraz większe rozgoryczenie. A tu jeszcze Katarzynie przyszło pewnego dnia do głowy nie wrócić na noc do domu. Zjawiła się dopiero rano, tak zmęczona i rozbita, że nie mogła iść do kopalni. Płakała i zaklinała się, że to nie jej wina, że Chaval ją zatrzymał i groził, że ją pobije, gdyby próbowała uciec. Szalał z zazdrości i nie chciał dopuścić, żeby wracała do łóżka Stefana, z którym jak twierdził, rodzina każe jej sypiać. Maheudka, rozjątrzona, zabroniła córce zadawać się z takim bydlęciem i oświadczyła, że pójdzie do Montsou i da mu nauczkę. Ale nie zmieniło to faktu, że dniówka była stracona, a poza tym dziewczyna jak już miała tego kochanka, to pewno wolała go nie zmieniać.

W dwa dni potem znów wydarzyło się coś nowego. W poniedziałek i wtorek Janek zamiast iść do roboty, wymknął się do lasu Vandame z Bébertem i Lidką i kto wie, co oni tam

wyprawiali we trójkę! Dostał za to od matki lanie na ulicy, w obecności wystraszonej dzieciarni z całego osiedla. Widział to kto coś podobnego? Dzieciak, który tyle kosztował i powinien teraz przynosić pieniądze!

Znalazło w tym okrzyku swój wyraz wspomnienie jej własnej, ciężkiej młodości, dziedziczna nędza, która sprawia, że w oczach rodziców każde dziecko jest źródłem przyszłych zarobków.

Tego ranka, gdy mężczyźni i Katarzyna wychodzili do pracy, Maheudka podniosła się na łóżku i krzyknęła do Janka:

– A pamiętaj, gałganie jeden, że jak mi jeszcze raz zrobisz coś takiego, to zedrę ci skórę z tyłka!

Na nowej ścianie Maheua praca była ciężka. Pokład zwiężał się tutaj do tego stopnia, że rębacze wciśnięci między strop i ścianę ranili sobie przy pracy łokcie. Przy tym było tam coraz wilgotniej i obawiano się, że lada chwila trysnąć może woda, jeden z tych strumieni, które przebijają skałę i unoszą ze sobą ludzi.

Pewnego dnia, kiedy Stefan wydobył wbity w ścianę kilof, woda prysnęła mu na twarz. Było to jednak tylko ostrzeżenie; pokład stał się po prostu bardziej wilgotny i niezdrowy. Stefan zobojętniał zresztą na niebezpieczeństwo, tak samo jak koledzy nie myślał o nim. Nie czuli, jak gaz ciąży im na powiekach i pajęczyną przesłania oczy. Czasem gdy lampy przygasły i paliły się bardziej niebiesko niż zwykle, któryś z górników przykładął ucho do skały, aby posłuchać lekkiego szmeru baniek gazu wydobywających się z każdej szczeliny. Co groziło im stale, to zasypanie: woda drażyła ścianę, a obudowa, robiona w pośpiechu, nigdy nie była wystarczająca.

Maheu trzy razy poprawiał tego dnia stemplowanie. Było w pół do trzeciej, mieli już jechać na górę, Stefan leżąc na boku wyrąbywał blok węgla, gdy nagle jakiś daleki grzmot wstrząsnął całą kopalnią.

– A to co? – krzyknął wypuszczając kilof z ręki. Zdawało mu się, że chodnik za jego plecami zawałił się. Lecz Maheu ześlizgiwał się już ku wyjściu wołając:

– Tapnęło... Prędszej! Prędszej!

Pobiegli za nim ogarnięci braterskim lękiem o towarzyszy. Zapanowała śmiertelna cisza. Lampy tańczyły w ich rękach. Biegli chodnikami pochyłym i nie zwalniając biegu zadawali pytania, rzucali krótkie odpowiedzi.

– Gdzie to? W którymś przodku? Nie, chyba niżej, koło podszybia!

Dobiegłszy do ślepego szybiku zniknęli w nim, wpadli jeden za drugim nie zważając, że się

kaleczą.

Janek miał jeszcze na skórze ślady wczorajszych cięgow i tego dnia nie uciekł z kopalni. Dreptał boso za wagonikami, zamykał jedne za drugim tamy wentylacyjne i czasem tylko, gdy w pobliżu nie było sztygara, wskakiwał na ostatni wózek, czego mu zabraniano z obawy, żeby tam nie zasnął. Największą jego przyjemnością było podejść po cichu do Béberta, kiedy się mijali, i uszczypnąć go do krwi. Wymyślał jakieś małe żarty – sam podobny do zwierzęcia, o bezbarwnych włosach, odstających uszach i chudym pyszczku, w którym płonęły małe, zielone oczka. Przedwcześnie rozbudzony, zwinny, lecz tępy, przypominał larwę ludzką, bliską wtórnego zezwierzęcenia.

Tego popołudnia Mouque przyprowadził chłopcom Bataille'a. Zapowiadała się więc ciężka praca. Kiedy koń zatrzymał się przed jakimś przejściem niespokojnie rozdymając chrapy, Janek podbiegł do Béberta i zapytał:

– Co się dzisiaj dzieje z tą starą szkapą, że ciągle staje? Jeszcze sobie przez nią nogi połamię.

Bébert nie odpowiedział. Odpychał Bataille'a, który wrywał się widząc zbliżający się drugi sznur wózków. Z daleka poczuł swego towarzysza Trompette'a, do którego przywiązał się bardzo, od chwili gdy był świadkiem jego przybycia do kopalni. Można by powiedzieć, że była to pełna współczucia przyjaźń starego filozofa, który starał się nieść ulgę młodemu koledze ucząc go rezygnacji i cierpliwości. Trompette nie przystosował się dotychczas do życia w kopalni. Ciągnął wózki z opuszczoną głową, oślepiiony ciemnością, stęskniony za słońcem. Ilekroć się spotykali, Bataille wyciągał szyję, parskał i pieszczotliwie lizał towarzysza, aby dodać mu odwagi.

– Psiakrew! – zaklął Bébert – Znow się liżą!

A później odpowiedział przyjacielowi:

– On jest sprytny, ten stary!... Jak się tak zatrzymuje, to znaczy, że coś jest nie w porządku, wietrzy jakiś kamień albo dziurę... Dba o siebie, nie chce sobie nóg połamać. Ale dzisiaj to nie wiem, co mu się stało. Otwiera tamę, a później staje... Czy czułeś coś specjalnego?

– Nie – odpowiedział Janek. – Tylko woda aż po kolana.

Wózki ruszyły. W drodze powrotnej Bataille uchyliwszy tamy głową zatrzymał się powtórnie. Rżał i trząsł się cały. Wreszcie zdecydował się i przekroczył ją szybko.

Janek zamknął tamę i na chwilę pozostał w tyle. Pochylił się, spojrzął na kałużę, w której brodził, potem podniósł lampę i dostrzegł, że stemple wygięły się pod naporem sączącej się

wody. W tej chwili nadszedł rębacz Berloque, przezwany Pieńkiem. Spieszył się do domu, gdzie żona leżała w połogu. On również zatrzymał się i obejrzał stemple. I nagle, kiedy mały miał już pobiec za wózkami, rozległ się straszliwy huk i osuwający się pokład pochłonął mężczyznę i dziecko.

Zapanowała głęboka cisza. Chodniki wypełnił gęsty pył. Dławiąc się nim nadbiegali górnicy ze wszystkich stron, nawet z najbardziej odległych przodków. Tańczące lampy oświetlały mgliście te czarne sylwetki mknące krecimi korytarzami. Pierwsi, którzy nadbiegli na miejsce wypadku, zaczęli krzyczeć i przyzywać towarzyszy. Druga grupa, przybyła z pokładów położonych w głębi, znalazła się po drugiej stronie osypiska, które przegradzało chodnik. Stwierdzono natychmiast, że strop obsunął się na przestrzeni najwyżej dziesięciu metrów. Uszkodzenie nie było poważne, lecz serca ścisnęły się, gdy spod brył węgla doleciało śmiertelne charczenie człowieka.

Bébert zostawił wózki i przybiegł wołając:

– Zasypało Janka! Zasypało Janka!

W tej chwili Maheu wynurzył się z szybiku ze Stefanem i Zachariaszem. Ogarnęła go taka rozpacz, że klął tylko:

– Psiakrew! Psiakrew! Psiakrew!

Katarzyna, Mouquette i Lidka nadbiegły również i zaczęły szlochać i krzyczeć z przerażenia. Ciemności zwiększały jeszcze zamieszanie. Górnicy starali się uciszyć dziewczęta, lecz one płakały coraz głośniejsze, wybuchając łkaniem za każdym razem, gdy posłyszały rżenie przysypanego.

Przybiegł sztygar Richomme zrozpaczony, że ani inżyniera Négrela, ani Dansaerta nie ma w kopalni. Przyłożył ucho do ściany, nasłuchiwał i oświadczył wreszcie, że to nie dziecko jęczy. Musi tam być dorosły człowiek. Maheu na próżno przyzywał Janka. Widocznie chłopiec został zmiażdżony. Rżenie nie ustawało. Przemawiano do umierającego, pytano go o nazwisko. Charkot był jedyną odpowiedzią.

– Prędej! – powtarzał Richomme, który zorganizował już ratunek. – Gadać będziemy potem.

Górnicy uzbrojeni w oskardy i łopaty odrzucali węgiel z obu stron. Chaval pracował w milczeniu obok Maheua i Stefana, Zachariasz kierował odwózką. Nadszedł czas odjazdu, nikt jeszcze nie jadł. Ale nikt nie odchodził, dopóki towarzysze znajdowali się w niebezpieczeństwie. Pomyślano jednak o tym, że w kolonii zaczną się niepokoić, gdy nikt nie wróci, i

zapropozowano, aby wysłać dziewczęta. Ale ani Katarzyna, ani Mouquette, ani nawet Lidka nie chciały odejść, przykute żądzą poznania prawdy, pomagając przy usuwaniu węgla. Wreszcie Levaque zgodził się jechać na powierzchnię, żeby powiadomić o wypadku: nieznaczne uszkodzenie, które naprawiają. Dochodziła godzina czwarta. Przez niespełną godzinę robotnicy wykonali pracę wymagającą całego dnia i połowa usypiska byłaby już usunięta, gdyby nie to, że osuwały się wciąż nowe bryły. Maheu pracował z żarciem, rozpaczliwym ruchem odpychając każdego, kto zbliżał się chcąc złuzować go choć na chwilę.

– Ostrożnie – powiedział wreszcie Richomme. – Dochodzimy... Uważajcie, żeby ich nie dobić!

Rzeczywiście rzeźenie stawało się coraz wyraźniejsze.

Kierowali się jego odgłosem. Wreszcie nadeszła chwila, że zdawało się dobywać spod samych łopat. I nagle ucichło.

Spojrzeni na siebie w milczeniu, drząc pod wiewem śmierci, który musnął ich w ciemnościach. Kopali dalej, złani potem, mając mięśnie napięte do ostateczności. Wreszcie ukazała się noga. Teraz usuwano węgiel rękoma i powoli odsłonięto całe ciało. Głowa nie była uszkodzona. Oświetlono ją i przewisko: Pieniek przebiegło z ust do ust. Był jeszcze ciepły. Kawalek skały strzaskał mu stos pacierzowy.

– Owińcie go płachtą i połóżcie na wózku – rozkazał sztygar. – A teraz szukajmy chłopca, prędko!

Maheu uderzył jeszcze raz kilofem robiąc otwór, przez który można się było porozumieć z robotnikami kującymi z drugiej strony. Krzyczeli, że znaleźli właśnie Janka zemdlonego, z połamanymi nogami, ale oddychającego jeszcze. Ojciec wziął go na ręce i niósł z zaciśniętymi zębami miotając tylko od czasu do czasu przekleństwa, aby wyrazić swą boleść. Katarzyna i inne kobiety ponownie zaniosły się płaczem.

Szybko utworzył się pochód. Bébert przyprowadził Bataille'a. Zaprzężnięto go do dwóch wózków: na pierwszym leżały zwłoki Pieńka podtrzymywane przez Stefana, do drugiego wsiadł Maheu. Na kolanach trzymał Janka nieprzytomnego, owiniętego kawałkiem wełnianej materii, oderwanym od tamy. Ruszyli krok za krokiem. Na każdym wózku lampa połyskiwała czerwoną gwiazdą. Z tyłu szli górnicy, a pięćdziesiąt cieni przesuwano się za nimi po ścianie. Dopiero teraz odczuwali zmęczenie, ociężałym krokiem wlekli się po błocie jak trzoda bydła dotknięta zarazą. Pół godziny minęło, nim doszli do podszybia. Żałobny korowód ciągnący się w głębokich

ciemnościach wzdłuż krzyżujących i rozwidlających się chodników zdawał się nie mieć końca.

Na podszybiu Richomme, który szedł na przedzie, zarządził, aby zarezerwowano pustą klatkę. Pierron wepchnął do niej obydwie wózki. W jednym siedział Maheu z rannym synem na kolanach, w drugim Stefan trzymał w objęciach ciało Pieńka, żeby się nie zsuwało. Reszta górników weszła do pozostałych przegród i klatka ruszyła. Jechali dwie minuty. Z cembrunku kapwały zimne krople. Spoglądali ku górze z niecierpliwością oczekując chwili, kiedy ujrzą światło dzienne.

Szczęściem chłopiec wysłany po doktora Vanderhaghena znalazł go i przyprowadził. Janka i zmarłego wniesiono do izby sztygarów, gdzie jak rok długi, palił się ogień. Przyniesiono wiadra z ciepłą wodą naszykowaną do mycia nóg.

Położono dwa materace, a na nich mężczyznę i dziecko.

Do izby weszli tylko Maheu i Stefan.

Zgromadzeni pode drzwiami górnicy, pomocnicy i ładowaczki rozmawiali szeptem.

Rzuciwszy okiem na Pieńka doktor szepnął:

– Już po nim... Możecie umyć ciało. Dwaj dozorczy rozebrali zmarłego, a później obmyli gąbką zwłoki czarne od węgla i brudne od potu.

– Głowa cała – podjął doktor klęcząc na materacu obok Janka – klatka piersiowa też. Och! to nogom się dostało.

Sam rozbierał chłopca, ze zręcznością piastunki zdejmował hełm, kaftan, spodnie i koszulę. Ukazało się teraz biedne, wychudłe ciało, powalane czarnym pyłem, gliną i krwią. Żeby móc stwierdzić obrażenia, trzeba było chłopca umyć. Obmywany gąbką zdawał się chudnąć jeszcze bardziej, tak blady i przezroczysty, że kości prześwitywały mu przez skórę. Żal było patrzeć na tego potomka zdegenerowanej rasy nędzarzy, cierpiące stworzonko na pół zmiążdżone przez skalę. Kiedy go umyto, na udach ukazały się dwie czerwone plamy.

Oprzytomniawszy Janek jęknął. Stojący z opuszczonymi rękami obok materaca Maheu patrzył na niego; z oczu popłynęły mu wielkie łzy.

– To ty jesteś ojcem? – zapytał doktor podnosząc głowę. – Nie płacz, widzisz przecie, że żyje... Pomóż mi lepiej.

Stwierdził dwa proste złamania. Ale prawa noga niepokoiła go. Prawdopodobnie trzeba ją będzie amputować.

W tej chwili inżynier Négre i Dansaert zawiadomieni o wypadku weszli do izby z

Richommem. Négrel słuchał raportu sztygara z widoczną wściekłością. – Zawsze to przekłete stemplowanie! – wybuchnął. Czyż nie powtarzał sto razy, że może przyjść do ofiar w ludziach? Ale jak ich zmuszać, żeby budowali porządniej, to te łajdaki od razy grożą strajkiem. Najgorsze, że Towarzystwo będzie teraz musiało płacić za potłuczone czerepy. Dopiero się pan Hennebeau ucieszy!

– Który to? – spytał Dansaerta w milczeniu stojącego nad ciałem.

– Pieniek, jeden z naszych dobrych robotników – odpowiedział starszy sztygar. – Ma troje dzieci... Biedny chłop!

Doktor Vanderhaghen kazał natychmiast przewieźć Janka do domu. Biła szóstka, zapadał zmierzch, wskazane było przewieźć także i zwłoki. Inżynier wydał polecenie, aby zaprzęgnięto do wozu i przyniesiono nosze. Chłopca położono na noszach, materac ze zmarłym wsunięto na wóz.

Na dworze stali jeszcze rębacze i ładowaczki i rozmawiali czekając. Kiedy otwarto drzwi od izby sztygarów, zapanowała cisza. I znów utworzył się pochód. Przodem jechał wóz, za nim niesiono nosze, z tyłu postępowali ludzie. Minęli podwórze kopalni i wolnym krokiem skierowali się na drogę wiodącą do kolonii. Pierwsze listopadowe przymrozki ogołociły ogromną równinę, noc obejmowała ją powoli, jak całun spływający z mrocznego nieba.

Stefan poradził szeptem Maheuowi, żeby wysłał Katarzynę, aby uprzedziła matkę i przygotowała ją na przyjęcie ciosu. Postępujący za noszami ojciec, złamany, skinął potakująco głową i dziewczyna ruszyła biegiem, gdyż dochodzili już do kolonii. Wieść o zbliżaniu się furgonu, tego tak dobrze znanego ponurego wozu, zdążyła już do niej dotrzeć. Kobiety wychodziły w popłochu na chodniki, trzy czy cztery biegły wystraszone naprzeciw idącym. Wkrótce było ich trzydzieści, potem pięćdziesiąt, wszystkie zdjęte tym samym przerażeniem. Więc są ofiary? Kto zginął? To, co opowiedział im Levaque, uspokoiło je najpierw, lecz teraz same wyolbrzymiały rozmiary katastrofy: to nie jeden, to dziesięciu ludzi zginęło, furgon przywiezie ich, jednego po drugim.

Katarzyna zastała matkę pełną złych przeczuć. Ledwo zdążyła wyjąkać parę słów, tamta krzyknęła:

—Ojciec zginął!

Na próżno dziewczyna zaprzeczała, mówiła o Janku. Nie słuchając, dłużej Maheudka wybiegła i zobaczywszy wóz, który skręcał koło kościoła, zachwiała się i pobladła. Stojące w

drzwiach domów, oniemiałe ze zgrozy kobiety wyciągały szyje. Inne szły za wozem, ze drżeniem myśląc o tym, przed czym domem się zatrzyma.

Furgon minął dom Maheuów i Maheudka zobaczyła nosze a obok nich męża. Kiedy postawiono je przed drzwiami i gdy ujrzała Janka żywego, lecz z połamanymi nogami, nastąpiła u niej tak silna reakcja, że w nagłym porywie gniewu wyjąkała bez łez:

– To tak! To teraz z dzieci robią kaleki! Obie nogi, mój Boże! I cóż ja z nim pocznę?

– Zamilczże, kobieto – powiedział doktor Vanderhaghen, który przyszedł także, aby opatrzyć Janka. – Wolałabyś, żeby tam został?

Ale Maheudka krzyczała coraz głośniejsz przy wtórze szlochów Alziry, Lenory i Henryka. Pomagając wnosić chorego, podając lekarzowi potrzebne rzeczy przeklinała los i pytała, skąd weźmie teraz pieniędzy, aby żywić dwie kaleki. Mało jeszcze było dziadka? Musiał i chłopak nogi stracić? Nie przestawała wyrzekać, a z sąsiedniego domu odpowiadał jej rozdzierający lament: to żona i dzieci Pieńka płakały nad ciałem. Noc już była ciemna, gdy śmiertelnie znużeni górnicy zasiedli wreszcie do posiłku. W osiedlu panowała posępna cisza, przerywana jedynie okrzykami rozpacz.

Minęło trzy tygodnie. Janek nie utracił nogi, amputacji udało się uniknąć, ale kulał. Po zbadaniu wypadku, Towarzystwo wypłaciło Maheuom pięćdziesiąt franków zapomogi i obiecało przyjąć małego kalekę do pracy na powierzchni, jak tylko wróci do zdrowia. Mimo to nędza u Maheuów wzrosła, gdyż Maheu, wstrząśnięty wypadkiem, dostał wysokiej gorączki.

Od czwartku Maheu powrócił do pracy. Nadeszła niedziela. Wieczorem Stefan przypomniał o zbliżającym się pierwszym grudnia i zastanawiał się, czy Towarzystwo spełni swą groźbę. Aż do dziesiątej czekali na Katarzynę, która wyszła z Chavalem. Lecz nie wróciła. Nie mówiąc ani słowa Maheudka z wściekłością zamknęła drzwi na zasuwę. Stefan długo nie mógł zasnąć; stojące obok puste łóżko, w którym Alzira zajmowała tak mało miejsca, nie dawało mu spokoju.

Katarzyna nie wróciła również i nazajutrz. Dopiero po powrocie z kopalni dowiedzieli się Maheuowie, że Chaval zatrzymał ją u siebie. Robił jej tak ohydne sceny, że w końcu zdecydowała się z nim zamieszkać. Żeby uniknąć wyjaśnień, Chaval porzucił le Voreux. Został przyjęty do pracy w Jean-Bart, kopalni pana Deneulina, a Katarzyna poszła z nim jako ładowaczka. Nowe stadło zamieszkiwało zresztą nadal w Montsou, u Piquette'a.

Maheu oświadczył w pierwszej chwili, że obje Chavala, a córkę przyprowadzi za kark do domu. Ale później wzruszył ramionami z rezygnacją: i po co? Zawsze się tak kończy; nie

zatrzymasz dziewczuchy siłą. Lepiej spokojnie czekać, aż się pobiorą. Ale Maheudka nie pogodziła się z tym tak łatwo.

– Czy ja ją biłam, jak się zesła z tym Chavalem? – krzyczała do Stefana, który słuchał jej w milczeniu, bardzo blady. – No powiedzcie tylko sami... Mogła robić, co chciała, nie? Mój Boże, na każdą przychodzi kolej! Ja też chodziłam już z brzuchem, jak się stary ze mną żenił. Ale nie uciekałam od rodziców. Nigdy nie zrobiłabym tego świństwa, żeby oddawać mój zarobek chłopu, który tego nie potrzebuje... Kto to widział takie rzeczy! Dojdzie do tego, że człowiek będzie wolał nie mieć w ogóle dzieci.

Stefan potakiwał jej ruchem głowy, a ona ciągnęła dalej:

– Dziewczyna, która każdego wieczoru szła sobie, gdzie chciała! Co ją też ugryzło? Nie mogła to zczekać, aż sama ją wydam, jak nam trochę pomoże wygrzebać się z długów? Po to się chyba ma dzieci, żeby pracowały, nie? Za dobrzy byliśmy dla niej, ot co! Nie trzeba jej było pozwalać zadawać się z chłopem. Jak im tylko trochę pofolgować, to one zaraz by chciały Bóg wie co!

Alzira kiwała głową, Lenora i Henryk przestraszeni tym nagłym wybuchem płakali cichutko, a matka wyliczała teraz wszystkie nieszczęścia: najpierw Zachariasz, którego trzeba było ożenić, potem dziadek Bonnemort, któremu odjęło władzę w nogach, wreszcie Janek, który jeszcze z dziesięć dni będzie musiał siedzieć w domu, bo mu się kości źle zrastają. A tu jeszcze ta dziwka Katarzyna uciekła z chłopem. Cała rodzina się rozleciała. Tylko jeden ojciec jeszcze pracuje. W jaki sposób wyżywić siedem osób, nie licząc już Estelki, z trzech franków? Czyż nielepiej od razu rzucić się do kanału?

– Co ci z tego przyjdzie, że się będziesz trapiła? – rzekł głucho Maheu. – Może damy jakoś sobie radę.

Stefan, który dotychczas stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, teraz podniósł głowę i szepnął wpatrzony w wizję przyszłości:

– O, już czas! już czas!

CZEŚĆ CZWARTA

I

Tego właśnie poniedziałku państwo Hennebeau przyjmowali u siebie na śniadaniu Grégoire'ów z córką ich Cecylią. Ułożono projekt wycieczki: po śniadaniu Paweł Négrel miał pokazać paniom świeżo odnowioną kopalnię Saint-Thomas. Był to jednak tylko miły pretekst; proponując wycieczkę pani Hennebeau chciała przyspieszyć małżeństwo Cecylii z Pawłem.

I nagle tegoż poniedziałku o godzinie czwartej rano wybuchł strajk. Gdy dyrekcja z dniem pierwszego grudnia wprowadziła nowy system płac, górnicy nie okazali sprzeciwu. Na piętnastego, w dzień wypłaty, nikt nie protestował. Cały personel od dyrektora począwszy a na dozorcach skończywszy uważał, że nowy system został przyjęty. Toteż nagle wypowiedzenie wojny wywołało wielkie zdziwienie.

Taktyka działania i całokształt posunięć wskazywały na energiczne kierownictwo.

O piątej rano Dansaert zbudził pana Hennebeau wiadomością, że w le Voreux nie stawili się do pracy ani jeden człowiek. Kolonia Dwieście Czterdzieści, kiedy przez nią przechodził, spała głębokim snem. Okna i drzwi domów były zamknięte. Ledwie zaspany dyrektor wyskoczył z łóżka, posypały się przykrości. Co kwadrans przybiegali gońcy, depesze spadały na biurko jak grad. Z początku miał nadzieję, że strajk ograniczy się do le Voreux, ale z każdą chwilą nadchodziły wieści coraz bardziej niepokojące: w Mirou, Crévecoeur i Madeleine stawili się do pracy tylko stajenni; w la Victoire i Feutry-Cantel, dwóch kopalniach, których personel był najbardziej zdyscyplinowany, zjechała na dół jedna trzecia górników. Tylko w jednym Saint-Thomas robotnicy stawili się w komplecie i zdawali się nie brać udziału w strajku.

Do dziewiątej pan Hennebeau dyktował depesze, telegrafował na wszystkie strony: do

prefekta w Lilie, do Rady Nadzorczej Towarzystwa, uprzedzając władze, prosząc o wytyczne. Négrela wysłał do sąsiednich kopalń po dokładniejsze informacje.

Nagle przypomniał sobie o śniadaniu. Już miał posłać stangreta, aby zawiadomić Grégoire'ów, że wycieczka została odłożona, kiedy niepewność czy też brak woli kazały mu się zatrzymać, jemu, który przed chwilą w paru krótkich, żołnierskich zdaniach przygotował plan bitwy. Poszedł na górę do żony, którą pokojówka kończyła czesać przed gotownią.

– Strajkują? – rzekła spokojnie, gdy przedstawił jej stan rzeczy. – No to co? Z tego powodu nie przestaniemy chyba jadać, prawda?

Na próżno tłumaczył jej, że śniadanie nie będzie mogło, odbyć się w miłym nastroju, a do kopalni i tak nie pojedą. Pani Hennebeau uparła się. Na wszystko znajdowała odpowiedź: Po co zmarnować śniadanie już przygotowane? A ze zwiedzania kopalni można zrezygnować, jeżeli by to miał być krok naprawdę nieopatrzny.

– Zresztą – ciągnęła, gdy pokojówka opuściła pokój – wiesz, dlaczego zależy mi na tym, aby przyjąć tych państwa. To małżeństwo powinno obchodzić cię bardziej niż wybryki robotników... Zresztą chcę tego i proszę, nie sprzeciwiaj mi się.

Spojrzał na nią i zadrżał lekko, a na jego twardej twarzy człowieka, który umie panować nad sobą, pojawił się wyraz tajonego bólu.

Siedziała z odkrytymi ramionami, nieco już przejrzała, lecz wspaniała jeszcze i ponętna, o postawie Cerery ozłocone jesienią. Przez chwilę miał brutalną chęć pochwycić ją w ramiona wtulić głowę między obnażone piersi. W pokoju panowało łagodne ciepło. W powietrzu unosiła się drażniąca woń piżma. Opanował się jednak. Od dziesięciu lat państwo Hennebeau nie żyli ze sobą.

– Dobrze---odparł wychodząc.--- Nie odwołujemy niczego

Pan Hennebeau urodził się w Ardenach. Ciężkie były początki ubogiego chłopca, sieroty, wyrzuconego na bruk paryski. W niedostatku studiował w akademii górniczej i w wieku lat dwudziestu czterech wyjechał jako inżynier do kopalni Świętej Barbary w Grand'Combe.

Trzy lata później został kierownikiem ruchu w kopalni Marles w Pas-de-Calais. Tutaj ożenił się z córką bogatego właściciela tkalni z Arras. Przez piętnaście lat mieszkał z żoną w małym miasteczku prowincjonalnym i nic nie przerywało monotonii ich życia. Dzieci nie mieli. Wzrastająca niechęć odsuwała panią Hennebeau od męża. Wychowana w szacunku dla pieniędzy, gardziła człowiekiem, który za swą ciężką pracę dostawał zupełnie przeciętne

wynagrodzenie i nie mógł zaspokoić jej ambitnych marzeń. On, nieskazitelnie uczciwy, nie uznawał żadnych spekulacji i stał na posterunku jak żołnierz. Dysharmonia wzrastała, zaostzona przez jedno z owych dziwacznych nieporozumień cielesnych, które każą ochłonać nawet najbardziej namiętym. Pan Hennebeau ubóstwiał żonę, zmysłową blondynę, a mimo to niedługo po ślubie zaczęli sypiać osobno, zrażeni. Od tej pory pani miała kochanka, o czym pan nie wiedział. Wreszcie opuścili Pas-de-Calais i wyjechali do Paryża, gdzie Hennebeau postarał się o posadę biurową, w nadziei, że żona będzie mu za to wdzięczna. Ale właśnie Paryż doprowadził do ostatecznego rozłamu, ten Paryż, o którym marzyła od dzieciństwa. W ciągu tygodnia zmyła ze siebie wszelki ślad prowincji i zanurzyła w przepychu stolicy. Dziesięć lat tam spędzonych wypełniła jej wielka namiętność, wszystkim wiadomy romans z pewnym panem, którego odejścia o mało nie przypłaciła życiem. Tym razem mąż nie mógł pozostać w nieświadomości. Po ohydnych scenach, bezradny wobec zupełnego braku zmysłu moralności u żony, która z całkowitym spokojem używała szczęścia, gdziekolwiek je znajdowała, pogodził się ze swym losem. Widząc ją chorą z rozpaczony zerwaniu, przyjął posadę dyrektora kopalń w Montsou. Miał nadzieję, że może tam, na tej czarnej pustyni, uda mu się ją odmienić.

Od chwili kiedy państwo Hennebeau zamieszkali w Montsou, wróciła nuda i rozdrażnienie pierwszych lat małżeństwa. Z początku wielki spokój bezmiernej równiny zdawał się przynosić pani Hennebeau ukojenie. Zagrzebała się w tym pustkowiu jak kobieta, której nic już w życiu nie czeka. Wmawiała w siebie, że jej serce przestało uderzać, odwróciła się od świata, nie bolała nawet nad tym, że tyje. Później pod tą pozorną obojętnością ocknął się ostatni gorączkowy poryw, pragnienie życia. Przez pół roku oszukiwała je, meblując według swego gustu pałacyk Dyrekcji. Twierdziła, że jest okropny, i przyozdabiała go dywanami, bibelotami, mnóstwem artystycznych drobiazgów., Opowiadano o tym aż w Lilie. Krajobraz męczył ją teraz – te niekończące się pola, te czarne drogi bez drzew, pełne ohydnych ludzi, którzy budzili w niej wstręt i obawę. Zaczęły się skargi na wygnanie. Wyrzucała mężowi, że poświęcił ją dla nędznych czterdziestu tysięcy franków ledwie wystarczających na utrzymanie. Czy nie powinien postępować tak jak inni, domagać się udziałów, akcji, do czegoś wreszcie w życiu dojść? Nalegała z okrucieństwem tej, która wniosła majątek. On, zawsze poprawny, okrył się pancerzem chłodu, pod którym gorzał namiętnością, późno rozbudzonym pożądaniem coraz gwałtowniejszym z biegiem lat. Nigdy jeszcze nie oddała mu się jak kochankowi. Prześladowała go pewna wizja, nieustające pragnienie, aby mieć ją kiedyś tak, jak miał ją tamten. Każdego

ranka marzył, że posiadzie ją wieczorem, ale później, kiedy napotykał jej zimny wzrok i czuł, że wszystko w niej wzdryga się przed nim, nie ośmielał się nawet dotknąć jej ręki. Było to cierpienie bez ratunku, ukryte pod pozorami sztywnej grzeczności, cierpienie człowieka o czułym usposobieniu, którego ominęło szczęście rodzinne. Po upływie pół roku, kiedy pałacyk kompletnie urządzony przestał zajmować panią Hennebeau, popadła w otepienie jak wygnanka, którą wygnanie zabija i która z utęsknieniem wyczekuje śmierci.

Właśnie wtedy przybył do Montsou Paweł Négrel. Matka jego, wdowa po kapitanie z Prowansji, żyła w Awinionie ze szczupłej renty. Musiała się zadowolić chlebem i wodą, aby wysłać syna do Wojskowej Szkoły Inżynieryjnej. Skończył ją w niskiej randze i wuj jego, pan Hennebeau, skłonił go do złożenia dymisji, ofiarowując mu stanowisko inżyniera w le Voreux. Traktowany jak rodzony syn zamieszkał u państwa Hennebeau i jadał u nich, co pozwalało mu posyłać matce co miesiąc połowę pensji. Aby upozorować czymś swą dobroczynność, pan Hennebeau twierdził, że prowadzenie własnego gospodarstwa jest dla młodych ludzi sprawą ogromnie kłopotliwą. Pani Hennebeau od razu weszła w rolę czulej ciotki. Mówiła siostrzeńcowi po imieniu i czuwała nad nim. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach okazywała mu matczyną troskliwość i udzielała rad w najdrobniejszych szczegółach. Nie przestała jednak być kobietą; wkrótce doszło do zwierzeń. Ten chłopak, taki młody i taki wyrobiony życiowo, inteligentny i bez skrupułów, rozprawiający o miłości jak filozof, bawił ją swym pesymizmem, który zaostrzał jeszcze rysy jego wąskiej twarzy o spiczastym nosie. Oczywiście pewnego wieczora znalazł się w jej objęciach. Oddała mu się jakby z dobroci, powtarzając, że jej serce już wystygło i że chce być jedynie jego przyjaciółką. I rzeczywiście nie była zazdrosna, dokuczała mu ładowaczkami, od których odwracał się ze wstrętem, i gniewała się prawie, że nie ma przygód miłosnych i nie może jej o nich opowiadać. Później zapaliła się do myśli, aby go ożenić. Marzyła o tym, że się poświęci, że sama znajdzie mu bogatą żonę. Stosunek ich trwał nadal; rozrywka w wolnych chwilach, w którą pani Hennebeau wkładała ostatnie porywy uczucia starzejącej się w bezczynności kobiety.

Mineły dwa lata. Pewnej nocy pan Hennebeau słysząc stapanie bosych stóp pod swoimi drzwiami powziął pewne podejrzenie. Ten nowy romans żony w jego własnym domu z mężczyzną, którego mogła być matką, przejął go oburzeniem. Lecz następnego dnia pani Hennebeau oświadczyła mu, że wybrała Cecylkę Grégoire na żonę dla ich siostrzeńca. Zajęła się tym małżeństwem z takim zapałem, iż wyrzucał sobie swoje ohydne przypuszczenie, a dla

młodego człowieka czuł wdzięczność, że swoim przybyciem rozweselił trochę ich dom.

Wychodząc od żony pan Hennebeau spotkał Pawła w przedpokoju. Młody inżynier wydawał się ubawiony strajkiem.

– No i co? – zapytał go wuj.

– Obszedłem wszystkie osiedla. Siedzą cicho... Mam tylko wrażenie, że przyślą do ciebie delegację.

W tej chwili z pierwszego piętra dobiegł głos pani Hennebeau:

– To ty, Pawle?... Chodź na górę, opowiesz mi, co słyhać. Co im przyszło do głowy, tym ludziom? Przecież im jest bardzo dobrze!

I dyrektor musiał zrezygnować z dalszych informacji wobec tego, że żona zabierała mu posłańca. Powrócił do gabinetu i usiadł przy biurku, na którym piętrzył się nowy stos depeusz.

Kiedy o godzinie jedenastej przybyli państwo Grégoire, zdziwili się, że lokaj Hipolit stojący przed domem na straży pośpiesznie wepchnął ich do wnętrza.

Rozglądał się przy tym lękliwie na prawo i lewo. Firanki w salonie były zasunięte i gości wprowadzono prosto do gabinetu pana Hennebeau, który przeprosił ich za to przyjęcie; okna salonu wychodzą na ulicę, po cóż więc niepotrzebnie drażnić ludność?

– Jak to, nie wiedzą państwo o niczym? – podjął widząc ich zdumienie.

Na wiadomość o wybuchu strajku pan Grégoire wzruszył ramionami z niezmaconym spokojem. Och, to nic poważnego, tutejsi ludzie są poczciwi. Pani Grégoire ruchem głowy przytaknęła jego zaufaniu do wiekowej uległości górników, a Cecylka, bardzo wesoła tego dnia, kwitnąca zdrowiem, w sukni koloru nasturcji, uśmiechała się słysząc słowo strajk, które nasuwało jej na myśl dobroczynne odwiedziny w osiedlu i rozdawanie jałmużny.

Ukazała się pani Hennebeau, cała na czarno, a za nią Négrel.

– Co za nieznośni ludzie, prawda? – zawołała od progu. – Jakby nie mogli byli trochę poczekać!...Wyobraźcie sobie, państwo, że Paweł nie chce zawieźć nas do Saint-Thomas.

– Z przyjemnością zostaniemy tutaj – odparł uprzejmie pan Grégoire.

Paweł skłonił się z daleka Cecylce i jej matce. Niezadowolona z tego chłodnego przywitania ciotka wskazała mu wzrokiem dziewczynę. Kiedy w chwilę potem usłyszała, że się śmieją, ogarnęła ich macierzyńskim spojrzeniem.

Tymczasem pan Hennebeau skończył przeglądanie depeusz i napisał kilka odpowiedzi. Pani Hennebeau wyjaśniła gościom, że to nie ona urządziła gabinet. Zachowały się tu stare, wyblakłe

tapety niegdyś koloru czerwonego, ciężkie, mahoniowe meble i zniszczone segregatory.

Po trzech kwadransach, kiedy całe towarzystwo miało przejść do jadalni, lokaj zaanonsował pana Deneulin. Wszedł on podekscytowany i skłonił się pani Hennebeau.

– A, wy też tutaj – powiedział ujrząwszy Grégoire'ów.

Później zwrócił się żywo do dyrektora:

– Więc mamy strajk? Dowiedziałem się o tym przed chwilą od mojego inżyniera... U mnie wszyscy ludzie zjechali dziś rano do pracy, ale strajk może się rozszerzyć. Jestem trochę zaniepokojony. A co słyhać u pana?

Przyjechał konno. Podniesiony głos i szorstkie ruchy, które upodobały go do emerytowanego oficera kawalerii, zdradzały jego niepokój.

Pan Hennebeau zaczął szczegółowo objaśniać sytuację, gdy Hipolit otworzył drzwi do jadalni. Przerwał zatem i rzekł:

– Proszę, niech pan zje śniadanie razem z nami. Resztę opowiem panu przy deserze.

– Dobrze, niech i tak będzie – odparł Deneulin tak zajęty swoimi myślami, że zapomniał o formach towarzyskich.

Zaraz jednak uświadomił sobie swój nietakt i przeprosił zań panią domu. Pani Hennebeau była zresztą czarująca tego dnia. Kiedy dodano siódme nakrycie, wskazała gościom miejsca: pani Grégoire i Cecylka koło jej męża, pan Grégoire koło niej z prawej, a Deneulin z lewej strony i wreszcie Paweł między panną a jej ojcem. Gdy zabrano się do przystawek, rzekła z uśmiechem:

– Musicie mi państwo wybaczyć. Chciałam podać dziś ostrygi – w poniedziałki przywożą je z Ostendy do Marchiennes – i miałam posłać po nie kucharkę powozem, ale bała się, że obrzuca ją kamieniami...

Przerwał jej ogólny wybuch śmiechu. To, co powiedziała, wydało się całemu towarzystwu bardzo zabawne.

– Pst – szepnął pan Hennebeau z niezadowoleniem spoglądając na okna, przez które widać było drogę. – Po co ludzie mają wiedzieć, że przyjmujemy dzisiaj gości?

– I że jemy kielbasę, której oni nie dostaną – dorzucił pan Grégoire.

Znów rozległ się śmiech, ale już cichszy. Goście poddawali się urokowi tej sali przyozdobionej flamandzkimi gobelinami, w której stały stare, dębowe skrzynie. Poprzez szklane tafle kredensu połyskiwały srebra, a nad stołem zwisała mosiężna lampa. W jej

polerowanych wypukłościach odbijała się palma i aspidistra wytryskujące zielenią z majolikowych waz. Na dworze wiał mroźny, północny wiatr, ale ani jeden jego podmuch nie docierał do wnętrza domu. Cieplarnianą atmosferę jadalni przesycił delikatny zapach pokrajanego w plastry ananasu leżącego na kryształowej misie.

– A może by tak zaciągnąć firanki? – zaproponował Négrel ubawiony myślą, że przerazi Grégoire'ów.

Pomagająca lokajowi pokojówka wzięła jego słowa za polecenie i zasłoniła okna. Dało to hasło do nieustannych żartów: każdą szklankę i każdy widelec kładziono ostrożnie, każdą potrawę witano jak zdobycz ocalałą od grabieży w zdobytym mieście. Ale na dnie tej sztucznej wesołości leżał głuchy niepokój. Wyrażał się on w spojrzeniach rzucanych ukradkiem w stronę okien, jak gdyby w obawie, że zagłąda przez nie tłum zgłodniałych.

Po jajecznicy z truflami podano pstrągi. Rozmowa zeszła na temat kryzysu przemysłowego, który od półtora roku stale się pogłębiał.

– To było nieuniknione – oświadczył Deneulin. – Nadmierny wzrost dobrobytu w ostatnich latach musiał do tego doprowadzić... Proszę pomyśleć tylko o olbrzymim kapitale zamrożonym w kolejach, portach i kanałach, o milionach włożonych w najbardziej szaleńcze spekulacje. Na naszym terenie na przykład założono tyle cukrowni, jakby zbiory buraków miały odbywać się trzy razy do roku. A teraz o gotówkę jest trudno, trzeba czekać, aż włożone miliony zaczną procentować. Stąd zupełny zastój w interesach.

Pan Hennebeau zwalczał tę teorię i twierdził, że lata pomyślności zepsuły robotnika.

– Kiedy pomyślę – zawołał – że robotnicy w naszych kopalniach zarabiali po sześć franków dziennie, to znaczy dwa razy tyle, co zarabiają dzisiaj! Żyli dostatnio, przyzwyczaili się do dobrobytu, nic dziwnego, że teraz trudno im powrócić do dawnego, skromnego życia.

– Panie Grégoire – przerwała pani domu – może pozwoli pan jeszcze kawałek pstrąga? Są wcale niezłe, prawda?

– Czyż to nasza wina? – ciągnął dyrektor. – My również odczuwamy obecny stan rzeczy bardzo dotkliwie. Odkąd fabryki stają jedna po drugiej, sami nie wiemy, jak pozbyć się zapasów. Wobec stale zmniejszającego się zapotrzebowania, zmuszeni jesteśmy obniżać koszty własne... Tego właśnie robotnicy nie chcą zrozumieć.

Zapanowało milczenie. Lokaj obnosił pieczone kuropatwy, pokojówka nalewała Chambertina.

– W Indiach grasowała klęska głodu – powiedział Deneulin półgłosem, jakby do siebie. – Ameryka cofając zamówienia na stał i lane żelazo zadała cios naszym hutom. Wszystko się wiąże, jeden daleki kataklizm potrafi wstrząsnąć całym światem... A cesarstwo tak było dumne z tego nagłego rozkwitu przemysłu!

Zabrał się do kuropatwy, a po chwili podjął już głośniejsze:

– Najgorsze jest to, że chcąc obniżyć koszty własne należałoby, logicznie rozumując, produkować więcej. W przeciwnym razie cały ciężar tej obniżki spada na robotników, którym obcinamy płace. Mają więc rację twierdząc, że to z ich kieszeni pokrywamy nasze straty.

Ta uwaga, która wymknęła mu się w chwili szczerości, wywołała dyskusję. Panie nudziły się. Każdy zresztą najbardziej był zajęty własnym talerzem. Służący wrócił z kuchni i zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale się waha.

– Cóż tam takiego? – spytał pan Hennebeau. – Jeżeli są jakieś depeze, to proszę mi je dać... Czekam na nie.

– Nie, panie dyrektorze. To tylko pan Dansaert przyszedł, ale czeka w przedpokoju, bo nie chce przeszkadzać.

Dyrektor przeprosił gości i kazał wezwać starszego sztygara. Dansaert zatrzymał się kilka kroków od stołu. Wszyscy zwrócili się w jego stronę. Stał olbrzymi, zadyszany, podniecony wiadomościami, jakie przynosił. W osiedlach nadal panuje spokój, ale uchwalono wysłać delegację. Może za parę minut już tu będzie.

– Dobrze, dziękuję – odparł dyrektor. – Proszę o raporty rano i wieczór.

Ledwie Dansaert wyszedł, goście wrócili do żartów. Rzucano się na sałatkę oświadczając, że jeżeli chcą ją skończyć w spokoju, to nie mogą tracić ani chwili. Ale wesołość doszła do zenitu, gdy Négrel poprosił, pokojówkę o chleb, a dziewczyna powiedziała: „służę panu...” głosem tak cichym i przerażonym, jak gdyby za nią stała horda gotowa do mordów i gwałtu.

– Możesz mówić głośno – powiedziała pani Hennebeau dobrotliwie. – Jeszcze ich tu nie ma.

Dyrektorowi przyniesiono paczkę depesz i listów. Jeden z nich przeczytał głośno. Był od Pierrona, który w pełnych szacunku wyrazach donosił, że zmuszony jest przyłączyć się do strajku, gdyż w przeciwnym wypadku towarzysze mogliby go poturbować. Dodawał, że nie mógł nawet odmówić wzięcia udziału w delegacji, chociaż przeciwny jest temu wystąpieniu.

– Oto wolność pracy! – wykrzyknął pan Hennebeau.

Powrócono do kwestii strajku, pytano go, co o tym myśli.

– Och – odparł – to nie pierwszy strajk, z jakim mamy do czynienia... Popróznują tydzień albo dwa jak zeszłym razem, powłóczą się po knajpach, a jak ich głód przycisnie, wrócą do kopalni.

Deneulin potrząsnął głową:

– Nie jestem tego taki pewien... Tym razem wydają się lepiej zorganizowani. Czyż nie mają kasy zapomogowej?

– I owszem, trzy tysiące franków! Daleko z tym nie zajadą!... Podejrzewam niejakiego Stefana Lantier, że jest ich przywódcą. To dobry robotnik i szkoda byłoby, gdybym musiał zwrócić mu książeczkę jak niegdyś sławetnemu Rasseneurowi, który w dalszym ciągu zatruwa le Voreux swymi ideami i swym piwem... W każdym razie nim upłynie tydzień, połowa ludzi zjedzie do kopalni, a po dwóch będzie tam już całe dziesięć tysięcy.

Był o tym przekonany. Niepokoił się tylko, czy nie popadnie w niełaskę w radzie nadzorczej, jeżeli obarczą go odpowiedzialnością za wybuch strajku. Od niejakiego czasu odczuwał pewną oziębłość ze strony władz. Toteż nie kończąc sałatki zabrał się do odczytywania po raz drugi depesz z Paryża, starając się przeniknąć ukryty sens każdego słowa. Goście wybaczyli mu ten nietakt; obiad przemienił się w wojskowy posiłek spożywany na polu bitwy, zanim padną pierwsze strzały.

Panie wmieszały się teraz do rozmowy. Pani Grégoire żałowała biedaków, którzy cierpieć będą głód, a Cecylka proponowała wydawanie bloczków na chleb i mięso. Pani Hennebeau zdumiewała się słysząc o nędzy górników z Montsou. Jak to, więc jeszcze jest im źle? Ludziom, którzy mają za darmo mieszkanie, opał i opiekę lekarską? W swej obojętności dla tej trzody wiedziała o niej to tylko, co opowiadała przybywającym z Paryża gościom i w co sama w końcu uwierzyła. Oburzała się więc teraz na niewdzięczność ludu.

Paweł nie przestawał tymczasem straszyć pana Grégoire.

Cecylka podobała mu się dosyć i godził się na to małżeństwo, żeby sprawić przyjemność ciotce. Ale nie wnosił do tej transakcji żadnej gorączki miłosnej, jak przystało na doświadczonego młodzieńca, który jak mówił, nie daje się już ponosić uczuciu.

Twierdził, że jest republikaninem, co jednak bynajmniej mu nie przeszkadzało postępować z robotnikami w sposób ogromnie surowy i drwić sobie z nich w towarzystwie dam.

– Ja również nie podzielam optymizmu wuja – mówił. – Obawiam się, że możemy mieć rozruchy... Dlatego też radziłbym panu, panie Grégoire, dobrze zaryglować Piolaine. Strajkujący

mogliby pana obrabować.

Przed chwilą właśnie pan Grégoire, z którego dobrotliwej twarzy nie zniknął uśmiech, starał się prześcignąć żonę w wyrażaniu ojcowskich uczuć w stosunku do górników.

– Obrabować? Mnie? – wykrzyknął zdumiony. – Ależ dlaczego mieliby mnie obrabować?

– Czy nie jest pan akcjonariuszem Montsou? Nie pracuje pan, żyje pan z pracy innych. Jednym słowem jest pan przedstawicielem znienawidzonego kapitału; to wystarczy. Może pan być pewien, że gdyby rewolucja odniosła zwycięstwo, kazano by panu oddać posiadany majątek, jako skradzione dobro ogółu.

Grégoire utracił nagle swój dziecięcy spokój i pogodę płynącą z nieświadomości, w jakiej żył.

– Mój majątek skradzionym dobrem ogółu? – wyjąkał. – Czyż mój pradziad swego czasu nie pracował, i to ciężko, aby zdobyć pieniądze, za które nabył udział? Czyż nie ponosiliśmy pełnego ryzyka tego przedsięwzięcia? Czy ja dzisiaj trwonię moją rentę na zbytki?

Widząc, że pani i panna Grégoire poblady również, zaniepokojona pani Hennebeau wtrąciła się do rozmowy mówiąc:

– Paweł żartował tylko, drogi panie.

Ale pan Grégoire był zupełnie wyprowadzony z równowagi. Lokaj podał mu półmisek raków. Machinalnie wziął parę i zaczął wysysać.

– I owszem, zgadzam się, że są pośród akcjonariuszy ludzie, którzy dopuszczają się nadużyć. Opowiadano mi na przykład, że pewni ministrowie otrzymali udziały jako łapówkę za usługi oddane Towarzystwu. Albo weźmy tego arystokratę – nazwiska nie wymienię – księcia, jednego z najznacześniejszych akcjonariuszy, którego życie jest jednym wielkim skandalem – miliony wyrzuca na kobiety, hulanki i niepotrzebny zbytek... Ale my, ludzie skromni, żyjący cicho na uboczu, my, ludzie uczciwi, nie wdający się w spekulacje, zadowolający się tym, co mamy, oddający część dochodu biednym... Dajże pan spokój, wasi robotnicy musieliby być prawdziwymi rozbójnikami, gdyby mieli ukraść nam choć szpilkę!

Négreł, ubawiony jego gniewem, sam go teraz uspokajał. Obnoszono jeszcze raki, słychać było delikatny chrzęst skorupki. Rozmowa zeszała na politykę. Drżący jeszcze z podniecenia pan Grégoire oznajmił, że jest liberałem i że żałuje Ludwika Filipa. Co do Deneulina, to był on zwolennikiem rządów silnej ręki i oświadczył, że cesarz wszedł *na śliską drogę* niebezpiecznych ustępstw.

– Przypomnijcie sobie państwo rok 89 – powiedział – To arystokracja umożliwiła wybuch

rewolucji lubując się w nowinkach filozoficznych. Dziś mieszczaństwo ze swoim zajadłym liberalizmem, pasją niszczenia i schlebianiem pospółstwu bawi się w tę samą idiotyczną grę... Tak, tak. Ostrzycie zęby potwora, żeby nas pożarł. I pożre, bądźcie pewni.

Panie przerwały mu i chcąc zmienić temat rozmowy, zapytały go o córki. Łucja jest w Marchiennes, śpiewa z przyjaciółką, a Janka maluje głowę starego żebraka. Mówił to z roztargnieniem, nie odrywając oczu od dyrektora pogrążonego w odczytywaniu depeš. Za tymi cienkimi kartkami Deneulin czuł Paryż, rozkazy rady nadzorczej, które miały rozstrzygnąć o losach strajku. Nie mógł się powstrzymać, aby nie wrócić do absorbującej go kwestii:

– Cóż pan zamierza? – spytał nagle.

Hennebeau drgnął, a po chwili odparł wymijająco:

– Zobaczymy.

– Pewnie, wy macie pełną kieszeń, możecie czekać – rozmyślał głośno Deneulin – ale ja zginę, jeśli strajk obejmie Vandame. Cóż z tego, że odrestaurowałem Jean-Bart... Dam sobie radę jedynie pod warunkiem, że ani na chwilę nie przerwę wydobywania... Tak, tak, ja nie mam powodów do radości, to pewne.

To mimowolne wyznanie zainteresowało pana Hennebeau. Słuchał i układał w myślach pewien plan: gdyby strajk wziął zły obrót, dlaczego nie wyzyskać go, dopuścić do ruiny sąsiada, a potem odkupić tanio jego koncesję? To najpewniejszy sposób odzyskania łaski zarządu, który od lat marzy o tym, żeby nabyć Vandame.

– Jeżeli Jean-Bart sprawia panu tyle kłopotu – rzekł śmiejąc się – to dlaczego nam go pan nie odstąpi?

Deneulin pożałował swoich skarg i zawołał:

– Nigdy w życiu!

Jego gwałtowny okrzyk wzbudził wesołość, goście zapomnieli wreszcie o strajku. Podano deser. Szarlotka wywołała ogólny zachwyty. Panie wdały się w dyskusję nad sposobami przyrządzania ananasów. Winogrona i gruszki zakończyły to obfite śniadanie. Wszyscy mówili na raz, przyjemnie podnieceni, a służący napełniał kieliszki winem reńskim, zamiast szampana, który uznano za zbyt pospolity.

Dzięki tej miłej atmosferze plan małżeństwa Cecylki i Pawła przybierał coraz konkretniejsze kształty. Ciotka rzuciła siostrzeńcowi tak wymowne spojrzenia, że młody człowiek starał się teraz być jak najuprzejmiejszy. Jego ujmujący sposób bycia zjednał mu na nowo względy

państwa Grógoire'ów, których przeraził przedtem groźbą rabunku. To ciche porozumienie pomiędzy ciotką a siostrzeńcem obudziło na chwilę w panu Hennebeau dawne, potworne podejrzenie. Spojrzenia, jakie wymieniali, zdawały się mieć w sobie coś intymnego. Ale myśl o projektowanym małżeństwie uspokoiła go.

Hipolit podawał kawę, gdy wbiegła przerażona pokojówka:

– Proszę pana! Proszę pana! Przyszli!

Byli to delegaci. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi. Przez mieszkanie przeszedł powiew grozy.

– Proszę wprowadzić ich do salonu – powiedział pan Hennebeau.

Siedzący przy stole biesiadnicy spojrzeli na siebie z niepokojem. Zapanowało milczenie. Po chwili próbowano powrócić do żartów: ktoś udawał, że wsadza resztki cukru do kieszeni, ktoś inny proponował, żeby ukryć zastawę. Lecz dyrektor zachował powagę, a śmiechy umilkły i głosy zniżyły się do szeptu, gdy w salonie obok rozległy się ciężkie kroki stąpających po dywanie delegatów.

– Mam nadzieję, że wypijesz najpierw kawę – powiedziała półgłosem pani Hennebeau do męża.

– Oczywiście – odparł. – Niech czekają! Był podenerwowany i nie odrywając oczu od filiżanki nasłuchiwał dobiegających z salonu odgłosów. Paweł skłonił Cecylkę, aby wstała i zajrzała przez dziurkę od klucza. Tłumili śmiech i rozmawiali szeptem:

– Widzi ich pani?

– Tak... Widzę jednego grubego i dwóch mniejszych za nim.

– Okropni, prawda?

– Ależ nie, bardzo sympatyczni.

Pan Hennebeau podniósł się nagle mówiąc, że kawa jest za gorąca i że wypije ją później. Wychodząc z pokoju położył palec na ustach zalecając ostrożność. Wszyscy usiedli z powrotem i w milczeniu, bez ruchu wsłuchiwali się w grube głosy męskie, które budziły w nich niepokój.

II

Poprzedniego dnia na zebraniu u Rasseneura Stefan i kilku towarzyszy wybrali delegatów, którzy mieli udać się nazajutrz do dyrekcji. Dowiedziawszy się wieczorem, że jej mąż wszedł w skład delegacji, Maheudka zaczęła lamentować i zapytała, czy chce, aby wyrzucili ich na ulicę. Sam Maheu przyjął wybór nie bez wzdragania. Mimo poczucia dziejącej się im krzywdy oboje, gdy przychodziło do czynu, poddawali się wiekowej rezygnacji i drżąc przed jutrem woleli ugiąć karku. Maheu, który w sprawach życiowych polegał zazwyczaj na zdaniu żony, teraz rozgniewał się, gdyż w głębi duszy podzielał jej obawy.

– Daj mi spokój! – powiedział kładąc się do łóżka i odwracając plecami. – Miałem może zostawić kolegów, co?... Spełniam swój obowiązek.

Maheudka położyła się również. Milczeli oboje, aż wreszcie po długiej chwili kobieta odparła:

– Masz rację, idź! Ale teraz to już po nas, mój stary. Biła dwunasta, kiedy zasiedli do posiłku. O pierwszej delegaci mieli spotkać się u Rasseneura, a stamtąd iść do pana Hennebeau. Na obiad były ziemniaki. Został mały kawałek masła, którego nikt nie tknął. Będzie wieczorem do chleba.

– Pamiętaj, liczymy na ciebie, że przemówisz – powiedział nagle Stefan do Maheua.

Tamten tak się zdumiał, że aż zabrakło mu głosu.

– O nie, tego już za wiele! – krzyknęła Maheudka. – Zgadzam się, żeby poszedł, ale zabraniam mu robić z siebie przywódcę... Dlaczego właśnie on, a nie kto inny?

Stefan tłumaczył im z zapalem: Maheu jest najlepszym robotnikiem w kopalni, najbardziej lubianym, najbardziej szanowanym, najrozsądniejszym. Dlatego też żądania górników wypowiedziane jego ustami nabiorą decydującej wagi. Z początku istniał projekt, aby przemawiał on, Stefan, ale jest on w Montsou zbyt krótko. Większe znaczenie będą miały słowa kogoś, kto tkwi tu od dziada pradziada. Wreszcie towarzysze powierzają obronę swoich interesów najgodniejszemu. Nie może odmówić, to byłoby tchórzostwo.

Maheudka rozpaczliwie machnęła ręką:

– Idź, idź, mój stary, zdechniesz za innych. Ja się zgadzam, co mam robić!

– Ależ ja nie potrafię mówić – wyjąkał Maheu. – Będę plótł głupstwa.

Stefan uszczęśliwiony, że udało mu się go nakłonić, poklepał go po ramieniu.

– Powiesz, co czujesz, i będzie bardzo dobrze.

Dziadek Bonnemort z ustami pełnymi jedzenia słuchał potrząsając głową. Zapanowało milczenie. Kiedy na obiad były ziemniaki, dzieci zapychały sobie nimi buzie i siedziały cicho. Wreszcie, przełknąwszy, stary mruknął wolno:

– Powiesz, co zechcesz, a będzie, jakbyś nic nie powiedział... Oj, widziałem, widziałem już takie rzeczy! Przed czterdziestu laty wygnali nas z dyrekcji szablami. Dzisiaj przyjmą was może – ale odpowiedzą tyle, co ta ściana... Co wy im tam możecie zrobić, jak oni mają pieniądze!

Znowu zapadło milczenie. Maheu i Stefan wstali i wyszli zostawiając przygnębioną rodzinę nad pustymi talerzami. Po drodze zabrali ze sobą Pierrona i Levaque'a i wszyscy czterej udali się do Rasseneura, dokąd schodzili się grupkami delegaci z sąsiednich kolonii. Kiedy zebrali się już wszyscy, ułożyli postulaty, które mieli przeciwstawić postulatom Towarzystwa, i wyruszyli do Montsou. Ostry, północny wiatr zamiatał chodniki. Biła druga, gdy przybyli na miejsce.

Najpierw lokaj kazał im czekać i zamknął drzwi. Kiedy powrócił, wprowadził ich do salonu i odsunął zasłony w oknach. Przez gipiurowe firanki wpadło do wnętrza blade, przyćmione światło. Zostawszy sami górnicy nie śmieli usiąść. Ubrani byli szczególnie starannie i czysto, świeżo wygoleni. Mięli czapki w rękach i przyglądali się spod oka urządzeniu pokoju. Stały w nim meble w najróżnorodniejszym stylu, mieszanina, jaką wprowadziło w modę zamiłowanie do antyków: fotele w stylu Henryka II, krzesła w stylu Ludwika XV, garnitur włoskich mebli z XVII wieku, hiszpański sekretarzyk z XV, antependium sprzed ołtarza jako lambrekin nad kominkiem, hafty ze starych ornatów jako aplikacje na portierach. Stare złoto, stare brokaty o pastelowych barwach, cały ten kościelny przepych napełnił ich szacunkiem i lękiem. Stopy grzęzły w puszystej wełnie wschodnich kobierców. Nagrzane powietrze paliło twarze wychłostane lodowatym wiatrem. Minęło pięć minut. Otoczeni zacisznym zbytkiem tego bogatego salonu czuli się coraz bardziej zmieszani.

Wreszcie ukazał się pan Hennebeau, zapięty na ostatni guzik, z wstążeczką orderu w butonierce. Przemówił pierwszy:

– A, przyszliście! Buntujecie się podobno...

Przerwał i dorzucił ze sztywną uprzejmością:

– Siadajcie, chętnie z wami porozmawiam.

Górnicy obejrzel się, szukając wzrokiem, gdzieby usiąść. Kilku usiadło na krzesłach, inni widząc haftowane obicia foteli woleli stać.

Zapanowało milczenie. Pan Hennebeau przysunął swój fotel do kominka i szybko zliczył przybyłych, starając się przypomnieć sobie ich twarze. Poznał Pierrona schowanego w ostatnim rzędzie, a później zatrzymał wzrok na Stefanie, który siedział naprzeciw niego.

– No i cóż macie mi do powiedzenia?

Oczekiwał, że Stefan zabierze głos, i tak się zdziwił widząc występującego naprzód Maheua, że nie mógł się powstrzymać, aby nie dorzucić:

– Jak to? Wy, dobry robotnik, człowiek tak zawsze rozsądny, człowiek, którego rodzina pracuje w kopalni od samego początku... O! to nie dobrze, to mnie martwi, że wy stajecie na czele niezadowolonych.

Maheu słuchał ze spuszczonej oczyma, a później zaczął głosem z początku niezdecydowanym i głuchym:

– Panie dyrektorze. Właśnie dlatego, że jestem człowiekiem spokojnym, któremu nic zarzucić nie można, wybrali mnie koledzy. To powinno przekonać pana dyrektora, że nie idzie tu o bunt krzykaczy ani chęć wywołania zamętu. Chcemy tylko sprawiedliwości, dosyć mamy zdychania z głodu i wydaje nam się, że przyszedł już czas, żebyśmy się jakoś mogli ugodzić tak, abyśmy mieli przynajmniej na chleb powszedni.

Głos jego stał się pewniejszy. Podniósł głowę i patrząc w oczy dyrektorowi ciągnął dalej:

– Pan wie dobrze, że nie możemy przyjąć nowego systemu płac... Zarzucają nam, że źle stemplujemy. To prawda, nie poświęcamy obudowie tyle czasu, ile by należało, bo gdybyśmy chcieli stemplować tak, jak trzeba, nasze zarobki zmniejszyłyby się jeszcze, a już teraz nie wystarczają nam na życie. Płaćcie nam lepiej, a będziemy lepiej stemplowali, poświęcimy na to więcej czasu, zamiast mozolić się, aby urobić jak najwięcej, bo tylko to przynosi nam jakiś zysk. Innego wyjścia nie ma. Żeby robota była wykonana, trzeba za nią zapłacić... A co dyrekcja obmyśliła zamiast tego? Coś, czego ani rusz nie możemy pojąć. Zniżacie, panowie, płacę od wózka i twierdzicie, że tę zniżkę wyrówna osobna zapłata za stemplowanie. Gdyby to było prawdą, że dostajemy jakieś wyrównanie, to i tak bylibyśmy poszkodowani, bo stemplowanie zabiera więcej czasu. Ale oburza nas, że nawet i to nie jest prawdą: Towarzystwo nie wyrównuje nam niczego, po prostu chowa do kieszeni po dwa centymy od każdego wózka.

– Tak, tak, dobrze mówi – zamruczeli inni delegaci widząc, że pan Hennebeau zrobił gwałtowny ruch, jakby chciał przerwać.

Maheu nie dopuścił go zresztą do głosu. Słowa płynęły mu teraz same. Chwilami słuchał ich

ze zdumieniem, jakby to ktoś obcy mówił za niego. Wyrzucał ze siebie *rzeczy*, które nagromadziły się w nim od dawna, choć sam nie wiedział o tym nawet. Mówił o nędzy ich wszystkich, o ciężkiej pracy, o zwierzęcym życiu, o kobietach i dzieciach płaczących z głodu. Mówił o ostatnich wypłatach, żalonych i śmiesznych po strąceniu kar i odliczeniu dni przymusowego bezrobocia. Czy dyrekcja postanowiła wydać ich na zagładę?

– Więc też, panie dyrektorze, przyszliśmy tutaj – zakończył —powiedzieć panu, że jeżeli już mamy zdechnąć, to wolimy zdechnąć nic nie robiąc. Przynajmniej się człowiek nie namęczy... Przerwaliśmy pracę i nie wrócimy do kopalni, dopóki Towarzystwo nie przyjmie naszych warunków. Towarzystwo chce obniżyć stawkę od wózka i płacić osobno stemplowanie, my zaś chcemy, żeby zostało przy dawnym, z tym jednak, żeby nam podniesiono płacę o pięć centymów na wózku... Teraz się, panowie, zastanówcie, czy jesteście za sprawiedliwością i czy chcecie, żebyśmy pracowali. Pośród górników podniosły się głosy:

– Tak, tak!... Powiedział to, co myślimy. Prosimy tylko o to, co nam się należy.

Inni w milczeniu kiwali potakująco głowami. Znikł im przed oczu zbyt kownie umeblowany salon ze swymi haftami i złotem; nie onieśmiał ich już dywan, który miażdżyli ciężkimi butami.

– Pozwólcie mi odpowiedzieć! – zawołał wreszcie rozgniewany dyrektor. – Przede wszystkim to nieprawda, że Towarzystwo zyskuje dwa centymy na wózku... Spójrzmy na cyfry.

Potoczyła się chaotyczna dyskusja. Dyrektor chcąc wywołać rozłam wśród górników zwrócił się do Pierrona, który ukrył się za plecami innych jękając coś w odpowiedzi. Za to Levaque wysunął się na czoło i gmatwał sprawy podając fakty, których nie znał. Miękkie obicia i nagrzane powietrze salonu wchłaniały w siebie szmer głosów.

– Jeżeli będziecie mówić wszyscy na raz – podjął pan Hennebeau – nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

Odzyskał on już spokój i twardą uprzejmość urzędnika, który otrzymał zarządzenia i wie, w jaki sposób wymóc dla nich posłuch. Od pierwszych słów nie spuszczał z oczu Stefana i starał się wszelkimi sposobami nakłonić go do wystąpienia. Toteż porzucając spór o dwa centymy rozszerzył nagle zakres dyskusji.

– Przyznajcie się lepiej od razu, że słuchacie ohydnych podszeptów. Jakiś podmuch zarazy powiał teraz wśród robotników i zatruł nawet najlepszych... Och, nie musicie mi się zwierzać i tak wiem, że was odmieniono, was, tak spokojnych niegdyś. Obiecano wam, że będziecie jeść

masło z chlebem, a nie chleb z masłem i że teraz wy będziecie panami świata, nieprawdaż?... Jednym słowem, werbują was do owej sławetnej Międzynarodówki! do tej armii rozbójników, których marzeniem jest obalić istniejący ustrój społeczny...

Wówczas Stefan przerwał mu:

– Myli się pan, panie dyrektorze. Ani jeden górnik z Montsou nie wstąpił jeszcze do Międzynarodówki. Jeżeli jednak będzie się ich ku temu popychać, zapiszą się wszyscy.

Od tej chwili walka toczyła się już tylko między panem Hennebeau a Stefanem. Reszta nie brała w niej udziału.

– Towarzystwo jest dla swoich pracowników opatrnością i nie macie racji występując przeciwko niemu. W tym roku wydano przeszło trzysta tysięcy franków na budowę osiedli, a kwota ta nie przynosi ani dwu procent dochodu. Nie mówię już o wypłacanych emeryturach, o węgla ani o pomocy lekarskiej... Wydajecie się inteligentnym człowiekiem, wy, którzy potrafiłście w przeciągu paru miesięcy stać się jednym z najsprawniejszych robotników kopalni. Czy nie powinniście raczej o tym właśnie pouczyć swych towarzyszy, zamiast rujnować swą przyszłość zadając się z ludźmi o złej reputacji? Mam na myśli Rasseneura, z którym musieliśmy się pożegnać, by ratować kopalnię od zgnilizny socjalistycznej. Przesiadujecie wciąż u niego i on to na pewno namówił was do założenia owej kasy zapomogowej, co do której nie zgłaszalibyśmy najmniejszego sprzeciwu, gdyby była zwyczajną kasą oszczędności, a nie bronią przeciwko nam, kapitałem rezerwowym na pokrycie kosztów wojennych. Przy sposobności muszę dodać, że Towarzystwo *życzy* sobie mieć kontrolę nad tą kasą.

Stefan nie przerywał ani słowem. Patrzył dyrektorowi prosto w oczy i tylko kąty ust drgały mu nerwowo. Przy ostatnich słowach uśmiechnął się i odparł:

– A więc jest to nowe żądanie, gdyż do tej pory pan dyrektor nie domagał się tej kontroli. Niestety, naszym życzeniem jest, aby Towarzystwo zechciało mniej zajmować się naszymi sprawami i zamiast grać rolę opatrności, dało nam po prostu to, co się nam należy: nasz zarobek, którego część zabiera dla siebie. Czy to uczciwie, aby przy każdym kryzysie wydawać na śmierć głodową robotników chcąc ratować dywidendy akcjonariuszy?... Wbrew temu, co pan mówi, panie dyrektorze, nowy system płac jest ukrytą obniżką i to nas właśnie oburza, bo jeśli Towarzystwo musi robić oszczędności, to czyni bardzo źle oszczędzając jedynie na robotnikach.

– O, wreszcie! – wykrzyknął pan Hennebeau. – Czekałem na to oskarżenie, że głodzimy robotnika i żyjemy jego kosztem! Jak możecie mówić podobne głupstwa, wy, którzy

powinniście wiedzieć, na jakie szalone ryzyko wystawiony jest kapitał w przemyśle, w górnictwie na przykład! Urządzenie kopalni kosztuje dzisiaj od półtora do dwóch milionów franków, a ile trzeba włożyć wysiłku, zanim ta olbrzymia suma zacznie procentować! I jaki skromny jest przy tym ten procent! Blisko połowa towarzystw węglowych we Francji bankrutuje... Zresztą to nie ma najmniejszego sensu zarzucać okrucieństwo tym, które się jeszcze utrzymują na powierzchni. Jeżeli ich robotnicy cierpią, one same cierpią również. Czy myślicie, że obecny kryzys nie jest równie niebezpieczny dla Towarzystwa jak dla was? To nie od Towarzystwa zależy wysokość waszych płac, ale od konkurencji, która w każdej chwili grozi mu ruiną. Obwiniajcie ten stan *rzeczy*, ale nie Towarzystwo... Ale wy nie chcecie niczego wysłuchać, nie chcecie niczego zrozumieć!

– I owszem – odparł Stefan – rozumiemy bardzo dobrze, że dopóki ten stan rzeczy będzie trwał, nie ma dla nas żadnej możliwości poprawy bytu i dlatego właśnie postaramy się, aby uległ on zmianie.

Te słowa, powściągliwe w formie, wypowiedziane zostały półgłosem, ale tonem tak głębokiego przekonania, że zabrzmiały jak groźba. Zapadło milczenie. W zaciszną atmosferę salonu wtargnął powiew trwogi. Pozostali delegaci, chociaż nie wszystko rozumieli, czuli jednak, że pośród otaczającego ich zbytku Stefan upomniał się o ich prawa. I znów zaczęli lustrować spod oka miękkie obicia, wygodne fotele, wszystkie te drobiazgi, z których najmniejszy po sprzedaniu pozwoliłby im utrzymać się przez cały miesiąc.

Pan Hennebeau, zamyślony, podniósł się wreszcie. Oznaczało to koniec posłuchania. Wszyscy poszli za jego przykładem. Stefan trącił lekko łokciem Maheua, górnik odezwał się znów, ale z trudem i niezgrabnie:

– A więc to cała pana odpowiedź, panie dyrektorze? Mamy powiedzieć towarzyszom, że pan odrzuca nasze warunki?

– Ja? – wykrzyknął dyrektor. – Ależ ja niczego nie odrzucam!... Jestem takim samym płatnym pracownikiem jak wy i moje zdanie nie znaczy tu więcej niż zdanie jakiegoś wozaka. Dostaję polecenia i moja rola ogranicza się do tego, aby czuwać nad ich wykonaniem. Powiedziałem wam to, co uważałem za swój obowiązek wam powiedzieć, ale decyzja należy nie do mnie... Przedstawiliście mi wasze żądania, ja przedłożę je zarządowi i zakomunikuję wam później jego odpowiedź.

Przywdział znów maskę oficjalnej poprawności wysokiego urzędnika, który zachowuje

dystans wobec poruszanych zagadnień, oschłej uprzejmości zwykłego narzędzia władzy. Górnicy spoglądali nań teraz nieufnie, zadając sobie pytanie, kim jest ten człowiek i dlaczego kłamie, jakie korzyści przynosi mu to, że staje pomiędzy nimi a rzeczywistym kierownictwem? Może to jakiś intrygant? Mówi, że płacą mu jak robotnikom, a żyje tak dostatnio!

Stefan ośmielił się raz jeszcze zabrać głos:

– To wielka szkoda, panie dyrektorze, że nie możemy porozumieć się z zarządem bezpośrednio. Moglibyśmy wyjaśnić wiele rzeczy, przytoczyć argumenty, które, rzecz jasna, panu nie przychodzą na myśl... Gdybyśmy tylko wiedzieli, do kogo mamy się zwrócić!

Pan Hennebeau nie rozgniewał się wcale. Uśmiechnął się nawet.

– Wasz brak zaufania do mnie komplikuje sprawę... Musicie więc udać się tam...

Wyciągnął rękę ku oknu, a spojrzenia delegatów pobiegły w ślad za jego gestem. Co oznaczało owo: tam? Paryż, niechybnie. Ale nie byli tego pewni. To miejsce odsuwało się w ich wyobraźni w jakąś przerażającą dal, w krainę niedostępną i świętą, w której panuje nieznanne bóstwo. Nie ujrzą go nigdy, lecz wyczuwają jego obecność jako siłę, która z daleka ciąży nad dziesięcioma tysiącami górników z Montsou. I kiedy dyrektor przemawia do nich, to ona właśnie stoi za nim i ona wydaje wyrok.

Ogarnęło ich przegębienie, nawet Stefan wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że najlepiej będzie, jeżeli sobie stąd pójdą. Tymczasem pan Hennebeau poklepał Maheua przyjaźnie po ramieniu i zapytał go, jak się miewa Janek.

– Straszna to była nauczka... A mimo to właśnie wy, Maheu, bronicie złego stemplowania! Zastanówcie się, moi przyjaciele, a sami zrozumiecie, że strajk byłby nieszczęściem dla wszystkich. Nim minie tydzień – zaczniecie przymierać głodem i co będzie dalej?... Liczę zresztą na wasz rozsądek i jestem przekonany, że najpóźniej w poniedziałek zjedziecie do kopalni.

Wychodzili zgarbieni, ani słowem nie odpowiedziawszy na wyrażoną przez dyrektora nadzieję, że pozostaną ulegli. Pan Hennebeau uznał za stosowne zreasumować ich rozmowę: a więc z jednej strony Towarzystwo z projektem nowego systemu płac, a z drugiej robotnicy z żądaniem podwyżki o pięć centymów od wózka. Nie chcąc zostawić im jakichkolwiek złudzeń uprzedził ich, że zarząd na pewno odrzuci ten postulat.

– Zastanówcie się dobrze, zanim poweźmiecie jakąś decyzję. Bądźcie rozsądni – powtarzał zaniepokojony ich milczeniem.

W przedpokoju Pierron skłonił się dyrektorowi bardzo nisko, a Levaque ostentacyjnie włożył czapkę. Maheu szukał słów pożegnania, ale Stefan znowu trącił go łokciem. Wyszli w groźnym milczeniu i tylko drzwi za nimi zamknęły się z łoskotem.

Wróciwszy do jadalni pan Hennebeau zastał gości siedzących nieruchomo nad kieliszkami z likierem. W kilku słowach zdał relację Deneulinowi, którego twarz zasępiła się jeszcze bardziej. Dyrektor popijał teraz zimną kawę, a towarzystwo starało się skierować rozmowę na inne tematy. Ale sami Grégoire'owie wrócili do sprawy strajku zdziwieni, iż nie ma ustawy zabraniającej robotnikom porzucania pracy. Paweł uspokajał Cecylkę, że niedługo zjawi się zandarmeria. Pani Hennebeau zawołała lokaja.

– Hipolicie, zanim przejdziemy do salonu, proszę otworzyć tam okna i wywietrzyć.

III

Minęło dwa tygodnie; w poniedziałek trzeciego tygodnia nadesłane do dyrekcji listy obecności wykazały, że liczba górników, którzy zjechali do kopalni, zmniejszyła się jeszcze. Liczono, że tego właśnie dnia podejmą oni pracę. Lecz upór, z jakim Towarzystwo odmawiało przyjęcia ich żądań, podsycił jeszcze oburzenie robotników. Strajkowały już nie tylko le Voreux, Crévecoeur,

Mirou i Madeleine: w Victoire i Feutry-Cantel stawiała się do pracy zaledwie czwarta część górników. Nawet kopalnia Saint-Thomas została objęta strajkiem, który powoli stawał się powszechny.

Nad le Voreux zaciążyło milczenie. Kopalnia była pusta, wyludniona, znieruchomiła. Na tle szarego grudniowego nieba trzy czy cztery porzucone wózki miały w sobie niemy smutek martwych przedmiotów. W dole, pomiędzy chudymi nogami drewnianych kozłów, zapas węgla topniał z dnia na dzień odsłaniając ziemię nagą i czarną. Stosy kopalniaka gniły na deszczu. W przystani nad kanałem jakaś do połowy załadowana węglem barka zdawała się drzemać w mętnej wodzie. Na opustoszałej hałdzie wznosił melancholijnie ku górze swe ramiona ręczny wózek. Lecz w największym odrętwieniu pogrążone były budynki, sortownie o zapuszczonych żaluzjach, zamilkły szyb wydobywczy, wystygła kotłownia i olbrzymi komin, zbyt szeroki dla

nikłych smug dymu. Urządzenia wyciągowe czynne były tylko rano, od godziny dziewiątej posługiwano się drabinami. Stajenni dostarczali żywności koniom, chodnikami snuli się sztygarzy pracujący z powrotem jak zwykli robotnicy, pilnując, aby pozostawione bez nadzoru przejścia nie doznały uszkodzeń. Ponad zamarłą pustką budynków spowitych czarnym pyłem rozlegało się tylko ciężkie sapanie pompy – resztką życia kopalni, którą zalałaby woda, gdyby ten oddech ustał.

Po przeciwległej stronie, na płaskowzgórzu, kolonia Dwieście Czterdzieści również wydawała się zamarła. Przyjechał prefekt z Lilie, zjawili się żandarmi, ale wobec spokojnej postawy strajkujących i prefekt, i żandarmi wycofali się. Nigdy jeszcze osiedle nie zachowywało się równie przykładowie. Żeby nie chodzić do szynku, mężczyźni spali po całych dniach, kobiety ograniczyły picie kawy i stały się rozważniejsze, mniej zajadłe w plotkowaniu i kłótniach. Nawet dzieci zdawały się rozumieć sytuację i były się bez hałasu. Zachować spokój – to było hasło dnia podawane z ust do ust.

U Maheuów drzwi się nie zamykały: Stefan, jako sekretarz kasy, rozdelał trzy tysiące franków pomiędzy najbardziej potrzebujących. Następnie z rozmaitych stron napłynęło jeszcze kilkaset franków dobrowolnych datków i składek. Lecz obecnie wszystkie zasoby wyczerpały się, górnicy nie mieli już pieniędzy, stanęła przed nimi groźba głodu. Maigrat, który obiecał udzielić im kredytu do dwóch tygodni, po tygodniu zmienił nagle decyzję. Zazwyczaj podporządkowywał się rozkazom Towarzystwa. Widocznie tym razem postanowiło ono przerwać strajk jak najszybciej, biorąc osiedla głodem. Maigrat postępował zresztą jak kapryśny tyran, dawał chleb lub odmawiał, zależnie od tego, czy podobała mu się dziewczyna wysłana przez rodziców po żywność. Szczególnie nieubłagany był dla Maheuów, urażony, że wymknęła mu się Katarzyna. Na domiar nieszczęść przyszły silne mrozy. Kobiety spoglądały na topniejące zapasy węgla i myślały z niepokojem, że nie odnowią się one, dopóki mężczyźni nie pójdą do pracy. Nie dość, że przymierali głodem – mieli jeszcze ginąć z zimna.

U Maheuów brakowało już wszystkiego. Levaque'owie jadali jeszcze, Bouteloup pożyczył im dwadzieścia franków. Pierronowie jak zawsze mieli pieniądze, ale bojąc się, że inni zechcą od nich pożyczać, i pragnąc nadać sobie pozory niedostatku, brali na kredyt u Maigrata, który gotów był wsypać Pierronce do fartucha wszystkie swoje zapasy, gdyby tylko zechciała go nadstawić. W sobotę wiele rodzin poszło spać bez kolacji. W obliczu rozpoczynających się straszliwych dni nie rozległa się ani jedna skarga. Ze spokojną odwagą wszyscy wierni byli

powziętemu postanowieniu.

Była w nich nieograniczona ufność i ślepa wiara w nadejście obiecanej ery sprawiedliwości. Godzili się cierpieć, byle tylko kiedyś wszyscy ludzie na świecie byli szczęśliwi.

Wyglodzeni, łatwo poddawali się egzaltacji i nigdy przed oczyma tych nędzarzy nie otwierały się horyzonty równie rozległe.

Majaczyła im owa idealna kraina, w której wszyscy będą braćmi złączonymi wspólną pracą i wspólnym odpoczynkiem. Nic nie mogło zachwiać ich wiary, że niedługo i oni się w niej znajdą. Fundusze kasy wyczerpały się. Towarzystwo nie zamierzało ustąpić, każdy dzień pogarszał sytuację, a oni nie tracili nadziei uśmiechem pogardy odpierając rzeczywistość. Gdyby nawet ziemia miała rozstąpić się pod ich nogami, oni wyjdą cało. Ta wiara zastępowała im chleb, dawała siłę wycieńczonym ciałom. Strawiwszy szybko chudą wodziankę popadali w stan półzamroczenia, w ekstazę, która niegdyś rzucała męczenników na łup dzikim zwierzętom.

Stefan stał się teraz niezaprzeczoną przywódcą. Całe noce spędzał na czytaniu i w wieczornych rozmowach rozstrzygał poruszane problemy, wydawał orzeczenia. Otrzymywał obecnie więcej listów, zaabonował nawet „Mściciela”, socjalistyczną gazetę belgijską, i dziennik ten, pierwszy, jaki zjawił się w osiedlu, zjednał mu pośród kolegów niezwykle szacunek. Wzrastająca z każdym dniem popularność podniecała go coraz bardziej. Fakt, że utrzymuje rozległą korespondencję, rozprawia o losie robotników, udziela rad górnikom z le Voreux, a przede wszystkim, że jest osiłą, dokoła której kręci się świat, napelniał go dumą, jego, dawnego maszynistę, rębacza o rękach powalanych węglem. Jedno go tylko dręczyło: świadomość braku wykształcenia, która sprawiała, że w obliczu panów w surdutach stawał się zażenowany i nieśmiały. W dalszym ciągu pożerał książki, nie mając jednak żadnej metody naukowej przyswajał sobie wiadomości bardzo wolno i w sposób tak chaotyczny, że ostatecznie wiedział wiele rzeczy, ale ich nie rozumiał. W chwilach kiedy zdrowy rozsądek brał w nim górę, odczuwał niepewność i lęk, czy jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. A może potrzebny by tu był jakiś adwokat, ktoś uczonej, kto potrafiłby mówić i działać nie narażając w niczym towarzyszy? Ale zaraz budził się w nim sprzeciw, który przywracał mu pewność siebie. Nie, nie żaden adwokat! Wszyscy oni to szubrawcy, którzy wykorzystują swoją wiedzę, aby obrastać w piórka kosztem ludu. Jak się to skończy, tak się skończy, ale robotnicy sami powinni załatwiać swoje sprawy. I znów oddawał się marzeniom o karierze przywódcy: Montsou u jego stóp, w dali, we mgle, Paryż, a później, kto wie? – może fotel poselski, przemowy w

parlamencie, gdzie po *raz*. pierwszy robotnik piorunować będzie na burżujów.

Od kilku dni Stefan był w rozterce. Pluchart pisał do niego list za listem, gotów przyjechać do Montsou, podsycać zapał strajkujących. Chodziło o to, aby zorganizować zebranie, któremu przewodniczyłby Pluchart. Ukrytym celem tego zebrania było pozyskani nieufnych do tej pory górników dla Międzynarodówki Stefan obawiał się zbytniego rozgłosu wokół tej sprawy, ale byłby ostatecznie przystał na przyjazd Plucharta, gdyby nie zdecydowany sprzeciw Rasseneura. Mimo swej popularności Stefan musiał liczyć się z szynkarzem, którego wpływy sięgały czasów dawniejszych i który zachował wielu zwolenników wśród swoich klientów. Dlatego też wahał się jeszcze i nie wiedział, co ma odpisać Pluchartowi.

Właśnie w poniedziałek koło czwartej po południu, kiedy Stefan siedział sam z Maheudką w izbie na dole, przyszedł nowy list z Lilie. Maheu, rozdrażniony bezczynnością, poszedł łowić ryby; jeśli uda mu się złowić jakąś ładną sztukę poniżej śluzy, to sprzeda ją i kupi chleba. Dziadek Bonnemort i mały Janek – rekonwalescenci, wymknęli się z domu wypróbować swe siły. Dzieci wyszły z Alzirą, która całymi godzinami zbierała miął na hałdzie. Siedząc przy dogasającym ogniu, którego nie śmiała podtrzymywać, Maheudką w rozpiętym staniku, z pierśią zwisającą nisko, karmiła Estelkę. Gdy Stefan skończył czytać list, spytała:

– Są jakieś dobre wiadomości? Przyślą nam pieniądze?

Zaprzeczył ruchem głowy, a Maheudką ciągnęła dalej:

– Nie wiem, jak my przetrwamy ten tydzień... No, ale jakoś przecież przetrwamy. Jak człowiek ma słuszność po swojej stronie, to mu to dodaje odwagi, no nie? W końcu i tak my będziemy górą.

Maheudką opowiadała się teraz za strajkiem. Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby można zmusić Towarzystwo do ustępstw nie porzucając pracy, ale skoro się ją już porzuciło, to nie należy jej podejmować, zanim nie uzyska się sprawiedliwości. Broniła swego stanowiska z niezłomną energią. Raczej umrzeć z głodu niż ustąpić, jakby się nie miało racji!

– Ach! – wykrzyknął Stefan. – Gdyby tak wybuchła porządna cholera i uwolniła nas od tych wyzyskiwaczy z Towarzystwa!

– Nie, nie – odparła Maheudką – nie trzeba nikomu *życzyć* śmierci. Zresztą na nic by się to nie zdało, na ich miejsce znaleźliby się inni... Ja tam chcę tylko, żeby ci, co są, pomiarkowali, że źle robią, i wierzę, że pomiarkują, bo przecież wszędzie znajdują się porządni ludzie... Wicie, że nie podoba mi się wasza polityka.

Rzeczywiście nie pochwałała gwałtownych wystąpień Stefana, uważała je za zbyt wojownicze. Że domagali się sprawiedliwej zapłaty za swą pracę, to słuszne, ale po co zajmować się przy okazji mnóstwem innych rzeczy, burżujami, rządem – po co wtrącać się do cudzych spraw, kiedy przy tym można tylko coś oberwać? Szanowała zresztą młodego człowieka, ponieważ nie pił i regularnie wpłacał, jej czterdzieści pięć franków za utrzymanie. Jak mężczyzna prowadzi się przyzwoicie, to resztę można mu wybaczyć.

Stefan zaczął mówić o republice, która wszystkim zapewniłaby chleb. Ale Maheudką potrzęsnęła głową. Pamiętała rok 48, ciężki rok. Była wtedy świeżo po ślubie. Ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń oddała się rozpamiętywaniu, bezbarwnym głosem opowiadając kłopoty tamtych dni, a Estelka nie wypuszczając z ust piersi matczynej usnęła na jej kolanach. Stefan, pochłonięty własnymi myślami, wpatrywał się w tę olbrzymią pierś, której miękka biel odcinała się ostro od barwy twarzy, poźółkłej i zniszczonej.

– Ani grosza przy duszy – szeptała Maheudka – nic do jedzenia, a tu kopalnie stają jedna po drugiej. Nędza i pomór na biednych ludzi, zupełnie jak dziś!

W tej chwili otworzyły się drzwi, oboje zaniemówili ze zdziwienia na widok wchodzącej Katarzyny. Od czasu kiedy uciekła z Chavalem, nie pokazywała się w osiedlu. Tak była zmieszana, że nie zamknęła drzwi za sobą. Liczyła, że zastanie matkę samą, i gdy zobaczyła Stefana, słowa uwięzły jej w gardle.

– A ty tu po co? – krzyknęła Maheudka nie wstając ze stołka. – Wynoś mi się w tej chwili, nie chcę cię znać!

– Mamo, tu jest kawa i cukier – wyjąkała wreszcie Katarzyna. – Dla dzieci... Wzięłam nadgodziny, bo pomyślałam sobie o nich...

Wyjęła z kieszeni funt kawy i funt cukru i zdobywszy się na odwagę położyła je na stole. Ona sama pracowała nadal w Jean-Bart, lecz strajk w le Voreux nie dawał jej spokoju. Pod pretekstem, że przynosi coś dla dzieci, chciała przyjść z pomocą rodzicom. Ale dobroć jej serca nie rozbroiła matki.

– Zamiast przynosić nam łakocie – odparła – lepiej było zostać z nami i zarabiać na chleb.

Na głowę dziewczyny posypały się wyrzuty. Maheudka ciskała jej w twarz to wszystko, co wygadywała na nią od miesiąca. Iść do chłopca, jak się ma szesnaście lat i rodzinę w potrzebie? Tylko wyrodna córka zrobić może coś podobnego. Różne głupstwa można wybaczyć, ale tego żadna matka by nie wybaczyła. I to jeszcze gdyby jej nie zostawiali swobody w domu, ale gdzie

tam! Wolna była jak ptak, byle tylko wracała na noc do domu.

– Co za diabeł cię opętał, dziewczyno? W twoim wieku!

Katarzyna stała nieruchomo przy stole i słuchała z opuszczoną głową. Dreszcz wstrząsnął jej drobnym, dziecięcym ciałem. Urywającymi zdaniami usiłowała odpowiadać matce:

– Och, gdyby to tylko ode mnie zależało... Gdyby to dla mojej przyjemności... Ale to on. A jak on tak chce, to ja też muszę, bo on jest silniejszy... Kto wie, co by było... A zresztą, co się stało, to się już nie odstanie. Trudno. Co to za różnica, czy ten, czy inny. A teraz się ze mną musi ożenić.

Broniła się bez buntu, z bierną uległością dziewcząt, nad którymi zbyt wcześnie zaciążyła ręka mężczyzny. Czyż to, co ją spotkało, nie było ogólnym prawem? Czyż mogła oczekiwać czegoś innego niż zgwałcenia gdzieś za hałdą, dziecka, gdy będzie mieć lat szesnaście, a później biedy na własnym gospodarstwie, jeżeli kochanek zgodzi się z nią ożenić? Jeżeli czerwień się ze wstydu i drżała – to tylko dlatego, że matka łajała ją przy tym chłopcu, którego obecność doprowadzała ją do rozpacz.

Stefan wstał tymczasem i udawał, że poprawia ogień, aby nie krępować kobiet swoją osobą. Lecz wzrok jego spotkał się ze wzrokiem dziewczyny. Spozregł, że jest blada i wymęczona, ale tak samo ładna, tak samo jasnooka jak dawniej; doznał dziwnego uczucia – uraza pierzchnęła, pragnął teraz jedynie, aby była szczęśliwa z tym człowiekiem, którego wołała od niego, pragnął przyjść jej z pomocą, zmusić tamtego, aby był dla niej dobry. Ale Katarzyna wyczytała w jego współczującym spojrzeniu tylko litość. Widocznie pogardzał nią, skoro tak na nią patrzył. Serce jej się ścisnęło i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

– Lepiej, żeś zamilkła – ciągnęła nieubłaganie Maheudka. – Jak chcesz z nami zostać, to wejdź, a jak nie, to wynoś mi się zaraz i dziękuj Bogu, że trzymam Estelkę na kolanach, bo już bym ci dawno dała takiego kopniaka, że proszę!

I nagle pogróżka ta znalazła swe urzeczywistnienie:

Katarzyna otrzymała z tyłu uderzenie tak brutalne, że zatoczyła się aż z bólu i zdumienia. To Chaval, który jednym skokiem wpadł do izby, wymierzył jej ten cios rozjuszonego zwierza. Od paru chwil śledził ją spoza drzwi.

Ty dziwko! – krzyknął. – Szedłem za tobą! Widziałem, że przyjdiesz tutaj, żeby sobie dogodzić! To ty płacisz co? Kąpiesz go w kawie za moje pieniądze!

Maheudka i Stefan znieruchomieli ze zdumienia.

Chaval gwałtownie pchnął Katarzynę ku drzwiom.

– Wychodzisz stąd czy nie!

A gdy schroniła się w kąt izby, zwrócił się do matki:

– Ładne zajęcie, stać na straży, żeby córka mogła zabawiać się na górze!

Chwycił Katarzynę za rękę, potrząsnął nią i ciągnął ku drzwiom. W progu zwrócił się raz jeszcze do Maheudki przygwożdżonej do krzesła. Z wrażenia zapomniała schować pierś. Estelka usnęła z twarzą w spódnicy matki i pierś zwisała ogromna i naga jak wymię.

– A jak córki nie ma, to matka ją zastępuje! – krzyknął. – Pokazuj mu, pokazuj... On to lubi, ten twój lokator!

Stefan poderwał się i chciał spoliczkować kolegę. Lęk przed wywołaniem zbiegowiska powstrzymał go od wystąpienia w obronie Katarzyny, lecz teraz gniew wziął górę i obaj mężczyźni z oczyma nabiegłymi krwią znaleźli się twarzą w twarz. Była to dawna nienawiść, zazdrość długo tajona, która wybuchnęła. Jeden z nich musiał teraz paść ofiarą.

– Uważaj – wykrztusił Stefan przez zaciśnięte zęby – już ja się dobiore do twojej skóry.

– Spróbuj tylko – odparł Chawał.

Spoglądali na siebie przez kilka sekund z tak bliska że czuli nawzajem swe gorące oddechy na twarzy. Lecz Katarzyna z błaganiem w oczach ujęła kochanka za rękę i pociągnęła ku drzwiom. Uciekła nie oglądając się nawet za siebie.

– A to bydlak – mruknął Stefan zamykając gwałtownie drzwi. Tak był wzburzony, że musiał usiąść.

Siedząca naprzeciw niego Maheudka nie drgnęła przez cały czas. Teraz machnęła tylko ręką. Zapadło milczenie przygnębiające i ciężkie od słów, których nie wypowiedali. Wbrew jego woli wzrok Stefana powracał do odkrytej piersi, której widok krępował go teraz. Pewnie, Maheudka miała już swoje czterdzieści lat i częste porody zniekształciły jej postać, ale niejednemu podobała się jeszcze: silnie zbudowana, krzepka, o podłużnej twarzy, na której można się było dopatrzeć śladów dawnej urody. Powoli, spokojnie ujęła pierś w obie ręce i schowała ją. Palcem wsunęła różową sutkę i zapięła stanik, pociemniała nagle i nieświeża w swym starym kaftanie.

– Świnia – powiedziała wreszcie. – Tylko świni mogą przyjść do głowy takie obrzydlistwa... Ale co mnie to tam. Nie warto było odpowiadać...

A później nie spuszczać wzroku z młodego człowieka dodała szczerze:

– Wiem, że mam swoje wady, ale tej nie mam... Tylko z dwoma chłopami spałam w swoim

życiu, z jednym ładowaczem, dawniej, jak miałam piętnaście lat, i z Maheuem. Gdyby Maheu rzucił mnie tak jak tamten, to nie wiem, jakby tam potem było... Nie chwałę się, że od ślubu z nim ustatkowałam się, bo człowiek nie raz nie robi nic złego tylko dlatego, że mu brak sposobności. Ale mówię, jak jest, a znam sąsiadki, które nie mogłyby tego powiedzieć o sobie, no nie?

– Tak, to prawda – odparł Stefan wstając.

Wyszedł, a Maheudka ułożywszy śpiącą Estelkę na dwóch zestawionych krzesłach wzięła się do rozniecania ognia. Jeżeli ojciec złapie jaką rybę i sprzeda, to może przecież ugotuje dziś zupę.

Na dworze zapadła już noc. Stefan szedł z opuszczoną głową, pogrążony w smutku. Nie czuł już gniewu do Chawała ani litości dla biednej poniewieranej] dziewczyny. Brutalna scena zacierała się w jego pamięci, myśl biegła ku cierpieniom wszystkich, obejmowała całą ohydę nędzy. Widział przed sobą osiedle pozbawione chleba, kobiety i dzieci, które położą się tego wieczora spać bez jedzenia, cały ten lud walczący o pustym żołądku. Zwątpienie, które muskało go niekiedy, teraz w straszliwej melancholii zapadającego zmroku ogarnęło go torturą tak silną, jakiej nie zaznał nigdy dotąd. Jakąż straszną odpowiedzialność wziął na siebie! Czy teraz, kiedy zabrakło pieniędzy i urwał się kredyt, ma w dalszym ciągu zachęcać ich do oporu? Czym-się to skończy, jeśli znikąd nie przyjdzie pomoc, jeśli głód przełamie męstwo? I nagle zamajaczyło przed nim widmo klęski: umierające dzieci, zapłakane matki i wynędzniali mężczyźni podejmujący pracę. Szedł potykając się o kamienie, a myśl, że Towarzystwo zwycięży, że on będzie winien nieszczęściu towarzyszy, napełniała go nieznośnym jękiem.

Kiedy podniósł głowę, ujrzał przed sobą le Voreux. W gęstniejących ciemnościach czarny masyw budynków wydawał się jeszcze bardziej ociążały. Samotny pośrodku pustego placu, na którym kładły się wielkie, nieruchome cienie, przypominał jakąś opuszczoną twierdzę. Z chwilą zatrzymania się maszyny wyciągowej dusza opuściła te mury i teraz, pośród nocy, nic nie ożywiało ich martwoty, ani jeden głos, ani jeden błysk światła. Nawet oddech pompy zdawał się tylko odległym charkotem dobiegającym nie wiadomo skąd.

Stefan patrzył i krew napływała mu do serca. Jeśli nawet robotnicy cierpieli głód – to Towarzystwo straciło miliony. Dlaczego miałyby okazać się silniejsze w tej walce pracy przeciwko kapitałowi? W każdym razie zwycięstwo kosztowałoby je drogo. Własne ofiary będzie jeszcze czas liczyć później. Na nowo ogarnęła go żądza walki, szarpiające pragnienie położenia kresu nędzy, choćby za cenę życia. Czy nielepiej, aby zginęli od razu, niżby mieli

nadal konać powoli, cierpiąc głód i niesprawiedliwość? Przypomniały mu się przeczytane gdzieś opowieści o mieszkańcach podpalających własne miasta, aby zatrzymać nieprzyjaciela, o matkach, które rozbijały swym dzieciom główki o bruk, aby uratować je przed niewolą, o mężczyznach skazujących się na śmierć głodową, byle tylko nie tknąć chleba tyrana. To go podnieciło. Czarny smutek przemienił się w jaskrawą wesołość, która odpędziła zwątpienie i kazała wstydić się własnej słabości. Wraz z ocknięciem się wiary powracały opary dumy, radość, że jest przywódcą, że go słuchają, że zatriumfuje. Wyobrażał już sobie scenę wielką w swojej prostocie: własną odmowę przyjęcia władzy i złożenie jej w ręce ludu.

Drgnął. Zbudził go głos Maheua. Górnik opowiadał mu o swoim powodzeniu: złowił wspaniałego pstrąga i sprzedał go za trzy franki. Będzie zupa. Stefan wyprawił go samego do osiedla mówiąc, że zaraz wróci, i poszedł do Rasseneura. Usiadł przy stole i poczekał, aż zostanie sam z szynkarzem, aby oznajmić mu, że napisze do Plucharta, żeby przyjeżdżał natychmiast. Decyzja zapadła. Postanowił zorganizować zebranie, gdyż wierzył, że przystąpienie górników z Montsou do Międzynarodówki zapewni im zwycięstwo.

IV

Zebranie miało odbyć się w „Bon-Joyeux” u wdowy Désir, we czwartek o drugiej po południu. Wdowa oburzona krzywdą, jaka działa się jej dzieciom, górnikom, nie przedstawiała złorzeczyć, zwłaszcza od kiedy jej szynk opustoszał. Nigdy jeszcze strajk nie miał przebiegu tak trzeźwego, nałogowi pijacy nie wychodzili z domu, aby nie ulec pokusie i nie sprzeniewierzyć się hasłu zachowania spokoju. Droga biegnąca do Montsou, tak gwarna i ludna w dniie kiermaszów, opustoszała. Ścieki wyschły, piwo przestało nimi płynąć. Na chodniku przed gospodami stały tylko blade szynkarki wypatrujące gości. W samym Montsou również nie spotykało się w piwiarniach ani żywej duszy i tylko w szynku „Pod Świętym Eliaszem”, do którego wstępowali sztygarzy, był jeszcze jaki taki ruch. Wyludnił się nawet „Wulkan”, tamtejsze damy cierpiały bezrobocie, chociaż opuściły z dziesięciu na pięć sous ze względu na ciężkie czasy. Nad całą okolicą rozpostarła się prawdziwa żaloba.

– Psiakrew! – wykrzyknęła wdowa Désir klepiąc się po udach. – To wina zandarmów! Niech

mnie wsadzą do ciupy, jeśli chcą, już ja im pokażę przedtem, co potrafię.

Dla wdowy Désir wszystkie władze, wszyscy pracodawcy to byli żandarmi: tą wspólną, pogardliwą nazwą obejmowała wrogów ludu. Prośbę Stefana przyjęła entuzjastycznie: cały jej dom należy do górników, bezpłatnie użyczy im sali, w której zazwyczaj odbywają się tańce, i sama podpisze zawiadomienia, skoro ustawa tego wymaga. A gdyby nawet miało się coś dziać wbrew ustawie, to jeszcze lepiej! Już ona będzie wiedziała, co odpowiedzieć! Następnego dnia Stefan przyniósł jej do podpisania pięćdziesiąt zawiadomień wypisanych przez sąsiadów z osiedla. Wysłano je do kopalń delegatom i ludziom, którzy byli pewni. Oficjalny program obejmował dyskusję nad dalszym prowadzeniem strajku. W rzeczywistości oczekiwano przyjazdu Plucharta, liczone, że wygłosi on przemówienie, które zwerbujе górników do szeregów Międzynarodówki.

We czwartek rano Stefana ogarnął niepokój; jego dawny zwierzchnik nie zjawiał się, chociaż depeszą zapowiedział swój przyjazd na środę wieczór. Co się stało? Martwił się, że nie będzie mógł porozmawiać z nim przed zebraniem. O dziewiątej poszedł do Montsou przypuszczając, że Pluchart udał się tam wprost, nie wstępując do le Voreux.

– Nie, nie widziałam waszego przyjaciela – odparła wdowa Désir – ale wszystko już gotowe, chodźcie zobaczyć!

Zaprowadziła go do sali. Dekoracje nie uległy zmianie: te same girlandy szczipione na środku pod sufitem różnokolorowym wieńcem z papierowych kwiatów i te same tarcze ze złoczonego kartonu z imionami świętych. I tylko na miejscu estrady dla muzykantów, w rogu, stał stół i trzy krzesła, a wewnątrz sali wypełniały ustawione na ukos ławki.

– Doskonale – oświadczył Stefan.

– Pamiętajcie – podjęła wdowa – że jesteście u siebie. Pyskujcie, ile wam się tylko spodoba... Żandarmi wejdą tu chyba po moim trupie.

Mimo gnębiącego go niepokoju Stefan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Lecz w tej chwili ujrzał Rasseneura i Suwarina. Zdziwił się, że przybyli tak wcześnie.

Gdy wdowa zostawiła ich samych w wielkiej pustej sali, wykrzyknął:

– Co, jużście przyszli?

Suwarin, który pracował całą noc w le Voreux, gdyż maszyniści nie strajkowali, przyszedł jedynie przez ciekawość. Co do Rasseneura, to od dwóch dni wydawał się on jakiś nieswój, z jego pulchnej twarzy zniknął zwykły dobrotliwy uśmiech.

– Pluchart nie przyjechał, jestem bardzo niespokojny – dodał Stefan.

Szynkarz odwrócił oczy i rzucił przez zęby:

– Dla mnie to nie jest niespodzianka. Nie oczekuję go.

– Jak to?

Tamten zdecydował się nagle; spojrzał Stefanowi prosto w twarz i powiedział z zaczepną miną:

– No tak, bo i ja też do niego pisałem, jeżeli chcesz wiedzieć. I błagałem go, żeby nie przyjeżdżał... Uważam że nasze sprawy powinniśmy załatwiać sami, nie zwracając się o pomoc do obcych.

– Zrobiłeś to? Zrobiłeś to? – powtarzał Stefan w pasji, nie spuszczać oczu z kolegi.

– I owszem, zrobiłem to, chociaż sam wiesz najlepiej, że mam zaufanie do Plucharta! To porządny chłop i ma głowę na karku... Ale widzisz, ja tam nie jestem wcale za waszymi teoriami. Polityka, rząd, to wszystko nic mnie nie obchodzi. Poprawa bytu górnik, oto czego chcę. Przez lat dwadzieścia pracowałem w głębi, namęczyłem się i nabiedowałem tyle, że sobie poprzysiągłem pomóc jakoś i ulżyć tym, którzy tam jeszcze zostali, a czuję doskonale, że tymi waszymi historiami do niczego nie doprowadzicie, najwyżej możecie jeszcze zaszkodzić... Kiedy głód zmusi ludzi do podjęcia pracy, Towarzystwo przysoli im dopiero jak psom, które zapędza się do budy!... I do tego właśnie nie chcę dopuścić, rozumiesz?

Podniósł głos, całym ciałem podany ku przodowi, zaparty mocno na grubych nogach. W tych słowach jasnych, płynących obficie, bez trudu, wyrażała się jego natura człowieka rozsądnego i cierpliwego. Czyż to nie głupota wierzyć, że tak ni stąd ni zowąd uda się odmienić świat, robotnikowi dać miejsce pracodawców i podzielić kapitał tak, jak się dzieli jabłko? Potrzeba tysięcy, tysięcy lat, aby się to kiedyś mogło ziścić, jeżeli; w ogóle się ziści. Więc co sobie zawracać głowę cudami? Jak ktoś nie chce niepotrzebnie rozbić sobie nosa, a ma trochę rozumu, to niech idzie prosto przed siebie i stara się polepszyć dolę robotników, ale w granicach możliwości. Gdyby on się tym zajął, to ręczy, że potrafiłby nakłonić Towarzystwo do ustępstw. Ale jak będą. obstawać przy swoim, to tylko pozdychają z głodu i nic więcej.

Stefan nie przerywał, gdyż oburzenie odebrało mu mowę. Wreszcie wykrzyknął:

– Człowieku, ty nie masz chyba krwi w żyłach!

Jeszcze chwila, a byłby go spoliczkował. Aby nie ulec tej pokusie, zaczął biegać po sali wielkimi krokami

Wyładowywał swój gniew na ławkach, które roztrącał przechodząc.

– Zamknijcie przynajmniej drzwi – zauważył Suwarin.

– Po co ludzie mają tego słuchać?

Zamknął je sam i usiadł spokojnie na jednym z krzeseł prezydyalnych. Skręcił papierosa i przyglądał się tamtym dwóm z łagodną ironią, uśmiechając się nieznacznie.

– I cóż z tego, że się będziesz złościł – podjął Rasseneur rozsądnie.

– Z początku, jak zalecałeś towarzyszom, żeby rachowali spokój, żeby siedzieli w domu, żeby nie urządzali awantur, myślałem, że jesteś rozumnym człowiekiem. Ale teraz widzę, że chcesz ich wpakować w kabałę!

Za każdym razem, gdy powracał z głębi sali, Stefan przyskakiwał do szynkarza, chwycił go za ramiona i krzyczał mu swe odpowiedzi prosto w twarz.

– Ależ do pioruna, ja w dalszym ciągu jestem za utrzymaniem spokoju! I owszem, narzuciłem im pewną dyscyplinę! I owszem, radzę im, żeby siedzieli cicho! Ale ostatecznie nie można przecież dopuścić, żeby tamci kpili sobie z nas... Szczęśliwy jesteś, że potrafisz zachować zimną krew. Mnie chwilami mąci się już w głowie.

Było to z jego strony wyznanie. Wyśmiewał się teraz ze swych złudzeń neofity, z marzeń o krainie, w której rychło zapanuje sprawiedliwość i braterstwo. No cóż, jeżeli ktoś chce, żeby ludzie do końca świata pożerali się jak wilki, to rzeczywiście najlepiej założyć ręce i czekać. Ale jeśli nie, to powinien działać, bo w przeciwnym razie niesprawiedliwość będzie trwać wiecznie i wiecznie bogacze pić będą krew nędzarzy. Nie mógł sobie darować, iż niegdyś twierdził, że z kwestii społecznych wykluczyć należy politykę. Wówczas nie orientował się jeszcze w niczym, ale od tej pory wiele przeczytał i wiele się nauczył i poglądy jego dojrzały. Chwalił się, że posiada pewien system. Nie bardzo co prawda potrafił go określić, a jego chaotyczne sformułowania nosiły ślady wszystkich po kolei teorii, jakie przyjmował, a następnie odrzucał. Ich niewzruszoną podstawą było twierdzenie Karola Marksa, że kapitał jest rezultatem rabunku, że praca ma obowiązek i prawo odebrać to skradzione bogactwo. W praktyce uległ najpierw czarowi proudhonowskiej utopii wzajemnych kredytów, wielkiego banku wymiany, który wykluczałby pośredników. Później zapalił się do towarzystw spółdzielczych Lassale'a, wyposażonych przez państwo, które miały powoli przekształcić świat w jedno wielkie miasto przemysłowe. Zniechęciły go do tego systemu trudności sprawowania kontroli, jakie nasuwał. Od niedawna przejął się teorią uspołecznienia środków produkcji, ale nie zdawał sobie jeszcze

jasno sprawy, jaka droga prowadzi do realizacji tego nowego marzenia. Na razie twierdził po prostu, że idzie o to, aby ująć rządy w swoje ręce. Resztę pokaże przyszłość.

– Ale co tobie się stało? Dlaczego przechodzisz na stronę burżujów? – ciągnął podniesionym głosem stając przed szynkarzem. – Sam mówiłeś przecież: tak dłużej być nie może!

Rasseneur zarumienił się z lekka.

– Owszem, mówiłem. I gdy nadejdzie właściwa chwila, przekonasz się, że nie jestem gorszy od innych... Ale nie chcę być z tymi, którzy stwarzają zamęt, aby korzystając z niego zdobyć sobie stanowisko.

Teraz z kolei Stefan się zarumienił. Przeniknięci chłodem rywalizacji przestali krzyżeć; słowa ich stały się ostre i złe. Właśnie ta ukryta rywalizacja była przyczyną nadmiernej ostrożności jednego, a przesadnej rewolucyjności drugiego; ona właśnie narzucała im stanowiska i role, które przyjmowali wbrew samym sobie. Na dziewczęcej twarzy przysłuchującego się ich rozmowie Suwarina pojawił się wyraz milczącej pogardy, druzgocącej pogardy człowieka, który gotów był w każdej chwili oddać własne życie bez rozgłosu, nie po to, aby zyskać chwałę męczennika.

– Och, to do mnie pite? – spytał Stefan. – Jesteś zazdrosny?

– Zazdrosny? O co? – odparł Rasseneur. – Ja nie pozuję na wielkiego człowieka i nie zależy mi na tym, aby założyć sekcję w Montsou i zostać jej sekretarzem.

Stefan chciał mu przerwać, ale tamten dorzucił:

– Przyznaj się szczerze, to nie o Międzynarodówkę ci chodzi, ale o to, żeby zdobyć władzę, żeby stać się wielkim panem, który utrzymuje łączność z Radą Okręgu Północ.

Zapanowało milczenie. Po chwili Stefan podjął drżąc z podniecenia:

– Och tak... Zdawało mi się, że nie mam sobie nic do wyrzucenia w stosunku do ciebie. Zawsze pytałem cię o radę, bo wiedziałem, że walczyłeś tu już na długo przede mną. Ale wobec tego, że nie możesz znieść nikogo obok siebie, zacznę teraz działać na własną rękę... Przede wszystkim przyjmij do wiadomości, że zebranie odbędzie się, choćby nawet Pluchart nie przyjechał, i że towarzysze przystąpią do Międzynarodówki, chociaż ty tego nie chcesz.

– Och, to jeszcze nie wiadomo – szepnął Rasseneur.

– Trzeba ich najpierw będzie nakłonić do zapłacenia składek.

– Wcale nie. Rada generalna udziela zwłoki strajkującym, natomiast sama od razu przychodzi im z pomocą.

– No więc zobaczymy! – wybuchnął szynkarz. – Będę na tym twoim zebraniu i przemówię. Nie pozwolę oszukiwać moich przyjaciół, wyjaśnię im, co leży w ich własnym interesie. Zobaczymy, za kim się wypowiedzą, czy za mną, którego znają od trzydziestu lat, czy też za tobą, który w ciągu niespełna roku przewróciłeś u nas wszystko do góry nogami... Nie! Nie! Daj mi spokój! Teraz nie ma już dla nas możliwości porozumienia.

Wyszedł trzaskając drzwiami. Papierowe girlandy pod sufitem zadrżały, złocone tarcze uderzyły o ścianę; w wielkiej sali zapanował z powrotem ociężały spokój.

Suwarin siedział przy stole i palił papierosa. Stefan spacerował przez chwilę w milczeniu, a potem dał upust nurtującym go uczuciom. Czy to on jest temu winien, że ludzie opuszczają tego spasionego leniucha i przechodzą na jego stronę? Bronił się przed zarzutem zabiegania o popularność, sam nie wiedział nawet, jak się to stało, że zyskał sobie przyjaźń całej kolonii, zaufanie górników, władzę nad nimi. Oburzał się, iż ktoś może mu zarzucać, że chce wywołać zamęt, aby zaspokoić własne ambicje, bijąc się w piersi zapewniał o swych braterskich uczuciach.

W pewnej chwili zatrzymał się przed Suwarinem i zawołał:

– Gdybym wiedział, że przeze mnie zostanie przelana choćby kropla krwi któregoś z przyjaciół, natychmiast wyniosłbym się stąd do Ameryki!

Maszynista wzruszył ramionami i ściągnął wargi w uśmiechu.

– Och, cóż to takiego krew — szepnął. — Ziemia potrzebuje krwi.

Stefan uspokoił się, wziął krzesło i usiadł naprzeciw niego opierając się o stół. Ta jasna twarz, te zadumane oczy, w których pojawiały się chwilami krwawe błyski, niepokoiły go, wywierały na jego wolę jakiś dziwny wpływ. I teraz również, chociaż tamten nie odezwał się ani słowem, Stefan czuł, że zaczyna mu ulegać.

– Powiedz – zapytał – co byś ty zrobił na moim miejscu? Czy nie mam racji, że chcę działać? Najlepiej będzie, jeżeli przystąpimy do Stowarzyszenia, prawda?

Suwarin wypuścił powoli kłąb dymu i odpowiedział ulubionym:

– Zawracanie głowy! – Później jednak dodał: – Pewno, że na razie dobre i to... Zresztą ta ich Międzynarodówka niedługo rozwinie się jak należy. On już się tym zajął.

– Kto taki?

– On!

Wymówił to słowo półgłosem, z religijną czcią, zwracając oczy ku wschodowi. Myślał o

mistrzu, o Bakuninie Niszczycielu.

– On jeden zdolny jest wymierzyć cios – ciągnął dalej – Twoi uczeni to zwykli tchórze z całą ich teorią ewolucji... Nim upłynie trzy lata, Międzynarodówka pod jego przewodem zmiażdży stary świat.

Stefan wyteńczył słuch; gorąco pragnął nauczyć się czegoś nowego, pojąć ten kult niszczenia, o którym Suwarin wspominał tak rzadko, jak gdyby całą jego tajemnicę pragnął zachować dla siebie.

– Wytlumaczcie mi wreszcie – co jest waszym celem?

– Zniszczyć wszystko... Narody, rządy, własność, Boga, religię...

– Rozumiem. Ale do czego to was zaprowadzi?

– Do wspólnoty pierwotnej, bezkształtnej jeszcze, do świata, który powstanie od nowa.

– W jaki sposób zamierzacie urzeczywistnić wasze zamierzenia? Jakimi środkami? -

– Ogniem, trucizną, sztyletem! Zabójca to prawdziwy bohater, mściciel ludowy, rewolucjonista czynu a nie słowa. Trzeba, aby szereg wstrząsających zamachów przeraził tych, którzy dzierżą władzę, i obudził lud.

Ogarnięty uniesieniem Suwarin wstał z krzesła. Był straszny. W jego jasnych oczach gorzał mistyczny płomień, a dłonie ścisnęły kurczowo krawędź stołu. Stefan patrzył na niego z lękiem; przypomniały mu się mgliste zwierzenia tamtego o minach podkładanych pod pałac cara, o naczelnikach policji zarzynanych nożem jak wieprze, o śmierci jedynej kobiety, którą kochał, powieszanej w Moskwie pewnego deszczowego ranka – ukryty w tłumie całował ją oczyma po raz ostatni.

– Nie, nie – szepnął Stefan ruchem ręki odsuwając od siebie te straszne obrazy. – Do tegośmy jeszcze u nas nie doszli. Zabijać? Palić? Nigdy! To ohydne! To niesprawiedliwe! Wszyscy towarzysze powstałiby, aby ukarać winnego.

Instynktownie buntował się przeciwko tym ponurym wizjom zagłady, przeciwko marzeniom o skoszeniu świata jak łąnu żyta, tuż przy ziemi. Ciągle jeszcze nie mógł ich pojąć. A co będzie później? W jaki sposób odrodzi się życie, wyrosną nowe narody? Domagał się odpowiedzi.

– Powiedz mi, jaki jest wasz program. Chcielibyśmy wiedzieć, do czego zmierzamy.

Suwarin zapatrzonej w przestrzeń zakonkludował spokojnie:

– Jakiegokolwiek rozważania na temat przyszłości są zbrodnicze, gdyż przeszkadzają dziełu doskonałego zniszczenia i wstrzymują pochód rewolucji.

Stefan roześmiał się, chociaż odpowiedź ta przejęła go dreszczem. Przyznawał zresztą, że poglądy kolegi mają swoje dobre strony; ich straszliwa prostota pociągała go, ale opowiadając podobne historie towarzyszom ułatwiłyby zadanie Rasseneurowi. Należało wskazać im jakieś praktyczne wyjście z sytuacji.

Pani Désir zaproponowała im przekąskę. Przeszli do bufetu w dniu powszednie oddzielonego od sali do tańca ruchomym przepierzeniem. Kiedy zjedli omlet i ser, Suwarin podniósł się, aby wyjść, a zatrzymującemu go Stefanowi rzekł:

– Po co miałbym zostawać? Zeby słuchać, jak będziecie mówili głupstwa? Dostyc się już ich nasłuchałem. Do widzenia.

I odszedł z papierosem w ustach, spokojny i uparty jak zawsze.

Niepokój Stefana wzrastał. Była godzina pierwsza, a Pluchart się nie zjawiał. Około wpół do drugiej zaczęli schodzić się delegaci. Przyjmował ich sam, gdyż chciał wiedzieć, kto przychodzi; bał się, żeby Towarzystwo nie przysłało swoich szpiegów. Kontrolował każde zaproszenie, przyglądał się twarzom. Wielu górników zjawiało się zresztą bez zawiadomień. Wystarczyło, że Stefan ich znał, aby otwarto im drzwi. O drugiej nadszedł Rasseneur.

Zbliżył się do bufetu i rozmawiając ze znajomymi bez pośpiechu kończył palić fajkę. Ten drwiący spokój do reszty wyprowadził Stefana z równowagi, tym bardziej że jednocześnie zjawiała się grupa żartownisiów, którzy przyszli pośmiać się trochę – Zachariasz, Mouquet i paru innych. Tych strajk niewiele obchodził, radzi byli, że nic nie robią, i teraz siedząc przy stole wydawali ostatnie grosze na piwo i podrwiwali z kolegów.

Minął kwadrans. Zebrani zaczynali się niecierpliwic. Stefan, zrozpaczony, postanowił rozpocząć zebranie, gdy wdowa Désir, która wyglądała oknem, zawołała:

– Jest, jest, przyjechał pański przyjaciel!

Istotnie, był to Pluchart. Przyjechał bryczką zaprzęzoną w dychawicznego konia. Wskoczył na chodnik, szczupły, o zbyt wielkiej, kwadratowej głowie, ubrany w czarny sukienny surdut, odświeżnie, trochę firecykowato

Od pięciu lat nie brał do ręki narzędzi – dbał o strój i fryzurę, dumny niezmiernie ze swych sukcesów mówcy. Członki jego zachowały jednak pewną sztywność, a zniszczone paznokcie nie chciały odrosnąć. Bardzo czynny i bardzo ambitny, bez ustanku jeździł po okolicy agitując.

– Nie miejcie do mnie pretensji! – powiedział uprzedzając pytania i wyrzuty. – Wczoraj rano przemówienie w Preuilly, wieczorem zebranie w Valencay, dzisiaj spotkanie z Sauyagnatem w

Marchiennes... Ledwo udało mi się złapać jakąś bryczkę. Jestem wykończony, słyszycie, jaką mam chrypkę. Ale to nic przemówię i tak mimo wszystko.

Był już na progu, gdy nagle coś sobie przypomniał.

– Psiakość, a legitymacje? Ładnie byśmy wyglądali!

Zawrócił do bryczki, wyjął z walizki czarne drewniane pudełko i włożył je pod pachę.

Stefan trzymał się w jego pobliżu, promieniejąc, gdy tymczasem skonsternowany Rasseneur nie śmiał się z nim przywitać. Tamten jednak pierwszy do niego podszedł, uściśnął mu dłoń, a o liście wspominał tylko mimochodem: co za pomysł? Dlaczego nie urządzać zebrania? To nigdy nie zaszkodzi.

Wdowa Désir zaproponowała, żeby się czegoś napił, ale odmówił. Nie pija, kiedy ma przemawiać. I tylko bardzo mu się śpieszy, bo chciałby jeszcze dziś wieczorem być w Joiselle, gdzie ma się spotkać z Legoujeux.

Całą paczką wkroczyli na salę. Maheu i Levaque, którzy się spóźnili, weszli za nimi. Aby czuć się bardziej u siebie, zamknęto drzwi na klucz, co dało żartownisiom powód do śmiechu. Zachariasz zawołał do Mouqueta, że pewno im tu zrobią dziecko.

Na ławkach siedziało około stu górników czekając w dusznej sali, gdzie unosiły się jeszcze w powietrzu zapachy z ostatniej zabawy. Wszystkie głowy zwróciły się ku przybyłym, którzy zajmowali wolne miejsca. Przebiegł szmer. Spoglądano na gościa z Lilie. Jego czarny surdut wywołał zdziwienie i zażenowanie.

Na wniosek Stefana natychmiast wybrane zostało prezydium. Rzucił on nazwiska, a zebrani wyrażali swą zgodę podniesieniem ręki. Jako przewodniczący zasiadł w prezydium Pluchart, obok niego Maheu i Stefan. Szurano krzesłami, zajmowano miejsca. Przewodniczący zniknął na chwilę za stołem – wsunął podeń pudełko, z którym się nie rozstawał. Kiedy wynurzył się z powrotem, uderzył lekko pięścią, aby poprosić o ciszę, po czym rozpoczął ochryłym głosem:

– Obywatele...

Przerwał, otworzyły się boczne drzwi i ukazała się w nich wdowa Désir z sześcioma kuflami na tacy.

– Niech pan mówi dalej – szepnęła. – Przyniosłam tylko coś do picia.

Maheu wziął tacę z jej rąk i Pluchart mógł mówić dalej. Oświadczył, że jest bardzo wzruszony serdecznym przyjęciem ze strony robotników z Montsou, przeprosił za swoje spóźnienie tłumacząc je zmęczeniem i bólem gardła. Następnie oddał głos obywatelowi

Rasseneurowi, który o to prosił.

Rasseneur stanął przy stole, obok kufli z piwem. Krzesło, odwrócone poręczą do przodu, posłużyło mu za trybunę. Wydawał się bardzo poruszony; odkaszlnął i rzucił gromkim głosem:

– Towarzysze...

Wpływ na górników zawdzięczał łatwości słowa: potrafił mówić godzinami bez zmęczenia, zawsze jednakowo dobroduszny. Nie gestykulował; ociężyły i uśmiechnięty zalewał ich potokiem wymowy, aż wreszcie wszyscy wołali: „Tak, tak, to prawda, masz rację.” Tego dnia jednak od razu po pierwszych słowach poczuł, że trafia na niemy opór. Toteż miał się na ostrożności. Zaczął od omawiania strajku i nie zamierzał atakować Międzynarodówki, dopóki nie usłyszy pierwszych oklasków. Zapewne, że honor nie pozwala ustąpić Towarzystwu, ale z drugiej strony – jakaż nędza, jakież straszliwe dni czekają ich, gdyby wypadło zbyt długo obstawać przy swoim. Nie namawiając otwarcie do kapitulacji starał się osłabić ich męstwo, roztaczał przed nimi obraz osiedli przymierających głodem, pytał, skąd zamierzają wziąć pieniądze zwolennicy dalszego oporu? Trzech czy czterech przyjaciół usiłowało mu potakiwać, co jeszcze bardziej podkreśliło chłodne milczenie reszty, niezadowolenie, z jakim przyjmowano jego słowa. Stracił nadzieję, że uda mu się odzyskać ich zaufanie, i uniósł się gniewem; przepowiadał im nieszczęścia, jakie ich czekają, jeśli pozwolą zawracać sobie głowę obcym prowokatorom. Dwie trzecie zebranych powstało z ław; krzyczeli, chcieli mu przerwać oburzeni, że traktuje ich jak dzieci, które nie potrafią same sobą kierować. On jednak, podnosząc co chwila kufel do ust, mówił dalej wśród zgiełku, odgrażał się, że jeszcze się taki zuch nie urodził, który by przeszkodził mu spełnić obowiązek.

Pluchart podniósł się. Ponieważ nie miał dzwonka, uderzał pięścią w stół i powtarzał ochryple:

– Obywatele... Obywatele...

Wreszcie udało mu się przywrócić względny spokój. Rasseneurowi odebrano głos. Delegaci, którzy reprezentowali poszczególne kopalnie na konferencji u dyrektora, teraz przewodzili innym; głód torował drogę nowym ideom. Wynik głosowania z góry można było przewidzieć.

– Ty się tam nie musisz przejmować, bo masz co jeść – krzyknął Levaque wyciągając pięść w stronę Rasseneura.

Stefan przechylił się za plecami przewodniczącego, aby uspokoić Maheua wyprowadzonego z równowagi obłudną przemową szynkarza.

– Obywatele – powiedział Pluchart – pozwólcie, że teraz ja zabiorę głos.

Zapanowało głębokie milczenie. Pluchart zaczął mówić ochryple, z trudem – był jednak do tego przyzwyczajony; wiecznie w rozjazdach obwoził swoje zapalenie krtani razem z programem przemówień. Powoli głos jego nabierał mocy, rozbrzmiewał patosem. Mówca rozpostarł szeroko ręce i ruchem ramion podkreślał rytm zdań. Jego przemówienia miały w sobie coś z kazań; jak kaznodzieja zniżał głos przy końcu okresów, których monotony szmer przekonywał w końcu słuchaczy o jego słuszności.

Jak zawsze w miejscowościach, gdzie przemawiał po raz pierwszy, zaczął od wysławiania potęgi i dobrodziejstw Międzynarodówki. Objasniał jej cele, mówił o wyzwoleniu proletariatu, zapoznawał ze strukturą Stowarzyszenia poprzez gminy, prowincje i narody obejmującego całą ludzkość. Jego ramiona poruszały się wolno, wznosiły przed oczyma zebranych olbrzymią świątynię przyszłości. Później przyszła kolej na sprawy administracyjne: odczytał statuty, mówił o kongresach, o rozszerzaniu zakresu działania. Zaczawszy od starań o podwyżkę płac, Międzynarodówka walczy teraz o zmianę ustroju społecznego, o zniesienie najemnictwa, o to, aby robotnicy całego świata złączeni wspólnym pragnieniem sprawiedliwości położyli kres burżuazyjnej zgniliznie i stworzyli nowe społeczeństwo, w którym ten, kto nie będzie pracował, nie będzie też i zbierał plonów. Głos jego podniósł się teraz aż do krzyku, oddech poruszał papierowe kwiaty pod sufitem. Głowy zebranych zafalowały; kilka osób krzyknęło:

– Tak, tak, racja!

Pluchart mówił dalej. Nim upłynie trzy lata, świat będzie ich. Wyliczał narody pozyskane dla Stowarzyszenia. Ze wszystkich stron napływały zgłoszenia. Żadna rodząca się idea nie miała tytułu zwolenników. Później, kiedy zwyciężą, to oni podyktują prawa dawnym pracodawcom, oni postawią im nogę na gardle.

– Tak, tak!... Niech teraz tamci zjeżdżają na dół!

Ruchem ręki poprosił o ciszę. Przystąpił do kwestii strajków. W zasadzie nie pochwalał ich; są środkiem działającym zbyt powoli i narażającym robotnika na dodatkowe cierpienia. Na razie jednak nie da się ich uniknąć i trzeba je przyjąć, gdyż mają tę dobrą stronę, że dezorganizują kapitał. Przedstawił im Międzynarodówkę jako opatrność dla strajkujących. Cytował przykłady: w Paryżu podczas strajku brązowników pracodawcy na samą wieść o tym, że nadsyła ona pomoc, ustąpili od razu; w Londynie Międzynarodówka uratowała górników pewnej kopalni odsyłając na swój koszt sprowadzonych przez właściciela robotników belgijskich. Wystarczy

przystąpić do niej, aby Towarzystwa zadrżały przerażone, wystarczy stać się członkiem potężnej armii robotników gotowych raczej umrzeć jedni za drugich niż pozostać niewolnikami w społeczeństwie kapitalistycznym!

Przerwały mu okrzyki uznania. Otarł czoło chustką i odsunął kufel, który mu podawał Maheu. Chciał mówić dalej, ale oklaski nie pozwoliły mu dojść do słowa.

– W porządku! – rzucił do Stefana. – Prędko legitymacje!

Schylił się pod stół i wynurzył stamtąd po chwili z małym drewnianym pudełkiem w ręku.

– Obywatele! – zawołał. – Oto karty członkowskie: Niechaj podejda tu delegaci, to im je wydam, a oni rozdziela je następnie pomiędzy swoich ludzi... Resztę spraw uregulujemy później.

Rasseneur poderwał się protestując, Stefan kręcił się niespokojnie, gdyż pragnął wygłosić swoje przemówienie. Powstało zamieszanie. Levaque wyciągał pięści, jakby miał ochotę się bić. Maheu stojąc mówił coś, ale nie można było dosłyszeć ani słowa. Z podłogi wzbijał się pył, lotny pył minionych zabaw, unosząc ze sobą ostrą woń ładowaczek i wozaków.

Nagle otworzyły się boczne drzwi; wdowa Désir wypełniła je swoim brzuchem i biustem, krzycząc gromko:

– Ciszej na Boga!... Żandarmi!

Był to komisarz okręgu, który w asyście czterech żandarmów przybył, aby spisać protokół i rozwiązać zebranie. Od pięciu minut wdowa Désir trzymała ich pod drzwiami odpowiadając, że jest tu u siebie i że ma chyba prawo przyjmować przyjaciół. Ale odepchnięto ją na bok, przybiegła więc ostrzec swoje dzieci.

– Tędy, tędy! – wołała. – Na podwórzu stoi żandarm, musicie uciekać przez drwalkę. Wychodzi prosto na uliczkę. Prędszej!

Komisarz dobijał się już pięściami do drzwi, groził, że je wyważy, jeśli nie otworzą. Poinformowany widocznie przez któregoś szpicla krzyczał, że zebranie jest nielegalne, gdyż wielu robotników znajduje się tu bez zawiadomień imiennych.

Na sali wzrastało zamieszanie. Nie można było rozwiązać zebrania w ten sposób – nie głosowano jeszcze ani nad przystąpieniem do Międzynarodówki, ani nad kontynuowaniem strajku. Wszyscy mówili na raz. Wreszcie przewodniczącemu przyszło na myśl, aby oba wnioski postawić do przyjęcia przez aklamację. Ręce podniosły się w górę. Delegaci oświadczyli, że zgłaszają przystąpienie w imieniu nieobecnych. I tak oto dziesięć tysięcy górników z Montsou zostało członkami Międzynarodówki.

Sala zaczęła się gwałtownie opróżniać. Wdowa Désir osłaniając odwrót stanęła przy drzwiach wejściowych wstrząsanych uderzeniami kolb. Górnicy przeskakiwali ławki i jeden za drugim uciekali przez kuchnię i drwalkę. Rasseneur zniknął jeden z pierwszych, a za nim wymknął się Levaque zapominając o obelgach, jakie ciskał niedawno na szynkarza; miał nadzieję, że tamten zaprosi go może na kufelek piwa dla uspokojenia. Stefan zaopiekował się pudełkiem Plucharta i razem z nim i z Maheu czekał, aż sala się opróżni. Wszyscy trzej uważali za punkt honoru wyjść ostatni. W chwili kiedy opuszczali salę, drzwi wejściowe ustąpiły, lecz komisarz natrafił na nową przeszkodę w postaci bujnych kształtów wdowy Désir.

– No i po co było wyważać drzwi? — zapytała. – Widzicie przecież, że nie ma nikogo.

Komisarz, człowiek flegmatyczny, który nie lubił dramatycznych scen, pogroził tylko wdowie, że wsadzi ją do więzienia, i wycofał się wraz z czterema żandarmami, aby spisać protokół. Rozśmieszyło to Zachariasza i Mouqueta zachwyconych, że kolegom udało się wywieść władzę w pole.

Stefan biegł uliczką piastując pudełko Plucharta. Nagle przyszedł mu na myśl Pierron; zapytał o niego Maheua. Ten nie zatrzymując się odparł, że Pierron jest chory: wygodna choroba, lęk przed kompromitacją. Chcieli zatrzymać Plucharta, ale nie zwalniając biegu oświadczył im, że musi natychmiast jechać do Joiselle, gdzie Legoujeux czeka na dyrektywy. Krzyknęli mu więc: szczęśliwej drogi! i pobiegli dalej. Zdyszani zamieniali ze sobą urywane zdania. Stefan i Maheu śmieli się radośnie, pewni już teraz zwycięstwa: Międzynarodówka przyśle im pomoc i wtedy Towarzystwo samo będzie ich błagać, żeby wrócili do pracy.

W nagłym porywie nadziei tych ludzi, w głośnym stukocie butów po bruku kryła się zapowiedź burzy, która miała niebawem ogarnąć płomieniem wszystkie osiedla.

V

I znów upłynęło dwa tygodnie. Nadszedł styczeń; zimne mgły przysłoniły olbrzymią równinę. Z każdą godziną wzrastała nędza i głód. Cztery tysiące franków nadesłanych z Londynu przez Międzynarodówkę wystarczyły zaledwie na parę dni. Oczekiwana dalsza pomoc nie nadeszła. Zachwiało to męstwem strajkujących. Na kogóż liczyć teraz, skoro nawet bracia ich opuszczają?

Czuli się zgubieni pośród ciężkiej zimy, odcięci od świata.

We wtorek wyczerpały się ostatnie zasoby w kolonii Dwieście Czterdzieści. Stefan i delegaci robili, co mogli: ogłaszali nowe subskrypcje w sąsiednich miastach, a nawet w Paryżu, urządzali zbiórki, organizowali konferencje. Wysiłki te nie na wiele się zdały. Opinia publiczna, zrazu poruszona, obojętniała, w miarę jak strajk się przedłużał, zwłaszcza że przebiegał bardzo spokojnie, bez dramatycznych wydarzeń. Skąpe datki wystarczały zaledwie na pomoc dla najbiedniejszych. Reszta zastawiała nędzne odzienie, wyprzedawała sprzęty domowe. Wszystko: włosie z materaców, naczynia kuchenne, meble nawet – dostawało się w ręce handlarzy starzyzną. Na krótki okres czasu nastąpiło odprężenie, gdy drobni kupcy z Montsou, których zabijała konkurencja Maigrata, postanowili skorzystać z okazji, aby odzyskać dawnych klientów, otwierając im teraz kredyt. Przez tydzień sklep spożywczy Verdoncka i dwie piekarnie, Carouble'a i Smeltena, stały dla górników otworem. Ale zapasy wyczerpały się prędko i wszyscy trzej sklepikarze musieli się wycofać. Skorzystali na tym lichwiarze. Robotnicy zaciągali pożyczki, które przez długi czas miały potem na nich ciążyć. Nie było już ani kredytu, ani choćby starego garnka do sprzedania – nic, tylko położyć się gdzieś pod płotem i zdychać jak parszywe psy.

Stefan byłby chętnie sprzedał samego siebie, byle tylko móc przyjść kolegom z pomocą. Zrzekł się wynagrodzenia, które pobierał jako sekretarz, poszedł do Marchiennes i zastawił swoje odświętne ubranie, szczęśliwy, że dzięki temu Maheuowie będą mieli przez jakiś czas co jeść. Zostawił sobie tylko buty, aby pewnie stać na nogach, jak mówił. Najbardziej bolało go to, iż strajk wybuchł za wcześnie, kiedy ich kasa oporu była jeszcze prawie pusta. Widział w tym jedyną przyczynę niepowodzenia, pewien był bowiem, że górnicy zwyciężyliby, gdyby znaleźli w kasie dostateczny zasób pieniędzy. Przypominały mu się słowa Suwarina, który oskarżał Towarzystwo, że dąży do wywołania strajku, aby unicestwić założoną kasę.

Widok osiedla, ludzi zziębniętych i głodnych, był dla niego nie do zniesienia. Uciekał stamtąd i chodził na dalekie spacer. Pewnego wieczoru wracając koło Requillart zobaczył przy drodze zemdloną starą kobietę. Widocznie omdlała z wycieńczenia. Podniósł ją i widząc, że po drugiej stronie ogrodzenia stoi jakaś dziewczyna, zawołał, aby podeszła.

– A to ty – rzekł poznawszy Mouquette. – Pomóż no mi, trzeba by dać jej coś do wypicia.

Mouquette zawróciła szybko do domu, do walącej się rudery, którą zamieszkiwał jej ojciec, i przybiegła za chwilę z butelką jałowcówki i kawałkiem chleba. Wódka przywróciła staruszcze

przytomność; nie powiedziawszy ani słowa. kobieta żarłocznie rzuciła się na chleb. Była to matka pewnego górnika, mieszkała niedaleko Cougny. Wracając z Joiselle, gdzie na próżno usiłowała pożyczyć od siostry dziesięć sous, upadła przy drodze. Skończywszy jeść podniosła się oszołomiona i odeszła.

Stefan został. Krzaki jeżyn zasłaniały walące się zabudowania kopalni.

– No co, może wstąpisz do mnie na kieliszeczek? – wesoło zaproponowała Mouquette, a widząc, że Stefan się waha, dorzuciła:

– Boisz się mnie wciąż jeszcze?

Poszedł za nią zjednany jej śmiechem. Przypomniawszy sobie, jak chętnie podzieliła się przed chwilą chlebem, i wzruszyło go to. Mouquette nie chciała przyjmować go w izbie ojca. Zaprowadziła gościa do siebie i od razu napełniła dwa kieliszki. W pokoju było bardzo czysto; Stefan wyraził jej uznanie.

Mouque'owie nie cierpieli zresztą biedy: stary w dalszym ciągu pracował jako stajenny w le Voreux, a Mouquette, żeby nie siedzieć z założonymi rękami, brała bieliznę do prania, co przynosiło jej trzydzieści sous dziennie. Można lubić chłopców, ale to nie znaczy wcale, żeby człowiek miał być leniuchem.

Słuchaj – szepnęła nagle, obejmując go wpół – dlaczego ty mnie nie lubisz?

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, tak to powiedziała przymilnie.

– Ależ lubię cię przecież – odpowiedział.

– Nie, nie, mnie nie o to chodzi... Ty wiesz, że czekam i że tak bym chciała... słuchaj...

Rzeczywiście, prosiła go o to od pół roku. Patrząc, na nią teraz, jak przytula się do niego i obejmuje go drżącymi ramionami. Twarz zwróconą miała ku niemu z wyrazem tak żarliwego błagania, że poruszyło go to do głębi. Pożółkła i zniszczona pracą w kopalni nie miała w sobie nic pociągającego, ale ogarniająca ją fala namiętności zapalała blaski w jej oczach, przywracała urodę i młodość. Nie śmiał oprzeć się tak pokornej ofierze.

– Och, zgadzasz się! – wyjąkała zachwycona – zgadzasz się!

Oddała mu się z tak dziewiczą niezręcznością i uniesieniem, jak gdyby po raz pierwszy znalazła się w ramionach mężczyzny. Gdy odchodził, obsypała go wyrazami wdzięczności i całowała po rękach.

Stefan czuł się trochę zawstydzony tą przygodą. To nie był powód do dumy – osiąść Mouquette. Odchodząc przyrzekł sobie, że nie wróci. Ale zachował dla niej życzliwość; dobra z

niej była dziewczyna.

W osiedlu czekały na niego zresztą tak ważne wiadomości, że natychmiast zapomniał o swej przygodzie. Rozeszła się pogłoska, że Towarzystwo zgodziłoby się może na pewne ustępstwa, gdyby delegaci raz jeszcze udali się do dyrektora. Tak przynajmniej twierdzili sztygarzy.

W rzeczywistości sytuacja przedstawiała się tak, że w walce, jaka się wywiązała, Towarzystwo ponosiło większe jeszcze straty niż górnicy. Zajadły upór przeciwników po obu stronach gromadził ruiny: praca przymierała głodem, a kapitał topniał. Każdy dzień strajku kosztował setki tysięcy franków, gdyż każda stojąca bezczynnie maszyna stanowi martwą pozycję. Urządzenia niszczały, unieruchomiony pieniądz znikał jak woda wysysana przez piasek. Z chwilą gdy zapas węgla zaczął się wyczerpywać, odbiorcy coraz częściej wspominali, że będą musieli zwrócić się do kopalni belgijskich, co stanowiło groźbę na przyszłość. Najbardziej jednak przerażały dyrekcję – choć ukrywała to starannie – wzrastające uszkodzenia chodników i ścian. Sztygarzy nie mogli podołać obudowie, stemple pękały, stropy obsuwały się. Zniszczenia przybrały wkrótce takie rozmiary, że aby móc podjąć wydobywanie, potrzebne były długie miesiące prac naprawczych. Krążyły słuchy, że w Crévecoeur chodnik zapadł się na przestrzeni trzystu metrów, zamykając dostęp do pokładu Cinque Paumes, a w Madeleine woda zalewała pokład Maugrétout.

Dyrekcja usiłowała zataić ten stan *rzeczy*, gdy nagle dwa wypadki, jeden po drugim, zmusiły ją do przyznania się: pewnego ranka niedaleko Piolaine pękła ziemia nad północnym chodnikiem w Mirou, który zapadł się poprzedniego dnia, a nazajutrz obsunięcie się skał w le Vore«x wywołało taki wstrząs w części przedmieścia, że dwa domy o mało nie zniknęły pod ziemią.

Nie znając zamiarów Towarzystwa, Stefan i pozostali delegaci wahali się, czy mają wystąpić ponownie. Usiłowali dowiedzieć się czegoś od Dansaerta, ale ten odpowiedział wymijająco: tak, oczywiście, dyrekcja ubolewa nad wynikłym nieporozumieniem i gotowa jest je załagodzić; nie sprecyzował jednak, w jaki sposób. Ostatecznie górnicy postanowili udać się raz jeszcze do pana Hennebeau, aby nikt nie mógł *im* później zarzucić, że nie dali Towarzystwu okazji do naprawienia błędów. Poprzysięgli tylko, że ani na krok nie ustąpią od swych słusznych żądań.

Spotkanie odbyło się we wtorek rano, w dniu kiedy kolonia popadła w ostateczną nędzę. Tym razem pan Hennebeau przyjął delegatów nie tak życzliwie jak poprzednio. Znów przemówił Maheu; wyjaśnił, że koledzy przysłali ich z zapytaniem, czy dyrekcja nie ma im nic do

zakomunikowania. Pan Hennebeau udał najpierw zdziwienie: nie otrzymał żadnych nowych zarządzeń i nic nie może się zmienić, dopóki robotnicy upierać się będą przy swoich warunkach. Ten jego ton, urzędowy i sztywny, wywarł jak najgorszy skutek. Gdyby nawet delegaci przyszli gotowi do ustępstw, sposób, w jaki ich przyjęto, mógł tylko nakłonić ich do dalszego oporu. Później co prawda dyrektor usiłował stworzyć platformę wzajemnego porozumienia: niech robotnicy zgodzą się na nowy system płac, a Towarzystwo podniesie im opłatę od wózka o te dwa centymy, które, ich zdaniem, chowa do własnej kieszeni. Dodał zresztą, że ta propozycja wychodzi wprawdzie od niego samego, pochlebia sobie jednak, że udałoby mu się załatwić tę sprawę w Paryżu. Lecz delegaci odmówili i powtórzyli swe żądanie: utrzymanie dawnego systemu płac i podwyżka o pięć centymów od wózka. Wówczas pan Hennebeau przyznał się, że zarząd upoważnił go do pertraktacji i że o ile nie będą upierać się przy swoim – od razu mogliby zawrzeć porozumienie. Nakłaniał ich do tego przypominając o żonach i dzieciach przymierających głodem. Ze wzrokiem wbitym w ziemię odparli nie i raz jeszcze nie, ponuro wstrząsając głowami. Rozstanie było brutalne, pan Hennebeaa trzasnął drzwiami, a Stefan, Maheu i inni wyszli, ciężko tupocząc po bruku, pełni milczącej wściekłości ludzi, którzy ponieśli klęskę.

Około drugiej po południu kobiety ze swej strony wybrały się do Maigrata. Nie miały innego wyjścia jak nakłonić tego człowieka do przywrócenia im kredytu. Pomysł ten przyszedł do głowy Maheudce, która zbytnio liczyła na dobroć ludzką.

Namówiła starą Brûlé i Lewaczkę, aby jej towarzyszyły. Pierronka wymówiła się twierdząc, że nie może zostawić męża, którego choroba nie chciała jakoś minąć. Przyłączyły się do nich inne mieszkanki osiedla, tak że zebrało się ich ze dwadzieścia. Widząc je, gdy żałosne i ponure szły zajmując całą szerokość ulicy, mieszczanie z Montsou kręcili głowami z niepokojem. Drzwi od mieszkań zamykały się jedne za drugimi; jakaś dama prędko schowała srebra. To pojawienie się kobiet uznano za zły znak: ilekroć gromadnie wylegały na ulice, nie wróżyło to nic dobrego.

U Maigrata rozegrała się gwałtowna scena. Wpuścił je do sklepu śmiejąc się drwiąco, niby to przekonany, iż przyszły spłacić mu długi: to doprawdy pięknie z ich strony, że porozumiały się, aby zrobić to jednocześnie. Ledwo Maheudka zaczęła mówić, udał, że wpada w gniew. Czy one kpią sobie z niego, czy co? Przedłużyć im kredyt? Więc chcą chyba, żeby poszedł z torbami! Nie – skończone, ani jednego ziemniaka, ani kawałka chleba więcej!

Skoro zaopatrzą się teraz u Verdoncka, Carouble'a i Smeltena, to niech idą do nich. Kobiety

słuchały wystraszone i pokorne, tłumaczyły się, szukały jego wzroku chcąc w nim wyczytać, że da się ubłagać. A on znów zaczął żartować. Ofiarowywał cały swój sklep starej Brûlé, o ile weźmie go za kochanka. Lęk przed odmową kazał im przyjąć śmiechem te żarciki. Lewaczka posunęła się nawet dalej, oświadczając, że ona chętnie wyręczy starą Brûlé. Lecz Maigrat brutalnie wypchnął je za drzwi, a gdy w dalszym ciągu nie przestawały go błagać, uderzył jedną. Wówczas zaczęły mu złorzeczyć krzycząc, że zaprzedał się Towarzystwu, a Maheudka wzniosłszy ręce w porywie mściwego oburzenia życzyła mu śmierci i wołała, że taki człowiek nie wart jest chodzić po ziemi.

Powrót do osiedla był ponury. Na widok kobiet wracających z pustymi rękami mężczyźni opuścili głowy. Żadnej nadziei, dzień skończy się bez łyżki strawy, a dni, które przyjdą po nim, będą podobne. Sami tego chcieli, żaden z nich nie wspomniał o poddaniu się. Jak ścigane zwierzęta, które wolą zdechnąć z głodu niż opuścić kryjówkę, tak i oni zacięli się w uporze. Któryż ośmieliłby się pierwszy zaproponować pójście na ustępstwa? Przyrzekli sobie solidarność i dotrzymają jej jak w kopalni, kiedy jednego z nich spotykało nieszczęście. Inaczej być nie mogło – wszyscy mieli za sobą dobrą szkołę rezygnacji i wytrwałości, gdy ktoś od dziecka cierpiał nędzę, to potrafi zacisnąć pasa, skoro potrzeba. I dumni byli ze swego poświęcenia jak ludzie, których codzienne obcowanie ze śmiercią nauczyło chępić się własną ofiarnością.

U Maheuów wieczór ten był straszny. W milczeniu skupili się wszyscy wokół dogasającego ognia. Dwa dni przedtem sprzedano za trzy franki zegar z kukułką i teraz, gdy umilkło jego tykanie, izba zdawała się wymarła i pusta. Zostało jeszcze tylko pudełko z różowego kartonu na kredensie, skarb Maheudki, dawny podarek od męża. Jedyne dwa dobre krzesła poszły do handlarza starzyzną; dziadek Bonnemort i dzieci tłoczyli się na starej, obrosłej mchem ławce, którą przyniesiono z ogrodu. Ponury zmierzch wzmagał jeszcze zimno.

– Co robić? – powtarzała skulona koło pieca Maheudka.

Stefan patrzył na portrety cesarza i cesarzowej wiszące na ścianie. Dawno już byłby je zdarł, gdyby nie to, że cała rodzina uważała je za ozdobę. Syknął więc tylko przez zęby:

– I pomyśleć, że za te dwie mordy, które gapią się na naszą nędzę, nikt nie dałby nawet złamanego grosza!

– A gdybym tak zaniósła pudełko? – podjęła po chwili wahania Maheudka.

Maheu, siedzący na brzegu stołu ze zwieszonymi nogami i głową opuszczoną na piersi,

wyprostował się:

– Nie, nie chcę!

Maheudka wstała z trudem i obesła izbę. – Czy to możliwe, aby doszli do takiej nędzy? Ani okruszyny chleba, żadnego sposobu, aby zdobyć coś do jedzenia! A tu jeszcze ogień za chwilę zgaśnie! Rozgniewała się na Alzirę, którą wysłała tego ranka na hałdę po miął, a która wróciła z próżnymi rękoma mówiąc, że dyrekcja zabroniła zbierać. No to co, że zabroniła? Czy oni okradają kogo, jak wezmą tych parę grudek węgla? Mała odpowiedziała z rozpaczą, że jakiś człowiek groził jej pobiciem, a później przyrzekła, iż jutro znów pójdzie na hałdę i choćby ją pobili, przyniesie węgla.

– A gdzie jest ten gałgan Janek? – zawołała matka. – Miał przynieść sałaty. Bylibyśmy się przynajmniej tyle pożywili, co te bydłeta. Zobaczycie, że znowu nie wróci do domu na noc jak wczoraj. Nie wiem, jak on sobie radzi, ten nicpoń, ale wygląda, jakby miał zawsze pełny brzuch.

– Może chodzi na żebry – odparł Stefan.

Oburzona podniosła w górę pięści.

– Na żebry? Gdybym wiedziała, że moje dzieci mają żebrać, wołałabym je pozabijać, a potem zabić samą siebie.

Maheu zwiesił bezwładnie głowę. Lenora i Henryk zdziwieni brakiem wieczerzy zaczęli popłakiwać, a stary Bonnemort w milczeniu obracał językiem w ustach, aby oszukać głód. Przytłoczeni z dnia na dzień cięższym brzemieniem biedy nie odzywali się już ani słowem. Dziadek kaszlał i pluł czarno, dręczony reumatyzmem, do którego powoli dołączała się puchlina wodna, ojciec cierpiał na astmę, a matka i dzieci miały odziedziczone po wielu pokoleniach skrufuły i anemię. No cóż – to były choroby zawodowe i nikt się nie skarżył, dopóki nie brakowało jedzenia. Lecz teraz ludzie zaczęli już padać z głodu jak muchy.

Trzeba było jednak zdobyć coś na kolację. Ale dokąd iść, co robić, mój Boże?

Po chwili wahania Stefan odezwał się ze ściśniętym sercem:

– Poczekajcie. Wstąpię w jedno miejsce i może coś przyniosę.

Wyszedł. Przypomiał sobie o Mouquette. Na pewno ma chleb i chętnie się z nim podzieli. Myśl, że ma ją odwiedzić, nie była mu miła: dziewczyna znów będzie go całować po rękach z wyrazem zakochanej służebnicy. Ale nie może opuścić przyjaciół w potrzebie i pójdzie do niej, skoro nie ma innego wyjścia.

– I ja także spróbuję coś dostać – powiedziała Maheudka. – Nie możemy tak zdychać z głodu.

Gwałtownie zamknęła za sobą drzwi i pozostawiła tamtych siedzących nieruchomo przy nikłym świetle ogarka. Znalazłszy się na dworze, zastanawiała się chwilę, a później weszła do Levaque'ów.

– Słuchaj no – powiedziała – pamiętasz, kiedyś pożyczyłam ci chleba. Może byś mi go dziś oddał?

Przerwała jednak, gdyż to, co ujrzała, nie było zachęcające. Nędza panowała tu jeszcze większa niż u nich.

Lewaczka patrzyła tępo na wygasłe palenisko, a mąż jej spojony przez robotników z fabryki gwoździ spał z głową na stole. Bouteloup oparty o ścianę bezmyślnie ocierał się o nią plecami z ogłupiałą miną poczciwca, który nie rozumie, dlaczego musi głodować.

– Oddać ci chleb? – odparła Lewaczka. – Ależ moja droga, właśnie znów chciałam od ciebie pożyczyć!

Levaque jęknął przez sen; przygniotła mu twarz do stołu.

– Cicho bądź, ty pijaku! A niech ci wypali wnętrzności dobrze ci tak!..

Zamiast naciągać kolegów na wódkę, mogłeś pożyczyć od nich z parę groszy!

Wyładowywała swój gniew w przekleństwach. W izbie, niesprzątej od dawna, panował nieznośny smród. A, niech wszystko diabli wezmą, co ją to obchodzi! Ten łajdak Bébert od rana nie pokazał się w domu. Najlepiej byłoby, gdyby już w ogóle nie wrócił. A później oświadczyła nagle, że idzie spać. Przynajmniej ogrzeje się trochę.

Popchnęła Bouteloupa:

– Idziemy na górę, słyszysz?... Ogień zagaśł, a świece nie ma co zapalać, żeby oglądać puste garnki... No, ruszasz się czy nie? Mówię ci, że idziemy spać. Tyle jeszcze naszego. A ten pijak niech sobie tu sam zdycha z zimna!

Maheudka wyszła i zdecydowanym krokiem skierowała się na przelaj do Pierronów. Spoza drzwi dolatywał śmiech. Zapukała. Śmiech ucichł natychmiast. Upłynęła długa chwila, zanim jej otworzono.

– Ach, to ty! – zawołała Pierronka udając zdziwienie. – Myślałam, że to doktor.

Nie dając jej przyjść do słowa ciągnęła wskazując na męża siedzącego przy sutym ogniu:

– Ciągłe jakoś nie może przyjść do zdrowia. Na twarzy niby dobrze wygląda, ale w sobie wciąż go ssie. Potrzebuje ciepła, więc palimy wszystko, co tylko pod rękę wpadnie.

Rzeczywiście Pierron wyglądał doskonale, rumiany i tłusty. Na próżno sapał, aby udać

chorego. Wchodząc do izby Maheudka poczuła silną woń pieczonego królika: na pewno schowano półmisek, gdy zapukała. Na stole leżały okruchy chleba, a na samym środku zobaczyła zapomnianą butelkę wina.

– Matka poszła do Montsou postarać się o coś do jedzenia – podjęła Pierronka. – Nie możemy doczekać się jej powrotu.

Ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy idąc za spojrzeniem sąsiadki zauważyła butelkę. Zaraz jednak odzyskała pewność siebie: tak, to wino. Państwo z Piolaine przynieśli je dla męża, któremu lekarz zalecił bordeaux.

Rozpływała się w słowach podzięk. Jacy oni dobrzy! A szczególnie panienka! Wcale nie jest dumna, sama roznosi datki, wchodzi do domów.

– Wiem – powiedziała Maheudka. – Znam ich.

Serce ścisnęło się jej na myśl, że dary dochodzą zawsze do rąk ludzi, którzy najmniej ich potrzebują. Tak to już jest. Ci państwo z Piolaine leją wodę do rzeki. Ale jak to się stało, że nie zobaczyła ich w osiedlu? Może jednak byłoby jej się udało coś od nich wyciągnąć.

– Przyszłam tu – wyznała wreszcie – żeby zobaczyć, czy u was też taka bieda jak u nas... Nie masz przypadkiem chociaż trochę makaronu? Zwrócę ci.

Pierronka wybuchnęła głośnym lamentem.

– Nie ma nic, ale to nic, moja droga... Jeżeli mama nie wróci dziś wieczorem, to znaczy, że nie udało jej się nic dostać i pójdziemy spać o głodzie.

W tej chwili z piwnicy dobiegł płacz; Pierronka rozgniewała się i uderzyła pięścią w drzwi. To ta smarkata Lidka. Zamknęła ją za karę, bo jak rano wyszła z domu, tak wróciła dopiero o piątej. Nie można sobie dać rady z tą dziewczyną, wiecznie gdzieś znika.

Maheudka wciąż jeszcze nie mogła zdecydować się wyjść. Ciepło bijące od pieca przejmowało ją uczuciem jednocześnie błogim i bolesnym, a myśl, że ci ludzie mają co jeść, podsycala jej własny głód. Oczywiście, wysłali starą i zamknęli Lidkę, żeby z nikim nie dzielić się królikiem. Ach, niech sobie ludzie mówią, co chcą, ale rozpustnicom lżej jest w życiu niż porządnym kobietom.

– Dobranoc – powiedziała nagle.

Zapadła już noc. Księżyc spoza chmur oświecał ziemię mdłym światłem. Zamiast, iść przez ogrody, Maheudka wybrała dłuższą drogę. Nie śmiała wracać do swoich. Lecz zamknięte drzwi domów tchnęły głodem i nędzą. I po co było pukać? Zniknął nawet zapach smażonej cebuli,

ostra woń, która szerokim kręgiem opasywała osiedle.

Od wymarłych domostw wiało piwniczną stęchlizną. Rozlegały się jakieś nieokreślone odgłosy, cichnące łkania i przekleństwa. W milczeniu, które zalegało powoli, coraz cięższe, nadchodził sen, niosąc ze sobą wyczerpanym głodem ciałom koszmary i zmary.

Mijając kościół Maheudka dojrzała przemykający szybko cień. Poznała księdza Joire, proboszcza Montsou, który w każdą niedzielę przychodził do osiedla odprawić mszę w kaplicy, i nadzieja kazała jej przyspieszyć kroku. Wychodził zapewne z zakrystii, gdzie musiał mieć coś do załatwienia. Jeżeli przyszedł tu nocą, to dlatego że jako człowiek spokojny i pragnący żyć ze wszystkimi w zgodzie nie chciał kompromitować się ani w oczach górników, ani w oczach dyrekcji. Opowiadano zresztą, że niedawno otrzymał awans. Widziano go już nawet z jego następcą, chudym księdzem o płomiennym wzroku.

– Księżę proboszczu, księżę proboszczu – wyjąkała Maheudka.

– Jak się macie, moja dobra kobieto – odparł nie zatrzymując się.

Maheudka znalazła się przed drzwiami swego domu. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa; weszła.

Wszyscy siedzieli, tak jak przedtem. Maheu oparty o skraj stołu, przygnębiony, dziadek Bonnemort i dzieci przytuleni do siebie na ławce, żeby ogrzać się nawzajem. Przez cały czas nikt nie odezwał się ani słowem, świeczka dopalała się zwolna. Na skrzyp drzwi dzieci odwróciły głowy, ale widząc, że matka powraca z niczym, opuściły je z powrotem i stłumiły łkanie, aby nie narazić się na gniew rodziców. Maheudka opadła na swoje miejsce przy dogasającym ogniu. Nie pytano jej o nic; wszyscy zrozumieli i wydało im się bezcelowe męczyć się mówieniem. Czekali jeszcze tylko na powrót Stefana, ale bez nadziei już i bez siły. Minuty upływały. Zwątpili, czy przyjdzie.

Przyszedł niosąc ze sobą w szmatce kilkanaście gotowanych kartofli już zdębiałych.

– To wszystko, co znalazłem – powiedział.

Mouquette również nie miała chleba: oddała mu własną wieczerzę i całując prosiła, aby ją przyjął.

– Dziękuję – rzekł do Maheudki, która podsuwała mu jego porcję. – Już jadłem.

Kłamał, mrocznym spojrzeniem ogarniając przy tym dzieci, które rzuciły się na ziemniaki. Ojciec i matka również powstrzymywali się od jedzenia, aby dla nich zostało więcej, i tylko dziadek zagarniał wszystko łapczywie. Musieli odebrać mu jeden kartofel dla Alziry.

Wówczas Stefan powiedział, że przyniósł także i nowiny. Dyrekcja rozgniewana uporem górników zamierza podobno zwrócić książeczki najbardziej skompromitowanym.

Otwarcie dąży do wojny – a co gorsze, chlubi się, że udało jej się nakłonić znaczną ilość robotników do podjęcia pracy: pojutrze mają oni zjechać na dół. Victoire i Feutry-Cantel stawia się podobno w komplecie, a w Madeleine i w Mirou ma być jedna trzecia ludzi. Wiadomości te doprowadziły Maheuów do rozpacz.

– Psiakrew! – zawołał Maheu. – Jeżeli są pomiędzy nami zdrajcy, to trzeba się z nimi porachować!

Zeskoczył ze stołu i w bolesnym uniesieniu wykrzyknął:

– Jutro wieczorem w lesie!... Ponieważ nie pozwalają nam zbierać się w „Bon-Joyeux”, więc zejdziemy się tam.

Okrzyk ten obudził dziadka Bonnemort, który po kolacji zapadł w drzemkę. Był to dawny okrzyk zborny górników. W tym samym lesie gromadzili się oni niegdyś spiskując przeciwko królewskim żołdakom.

– Tak, tak, do Vandame! I ja też pójdę razem z wami!

Maheudka potrząsnęła energicznie ręką.

– Pójdziemy wszyscy! Dość już niesprawiedliwości i zdrady!

Stefan zdecydował, że zebranie odbędzie się następnego dnia wieczorem i że wezmą w nim udział wszystkie osiedla.

Ogień wygasł jak u Levaque'ów. Świecek dopaliła się do końca. Nie mieli ani węgla, ani nafty. Kładli się spać po omacku, zziębnięci. Dzieci płakały.

VI

Janek wyzdrowiał i mógł już chodzić, ale utykał na obydwie nogi; trzeba go było zobaczyć, gdy biegł kołysząc się jak kaczką, z tą samą co niegdyś zwinnością złego zwierzątka.

Tego wieczora o zmierzchu czatował przy drodze do Reguillart w towarzystwie nieodłącznych Béberta i Lidki ukryli się za płotem, naprzeciw brudnego sklepiku wtulonego w kąt małej uliczki. Stara kobieta, na pół ślepa, wystawiła tam na sprzedaż trzy czy cztery worki

soczewicy i fasoli czarnej od kurzu. Ale nie ku nim biegły spojrzenia Janka; nie spuszczał on wzroku z wiszącego na drzwiach suszonego sztokfisa popstrzonego przez muchy. Już dwa razy posyłał Béberta, aby go zdjął, ale za każdym razem ktoś ukazywał się na zakręcie. Wiecznie człowiekowi przeszkadzają, nie może nawet w spokoju załatwić swoich spraw!

Na drodze pojawił się jeździec. Dzieci skuliły się pod płotem poznając pana Hennebeau. Od chwili wybuchu strajku często widywano go objeżdżającego konno zbuntowane osiedla, aby przekonać się samemu, czy panuje w nich spokój. Nigdy kamień nie zaświstał mu koło ucha, spotykał milczących mężczyzn, którzy kłaniali się bez pośpiechu, lub jeszcze częściej pary zakochanych, którzy drwiąc sobie z polityki wykorzystywali wolne chwile w zacisznych kątkach. Przejechał mimo, nie odwracając głowy, aby nie krępować nikogo, a serce wzbierało mu nienasyconym pożądaniem na widok tych ludzi łapczywie sycących się miłością.

Zauważył malców przytulonych do siebie. Więc nawet i dzieci zabawiały się już w ten sposób. Oczy zaszyły mu łzami. Zniknął sztywno wyprostowany na siodle, po wojskowemu zapięty na wszystkie guziki.

– Psiakrew! – syknął Janek. – Czy to się dziś nie skończy? Skocz no, Bébert, i ściągnij go na dół za ogon.

Ale znów pojawiło się dwóch mężczyzn, Janek zdusił przekleństwo słysząc głos swego brata. Zachariasz szedł z Mouquetem i opowiadał, w jaki sposób udało mu się znaleźć czterdzieści sous zaszyte przez żonę w spódnicy. Obaj śmiali się uradowani i poklepywali nawzajem po plecach. Mouquet wpadł na pomysł, aby następnego dnia po południu wybrać się w stronę Montoire i pograć w piłkę. Zachariasz zgodził się. Po co mieliby zawracać sobie głowę strajkiem? Lepiej korzystać z wolnego czasu! Znikali już za zakrętem, gdy Stefan, który nadszedł od strony kanału, zatrzymał ich, wszczął rozmowę.

– Czy oni zamierzają tu nocować? – rzucił Janek z rozpaczą. – Ciemno się robi, stara chowa już worki.

Nadszedł jeszcze jeden górnik i obaj ze Stefanem skierowali się w stronę Requillart. Kiedy przechodzili koło płotu, dzieci usłyszały, że mówią o lesie. Zebranie trzeba było odłożyć na następny dzień, gdyż zachodziła obawa, że w ciągu jednego dnia nie zdążą zawiadomić wszystkich osiedli.

– Słyszycie? – szepnął Janek do towarzyszy. – Zapowiada się wielka awantura na jutro. Musimy tam być, co? Ruszamy zaraz po południu.

Droga była wreszcie wolna; wypchnął Béberta:

– Śmiało! Pociągnij za ogon!... Ale uważaj, stara ma miotłę!

Na szczęście zmrok był już zupełny. Bébert jednym susem dopadł sztokfiszę i uwiesił się u niego; sznurek pękł. Chłopak porwał swą zdobycz i uciekał wywijając nią jak latawcem. Lidka i Janek pobiegli za nim. Sprzedawczyni zdziwiona wyszła z budki nie rozumiejąc, co się stało, i nie wiedząc, kto to znika w ciemnościach.

Ta mała banda stała się postrachem okolicy, którą powoli zagarnęła w posiadanie. Najpierw wystarczał im teren kopalni le Voreux. Fikali koziołki pośród zapasów wydobytego węgla, skąd wychodzili podobni do Murzynów, bawili się w chowanego między stertami drzewa, błakając się tam jak w dziewiczej puszczy. Później wzięli szturmem hałdę i zsuwali się po stoku gorącym jeszcze od trawiącego jej wnętrza ognia lub przemykali wśród krzaków jeżyn porastających jej części już wygasłe, bawiąc się jak psotne myszy. Dokonywali coraz dalszych podbojów: bili się do krwi między zwałami cegieł, biegali po łąkach zbierając wszelkiego rodzaju jadalne rośliny, które połykali bez chleba, łowili ryby w kanale i zjadali je na surowo, zapuszczali się aż do lasu Vandame i używali sobie na poziomkach wiosną, a na orzechach i borówkach latem. W niedługim czasie cała olbrzymia równina należała do nich.

To wzrastający pociąg do kradzieży kazał im uganiać się tak bez przerwy po drogach między Montsou a Marchiennes jak młodym wilczętom. Wyprawami kierował Janek: wskazywał towarzyszom łup, pustoszył z nimi pola cebuli, sady, stragany. Okoliczni mieszkańcy posądzali o to strajkujących górników, mówili o zorganizowanej bandzie.

Pewnego dnia Janek wymógł na Lidce, aby okradła matkę i przyniosła mu dwie garści karmelków, które Pierronka trzymała w słoju na oknie. Mimo razów nie zdradziła go później, taką miał nad nią władzę i taki wzbudzał w niej lęk. Zawsze zagarniał dla siebie lwią część łupu. Bébert również musiał oddawać mu swą zdobycz i rad był, jeżeli herszt nie zbił go jeszcze przy okazji i nie odebrał mu wszystkiego.

Od jakiegoś czasu Janek przebierał miarę. Bił Lidkę, tak jak mężczyźni biją żony, korzystając z łatwowierności Béberta wplątywał go w różne niemiłe historie, ubawiony, że udaje mu się wystrychnąć na dudka tego silnego chłopaka, który mógłby go zabić jednym uderzeniem pięści. Gardził nimi obojgiem i traktował ich jak niewolników. Opowiadał im, że ma kochankę – księżniczkę, której nie są godni zobaczyć. I rzeczywiście od paru dni zniknął im nagle na rogu ulicy lub zakręcie ścieżki, rozkazawszy przedtem ze srogą miną, aby natychmiast wracali do

osiedla. Wpierw jednak odbierał im zdobycz.

Tak też było i tego wieczora.

– Dawaj – powiedział wrywając sztokfisz z rąk kolegi, kiedy zatrzymali się na zakręcie drogi koło Requillart.

– Ja też chcę kawalek, słyszysz? – zaprotestował Bébert. – To ja go zerwałem.

– Co takiego? – krzyknął Janek. – Jak będę chciał, to ci dam, a jak nie, to nie. W każdym razie nie dzisiaj: jutro, jeżeli coś zostanie.

Pchnął Lidkę i ustawił ich obok siebie w równej linii jak żołnierzy. Sam cofnął się za nich i powiedział:

– Macie tak stać przez pięć minut i nie oglądać się, bo jak nie, to was pożre takie jedno zwierzę, które tu jest niedaleko. I macie wrócić prosto do domu. Jeżeli Bébert dotknie Lidki, to was jutro obiję, bo ja o wszystkim będę wiedział.

Zniknął w ciemnościach; nie słychać było nawet stąpania jego bosych stóp. Przez pięć minut dzieci stały bez ruchu, nie oglądając się za siebie, w obawie, że niewidzialna ręka wymierzy im policzek. Groza, która ciążyła nad nimi stale, zbliżyła ich do siebie po pewnym czasie. Bébert bez ustanku myślał o tym, aby wziąć dziewczynkę w ramiona i przytulić mocno – tak jak widział, że robią to inni. I ona również pragnęła tego, gdyż czuła, że ta łagodna pieśczoła odmieniłaby ją. Ale musieli słuchać Janka. Kiedy ruszyli w stronę osiedla, chociaż noc była bardzo ciemna, nie ośmielili się nawet pocałować. Szli obok siebie ogarnięci wzruszeniem i rozpaczą, pewni, że gdyby dotknęli się tylko, herszt zaraz wymierzyłby im karę.

W tym samym czasie Stefan znalazł się w Requillart. Mouquette błagała go poprzedniego dnia, aby wrócił jeszcze, i oto wracał ogarnięty wstydem, a jednocześnie – chociaż nie chciał się do tego przed sobą przyznać – coraz bardziej ujęty uwielbieniem, jakie mu okazywała ta dziewczyna. Przyszedł jednak, aby zerwać. Zobaczy się z nią, wytłumaczy jej, że nie powinna prześladować go swoją miłością. Chodzi o towarzyszy – nie pora na zabawy teraz, kiedy inni giną z głodu. Ponieważ nie zastał jej w domu, postanowił zaczekać i przyglądał się mijającym go ceniom.

U stóp zrujnowanej wieży otwierało się wejście do dawnego szybu. Ponad czarnym lejmem sterczała pionowo jakaś belka z przyczepionym do niej kawałkiem dachu; z profilu przypominało to szubienicę. Z popękanego cembrunku niby z głębi ziemi wyrastały dwa drzewa: jarzębina i platan. Był to zakątek dziki i opuszczony, gardziel przepaści zarosła zielskiem,

otoczona krzewami dzikiej śliwy i głogu, w których piegże wiły gniazda na wiosnę. Aby uniknąć wysokich kosztów utrzymania, Towarzystwo od dziesięciu lat nosiło się z zamiarem zasypania tej wymarłej kopalni. Najpierw jednak trzeba było zainstalować w le Voreux osobny szyb wentylacyjny, gdyż do tej pory obie sąsiadujące ze sobą kopalnie miały wspólny. Zadowolono się więc na razie umocnieniem cembrunku w głębi dawnego szybu zjazdowego rozporami, chodniki pozostawiono ich własnemu losowi i utrzymywano tylko tę część kopalni, w której płonęło potężne ognisko wytwarzając pęd powietrza tak silny, że przewiewał sąsiednią kopalnię z jednego końca w drugi. Dla ostrożności, aby można się jeszcze było dostać w głąb Requillart, dyrekcja zaleciła dbać o prowadzące w dół drabiny. Nikt się jednak nimi nie zajmował i gniły od wilgoci. U góry głogi zarastały wejście, a ponieważ pierwszej drabinie brakowało kilku szczebli, trzeba się było uwiesić na korzeniu jarzębiny, aby się do niej dostać.

Stefan czekał cierpliwie ukryty za krzakiem, gdy nagle usłyszał szelest wśród gałęzi. Myślał, że to ucieka spłoszony wąż, i zdziwił go błysk zapalniczki, w której świetle ujrzał ze zdumieniem Janka zapalającego świeczkę, a później znikającego pod ziemią. Ogarnęła go tak żywa ciekawość, że zbliżył się do otworu: chłopca nie było już widać i tylko w głębi szybu migotało nagle światełko. Zawahał się przez chwilę, a potem uchwycił korzeni jarzębiny i zawisł nad przepaścią. Myślał już, że za chwilę znajdzie się na dnie kopalni, o pięćset dwadzieścia cztery metry niżej, kiedy dotknął nogą szczebla. Powoli ruszył w dół. Janek nie dosłyszał widocznie niczego. Stefan widział, jak światło pod nim błyska coraz niżej; cień małego, olbrzymi i niepokojący, tańczył po ścianach, chłopak posuwał się ze zrećnością małpy, czepiając się drabiny rękami, nogami, brodą, gdy zabrakło szczebli. Co siedem metrów rozpoczynała się nowa drabina. Niektóre były jeszcze mocne, inne trzeszczały i chwiały się. Wąskie podesty pomiędzy nimi, pozieleniałe i zmurszałe, ugięły się pod stopami jak mech. Im głębiej, tym było goręcej. Od szybu wentylacyjnego bił żar, który zapierał oddech. Na szczęście od chwili wybuchu strajku palenisko przygasło. W czasie normalnej pracy, kiedy pożerało ono pięć tysięcy kilogramów węgla dziennie, nie można byłoby zejść tędy nie narażając się na usmażenie.

– Psiakrew! – zaklął Stefan. – Dokąd ten smarkacz lezie?

Dwukrotnie o mało nie spadł. Nogi ślizgały mu się po wilgotnym drzewie. Gdyby przynajmniej miał świeczkę, jak ten mały! Uderzał się co chwila, posuwając na oślep za nikłym światełkiem, które znikowało w głębi szybu. Był już na dwudziestej drabinie, a ono się nie zatrzymało. Zaczął liczyć: dwudziesta pierwsza, dwudziesta druga, dwudziesta trzecia. Gorąco

wzmagalo się, płomieniem obejmując mu głowę. Miał wrażenie, że wsuwa się do pieca. Wreszcie, gdy dotarł do jakiegoś podszybia, zauważył, że światło znika w którymś z chodników. Znajdowali się mniej więcej na głębokości dwustu dziesięciu metrów.

„Długo on mnie tak będzie wodził? – pomyślał Stefan. – Na pewno chce się schować w stajni.”

Lecz chodnik, który wiódł do stajni, na lewo, był zasypany. Rozpoczęła się wędrówka jeszcze bardziej uciążliwa i niebezpieczna. Spłoszone nietoperze odrywały się od ścian i spadały do sklepienia podszybia. Stefan musiał się śpieszyć, by nie stracić z oczu światła. Zagłębił się w ten sam chodnik, ale tam, gdzie chłopak zwinny jak wąż prześlizgiwał się swobodnie, on kaleczył się o skały. Jak wszystkie stare chodniki, tak i ten zwiężał się nieustannie pod naporem mas skalnych, przechodząc miejscami w wąski przesmyk, który miał kiedyś zupełnie zagać. Idąc tędy można było nadziać się na ostre jak sztylety części popękanych stempli. Stefan posuwał się ostrożnie na kolanach lub na brzuchu, wyciągając przed siebie ręce. W pewnej chwili przemknęło po nim stado uciekających szczurów.

– Czy my wreszcie dojdziemy kiedyś, czy nie, u pioruna! – zaklął zdyszany i obolały.

Byli na miejscu. W odległości kilometra od podszybia chodnik rozszerzał się, doskonale tutaj zachowany. Stefan zatrzymał się; z daleka widział Janka, który z wyrazem ulgi na twarzy, jak człowiek uradowany, że wreszcie dotarł do domu, zatknął świecę między dwa kamienie. Całkowite urządzenie mieszkalne zamieniało tę część chodnika w wygodną izbę. Nagromadzone w kącie siano tworzyło miękkie posłanie; na deskach ułożonych na kształt stołu nie brakowało niczego – był tam chleb, jabłka, butelki z napoczętą jałowcówką. Całość przypominała jaskinię złodziejską. Chłopak od tygodni gromadził w niej łupy, nawet bezużyteczne jak mydło czy pasta do butów, skradzione dla samej przyjemności kradzieży, i rozkoszował się ich widokiem jak rozbójnik egoista.

– Powiedz no, co ty sobie właściwie myślisz, smarkaczu? – zawołał Stefan zaczerpnąwszy powietrza. – Urządzasz sobie tutaj ucztę, kiedy my zdychamy z głodu tam na górze.

Janek zadrżał przerażony. Lecz poznawszy młodego człowieka, uspokoił się prędko.

– Zjesz ze mną? – spytał wreszcie. – Kawalek pieczonego sztokfisa, chcesz... Zobaczysz, jaki będzie dobry!

Zabrał się do oczyszczania ryby pięknym, nowym nożem, z rodzaju sztylecików o kościanej rękojeści, na której ryje się napisy. Na tym wyryte było po prostu: „Miłość.”

– Ładny masz nóż – zauważył Stefan.

– To prezent od Lidki – odpowiedział Janek nie dodając jednak, że dziewczynka ukradła go na jego rozkaz ulicznemu sprzedawcy z Montsou.

Po chwili dorzucił z dumą, nie przestając skrobać ryby:

– Prawda, że przyjemnie tu u mnie?... Ciepłej niż tam na górze i ładniej pachnie!

Stefan usiadł. Miał ochotę porozmawiać z chłopcem. Ochłonął już z gniewu; ten smarkacz, sprytny i przebiegły, obudził w nim zainteresowanie.

Rzeczywiście przyjemnie było w tym kącie: gorąco nie dawało się zbyt we znaki, niezależnie od pory roku temperatura była jednakowa i łagodna, gdy tymczasem na ziemi grudniowe mrozy smagały ludzi jak biczem. Z biegiem czasu chodniki oczyściły się ze szkodliwych gazów i teraz unosił się tu jedynie zapach gnijącego drzewa, subtelny zapach eteru, jakby pomieszany z wonią korzennych przypraw. Stemple, wyblakłe, pożółkłe tak, że przypominały marmur, obrzeżone były pierzastą koronką śnieżnych kryształków saletry, niby draperią z jedwabiu i pereł. Inne jeżyły się naroślami z grzybów. Pod sklepieniem fruwały białe motyle, śnieżne muchy i pająki, cały świat bezbarwnych istot, które nigdy nie zaznały słońca.

– Nie boisz się tu? – zapytał Stefan.

Janek popatrzył się na niego zdziwiony.

– Czego? Przecież jestem tutaj sam.

Wreszcie uporał się ze sztokfiszem. Rozniecił niewielki ogień, ustawił ruszt i upiekł rybę. Później rozdzielił chleb na dwie części. Sztokfisz był straszliwie słony, ale i tak wydał im się wyśmienity.

Stefan przyjął swoją część.

– Nie dziwię się teraz, że tyjesz, chociaż my wszyscy chudniemy. Czy wiesz, że to świństwo z twojej strony tak się objadać teraz?... A inni – o nich nie pomyślisz?

– To moja wina, że są tacy głupi?

– Masz rację, że się chowasz, bo jakby tak ojciec dowiedział się, że kradniesz, to byś dopiero wyglądał!

– A burżuje nie okradają nas może? Sam zawsze to mówisz! Ten chleb, co go buchnąłem Maigratowi, też na pewno powinien być nasz.

Stefan zamilkł zmieszany i spoglądał na to zdegenerowane dziecko o wąskim pyszczku, zielonych oczach i dużych uszach, bardziej zbliżone do zwierzęcia niż do człowieka. Kopalnia,

której był tworem, dopełniła swego dzieła druzgocząc mu nogi.

– Przyrowadzasz tu czasem Lidkę? – zapytał znów Stefan.

Janek roześmiał się pogarliwie.

– Też pomysł!... Kobiety mają za długie języki!

Śmiał się dalej, pełen bezmiernej wzgardy dla Lidki i Béberta. Czy widział kto kiedy takie głuptasy? Myśl, że brali za dobrą monetę wszystkie jego bajki i że odchodzili z pustymi rękoma, a on zajadał się później sztukfiszem na gorąco, łaskotała go mile. Wreszcie zawyrokował z powagą małego filozofa:

– Najlepiej żyć samemu, przynajmniej ma człowiek święty spokój.

Stefan zjadł chleb i wypił łyk jałowcówki. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie odpłaci Jankowi za jego gościnność w ten sposób, że wyciągnie go na górę za ucho i zabroni mu dalszych kradzieży grożąc, iż powie o wszystkim ojcu. Ale przyglądając się tej głębokiej kryjówce nie mógł oprzeć się myśli, że pewnego dnia przyda się ona może jemu lub towarzyszom, gdyby sprawy tam na górze przyjęły zły obrót. Kazał więc tylko przysiąc małemu, że nie zostanie tu nigdy na noc, tak jak mu się to już nieraz zdarzało, i wzięwszy kawałek świeczki wyszedł pierwszy pozostawiając Janka zajętego gospodarstwem.

Mouquette czekała na niego z niecierpliwością siedząc mimo mrozu na jakiejś belce. Ujrawszy go rzuciła mu się na szyję i uczuła niby pchnięcie nożem, gdy oświadczył, że więcej już do niej nie przyjdzie. Mój Boże! Dlaczego? Czyż za mało go kocha? Bojąc się, że ulegnie pokusie i wejdzie do niej do domu, pociągnął ją w stronę drogi i tłumaczył najłagodniej, jak tylko potrafił, że kompromituje go w oczach towarzyszy i szkodzi przez to sprawie, o którą on walczy. Zdziwiła się. Jaki związek może mieć jej osoba z tym wszystkim? Wreszcie przyszło jej na myśl, że Stefan wstydzi się pewnie znajomości z nią; uznała to za zupełnie naturalne i nie poczuła się dotknięta. Zaproponowała mu, żeby dał jej w twarz przy wszystkich, aby myśleli, że z nią zrywa. Ale później przyjdzie jeszcze do niej, chociaż na chwileczkę, od czasu do czasu. Błagała, przysięgała, że nie będzie go zatrzymywać, że nikt się o tym nie dowie. Wzruszony odmawiał jej jednak. Trudno, tak być musi. Przed rozstaniem chciał ją przynajmniej pocałować; objęci uściskiem doszli do pierwszych domów Montsou. Księżyc wisiał nad nimi okrągły i duży. Nagle minęła ich jakaś kobieta i na ich widok zachwiała się, jakby zawadziła o kamień.

– Kto to? – zapytał Stefan z niepokojem.

– Katarzyna – odparła Mouquette. – Wraca z Jean-Bart.

Kobieta oddalała się ze zwieszoną głową, jak gdyby ogarnęło ją ogromne znużenie. Młody człowiek patrzył na nią zrozpaczony, że go widziała. Serce ścisnął mu nieuzasadniony żal do siebie samego. Czyż nie żyła z innym mężczyzną? Czyż nie cierpiał przez nią tak samo, gdy spotkał ją z nim wówczas, na drodze do Requillart?

Lecz mimo wszystko bolał, że odpłaca jej tą samą monetą.

– Wiesz – szepnęła Mouquette ze łzami – ja ci powiem: ty dlatego mnie nie chcesz, że jest inna, którą wolisz.

Następnego dnia pogoda była wspaniała. Nad stwardniałą ziemią, która dzwoniła pod nogami jak kryształ, rozpościerało się niebo mroźne i jasne. Janek wymknął się z domu około pierwszej, ale musiał poczekać za kościołem na Béberta. Lidka spóźniła się i o mało nie poszli tym razem bez niej. Matka znów zamknęła ją w piwnicy, a wypuszczając dała jej do ręki koszyk i zapowiedziała, że jeżeli nie napelni go zimową sałatą, to cała noc spędzi razem ze szczurami. Wystraszona dziewczynka chciała natychmiast wziąć się do zbierania, ale Janek odwiódł ją od tego zamiaru: ma czas! *Od* dawna już brała go chętką na tłustą królicę Rasseneura. Gdy mijali szynk „Tu najtaniej”, zwierzę wybiegło akurat na drogę. Janek dał susa, chwycił je za uszy i wsadził do koszyka Lidki, po czym wszyscy troje oddalili się biegiem. Puszczą ją trochę dalej i będą gonić jak psa aż do samego lasu – to dopiero będzie zabawa.

Przystanęli na chwilę, aby przyjrzeć się Zachariaszowi, Mouquettowi i dwóm jeszcze ich kolegom, którzy rozpoczynali grę w kulę. Zwycięzca miał otrzymać nową czapkę i czerwony fular na szyję; nagrody złożono na razie u Rasseneura.

Gracze, podzieleni na dwie partie, wyznaczyli pierwszy odcinek gry, od le Voreux do fermi Paillot, blisko trzy kilometry, i zaczęli licytować ilość koniecznych uderzeń; Zachariasz wziął górę, gdyż zażądał tylko siedmiu, Mouquet zaś ośmiu. Postawili na ziemi, szpicem do góry, mały drewniany pocisk z drzewa bukszpanowego, kształtem przypominający jajko. W rękę trzymali młoty o skośnych, żelaznych obuchach i długich rękojeściach owiniętych ściśle przylegającym sznurkiem. Wybiła druga, kiedy rozpoczęli grę. Pierwszy, mistrzowski, ruch Zachariasza złożony z trzech pchnięć przeniósł kulę o dobre czterysta metrów poprzez pole buraków; w osiedlach i na drogach nie wolno było grać, gdyż kosztowało to już ofiary w ludziach. Mouquet, również krzepki, odrzucił kulę z taką siłą, że jedno jedyne uderzenie cofnęło ją o pięćset metrów. I tak grali dalej – jedna partia prowadziła kulę do przodu, druga odrzucała ją do tyłu – wciąż, w biegu, kalecząc stopy o zlodowaciałe skiby zaoranej ziemi.

Janek, Bébert i Lidka biegli najpierw za grającymi, zachwyceni długością rzutów, lecz później przypomnieli sobie o królicy i porzucając zawodników wyjęli ją z koszyka ciekawi, czy prędko potrafi biec. Rzuciła się do ucieczki, a oni pomknęli za nią i rozpoczęło się godzinne polowanie. Chcąc ją wystraszyć krzyczeli głośno wymachiwali rękami. Gdyby nie to, że znów była kotna, nigdy nie udałoby im się jej złapać.

Zadyszani posłyszeli nagle przekleństwa; obejrzeni się. Okazało się, że weszli w drogę graczom i Zachariasz o mało nie rozbił przed chwilą głowy bratu. Grający przemierzali czwarty odcinek: od fermy Paillot popędzili do Quatre-Chemins, z Quatre-Chemins do Montoire, a teraz sześcioma rzutami mieli dotrzeć z Montoire do Pre-des-Yaches.

W ciągu godziny zrobili dwie i pół mili, a i to wstępowali jeszcze na piwo do szynku Vincenta i do „Trzech Mędrców”. Tym razem prowadził Mouquet. Pozostawało mu jeszcze dwa pchnięcia, pewien był zwycięstwa, gdy tymczasem Zachariasz roześmiał się szyderczo i korzystając ze swego prawa odrzucił kulę tak zręcznie, że potoczyła się do głębokiego rowu. Partner Mouqueta nie mógł jej stamtąd wydobyć, była to prawdziwa klęska. Wszyscy trzej krzyczeli, dodało to ognia całej grze – wynik był remisowy i musieli zacząć od nowa. Z Pre-des-Yaches do Herbes-Rousses nie było więcej niż dwa kilometry: w pięciu rzutach. A potem orzeźwią się u Lerenarda.

Janek wpadł na pomysł, aby uwiązać królicy sznurek u tylnej nogi. Biegła teraz przed nimi pociągając łapą i kołysząc się tak żałośnie, że zanosili się od śmiechu. Później uwiązali ją za szyję, a kiedy się zmęczyła, ciągnęli za sobą jak wózek – to na brzuchu, to na grzbiecie. Trwało to przeszło godzinę i zwierzę charczało już, gdy szybko wsadzili je z powrotem do koszyka słysząc okrzyki graczy, z którymi znów zeszyli się ich drogi.

Zachariasz, Mouquet i dwaj pozostali mieli już za sobą długie kilometry biegu, odpoczywali jedynie w szynkach, do których wpadali na chwilę, aby wypić kufel piwa... Z Herbes-Rousses pomknęli do Buchy, stamtąd do Croix-de-Pierre, a stamtąd do Chamblay. Ziemia dzwoniła pod ich stopami, piłka podskakiwała na lodzie. Pogoda sprzyjała zawodnikom, nie grzęzli w błocie, narażali się co najwyżej na to, że połamią nogi. W suchym powietrzu uderzenia zakrzywionych kijów, którymi podbijali piłkę, rozlegały się podobnie do wystrzałów. Muskularne ręce ścisnęły rękojeści owinięte sznurkiem, prężne ciała rzucały się do przodu jakby z zamiarem zadania śmiertelnego ciosu – biegli tak od wielu już godzin na przełaj przez olbrzymią równinę, poprzez rowy, płoty i niskie ogrodzenia. Gra ta wymagała mocnych płuc i ścięgien ze stali. Górnicy

oddawali się jej z pasją, gdyż dawała im możliwość rozprostowania kości po pracy. Zdarzało się, że dwudziestoparoletni zapaleńcy robili po dziesięć mil. Starsi nie grywali już w kulę. Po czterdziestce człowiek staje się zbyt ociężały.

Wybiła piąta, zapadał zmierzch. Ostatni etap z metą w lesie Vandame miał zadecydować, kto otrzyma czapkę i szalik. Zachariasz podrwiwał ze zwykłą sobie obojętnością dla polityki: to dopiero będzie zabawa, jak wpadną tam nagle pomiędzy kolegów! Co do Janka, to od chwili kiedy wydostał się z osiedla, uparcie zmierzał w stronę lasu, mimo pozornie bezładnego kołowania po polach. Z oburzeniem pogroził Lidce, która ogarnięta lękiem i wyrzutami sumienia chciała wrócić do le Voreux zbierać sałatę: więc mieliby opuścić zebranie? Ani mu się śni. Chce usłyszeć, co starsi będą mówili. Popychał Béberta i zaproponował, żeby urozmaicić ten kawałek drogi, który im pozostał, wypuszczając królicę i rzucając w nią kamieniami. Trawiła go utajona chęć zabicia zwierzęcia, aby zabrać je potem i zjeść w swej kryjówce, w Requillart. Królicą ruszyła przed siebie ze zmarszczonym nosem i opuszczonymi uszami, jeden kamień zdarł jej skórę z grzbietu, inny zranił w ogon. Mimo zapadającego zmroku byłiby ją zatłukli, gdyby nie to, że nagle zauważyli Stefana i Maheua stojących pośrodku polanki. Przerażeni rzucili się na zwierzę i schowali je do koszyka. W tej samej chwili Zachariasz, Mouquet i dwaj inni ostatnim uderzeniem podbili kulę, która upadła o kilka metrów od polany. Byli na miejscu.

Z zapadnięciem zmroku wszystkimi drogami i ścieżkami zaczęły płynąć ku liliowawej smudze lasu milczące cienie, bądź to grupami, bądź pojedynczo. Kolonie opustoszały. Wyszły nawet kobiety i dzieci, jakby na przechadzkę pod rozległym jasnym niebem. Kiedy ciemność okryła ziemię, ten tłum zdążający do jednego celu zniknął i tylko pośród zarośli i żywopłotów słychać było szmer i tupot, niejasne odgłosy nocy.

Pan Hennebeau, który wracał akurat o tej porze z objazdu, przysłuchiwał się im. Napotkał po drodze pary kochanków objętych uściskiem, wędrujących wolno w ten piękny zimowy wieczór. Czyż nie były to ich zwykłe schadzki – jedyna dostępna im przyjemność, która nic nie kosztowała? I ci głupcy skarżą się jeszcze na los, kiedy mogą czerpać pełną garścią szczęście kochania! Jakże chętnie zdychałby z głodu tak jak oni, gdyby mógł od nowa rozpocząć życie mając u boku kobietę, gotową oddać mu się w każdej chwili, choćby i na kamieniach! Na jego boleść nie było pociechy; zazdrościł tym nędzarzom. Jechał stępą, z opuszczoną głową, przytłoczony wsłuchiowaniem się w szmery nadpływające z ciemności, z których każdy wydawał mu się odgłosem pocałunku.

VII

Zebrali się w Plan-des-Dames, na obszernej polanie powstałej ze świeżego wyrębu. Splywała łagodnie zboczem niewielkiej wyniosłości, obrzeżona z jednej strony wspaniałymi bukami, których proste pnie o jednolitym kształcie tworzyły białą kolumnadę pozieleniałą tu i ówdzie od mchów, a z drugiej strony stosami ściętych drzew poukładanych w regularne sześciany. Mróz wzmagał się, oszroniony mech trzaskał pod stopami. Nad ziemią rozpostarła się czarna noc, a w górze na bladym niebie rysowały się gałęzie; wschodzący księżyc miał niebawem pogasić gwiazdy.

Blisko trzy tysiące górników przyszło na umówione miejsce. Ruchliwy tłum mężczyzn, kobiet i dzieci wypełniał powoli całą polanę, wsuwał się pomiędzy drzewa i przyległe zarośla; wciąż jeszcze napływali spóźnieni; morze głów ciągnęło się w mroku aż do sąsiednich wyrębów. Dochodził stamtąd pomruk, jakby zakrzepłym w bezruchu lasem targnął wiatr zwiastujący burzę.

Na szczycie wyniosłości stał Stefan z Maheuem i Rasseneurem. Sprzeczały się. Do zebranych dochodziły ich podniesione głosy. Stojący obok przysłuchiwali się kłótni: Levaque zaciskał pięści, Pierron odwracał się plecami, zmartwiony, że nie mógł już dłużej udawać chorego. Nieco dalej na wywróconym pniu siedzieli dziadek Bonnemort i stary Mouque głęboko zamyśleni. Za nimi umieścili się Zachariasz, Mouquet i ci wszyscy, którzy przyszli, aby się pośmiać. Kobiety, poważne i skupione jak w kościele, trzymały się grupkami. Maheudka w milczeniu potrząsała głową słysząc przekleństwa Lewaczki. Filomena, której bronchit odezwał się znów z nadejściem zimy, kasłała. I tylko Mouquette śmiała się pokazując ładne zęby, rozbawiona wyzwiskami, jakimi stara Brûlé obrzucała córkę, która wysyłała ją z domu, aby obżerać się pieczonym królikiem, i tuczyła się podłością swego męża, sprzedawczyka! Janek wdrapał się na sag drzewa pociągając za sobą Lidkę i zmuszając Béberta, aby wszedł za nimi; wszyscy troje górowali teraz nad zebranymi.

Spór rozpoczął Rasseneur, który domagał się normalnego wyboru prezydium. Porażka, jaką poniósł w „Bon-Joyeux”, doprowadziła go do wściekłości; poprzysiął sobie wziąć za nią odwet

i liczył, że kiedy znajdzie się twarzą w twarz nie z delegatami, lecz z całym tłumem górników, odzyska dawne wpływy. Stefan uważał, że pomysł wybierania prezydium na zebraniu zwołanym w lesie jest bezsensowny. Trudno, żeby zachowywali się jak ludzie cywilizowani, skoro, tropią ich jak dzikie zwierzęta.

Widząc, że spór przedłuży się w nieskończoność, wskoczył nagle na jakiś pień i zawołał:

– Towarzysze! Towarzysze!

Gwar umilkł, a Maheu tłumiał protesty Rasseneura.

– Towarzysze – ciągnął Stefan gromkim głosem – ponieważ zabraniają nam wypowiadać się swobodnie, ponieważ nasylają na nas żandarmów, jakbyśmy byli złoczyńcami, zebraliśmy się tutaj. Tutaj jesteśmy wolni. Jesteśmy u siebie i nikt nie może zmusić nas do milczenia, tak jak nie zmusi do milczenia ptaków ani zwierząt leśnych!

Odpowiedział mu huragan okrzyków.

– Tak, tak, las należy do nas, możemy rozmawiać w nim swobodnie!... Mów!

Stefan stał przez chwilę nieruchomo na pniu. Księżyc, wciąż jeszcze zbyt nisko na horyzoncie, oświetlał jedynie górne gałęzie drzew; zatopiony w ciemności tłum uspokajał się powoli, milknął. Postać Stefana na szczycie wzgórza rysowała się czarną kreską. Powolnym ruchem unosił rękę i zaczął mówić – lecz teraz nie grzmiał już, przemawiał rzeczowym tonem mandatariusza ludu, który składa sprawozdanie. Wygłaszał mowę przygotowaną na zebranie w „Bon-Joyeux”. Rozpoczął od zawartej w paru zdaniach historii strajku; chcąc nadać swej wypowiedzi charakter naukowy, ograniczył się do podania samych faktów: górnicy nie chcieli strajku; to dyrekcja zmusiła ich do niego swoim nowym systemem płac. Przypomniał następnie pierwszą rozmowę delegatów z dyrektorem, złą wolę zarządu, a później w czasie drugiej rozmowy jego spóźnione ustępstwo, zwrot dwóch centymów, które usiłowali sobie przywłaszczyć. Wreszcie odmalował sytuację w chwili bieżącej; cyframi zilustrował pustkę w kasie, zreferował, w jaki sposób zużytkowano nadesłane zasiłki, w kilku słowach usprawiedliwił Międzynarodówkę i Plucharta, że nie mogli okazać im więcej pomocy. Tak więc sprawy z dniem każdym przybierają obrót coraz bardziej niepokojący. Towarzystwo zwraca niektórym książeczki i grozi sprowadzeniem górników z Belgii. Ponadto dyrekcji udało się zastraszyć słabszych i skłonić część robotników do podjęcia pracy. Monotonią tonu starał się uwypuklić jeszcze te złe nowiny, mówił o głodzie, o wygasłych nadziejach, o rozpaczliwym męstwie walczących. I nagle zakończył nie podnosząc głosu:

– W tych właśnie okolicznościach, towarzysze, musicie powziąć dzisiaj jakąś decyzję. Czy chcecie nadal strajkować? A jeżeli tak, to co zamierzacie zrobić, aby odnieść zwycięstwo nad Towarzystwem?

Z rozgwieżdżonego nieba spływała głęboka cisza. Niewidoczny w ciemności tłum milczał przybity i słychać było tylko jego ciężki oddech.

Lecz Stefan ciągnął już dalej tonem zupełnie odmiennym. To nie sekretarz związku przemawiał teraz, lecz przywódca ludzi, którzy podnieśli bunt, apostoł głoszący prawdę. Czyż znajdują się pomiędzy nimi tchórze, którzy sprzeniewierzyliby się danemu słowu? Jak to, więc cierpienia, jakie znoszą od miesiąca, miałyby iść na marne? Więc mieliby wrócić do kopalni z pokornie opuszczoną głową i znów dźwigać jarzmo odwiecznej nędzy? Czy nie lepiej umrzeć od razu albo starać się przełamać ciężącą nad robotnikiem tyranie kapitału? Stale ulegać przemocy głodu, aż dopóki najbardziej nawet spokojnych nie zmusi on do buntu, czyż to nie jest zabawa bez sensu, której należałoby położyć kres? Przedstawiał im, jak wyzyskiwani są górnicy, na których spada cały ciężar kryzysów, którzy własnym głodem opłacają każdą obniżkę kosztów produkcji konieczną ze względu na wymogi konkurencji. Nie! Nowy system płac jest nie do przyjęcia. To tylko ukryta oszczędność dla Towarzystwa, które chce ukraść górnikowi godzinę pracy dziennie. Ale tym razem przebrała się miara! Nadszedł czas, kiedy uciśnieni sami upomną się o sprawiedliwość!

Zamilkł z ramionami wzniesionymi w górę. Słowo „sprawiedliwość” wstrząsnęło tłumem; niby szmer zeschniętych liści zadźwięczały oklaski. Rozległy się okrzyki:

– Sprawiedliwości!... chcemy sprawiedliwości!

Powoli Stefan rozgrzewał się. Nie miał on tej łatwości wymowy co Rasseneur. Często brakowało mu określeń, męczył się, pomagał sobie gestem. Ta ciągła walka ze słowem nasuwała mu jednak obrazy pełne życia i siły, które porywały zebranych, a jego sylwetka górnika przy pracy — ręce przyciśnięte do ciała, a później wyrzucane gwałtownie ku przodowi, szczęki wysunięte, jakby chciał kasać — również robiła na słuchaczach olbrzymie wrażenie. Wszyscy przyznawali, że chociaż niepozornej postaci, potrafił jednak przykuć uwagę audytorium.

– System pracy najemnej — podjął wibrującym głosem — jest nową formą niewolnictwa. Kopalnia powinna należeć do górnika, tak jak morze należy do rybaka, jak ziemia należy do rolnika... Kopalnia jest wasza, słyszycie! Was wszystkich, którzy dawno już zapłaciliście za nią krwią i cierpieniem!

Odważnie przeszedł do zawilych kwestii prawnych, do wyliczania specjalnych ustaw dotyczących kopalń. Wnętrze ziemi, tak jak ziemia sama, jest własnością narodu i tylko ohydny przywilej wydał je całkowicie w ręce Towarzystw. Jeżeli chodzi o Montsou, to rzekomą legalność koncesji podważają układy zawarte niegdyś z właścicielami dóbr lennych według pradawnego zwyczaju obowiązującego w Hainaut. Lud górniczy ma więc tylko wyciągnąć ręce po swoją własność – gestem wskazał ciągnącą się za lasem równinę. W tej chwili wznoszący się na widnokręgu księżyc oświetlił mowę.

Kiedy tłum ujrzał go tak spowitego jasnością, otwartymi ramionami rozdającego im dobra, ponownie zahuczał oklaskami.

– Tak, tak, słusznie mówi, brawo!

Stefan dosiadł teraz ulubionego konika: uspołecznienia środków produkcji. On sam okres przemian i dojrzenia miał już poza sobą. Poprzez sentymentalną ideę powszechnego braterstwa i teorię konieczności wprowadzenia pewnych zmian do systemu pracy najemnej doszedł do koncepcji całkowitego zniesienia najemnictwa.

Od czasu zebrania w „Bon-Joyeux” jego niesprecyzowany jeszcze kolektywizm humanitarny okrzepł w skomplikowany program polityczny, który uzasadniał naukowo punkt po punkcie. Wychodził on z założenia, że jedyną drogą do wolności jest obalenie państwa. Później, kiedy lud ujmie rządy w swe ręce, rozpoczną się zmiany: powrót do pierwotnej gminy, zastąpienie form współzycia rodzinnego pełnego fałszu i ucisku instytucją rodziny, w której obowiązywać będzie równość i wolność, zagwarantowanie ludziom całkowitej równości prawnej, politycznej i ekonomicznej, zapewnienie im niezależności osobistej dzięki uspołecznieniu środków produkcji, a wreszcie wprowadzenie bezpłatnego nauczania zawodowego opłacanego przez kolektyw. Reformy te spowodują gruntowną przebudowę starego, zgniłego ustroju społecznego. Stefan atakował instytucję małżeństwa i prawo dziedziczenia, ustalał nowe prawa majątkowe, szerokim gestem żniwiarza koszącego dojrzały łan zboża obalał opartą na wyzysku budowlę wieków minionych, a drugą ręką wznosił gmach przyszłego świata, przybytek prawdy i sprawiedliwości, który zwiastowała jutrzienka dwudziestego wieku. W tym stanie napięcia, w jakim się znajdował, rozum jego doznawał zaćmienia, pozostawała tylko *idee fixe* sekciarza. Skrupuły serca i rozsądku prysły—nic oto łatwiejszego niż urzeczywistnienie nowego świata: wszystko przewidział, mówił o nim jak o maszynie, którą potrafiłby zmontować w dwie godziny, i ani ogień, ani krew nie miały dlań znaczenia.

– Teraz nasza kolej – krzyknął w ostatnim porywie. – W nasze ręce przejdzie teraz władza i bogactwo!

Z głębi lasu popłynęły ku niemu oklaski. Księżyc oświetlał już całą polanę i rozkołysane morze głów sięgające aż po odległe zarośla i wysokie szarawe pnie drzew rysujące się ostrymi konturami. W mroźnym powietrzu widać było rozgorzałe twarze, otwarte usta, błyszczące oczy mężczyzn, kobiet, dzieci – całego ludu łapczywie wyciągającego dłonie po zrabowane mu niegdyś dobra. Nie czuli już zimna, te płomienne słowa rozgrzały ich. Religijna egzaltacja, niecierpliwa nadzieja pierwszych chrześcijan oczekujących rychłego nadejścia królestwa sprawiedliwości unosiła ich ponad ziemię. Wiele zawitych zdań nie dotarło do ich świadomości, nie dużo zrozumieli z tych abstrakcyjnych wywodów, ale właśnie niejasność i abstrakcyjność obietnic rozszerzała ich krąg i olśniewała zebranych. Co za marzenie – przestać cierpieć, ująć w swe ręce władzę, nasycić się wreszcie życiem!

– Racja, nasza kolej!... Śmierć wyzyskiwaczom!

Kobiety szalały. Maheudka trawiona głodem straciła zwykły spokój, Lewaczka wydawała chrapliwe okrzyki, stara Brûlé wymachiwała rękami, Filomena dławiała się w nowym ataku kaszlu, a rozpromieniona Mouquette wykrzykiwała pod adresem mówcy czułe słowa. Pośród mężczyzn Maheu zawołał coś gniewnie, mając z jednej strony drżącego Pierrona, z drugiej rozgadane Levaque'a, a za sobą żartownisiów – Zachariasza i Mouqueta, którzy i teraz próbowali drwić, nieswoi jednak i zdziwieni, że kolega potrafi mówić tak długo nie łyknąwszy przedtem ani kieliszka. Lecz najwięcej hałasu robił Janek na sągu drzewa; podjudzał Béberta i Lidkę, wymachiwał koszykiem, w którym dogorywała królicą.

Okrzyki rozległy się na nowo. Stefan upajał się swoją popularnością. Te trzy tysiące serc bijących rytmem, który on im narzucił, były żywym symbolem jego władzy. Suwarin, gdyby raczył tu przyjść, przyklasnąłby słowom ucznia zadowolony, że poglądy jego coraz bardziej zbliżają się ku anarchizmowi, pochwalając jego program, oprócz punktu o nauczaniu powszechnym, które uważał za sentymentalną głupotę, gdyż ludzkość winna się skąpać w świętej i zbawiennej wodzie niewiedzy.

Co do Rasseneura, to wzruszał ramionami z pogardą i złością.

– Puść no teraz mnie! – krzyknął do Stefana.

Ten zeskoczył z pnia.

– Mów, zobaczymy, czy będą cię słuchać.

Rasseneur wskoczył na jego miejsce i ruchem ręki poprosił o ciszę. Gwar nie milknął. Od pierwszych szeregów, które go poznały, nazwisko mówcy dotarło aż do ostatnich pod bukami i ludzie nie chcieli go słuchać. Był straconym bożyszczem, sam jego widok wprowadzał w gniew dawnych wyznawców. Łatwość wymowy, gładkie słówka, którymi tak długo ujmował ludzi, wydały się teraz letnimi ziólkami, które miały uspić tchórzliwych. Na próżno mówił pośród zgiełku, usiłując jak zawsze przekonać kolegów o niemożności przebudowy świata z dnia na dzień na mocy nowych praw, o tym, że ewolucja socjalna wymaga czasu. Odpowiedziały mu gwizdy i śmiechy. Klęska, jaką poniósł w „Bon-Joyeux”, pogłębiła się jeszcze, stała się nieodwołalna. Z różnych stron posypały się w niego garście zmarzłego mchu, jakaś kobieta krzyknęła przenikliwym głosem.

– Precz ze zdrajcą!

On tymczasem tłumaczył im dalej, że kopalnia nie może być własnością górnika, tak jak warsztat tkacki jest własnością tkacza, i twierdził, że lepiej byłoby, aby robotnik miał tylko udział w zyskach, stał się członkiem rodziny pracodawcy.

– Precz ze zdrajcą! – powtórzyło tysiące głosów, a kamienie zaczęły świstać w powietrzu.

Rasseneur zbladł, oczy napełniły mu się łzami. Całe jego życie, dwadzieścia lat koleżeńkiego współżycia z górnikami i tajonych ambicji waliło się teraz w gruzy pod niewdzięcznością tłumu. Zeszedł z pnia dotknięty do żywego. Nie miał siły mówić dalej.

– Śmiejesz się – wyjąkał zwracając się do Stefana, który triumfował. – Dobrze, życzę ci, aby i ciebie spotkało coś takiego, a spotka cię, zobaczysz!

I jakby chcąc zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność za nieszczęścia, które przewidywał, machnął ręką i oddalił się, sam, polem milczącym i białym.

Rozległy się szydercze okrzyki. Nagle tłum zauważył ze zdziwieniem, że na pień wszedł dziadek Bonnemort i przemawia wśród zgiełku. Dotychczas Mouque i on siedzieli zadumani, zagubieni jak gdyby w rzeczach minionych. Widocznie stary górnik uległ jednemu z tych nagłych napadów gadatliwości, które zdarzały mu się czasem; przeszłość budziła się w nim, wspomnienia wydobywały się na powierzchnię i słowa godzinami płynęły z jego ust. Zaległo głębokie milczenie. Ludzie słuchali starca, bladego w świetle księżyca jak widmo, a że to, co mówił, nie miało bezpośredniego związku z dyskusją i że nikt nie rozumiał tych długich historii, wrażenie było tym większe. Dziadek Bonnemort opowiadał o swojej młodości, o śmierci dwóch wujów zmiażdżonych w le Voreux, o zapaleniu płuc, na które umarła jego żona. Lecz myśli

przewodnia jego słów pozostawała jedna: nigdy nie działa się im dobrze i nigdy nie będzie się dobrze działało. Kiedyś zebrało się ich pięciuset w lesie, bo król nie chciał skrócić im dnia pracy. Starzec urwał i zaczął mówić o innym znów strajku: tyle ich już widział! Wszystkie kończyły się ta pod tymi drzewami, w Plan-des-Dames albo w Charbonnerie, trochę dalej w stronę Saut-du-Loup. Czasem był mróz, a czasem było ciepło. Pewnego razu lał taki deszcz, że musieli się rozejść. Zjawili się żołnierze królewscy i strzelali.

– Podnosiliśmy rękę do góry, o, tak, i przysięgaliśmy, że nie zjedziemy na dół... Ach, przysięgałem! Przysięgałem!

Tłum słuchał z otwartymi ustami, gdy nagle Stefan, który śledził całą scenę, wskoczył na pień obok starca. Dostrzegł w tłumie Chawala stojącego wśród przyjaciół w pierwszym szeregu. Na myśl, że i Katarzyna musi tu być, ogarnął go płomień, zapragnął popisać się przed mą swą popularnością.

– Towarzysze, słyszeliście, co mówił jeden z najstarszych spośród nas! Te same cierpienia, jakie on znosił, znosić będą nasze dzieci, jeżeli nie skończymy z ciemżycielami, którzy nas okradają.

Był straszny; nigdy jeszcze nie przemawiał tak gwałtownie. Jednym ramieniem podtrzymywał starego Bonnemorta, jak sztandar nędzy i żaloby wołający o pomstę. W krótkich zdaniach opowiedział historię rodu Maheuów, zżartych stuletnią pracą w kopalni, zagłodzonych, wyciskiwanych, i przeciwstawiał im spasionych bonzów z Zarządu ociekających złotem, całą tę bandę akcjonariuszy pograżonych w lenistwie, rozkoszujących się życiem, od stu lat utrzymywanych jak nierządnicę. Czyż to nie potworne? Pokolenia górników giną pod ziemią po to, aby było z czego dawać łapówki ministrom, aby arystokraci i burżuje mogli wyprawiać przyjęcia i obrastać w tłuszcz siedząc przy kominku! Przesunął przed oczyma zebranych korowód chorób górniczych, które przestudiował dokładnie: anemia, skrofuły, czarny bronchit, astma, reumatyzm. Nędzarzy rzuca się na pastwę maszyn, stłacza się jak bydło w osiedlach robotniczych, wielkie Towarzystwa wchłaniają ich powoli, wprowadzają usankcjonowane prawem niewolnictwo, dążą do tego, aby skupić w swym ręku wszystkich robotników i pracą ich wzbogacić garść nierobów. Ale górnik nie jest już tym nieświadomym bydłem miażdżonym we wnętrzu ziemi. W głębi kopalń wzrosła nowa armia, kielkują ziarna, które pewnego słonecznego dnia rozsądzą skorupę ziemi. I zobaczymy wówczas, czy ktokolwiek ośmieli się dać sto pięćdziesiąt franków rocznej pensji starcowi, który przepracował czterdzieści

pięć lat, pluje węglem i cierpi na puchlinę wodną. Tak! praca policzy się z kapitałem, tym bezosobowym bożyszczem nie znanym robotnikowi, ukrytym gdzieś w swej świątyni i żywiącym się krwią biedaków. Dotrą do niego kiedyś, w świetle pożarów zajrzą mu w oczy, zatopią go we krwi, tego plugawego wieprza, tego potwornego bożka obzartego mięsem ludzkim.

Zamilkł, lecz gest jego wyciągniętej ręki, obejmującej horyzont od jednego krańca po drugi, wskazywał nieprzyjaciela. Tym razem huragan okrzyków, który się zerwał, był tak potężny, że dotarł aż do mieszczan w Montsou; z niepokojem spojrzeli w stronę Vandame myśląc, że to obsuwają się skały. Nad lasem po rozległym jasnym niebie krążyły nocne ptaki.

Stefan chciał, aby natychmiast powziąć jakąś decyzję.

– A zatem co postanawiacie, towarzysze? Czy głosujecie za dalszym prowadzeniem strajku?

– Tak! Tak! – zahuczeli.

– A jaki proponujecie plan działania?... Jeżeli jutro tchórze powrócą do pracy, poniesiemy niechybną klęskę.

– Śmierć zdrajcom! – zagrzmiały znów głosy.

– Postanawiacie więc nakłonić ich, aby wypełnili swój obowiązek, dotrzymali danego słowa?... Oto, co moglibyśmy zrobić: udać się do kopalń, powstrzymać zdrajców naszą obecnością, pokazać Towarzystwu, że jedność panuje wśród nas i że umrzemy raczej, niż mielibyśmy się poddać.

– Tak, tak, do kopalń!

Przemawiając Stefan szukał oczami Katarzyny pośród bladych, wzburzonych twarzy. Nie było jej. Widział natomiast Chavala, który wzruszał ramionami i uśmiechał się drwiąco. Pożerany zazdrością gotów był sprzedać się nawet, aby zdobyć choć cząstkę tej popularności, jaką cieszył się Stefan.

– A jeżeli są pośród nas szpiedzy – ciągnął Stefan – niech się mają na baczności, znamy ich... Tak, widzę tu górników z Vandame, którzy nie przerwali pracy...

– Czy to do mnie pite? – spytał Chaval wyzywająco.

– Do ciebie czy nie do ciebie, to wszystko jedno... Ale ponieważ się odezwałeś, to znaczy rozumiesz, że syci nie mają co robić między głodnymi. Pracujesz w Jean-Bart...

– Ii tam, pracuje! – przerwał mu jakiś drwiący głos. – Ma kobietę, co pracuje na niego. Chaval zaklął purpurowy ze złości.

– A cóż do cholery, to nie wolno pracować?

– Nie wolno! – krzyknął Stefan. – Kiedy towarzysze cierpią nędzę dla dobra wszystkich, nie wolno być egoistą i stawać jak łamistrajk po stronie pracodawców. Gdyby strajk był powszechny, dawno już odnieśliśmy zwycięstwo... Czy którykolwiek górnik z Vandame ma prawo pracować, skoro Montsou ogłosiło strajk? Prawdziwy cios mogliśmy zadać dopiero wówczas, gdyby stanęły kopalnie w całym zagłębiu, tak samo u pana Deneulina jak i u nas... Tylko zdrajcy pracują w kopalni w Jean-Bart, wszyscy jesteście zdrajcami, rozumiesz?

Tłum wokół Chavala przybrał groźną postawę, wzniosły się pięści i rozległy okrzyki: Skończyć z nim! Skończyć z nim! Chaval zbladł. Lecz zażarte pragnienie zatriumfowania nad Stefanem podsunęło mu pewną myśl:

– Posłuchajcie mnie! Przyjdźcie jutro do Jean-Bart, to przekonacie się sami, czy pracuję... Jesteśmy z wami, koledzy przysłali mnie, abym wam to powiedział. Niech zagasną piece, niech maszyniści staną do strajku razem z nami! Niech zatrzymają się pompy, woda zaleje kopalnie i będzie po wszystkim.

Burza oklasków przyjęła jego słowa. Mówcy zmieniali się teraz jeden po drugim, gestykulowali pośród gwaru, rzucali drapieżne słowa.

Ludzi ogarnął szal, niecierpliwość wyznawców, którzy zbyt długo oczekiwali cudu i teraz doprowadzeni do ostateczności postanowili dokonać go sami. Trawieni głodem nie potrafili już rozumować spokojnie, marzyli o krwi i pożarze, z których wyrosnie powszechne szczęście.

Spokojny księżyc oświetlał wzburzone morze głów, głęboki las opływał milczeniem okrzyki mordy. Zmarzłe mchy trzeszczały pod stopami, a wyniosłe buki, których gałęzie rysowały się czarną arabeską na pobladłym niebie, nie dostrzegały ani nie słyszały nędzarzy miotających się u ich stóp.

W pewnej chwili Maheudka znalazła się obok męża. Ogarnięci płomieniem rozpacz, który tlił się w nich już od miesięcy, przyklaskiwali Levaque'owi żądającemu śmierci inżynierów. Pierron zniknął. Bonnemort i Mouque dławili się jakimiś słowami, których nikt nie rozumiał. Zachariasz, dla żartu, domagał się zburzenia kościołów, a Mouquet, aby zwiększyć zgiełk, tłukł kijem w ziemię. Kobiety ogarnął szal: Lewaczka wzięwszy się pod boki wymyślała Filomenie oskarżając ją, że śmiała się przed chwilą; Mouquette proponowała, aby unieszkodliwić żandarmów kopniakami w pewne miejsce; stara Brûlé najpierw spoliczkowała Lidkę zobaczywszy ją bez koszyka i bez sałaty, a później rozdawała ciosy w próżnię przeznaczone dla

pracodawców, których chciała dostać w tej chwili w swoje ręce. Janek przeraził się usłyszawszy od Béberta, któremu powiedział to jakiś chłopak, że pani Rasseneur widziała, iak ukradli królicę. Postanowił jednak, że podzuci ją cichaczem pod drzwi „Tu najtaniej”, i uspokojony zaczął wymachiwać swoim nowym nożem z dumą przyglądając się błyskom stalowego ostrza.

– Towarzysze! Towarzysze! – powtarzał Stefan, wyczerpany i ochrypły, chcąc uzyskać chwilę milczenia, aby porozumieć się ostatecznie. Wreszcie udało mu się to.

– Towarzysze! Jutro rano w Jean-Bart, zgoda?

– Tak, tak, w Jean-Bart! Śmierć zdrajcom! Huragan trzech tysięcy głosów wzbił się w niebo i zagaś w jasności księżycy.

CZEŚĆ PIĄTA

I

Księżyc zaszedł, o czwartej panowała głęboka noc. Dom Deneulinów, stary budynek z cegieł położony w głębi obszernego, zaniedbanego ogrodu, który dzielił go od kopalni Jean-Bart, pogrążony był we śnie, milczący i ciemny. Przeciwległa jego fasada wychodziła na opustoszałą drogę do Vandame, sporego miasteczka, oddalonego o jakieś trzy kilometry i ukrytego za lasem.

Deneulin, zmęczony kilkugodzinnym pobytem w kopalni poprzedniego dnia, chrapał z twarzą do ściany; w pewnej chwili przyśniło mu się, że ktoś go woła. Zbudził się wreszcie i usłyszawszy rzeczywiście czyjeś wołanie pobiegł otworzyć okno. W ogrodzie stał jeden ze sztygarów.

– Cóż tam takiego? – zapytał Deneulin.

– Bunt, panie dyrektorze! Połowa robotników porzuciła pracę i nie pozwala reszcie zjechać w głąb.

Zaspany, z ciężką głową, oszołomiony zimnym powietrzem jak tuszem, nie rozumiał z początku.

– To zmuście ich, żeby zjechali, co u licha! – wyjąkał.

– To już trwa od godziny – podjął sztygar – więc pomyśleliśmy sobie, że trzeba przyjść po pana dyrektora. Tylko pan jeden potrafi przemówić im do rozsądku.

– Dobrze, zaraz idę.

Ubrał się prędko, zupełnie już przytomny i bardzo zaniepokojony. Kucharka ani służący nie

drgnęli nawet, można było obrabować cały dom. Lecz z drugiej strony korytarza dobiegały czyjeś strwożone szepty, a kiedy wychodził, drzwi od pokoju córek otworzyły się i stanęły w nich obie, w narzuconych pośpiesznie białych peniuarach.

– Co się stało, ojcze?

Starsza, Łucja, wysoka brunetka o imponującej postawie, miała już lat dwadzieścia dwa; młodsza, dziewiętnastoletnia Janka, była niską, pełną uroku blondynką.

– Nic poważnego – odparł, by je uspokoić. – Podobno krzykacze robią trochę hałasu w kopalni. Idę właśnie zobaczyć, co się tam dzieje.

Zaprotestowały, nie chciały go puścić, dopóki nie napije się czegoś gorącego. W przeciwnym razie na pewno miałyby jakieś dolegliwości żołądkowe, jak zwykle. Wzbraniał się, dawał słowo honoru, że nie ma czasu.

– Słuchaj – powiedziała wreszcie Janka wieszając mu się na szyi – wypijesz kieliszek rumu i zjesz dwa biszkopty, inaczej cię nie puszcze i będziesz mnie musiał dźwigać ze sobą.

Ustąpił przysięgając, że biszkopty staną mu w gardle.

Córki zeszły przed nim, każda ze świecą w rękę. Na dole w jadalni obsługiwały go skwapliwie: jedna naląła mu rumu, druga pobiegła do kredensu po paczkę biszkoptów. Dziewczęta straciły matkę bardzo młodo i wychowały się same, niezbyt dobrze, rozpieszczane przez ojca. Starsza marzyła o karierze śpiewaczki, młodsza szalała na punkcie malarstwa, wykazując przy tym niezwykle śmiałe gusta. Lecz gdy na skutek trudności finansowych przyszło ograniczyć wydatki, z tych dwóch ekscentrycznych dziewcząt wyrosły nagle gosposie bardzo rozsądne i przemyślne, umiejące dojrzeć najdrobniejsze pomyłki w rachunkach. Nie zmieniając swobodnego sposobu bycia artystek, zajmowały się teraz domem, oszczędzały, targowały się z dostawcami, przerabiały stare sukienki i udało im się ukryć wzrastające ubóstwo domu.

– Jedz, ojczulku! – powtarzała Łucja.

Spostrzegłszy jednak, że ponury i milczący okazywał głuchy niepokój, przeraziły się.

– Więc to coś poważnego, że masz taką minę?... Słuchaj, zostaniemy z tobą. Obejdzie się bez nas na tym śniadaniu.

Mówiły o projektowanej przejażdżce. Pani Hennebeau miała pojechać powozem do Piolaine po Cecylkę, a potem wstąpić po panny Deneulin i zawieść je razem do Marchiennes na śniadanie, na które zaprosiła je żona dyrektora huty. Była to dobra sposobność zwiedzenia warsztatów, wielkich pieców i baterii koksowych.

– Oczywiście, zostaniemy – oświadczyła z kolei Janka.

Lecz on się rozniewał:

– Cóż to znowu za pomysły! Mówię wam przecież, że to nic takiego... zróbcie mi tę przyjemność, wracajcie do łóżek i bądźcie gotowe na dziewiątą, tak jak to było umówione.

Ucałował je i wyszedł pośpiesznie. Z ogrodu dobiegł odgłos jego kroków – zmarznięta ziemia dźwięczała, gdy po niej stapał.

Janka zakorkowała starannie flaszkę z rumem, Łucja schowała biszkopty pod klucz. Pokój miał chłodną czystość jadalń, w których jada się skromnie. Obie panny skorzystały z tego rannego wstania, żeby sprawdzić, czy służba nie zostawiła czegoś w nieładzie. Zauważyły niesprzątnięty obrus – służący dostanie burę. Wreszcie wróciły na górę.

Deneulin szedł na przełaj wąskimi ścieżkami ogrodu warzywnego, aby skrócić sobie drogę, i rozmyślał o zachwianej fortunie, o denarze z Montsou, który sprzedał w nadziei, że dziesięciokrotnie zwiększy jego wartość, a który tak bardzo był dziś zagrożony. Cóż za nieprzerwany ciąg niepowodzeń: nieprzewidziane remonty, które pociągnęły za sobą olbrzymie koszty, rujnujące warunki wydobywania, a wreszcie kryzys właśnie w chwili, kiedy kopalnia zaczęła przynosić zyski. Jeśli teraz wybuchnie u niego strajk, będzie pogrzebany. Otworzył furtkę; w mroku nocy zabudowania kopalni tworzyły plamy jeszcze intensywniejszej ciemności, rozgwieżdżonej tu i ówdzie światłami latarń.

Kopalnia Jean-Bart nie miała tego znaczenia co le Voreux, ale starannie odnowiona, była „cackiem”, jak ją nazywali inżynierowie. Nie tylko rozszerzono o półtora metra i pogłębiono do siedmiuset ośmiu metrów szyb wydobywczy, lecz zaopatrzono go również w nowe urządzenia wyciągowe zainstalowane zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki. W konstrukcji budynków widoczne było nawet pewne staranie o elegancję: sortownia miała ozdobny daszek, na jednej z wież wmontowano zegar; bala, w której znajdowała się maszyna wyciągowa, i cechownia mieściły się pod dachem zaokrąglonym jak sklepienie renesansowej kaplicy, a komin opasywała mozaikowa spirala z czerwonych i czarnych cegieł. Pompa umieszczona była gdzie indziej, w starej kopalni Gaston-Marie, zachowanej jedynie jako szyb odwadniający. Jean-Bart po obu stronach szybu wyciągowego miał dwa inne, w jednym były drabiny, a w drugim wentylator parowy.

Chaval przybył do kopalni pierwszy, o trzeciej nad ranem, podburzał nadchodzących kolegów i przekonywał ich, że powinni iść w ślady górników z Montsou i zażądać podwyżki o pięć

centymów od wózka. Niebawem czterystu robotników wpadło z ubieralni do hali zjazdowej gestykując i krzycząc. Ci, którzy chcieli pracować, byli boso, w rękach trzymali lampy, kilofy i łopaty; pozostali, w sabotach, z płaszczami narzuconymi na ramiona z powodu zimna, zagradzali tamtym drogę. Sztygarzy, ochrypli od nawoływań, błagali zbuntowanych, aby zachowali rozsądek i nie przeszkadzali zjeżdżać tym, którzy mają po temu dobrą wolę.

Ujrzawszy Katarzynę w spodniach, kurtce i niebieskiej chusteczce Chaval wybuchnął gniewem; wstając rano przykazał jej brutalnie, żeby została w łóżku. Ona jednak, zrozpaczona tą przerwą w pracy, poszła za nim, gdyż Chaval nigdy nie dawał jej pieniędzy, a często musiała nawet płacić za nich oboje; cóż by się więc z nią stało, gdyby przestała pracować? Dręczył ją nieustanny lęk, lęk przed domem publicznym w Marchiennes, w którym kończyły ładowaczki pozbawione chleba i dachu nad głową.

– Psiakrew! – zaklął Chaval. – A ty tu czego?

Wyjąkała, że nie ma renty, więc chce pracować.

– Więc zwracasz się przeciwko mnie, ty dziwko?! W tej chwili wynoś się do domu, bo jak nie, to ci dam takiego kopniaka, że zaraz stąd wylecisz!

Cofnęła się strwożona, lecz nie odeszła chcąc się dowiedzieć, jaki obrót przybierze sprawa.

Na schodach od sortowni ukazał się Deneulin. Żywym spojrzeniem ogarnął całą scenę, tłum zatopiony w półmroku rozświetlonym jedynie migotem lamp. Znał ich tu wszystkich, rębaczy, ładowaczy, przesuwaczki, chłopców do pomocy. W hali, odnowionej i czystej, robota stała: maszyna wyciągowa pod parą poświstywała lekko, windy zawisły nieruchomo, porzucone wózki leżały na żelaznych płytach. Zabrano ledwo osiemdziesiąt lamp, reszta paliła się w lampiami. Ale wystarczy pewnie jedno słowo, aby praca ruszyła od nowa.

– Cóż to się stało, moje dzieci? – zapytał donośnym głosem. – O co wam idzie? Wytłumaczcie mi, to dojdziemy do porozumienia.

Wymagający, jeżeli chodziło o pracę, Deneulin odnosił się jednak zazwyczaj do swych ludzi po ojcowsku. Wybuchowy i władczy, starał się najpierw zdobyć ich sympatię dobroduszością, która miała w sobie coś spiżowego. Wielu robotników lubiło go; szanowali w nim przede wszystkim odwagę – stale w kopalni, razem z nimi, był zawsze pierwszy, gdy groziło niebezpieczeństwo. Dwa razy po wybuchu gazów spuszczano go w głąb na linie, przed czym cofali się nawet najodważniejsi.

– Nie każecie mi chyba żałować – podjął – że przyjąłem za was odpowiedzialność. Wiecie, że

nie zgodziłem się, aby przysłano tu żandarmerię. Mówcie więc śmiało, słucham.

Wszyscy zamilkli teraz, skrepowani, i jeden po drugim zaczęli się od niego odsuwać; wreszcie Chaval przemówił:

– Panie dyrektorze, nie możemy pracować dalej na dotychczasowych warunkach. Żądamy podwyżki po pięć centymów od wózka.

Deneulin wydawał się zaskoczony:

– Co? Po pięć centymów? Z jakiego powodu to żądanie? Przecież ja nie narzekam na wasze stemplowanie i nie narzucam wam nowego systemu płac, jak dyrekcja Montsou.

– To prawda – odparł Chaval – ale żądania towarzyszy z Montsou są słuszne. Nie zgadzają się na nowy system płac i domagają się podwyżki o pięć centymów, bo niesposób jest pracować uczciwie na takich warunkach jak dotąd... Chcemy podwyżki o pięć centymów, prawda, koledzy?

Parę osób potaknęło, hałas wzbierał od nowa, ludzie wymachiwali gwałtownie rękami. Krąg wokół Deneulina zaczął się powoli zacieśniać.

Jemu oczy zabłyśły. Zwolennik rządów silnej ręki, zaciskał pięści bojąc się, że ulegnie pokusie i chwyci któregoś z tych ludzi za gardło. Uznał jednak, że lepiej z nimi podyskutować, przemówić im do rozsądku.

– Chcecie pięć centymów – powiedział. – Przyznaję, że wasza praca warta jest tego. Ale cóż, kiedy nie mogę wam ich dać. Gdybym je wam dał, byłoby po mnie... Zrozumcież, że abyście wy mogli żyć, muszę żyć przede wszystkim ja. A tymczasem jestem już u kresu, wystarczy najmniejsza nawet zwyżka kosztów produkcji, aby wszystko się zawaliło... Dwa lata temu, pamiętacie, w czasie poprzedniego strajku ustąpiłem; wtedy mogłem jeszcze ustąpić. Jednak ta podwyżka płac stała się dla mnie katastrofalna i od dwóch lat szamoczę się, żeby związać koniec z końcem... Tym razem wolałbym raczej zamknąć budę niż zastanawiać się w przyszłym miesiącu, skąd wziąć dla was pieniądze na wypłatę.

Słyszając, jak Deneulin otwarcie zwierza im się ze swych trudności, Chaval parsknął złym śmiechem. Reszta słuchała słów pracodawcy patrząc w ziemię; nie mogli uwierzyć, aby właściciel kopalni nie zarabiał milionów na swych robotnikach.

Wówczas Deneulin zaczął przekonywać ich z coraz większym naciskiem. Wyjaśniał im swą walkę z Montsou, które czyha nieustannie, by go zdławić, gdy tylko powinie mu się noga. Ta zajadła konkurencja zmusza go do oszczędności, tym bardziej że głębokość Jean-Barta zwiększa

koszty wydobycia, czego nie jest w stanie wyrównać duża miąższość pokładów. Nigdy nie byłby im podwyższył płac po ostatnim strajku, gdyby nie konieczność pójścia w tym wypadku w ślady Montsou, gdyż w przeciwnym razie jego robotnicy mogliby go porzucić. Uprzedzał, że nie czeka ich nic dobrego, jeżeli zmuszą go do sprzedania kopalni i przejdą pod straszliwe jarzmo Towarzystwa. On sam nie jest żadnym bożkiem ukrytym w nieznanym tabernakulum, nie jest żadnym z tych akcjonariuszy, których górnik nigdy nie widział, a którzy płacą dyrektorom, aby zdierali skórę z robotników. On, jako właściciel, nie tylko ryzykuje majątkiem, lecz wkłada w przedsiębiorstwo całą swą inteligencję, naraża zdrowie i życie. Przerwa w wydobyciu byłaby dla niego ni mniej, ni więcej tylko śmiercią, gdyż nie ma zapasów, a musi przecież sprostać zamówieniom; poza tym kapitał, jaki włożył w urządzenie kopalni, nie może przestać procentować, bo wówczas nie byłby w stanie dotrzymać swych zobowiązań i nie mógłby wypłacić odsetek przyjaciołom, którzy powierzyli mu swoje pieniądze – byłoby to bankructwo.

– Tak, moi drodzy – powiedział na zakończenie – chciałbym, abyście mnie zrozumieli... Nie można żądać od człowieka, aby sam się zarzynał, prawda? A czy ja wam dam te pięć centymów, czy też zgodzę się na strajk, to dla mnie jedno i to samo – poderżnięcie gardła.

Zamilkł. W tłumie rozległy się pomruki. Część robotników zdawała się wahać. Wielu skierowało się w stronę windy.

– Niechby chociaż każdy mógł postępować według swojej woli – odezwał się jeden ze sztygarów. – Którzy z was chcą podjąć pracę?

Jedna z pierwszych wystąpiła Katarzyna. Ale Chaval odepchnął ją z wściekłością, krzyząc:

– Wszyscy jesteśmy solidarni! Tylko drań mógłby odłączyć się od towarzyszy!

Porozumienie wydało się niemożliwe. Rozległy się krzyki, chętnych do pracy odpychano od zjazdu. Dyrektor, zrozpaczony, usiłował walczyć sam, zmusić do posłuchu ten tłum, było to jednak bezcelowym szaleństwem i musiał się wycofać. Przez chwilę siedział zadyszany w budce kontrolera, tak oszołomiony własną bezsilnością, że ani jedna myśl nie przychodziła mu do głowy. Uspokoiwszy się, kazał jednemu z dozorców przyprowadzić Chavala. Kiedy ten zgodził się na rozmowę, Deneulin ruchem ręki wyprosił wszystkich z pokoju.

– Zostawcie nas.

Chciał wy badać, co tkwi w Chavalu, i zaraz po pierwszych słowach wyczuł, że jest to człowiek próżny, trawiony zawiścią. Zaczął więc od pochlebstw, udał, iż dziwi się, że robotnik – tak zdolny jak on – w tak nierozważny sposób przekreśla swą przyszłość. Ze słów jego

wynikało, że już od dawna miał Chavala na oku i chciał ułatwić mu szybki awans; kończąc oświadczył mu wprost, że po pewnym czasie mianuje go sztygarem. Chaval słuchał w milczeniu, jego pięści, z początku zaciśnięte, powoli zaczęły się rozluźniać, a myśl pracowała gorączkowo; jeżeli będzie się upierał przy strajku, nie zostanie niczym więcej niż adiutantem Stefana, gdy tymczasem teraz otwiera się przed nim możliwość wślizgnięcia się w szeregi przełożonych. Duma uderzyła mu gorącą falą do głowy. Zresztą strajkujący, których przybycia oczekiwał od rana, na pewno już nie nadejdą; coś ich musiało zatrzymać, może żandarmi; najwyższy więc czas ustąpić. W dalszym ciągu udawał jednak nieprzejednanego, odmawiał ruchem głowy i z oburzeniem uderzał się w piersi. Wreszcie, nie wspominając nic dyrektorowi o spotkaniu, jakie wyznaczył strajkującym z Montsou, obiecał mu, że uspokoi kolegów i namówi ich, aby podjęli pracę.

Deneulin i sztygarzy pozostali na uboczu. Przez godzinę dobiegały ich uszu odgłosy dyskusji. Chaval przemawiał do towarzyszy wszedłszy na wózek. Część przyjmowała jego słowa wrogimi okrzykami, stu dwudziestu odeszło trwając uparcie w postanowieniu, które podjęli za jego namową. Było już po siódmej, dzień wstawał bardzo jasny, wesoły i mroźny. Nagle Deneulin posłyszał codzienny szmer kopalni, przerwana praca podjęto na nowo. Pierwsza ruszyła maszyna wyciągowa, stalowe liny zaczęły nawijać się na bębny. Potem rozległy się sygnały, klatki napełniały się, znikwały, powracały, szyb pochłaniał swą zwykłą porcję chłopców do pomocy, ładowaczek i rębaczy, a na górze pracownicy nadszybia pchali wózki po żelaznych płytach hali.

– A ty czego marudzisz – krzyknął Chaval na Katarzynę, która czekała na swoją kolej – zjeżdżaj zaraz i nie kręć mi się tutaj!

Kiedy o godzinie dziewiętej pani Hennebeau przyjechała z Cecylką po Łucję i Jankę, zastała je gotowe, bardzo eleganckie w swych po dwadzieścia razy przerabianych sukienkach. Deneulin zdziwił się widząc Négrela, który towarzyszył pojazdowi konno. Jak to, więc panowie też biorą udział w tej wycieczce?

Pani Hennebeau oświadczyła na to z macierzyńskim uśmiechem, iż przerażona wiadomością, że drogi pełne są jakichś podejrzanych postaci, wolała wziąć obrońcę. Négrel śmiał się, uspokajał damy; nie ma żadnych powodów do obaw. Krzykacze odgrażają się, jak zwykle, ale żaden z nich nie ośmieliłby się nawet rzucić kamieniem w szybę. Deneulin, podniecony jeszcze odniesionym zwycięstwem, opowiadał o stłumieniu strajku w Jean-Bart. Mówił, że teraz jest zupełnie spokojny. Panienki wsiadały do powozu, radowano się wspaniałą pogodą i nikt nie

przeczuwał, że z oddali nadciąga burza, że zbliża się tłum, którego kroki mogli byli usłyszeć przyłożywszy ucho do ziemi.

– Więc umawiamy się w ten sposób – powtórzyła pani Hennebeau – że przyjedzie pan wieczorem po córeczki i zje z nami obiad... Pani Grégoire także obiecała mi, że przyjedzie po Cecylkę.

– Proszę liczyć na mnie – odparł Deneulin.

Powóz odjechał w kierunku Vandame. Łucja i Janka wychyliły się jeszcze raz przez okno, by uśmiechem pożegnać stojącego na drodze ojca, a Négreł ruszył szarmancko za pojazdem.

Minęli las i skierowali się na drogę wiodącą z Vandame do Marchiennes. Gdy zbliżali się do Tartaretu, Janka spytała pani Hennebeau, czy zna Côte Verte, a ta wyznała, że nie, mimo iż od pięciu już lat mieszka w tej okolicy. Zboczono więc w tamtą stronę. Tartaret leżał na skraju lasu. Był to pokryty żużlem szmat ziemi nie nadający się pod uprawę, pod którym już od setek lat paliła się kopalnia węgla. Historia ta przemieniła się w legendę: górnicy opowiadali, że ogień spadł z nieba na tę podziemną Sodomę, gdzie ładowaczki oddawały się najbrudniejszym występkom. Dziewczęta nie zdążyły uciec i do dziś dnia goreją w tym piekle.

Ciemnoczerwone, zwapniałe skały pokryte były jak trądem kryształkami ałunu, a w szczelinach osiadła żółtym porostem siarka. Śmiałkowie, którzy odważyli się zajrzeć nocą w te otwory, przysięgali, że widzieli płomienie i dusze potępieńców smażące się w podziemnym żarze. Nad ziemią tańczyły błędne ogniki, z jej głębi wydobywały się gorące opary, ohydne wyziewy zatruwające tę piekielną kuchnię.

I oto pośród tej przeklętej równiny rozpościerało się niby cud wiecznej wiosny Côte Verte – zielone trawy, buki nieustannie okryte listowiem, pola rodzące trzy razy do roku. Była to naturalna, cieplarnia ogrzewana podziemnym ogniem. Nigdy nie leżał tam śnieg. O krok od ogołoconych z liści drzew lasu wykwitał ten olbrzymi bukiet zieleni, której grudniowe mrozy nie skaziły ani jedną rdzawą plamą.

Powóz skręcił w równinę, Négreł żartował z legendy i objaśniał, że ogień powstaje w głębi kopalni najczęściej na skutek fermentacji miału węglowego i jeżeli nie uda się go stłumić, płonie w nieskończoność. Wymienił nazwę pewnej kopalni w Belgii, dla ugaszenia której zmieniono bieg rzeki i skierowano ją w głąb szybu. Wkrótce jednak zamilkł; od pewnego czasu mijały ich jedne za drugimi grupy górników. Szli w milczeniu, niechętnymi spojrzeniami obrzucając zbyt kowny pojazd, przed którym schodzić musieli na bok. Było ich coraz więcej, przez mostek

na Skarpie konie musiały iść stępa. Co wyгнаło tych ludzi na drogę? Panienki przestraszyły się, a Négrel zaczął przewąchiwać, że zanosi się na jakieś zamieszki; znalazłszy się wreszcie w Marchiennes odetchnęli z ulgą. W słońcu, które zdawało się je gasić, baterie koksowe i wielkie piece wyrzucały w powietrze kłęby dymu.

II

Już od godziny Katarzyna popychała wózki z węglem; oblana potem przystanąła na chwilę, aby obetrzeć sobie twarz.

Chaval, pracujący z kolegami w głębi przodka, zdziwił się nie słysząc stukotu kół. Lampy paliły się źle, unoszący się w powietrzu pył węglowy nie pozwalał mu dojrzeć, co się stało.

– Cóż tam takiego? – zawołał.

Kiedy odpowiedziała, że roztopi się chyba z gorąca i że serce ma w gardle, krzyknął gniewnie:

– To zdejmn koszulę, głupia, tak samo jak my!

Pracowali na głębokości siedmiuset metrów w pierwszym chodniku pokładu Désirée, trzy kilometry od podszybia. Na wzmiankę o tej części kopalni górnicy bledli i zniżali głos, jakby mówili o piekle; najczęściej potrzęsali tylko głowami jak ludzie, którzy wolą nie wspominać o tych rozpalonych wnętrzościach ziemi. Im bardziej na północ, tym bardziej zbliżały się chodniki do gorącego Tartaretu, którego żar zwapniał skały na powierzchni ziemi. W miejscu, gdzie się teraz znajdowali, temperatura wynosiła przeciętnie czterdzieści pięć stopni. Pracowali w bezpośrednim sąsiedztwie przekłętej kopalni, pośród płomieni plujących siarką i niosących ze sobą ohydne wyziewy, widocznych przez szczeliny popękanej ziemi.

Katarzyna zdjęła kaftan, a po chwili wahania również i spodnie; w samej koszuli, przewiązanej w pasie tasiemką jak bluza, wzięła się z powrotem do roboty.

– Może tak będzie mi lepiej! – powiedziała głośno.

Gnębił ją nieokreślony lęk. Od pięciu dni, od kiedy tu pracowali, rozmyślała o historiach zasłyszanych w dzieciństwie o tamtych ładowaczkach płonących w Tartarecie, ukaranych za występki, o których ludzie nie śmieli mówić głośno. Oczywiście za duża już była teraz, aby

wierzyć w takie głupstwa, ale co by zrobiła, gdyby tak nagle ukazała jej się postać dziewczyny z oczyma jak zapalone głownie? Na myśl o tym pociła się jeszcze mocniej.

W odległości osiemdziesięciu metrów od przodka odbierała od niej wózek inna ładowaczka i pchała go dalsze osiemdziesiąt metrów aż do pochylni, gdzie przyjmowano go od niej i ekspediowano razem z wózkami przyjeżdżającymi z górnych chodników.

– A toś sobie wygodziła! – powiedziała tamta, chuda trzydziestoletnia wdowa, ujrawszy Katarzynę w koszuli. – Ja tak nie mogę, chłopaki na pochylni gadają takie świństwa, że mam tego po dziurki w nosie.

– Co mnie tam obchodzi czyje gadanie – odparła dziewczyna. – Nie mogłam już inaczej wytrzymać!

Odeszła pchając pusty wózek. Sytuację pogarszało to, że oprócz sąsiedztwa Tartaretu inna jeszcze przyczyna sprawiała, iż w tej części kopalni panowało gorąco nie do wytrzymania. Tuż obok biegł jeden z chodników Gaston-Miarie, w którym przed dziesięciu laty wybuch gazów spowodował pożar. Płonął on aż do tej pory za „podeszwą ogniową”, ścianą z gliny, wybudowaną niegdyś, aby zlokalizować katastrofę, i nieustannie naprawianą. Pozbawiony dopływu powietrza ogień powinien był wygasnąć, lecz widocznie podsycaly go jakieś nieznanne przeciągi, gdyż palił się dalej rozżarzając glinianą ścianę jak cegły w piecu. I wzdłuż tej ściany właśnie, na przestrzeni przeszło stu metrów, pchano wózki pracując w temperaturze sześćdziesięciu stopni.

Po dwu dalszych przejazdach Katarzyną znów owładnęły duszności, na szczęście pokład Désirée należał do najgrubszych w okolicy, chodniki były tu szerokie i wygodne. Wysokość ściany wynosiła metr dziewięćdziesiąt i górnicy mogli pracować stojąc; woleliby jednak byli leżeć w najniżej położonej pozycji, byle tylko móc oddychać chłodniejszym powietrzem.

– Zasnąłaś tam czy co, u pioruna? – zawołał ponownie Chaval słysząc, że Katarzyna przestała się ruszać. – Co za diabli nasłali mi taką leniwą babę! Napełnij wózek i w drogę, słyszysz?

Katarzyna stała oparta na łopacie i spoglądała na towarzyszy nieprzytomnym wzrokiem. W czerwonym błysku lamp sylwetki ich majaczyły jej przed oczyma nagie, czarne, pokryte tak grubą warstwą węgla i potu, że ich nagość nie krępowała jej wcale. Była to jakaś wizja piekielna, grzbiety napinające się w niezrozumiałym wysiłku przy wtórze głuchych uderzeń i jęków. Ale oni widzieli ją widocznie lepiej, gdyż kilofy przestały uderzać w pewnej chwili i mężczyźni zaczęli śmiać się z niej, że zdjęła spodnie.

- Uważaj no, mała, zaziębisz się!
- Ale ona ma nogi! Wiesz co, Chaval, wystarczyłoby dla dwu!
- Trzeba by było się przyjrzeć! Podnieś no to! Wyżej! Wyżej!

Nie gniewając się wcale na kolegów za te żarty, Chaval napadł na Katarzynę:

- No cóż tak stoisz i słuchasz! Słuchałabyś i do jutra, co? Świństwa to ty lubisz!

Katarzyna z wysiłkiem napelniła wózek i zaczęła go pchać. Chodnik był zbyt szeroki, by mogła oprzeć się o stemple. Szła powoli z rękami wyciągniętymi przed siebie, schylona, potykając się o szyny. Gdy doszła do „podeszwy”, tortura rozpoczęła się od nowa. Pot spływał po niej wielkimi kroplami, podobnymi do kropli deszczu przed burzą, przesłaniając jej oczy. Ledwo uszła trzecią część drogi, pokryta była czarnym błotem. Wąska koszula, jakby umoczone w atramencie, oblepiała się na ciele i krępowała ruchy; znów musiała przerwać pracę.

Co jej się stało tego dnia? Nigdy nie czuła się tak słaba. To pewnie wina złego powietrza. W głębi tego odległego chodnika nie czuło się działania wentylatorów, ludzie wdychali wszelkiego rodzaju wyziewy, dodobywające się z węgla z bulgotem strumienia, częstokroć tak obfite, że lampy gasły. Katarzyna dobrze знаła to złe powietrze, martwe powietrze, jak mówili górnicy; dołem ciężki czad, a górą lekki gaz łatwopalny, którego wybuch mógł zmieść całą kopalnię, setki ludzi. Od dzieciństwa przyzwyczajona do tego zaduchu dziwiła się, że tego dnia tak źle go znosi; gardło miała wyschnięte, w uszach jej szumiało, zapragnęła zdjąć koszulę, której każda najdrobniejsza nawet fałdka wrzynała jej się w ciało piekąc nieznośnie. Oparła się jednak tej pokusie i ruszyła dalej, ale musiała przystanąć. I wówczas, mówiąc sobie, że włoży ją z powrotem przy końcu trasy, szybko zdarła z siebie koszulę, tak rozgorączkowana, iż chętnie ściągnęłaby i skórę, gdyby mogła. Pracowała teraz nago, pokryta pyłem węglowym i ubrudzona aż do pasa jak koń dorożkarski. Pchała wózek posuwając się na czworakach.

Ale stwierdziła z rozpaczą, że zrzucenie koszuli nic jej nie ulżyło. Co mogłaby zdjąć jeszcze? Ogłuchła od szumu w uszach, skronie ścisnęła jej jakaś twarda obręcz. Upadła na kolana. Wydało jej się, że umieszczona na wózku lampa gaśnie. W zamęciu, jaki ją ogarniał, jedna tylko myśl pozostała jasna: podkręcić knot. Dwa razy brała lampę do ręki, żeby sprawdzić, co się stało, ale za każdym razem, gdy stawiała ją obok siebie na ziemi, płomień blakł, jakby i jemu także brakowało oddechu. Nagle zgasł. Wszystko runęło w ciemność.

Katarzynie huczało w głowie, serce jej przestało bić, całym ciałem owładnęło bezmierne znużenie. Osunęła się do tyłu i leżąc w zacadzonym powietrzu walczyła ze śmiercią.

– Psiakrew, zdaje się, że ona znów nic nie robi – rozległ się gniewny głos Chavala.

Przysłuchiwał się przez chwilę, ale nie usłyszał turkotu kół.

– Katarzyna, guzdrało jedna!

Jego głos utonął w głębi czarnego chodnika. Żadnej odpowiedzi.

– Mam cię nauczyć szybciej się ruszać, co?

Znów to samo śmiertelne milczenie. Rozgniewany chwycił lampę i pobiegł tak szybko, że o mało nie wpadł na ciało ładowaczki zagradzające drogę. Przystanął zaskoczony. Co się jej stało! Może udaje tylko? Może ucięła sobie drzemkę? Ale kiedy pochylił się, żeby oświetlić jej twarz, lampa przygasła. Podniósł ją, opuścił znów i wreszcie zrozumiał: to było „martwe powietrze”. Jego gniew opadł, a obudziła się instynktowna potrzeba niesienia pomocy towarzyszowi w niebezpieczeństwie. Krzyknął, żeby mu przynieśli koszulę dziewczyny, chwycił Katarzynę, obiema rękami i unióś, jak mógł najwyżej. Kiedy koledzy rzucili mu na ramiona odzież obojga, ruszył biegiem, w jednej ręce trzymając swój ciężar, w drugiej obie lampy. Skręcał to w prawo, to w lewo starając się dostać w sferę działania wentylatora wnoszącego mroźne powietrze z powierzchni. Wreszcie posłyszał szmer wody sączącej się po skale. Znajdowali się u wylotu szerokiego chodnika, który należał dawniej do Gaston-Marie. Powietrze z wentylatora dęło tu jak wiatr przed burzą i tak było chłodno, że Chavalem, kiedy posadził omdlałą dziewczynę pod ścianą, wstrząsnął dreszcz.

– Katarzyna, nie udawaj, co u licha!... Posiedź chwilę prosto, póki nie zamoczę koszuli.

Bezwład kochanki przerażał go. Umoczył koszulę w źródle i obmył jej twarz. Kształtów drobnych, chłopięcych, wyglądała teraz jak martwa. Po chwili drżenie przebiegło jej dziecięce piersi, brzuch i uda. Otworzyła oczy i wyjąkała:

– Zimno mi!

– No, nareszcie! – zawołał Chaval z ulgą.

Ubrał ją, bez trudu nasunął na nią koszulę i męczył się wkładając spodnie, gdyż nie miała siły, żeby mu to ułatwić. Wciąż jeszcze odurzona nie rozumiała, gdzie się znajduje ani dlaczego jest naga. Gdy przyszła do siebie, uczuła wstyd. Jakże mogła zdjąć wszystko? Pytała, czy widziano ją tak rozebraną. Chaval śmiał się, wymyślał historyjki, mówił, że kiedy niósł ją tutaj, koledzy ustawili się rzędem po drodze. Co też jej przyszło do głowy, żeby posłuchać jego rady i rozebrać się do naga?

Wreszcie dał jej słowo, że biegł tak prędko, iż towarzysze nic nie widzieli.

– Ależ tu zimno! – powiedział i naciągnął ubranie.

Nigdy jeszcze nie był taki dobry dla niej. Zazwyczaj do każdego pocziwego słowa dodawał dwa przykre. Jakżeby to było słodko, gdyby żyli w zgodzie! Przejęta czułością uśmiechnęła się do niego i szepnęła:

– Pocałuj mnie!

Pocałował ją, a widząc, że nie może jeszcze wstać, położył się obok niej.

– Widzisz – mówiła – tak na mnie krzycałeś, a ja już naprawdę nie mogłam dłużej! Wy tam na ścianie macie jeszcze trochę chłodniej, ale żebyś wiedział, jak jest w głębi chodnika!

– Pewno, że w lesie byłoby przyjemniej – odparł. – Wiem, że się tu męczysz, moja mała.

Rozczulona, że przyznał jej rację, chciała okazać się dzielna.

– Och, to tylko dziś tak się czegoś źle czułam, powietrze jest okropne... Ale zobaczysz, czy jestem guzdrała! Jak trzeba pracować, to się pracuje, co? Prędzej bym trupem padła, niżbym zostawiła robotę.

Zamilkli. Chaval objął ją ramieniem i tulił do siebie, żeby się nie zaziębiła. Ona czuła się już na siłach, aby powrócić do pracy, ale poddawała się z rozkoszą, nie chcąc płoszyć tej chwili.

– Żebyś tylko był dla mnie trochę lepszy – podjęła bardzo cicho. – Człowiek taki jest szczęśliwy, jak wie, że go ktoś kocha.

I rozplakała się.

– Ależ ja cię kocham! – zawołał. – Przecież wziąłem cię do siebie!

Potrząsnęła tylko głową w odpowiedzi. Często mężczyźni biorą sobie kobiety po to tylko, żeby je mieć, wcale nie troszcząc się o ich szczęście. Łzy płynęły jej coraz gorętsze. Myśl o tym, jakie dobre mogłaby mieć życie, gdyby trafiła na innego chłopca, którego ramię stale czułaby przy sobie, napełniała ją rozpaczą. Na innego? Wzruszona ujrzała przed sobą jego postać. Przepadło. Nie pragnęła już niczego więcej niż żyć aż do śmierci z tym, którego dostała, byleby nie był dla niej tak brutalny jak dotąd.

– Więc postaraj się czasem być taki jak dziś – powiedziała.

Łkanie przerwało jej słowa. Chaval pocałował ją jeszcze raz.

– Ty głuptasio!... No, już ci przyrzekam, że będę dobry. Ostatecznie człowiek nie jest gorszy od innych.

Spojrzała nań i uśmiechnęła się przez łzy. Pewno miał rację; nie ma lepszych mężczyzn i nie ma szczęśliwych kobiet. Chociaż nie wierzyła jego przyrzeczeniom, cieszyła się, że jest taki

miły. Mój Boże! gdyby to mogło trwać dłużej. Tulili się do siebie w długim uścisku, kiedy usłyszeli czyjeś kroki. Wstali. Trzej koledzy, którzy widzieli, jak Chaval niósł Katarzynę, przyszli, żeby zobaczyć, co się jej stało.

Wrócili razem. Dochodziła dziesiąta, więc wybrali jakieś chłodniejsze miejsce i siedli, żeby zjeść śniadanie. Kończyli już swoje cegiełki i mieli popić je kawą, kiedy jakiś hałas, dobiegający z odległych urobisk, zaniepokoił ich. Czyżby znów jakiś wypadek? Podnieśli się i pobiegli. Co chwila spotykali po drodze rębaczy, ładowaczki, chłopców do pomocy. Nikt nic nie wiedział, wszyscy krzyczeli: musiało stać się jakieś wielkie nieszczęście. Powoli całą kopalnię ogarnęła trwoga. Z chodników wynurzały się przerażone cienie, lampy tańczyły i pomykały w ciemnościach... Gdzie to? Dlaczego nikt im nie powie?

Nagle przebiegł jakiś sztygar wołając:

– Przecinają liny! Przecinają liny!

Zapanowała panika. Rzucili się pędem naprzód ciemnymi chodnikami. Ludzie potracili głowy. Dlaczego przecinają liny? I kto je przecina, skoro wszyscy zjechali? Wydawało się to nieprawdopodobne i potworne.

– To ci z Montsou przecinają liny! – rozległ się głos innego sztygara. – Wychodź!

Zrozumiawszy, co się stało, Chaval zatrzymał Katarzynę, Na myśl, że miałby stanąć twarzą w twarz z górnikami z Montsou, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Więc przyszła ta banda, nie dostała się w ręce żandarmów!

Przez chwilę wahał się, czy nie lepiej zawrócić i wydostać się przez Gaston-Marie, ale to było niemożliwe. Kłął i aby ukryć swój lęk, powtarzał, że to nie ma sensu tak pędzić. Przecież nie zostawią ich tutaj!

Znowu rozległ się głos sztygara, tym razem bliżej:

– Na drabiny! Na drabiny! Wszyscy wychodź!

Tłum porwał ich ze sobą. Chaval popychał Katarzynę krzyżąc, że nie biegnie dość prędko. Czy chce, żeby zostali tu sami i pozdychali z głodu? Ci bandyci z Montsou gotowi są połamać drabiny nie czekając, aż wszyscy wyjdą. To strasne przypuszczenie do reszty odebrało im rozsądek i biegli teraz wszyscy na wyścigi, aby jak najprędzej wydostać się na powierzchnię. Ktoś zawołał, że drabiny są połamane, że nikt nie wyjdzie. Kiedy znaleźli się na podszybiu, powstał nieopisany ścisk, pchali się do klatek, tłoczyli w wąskich drzwiach wiodących do drabin. Stary stajenny, który przez ostrożność odprowadził konie do stajni, spoglądał na nich z

beztroską pogardą, przyzwyczajony do spędzania nocy w kopalni i pewien, że zawsze go jakoś stąd wyciągną.

– Spiesz się, do cholery! – powiedział Chaval do Katarzyny. – Idź przede mną, żebym cię mógł podtrzymać w razie czego.

Oszołomiona, oblana potem po przebytych biegiem trzech kilometrach, poddawała się falowaniem tłumu nie rozumiejąc, co się dzieje. Chaval szarpnął ją za rękę; jęknęła i łzy popłynęły jej z oczu: więc już zapomniał o swoim przyrzeczeniu! Nigdy nie będzie z nim szczęśliwa.

– Idźże! – krzyknął.

Ale za bardzo się go bała. Jeżeli pójdzie przed nim, przez cały czas będzie się nad nią znęcał. Opierała się więc a przerażona fala górników odpychała ich na bok. Z szalunku padały wielkie krople wody, a pomost nad leżącym o dziesięć metrów niżej błotnistym żąpem drżał pod ciężarem tylu osób. Właśnie w Jean-Bart zdarzył się przed dwoma laty straszny wypadek: zerwała się lina, winda wpadła do żąpu i dwóch ludzi utopiło się w nim. Wszystkim przypominało się to teraz – czeka ich to samo, jeżeli będą się tłoczyli na pomoście.

– Ty oślico uparta! – krzyknął Chaval – więc zdychaj sobie, jak chcesz, przynajmniej będę miał spokój!

Poszedł naprzód, a ona za nim.

Na powierzchnię prowadziły sto dwie drabiny mniej więcej siedmiometrowej długości, umieszczone jedna nad drugą i oparte o wąskie podesty, zajmujące całą szerokość wylotu. W środku tych podestów znajdowały się kwadratowe otwory, przez które z trudem można się było przecisnąć. Całość tworzyła jakby płaski komin wysokości siedmiuset metrów, wciśnięty pomiędzy ścianę szybu i drewniane przepierzenie windy, wilgotny lej, czarny i bez końca, wzdłuż którego biegły prostopadle niemal drabiny, jedna ponad drugą. Silny mężczyzna potrzebował dwadzieścia pięć minut, aby dotrzeć do szczytu tego potężnego kręgosłupa. Drabin tych używano zresztą jedynie w razie katastrofy.

Z początku Katarzyna posuwała się szybko. Jej bose nogi, przywykłe do chropawej powierzchni chodników, nie czuły ostrych kantów szczebli okutych dla trwałości blachą. Jej dłonie, stwardniałe od pchania wózków, bez wysiłku chwyciły grube drążki, ta niespodziewana wspinaczka, ten długi wąż ludzi prześlizgujący się ku górze tak, że gdy jego ogon zwiisał jeszcze nad żąpem, głowa zbliżała do otworu, odwróciły jej myśli od własnego nieszczęścia, rozerwały

ją nawet. Pierwsi z idących przebyli na razie dopiero trzecią część drogi. Nikt nie odzywał się ani słowem, tylko nogi stapały z głuchym łoskotem, a lampy, podobne do wędrujących gwiazd, przesuwały się z dołu ku górze linią coraz to dłuższą Katarzyna usłyszała, jak jakiś chłopiec za nią liczył szeptem drabiny. Podsunęło jej to myśl, aby samej liczyć również. Mieli już za sobą piętnaście drabin i zbliżali się do drugiego podszybia. Lecz w tej samej chwili Katarzyna uderzyła o nogi Chavala. Cisnął jej przekleństwo i kazał uważać. Tymczasem, poczynając od góry, cała kolumna zatrzymywała się, nieruchomiała. Dlaczego? Co się stało? Ludzie odzyskiwali głos, aby zadawać trwożne pytania. Lęk wzrastał, nieznane, ku któremu się pięli, budziło przerażenie. Ktoś oznajmił, że trzeba schodzić z powrotem, bo drabiny są połamane. Myśl o tym, strach przed mogącą się otworzyć nad ich głowami próżnią, dręczyły ich od początku. Z ust do ust podawano teraz inne wyjaśnienie: jakiemuś rębaczowi obsunęła się noga i spadł. Nikt nie wiedział jednak dokładnie, krzyki utrudniały porozumienie. Czy mają tu nocować na drabinie? Nie otrzymali dokładniejszych wyjaśnień, ale wspinaczka rozpoczęła się od nowa, tak samo powolna i uciążliwa; kroki dudniły miarowo, lampy tańczyły. Drabiny i tak są na pewno połamane, tylko wyżej.

Na trzydziestej piątej drabinie, kiedy mijali trzecie podszybie, Katarzyna poczuła, że drętwią jej nogi i ręce. Najpierw doznała wrażenia, że mrówki przebiegają jej po skórze, a później przestała wyczuwać okute szczeble, po których się pięła. W mięśniach wzrastał ból coraz dotkliwszy. W ogarniającym ją zamięcie przypomniały jej się historie opowiedane przez dziadka Bonnemort: w czasach, kiedy nie było jeszcze windy, dziesięcioletnie dziewczynki wnosiły węgiel na powierzchnię po drabinach. Wystarczyło, by jedno z dzieci obsunęło się lub upuściło bryłę węgla z koszyka, a zaraz troje czy czworo spadało głową na dół. Katarzyna czuła, że nigdy nie dojdzie do wylotu, skurcze mięśni stawały się nie do zniesienia.

Ponowne przystanki pozwoliły jej odetchnąć. Ale przerażenie, jakie wywoływały za każdym razem, dobijało ją. Towarzysze nad nią i pod nią oddychali coraz ciężiej, to nie kończące się wspinanie przyprawiało wszystkich o zawrót głowy. Katarzyna dyszała, pijana ciemnością, zdławiona ciasnotą przesmyku, spotniała i drżąca od wigoci. Zbliżali się do poziomu, woda kapiała tak obficie, że o mało nie pogasiła lamp.

Chaval dwukrotnie zwracał się do Katarzyny, ale nie otrzymał odpowiedzi. Cóż ona tam wyrabia, zgubiła język czy co? Może mu chyba powiedzieć, czy daje sobie jakoś radę. Wspinali się już od pół godziny, lecz tak ociężale, że doszli dopiero do pięćdziesiątej dziewiątej drabiny.

Jeszcze czterdzieści trzy. Katarzyna wyjąkała wreszcie, że jakoś się trzyma. Gdyby przyznała się do zmęczenia, znów nazwałby ją guzdrałą. Okucia szczebli musiały poranić jej nogi, gdyż miała wrażenie, że ktoś piłuje jej stopy aż do kości. Przy każdym nowym ruchu bała się, że wypuści drążki z rąk popękanych i zdrętwiałych, które nie potrafiły ich już objąć, że upadnie do tyłu zmożona nie kończącym się wysiłkiem. Najbardziej męczyło ją prostopadłe niemal ustawienie drabin, które zmuszało do podciągania się na rękach, z brzuchem, przywartym do szczebli. Sapanie głośniejsze było teraz niż odgłos kroków: od dna przesmyku ku górze dobywał się straszliwy charkot. Ktoś jęknął – z ust do ust przebiegła wiadomość, że jakiś chłopiec rozbił sobie głowę o krawędź podestu.

Katarzyna wspinała się dalej. Minęli poziom. Woda przestała kapać, jakaś mgła zawisła ciężko w powietrzu zatrutym wonią starego żelaziwa i gnijącego drzewa. Machinalnie liczyła drabiny: osiemdziesiąta pierwsza, osiemdziesiąta druga, osiemdziesiąta trzecia, jeszcze dziewiętnaście. Powtarzanie tych cyfr podtrzymywało ją swym monotonnym rytmem. Zatraciła świadomość swych ruchów. Gdy podnosiła głowę, lampy wirowały jej w oczach. Ociekała krwią, czuła, że jest u kresu sił. najłżejszy powiew mógł ją strącić. Tymczasem towarzysze z dołu pchali się teraz, cała kolumna parła ku górze, rozjątrzona męczącą wędrówką, ogarnięta nieprzepartym pragnieniem ujrzenia słońca. Ci, którzy szli na przedzie, już wyszli, drabiny nie były więc połamane, lecz myśl, że ci z Montsou mogą je jeszcze połamać, aby przeszkodzić reszcie wydostać się na powierzchnię, odbierała wszystkim przytomność. I kiedy znów nastąpił przystanek, zaczęli się popychać, przeklinać, deptać jedni po drugich, byle tylko dotrzeć do wylotu. I wtedy Katarzyna spadła. Z rozpaczą zawołała Chayala, ale on nie usłyszał, tratował kolegę, aby wydostać się przed nim. Katarzynę odepchnięto, podeptano. Omdlała śniła, że jest małą ładowniczką z dawnych czasów i ze bryła węgla, która wypadła z czyjegoś koszyka, strąciła ją na dno szybu jak wróbla trafionego kamieniem. Pozostało jeszcze pięć drabin do przebycia; wędrowali już od godziny. Katarzyna nigdy nie dowiedziała się, w jaki sposób dotarła na powierzchnię niesiona na ramionach idących za nią, podtrzymywana przez napierający tłum. Nagle znalazła się w pełnym świetle, pośród tłumu ciskającego gniewne okrzyki.

III

Tego dnia od wczesnego ranka w osiedlach panował niepokój, który powoli wzbierał i zataczał coraz to szersze kręgi. Lecz nie można było wyruszyć do Jean-Bart, tak jak to zostało postanowione, gdyż rozeszła się wieść, że żandarmi i dragoni patrolują równinę. Opowiadano, że przybyli nocą z Douai skutkiem zdrady Rasseneura, który ostrzegł pana Hennebeau; pewna przesuwaczka przysięgała nawet, że widziała, jak służący dyrektora niósł depeszę na pocztę. Górnicy zaciskali pięści i w bladym świetle wstającego dnia wypatrywali żołnierzy przez szpary żaluzji.

Około wpół do ósmej, kiedy słońce już wzeszło, rozeszła się inna wiadomość, która dodała otuchy niecierpliwym. Alarm okazał się fałszywy, była to tylko jedna z demonstracyjnych przejazdów, jakie generał zarządzał niekiedy od czasu wybuchu strajku, na życzenie prefekta Lilie. Strajkujący nienawidzili tego urzędnika i zarzucali mu, że ich oszukał obiecując pojednawczą interwencję, która ograniczała się do wysyłania co tydzień do Montsou wojska dla postrachu. Kiedy dragoni i żandarmi, napelniwszy osiedla ogłuszającym tętentem kopyt uderzających o stwardniałą ziemię, odjechali spokojnie w kierunku Marchiennes, górnicy zaczęli drwić z tego głupca prefekta razem z jego żandarmami, którzy wycofywali się w najgorętszej chwili, niczego się nie domyślając. Aż do dziewiątej czekali cierpliwie i stojąc przed domami odprowadzali wzrokiem dobrodusze plecy znikających żandarmów. W swych wielkich łóżach mieszcząc z Montsou spali jeszcze, wtuleni w poduszki. Pani Hennebeau odjechała gdzieś powozem, zostawiając prawdopodobnie męża przy pracy; dom dyrektora, zamknięty i milczący, zdawał się wymarły. Żadna z kopalń nie miała ochrony wojskowej, był to brak przewidywania brzemienno w skutki. Punkt o dziewiątej górnicy wyruszyli w stronę Vandame, tak jak to zostało ustalone poprzedniego dnia w lesie.

Stefan zorientował się od razu, że jego obliczenia zawiodły i że w Jean-Bart nie zgromadzi się trzy tysiące górników. Wielu sądziło, że manifestację odłożono, a co gorsza dwie czy trzy grupy wyrwały się naprzód i mogły wszystko popsuć, o ile nie uda mu się stanąć na ich czele. Przed świtem wyruszyło około stu osób; pewnie schronili się do lasu i teraz czekają na resztę. Suwarin, do którego młody człowiek udał się po radę, wzruszył ramionami: dziesięciu zuchów zdecydowanych na wszystko zdziała więcej niż cały tłum; i z powrotem zagłębił się w lekturze

odmawiając wzięcia udziału w wyprawie. Wszystko to skończy się na pewno sentymentalnym protestem, gdy tymczasem wystarczyłoby po prostu podpalić Montsou, co nie jest rzeczą trudną. Wychodząc od Suwarina Stefan dostrzegł Rasseneura siedzącego przy piecu, bardzo bladego; jego żona w odwiecznej czarnej sukni gromiła go w słowach stanowczych i grzecznych.

Maheu uważał, że należy dotrzymać danego słowa. Takie spotkanie jest rzeczą świętą. Jednakże noc ochłodziła ogólny zapał i Maheu lękał się katastrofy; dowodził, że ich obowiązkiem jest udać się do Jean-Bart, aby utwierdzić kolegów w ich słusznych żądaniach, Maheudka przytaknęła mu głową. Stefan powtarzał z upodobaniem, że należy działać rewolucyjnie, nie godząc jednak na niczyje życie. Wychodząc zostawił swoją porcję chleba, którą naszykowano mu poprzedniego dnia razem z butelką jałowcówki, ale wypił jeden po drugim trzy kieliszki dla rozgrzewki i zabrał ze sobą pełną manierkę. Alzira miała zaopiekować się dziećmi. Dziadek Bonnemort, któremu pogorszyło się po wczorajszym marszu, został w łóżku.

Dla ostrożności wychodzili z domu pojedynczo. Janek zniknął już od dawna. Maheu z żoną skierowali się w stronę Montsou, a Stefan w stronę lasu, aby połączyć się z kolegami. Po drodze spotkał gromadę kobiet; poznał wśród nich starą Brûlé i Lewaczkę; idąc jadły przyniesione im przez Mouquette kasztany wraz z łupinami, żeby lepiej wypełnić żołądki. Stefan nie znalazł w lesie nikogo, górnicy ruszyli już do Jean-Bart. Pobiegnął szybko i przybył tam w chwili, kiedy na dziedzińcu ukazał się Levaque z mniej więcej setką ludzi. Zewsząd napływali górnicy. Maheuowie szosą, kobiety od pól, bezładnie, bez przywódców, bez broni, jak wezbrane fale toczące się po pochyłości. Stefan zobaczył Janka, który wdrapał się na wysoko zawieszony pomost i usadowił tam, jakby przyglądał się jakiemuś widowisku. Przyśpieszył kroku i jeden z pierwszych stanął na miejscu. Razem nie było ich więcej jak trzystu.

Kiedy na schodach prowadzących do hali ukazał się Deneulin, w tłumie dało się wyczuć pewne wahanie.

– Czego chcecie? – zapytał dyrektor donośnym głosem.

Straciwszy z oczu powóz i roześmiane twarze córek, wrócił do kopalni ogarnięty niewytłumaczonym niepokojem. Wszystko jednak było tu w porządku, górnicy zjechali, wydobywanie przebiegało normalnie. Uspokoił się więc i wdał w rozmowę ze starszym sztygarem, kiedy dano mu znać o zbliżaniu się strajkujących. Żywo podszedł do okna w sortowni; widok tej fali ludzkiej zalewającej podwórze kopalni natychmiast uświadomił mu jego własną bezsilność.

W jaki sposób bronić tych budynków dostępnych ze wszystkich stron? Zresztą nie udałooby mu się zgropować wokół siebie więcej jak dwudziestu robotników. Był zgubiony.

– Czego chcecie? – powtórzył poblady od tajonego gniewu, robiąc wysiłek, aby odważnie stawić czoło klęsce.

W tłumie rozległy się pomruki. Wreszcie Stefan precyzyjnie się naprzód i rzekł:

– Nie zamierzamy zrobić panu nic złego. Ale i u pana również praca musi stanąć.

Deneulin z punktu potraktował go jak głupca:

– Więc myślicie może, że robicie mi coś dobrego zatrzymując u mnie pracę? To zupełnie to samo, jakbyście strzelili do mnie z tyłu z odległości dwóch kroków... I owszem, moi ludzie zjechali i nie przerwą roboty, chyba że zamordujecie mnie przedtem.

Na te twarde słowa podniósł się w tłumie krzyk. Maheu musiał przytrzymać Levaque'a, który wyrwał się naprzód z pogroźkami, gdy tymczasem Stefan w dalszym ciągu usiłował parlamentować, starając się przekonać Deneulina o słuszności ich rewolucyjnego działania. Lecz ten posługiwał się argumentem prawa do pracy. Zresztą nie zamierzał dyskutować o tych głupstwach, chciał być panem u siebie i koniec. Żałował jedynie, że nie ma pod ręką paru zandarmów, aby przepędzić całą tę zgraję.

– Tak, to moja wina; zasłużyłem na to, co się stało. Z takimi jak wy tylko siłą można coś wskórać. Rząd też wyobraża sobie, że kupi was ustępstwami. Akurat. Obalicie go, jak tylko dostarczy wam broni!

Stefan, drżący z gniewu, powstrzymywał się jeszcze. Zniżył głos:

– Proszę, niech pan zarządzi, aby przerwano pracę. W przeciwnym razie nie odpowiadam za towarzyszy. Ma pan jeszcze możliwość zapobiec nieszczęściu.

– Powiedziałem, że nie, i dajcie mi święty spokój! Jakim prawem wdajecie się ze mną w jakieś dyskusje? Nie znam was wcale, nie należycie do mojej załogi... Tylko zbójce włóczą się tak po drogach, żeby grabić!

Zgiełk zagłuszył ostatnie jego słowa, zwłaszcza kobiety miały nań obelgi. A on dalej stawiał im czoło, doznawał ulgi mogąc otwarcie mówić to, co dyktowało mu jego władcze usposobienie. Klęska czekała go tak czy tak, po cóż miałby się jeszcze niepotrzebnie płaszczyć? Tymczasem liczba napastników wzrastała z każdą chwilą, już około pięciuset parło w jego stronę i byliby roznieśli go na strzepy, lecz starszy sztygar gwałtownie pociągnął go do tyłu:

– Na miłość boską, panie dyrektorze! To będzie masakra! Po co narażać ludzi na śmierć?

Deneulin wyrywał się, protestował, raz jeszcze rzucił tłumowi gniewny okrzyk:

– Porachujemy się jeszcze, lotry jedno!

Odciągnięto go. Pierwsze szeregi napierały już na schody; poręcz pękła. Szczególnie zajadłe były kobiety; pchały się, krzychały, podjudzały mężczyzn. Drzwi, zamykane tylko na zasuwkę, ustąpiły natychmiast, lecz schody były za wąskie i zbity tłum nie mógł się przez nie dostać do środka. Wówczas ci, którzy znajdowali się na końcu, skierowali się do innych wejść i za chwilę wtargnęli do kopalni przez ubieralnię, sortownię, kotłownię, po upływie paru minut biorąc ją w posiadanie. Ludzie rozbiegli się po wszystkich trzech piętrach, gestykulując i krzycząc, upojeni zwycięstwem nad opierającym się pracodawcą.

Maheu, przerażony, rzucił się jeden z pierwszych wołając do Stefana:

– Żeby go tylko nie zabili!

Stefan biegł już; zrozumiał, że Deneulin zabarykadował się w izbie sztygarów, odparł:

– A gdyby nawet, to i co? Czy to nasza wina? Po co się tak stawia?

Pełen był jednak niepokoju; bardziej opanowany od innych, nie dał się ponieść ogólnej wściekłości. Czuł się również urażony w swej miłości własnej jako przywódca, widząc, że ludzie wymykają się spod jego władzy i postępowaniem swym zadają kłam jego wyobrażeniom o beznamyślnym wykonywaniu woli ludu. Na próżno nawoływał ich do zachowania zimnej krwi, krzychał, że niszcząc bezmyślnie urządzenia kopalni dowiedliby, iż zarzuty, jakie stawiają im wrogowie, są słuszne.

– Do kotłów! – wyła stara Brûlé – Zagaśmy ogień.

Levaque znalazł jakiś pilnik i wywijał nim jak sztyletem, krzycząc ogłuszająco:

– Przetnijmy liny! Przetnijmy liny!

Wszyscy podjęli ten okrzyk i tylko Stefan z Maheuem protestowali bezradnie, nie mogąc doprosić się o ciszę. Wreszcie Stefanowi udało się zawołać:

– Ależ, towarzysze, tam są ludzie!

Zgiełk wzmógł się jeszcze, ze wszystkich stron dobiegały okrzyki:

– No to co? Mogli byli nie zjeżdżać!... Dobrze im tak, zdrajcom!... Niech zdechną tam na dole!.. Zresztą mają drabiny!

Myśl o drabinach utwierdziła tłum w chęci poprzecinania lin. Stefan zrozumiał, że musi ustąpić. Chcąc zapobiec większemu jeszcze nieszczęściu, pobiegł do maszyny wyciągnąć winde, aby przecięte liny nie zmiażdżyły jej swym straszliwym ciężarem. Maszynista i jego pomocnik

znikli, sam więc zaczął manewrować drążkiem, gdy tymczasem Levaque i dwóch innych wspinało się po żelaznym rusztowaniu, na którym były koła wyciągowe. Ledwo klatki ukazały się na powierzchni, rozległ się zgrzyt pilnika tnącego stal. Zaległa cisza ten dźwięk zdawał się wypełniać całą kopalnię, wszyscy podnieśli głowy, przyglądali się, słuchali, głęboko przejęci. Maheu stał w pierwszym szeregu i czuł, jak ogarnia go dzika radość, jak gdyby zęby pilnika wgryzając się w linę prowadzącą do jednego z tych miejsc cierpienia, które od tej pory pozostanie puste, zdejmowały zeń ciężar jakiegoś nieszczęścia.

Stara Brûlé zniknęła w drzwiach ubieralni krzycząc:

– Zgasić ogień! Do kotłów! Do kotłów!

Kobiety ruszyły za nią. Maheudka, która tak samo jak mąż chciała przemówić do rozsądku towarzyszek, pobięła naprzód, aby nie dopuścić do zniszczeń. Najbardziej opanowana ze wszystkich, uważała, że można domagać się swych praw nie robiąc jednak szkód. Kiedy znalazła się w kotłowni, kobiety wypędzały stamtąd palaczy, a stara Brûlé, uzbrojona w wielką szufłę, wypróżniała jedno z palenisk rzucając rozżarzony węgiel na ceglana posadzkę, na której palił się dalej, dymiąc czarno. Palenisk było dziesięć; wkrótce kobiety zawładnęły wszystkimi, Lewaczka trzymała swą szufłę oburącz, Mouquette podwinęła spódnicę, aby się jej nie zapaliła. Oblane krwawym blaskiem, spocone, rozczochrane, przypominały czarownice na sabacie. Stosy płonącego węgla rosły, sufit hali pękał od żaru.

– Dajcież spokój! – zawołała Maheudka. – Zapali się!

– To jeszcze lepiej! – odparła stara Brûlé. – Będziemy mieć mniej roboty... Mówiłam, że zapłacą mi kiedyś za śmierć mojego!

W tej chwili rozległ się ostry głos Janka:

– Uwaga! Już ja zgaszę wszystko! Puszczam parę.

Wśliznął się tu jeden z pierwszych, uszczęśliwiony tym chaosem, czyhając tylko na sposobność, aby zrobić coś złego; i nagle przyszło mu na myśl odkręcić kurki i wypuścić parę. Trysnęła gwałtownym strumieniem, wszystkie pięć kotłów opróżniło się z ogłuszającym sykiem, od którego bolały uszy. Hala zniknęła w oparach, węgle przyblakły, kobiety wyglądały jak cienie poruszające się gwałtownie. I tylko na galerii spoza białych wirów pary wychylała się postać chłopca uszczęśliwionego, że rozpętał ten huragan.

Trwało to prawie kwadrans. Stosy węgla zalano kilkoma kubłami wody, niebezpieczeństwo pożaru zostało zażegnane. Ale gniew tłumu nie opadał, przeciwnie, wzrastał się jeszcze.

Mężczyźni uzbroili się w młoty, nawet kobiety chwyciły żelazne drągi i wszyscy gotowi byli rozbijać kotły i maszyny, demolować kopalnię.

Stefan, którego uprzedzono, co się dzieje, nadbiegł wraz z Maheuem. On sam zaczynał tracić już przytomność, ogarnięty gorączką odwetu. Przewycięzył się jednak i błagał towarzyszy, aby zachowali spokój: liny były już poprzecinane, paleniska wygasły, kotły bez pary – wszelka praca uniemożliwiona. Lecz oni nie słuchali go i znów byłby uległ ich przewadze, gdy wtem od strony szybiku z drabinami doleciały gniewne okrzyki:

– Śmierć zdrajcom!... Tchórze!... Śmierć! Śmierć!...

To górnicy, którzy zjechali do kopalni, zaczęli wychodzić na powierzchnię. Oślepieni światłem przystawali mrugając powiekami. Następnie ruszyli, jeden za drugim, chcąc jak najprędzej wydostać się na drogę i uciec.

– Śmierć tchórzom! Śmierć obłudnikom!

Strajkujący pobiegli w tamtą stronę. Po upływie niespełna trzech minut budynki opróżniły się i pięciuset ludzi z Montsou utworzyło szpaler, pomiędzy którym musieli przejść ci z Vandame, którzy zdradzili i zjechali do pracy. Za każdym razem, gdy pojawiała się nowa postać w łachmanach, czarna od węgla i spotniała, okrzyki wzmagaly się, padały okrutne żarty: – A to kurdupel! Krótkie nogi, wielki tyłek! A ten – dziwki z „Wulkanu” nos mu zjadły! A ten – wosk mu z oczu kapie, że wystarczyłoby na świece do dziesięciu kościołów! A ten drażał bez zadka, długi jak wielki post!

Ukazała się jakaś ładowaczka, potężna, piersiasta i brzuchata; powitał ją wybuch śmiechu. Wyciągnęły się ręce, żarty stały się bardziej agresywne, bójka wisiała w powietrzu. Tymczasem pochód nieszczęsnych górników trwał dalej. Szli dygocząc i w milczeniu przyjmując obelgi, przygotowani na ciosy, szczęśliwi, gdy znaleźli się już poza terenem kopalni i mogli umknąć.

– Co, u licha, iluż ich tam jest? – zapytał Stefan.

Dziwił go ten nie kończący się korowód, gniewała myśl, że chodzi tu nie tylko o garstkę ludzi zmożonych głodem, steroryzowanych przez sztygarów. Więc okłamano go wczoraj w lesie? Prawie cała załoga Jean-Barta stanęła do pracy.

Nagle z piersi wyrwał mu się okrzyk: zobaczył Chawala.

– Więc to takie spotkanie nam uszykowałeś?

Rozległy się przekleństwa, tłum zafalował, gotów rzucić się na zdrajcę. Jak to, więc wczoraj przysięgał razem z nimi, a dzisiaj zjechał z towarzyszami do pracy? Kpiny sobie z nich urządza

czy co?

– Bierzcie go! Do szybu, do szybu!

Chaval, blady ze strachu, bąkał coś, chciał się tłumaczyć. Lecz Stefan przerwał mu ogarnięty wściekłością:

– Chciałeś brać udział w strajku, to weźmiesz... Dalej, naprzód, łajdaku!

Słowa jego zagłuszyły nowe okrzyki. Z szybu wynurzyła się Katarzyna, oślepią jasnoscia, przerażona zgiełkiem. Dyszała ciężko, chwiejąc się na utrudzonych nogach, z okrwawionymi dłońmi, gdy wtem Maheudka dostrzegłszy ją rzuciła się z ręką wzniesioną do uderzenia.

– I ty także, nędznico?... Twoja matka przymiera głodem, a ty idziesz za swoim rajfurem?

Maheu zatrzymał rękę żony, nie dopuścił do ciosu, sam jednak potrzasał córką i wyrzucał jej niecne postępowanie wobec rodziców. I on, i Maheudka stracili głowę, krzyczeli głośniejsz od innych.

Widok Katarzyny do reszty wyprowadził Stefana z równowagi.

– W drogę! – powtarzał. – Do innych kopalń! A ty, bydlaku, pójdiesz z nami!

Chaval ledwo zdążył zabrać saboty z ubieralni i wciągnąć wełnianą koszulkę na skostniałe plecy. Tłum zagarnął go i pognął naprzód. Katarzyna również włożyła saboty, zapięła starą męską kurtkę, którą nosiła, odkąd zaczęły się zimna, i pobiegła za kochankiem pewna, że chcą mu zrobić coś złego.

W ciągu dwóch minut Jean-Bart opustoszał. Janek, który dorwał się trąbki, dał w nią, jakby zwoływał rozpierchłą trzodę. Kobiety, stara Brûlé, Lewaczka, Mouquette, podkasały spódnice, żeby nie przeszkadzały im – w biegu; Levaque niósł w ręku siekierę i potrzasał nią jak kapelmistrz batutą. Nadchodzili coraz to nowi górnicy, było ich już teraz blisko tysiąc i znów płynęli drogą bezładnie jak wezbrane wody potoku. Brama okazała się za ciasna, obalono parkan.

– Do kopalń! Śmierć zdrajcom! Niech przerwą pracę!

Jean-Bart ogarnęła nagle wielka cisza. Ani jednego człowieka, żadnego szmeru. Deneulin wyszedł z izby sztygarów i sam, ruchem ręki nakazawszy, żeby nikt nie szedł za nim, poszedł obejrzeć kopalnię. Był blady i bardzo spokojny. Najpierw zatrzymał się przy szybie, podniósł oczy, spojrzął na poprzecinane liny: stalowe końce zwisały bezużytecznie, pilnik pozostawił otwarte rany, świeże okaleczenia, które połyskiwały wśród czarnego smaru. Później poszedł do maszyny i wpatrzył się w znieruchomiłe przewody podobne do członków olbrzyma rażonego

paralizem, dotknął wystygłego już metalu i zadrżał, jak gdyby dotknął trupa. Następnie zeszedł do kotłowni, przeszedł wolno przed wygasłymi paleniskami zalanyymi teraz wodą, trącił kocioł, który brzęknął donośnie jak dzwon. Tak, wszystko skończone, był zrujnowany. Gdyby nawet zreperował liny i rozpalił ogień, to gdzież znajdzie ludzi do pracy. Jeszcze dwa tygodnie strajku i będzie musiał ogłosić upadłość. Świadomość nieuniknionej klęski nie budziła w nim już nienawiści do napastników z Montsou. Czuł, że wina sięga czasów bardzo odległych i że on sam również jest współwinny. Ci ludzie to dzicz, i owszem, ale dzicz nie umiejąca czytać i przymierająca głodem.

IV

Tłum rozlał się po nagiej równinie, pobielełej od szronu w bladym zimowym słońcu.

Od Fourche-aux-Boeufs Stefan objął dowództwo, organizował marsz, wydawał rozkazy. Janek galopował na czele i wydobywał ze swej trąbki przeraźliwe dźwięki. Zaraz za nim, w pierwszych szeregach, szły kobiety, niektóre uzbrojone w kije. Maheudka nieprzytomnymi oczami zdawała się wypatrywać w oddali obiecanej krainy sprawiedliwości. Stara Brûlé, Lewaczka i Mouquette maszerowały wielkimi krokami jak żołnierze, którzy wyruszyli na wojnę. W razie niefortunnego spotkania zandarmi nie odważą się chyba bić kobiet. Za nimi szli mężczyźni bezładną gromadą, rozszerzającą się ku końcowi i najeżoną żelaznymi prętami; jedyna siekiera, niesiona przez Levaque'a, połyskiwała w słońcu. Stefan szedł pośrodku i nie spuszczał wzroku z Chavala, któremu kazał iść przed sobą. Za nimi postępował zasepiony Maheu spoglądając od czasu do czasu na Katarzynę, która nie odstępowała kochanka, aby nie zrobiono mu jakiegś krzywdy. Wiatr rozwiewał włosy idących, słyhać było tylko stukot sabotów, podobny do tętentu bydła pędzącego w ślad za dzikimi tonami trąbki Janka.

Nagle rozległ się okrzyk:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Było południe; sześciotygodniowy głód, podsycony marszem, obudził się teraz w pustych brzuchach strajkujących. Po nielicznych kromkach chleba i kasztanach Mouquette dawno nie pozostało ani śladu i żołądki domagały się swych praw, a ten ból zwiększył jeszcze gniew

przeciwko zdrajcom.

– Do kopalń! Przerwać pracę! Chleba!

Stefan, który rano odmówił przyjęcia swojej porcji, czuł teraz nieznośne ściskanie w piersiach. Nie skarżył się jednak i tylko mechanicznym gestem podnosił od czasu do czasu manierkę do ust i wychylał łyk jałowcowki.

Tak był drżący, iż wydawało mu się, że bez tej rozgrzewki nie uszedłby dalej. Policzki mu pałały, w oczach zapalał się płomień. Zachował jednak przytomność i pragnął zapobiec niepotrzebnym zniszczeniom.

Kiedy mijali drogę do Joiselle, pewien rębacz z Vandame, który przyłączył się do strajkujących chcąc zemścić się na swym chlebodawcy, skierował kolegów na prawo krzycząc:

– Do Gaston-Marie! Zatrzymać pompy! Niech woda zaleje Jean-Bart!

Ludzie dali się pociągnąć mimo protestów Stefana. Po cóż niszczyć chodniki? Wbrew urazie jego serce robotnika buntowało się przeciw temu. Maheu również uważał, że mścić się na maszynach jest rzeczą niesłuszną. Ale ów rębacz w dalszym ciągu nawoływał do zemsty i Stefan musiał go dopiero przekrzyczeć:

– Do Mirou! Tam też pracują, zdrajcy! Do Mirou! Do Mirou!

Ruchem ręki skierował tłum w lewo, a Janek pobiegł naprzód, dmąc jeszcze głośniejsze. Ludzie zawrócili gwałtownie. Tym razem Gaston-Marie udało się wyjść cało.

Cztery kilometry drogi do Mirou przebyto w pół godziny, biegiem prawie przemierzając nie kończącą się równinę, przeciętą kanałem niby wstęgą lodu. Tylko ogołocone z liści drzewa, które mróz przemienił w olbrzymie kandelabry z kryształu, urozmaicały monotonię krajobrazu tonącego w niebie jak w morzu. Lekkie wyniosłości terenu kryły Montsou i Marchiennes – jak okiem sięgnąć, widniał tylko nagi przestwór.

Kiedy zbliżali się do kopalni, zobaczyli, jak na pomoście wiodącym do sortowni stanął sztygar. Wszyscy znali dobrze ojca Quandieu, najstarszego ze wszystkich sztygarów w kopalni. Zupełnie już siwy, zachował – mimo ósmego krzyżyka na karku – niebywale jak na górnika zdrowie.

– A wy tu czego, łobuzy? – zawołał.

Przystanęli. To nie był już szef, to był kolega; szacunek dla tego starego robotnika kazał im zatrzymać się.

– Na dole są ludzie – powiedział Stefan. – Każ im wyjechać.

– I owszem, są – odparł ojciec Quandieu – jest ich może ze sześć tuzinów. Reszta zlekła się was, gałgany!... Ale to wam mówię z góry, że żaden z nich nie wyjedzie albo... ze mną będzie mieć do czynienia.

Podniosły się krzyki, mężczyźni parli do przodu kobiety posunęły się o parę kroków. Sztygar szybko przeszedł przez pomost i zatarasował sobą drzwi.

Wówczas zabrał głos Maheu:

– Słuchaj no, stary, jesteśmy w swoim prawie: jak zrobimy, żeby strajk był generalny, jeżeli nie zmusimy towarzyszy do przerwania roboty?

Stary pomilczał trochę. Niewątpliwie jego ignorancja zasad zgodnego współdziałania równała się ignorancji rębacza. Wreszcie odparł:

– Może i jesteście w swoim prawie, nie mówię. Ale ja wiem, co mi kazali... Jestem tutaj sam. Ludzie mają pracować aż do trzeciej i będą.

Ostatnie słowa utonęły w gniewnych okrzykach tłumu. Górnicy wygrażali staremu pięściami, gorące oddechy kobiet owiewały mu twarz. Ale on nie ustępował, wyprostowany, siwowłosy; głos jego, pełen odwagi, wznosił się ponad głosy strajkujących:

– Nie przejdziecie, powiadam Prędzej zdechnę, niż pozwolę wam dotknąć lin... Nie pchajcie się, bo na waszych oczach rzucę się do szybu!

Tłum zadrżał i cofnął się, wstrząśnięty.

– Chyba każdy osioł to zrozumie – ciągnął stary. – Jestem robotnikiem tak samo jak wy. Kazali mi pilnować, to pilnuję.

Ciasny umysł ojca Quandieu nie pozwalał mu wyjść poza ślepe wojskowe posłuszeństwo; czarny smutek półwiekowej pracy pod ziemią przygasił jego wzrok. Towarzysze spoglądali na niego poruszeni, odnajdując w głębi siebie echo tego samego posłuszeństwa, tej samej rezygnacji. Myśląc, że wahają się jeszcze, powtórzył:

– Na waszych oczach rzucę się do szybu!

Tłum odwrócił się gwałtownie i rzucił na prawo polami na przełaj. Zabrzmiały okrzyki:

– Do Madeleine! Do Crèvecoeur! Przerwać pracę! Chleba! Chleba!

Pośrodku biegnącego tłumu zakotłowało się: to Chaval chciał skorzystać z zamieszania i uciec. Stefan chwycił go za ramię i zagroził, że połamie mu kości, gdyby usiłował dopuścić się jakiegś zdrady. Chaval wyrwał się, protestował z wściekłością:

– Cóż to znowu za pomysły? Człowiek jest chyba jeszcze wolny, nie? Od godziny już

szczękam zębami, a poza tym muszę się umyć! Puszczaj!

Rzeczywiście, okrywająca go skorupa pyłu węglowego dawała mu się we znaki, a koszulka nie chroniła od zimna.

– Jazda! Bo jak nie, to my cię umyjemy – odparł Stefan. – Nie trzeba się było przedtem domagać krwi!

Biegli dalej. Stefan odwrócił się w stronę Katarzyny. Jej widok sprawiał mu ból: w brudnych spodniach i starej męskiej kurtce, drżąca, musiała upadać ze zmęczenia, a mimo to uparcie dotrzymywała im kroku.

– Ty możesz iść do domu – powiedział wreszcie.

Zdawało się, że nie usłyszała. I tylko w jej oczach, gdy spotkały się z oczami Stefana, zapalił się krótki błysk wyrzutu. Nie zatrzymała się. Dlaczego żąda, aby opuściła kochanka? Chaval nie był dla niej dobry, to prawda; czasem bił ją nawet. Ale był jej kochankiem, tym, który posiadał ją pierwszy, i oburzało ją to, że rzucili się na niego w tysiąc przeciw jednemu. To duma, a nie miłość kazała jej występować w jego obronie.

– Uciekaj! – krzyknął Maheu.

Zwolniła na chwilę kroku. Drżała, oczy nabiegły jej łzami. Lecz zaraz, mimo lęku, powróciła na dawne miejsce. Wreszcie zostawiono ją w spokoju.

Tłum przeciął drogę do Joiselle, biegł jakiś czas drogą do Cron, potem skręcił w stronę Cougny. Na horyzoncie zarysowały się kominy fabryczne, zabudowania z drzewa i z cegieł o pokrytych kurzem szerokich wnękach okien i drzwi. Minęli niskie domki dwóch osiedli, osiedla Sto Osiemdziesiąt i osiedla Siedemdziesiąt Sześć. Na dźwięk trąbki i na odgłos krzyków z domów wylegli mężczyźni, kobiety i dzieci i przyłączyli się do biegnących. Kiedy przybyli do Madeleine, było ich przeszło tysiąc pięćset. Droga opadała lekko po pochyłości; szumiąca fala strajkujących musiała najpierw okrążyć hałdę, zanim rozlała się po dziedzińcu kopalni.

Minęła dopiero godzina druga, ale sztygarzy, uprzedzeni o wypadkach, zarządzili wcześniejszy koniec pracy. Z chwilą nadejścia strajkujących, ostatnich kilkunastu górników wysiadało właśnie z windy. Uciekli natychmiast, a w ślad za nimi posypały się kamienie. Dwóch pobito, trzeci zostawił w rękach napastników rękaw marynarki. Ta pogoń za ludźmi uratowała urządzenia. Liny i kotły zostały nietknięte, a fala ludzka oddaliła się szybko ku sąsiedniej kopalni.

Kopalnia ta, Crévecoeur, znajdowała się zaledwie o pół kilometra od Madeleine. I tam

również strajkujący trafili na koniec pracy. Kobiety złapały jakąś ładowaczkę, spuściły jej spodnie i wybiły ją po gołej skórze, na oczach mężczyzn, którzy przyjęli to śmiechem. Chłopcy do pomocy obrywali po twarzy, a rębacze uciekali z posiniaczonymi bokami i zakrwawionymi nosami. Okrucieństwo i zadawnione pragnienie zemsty wzrastały; nieustannie wznosząc okrzyki żądali śmierci zdrajców, podwyżki płac i chleba. Zaczęto przecinać liny, ale szło to opornie, więc porzucono je, aby nie tracić czasu; jakaś gorączka pchała ich naprzód, wciąż naprzód. W kotłowni zepsuto jeden kran; w paleniskach, zalanych raptownie wiadrami wody, popękały ruszty.

Postanowiono udać się następnie do Saint-Thomas. Była to kopalnia najbardziej zdyscyplinowana, nie objęta strajkiem, i prawdopodobnie zjechało tam do pracy około siedmiuset ludzi. Wzbudzało to gniew: przyjmą ich kijami i zobaczymy, kto wtedy będzie górą! Lecz rozeszła się wieść, że w Saint-Thomas są żandarmi, ci sami żandarmi, z których wyśmiewano się rano. Skąd wzięła się ta wiadomość? Nikt nie potrafił tego powiedzieć. Wszystko jedno! – ogarnął ich lęk i skierowali się do Feutry-Cantel, stukając sabotami i krzyżąc:

– Do Feutry-Cantel! Do Feutry-Cantel!

Na pewno jest tam ze czterystu tchórzów, którzy zjechali! To dopiero będzie zabawa! Oddalona o trzy kilometry kopalnia ukryta była w zagłębieniu terenu opodal Skarpy. Wspinano się już na zbocze Plâtrières, ponad drogą do Beaugnies, gdy wtem ktoś zawołał, że w Feutry-Cantel mogą być dragoni. Wówczas z ust do ust zaczęto podawać wiadomość, że dragoni są tam rzeczywiście. Tłum zawahał się i zwolnił kroku; nad uśpioną bezrobociem równiną, którą przemierzali od rana, powiała panika. Jak to się stało, że do tej pory nigdzie jeszcze nie natknęli się na żołnierzy? Ta bezkarność zaniepokoiła ich nasuwając myśl o represjach, które ich czekają.

Sami nie wiedzieli, kto skierował ich swym okrzykiem w inną stronę:

– Do Victoire! Do Victoire!

Więc tam nie ma dragonów ani żandarmów? Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć. Uspokojeni zawrócili, zeszli ku Beaumont i pobiegli na przełaj przez pola w stronę Joiselle. Tor kolejowy zagroził im drogę; zburzyli otaczające go ogrodzenie i pobiegli dalej. Zbliżali się teraz do Montsou. Jak okiem sięgnąć, aż po czarne domy Marchiennes, rozpostarło się przed nimi morze pól buraczanych.

Victoire oddalona była o dobre pięć kilometrów. Gnani pasją nie czuli okrutnego zmęczenia

ani bólu poranionych nóg. Kolumna wydłużała się stale, w osiedlach i po drodze przyłączali się do niej coraz to nowi towarzysze. Kiedy przekroczyli kanał i znaleźli się przed Victoire, było ich dwa tysiące. Minęła już jednak trzecia i w kopalni nie zastali nikogo. Zawiedzeni wybuchnęli bezpłodnymi pogroźkami, nadchodzących robotników ze zmiany podsadzkowej przyjęli gradem cegieł i rozsypali się po opustoszałej kopalni, która teraz do nich należała. Nie mogąc osiągnąć kolegów, którzy złamali dane słowo, rzucili się na martwe przedmioty. Pęknał w nich jakiś wrzód urazy, wrzód pełen jadu, który wzbierał powoli. Długie lata głodu męczyły ich pragnieniem mordy i zniszczeń.

Za którąś z szop Stefan zobaczył dwóch robotników, którzy ładowali węgiel na wóz.

– Wynosić się stąd! – krzyknął. – Ani jeden kawałek węgla nie wyjedzie z kopalni!

Na jego wezwanie nadbiegło kilkudziesięciu strajkujących; ładowacze ledwo zdążyli się oddalić. Mężczyźni wyprzęgli konie, które uciekły spłoszone, wysypali węgiel i połamali dyszel. Levaque rzucił się z siekierą na drewniane kozły kolejki. Opierały się i wówczas przyszło mu na myśl, aby pozrywać szyny. Wkrótce wszyscy zabrali się do dzieła. Maheu uzbrojony w żelazny drag, którym posługiwał się jak dźwignią, podważał podkładki. Stara Brûlé pociągnęła kobiety do lampami; puszczane w ruch kije pokryły podłogę szkliwem lamp. Maheudka, rozjuszona, rozbijała lampy równie zajadle jak Lewaczka. Wszystkie ubrudziły się oliwą; Mouauette wycierała ręce o spódnicę śmiejąc się, że jest taka brudna. Rozbawiony Janek wylał jej za kołnierz zawartość jednej lampy.

Ale zemsta nie nasyciła próżnych żołądków, które coraz głośniej domagały się jedzenia. Okrzyk: Chleba! Chleba! Chleba! – górował nad wszystkim.

W Victoire jeden z byłych sztygarów prowadził kantynę. Widocznie zląkł się strajkujących, gdyż budka była zamknięta. Kiedy kobiety wyszły z lampami, a mężczyźni uporali się z szynami, rzucono się na kantynę; okiennice ustąpiły natychmiast. Zamiast chleba znaleziono tam tylko dwa kawałki surowego mięsa i worek ziemniaków, lecz plądrując natrafiono na pięćdziesiąt flaszek jałowcówki, która znikła w jednej chwili jak kropla wody wchłonięta przez piasek.

Stefan napełnił próżną już manierkę. Zwolna poczęło go ogarniać pijackie podniecenie. Oczy zaszyły mu krwią, spomiędzy pobladłych warg drapieźnie błyskały zęby. Nagle zauważył, że Chaval skorzystał z zamieszania i umknął. Zaklął głośno, mężczyźni zabrali się do poszukiwań. Zbiega znaleziono za sągiem drzewa, gdzie ukrył się z Katarzyną.

– Ach, ty łajdaku! – krzyknął Stefan. – Boisz się narazić swoim chlebowcom? A kto żądał w lesie, żeby zastrajkowali maszyniści i stanęły pompy? Poczekaj, zaraz wrócimy do Gaston-Marie i ty sam zniszczysz pompy! Tak, tak, chcę, żebyś sam je zniszczył!

Pijany, popychał ludzi do niszczenia pomp, które niedawno uratował.

– Do Gaston-Marie! Do Gaston-Marie!

Przykłaśnięto mu i ruszono w drogę. Chaval, chwycony za ramiona, popychany gwałtownie, nie przestał domagać się, aby pozwolono mu się usunąć.

– Uciekaj! – krzyknął Maheu widząc, że Katarzyna biegnie za kochankiem.

Tym razem nie cofnęła się nawet, podniosła na ojca płomienne spojrzenie i biegła dalej.

I znów tłum wypłynął na nagą równinę przemierzając ją teraz w odwrotnym kierunku. Była godzina czwarta; w chyłącym się nad horyzontem słońcu kładły się na zamarzniętej ziemi długie cienie ludzi wymachujących rękami z furją.

Wyminęli Montsou i skierowali się ku Joiselle. Żeby nie nakładać drogi i ominąć Fourcheaux-Boeufs przebiegli tuż pod murem Piolaine. Państwo Grégoire'owie udali się właśnie niedawno z wizytą do notariusza, a później mieli pójść na kolację do państwa Hennebeau i zabrać od nich Cecylkę. Cała posiadłość – pusta aleja lipowa, ogołocony przez zimę sad i ogród warzywny – zdawała się pogrążona we śnie. W domu panowała kompletna cisza, zamknięte okna zmatowiały od pary, wszystko tchnęło tu pogodnym dobrobytem, nasuwało myśl o patriarchalnych obyczajach, wygodnych łózkach, dobrym stole, o całym tym rozsądnym szczęściu, w jakim upływało życie właścicieli.

Nie zatrzymując się strajkujący rzucali ponure spojrzenia na żelazną kratę bramy i mur zjeżony kawałkami szkła. Znów wybuchnęły okrzyki:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Odpowiedziało im tylko zajadłe szczekanie psów, dwóch wielkich płowych dogów, które poderwały się i rzuciły z otwartymi paszczami. Za spuszczone żaluzjami stały kucharka Melania i pokojówka Honorka zwabione zgiełkiem; pobladłe, spocone ze strachu, przyglądały się biegnącemu tłumowi. Usłyszawszy brzęk stłuczonej szyby padły na kolana w oczekiwaniu śmierci. Kamień rzucił Janek; sfabrykował procę i przesłał Grégoire'om drwiące pozdrowienie. Za chwilę dał z powrotem w trąbkę, a z oddali dolatywał coraz to cichszy okrzyk:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Kiedy przybyli do Gaston-Marie, było ich przeszło dwa tysiące pięćset. Wtargnęli jak

wezbrana rzeka łamiąc i burząc wszystko. Godzinę przedtem przejeżdżali tędy żandarmi, ale wprowadzeni w błąd przez wieśniaków oddalili się w pośpiechu w stronę Saint-Thomas, zapominając nawet zostawić paru ludzi na posterunku dla ochrony kopalni. W niespełna kwadrans paleniska zostały rozebrane, kotły opróżnione, budynki zdewastowane.

Ale największą zajadłość wzbudzała pompa. Strajkującym nie dość było, że stanęła wraz z ostatnim tchnieniem uchodzącej pary, rzucili się na nią jak na żywego człowieka, któremu chcieli odebrać życie.

– Ty masz uderzyć pierwszy! – powtarzał Stefan wkładając Chawalowi młot do ręki. – Prędeż! Przysięgałeś razem z innymi czy nie?

Chaval cofał się, drżący; w ogólnym zamieszaniu młot upadł na ziemię. Inni, nie czekając, rzucili się na pompę i walili w nią żelaznymi dragami, cegłami, wszystkim, co tylko wpadło im pod rękę. Niektórzy bili w nią zwykłymi kijami. Nakrętki odpadały, metalowe części rozluźniały się jak wrywane siłą żywe członki. Straszliwy cios rzuconego z pewnej odległości oskaroda przebił żeliwny cylinder i woda wyciekła z bulgotem podobnym do czkawki umierającego.

Był to już koniec; rozszalały tłum wybiegł na podwórze tłocząc się obok Stefana, który nie odstępował Chawala.

– Śmierć zdrajcy! Do szybu go! Do szybu!

Chaval śmiertelnie blady jąkał coś, z uporem idioty powracając do tego, że musi się obmyć.

– Obmyć się musisz? Ano, to poczekaj – powiedziała Lewaczka. – O, tu masz cebrzyk.

Obok była kałuża pokryta grubą warstwą lodu. Chawala popchnięto w tamtą stronę, przełamano lód i zmuszono nieszczęśnika, aby zanurzył głowę w wodzie tak zimnej.

– Głębiej – powtarzała stara Brûlé. – Jak nie zanurzysz porządnie, to my ci zanurzymy... A teraz napij się trochę, jak to bydlę, z pyskiem w korycie!

Musiał pić na czworakach. Wszyscy śmieli się okrutnie. Któraś z kobiet pociągnęła go za uszy, inna nabrała w dłoń garść świeżego łąjna końskiego z drogi i rzuciła mu w twarz. Nieprzytomny, w wełnianej koszulce podartej na strzępy, szamotał się, wrywał, aby uciec.

Maheu popchnął go, Maheudka znęcała się zajadle– oboje dawali w ten sposób upust zadawnionej urazie. Nawet Mouquette, zazwyczaj życzliwa dla swych byłych kochanków, na tego napadała z pasją i namawiała, aby zdjąć mu spodnie i sprawdzić, czy naprawdę jest mężczyzną.

Stefan kazał jej zamilknąć.

– Dosyć już tego! Po co mamy załatwiać to wszyscy razem... Najlepiej będzie, jak porachujemy się między sobą, ty i ja, co?

Pięści zaciskały mu się kurczowo, oczy płonęły żądzą mordy, pijany – łaknął krwi.

– Gotowy jesteś? Jeden z nas musi zginąć... Dajcie mu nóż! Ja mam swój.

Katarzyna spoglądała na niego, wyczerpana, przerażona. Przypomniała sobie, jak jej się zwierzał, że pijany – już po trzecim kieliszku – ma ochotę mordować, taki smutny spadek zostawili mu po sobie rodzice-pijacy. Poderwała się nagle i spoliczkowała go obiema rękami, krzycząc mu prosto w twarz głosem zdławionym oburzeniem:

– Podły! Podły! Podły! Więc nie dość ci jeszcze tych okropności! Chcesz go mordować teraz, kiedy nie może się już utrzymać na nogach?

Zwróciła się w stronę ojca i matki, zwróciła się w stronę całego tłumu:

– Jesteście podli! podli!... Więc zabijcie mnie razem z nim. Rzucę się na każdego, kto ośmieli się go dotknąć. Och, podli!

Zasłoniła sobą Chawała, broniła go zapominając o razach, o nędzy, ożywiona tą jedną myślą, że do niego należy, więc nie może pozwolić, aby się tak nad nim znęcali, bo to hańba dla niej.

Spoliczkowany przez dziewczynę Stefan zbladł i o mało nie rzucił się na nią. Po chwili jednak, otarłszy twarz gestem człowieka, który wraca do przytomności, powiedział do Chawała pośród głębokiej ciszy:

– Ona ma rację, wystarczy mu tego. Wynoś się!

Chawal uciekł natychmiast, a Katarzyna pobiegła za nim.

Tłum wstrząśnięty patrzył, jak znikają za zakrętem drogi.

– Nie trzeba go było puszczać – mruknęła Maheudka – bo znów zrobi jakieś draństwo.

Ludzie ruszyli w drogę. Dochodziła piąta; słońce, jak pochodnia zawieszona nad horyzontem, rozniecało pożar na całej równinie. Jakiś wędrowny przekupień ostrzegł ich że od strony Crévecoeur nadjeżdżają dragoni. Zawrócili więc i ktoś krzyknął, a inni podjęli ten okrzyk: – Do Montsou! Do dyrekcji!... Chleba! Chleba!

Chleba!

V

Pan Hennebeau stał przez chwilę przy oknie i patrzył, jak oddala się powóz wiozący jego żonę na śniadanie do Marchiennes i Négrel towarzyszący pojazdowi konno, a później wrócił spokojnie do biurka. Kiedy ani żona, ani siostrzeniec nie ożywiali go swoją obecnością, dom wydawał się pusty. Stangret odjechał razem z panią Rózia, nowa pokojówka, miała wolne do godziny piątej; został tylko lokaj Hipolit, w miękkich pantoflach przemierzający pokoje, i kucharka od rana zajęta przygotowywaniem obiadu, na który mieli przyjechać goście. Pan Hennebeau obiecywał sobie, że skorzysta z ciszy i popracuje do wieczora.

Okolo dziewiątej, wbrew zakazowi wpuszczania kogokolwiek, Hipolit zaanonsował Dansaerta, który przyniósł nowiny. Dyrektor dowiedział się od niego jedynie o zebraniu, które odbyło się poprzedniego dnia w lesie; słuchając tej szczegółowej relacji Hennebeau przypomniał sobie o romansie Dansaerta z Pierronką. Co tydzień otrzymywał po kilka listów anonimowych, które powiadały go o wybrykach starszego sztygara. Najwidoczniej mąż zwierzył się żonie, a ta kochankowi-donos pachniał łóżkiem. Pan Hennebeau skorzystał z okazji, aby dać sztygarowi do zrozumienia, że jego sprawy są mu znane, poprzestał jednak na tym, że zalecił mu postępować ostrożnie, żeby nie wywoływać skandalu. Zmieszany tymi wymówkami Dansaert zaprzeczał, bąkał słowa przeprosin, ale nagła czerwień oblewająca jego wielki nos sama zdradzała winę. Szybko jednak zmienił temat rozmowy, rad, że wyszedł obronną ręką, zwykle bowiem dyrektor z nieubłaganą surowością człowieka nieskazitelnego piętnował miłostki swych pracowników z dziewczętami z kopalni. Mówili teraz o strajku: to zebranie w lesie to tylko fanfaronada krzykaczy, nie ma żadnego poważniejszego niebezpieczeństwa. Jedno w każdym razie jest pewne: osiedla będą siedziały przez parę dni cicho. Poranna defilada dragonów niewątpliwie wzbudziła w nich postrach i nakłoniła do szacunku dla władz.

Zostawszy sam pan Hennebeau zastanowił się jednak, czyby nie wysłać depechy do prefekta. Powstrzymała go od tego obawa, aby nie zdradzić w ten sposób niepotrzebnie własnego niepokoju. Nie mógł sobie darować, że zgodnie z własnym nieopatrzonym przekonaniem opowiadał wszystkim, a nawet napisał do zarządu, iż strajk nie potrwa z pewnością dłużej niż dwa tygodnie. A oto, ku jego wielkiemu zdziwieniu, ciągnął się już prawie od dwóch miesięcy; doprowadzało go to do rozpacz. Z każdym dniem czuł się coraz bardziej umniejszony,

skompromitowany, zmuszony do jakichś nadzwyczajnych pociągnięć, aby odzyskać łaski członków zarządu. Właśnie zwrócił się teraz do nich z zapytaniem, jak ma postąpić w wypadku ewentualnych zamieszek. Odpowiedź nie nadchodziła, spodziewał się, że przyniesie mu ją popołudniowa poczta. Mówił sobie, że zdąży jeszcze wówczas wysłać depezę z żądaniem obsadzenia kopalń wojskiem, jeżeli panowie z zarządu uznają to za konieczne. On osobiście uważał, że przyniosłoby to niechybnie otwartą walkę, krew i ofiary w ludziach. Mimo wrodzonej energii wzdrygał się na myśl o odpowiedzialności, jaka by nań spadła. Aż do jedenastej pracował spokojnie. W zamartwym domu rozlegał się tylko skrzyp szczotki, którą Hipolit froterował podłogę w którymś z pokoi na pierwszym piętrze. Później przyszły jedna po drugiej dwie depeze: pierwsza przynosiła wiadomość o zajęciu Jean-Bart przez ludzi z Montsou, druga zawierała szczegóły, donosiła o przecięciu lin, zburzeniu palenisk, zgaszeniu ogni, o spustoszeniu, jakiego dokonano. Nie mógł zrozumieć, co się stało. Dlaczego strajkujący wybrali się do Deneulina, zamiast zaatakować którąś z kopalń należących do Towarzystwa? Zresztą, tym lepiej! Mogą sobie zrujnować całe Vandame, to tylko przyśpieszy realizację jego planów. O dwunastej zjadł śniadanie, sam w obszernej jadalni, obsługiwany w milczeniu przez służącego, którego kroków nie było słychać. Zasepiła go ta samotność i przejęła wewnętrznym chłodem.

Wtem wbiegł jeden ze sztygarów i powiedział mu, że strajkujący maszerują do Mirou. Prawie jednocześnie otrzymał telegraficzną wiadomość, że Crévecoeur i Madeleine też są zagrożone. Wprawilo go to w najwyższe pomieszenie.

Listy z Paryża mogły nadejść dopiero po drugiej; czy miał natychmiast depeżować po wojsko, czy też czekać na instrukcje Zarządu? Wrócił do gabinetu i chciał rzucić okiem na pismo do prefekta, które Négrel zredagował poprzedniego dnia. Nie mógł go jednak znaleźć i przyszło mu na myśl, że młody człowiek zostawił je może w swoim pokoju, gdzie często pracował nocą. Odkładając na razie decyzję co do wysłania depeży, udał się żywo na górę, aby poszukać pisma.

Wszedłszy do pokoju Négrela zauważył ze zdziwieniem, że nie jest on posprzątany; widocznie Hipolit zapomniał o tym albo też nie chciało mu się doprowadzić go do porządku. Powietrze było tu nagrzone i wilgotne, przesycone nocnymi wyziewami i ciepłem bijącym od kaloryfera. Odurzyła go jakaś przejmująca woń, sądził, że to pachnie tak woda, która pozostała w miednicy po porannej toalecie. W pokoju panował nieład: porozrzucone części garderoby, wilgotne ręczniki zwisające z poręczy krzesel, łóżko odkryte z prześcieradłem zwieszającym się

aż na dywan. W pierwszej chwili rzucił zresztą na to wszystko tylko przelotne spojrzenie, skierował się w stronę stołu pokrytego papierami i zaczął szukać zagubionego pisma. Dwukrotnie brał do ręki jeden papier po drugim; nie, tutaj też go nie było. Gdzież ten roztrzepaniec Paweł mógł je wsadzić?

Rozglądając się po pokoju dostrzegł na łóżku coś połyskliwego. Zbliżył się machinalnie i wyciągnął rękę; był to mały, złoty flakonik. Poznał natychmiast flakonik żony, jej nieodłączny flakonik z eterem. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć: skąd wziął się w łóżku Pawła? Nagle zbladł strasznie. Jego żona spędziła tutaj noc.

– Przepraszam – szepnął przez drzwi Hipolit – widziałem, że pan dyrektor idzie na górę, więc...

– Służący wszedł, nieład panujący w pokoju zmieszał go.

– Daję słowo, pokój nie posprzątany! Różia poszła sobie i wszystko zostawiła na mojej głowie.

– Pan Hennebeau ukrył flakonik w dłoni i ścisnął go kurczowo.

– Czego chcesz?

– Panie dyrektorze, przyszedł człowiek z Crèvecoeur! Ma list.

– Dobrze, powiedz mu, żeby poczekał.

A więc jego żona spędziła tu noc! Zasunął zasuwkę u drzwi, rozwarł rękę i spojrzał na flakonik, który pozostawił czerwony ślad na jego dłoni. Nagle zrozumiał – ta ohyda ciągnęła się już od miesięcy. Przypomniawszy sobie dawne podejrzenia, szelesty pod drzwiami, stąpanie bosych stóp nocą pośród ciszy. Tak, to jego żona chodziła na górę do Négrela.

Osunął się na krzesło naprzeciw łóżka i przyglądał mu się uparcie. Z tego bezwładu, który trwał długie minuty, wyrwał go hałas. Ktoś pukał do drzwi i usiłował je otworzyć. Hennebeau poznał głos służącego.

– Panie dyrektorze!... Ach! pan dyrektor zamknął się...

– Cóż tam znowu?

– Zdaje się, że sprawa jest nagła. Robotnicy niszczą wszystko. Znowu przyszło dwóch ludzi z wiadomościami. Nadeszły też depesze.

– Daj mi spokój! Zejdę za chwilę!

Cierpnął na myśl, że Hipolit mógł być znaleźć flakonik, gdyby sprzątał tego ranka pokój. Zresztą służący i tak musiał wiedzieć o wszystkim, na pewno nieraz zastawał łóżko gorące

jeszcze od uścisków, włosy pani na poduszce, ohydne ślady na pościeli. Jeżeli teraz zawziął się, żeby mu przeszkadzać, to przez złośliwość. Może zabawiał się podsłuchiowaniem pod drzwiami, delektując się wybrykami swoich państwa.

Pan Hennebeau znieruchomiał i nie odrywał wzroku od łóżka. Przed oczyma przesunęła mu się cała jego przeszłość pełna cierpienia: małżeństwo z tą kobietą, duchowe i fizyczne nieporozumienie, które zarysowało się między nimi zaraz po ślubie, kochankowie żony, o których nic nie wiedział, i ten, którego tolerował przez dziesięć lat, tak jak tolerujemy jakieś ohydne przyzwyczajenie osoby chorej. Później przyjazd do Montsou, szalona nadzieja, że wszystko da się jeszcze naprawić, miesiące bezwładu, sennego wygnania, zbliżanie się starości która miała mu ją zwrócić. Jeszcze później przyjazd siostrzeńca, tego Pawła, któremu stała się matką i opowiadała o swym sercu umarłym, pogrzebanym w popiołach na zawsze. A on, mąż zaślepiony, nie domyślał się niczego, ubóstwiał tę kobietę, którą posiadali inni, a której jemu nie danym było posiadać. Ubóstwiał ją – choć sam wstydził się tej namiętności – do tego stopnia, że gotów był paść przed nią na kolana, gdyby zechciała obdarować go tym, czego nie dała jeszcze innym. Tym, czego nie dała jeszcze innym, obdarowała tego młodzieniaszka.

Pan Hennebeau wzdrygnął się słysząc daleki odgłos dzwonka. Poznał go; tak dzwonił listonosz. Podniósł się i wybuchnął stekiem grubiaństw, które cisnęły mu się na usta wbrew jego woli:

– Gwizdź na ich depesze! Gwizdź na ich listy!

Ogarnęła go wściekłość, pragnienie odtrącenia od siebie tych wszystkich brudów, które nadawały się do kloaki. Ta kobieta była zwykłą nierządnicą; szukał słów jak najbardziej brutalnych, aby ją nimi spoliczkować. Myśl o tym, z jak spokojnym uśmiechem przyjmowała plany małżeństwa Cecylki z Pawłem, doprowadziła go do ostatecznej rozpaczki. Więc na dnie tej wiecznie żywej zmysłowości nie kryła się już nawet - ani namiętność, ani zazdrość? Więc była to już tylko perwersyjna zabawa, przyzwyczajenie do mężczyzny, rozrywka, której nie potrafiła się wyrzec, tak jak ulubionego deseru? Na nią zrzucał całą winę i usprawiedliwiał niemal młodzieniaszka, który dostał się w jej łapczywe ręce jak niedojrzały owoc skradziony po drodze. Kogo wybierze sobie, na kogo trafi, gdy zabraknie jej usłużnych siostrzeńców, dość praktycznych na to, aby przyjmować od wuja jednocześnie stół, łóżko i żonę?

Ktoś zastukał nieśmiało do drzwi i przez dziurkę dobiegł głos Hipolita:

– Panie dyrektorze, poczta... Wrócił też pan Dansaert i mówi, że się biją...

– Powiedziałem już raz, że zejdem za chwilę!

Co miał teraz uczynić? Przepędzić ich oboje jak nieczyste bestie, których nie chce mieć dłużej pod swoim dachem? Weźmie kij i każe im gdzie indziej nieść truciznę ich występnego stosunku. To ich westchnienia, ich oddechy zawisły ciężko w nagrzanym powietrzu pokoju; przejmujący zapach, który go oszołomił, to woń piżma, którym pachniało ciało jego żony – jeszcze jedno z jej perwersyjnych upodobań, zmysłowa potrzeba silnych woni. I tak oto w pozostawionych w nieładzie naczyniach, w miednicy pełnej wody, w rozrzuconej pościeli, meblach, w całym pokoju zatrutym występkiem odnajdywał ślady cudzołóstwa, żywe, ciepłe, pachnące. Bezsilna wściekłość rzuciła go na łóżko; bił w nie pięściami i rył dłońmi miejsca, w których odcisnęły się ciała kochanków, ogarnięty pasją na odrzucone kołdry i zmięte prześcieradła, bezwolnie poddające się jego razom, jakby i one również zmęczone były całonocną orgią miłosną.

Nagle wydało mu się, że słyszy kroki Hipolita po schodach. Podniósł się zawstydzony. Otarł czoło i poczekał, aż serce uspokoi mu się trochę. Spojrzał w lustro i nie poznał własnej twarzy, tak była zmieniona. Następnie, kiedy dostrzegł, że – największym wysiłkiem woli – zdołał przywrócić jej normalny wyraz, zeszedł na dół.

Czekało na niego pięciu posłańców, nie licząc Dansaerta.

Wszyscy przynosili coraz bardziej niepokojące wieści o marszu strajkujących od kopalni do kopalni. Starszy sztygar opowiedział mu szczegółowo o zajściach w Mirou, które ocalało jedynie dzięki bohaterskiej postawie ojca Quandieu. Pan Hennebeau słuchał, kiwał głową, ale nic nie słyszał; myślami pozostał w pokoju na piętrze. Wreszcie odprawił przybyłych, powiedział im, że powęźmie odpowiednie kroki. Kiedy został sam, usiadł przy biurku, ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Przed sobą miał nadeszłą pocztę i wreszcie zdecydował się poszukać listu, na który czekał, odpowiedzi od zarządu; w pierwszej chwili słowa zaczęły tańczyć mu przed oczyma. Ostatecznie dotarło jednak do jego świadomości, że ci panowie pragną zamieszek; oczywiście nie dawali mu tego jasno do zrozumienia, ale można było wyczuć, że ich zdaniem rozruchy przyspieszyłyby koniec strajku umożliwiając zastosowanie represji. Nie wahając się już dłużej Hennebeau rozesłał depesze na wszystkie strony: do prefekta w Lilie, do dowódcy korpusu w Douai, do żandarmerii w Marchiennes. Doznał ulgi – mógł zamknąć się teraz u siebie, rozpuścił nawet pogłoskę, że cierpi na reumatyzm. Całe popołudnie spędził w gabinecie, nie wpuszczając nikogo, poprzestając jedynie na odczytywaniu napływających bez przerwy depesz i listów. Dzięki nim mógł śledzić z oddali marsz strajkujących, z Madeleine do

Crévecoeur, z Crévecoeur do Victoire, z Victoire do Gaston-Marie. Dowiadywał się również o dezorientacji żandarmów i dragonów, którzy stale znajdowali się w przeciwnej stronie niż atakujący. Mogli sobie wszystko niszczyć i rznąć się nawzajem, on ukrył z powrotem twarz w dłoniach, palce położył na oczach i zagłębił się w milczeniu opustoszałego domu, przerywanym od czasu do czasu jedynie odgłosem przestawiania garnków przez kucharkę szykującą wieczorne przyjęcie.

Dochodziła piąta i zmrok wypełniał już pokój, gdy pan Hennebeau poderwał się nagle, słysząc jakiś hałas. Pomyślał, że to wraca tamtych dwoje. Ale hałas wzrastał, a w chwili gdy dyrektor zbliżał się do okna, rozległ się straszliwy okrzyk:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Byli to strajkujący, którzy brali w swe posiadanie Montsou, gdy tymczasem żandarmi, w przekonaniu, że atakują oni le Voreux, pędzili w tamtą stronę, aby zająć tę kopalnię.

W odległości dwu kilometrów od pierwszych domów Montsou, niedaleko od miejsca, w którym szosa krzyżuje się z drogą do Vandame, pani Hennebeau i jej towarzyszki miały możliwość przyjrzeć się strajkującym. Dzień w Marchiennes upłynął im bardzo przyjemnie. Po śniadaniu zwiedzono warsztaty i pobliską hutę szkła. Wracali w przejrzystym zmroku pogodnego zimowego dnia. Dostrzegłszy opodal drogi niedużą fermę Cecylka zaproponowała kapryśnie, aby napić się po filiżance mleka. Panie wysiadły z powozu, Négrel szarmancko zeskoczył z konia. Wieśniaczka zmieszana przybyciem tak eleganckich państwa chciała nakryć stół obrusem, lecz Łucja i Janka pragnęły zobaczyć, jak doi się krowy, i całe towarzystwo z filiżankami w rękach udało się do obory, ze śmiechem grzęznąc w miękkiej podściółce.

Pani Hennebeau z wyrazem macierzyńskiej pobłażliwości piła brzezkiem warg, gdy nagle zaniepokoił ją jakiś dziwny hałas dobiegający z zewnątrz.

– Co to takiego?

Obora zbudowana przy samej drodze miała szerokie wrota, gdyż służyła jednocześnie jako stodoła. Panienki wysunęły głowy i zdziwiły się widząc, jak od strony Vandame nadpływa jakaś czarna fala, tłum wznoszący gniewne okrzyki.

– Psiakość! – mruknął Négrel, który również wyszedł. – Czyżby nasi krzykacze rozżłościli się na dobre?

– To pewnie znowu górnicy – powiedziała wieśniaczka. – Już drugi raz tędy idą. Widocznie coś się złego dzieje, opanowali całą okolicę.

Wymawiała każde słowo z rozważą i badała, jakie wrażenie wywrze ono na gościach. Widząc ich przerażenie, dodała szybko:

– Och, łajdaki! Och, łajdaki!

Négrel widząc, że za późno jest wsiąść z powrotem do powozu i umknąć do Montsou, kazał woźnicy szybko wjechać na podwórze i ukryć powóz za szopą. Uwiązał za nią swego konia, którego dotąd trzymał za uzdę jakiś chłopiec. Wróciwszy Négrel zastał ciotkę i panny przerażone, gotowe iść za wieśniaczką, która zaproponowała, że schroni je u siebie. Ale młody człowiek był zdania, że w stodole jest bezpieczniej, na pewno nikt nie będzie ich tu szukał w sianie. Wrota nie domykały się co prawda, a przez szpary w spróchniałych deskach widać było drogę.

– Odwagi! – rzekł Négrel. – Drogo sprzedamy nasze życie.

Żart ten zwiększył jeszcze przerażenie kobiet. Wrzawa przybierała na sile, pustą jeszcze drogą zdawały się dąć gwałtowne podmuchy wiatru zwiastujące burzę.

– Nie, nie, nie chcę na to patrzeć! – powiedziała Cecylka; odeszła i wtuliła się w siano.

Pani Hennebeau, bardzo blada, ogarnięta gniewem na tych ludzi, którzy psuli jej rozrywkę, trzymała się nieco w tyle i z ukosa spoglądała na wrota stodoły z wyrazem wstrętu. Lucja i Janka, drżące co prawda z lęku, nie odstępowały jednak od drzwi i wyglądały przez szpary, aby nie stracić nic z widowiska.

Hurkot grzmotu przybliżał się, ziemia zadrżała; pierwszy biegł Janek dmąc w trąbkę.

– Czy ma pani sole? Bo zapach naszego ludu... – szepnął Négrel, który mimo swych republikańskich przekonań lubił żartować z hołoty będąc w towarzystwie pań.

Ale jego dowcip zniknął w huraganie krzyków i gestów. Ukazały się kobiety, około tysiąca kobiet z rozwianymi włosami, w łachmanach, przez które przeglądały nagie kształty samic wyniszczonych płodzeniem głodomorów. Niektóre trzymały na rękach dzieci, podnosiły je w górę, potrząsały nimi jak sztandarem żałoby i zemsty. Inne, młodsze, o nabrzmiąłych piersiach, wymachiwały wojowniczo kijami, a ohydne staruchy krzyczały tak głośno, że wydawało się, iż żyły na ich wychudłych szyjach pękną za chwilę. Następnie pojawili się mężczyźni, dwa tysiące szaleńców; pomocnicy, rębacze, mechanicy, tłum tak zwarty i jednolity, że nie odróżniało się ani wyblakłych spodni, ani podartych wełnianych koszulek, stopionych w jedną bezbarwną całość. Oczy im płonęły, widać było tylko czarne otwory ust, śpiewających *Marsylianką*, której strofy ginęły w niesamowitym ryku, przy wtórze dudnienia sabotów po stwardniałej ziemi. Ponad

głowami pośród żelaznych drągów mignęła siekiera wzniesiona do góry: ta jedyna siekiera, będąca jakby sztandarem całej bandy, przypominała na jasnym tle nieba ostry profil noża gilotyny.

– Co za straszne twarze! – wyjąkała pani Hennebeau.

– Niech mnie diabli wezmą, jeżeli poznaję, chociaż jednego z nich – syknął Négrel przez zęby. – Co to za banda? Skąd się oni wzięli?

I rzeczywiście, wściekłość, głód, dwa miesiące cierpień szaleńcza gonitwa od jednej kopalni do drugiej wydłużyły na kształt paszczy dzikich zwierząt spokojne twarze górników z Montsou.

Słońce zachodziło; ostatnie jego promienie ciemnym szkarłatem zalały równinę. Droga spłynęła krwią, a ludzie zdawali się obryzgani nią jak rzeźnicy w jatkach.

– Och! To wspaniałe! – powiedziały półgłosem Łucja i Janka, natury artystyczne, do których ten groźny widok przemówił swoim pięknem.

Ale i je też ogarnęło przerażenie, cofnęły się w stronę pani Hennebeau opartej o żłób. Myśl, że wystarczyłoby jedno czyjeś spojrzenie rzucone pomiędzy deski tych niedomkniętych wrót, aby wydać je na pastwę tłumu, ścinała im krew w żyłach. Nawet Négrel, tak odważny zazwyczaj, czuł, że blednie, przejęty lękiem silniejszym od jego woli, lękiem, jakim tchnie nieznanie. Zagrzebana w sianie Cecylka nie poruszyła się. Pozostali, mimo że najchętniej odwróciliby oczy, patrzyli na drogę wbrew sobie samym.

Była to szkarłatna wizja rewolucji, która zmiecie ich niechybnie w któryś z krwawych wieczorów kończącego się wieku. Tak, pewnego wieczoru lud, zrzuciwszy jarzmo, przemierzać będzie drogi ociekające krwią burżujów, niosąc ich głowy, siejąc wokół złoto z rozbitych skrzyń. Kobiety będą krzyczeć, mężczyźni będą mieli paszcze wilków otwarte, aby kasać. Tak, to będą te same łańchmany, ten sam łoskot sabotów, ta sama przerażająca ciżba, brudna i cuchnąca, niepowstrzymany zalew barbarzyńców, którzy stratuja stary świat. Zapłoną pożary, miasta obrócą się w perzynę, ludzie zamieszkają w lasach jak dzicy; w przeciągu jednej nocy nędzarze wymordują kobiety i opróżnią piwnice bogatych. Nie pozostanie ani grosz z dawnych fortun, nie ostoi się żaden tytuł, wszystko zniknie aż do chwili, kiedy wyrośnie nowa jakaś ziemia. Tak, to właśnie działo się teraz na drodze, straszliwy wichur rozpętanych żywiołów bił prosto w nich.

Rozległ się krzyk, który zagłuszył *Marsyliankę*:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Łucja i Janka tuliły się do pani Hennebeau, bliskiej omdlenia, a Négrel wysunął się przed nie,

jakby chciał osłonić je swym ciałem.

Czyż tego wieczoru miało rozpaść się dawne społeczeństwo?

To, co ujrzeli w tej chwili, dopełniło miary ich osłupienia. Banda zniknęła już, wlekli się jeszcze tylko maruderzy, gdy wtem pojawiła się Mouquette. Zatrzymała się, wypatrywała burżujów w ich ogrodach, w oknach domów i gdy dostrzegła jakiegoś, nie mogąc napluć mu w twarz, czyniła to, co według niej było najwyższą oznaką pogardy. I teraz też, zobaczywszy zapewne któregoś z nich, podniosła nagle spódnicę, wypięła pośladki i w ostatnim błysku słońca ukazał się jej zad, olbrzymi, nagi, groźny. Nie było w nim nic sprośnego, nic, co by wzbudzało śmiech.

Wszystko zniknęło; wijącą się drogą między niskimi domami pomalowanymi jaskrawo fala potoczyła się ku Montsou. Powóz wyprowadzono na drogę, ale furman nie podejmował się dowieźć pani i pańienek do domu bez szwanku, o ile strajkujący są jeszcze na szosie, a co najgorsza, innego dojazdu nie było.

– No, ale przecież musimy wracać, obiad czeka – powiedziała pani Hennebeau z pasją. – Ta hołota akurat wybrała sobie dzień, kiedy mam gości. I bądź tu dobry dla takich ludzi!

Janka i Łucja wyciągnęły z siana Cecylkę; wrywała się przekonana, że te dzikusy wciąż jeszcze biegną drogą, i powtarzała, że nie chce nic widzieć. Wreszcie wszystkie zajęły miejsca w powozie. Négrełowi, który z powrotem dosiadł konia, przyszło nagle na myśl, że mogą wrócić do domu uliczką od strony Requillart.

– Jedźcie powoli – rzekł do furmana – bo droga jest fatalna. Gdybyście zobaczyli na szosie ludzi, to zatrzymajcie powóz za starą kopalnią, my dojdziemy do domu pieszo od strony ogrodu, a wy zostawicie konie i powóz w pierwszej lepszej oberży.

Ruszyli. Tłum, w oddali, napływał do Montsou. Mieszkańców, którzy dwukrotnie tego dnia widzieli żandarmów i dragonów, ogarnęła panika. Krążyły straszliwe pogłoski, opowiadano o ręcznie pisanych plakatach, które wieściły śmierć burżujom; nikt ich nie czytał, ale to nie przeszkadzało, że cytowano z nich całe ustępy. Zwłaszcza u notariusza przerażenie doszło do szczytu, gdyż otrzymał pocztą list anonimowy, w którym uprzedzano go, że w jego piwnicy zakopana jest baryłka z prochem i że jeśli nie opowie się po stronie ludu – dom jego wyleci w powietrze. Państwo Gregoir'owie, którzy zatrzymali się na wizycie trochę dłużej z powodu nadejścia tego listu, dyskutowali nad nim akurat, wysuwając przypuszczenie, że jest on dziełem jakiegoś żartownisia, gdy wtargnięcie strajkujących do reszty przeraziło domowników.

Grégoire'owie uśmiechali się.

Odsuwając brzeżek firanki wyglądali przez okno; nie dopuszczali do siebie myśli o niebezpieczeństwie, pewni, jak mówili, że wszystko skończy się ugodowo. Wybiła piąta; czekali, aż chodniki opróżnią się, aby udać się naprzeciwko do państwa Hennebeau na obiad.

Cecylka na pewno już wróciła i czeka. Ale w Montsou nikt nie zdawał się podzielać ich nadziei; ludzie biegali przerażeni, drzwi i okna zamykały się gwałtownie. Po drugiej stronie szosy zobaczyli Maigrata: żelaznymi sztabami barykadował sklep, tak blady przy tym i drżący, że jego wąta i drobna żona musiała mu pomagać.

Tłum zatrzymał się przed pałacykiem dyrektora, rozległ się okrzyk:

– Chleba! Chleba! Chleba!

Pan Hennebeau stał przy oknie, kiedy Hipolit wszedł do pokoju pozamykać okiennice, z obawy, aby nie potłuczono kamieniami szyb. Najpierw pozamykał wszystkie na parterze, później przeszedł na pierwsze piętro; dobiegł skrzyp antab i łoskot zasuwania żaluzji. Niestety, nie można było zasłonić okna kuchennego w suterenie, niepokojącego okna, w którym migotał ogień.

Chcąc widzieć, co się dzieje na ulicy, pan Hennebeau przeszedł machinalnie na drugie piętro do pokoju Pawła: można stąd było ogarnąć wzrokiem szosę aż do warsztatów Towarzystwa. Stał za żaluzją, górując nad tłumem. Lecz widok pokoju na nowo nim zatargał – umywalnia wytarta i uporządkowana, łóżko chłodne, zasłane gładko. Jego gniew, wściekłe szamotanie się w głębokim milczeniu samotności, przemieniły się w bezmierne zmęczenie. On sam był teraz jak ten pokój, ostygły, uprzątnięty z porannych nieczystości, z powrotem pełen zwykłego ładu. I po cóż wywoływać skandal? Czy coś się zmieniło? Jego żona miała po prostu jednego kochanka więcej; fakt, że wybrała go spośród członków rodziny, niewiele tu już zmieniał. A może nawet lepiej, że tak się stało, bo łatwiej jej będzie uratować pozory. Na wspomnienie szaleńczego wybuchu zazdrości ogarnęła go litość nad samym sobą. Jakże był śmieszny tłukąc pięściami w to łóżko! Tolerował już niegdyś innego kochanka, więc będzie tolerował i tego. Wystarczy wzbudzić w sobie trochę więcej pogardy. Straszliwa gorycz zalała mu usta, świadomość bezużyteczności wszystkiego, nieśmiertelna boleść życia, wstyd, że wciąż jeszcze kocha tę kobietę i pożąda jej mimo brudów, w jakich utkwiała.

Okrzyki pod oknem wybuchnęły ze zdwojoną siłą:

– Chleba! Chleba! Chleba!

– Głupcy! – syknął pan Hennebeau przez zaciśnięte zęby.

Słyszał, jak lżą go, wymawiając mu wysokie pobory, jak nazywają go spasionym nierobem, parszywą świnia, która obżera się dobrymi rzeczami, aż choruje na niestrawność, podczas gdy robotnicy zdychają z głodu. Kobiety dostrzegły kuchnię; rozpętało to burzę złorzeczeń przeciw bażantowi, który się piekł, i sosom, których treściwa woń przyprawiała o skurcze ich puste żołądki. Och! ci przekłeci burzuje, raz by ich zatkać truflami i szampanem, ale tak, żeby ich rozparło!

– Chleba! Chleba! Chleba!

– Głupcy! – powtórzył pan Hennebeau. – Czyż ja jestem szczęśliwy?

Podnosił się w nim gniew na tych ludzi, którzy niczego nie rozumieli. Chętnie zrzekłby się na ich korzyść swoich wysokich poborów, byle tylko stać się gruboskórnym tak jak oni i jak oni kochać łatwo i bez żalów. Dlaczegoż nie mógł posadzić ich przy swoim stole i pozwolić im najeść się bażantem, a sam iść szukać przygód z dziewczętami gdzieś przy drodze i brać je nie troszcząc się o to, kto brał je przed nim! Byłby oddał wszystko, swoje wykształcenie, swój dobrobyt, swój luksus, swoją władzę dyrektora, aby móc choć przez jeden dzień być ostatnim z tych nędzarzy, którzy go słuchali, wolnym od dręczącej namiętności, dostatecznie brutalnym, żeby bić żonę i romansować z sąsiadkami. Chętnie przymierałby głodem, cierpiał skurcze i omdlewał z wyczerpania; może zagłuszyłoby to jego odwieczną boleść. Ach! żyć jak zwierzę, nic nie posiadać, uganiać się po polach z ładowaczką jak najbrzydszą, jak najbrudniejszą i móc się tym zadowolić!

– Chleba! Chleba! Chleba!

Rozgniewał się i rzucił z wściekłością w rozgwar tamtych głosów:

– Chleba! Czyż to wystarczy, głupcy?

To prawda, on miał pełny żołądek, ale czy mniej przez to cierpiał? Tragedia spustoszonego ogniska domowego, smutek całego życia podpłynął mu do gardła i targał nim jak przedśmiertna czkawka. I cóż z tego, że miał dosyć chleba? Jakimż głupcem trzeba być, aby myśleć, że szczęście leży w posiadaniu bogactw! Ci naiwni marzyciele, rewolucjoniści, mogą sobie zmieść z powierzchni ziemi stare społeczeństwo i zbudować nowe, ale nie dodadzą ludzkości ani łąta szczęścia, nie zmniejszą w niczym jej utrapień przez to, że każdy otrzyma bułkę z masłem. Przeciwnie, rozszerzą jeszcze krąg cierpień, sprawią, że nawet psy zaniosą się pewnego dnia wyciem rozpaczy, wyrwane z beztroskiego zaspokajania swych instynktów po to, żeby dźwigać

jarzmo nienasyconej męki wielkich namiętności. Nie, jedynym dobrem jest nie istnieć, a jeśli się już istnieje, to być drzewem, kamieniem – mniej jeszcze: ziarnkiem piasku, które nie może spłynąć krwią pod stopami przechodniów.

Udręczonemu do ostatecznych granic łzy stanęły w oczach i stoczyły się piekącymi kroplami po policzkach. Zmrok ogarnął już szosę, gdy na fasadę pałacyku posypały się kamienie. Nie czując już teraz gniewu na tych zgłodniałych ludzi, rozjątrzony tylko dojmującym bólem własnego serca, pan Hennebeau jękał pośród łez:

– Głupcy! Głupcy!

Lecz okrzyk głodu okazał się silniejszy, powiał jak burza, zmiatając wszystko.

– Chleba! Chleba! Chleba!

VI

Otrzeźwiony policzkiem Katarzyny Stefan pozostał na czele towarzyszy. Lecz gdy zachrypłym głosem kierował ich ku Montsou, słyszał jednocześnie w sobie jakiś inny głos, który dziwił się i pytał, po co to wszystko? Nie chciał przecież wcale tego, co się działo. Jakimże to sposobem – wyruszywszy do Jean-Bart po to, by działać z chłodnym rozmysłem i zapobiec nieszczęściom – dopuszczał się, jednego za drugim, szeregu gwałtów i wreszcie u schyłku dnia znalazł się przed pałacykiem dyrektora jako napastnik?

A jednak on to przecież krzyknął niedawno: stać! Co prawda chodziło mu wówczas przede wszystkim o to, by ochronić warsztaty Towarzystwa, którym groziła zagłada. Teraz, gdy kamienie znaczyły ślady zadraśnięć na fasadzie pałacyku, bezskutecznie szukał w myśli jakiegoś innego obiektu, ku któremu mógłby w pełnym poczuciu sprawiedliwości skierować gniew towarzyszy, aby zapobiec większym jeszcze nieszczęściom. Kiedy tak stał, sam i bezsilny, pośrodku drogi, od strony szynku Tisona, którego właścicielka zdążyła już pozamykać okiennice, dobiegł go jakiś głos.

– Tak, to ja... Chodź no tu na chwilę.

Był to Rasseneur. Około trzydziestu mężczyzn i kobiet, prawie wszyscy z kolonii Dwieście Czerdzieści, którzy pozostali rano w domu, a wieczorem wyszli zasięgnąć wiadomości,

schroniło się do tego szynku widząc zbliżający się tłum strajkujących. Przy jednym ze stołów siedział Zachariasz z żoną Filomeną. Nieco dalej Pierron i Pierronka odwracali się plecami do drzwi i kryli twarze. Nikt nie pił.

Stefan poznał Rasseneura i chciał się oddalić, gdy ten dorzucił:

– Nie w smak ci jest mój widok, co?... A uprzedzałem cię, czym to wszystko pachnie. Domagajcie się teraz chleba, domagajcie! Kulkę wam dadzą, a nie chleba.

Wówczas Stefan zawrócił i powiedział:

– Co mi jest nie w smak, to tchórze, którzy z założonymi rękami przyglądają się, jak my narażamy życie.

– Więc zamierzasz dopuścić do grabieży tam naprzeciwko? – zapytał Rasseneur.

– Zamierzam zostać do końca z przyjaciółmi, nawet gdybyśmy mieli wszyscy zginąć.

Stefan wmieszał się z powrotem w tłum, zrozpaczony, gotów ponieść śmierć. Na szosie troje dzieciaków rzucało kamienie na dom dyrektora. Wymierzył im silne kopnięcie krzyżąc – aby powstrzymać w ten sposób towarzyszy – że nic im z tego nie przyjdzie wszystkim, jak potłuką szyby.

Bébert i Lidka, którzy dogonili Janka, uczyli się teraz od niego posługiwać procą. Każde z nich wypuszczało po kolei kamienie robiąc zakłady, komu uda się wybić większą dziurę. Lidka, przez niezręczność, rozcięła głowę jednej z kobiet w tłumie; obaj chłopcy trzymali się za boki ze śmiechu. Bonnemort i Mouque siedzieli z tyłu na ławce i przyglądali się im. Opuchłe nogi Bonnemorta odmawiały mu posłuszeństwa i z wielkim trudem dowlókl się tutaj, nikt jednak nie wiedział, co za ciekawość go popycha, gdyż jego ziemista twarz nie wyrażała nic, tak jak we dnie, kiedy nie można było wydobyć z niego ani słowa.

Nikt już zresztą nie słuchał Stefana. Mimo jego zakazów kamienie padały dalej jak grad. Zdumiony i przerażony patrzył na tych ludzi, których zwierzęcy gniew on sam rozpełtał. Spokojni z natury, stawali się straszliwi, gdy raz rozniecono w nich pożogę. Pływała w nich stara krew flamandzka, ciężka i powolna. Mijały miesiące, nim się wzburzyła, lecz wówczas nie dość im było żadnych potworności; głusi na wszystko, musieli nasycić się okrucieństwem. Na południu tłum zapalał się szybciej, lecz mniej przy tym działał. Stefan musiał mocować się z Levaque'em, aby wyrwać mu siekiere, i nie wiedział, jak powstrzymać Maheuów, którzy obiema rękami ciskali kamienie. Najbardziej przerażały go kobiety, Lewaczka, Mouquette i inne, opanowane żądzą mordy, z wyszczerzonymi zębami, wyciągniętymi pazurami, ujadające jak

suki. Stara Brûlé, której chuda postać górowała nad nimi, podniecała je jeszcze.

Lecz nagle zapanował chwilowy spokój; zdziwienie dokonało tego, czego nie mogły osiągnąć błagania Stefana. Byli to po prostu państwo Grégoire'owie, którzy zdecydowali się pożegnać z notariuszem i przejść na drugą stronę ulicy do dyrektora; wydawali się tak spokojni i tak pewni, że ich poczciwi górnicy, których rezygnacją żywili się od przeszło wieku, teraz żartują tylko, iż ci, zdziwieni rzeczywiście przestali ciskać kamienie bojąc się, aby nie uderzyć tego starszego pana i tej starszej pani, spadłych nagle z nieba. Pozwolili im wejść do ogrodu i na ganek, zadzwonić do zabarykadowanych drzwi, których nikt nie śpieszył się otwierać. Pokojówka Rózia wracała właśnie do domu śmiejąc się do rozjuszonych robotników; znała ich wszystkich, gdyż pochodziła z Montsou. I ona to właśnie, bijąc pięścią w drzwi, zmusiła wreszcie Hipolita, aby je uchylił. Był już najwyższy czas; ledwo Grégoire'owie zniknęli, kamienie posypały się od nowa. Otrząsnąwszy się ze zdumienia tłum krzychał jeszcze głośniej:

– Śmierć burżujom! Niech żyje rewolucja socjalna!

W westybulu Rózia śmiała się dalej, jakby rozbawiona tą przygodą, i powtarzała do przerażonego służącego:

– Oni nie są źli, ja ich znam.

Pan Grégoire starannie powiesił kapelusz. Następnie, pomógłszy pani Grégoire zdjąć płaszcz z grubego sukna, odezwał się:

– Niewątpliwie, w gruncie rzeczy oni nie są źli. Jak sobie pokrzyczą, to później zjedzą kolację z większym apetytem.

W tej chwili na schodach pokazał się pan Hennebeau.

Widział całą scenę i zjawił się powitać gości, chłodny i uprzejmy jak zwykle. Tylko bladość twarzy mówiła o łkaniach, które wstrząsały nim niedawno. Zwyciężywszy w sobie męczyznę był już tylko nienagannym urzędnikiem zdecydowanym wypełnić swój obowiązek.

– Muszę państwa uprzedzić, że panie nie wróciły jeszcze – rzekł.

Po raz pierwszy Grégoire'owie odczuli niepokój. Cecylka nie wróciła?

To jakże wróci, jeżeli te żarty górników potrważą dłużej?

– Myślałem o tym, aby rozpedzić tych ludzi – dorzucił pan Hennebeau – ale niestety jestem tutaj sam i nie wiedziałbym zresztą nawet, dokąd wysłać służącego, żeby mi sprowadził paru żołnierzy i kaprała, którzy by wymietli tę hołotę.

Rózia, która pozostała w westybulu, ośmieliła się szepnąć:

– Och! Oni nie są źli, proszę pana.

Dyrektor potrząsnął głową; tumult na dworze wzrastał, kamienie uderzały głucho o fasadę.

– Nie mam do nich pretensji, uważam ich nawet za wytłumaczonych, są bardzo głupi i dlatego uwierzyli, że zawzięliśmy się, aby ich gnębić. Ale to ja odpowiadam za utrzymanie spokoju... I pomyśleć, że podobno żandarmi patrolują okolicę, a ja nie widziałem od rana ani jednego!

Przerwał i usunął się przed panią Grégoire mówiąc:

– Proszę, niech pani będzie łaskawa wejść do salonu.

Lecz kucharka, która zjawiała się nagle w westybulu z miną pełną rozpacz, zatrzymała go na chwilę. Oświadczyła, że nie przyjmuje odpowiedzialności za obiad, gdyż na czwartą zamówiła u pasztetnika z Marchiennes paszteciki w kruchym cieście i do tej pory na nie czeka. Na pewno pasztetnik zawieruszył się gdzieś po drodze, zląkwszy się tych bandytów. A może splądrowali mu wózek. Wyobrażała sobie ten napad na paszteciki, które wypełniły następnie brzuchy trzech tysięcy nędzarzy domagających się chleba. W każdym razie woli uprzedzić pana dyrektora, że prędzej wrzuci cały obiad pod blachę, niż miałyby go zepsuć z powodu rewolucji.

– Troszkę cierpliwości – powiedział pan Hennebeau.

– Nie ma nic straconego, pasztetnik może jeszcze nadejść.

Zwróciwszy się w stronę pani Grégoire, aby samemu otworzyć jej drzwi do salonu, z wielkim zdziwieniem ujrzał na kanapce w westybulu jakiegoś człowieka, którego do tej pory nie dostrzegł w mroku.

– Ach, to wy, Maigrat. Co się stało?

Maigrat wstał; ukazała się jego twarz, nalana i blada, zmieniona przez strach. W niczym nie przypominał teraz dawnego, spokojnego tłuściocha; wyjaśnił pokornie, że wśliznął się do domu pana dyrektora, aby prosić go o pomoc i opiekę, w razie gdyby ci zbóje napadli na jego sklep.

– Widzicie chyba, że ja sam jestem w niebezpieczeństwie i że nie mam nikogo – odparł pan Hennebeau.

– Lepiej byście zrobili zostając w sklepie i pilnując towaru.

– Och, założyłem sztaby i zresztą zostawiłem tam żonę.

Dyrektor zniecierpliwiał się; nie ukrywał pogardy: piękna mi straż to cherlawe stworzenie wychudłe od razów!

– Trudno, nie mogę wam nic pomóc, starajcie się bronić. I radzę wam, wracajcie do siebie

zaraz, bo oni wciąż domagają się chleba... Posłuchajcie tylko.

Rzeczywiście, wrzawa wzmogła się jeszcze, a Maigratowi wydało się, że pośród krzyków usłyszał swoje nazwisko. Wracać już nie mógł, rozszarpaliby go. Z drugiej jednak strony myśl o grożącej ruinie doprowadzała go do rozpacz. Przyłożył twarz do szyby w drzwiach wejściowych i oblany potem, drżący, wypatrywał swej kłęski. Państwo Grégoire'owie weszli do salonu.

Pan Hennebeau z całym spokojem czynił honory domu. Na próżno jednak prosił gości, aby usiedli – każdy nowy krzyk dobiegający ze dworu napelniał lękiem zamknięty, zabarykadowany pokój, oświetlony dwiema lampami. Dlatego właśnie, że docierał przyciszony, gniew tłumu wydawał się tu jeszcze bardziej niepokojący, pełen gróźb niejasnych a straszliwych. Rozmowa powracała co chwila do tych niepojętych rozruchów. Pan Hennebeau dziwił się, że niczego nie przewidział; wprowadzony w błąd informacjami, jakich mu dostarczono, oburzał się przede wszystkim na Rasseneura, o którego fatalnym wpływie doskonale, jak mówił, wiedział. Zresztą żandarmi powinni się zjawić lada chwila, to niemożliwe, żeby go miano tak zostawić. Co do państwa Grégoire'ów, to zaprzątnięci byli wyłącznie myślą o córce: ona taka skłonna do przestachu, biedaczka! Może zauważywszy niebezpieczeństwo panie wróciły jednak do Marchiennes? Oczekiwanie trwało jeszcze przez kwadrans, tym bardziej denerwujące, że towarzyszyły mu krzyki i bębnienie kamieni w okiennice. Sytuacja stawała się nie do zniesienia i pan Hennebeau mówił właśnie, że wyjdzie, sam przepędzi krzykaczy i uda się na spotkanie powozu, gdy zjawił się Hipolit krzycząc:

– Proszę pana! Proszę pana! Panią zabijają!

Ponieważ powóz nie mógł przejechać wąską uliczką od Requillart, pełną nieprzyjaznych twarzy, Négreł namówił panie, aby tak jak proponował, przejść pieszo te sto metrów, które dzieliły ich od domu, i zapukać do bramy ogrodowej; ogrodnik powinien usłyszeć, zresztą na pewno ktoś się znajdzie, aby im otworzyć. Z początku wszystko szło jak najlepiej, pani Hennebeau i panienki pukały już do bramy, gdy wtem kobiety, które widać powiadomiono, rzuciły się w uliczkę. Sprawa przybrała zły obrót. Bramy nie otwierano, Négreł na próżno starał się wyważyć ją ramieniem. Kobiet napływało coraz więcej, zląkł się, że ich otoczą, i wówczas powziął desperacką myśl, aby popychając przed sobą ciotkę i panny przebić się przez tłum do głównego wejścia. Napastnicy odpowiedzieli na ten manewr wzmocnionym naciskiem: nie przepuszczano ich, rozkrzyczany tłum nacierał im na pięty, a z prawa i z lewa pojawiali się coraz

to nowi strajkujący nie rozumiejąc na razie, co się dzieje, zdumieni, skąd się wzięły te wystrojone damy. W zamęcie, jaki powstał, zaszło coś, czego niesposób wytłumaczyć. Łucja i Janka przedarły się na ganek i wśliznęły przez drzwi, które uchylili pokojówka; pani Hennebeau udało się pójść w ich ślady; wreszcie za nimi wszedł Négrel i zasunął zasuwę przekonany, że widział, jak Cecylka wchodziła do domu pierwsza. Ona tymczasem zagubiła się po drodze, ogarnięta takim lękiem, że zawróciła w przeciwną stronę i sama rzuciła się w największe niebezpieczeństwo. Natychmiast podniósł się krzyk;

– Niech żyje rewolucja socjalna! Śmierć burzujom! Śmierć!

Cecylka miała twarz zakrytą woalką i z daleka jedni brali ją za panią Hennebeau, inni znów za jej przyjaciółkę, żonę pewnego dyrektora huty z sąsiedztwa, znienawidzonego przez robotników. Wszystko jedno zresztą, kim była – to jej jedwabna suknia, jej futro, nawet białe pióro przy kapeluszu budziły w nich wściekłość. Pachniała perfumami, miała zegarek, miała delikatną skórę kobiety, która próżnuje, która nigdy nie dotknęła węgla.

– Poczekaj! – krzyknęła stara Brûlé – już my ci wepchniemy do tyłka te twoje koronki!

– To nam kradną to wszystko te łajdaczki – podjęła Lewaczka. – Ubierają się w futra, kiedy my zdychamy z zimna...

Rozbierzcie ją do naga, niech się nauczy żyć!

Mouquette wyrwała się nagle naprzód:

– Tak, tak, osmagać ją!

Ogarnięte dziką rywalizacją kobiety pchały się, wyciągały ręce w łachmanach, każda z nich chciała pochwycić jakiś strzęp tej bogaczki. Na pewno nie miała zadka ładniejszego niż one. A Bóg wie jaką zgniliznę chowa pod tymi fatalaszkami! I to nie ona jedna! Za długo już tej niesprawiedliwości, zmuszą je, żeby ubierały się jak robotnice, te k..., które ośmielają się wydawać po pięćdziesiąt sous na pranie spódnicy!

Otoczona rozjuszonymi kobietami Cecylka drżała powtarzając wciąż to samo zdanie:

– Proszę, niech panie nie robią mi krzywdy! Proszę, niech panie nie robią mi krzywdy!

Nagle wydała chrypliwy krzyk: jakieś zimne ręce chwyciły ją za gardło. Był to stary Bonnemort, w stronę którego popchnął ją tłum i który teraz rzucił się na nią. Wydawał się pijany głodem, zidiociały na skutek wieloletniej nędzy, teraz – nie wiedzieć pod wpływem jakiego urazu – otrząsnął się nagle z półwiekowej rezygnacji. Człowiek, który niejednokrotnie narażał własne życie, aby ratować towarzyszy, teraz, zafascynowany tą białą szyją dziewczęcą, uległ

siłom, których nie potrafiłby nazwać. Ponieważ był to właśnie jeden z tych dni, kiedy nie odzywał się ani słowem, w milczeniu zaciskał palce, podobny do starego, chorego zwierzęcia przeżywającego jakieś wspomnienia.

– Nie! Nie! – zawyły kobiety. – Rozebrać ją! Rozebrać!

Kiedy towarzystwo w pałacyku spostrzegło, co się dzieje, Négrel i pan Hennebeau wybiegli odważnie, aby przyjść Cecylce z pomocą. Lecz tłum napierał teraz na kratę ogrodu i niełatwo było się wydostać. Wywiązała się walka; na ganku ukazali się przerażeni państwo Grégoire'owie.

– Zostawcie ją, dziadku! To panienka z Piolaine! – zawołała Maheudka do starego poznając Cecylkę, której jedna z kobiet rozerwała woalkę.

Stefan, wstrząśnięty tym mściwym atakiem na bezbronną dziewczynę, starał się powstrzymać tłum. Nagle wpadł na pewien pomysł; podniósł do góry siekiere, którą wyrwał przedtem Levaque owi.

– Do Maigrata, słyszycie!... Tam dosyć jest chleba! Zwalić budę Maigrata!

I pierwszy wymierzył cios siekierą w drzwi sklepu. Koledzy poszli za nim, Levaque, Maheu i paru innych. Ale kobiety nie odstąpiły od swej ofiary. Z rąk Bonnemorta przeszła Cecylka w ręce starej Brûlé. Lidka i Bébert, pod wodzą Janka, wśliznęli się na czworakach pod spódnicę dziewczyny, aby zobaczyć, jaki też ta pani ma tyłek. Zaczęto ją szarpać i suknie pękały już, gdy na drodze ukazał się mężczyzna na koniu. Przynaglał zwierzę i smagał szpicrutą każdego, kto nie usuwał się dość szybko.

– Ach, bydłeta, więc już i na nasze dzieci podnosicie ręce!

Był to Deneulin, który przyjechał na proszony obiad. Szybko zeskoczył na ziemię i objął Cecylkę, a drugą ręką z niezwykłą zręcznością i siłą kierował koniem posługując się nim jak żywym klinem, roztrącając tłum, który cofał się przed kopytami. Walka przy kracie trwała dalej. Deneulin przedarł się tam siłą. Ta niespodziewana pomoc oswobodziła Négrela i pana Hennebeau znajdujących się w wielkim niebezpieczeństwie, narażonych na wyzwiska i ciosy. Młody człowiek wziął na ręce omdlałą Cecylkę i niósł ją ku domowi, a Deneulin osłaniał dyrektora swym wielkim ciałem. Gdy był już na ganku, otrzymał uderzenie kamieniem tak silne, że o mało nie zmiażdżyło mu ramienia.

– Dobrze! – krzyknął – kopalnię już rozbiliście, teraz porozbijacie mi jeszcze kości!

Gwałtownie zamknął za sobą drzwi. Posypał się na nie grad kamyków.

– Co za opętańcy! – powiedział – jeszcze chwila, a byliby mi rozłupali czaszkę jak pustą dynię... Nie ma już z nimi co gadać. Poszaleli. Teraz można tylko strzelać.

W salonie państwo Grégoire'owie płakali patrząc na Cecylkę, która odzyskiwała przytomność. Nie stało jej się nic złego, nie zdraśnięto jej nawet: tylko woalka podarta była w strzępy. Lecz przerażenie ich wzrosło, gdy ujrzeli przed sobą kucharkę Melanię, która opowiedziała im, jak tłum demolował Piolaine. Nieprzytomna ze strachu przybiegła uprzedzić swoich państwa. Korzystając z zamętu wśliznęła się tutaj przez uchylone drzwi, nie zauważona przez nikogo. W jej niekończącej się opowieści jeden jedyny rzucony przez Janka kamień i jedyna stłuczona szyba przemieniały się w regularną kanonadę, od której pękały mury. Państwo Grégoire'owie doznali wstrząsu: znęcano się nad ich córką, usiłowano znieść z powierzchni ziemi ich dom. Czyżby rzeczywiście górnicy mieli do nich żal o to, że w spokoju żywili się owocami ich pracy?

Pokojówka, która przyniosła ręcznik i wodę kolońską, powtórzyła:

– Swoją drogą to nie rozumiem, bo przecież oni nie są źli.

Pani Hennebeau siedziała bardzo blada; nie mogła przyjść do siebie po doznanym wstrząsie i dopiero gdy wieszowano Négrelowi jego męstwa, uśmiechnęła się lekko. Zwłaszcza rodzice Cecylki dziękowali młodemu człowiekowi specjalnie serdecznie, małżeństwo stało się rzeczą nie ulegającą wątpliwości. Pan Hennebeau w milczeniu przenosił wzrok z żony na jej kochanka, którego parę godzin temu pragnął zabić, to znów na dziewczynę, która miała go wkrótce, uwolnić od jego osoby. Nie zależało mu wcale, aby stało się to prędko, nurtował go lęk, aby żona nie stoczyła się wówczas jeszcze niżej, w ramiona jakiegoś lokaja może.

– A jakże wy się czujecie, malutkie? – zapytał Deneulin córek. – Nic wam się nie stało?

Łucja i Janka przeżyły chwilę strachu, ale rade były, że widziały to wszystko. Śmiały się teraz.

– *Sapristi!* – ciągnął Deneulin – to dopiero dzionek!... Jeżeli chcecie mieć posag, będziecie musiały same na niego zapracować. A przygotujcie się jeszcze i na to, że przyjdzie wam wziąć ojca na utrzymanie.

Usiłował żartować, ale głos mu drżał. Oczy napęłniły mu się łzami, gdy obie córki rzuciły się w jego objęcia.

Pan Hennebeau posłyszał to wyznanie, które mówiło o ruinie. Jakaś żywa myśl rozjaśniła mu twarz. Vandame dostanie się teraz Montsou – oto była upragniona rekompensata, uśmiech losu,

który przywróci mu względy panów z zarządu. Ilekroć spotykały go klęski w życiu osobistym, chronił się pod pancernym skrupulatnego wypełniania swych obowiązków, jak gdyby wojskowa dyscyplina, jaką sobie narzucił, była ową skromną częstką szczęścia, która przypadła mu w udziale.

Towarzystwo uspokajało się powoli, salon oświetlony łagodnym światłem dwóch lamp i otulony portierami napelniał się znużoną ciszą. Co działo się na dworze? Krzyki umilkły, kamienie nie padały już na fasadę, słychać było tylko jakieś głuchoe odgłosy, jakby drwale rąbali drzewo gdzieś daleko w lesie. Chcąc się dowiedzieć, co to takiego, goście wrócili do westybulu, aby rzucić okiem przez szybę w drzwiach. Panie i panienki poszły na pierwsze piętro i stanęły przy oknach za żaluzjami.

– Widzi pan tam naprzeciwko, przed szynkiem, tego łajdaka Rasseneura? – powiedział pan Hennebeau do Deneulina. – To jego sprawa to wszystko!

Nie był to jednak Rasseneur, lecz Stefan, który rozbijał siekierą sklep Maigrata i przywoływał kolegów: czyż towary tam w środku nie są własnością górników? Czyż nie mają oni prawa odebrać swego dobra temu złodziejowi, który wyzyskuje ich od tak dawna, morzy głodem na rozkaz Towarzystwa? Jeden po drugim zostawiali w spokoju dom dyrektora i biegli rabować sklep. Okrzyki: chleba! chleba! chleba! zabrzmiały na nowo. Znajdą go tam pod dostatkim, za tymi drzwiami. Głód rozpętał w nich szaleństwo, wydało im się nagle, iż jeśli będą czekać dłużej, padną. Napierali na drzwi z taką siłą, że ilekroć Stefan podnosił siekiere, bał się, iż kogoś zrani.

Tymczasem Maigrat opuścił westybul pałacyku i schronił się najpierw do kuchni, nie dochodziły tam żadne odgłosy; puszczając wodze fantazji wyobrażał sobie potworny napad na jego sklep. Wyszedł na dwór i skrył się za studnią, gdy wtem usłyszał wyraźnie trzask pękających desek i okrzyki gniewu, pośród których powtarzało się jego nazwisko. Więc to nie był tylko koszmar: nie widział nic, lecz słuchem śledził teraz przebieg ataku. W uszach mu szumiało. Każdy cios siekiery trafiał go prosto w serce. Jakiś zawias puścił – jeszcze pięć minut i sklep będzie zdobyty. W myślach przemknęły mu straszliwe obrazy: ci bandyci rzucają się na - jego mienie, siłą otwierają szuflady, rozpruwają worki, jedzą, piją, roznoszą w drzazgi cały dom i nie zostaje mu już nic, ani kawałek kija, żeby mógł chodzić od wsi do wsi na żebry. Nie, nie da się im zrujnować, raczej pozwoli się zabić! W jednym z okien dostrzegł nikłą sylwetkę żony, bladą i niewyraźną za szybą: pewno z milczącą pokorą osoby przywykłej do razów czekała teraz

na nowe. Pod oknem mieściła się przybudówka przylegająca jednym końcem do muru okalającego ogród dyrektora, mógł się więc na nią dostać, a stamtąd bez trudu wczołgać po dachu aż do okna. Myśl, żeby powrócić do siebie w ten sposób, nie dawała mu spokoju. Dręczyły go wyrzuty, że opuścił sklep. Może zdążyłby go zabarykadować meblami? Wynajdywał nawet inne jeszcze, bohaterskie sposoby obrony: oblewanie napastników wrzącą oliwą lub płonąca naftą. Chciwość walczyła w nim z tchórzostwem. Nagle, usłyszawszy jakiś głośniejszy cios siekierą, zdecydował się. Skąpstwo zwyciężyło. On i żona własnymi ciałami osłonią worki, ale nie oddadzą ani jednego chleba.

Niemal w tej samej chwili rozległy się drwiące okrzyki:

– Patrzcie! Patrzcie!... Widzicie kocura? Brać kota! Brać kota!

Tłum zauważył Maigrata na dachu przybudówki. Rozgorączkowany, zrećnie przedostał się przez mur mimo swej tuszy i teraz pełznął po dachówkach chcąc dostać się do okna. Ale dach okazał się bardzo spadzisty, brzuch przeszkadzał Maigratowi posuwać się, paznokcie mu pękały. Byłby jednak dobrnął aż do szczytu, gdyby nie to, iż zaczął drżeć z lęku przed kamieniami, bowiem niewidoczny tłum krzyczał wciąż:

– Brać kota! Brać kota! Skończyć z nim!

I nagle rozwarł obie dłonie, stoczył się jak kula, podskoczył na rynnie, odbił się od muru okalającego ogród i upadł na drogę tak nieszczęśliwie, że trafił głową w kamienny narożnik ogrodzenia. Trysnął mózg. Maigrat nie żył. Jego żona, blada i niewyraźna za szybą, patrzyła wciąż.

W pierwszej chwili atakujący znieruchomieli ze zdumienia. Stefanowi siekiera wysunęła się z rąk. Maheu, Levaque i wszyscy inni zapominając o sklepie zwrócili oczy na kamień, z którego spływała czerwona strużka. Krzyki ucichły; w gęstniejącym zmroku milczenie zataczało coraz szersze kręgi. Lecz w chwilę potem na nowo podniosła się wrzawa. Rzuciły się kobiety pijane żądzą krwi.

– Więc jest jednak sprawiedliwość na tym świecie! Ach, łajdak, dostał za swoje!

Otoczyły ciepłe jeszcze zwłoki i lżyły je ze śmiechem, nazywały ohydną mordą jego rozbitą głowę, prosto w twarz śmierci rzucały okrzyki nabrzmiałe urazą długoletniej nędzy.

– Byłam ci winna sześćdziesiąt franków, masz teraz swoją zapłatę, złodzieju! – krzyczała Maheudka jeszcze bardziej rozjuszona niż inne. – Już mi nie odmówisz kredytu! Poczekaj, poczekaj, niech no cię jeszcze nakarmię!

Drapała palcami ziemię, nabrała jej pełne garście i wepchnęła mu do ust.

– Masz, żryj to, żryj!... Przez całe życie nas pożerałeś!

Obelgi wzmogły się, a umarli, wyciągnięty na plecach, nieruchomy, spoglądał w bezmierne niebo, z którego spływała noc. Ta ziemia w jego ustach to był chleb, którego odmawiał. I tylko takim chlebem będzie się żywił odtąd. Nie przyniosło mu to szczęścia, że głodził biedaków.

Ale kobietom nie dość było tej zemsty. Podobne do wilczyc krążyły wokół niego, węsząc. Szukały jakiejś obelgi, jakiegoś okrucieństwa, które przyniosłoby im ulgę.

– Uciąć mu ogon jak kotu! – rozległ się ostry głos starej Brûlé.

– Tak! Tak! Brać kota! Brać kota!... Dosyć już narobił złego, łajdak!

Mouquette ściągała mu już spodnie; a Lewaczka podniosła nogi. Stara Brûlé rozsunęła obnażone uda i wyschłymi dłońmi chwyciła obumarły członek. Napinając z wysiłkiem chudy grzbiet ciągnęła z całych sił. Zwiotczałe ciało stawiało opór, musiała ponowić swój chwyt i wreszcie podniosła do góry krwawy strzęp wymachując nim i śmiejąc się triumfalnie:

– Mam go! Mam go!

Przekleństwa i złożeczenia powitały to ohydne trofeum.

– Nie będzie już więcej robił dzieci naszym córkom!

– Skończyło się, nie będziemy ci już nadstawiać tyłka, żebyś dał nam chleba!

– Winna ci jestem sześć franków, może chcesz coś na zadatek? Dam ci bardzo chętnie, jeżeli jeszcze możesz wziąć!

Zaniosły się straszliwym śmiechem. Pokazywały sobie skrwawiony ochłap jak złe zwierzę, które każdej z nich robiło krzywdę. Dostały je teraz w swe ręce i zmiażdżyły. Pluły na ciało, powtarzały dławiąc się pogardą:

– Już nie może, już nie może!... Już nie chłopaka zakopią do ziemi! A gnij sobie, boś i tak już do niczego!

Stara Brûlé zatknęła wyrwany strzęp ciała na kij, podniosła go do góry jak sztandar i rzuciła się na szosę, a za nią chmara wyjących kobiet. Spadały krople krwi, ciało zwisało żałośnie jak ochłap w jatce. Na górze, w oknie, pani Maigrat stała wciąż nieruchoma; ostatnie błyski zachodu, odbijające się w szybie, zniekształcały jej bladą twarz, która zdawała się śmiać. Bitą, zdradzana, zgarbiona od ślęczenia nad rachunkami, może rzeczywiście śmiała się patrząc na kobiety unoszące ze sobą na końcu kija złe zwierzę, pokonane teraz.

Ta straszliwa operacja dokonała się pośród niemego przerażenia reszty strajkujących. Ani

Stefan, ani Maheu, ani inni nie mieli czasu zainterweniować; znieruchomiali patrzyli na biegnące jędze. We drzwiach szynku Tisona ukazał się Rasseneur, pobladły z oburzenia, Zachariasz i Filomena, oszołomieni tym, co widzieli. Dwaj starcy, Bonnemort i Mouque, kiwali głowami z powagą. I tylko Janek śmiał się, trącał łokciem Béberta i zmuszał Lidkę, aby podniosła głowę. Kobiety zawróciły i defilowały teraz pod oknami dyrekcji. Ukryte za żaluzjami panie i panienki wyciągnęły głowy. Nie widziały całej sceny, gdyż mur zasłonił ją przed ich oczami, a teraz przeszkadzał im zmrok.

– Co one niosą na tym kiju? – zapytała Cecylka, która ośmieliła się spojrzeć.

Łucja i Janka oświadczyły, że to jest chyba skóra królika.

– Nie, nie – szepnęła pani Hennebeau – widocznie zrabowali masarnię, bo to wygląda jak kawałek mięsa.

Nagle zadrżała i umilkła. Pani Grégoire trąciła ją kolanem. Obydwie spoglądały w osłupieniu. Panienki pobladły i nie zadawały już pytań odprowadzając wzrokiem tę krwawą wizję niknącą w ciemnościach.

Stefan na nowo pochwycił siekiere. Ale niemiłe uczucie nie chciało minąć; ten trup zagradzał im teraz drogę i bronił sklepu. Wielu cofnęło się. Uspokajali się, nasyceni. Maheu spochmurniał. Nagle usłyszał, że ktoś szepcze mu do ucha, aby uciekał. Odwrócił się i zobaczył Katarzynę, brudną, zadyszaną, w tej samej, co przedtem, męskiej kurtce. Odepchnął ją ramieniem. Nie chciał słuchać, groził, że ją pobije. Uczyniła gest rozpacz, zawahała się przez chwilę, a później podbiegła do Stefana.

– Uciekaj, uciekaj, żandarmi!

I on również odepchnął ją, przyjął obelgami, czując, jak na wspomnienie otrzymanych policzków krew napływa mu do twarzy. Ale ona nie ustępowała, zmusiła go, aby rzucił siekiere, i chwyciwszy oburącz ciągnęła z siłą, której nie potrafił się oprzeć.

– Mówię ci, że zaraz będą tu żandarmi!... Posłuchaj mnie. To Chaval ich sprowadził, jeżeli chcesz wiedzieć. To było ohydne, że doniósł, więc przybiegłam... Uciekaj, ja nie chcę, żeby cię złapali.

I pociągnęła go za sobą; w oddali rozległ się tętent kopyt końskich po bruku. Trysnął okrzyk: Żandarmi! Żandarmi! – Ludzie rzucili się do ucieczki w takim popłochu, że po upływie dwóch minut droga opustoszała całkowicie, jakby wymieciona przez huragan. I tylko trup Maigrata znaczył się ciemną plamą na białej ziemi. Przed szynkiem Tisona pozostał jedynie Rasseneur,

który z ulgą na pojaśnionej twarzy witał łatwe zwycięstwo szabel. W opustoszałym, pogrążonym w ciemności i milczeniu pozamykanych domów Montsou, spoceni ze strachu mieszkańcy szcękali zębami. Równina tonęła w gęstwie nocy i tylko płomienie wielkich pieców i baterii koksowych rozjaśniały tragiczne niebo. Ciężki galop żandarmów rozlegał się coraz bliżej, nadpłynęli zwartą masą, w której nie można było rozróżnić poszczególnych postaci. Za nimi, powierzony ich opiece, nadjechał wreszcie wózek pasztetnika z Marchiennes, kariolka, z której wyskoczył kuchcik i ze spokojem zabrał się do wyjmowania pasztecików.

CZEŚĆ SZÓSTA

I

Minęły dwa tygodnie lutego; straszliwy mróz przedłużał tę ciężką zimę, bez miłosierdzia dla biedaków. Do zagłębia zjechały władze: prefekt z Lilie, prokurator, generał. Jakby nie dość było ochrony żandarmerii, do Montsou przybyło wojsko, cały pułk, który zakwaterowano pomiędzy Beaugnies a Marchiennes. Uzbrojone posterunki strzegły szybów, przed każdą maszyną stał żołnierz. Mieszkanie dyrektora, warsztaty Towarzystwa a nawet domy niektórych mieszczan najeżyły się bagnietami. Kroki patroli dudniły po bruku. Na hałdzie w le Voreux dniem i nocą stał wartownik, jak strażnik przybrzeżny w podmuchach lodowatego wiatru górujący nad nagą równiną; co dwie godziny, jak w nieprzyjacielskim kraju, rozlegało się wołanie straży:

– Stój, kto idzie?... Zbliżyć się do podania hasła!

Pracy nie podjęto nigdzie. Przeciwnie, strajk rozszerzył się jeszcze: Crévecoeur, Mirou, Madeleine wstrzymały wydobywanie tak samo jak le Voreux; w Feutry-Cantel i Victoire liczba pracujących malała z każdym dniem; nawet w nietkniętej dotąd Saint-Thomas zaczynało brakować ludzi. Przemocy, która raniła dumę górników, przeciwstawiono niemy opór. Osiedla pośród pól buraczanych zdawały się wymarłe. Robotnicy nie wychodzili prawie wcale, z rzadka tylko można było spotkać któregoś z nich; na widok czerwonych spodni opuszczali głowy i patrzyli z ukosa. Pod tym ponurym spokojem, w tym biernym oporze kryła się kłamliwa łagodność, przymusowe, cierpliwe posłuszeństwo drapieźców w klatce, gotowych – z oczyma utkwionymi w pogromcę – skoczyć na niego, gdy tylko się odwróci. Towarzystwo, któremu ten zastój w pracy groził ruiną, rozpuściło pogłoskę, że sprowadzi górników z Borinage, na granicy

belgijskiej; nie śmiało jednak tego zrobić i walka pomiędzy siedzącymi w domach robotnikami a zamarłymi kopalniami, pilnowanymi przez żołnierzy, trwała nadal.

Spokój zapanował zaraz następnego dnia po owych straszliwych wydarzeniach i krył w sobie tyle obaw, że – w miarę możliwości – pokryto milczeniem wyrządzone szkody i okrucieństwa, których tłum się dopuścił. Śledztwo ustaliło, że Maigrat umarł na skutek upadku z dachu, a straszliwe okaleczenie trupa pozostało nie wyjaśnione; krążyły już o tym rozmaite wieści. Towarzystwo ze swej strony nie przyznało się do szkód, jakie poniosło, a państwo Grégoire'owie nie zamierzali bynajmniej kompromitować córki wywołując skandaliczny proces, w którym musiałaby być świadkiem. Zaaresztowano jednak kilka osób najmniej znaczących, jak zawsze, ogłupiałych i przerażonych, które nie potrafiły nic powiedzieć. Przez omyłkę zaprowadzono Pierrona w kajdankach aż do Marchiennes, co wywołało uciechę wśród jego kolegów. Również i Rasseneur o mało nie został aresztowany. Dyrekcja poprzestała na sporządzeniu listy zwolnień; masowo zwracano książeczki: zwolniono Maheua, Levaque'a i trzydziestu czterech ich towarzyszy z samej tylko kolonii Dwieście Czterdzieści. Najsurowsza kara spaść miała na Stefana, który zniknął od dnia rozruchów; szukano go, ale nadaremnie. Chaval w swej nienawiści zadenuncjował go, nikogo jednak poza tym nie wymienił, ubłagany przez Katarzynę, która chciała ratować rodziców. Dnie mijały, wszyscy czuli, że to jeszcze nie koniec, i z sercem zdławionym niepokojem czekali, co nastąpi.

Mieszczanie z Montsou budzili się teraz każdej nocy z przerażeniem, gdyż zdawało im się, że dzwony biją na alarm, a w powietrzu unosi się woń prochu. Ale ostatecznym ciosem stało się dla nich kazanie nowego proboszcza, księdza Ranvier, chudego kapłana o płonących oczach, który zajął miejsce księdza Joire. Jakże daleko mu było do uśmiechniętej dyskrecji tamtego pulchnego, łagodnego człowieka troszczącego się jedynie o to, by ze wszystkimi żyć w zgodzie! Czyż ksiądz Ranvier nie ośmielił się stanąć w obronie tych ohydnych zbójów, którzy przynosili hańbę całej okolicy? Znajdował wytłumaczenie dla zbrodniczych postępów strajkujących, gwałtownie atakował burżuazję, zrzucając na nią całą odpowiedzialność. To burżuazja pozbawiając Kościół jego dawnych przywilejów, aby samej ich nadużywać, przemieniła świat w piekło niesprawiedliwości i cierpienia; to ona przez swój ateizm i uparte odrzucanie braterskich tradycji pierwszych chrześcijan – przedłuża nieporozumienia, które doprowadzą do straszliwej katastrofy. Ośmielił się grozić bogatym, uprzedzał ich, że jeśli nadal nie zechcą słuchać głosu Boga, to Bóg na pewno stanie po stronie ubogich: odbierze fortuny możnym i rozdzieli je

między maluczkich tego świata, dla chwały swego imienia. Nabożni drżeli słysząc te słowa, notariusz oświadczył, że ksiądz jest socjalistą, a wszyscy widzieli już w wyobraźni proboszcza, jak wymachując krzyżem, na czele bandy, obraca w perzynę burżuazyjne społeczeństwo, jakie stworzył rok osiemdziesiąty dziewięć.

Pan Hennebeau poinformowany o wystąpieniu księdza powiedział wzruszając ramionami:

– Jeżeli będzie się nam za bardzo dawał we znaki, to biskup uwolni nas od jego osoby.

Podczas gdy z jednego końca równiny w drugi wiały podmuchy paniki, Stefan mieszkał pod ziemią, w głębi Requillart, w grocie Janka. Tam właśnie się schronił, a nikomu nie przyszło na myśl, że może być tak blisko; kryjąc się na terenie kopalni w jednym z opuszczonych chodników starego szybu, zmylił poszukiwania. Na górze krzewy dzikiej śliwy i głogu, wyrosłe pomiędzy zniszczonymi rusztowaniami wieży, zasłaniały otwór; nikt się tam nie zapuszczał, trzeba było znać sposób, uwiesić się korzeni jarzębiny i odważnie zsunąć w dół, aby osiągnąć niepołamanych szczebli. Inne jeszcze przeszkody chroniły Stefana: dławiące gorąco przesmyku, sto dwadzieścia metrów niebezpiecznej drogi, a później uciążliwe czołganie się na brzuchu przez ćwierć mili, zanim dotarło się do złodziejskiej groty pełnej łupów. Stefan żył tam w dostatku, zastał bowiem na miejscu trochę jałowcówki, resztkę suchego sztokfiszka, różnego rodzaju zapasy. Wielkie łoże z siana było wysmienite, temperatura równa i łagodna. Groził mu tylko brak światła.

Janek, który stał się jego dostawcą, ostrożnym i dyskretnym jak dzikus, uszczęśliwiony, że ma możliwość zadrwić sobie z żandarmów, przynosił mu wszystko, nawet pomadę do włosów, ale jakoś nie udawało mu się zdobyć paczki świec. Piątego dnia Stefan świecił już tylko przy jedzeniu; w ciemnościach kęsy stawały mu jakoś w gardle. Ta nie kończąca się, zupełna, wiecznie jednakowo czarna noc była dlań wielką udręką. Nigdy jeszcze, choć mógł teraz spać spokojnie, miał co jeść i nie marznął, ciemności nie przytłaczały go takim ciężarem. Zdawało mu się, że miażdżą każdą jego myśl. I oto żył teraz z kradzieży! Obudziły się w nim dawne skrupuły, zadowalał się suchym chlebem, ograniczał racje żywnościowe. Lecz cóż miał robić? Musiał żyć, nie wypełnił jeszcze swojego zadania. Ogarniał go również wstyd na wspomnienie chwili, kiedy napiwszy się jałowcówki na pusty żołądek rzucił się z nożem na Chawala. Wspomnienie to poruszało w nim całą otchłań lęku; obciążony dziedzicznie, potomek pijaków, nie znosił ani kropli alkoholu, gdyż natychmiast ogarniała go chęć mordu. Czyż skończy kiedyś jako morderca? Znalazłszy się w bezpiecznej kryjówce, otoczony głębokim spokojem wnętrza

ziemi, syty gwałtów spał przez dwa dni snem udreżonego zwierzęcia; gdy się obudził, uczucie niesmaku nie ustąpiło, głowę miał obolałą, w ustach gorycz jak po jakiejś straszliwej hulance. Uplłynął tydzień; Maheuowie, powiadomieni, gdzie jest, nie mogli dostarczyć mu świecy: musiał wyrzec się światła, nawet przy jedzeniu.

Całymi godzinami leżał teraz wyciągnięty na sianie. Przeżuwał myśli, o które nigdy się nie podejrzewał. To poczucie własnej wyższości odsuwało go od towarzyszy, coraz to silniejsze, w miarę jak zdobywał wiedzę. Nigdy tyle nie rozmyślał; zastanawiał się, skąd to obrzydzenie nazajutrz po szaleńczym biegu od jednej kopalni do drugiej, i nie śmiał sobie odpowiedzieć. Wspomnienia budziły w nim wstręt: przyziemność pożądań, grubiaństwo instynktów, unoszony z wiatrem zapach całej tej nędzy. Mimo udreki, jaką sprawiały mu ciemności, lękał się chwili, kiedy powróci do osiedla. Cóż za ohyda, wszyscy ci nędzarze stłoczeni razem! Nikogo, z kim można by poważnie porozmawiać o polityce, życie bydła, wiecznie ten sam przekłety zapach cebuli, od którego można się udusić. Chciał rozszerzyć ich horyzonty, podnieść ich do dostatku i dobrych manier mieszcuchów, czyniąc ich panami; lecz jakże to długa droga! Brakło mu odwagi, aby oczekiwać zwycięstwa pośród tej kaźni głodu. Powoli jego próżność, chęć przewodzenia i myślenia za innych odsunęła go od towarzyszy, tchnęła weń duszę jednego z owych mieszczan, których tak nienawidził,

Pewnego wieczoru Janek przyniósł mu kawałek świecy ukradziony z latarni jakiegoś woźnicy; była to dla Stefana wielka ulga. Przytłoczony ciemnością, bliski szaleństwa, zapalał ogarek na chwilę, a później, skoro tylko odpędził koszmara, gasił go chciwie jak skąpiec, chroniąc to światło równie potrzebne mu do życia jak chleb. Cisza dźwięczała mu w uszach, nie dochodziły doń inne odgłosy prócz biegania szczurów, trzaskania starych stempli i ledwie dosłyszalnego szmeru tkania sieci przez pająka. Z oczyma utkwionymi w tę łagodną nicość, powracał do swej idee-fixe: co robią towarzysze tam na górze? Gdyby ich opuścił, byłaby to z jego strony ostatnia podłość. Jeżeli skrył się tutaj, to po to, ażeby pozostać na wolności, służyć im radą i działać. Długie rozmyślenia ustaliły kierunek i cel jego ambitnych zamierzeń: dopóki nie stanie się kimś więcej, chciał zostać Pluchartem, porzucić pracę, zajmować się jedynie polityką, zupełnie sam, w czystym pokoju, gdyż praca umysłowa pochłania człowieka całkowicie i wymaga wiele spokoju.

Na początku drugiego tygodnia chłopiec powiadomił go, że żandarmi przeświadczeni są, iż przedostał się do Belgii; wówczas Stefan ośmielił się wyjść ze swej kryjówki z nadejściem nocy.

Pragnął zorientować się w sytuacji, przekonać, czy dalszy opór jest celowy. Jego zdaniem sprawa była przegrana; jeszcze przed wybuchem strajku wątpił w jego skuteczność, ustąpił po prostu faktom; teraz, po przejściowym upojeniu buntem, odnajdywał swe dawne wątpliwości, tracił nadzieję, aby można zmusić Towarzystwo do ustępstw. Nie przyznawał się jednak do tego przed sobą, gdyż na myśl o klęsce, o ciężarze odpowiedzialności za tyle cierpienia, dławił go lęk. Koniec strajku, czyż to nie byłby koniec jego roli, upadek jego ambicji, powrót do ogłupiającej pracy w kopalni i ohydneho życia w osiedlu? I uczciwie, bez kłamliwego wyrachowania, starał się odnaleźć swą dawną wiarę, udowodnić sobie, że opór w dalszym ciągu jest możliwy, że wobec bohaterskiego samobójstwa pracy kapitał sam się załame.

I rzeczywiście, całe zagłębie zdawało się chylić ku ruinie. Gdy błąkał się nocą po mrocznych polach jak wilk, który opuścił swą knieję, zdawało mu się, że cała równina rozbrzmiewa łoskotem walących się przedsiębiorstw. Fabryki stały zamknięte, wymarłe, a ich zabudowania murszały pod wybladłym niebem. Najbardziej ucierpiały cukrownie; cukrownia Hoton, cukrownia Fauvelle najpierw zredukowały część robotników, a potem jedna po drugiej ogłosiły upadłość. Młyn parowy Dutüeuła stanął w połowie miesiąca, a fabryka powroźnicza Bleuze'a, dostarczająca lin kopalniom, była całkowicie zrujnowana. W okolicy Marchiennes sytuacja pogarszała się z każdym dniem: paleniska w hucie szkła Gagebois wygasły, warsztaty stolarskie Sonnevile stale zwalniały pracowników, w hucie żelaza palił się tylko jeden z trzech wielkich pieców, ani jedna bateria koksowa nie płonęła na horyzoncie. Strajk górników w Montsou, będący wynikiem pogłębiającego się od dwóch lat kryzysu, zaostrzył go jeszcze przyśpieszając klęskę. Do źródeł zła – braku zamówień z Ameryki i zamrożenia kapitałów – dołączył się niespodziewany brak węgla dla tych kilku czynnych jeszcze kotłów; brak chleba dla maszyn – oznaczał agonię. Parę miesięcy przedtem, przerażone ogólnym zastojem gospodarczym, Towarzystwo zmniejszyło wydobycie wtrącając tym w nędzę górników; teraz w składach kopalń nie było ani kawałka węgla. Wszystko pozostawało ze sobą w związku, klęska tkwiła korzeniami głęboko, jedna katastrofa pociągała drugą, a ich echo dotarło aż do sąsiednich miast: Lilie, Douai, Valenciennes, gdzie wiele rodzin zostało zrujnowanych ucieczką paru bankierów.

Wędrując pośród lodowatej nocy Stefan nieraz zatrzymywał się i wsłuchiwał w płacz rumowisk. Głęboko wdychał ciemności, budziła się w nim nadzieja, że dzień, który wzejdzie, zastanie dawny świat w gruzach, fortuny obalone, podcięte jak kosą tuż przy ziemi, i wszystkich ludzi sobie równych. W tej zagładzie najbardziej interesowały go kopalnie Towarzystwa. Ruszał

dalej, oślepiiony mrokiem, i zwiedzał jedną po drugiej, szczęśliwy, ilekroć zauważył jakąś nową szkodę. W opuszczonych chodnikach waliły się stropy, uszkodzenia były coraz to poważniejsze. Nad północną częścią Miron ziemia obsuwała się coraz głębiej, tak że droga do Joiselle zapadła się na przestrzeni stu metrów jakby na skutek trzęsienia ziemi. Towarzystwo bez targów płaciło właścicielom za ich pochłonięte grunty, bojąc się rozgłosu wokół tych wypadków. W Crévecoeur i w Madeleine, o pokładach bardzo kruchych, chodniki zwięzały się coraz bardziej; mówiono o dwóch sztygarach zasypanych w Victoire; w Feutry-Cantel część kopalni zaląła woda; w Saint-Thomas kilometr chodnika należało omurować, gdyż nie doglądane stemple pękały. Każda godzina przynosiła olbrzymie straty, czyniła szczyrby w dywidendach akcjonariuszy; szybko postępujące naprzód zniszczenia groziły pochłonięciem słynnych denarów z Montsou, których wartość wzrosła w ciągu wieku stokrotnie.

Kłęski spadające na Towarzystwo napełniały Stefana nadzieją; dochodził do przekonania, że trzeci miesiąc oporu unicestwi potwora, bestię znużoną i obżartą, ukrytą jak bóstwo w tajemnym sanktuarium. Wiedział, że zajścia w Montsou wywołały poruszenie w gazetach paryskich; wywiązała się gwałtowna polemika między dziennikami półurzędowymi i pismami opozycyjnymi, a ostrze kampanii zwracało się przede wszystkim przeciwko Międzynarodówce, którą cesarstwo popierało najpierw, a która obecnie budziła w nim lęk. Zarząd nie śmiał już dłużej udawać, że o niczym nie wie; dwóch zarządców raczyło udać się na miejsce, aby zbadać sytuację, lecz wydawali się pokrzywdzeni tą koniecznością i zupełnie nie zainteresowani tym, jaki obrót przybiorą wydarzenia. Wyjechali po trzech dniach oświadczywszy, że wszystko układa się jak najlepiej. Krążyły jednak pogłoski, że przez czas swego pobytu panowie z zarządu obradowali bez przerwy, rozwijali gorączkową działalność, pochłonięci sprawami otoczonymi całkowitą tajemnicą. Stefan doszedł do wniosku, że ich ufność była pozorna, a odjazd był pełną popłochu ucieczką, i fakt, że ci straszliwi ludzie pozostawiają wszystko własnemu losowi, utwierdził w nim pewność zwycięstwa.

Lecz następnej nocy znów ogarnęło go zwątpienie. Towarzystwo miało zbyt silny kark, aby tak łatwo go ugiąć; mogło teraz stracić miliony i tak później odbije je sobie na robotnikach. Tej samej nocy, dotarłszy aż do Vandame, domyślił się prawdy, gdy jeden z dozorców powiedział mu, że podobno Vandame ma przejść do Montsou. Ludzie opowiadali, że Deneulinowie są w nędzy, w nędzy ludzi bogatych: ojciec chory jest z bezsilności, postarzały od kłopotów finansowych, a córki borykają się z dostawcami, aby uratować chociaż resztki mienia. Bieda

mniej była dotkliwa w wygłodzonych osiedlach niż w tym mieszczańskim domu, którego mieszkańcy ukrywali się z tym, że przyszło im pić wodę. Jean-Bart nie ruszał, a pompę w Gaston-Marie trzeba było zmienić; mimo pośpiechu, z jakim się do tego zabrano, woda zalała część kopalni, co pociągnęło za sobą ogromne koszty. Deneulin zwrócił się wreszcie do Grégoire'ów z prośbą o pożyczanie stu tysięcy franków; ich odmowa, przewidziana zresztą, dobiła go. Grégoire'owie twierdzili, że jeżeli odmawiają, to tylko przez życzliwość, aby oszczędzić mu beznadziejnej walki, i radzili, aby sprzedał Vandame, a on odpowiadał z pasją, że nie. Do wściekłości doprowadzała go myśl, że to on ponosi koszty całego strajku, i miał z początku nadzieję, że może atak apopleksji uwolni go od trosk. Lecz później – co robić? – wdał się w pertraktacje. Szykanowano go, umniejszano wartość tej wspaniałej zdobyczy, tego odnowionego, świeżo wyposażonego szybu, którego wydajność paraliżował jedynie brak płynnego kapitału. Niech Deneulin będzie szczęśliwy, jeżeli dostanie tyle, żeby miał z czego pospłacać wierzycieli. Przez dwa dni walczył z przybyłymi do Montsou zarządcami, oburzony, że z takim spokojem wykorzystują jego sytuację, swym gromkim głosem rzucając im wściekłe: - nigdy! I na tym się skończyło; panowie z zarządu wrócili do Paryża, aby cierpliwie czekać agonii przeciwnika. Stefan domyślił się, że ta transakcja miała im wyrównać poniesione straty, i potęgą wielkich kapitałów – tak silnych w walce, iż gdy inne, mniejsze, padają obok nich, one tuczą się ich klęską wchłaniając ich zwłoki – przejęła go rozpacz.

Na szczęście następnego ranka Janek przyniósł mu dobrą wiadomość. W le Voreux szalowanie szybu groziło pęknięciem, zewsząd przeciekała woda i trzeba było w wielkim pośpiechu zmobilizować brygadę cieśli, którzy zabrali się do reparacji.

Stefan omijał dotąd le Voreux zaniepokojony czarną sylwetką wartownika, widniejącą niezmiennie na szczycie hałdy. Nie można było nie natknąć się na nią wzrokiem, panowała nad równiną, wznosiła się w powietrzu jak sztandar pułku. Koło trzeciej w nocy niebo ściemniło się i Stefan udał się do kopalni; koledzy objaśnili mu uszkodzenie szybu: ich zdaniem należało jak najszybciej oszalować go na nowo, co przerwałoby wydobycie na trzy miesiące. Krążył długo wsłuchując się w stuk młotów. Cieszyła go ta rana, którą trzeba było opatrywać.

Gdy wracał o świcie, wartownik stał na hałdzie. Tym razem zobaczy go na pewno. Szedł rozmyślając o tych żołnierzach wziętych z ludu, których uzbrajano przeciwko ludowi. Jakże łatwy stałby się triumf rewolucji, gdyby armia nagle stanęła po jej stronie! A wystarczyłoby przecież, aby robotnik i chłop w koszarach przypomnieli sobie o swym pochodzeniu. Było to

największe niebezpieczeństwo, na myśl o którym burzuje szczękali zębami ze strachu. W jednej chwili zostaliby zmieceni, unicestwieni razem z radościami i ohydą ich życia opartego na krzywdzie. Już teraz krążyły wieści, że całe pułki zatrute są ideami socjalistycznymi. Czy była to prawda? Czyżby dzięki rozdany przez burżuazję nabojom zapanować miała sprawiedliwość? Przeskakując do innej nadziei młody człowiek marzył, że pułk strzegący kopalni przyłącza się do strajku, rozstrzeliwuje wszystkich członków Towarzystwa i wreszcie oddaje kopalnię górnikom.

Zorientował się, że wchodzi na hałdę, w głowie szumiało mu od tych rozmyślań. Dlaczego nie miałby porozmawiać z wartownikiem? Wybada, jakie są jego przekonania. Z obojętną miną szedł dalej, jakby szukał kawałków starego drzewa w zagłębieniach terenu. Żołnierz stał nieruchomo.

– Ale przekłeta pogoda, co, kolego? – odezwał się wreszcie Stefan. – Zdaje mi się, że będzie śnieg.

Żołnierz był mały, włosy miał bardzo jasne, twarz łagodną i bladą, usianą piegami. Otulał się szynelem niezdarnie jak rekrut.

– Mnie się też tak zdaje – szepnął i utkwiał swe niebieskie oczy w niebie szarzącym jutrzenką.

– Ależ oni są głupi, że wam tu kazali stać i marznąć – ciągnął Stefan. – Kozaków się spodziewają czy co?... A wiatr to tu wieje niezgorszy!

Żołnierz drżał z zimna bez słowa skargi. Wprawdzie niedaleko znajdowała się budka, do której w wietrzne noce chronił się stary Bonnemort, ale ponieważ wartownicy otrzymali rozkaz nieopuszczania wierzchołka hałdy, żołnierz nie ruszał się stamtąd ani na krok; ręce tak miał zgrabiałe, że nie czuł już karabinu. Należał do sześćdziesięcioosobowego oddziału pilnującego le Voreux, a że ta okrutna służba wypadała często, kiedyś o mało nie zamarzł na posterunku; nogi obumarły mu z zimna. Odrętwiały w biernym posłuszeństwie, odpowiadał na pytania urywanymi słowami, jak dziecko, któremu chce się spać.

Na próżno Stefan przez kwadrans usiłował nawiązać z nim rozmowę o polityce. Tamten odpowiadał tak i nie, ale zdawał się nic nie rozumieć; koledzy mówią, że kapitan jest republikanin; co do niego, to nie wie, wszystko mu jedno. Jak mu każą strzelać, to będzie strzelał, bo inaczej to by go ukarali. Robotnik słuchał ogarnięty nienawiścią ludu do wojska, do tych braci, którym odmieniano serce wkładając im czerwone spodnie.

– Jak wam na imię?

– Juliusz.

– A skąd jesteście?

– Z Plogof, tam – wyciągnął rękę.

Wiedział tyle tylko, że to jest w Bretanii. Jego blada twarzyczka ożywiła się, roześmiał się.

– Mam matkę i siostrę. Czekają na mnie. Och! poczekają jeszcze... Jak wyjeżdżałem, odprowadziły mnie aż do Pont-1'Abbe. Wzieliśmy konia od Lepalmeków i o mało sobie nóg nie połamał, jakeśmy zjeżdżali z Audierne. Mój krewniak, Karol, czekał na nas; przygotował kiełbasę, ale kobiety tak płakały, że człowiekowi wszystko w gardle stawało... Ach! mój Boże! mój Boże! Jak też to daleko do domu!

Nie przestawał się śmiać, ale oczy mu zwilgotniały. Ujrzał przed sobą bezludne nadbrzeże w Plogof i dziki przylądek du Raz, zalane słońcem, poróżowiałe od wrzosów.

– Jak myślisz – zapytał – jeżeli nie będę miał żadnych kar, to dadzą mi miesiąc urlopu za dwa lata?

Wówczas Stefan zaczął mu opowiadać o Prowancji, którą opuścił jako dziecko. Rozwidniało się, z ziemistego nieba padały płatki śniegu. Stefan zaniepokoił się dostrzegłszy Janka błakającego się pośród krzaków, zdumionego, że widzi go na górze. Chłopiec przyzywał go ruchem ręki. I po cóż te marzenia o zbrataniu się z żołnierzami? Nim to nastąpi, upłyną jeszcze długie lata. Jego daremna próba napełniła go zniechęceniem, jak gdyby liczył na to, że mu się powiedzie. Lecz nagle zrozumiał gesty Janka: nadchodziła zmiana warty. Odszedł więc, pobiegł schronić się w Requillart, z sercem raz jeszcze rozdartym pewnością klęski; Janek biegł obok niego i klął na tego wstrętnego żołdaka, który przywołał wartę, żeby do nich strzelali.

Na szczycie hałdy Julek stał nieruchomo, wpatrzony w płatki śniegu. Nadszedł sierżant ze swymi ludźmi, wymieniono przewidziane regulaminem zawołania:

– Stój, kto idzie?... Zbliżyć się do podania hasła! I znów zadudniły ciężkie kroki, jak w podbitym kraju. Mimo że robiło się coraz widniej, w osiedlach nikt się nie ruszał, górnicy przytłoczeni żołnierskim butem milczeli pełni wściekłości.

II

Od dwóch dni padał śnieg; trzeciego dnia rano przestał, a silny mróz ściał lodem jego olbrzymi kobierzec. Ta czarna kraina o drogach jak wstęgi zanurzone w atramencie, o domach i drzewach przyprószonych pyłem węglowym wybielała nie kończąca się bielą. Osiedle Dwieście Czterdzieści zniknęło pod śniegiem. Z żadnego komina nie wydobywał się dym. Domy pozbawione ognia równie były zimne jak przydrożne kamienie i gruba warstwa śniegu na dachach nie tajała. Domy te przypominały białe płyty w kamieniołomach, zdawały się wizją wymarłego miasteczka otulonego całunem. I tylko buty patrolujących żołnierzy zostawiały na ulicach błotniste ślady.

Maheuowie poprzedniego dnia spalili ostatnią szufelkę miału, a przy tym straszliwym zimnie, kiedy nawet wróble nie znajdowały ani źdźbła trawy, nie mogło być mowy o zbieraniu węgla na hałdzie. Swą zajadłość w wygrzebywaniu go spod śniegu Alzira przypłaciła chorobą. Maheudka owinęła córkę w strzęp kołdry i czekała na doktora Vanderhaghena, po którego chodziła już dwa razy, ale żadnym razem go nie zastała. Ponieważ jednak służąca obiecała jej, że pan doktor będzie w osiedlu przed nocą, wyglądała go stojąc przy oknie. Chora, która zeszła z góry, gdyż łudziła się, że przy wystygłym piecu będzie jej lepiej, siedziała na krześle drząc z zimna. Naprzeciw stary Bonnemort, któremu znów dokuczały nogi, zdawał się spać. Lenora ani Henryk nie wrócili jeszcze; uganiali się po drogach w towarzystwie Janka, żebrząc. I tylko Maheu przemierzał ciężkimi krokami ogołoconą izbę objając się o ściany, ogłupiały jak zwierzę, które przestało już widzieć swą klatkę. Nafta skończyła się również, lecz śnieg na dworze był tak biały, że jego refleksy rozjaśniały nieco pokój mimo zapadłego zmroku.

Rozległ się stukot sabotów i do izby wpadła rozwścieczona Lewaczka już od progu krzycząc do Maheudki:

– Więc to ty mówiłaś, że ja zmuszam mojego lokatora, żeby mi płacił dwadzieścia sous za każdym razem, jak się ze mną prześpi?

Tamta wzruszyła ramionami:

– Ja nic nie mówiłam, co mi będziesz głowę zawracać... Kto ci to powiedział?

– Nie musisz wiedzieć, kto. Powiedzieli mi i już... I nawet mówiłaś jeszcze, że wszystko słyszysz przez ścianę i że u nas chałupa zarasta brudem, bo ja się wyleguję do góry brzuchem.

Może powiesz, żeś tego nie mówiła, co?

Co dzień wybuchały kłótnie, gdyż kobiety bez przerwy plotkowały jedna na drugą. Zwłaszcza sąsiadujące ze sobą rodziny wadziły i godziły się stale. Nigdy dotąd ludzie nie żywili do siebie tyle cierpkiej urazy. Od chwili wybuchu strajku głód zaostrzał pretensje, ręce rwały się do bicia: zwady między kumoszkami kończyły się bójką mężczyzn.

Zjawił się Levaque ciągnąc za sobą Bouteloupa.

– O, tu jest nasz lokator, niech sam powie, czy dawał mojej żonie dwadzieścia sous, żeby się z nią przespać.

Tamten, przerażony i łagodny, protestował, jękał:

– Ależ nie, nigdy!

Levaque podsunął nagle Maheuowi pięść pod nos i powiedział z pogroźką w głosie:

– Nie podoba mi się to, rozumiesz? Jak się ma taką żonę jak ty, to jej trzeba przyłożyć raz i drugi... Znaczy się, ty wierzysz w to, co ona opowiada?

– Psiakrew! – krzyknął Maheu wściekły, że wyrwano go z otępienia – cóż to znowu za jakieś plotki? Mało jeszcze macie biedy? Wynos się albo cię wyrznię...

Kto ci to zresztą powiedział, że moja żona mówiła takie rzeczy?

– Kto powiedział?.. Pierronka powiedziała.

Maheudka wybuchnęła ostrym śmiechem i podeszła do Lewaczki:

– Ach! to Pierronka... No, to ja ci powiem, co ona mówiła do mnie. Więc powiedziała mi, że sypiasz z obydwojoma twoimi chłopami. Jednego masz pod spodem, a drugiego na wierzchu!

Porozumienie stało się niemożliwe. Wszyscy byli rozjątrzeni, Levaque'owie rzucili w odpowiedzi Maheuom, iż Pierronka o nich mówiła gorsze rzeczy, że sprzedali Katarzynę i że wszyscy razem, nawet dzieciaki, gniją na taką paskudną chorobę, którą Stefan przyniósł z „Wulkanu”.

– Powiedziała tak? Powiedziała tak? – krzyknął Maheu. – Dobrze! Pójdę do niej i jak mi powie, że tak powiedziała, to jej wszystkie zęby powybijam.

Wybiegł; Levaque'owie pobiegli za nim, żeby świadczyć, a Bouteloup, który nie cierpiał kłótni, wymknął się ukradkiem do domu. Rozgrzana sprzeczka Maheudks również zamierzała wyjść, lecz powstrzymał ją jęk Alziry. Otuliła drżące ciało dziewczynki i powróciła do okna. A doktora nie ma i nie ma!

Przed drzwiami Pierronów Maheu i Levaque'owie spotkali Lidkę drepczącą w śniegu. Dom

był zamknięty, przez szparę w okiennicy padała smużka światła. Mała, zmieszana, najpierw niechętnie odpowiadała na pytania: nie, tatusia nie ma, poszedł do pralni, żeby pomóc babce Brûlé przynieść bieliznę. Później zacięła się i nie chciała im powiedzieć, co robi matka. Wreszcie wyrzuciła ze siebie śmiejąc się z tajoną urazą: matka kazała jej wyjść, bo przyszedł pan Dansaert i przeszkadzała im w rozmowie. Dansaert od rana spacerował po osiedlu werbując robotników, starając się zastraszyć słabych; jeżeli w poniedziałek nie stawią się w le Voreux,

Towarzystwo sprowadzi górników z Borinage. Z nadejściem zmroku odprawił żandarmów zastawszy Pierronkę samą i został u niej, aby wypić kieliszek jałowcówki siedząc przy ciepłym piecu.

– Pst! Cicho! Podpatrzemy ich – szepnął Levaque z rozpustnym śmiechem. – Naszą sprawę załatwimy później... Wynoś się, mała!

Lidka cofnęła się o parę kroków, a Levaque przyłożył oko do szpary w okiennicy. Po chwili trząśł się cały i tłumiał okrzyki. Z kolei podeszła do okna Lewaczka, ale spojrzawszy powiedziała, że ją mdli od takich rzeczy. Maheu, który odepchnął ją chcąc zajrzeć samemu, oświadczył, że to dopiero widowisko. I każde z nich podchodziło od nowa, kolejno. Izbę, lśniącą od czystości, rozweselał suty ogień, na stole stały ciastka, butelka i kieliszki, słowem prawdziwa uczta. To, co zobaczyli, oburzyło obu mężczyzn, chociaż w innych okolicznościach mieliby temat do kpinek na pół roku. Że się tam zabawia zadarłszy spódnicę do góry, to było śmieszne. Ale, psiakrew, czy to nie świństwo, że robi to przy takim ogniu i objada się biszkoptami, kiedy inni nie mają ani kromeczki chleba, ani kawałka węgla!

– Tatuś idzie! – krzyknęła Lidka uciekając.

Pierron wracał spokojnie z pralni niosąc tobolek z bielizną na ramieniu. Maheu zaczepił go natychmiast:

– Słuchaj no, podobno twoja żona powiedziała, że ja sprzedałem Katarzynę i że my wszyscy w domu jesteśmy pozarażani... A tobie ile płaci ten gość, co tam teraz siedzi u was i maca twoją żonę?

Pierron, zaskoczony, nie rozumiał, o co tamtemu chodzi, gdy nagle Pierronka, przerażona hałasem, straciła głowę do tego stopnia, że uchyliła drzwi, aby zobaczyć, co się dzieje. Ujrzeni ją w pąsach, w rozpiętym staniku, z podniesioną spódnicą; w głębi stał Dansaert i w pośpiechu naciągał spodnie. Starszy sztygar wymknął się natychmiast, zniknął, drząc, aby ta historia nie doszła do uszu dyrektora. Wybuchnął straszliwy skandal, rozległy się śmiechy, krzyki, obelgi.

– Możesz przygadywać innym, że są brudne! – wołała Lewaczka do Pierronki. – Nic dziwnego, że ty jesteś czysta, jak cię sztygar szoruje!

– Dobrze jej gadać! – podjął Levaque. – To dopiero świnia! Opowiada, że moja żona sypia ze mną i z lokatorem: jednego ma na wierzchu, a drugiego pod spodem!... Tak, tak, powiedzieli mi, że tak mówiłaś.

Ale Pierronka odzyskała zimną krew i z pogardą słuchała obelg przeświadczona, że jest najpiękniejsza i najbogatsza w osiedlu.

– Co powiedziałam, to powiedziałam, a teraz dajcie mi święty spokój, dobrze?... Co was obchodzą moje sprawy? Nie możecie nam darować, że składamy pieniądze do kasy oszczędności, co? Wynoście się, mój mąż dobrze wie, po co pan Dansaert był u nas.

I rzeczywiście Pierron uniósł się gniewem, stanął w obronie żony. Kłótnia przybrała inny obrót, teraz jemu wyrzucano, że jest sprzedawczykiem, szpiclem, psem gończym dyrekcji, oskarżano go, że zamyka się w domu i objada smacznymi kąskami, na które dostaje pieniądze za swoje donosy. On bronił się, twierdził, że Maheu wsunął mu pod drzwi list z pogrózkami, kartkę, na której były narysowane dwa skrzyżowane piszczele, a nad nimi sztylet. Skończyło się to oczywiście bójką między mężczyznami, jak wszystkie sprzeczki kobiet, od czasu gdy głód obudził gniew w najbardziej nawet spokojnych. Maheu i Levaque rzucili się na Pierrona z pięściami, trzeba ich było rozłączyć.

Kiedy stara Brûlé nadeszła z pralni, z nosa zięcia płynęła krew. Dowiedziawszy się, co się stało, rzekła tylko:

– Ten świntuch przynosi mi wstyd.

Ulica opustoszała, ani jeden cień nie plamił nagiej bieli śniegu; osiedle, przymierające głodem i zziębnięte, z powrotem ogarnęła martwota.

– A doktor? – spytał Maheu zamykając drzwi.

– Nie przyszedł – odparła Maheudka wciąż stojąc przy oknie.

– Dzieci wróciły?

– Nie, nie wróciły.

Maheu podjął swój ociężały marsz od jednej ściany do drugiej, niby utrudzone zwierzę. Zesztywniały na krześle dziadek Bonnemort nie podniósł nawet głowy. Alzira również nie odzywała się ani słowem i starała się pohamować drżenie, żeby nie sprawiać rodzicom przykrości; ale mimo wytrzymałości na ból dygotała chwilami tak silnie, że słyhać było, jak jej

chude ciało kaleki ociera się o koldrę. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit; nikły odbłask ośnieżonych ogródków napełniał izbę księżycowym światłem.

Był to już koniec – dom pusty, ogołcony ze wszystkiego. Najpierw wełna, a później pokrycie materaców powędrowały do handlarza starzyzną; następnie przyszła kolej na prześcieradła, bieliznę, wszystko, co można było sprzedać. Pewnego wieczora sprzedano za dwa sous chusteczkę dziadka. Każdą rzecz, z którą przychodziło się rozstać, oblewano łzami, Maheudka wciąż jeszcze bolała, że któregoś dnia zaniósła ukryte w spódnicy, jak dziecko, które podrzucamy pod drzwiami obcych ludzi, różowe tekturowe pudełko, prezent od męża jeszcze z dawnych czasów. Zostali nadzy, nie mieli do sprzedania już nic prócz własnej skóry tak zniszczonej i pokrytej bliznami, że nikt nie dałby za nią ani grosza. Nie starali się więc już nawet szukać, wiedzieli, że w domu nie ma nic, że to już koniec, że nie ma nadziei, żeby dostali chociaż świeczkę, kawałek węgla czy kartofel. Zrezygnowaniu oczekiwali śmierci bolejąc tylko nad dziećmi; oburzało ich to bezcelowe okrucieństwo; dlaczegoż mała ma jeszcze chorować, zanim umrze?

– Wreszcie! – powiedziała Maheudka.

Jakiś czarny kształt przesunął się za oknem. Drzwi otworzyły się. Lecz nie był to wcale doktor Vandernaghen; poznali nowego proboszcza, księdza Ranvier, który nie wydawał się zdziwiony zastając ich dom zamarły, bez światła, bez ognia, bez chleba. Był już w trzech sąsiednich domach, szedł od rodziny do rodziny werbując ludzi dobrej woli, podobnie jak Dansaert ze swymi żandarmami. I zaraz od progu rzucił gorączkowym głosem człowieka zaślepionego:

– Dlaczego nie byliście w niedzielę na mszy, moje dzieci? Źle postępujecie, tylko Kościół może przynieść wam pociechę... Obiecujcie mi, że przyjdziecie w przyszłą niedzielę.

Maheu popatrzył na niego przez chwilę i bez słowa podjął swoją ociężałą wędrówkę. To Maheudka odpowiedziała:

– A po co, księżu proboszczu? Czy Pan Bóg nie wyśmiewa się z nas?... Co go obchodzi moja mała, która trzęsie się od gorączki? Mało Mu jeszcze było naszej nędzy, prawda? Musiał zesaść chorobę teraz, kiedy nie mogę dać dziecku nawet szklanki gorących ziółek.

Wówczas ksiądz wygłosił długą przemowę. Z zapalem misjonarza nawracającego dzikich wykorzystywał strajk, straszliwą nędzę i rozjątrzenie ludzi głodnych, dla chwały swojej religii. Mówił, że Kościół jest z biednymi, że za jego sprawą zatriumfuje sprawiedliwość, gdyż ściągnie

gniew boży na bezceństwa bogaczy. Dzień ten zabłyśnie już niedługo, albowiem przepelniła się czara: bogacze przywłaszczyli sobie władzę Boga i rządzą bez Niego. Lecz jeśli robotnicy pragną sprawiedliwego podziału dóbr ziemskich, powinni natychmiast powierzyć się opiece księży, tak jak po śmierci Jezusa maluczcy i ubodzy zgrupowali się wokół apostołów. Jakaż siłę posiadałby papież, jakaż armią rozporządzałby kler, gdyby miał w swym ręku niezliczone rzesze robotników! W przeciągu tygodnia można by oczyścić świat z nieprawości, wygnać niegodnych władców, a wtedy zapanowałoby wreszcie prawdziwe królestwo boże, każdy otrzymywałby zapłatę według swej zasługi, prawo pracy zagwarantowałoby ludzkości szczęście.

Maheudce wydawało się, że słyszy Stefana, jak w jesienne wieczory głosi im, że kres ich nędzy jest bliski. Ale sutanny nigdy nie wzbudzały w niej zaufania.

– Bardzo to wszystko piękne, co ksiądz proboszcz mówi – rzekła. – Widać, nie jest ksiądz z burżujami w zgodzie i dlatego... Wszyscy nasi proboszczowie chodzili z wizytami do dyrekcji i jak tylko zaczynaliśmy się dopominać o chleb, grozili nam diabłem.

Ksiądz rozpoczął przemowę od nowa, rozprawiał o pożałowania godnym nieporozumieniu pomiędzy Kościołem a ludem. Jego zawołowane zdania godziły teraz w proboszczów miejskich, w biskupów, w górne warstwy kleru, syte uciech i władzy, w swym zaślepieniu paktujące z liberalną burżuazją nie wiedząc, że to właśnie ona pozbawia je panowania nad światem. Wyzwolenie przyjdzie od prostych księży wiejskich, wszyscy oni powstaną, aby z pomocą wydziedziczonych przywrócić królestwo Chrystusa. Zdawało się, że proboszcz stoi już na ich czele, prostował swą kościstą postać jak dowódca, jak rewolucjonista Ewangelii, z oczyma tak pełnymi światła, że rozjaśniały pograżoną w mroku izbę. W uniesieniu zaczął mówić językiem mistyka i od dłuższej już chwili biedni ludzie nie rozumieli go.

– I po co tyle słów – burknął w pewnej chwili Maheu. – Lepiej by ksiądz zrobił przynosząc nam na początek chleba.

– Przyjdźcie w niedzielę na mszę – wykrzyknął ksiądz – Bóg nakarmi łaknących!

I wybiegł; poszedł nawracać z kolei Levaque'ów, tak zatopiony w marzeniu o triumfie Kościoła, tak pełen pogardy dla rzeczywistości, że z pustymi rękami, bez jałmużny, przemierzał osiedla przymierające głodem, sam biedny i przeświadczony, że cierpienie prowadzi do zbawienia.

Maheu chodził wciąż, słyhać było tylko miarowy odgłos jego stąpania. Rozległ się jakby zgrzyt zardzewiałej rolki – dziadek Bonnemort splunął w wystygłe palenisko. I znów zabrzmiały

kroki regularnym rytmem. Alzira zdrzemnęła się w gorączce i majaczyła po cichu, śmiała się, przekonana, że jest ciepło i że bawi się w słońcu.

– Psiakrew! – szepnęła Maheudka dotknąwszy jej policzków – teraz znów jest rozpalona... Nie ma już co czekać na tego łajdaka, na pewno zabronili mu przychodzić, zbóje!

Mówiła o doktorze i Towarzystwie Węglowym. Lecz na widok otwierających się drzwi wyrwał się jej okrzyk radości. Zaraz jednak spochmurniała i z powrotem opuściła ręce.

– Dobry wieczór – powiedział półgłosem Stefan starannie zamknąwszy drzwi za sobą.

Często wpadał do nich nocą. Maheuowie zaraz następnego dnia dowiedzieli się o jego kryjówce, lecz umieli dotrzymać sekretu, nikt w osiedlu nie wiedział, co stało się z młodym człowiekiem. Stworzyło to wokół niego legendę. Ludzie w dalszym ciągu wierzyli w niego, krążyły tajemnicze pogłoski: zjawi się pewnego dnia z wojskiem, ze skrzyniami pełnymi złota. Było to wciąż owo religijne oczekiwanie cudu, chwili, kiedy ideał oblecze się w ciało i kiedy wkroczą do krainy sprawiedliwości, którą im obiecał. Jedni mówili, że widzieli go w karecie – jechał drogą do Marchiennes w towarzystwie trzech panów; drudzy twierdzili, iż jest chwilowo w Anglii. Lecz przedłużająca się nieobecność groziła zachwianiem jego autorytetu; żartownisie oskarżali go, że chowa się w piwnicy, a Mouquette dba, żeby mu tam było ciepło. Stosunek z tą dziewczyną, o którym wszyscy już wiedzieli, zaszkodził mu w oczach opinii. Jego popularność zaczęła powoli słabnąć, coraz więcej ludzi, którzy dotąd stali po jego stronie, poddawało się rozpacz.

– Co za psi czas! – rzucił. – A u was nic nowego? Coraz to gorzej?... Mówiono mi, że mały Négrel pojechał do Belgii, żeby sprowadzić górników z Borinage. Przepadliśmy, co tu dużo gadać!

Kiedy wchodził do tej izby lodowatej, ciemnej, w której jego oczy dopiero po chwili dostrzegły sylwetki ludzkie, wstrząsnął nim dreszcz. Poczul odrazę i zmieszanie – on, zdeklasowany robotnik, wydelikacony studiami, pożerany ambicją. Co za nędza, tłok, zaduch. Straszliwa litość ścisnęła mu gardło. Widok tej agonii wstrząsnął nim do tego stopnia, że szukał słów, by nakłonić tych ludzi do podjęcia pracy.

Lecz Maheu zatrzymał się przy nim gwałtownie, krzycząc:

– Sprowadzić górników z Borinage? Nie ośmielę się, łajdaki! Jak sprowadzą, to rozwalimy im kopalnię!

Z wyrazem zakłopotania Stefan wyjaśnił, że nie będą się mogli ruszyć, bo kopalń pilnują

żołnierze, a robotnicy belgijscy zjechaliby pod ich osłoną. Maheu zaciskał pięści, najbardziej rozgniewany tym, że – jak mówił – czuje bagnet za plecami. Więc górnicy nie są już panami siebie? Więc traktuje się ich jak galerników i zmusza do pracy grożąc karabinem? Kochał swój szyb i cierpiał, że już od dwóch miesięcy nie zjeżdżał pod ziemię. Toteż na myśl o tej zniewadze, o tych obcych ludziach, których miano tu sprowadzić, ogarniało go szaleństwo. Wtem przypomniał sobie, że zwrócono mu książeczkę, i serce mu się skurczyło.

– Właściwie czego ja się złościę? – szepnął. – I tak już nie należę do ich budy... Wypędzą mnie, to zdechnę gdzie pod płotem i koniec.

– Nie gadaj głupstw – powiedział Stefan. – Jeżeli zechcesz, to zaraz jutro przyjmą ci książeczkę z powrotem. Nikt nie zwalnia z pracy dobrych robotników.

Przerwał, zdziwiony, słysząc cichy śmiech Alziry. Do tej pory dostrzegł tylko sztywny cień dziadka Bonnemort i ta wesołość chorej dziewczynki przeraziła go. Nie, tego już za wiele, żeby miały umierać dzieci!

– Tak dłużej być nie może – powiedział drżącym głosem. – Przepadliśmy... Musimy ustąpić.

Nieruchoma i milcząca dotąd Maheudka wybuchnęła teraz, klnąc jak mężczyzna i krzycząc Stefanowi prosto w twarz:

– Co ty mówisz?... I to ty, ty mówisz takie rzeczy?

Chciał się wytłumaczyć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa:

– Nie powtarzaj tego więcej, bo chociażem kobieta, ale dam ci w gębę... Głodowaliśmy przez dwa miesiące, wyprzedalam wszystko, co miałam w domu, dzieci mi się pochorowały, a teraz wszystko miałoby zostać po dawnemu? niesprawiedliwość miałaby się zacząć od nowa?... Ach, kiedy o tym pomyślę, krew mnie zalewa. Nie! Nie! wolałabym teraz spalić i pomordować wszystko niż ustąpić.

Gestem pogroźki wyciągnęła rękę w stronę niewidocznego w ciemności Maheua:

– I gdyby mój wrócił do pracy, ja pierwsza plunęłabym mu w twarz i powiedziała, że jest łajdak!

Stefan nie widział jej, lecz czuł bijące od niej ciepło, niby oddech rozjuszonego zwierzęcia, i odsunął się wstrząśnięty tą zajadłością, która była jego dziełem. Maheudka wydawała mu się tak zmieniona, że nie mógł jej poznać. Tak rozumna dawniej – wyrzucała mu zawsze jego gwałtowność i mówiła, iż nikomu nie trzeba życzyć śmierci – teraz nie pozwalała przemówić sobie do rozsądku i chciała mordować. To nie on, to ona politykowała teraz, pragnęła wymieść

za jednym zamachem burżujów, domagała się republiki i gilotyny, aby uwolnić świat od tych złodziejów-bogaczy utuczonych pracą nędzarzy.

– Tak, porozdzierałabym ich moimi dziesięcioma palcami... Dostyc już tego! Sam mówiłeś, że teraz przyszła nasza kolej... Kiedy pomyślę, że mój ojciec, dziadek, ojciec dziadka i wszyscy ci przedtem cierpieli tak, jak my cierpimy, i że nasi synowie i synowie naszych synów też tak będą cierpieć, w głowie mi się mąci, wzięłabym nóż... Powinniśmy byli rozwalić całe Montsou, żeby kamień na kamieniu nie został. I wiesz? jednego tylko żałuję: że nie pozwoliłam staremu zadusić tej panny z Piolaine... Oni pozwalają, żeby głód dusił moje dzieci!

Jej słowa padały w noc jak ciosy siekierą. Zamknięty horyzont nie chciał się otworzyć; w głowie udręczonej bólem kobiety niemożliwy do zrealizowania ideał przeradzał się w truciznę.

– Nie zrozumieliście mnie – powiedział wreszcie Stefan wycofując się. – Uważam tylko, że powinniśmy dojść do porozumienia z Towarzystwem: wiem, że szyby bardzo ucierpiały i dyrekcja na pewno poszłaby na układy.

– Nie! Żadnych układów – krzyknęła Maheudka.

W tej chwili nadeszli Henryk i Lenora, z pustymi rękami. Jakiś pan dał im wprawdzie dwa sous, ale ponieważ dziewczynka ciągle biła młodszego brata, pieniądze upadły w śnieg, zaczęli ich szukać razem z Jankiem, ale nie znaleźli.

– A gdzie jest Janek?

– Uciekł, mamusiu, powiedział, że ma jakieś sprawy.

Stefan słuchał ze ściśniętym sercem. Niegdyś Maheudka groziła dzieciom, że je pozabija, gdyby ośmieliły się wyciągać rękę. Dziś sama wysyłała je na żebry i mówiła, że wszyscy oni, dziesięć tysięcy górników z Montsou powinno wziąć kije i torby starych żebraków i wylec na drogi.

W mrocznej izbie trwoga wzrosła jeszcze. Dzieci wróciły głodne, chciały jeść, dlaczego nie ma nic do jedzenia? Pomrukiwały, kręciły się po izbie, aż nadepnęły na nogi umierającej, która jęknęła. Rozwścieczona matka na oślep wymierzyła im policzek. Później, gdy jeszcze głośniejsze domagały się chleba, wybuchnęła płaczem, osunęła się na ziemię i wszystkich troje objęła jednym uściskiem. Osłabła i bezwolna płakała długo, jękając wciąż to samo zdanie, przyzywając śmierci: „Mój Boże, dlaczego nas nie zabierasz? Mój Boże, zabierz nas przez litość, aby prędzej już z tym skończyć!” Dziadek trwał nieruchomy jak stare drzewo powyginane przez deszcze i wiatry, a ojciec chodził od komina do kredensu, nie odwracając głowy.

Otworzyły się drzwi; tym razem był to doktor Vanderhaghen.

– Psiakość! – powiedział – świeczka nie popsułaby wam chyba oczu... Prędko, nie mam czasu.

Gderał jak zawsze, przemęczony pracą. Na szczęście miał zapalki i Maheu zapalał jedną po drugiej, aby poświecić przy badaniu chorej. Odkryta drżała teraz w tym nikłym blasku, chuda jak wróbelek umierający na śniegu i tak wątpła, że widać było już tylko jej garb. Uśmiechała się jednak nieprzytomnym uśmiechem umierającego, oczy miała rozszerzone, a rączki zaciskały się na wpadniętej piersi. I gdy matka pytała zdławionym głosem, dlaczego los odbiera jej jedyne dziecko, z którego miała pociechę, takie rozumne i ciche, doktor rozgniewał się:

– Umiera... Umarła z głodu ta twoja mała. I nie ona jedna. Byłem już u innej, tu obok... Wzywacie mnie wszyscy, a cóż ja wam mogę poradzić. Mięsa wam trzeba, to będziecie zdrowi.

Maheu wypuścił zapalkę z poparzonych palców i ciemności wchłonęły małe zwłoki, ciepłe jeszcze. Doktor wyszedł spiesznie. W mrocznej izbie Stefan słyszał już tylko łkania Maheudki, jej ponury lament i wzywanie śmierci:

– Mój Boże, weź mnie, teraz moja kolej – Mój Boże, weź mego męża, weź nas wszystkich przez litość, aby z tym już skończyć!

III

Tej niedzieli od godziny ósmej Suwarin siedział sam w izbie szynku „Tu najtaniej” na swym zwykłym miejscu, z głową opartą o ścianę. Żaden z górników nie miał już ani grosza na kufel piwa, knajpy świeciły pustką. Tkwiąca nieruchomo za kontuarem pani Rasseneur zachowywała pełne irytacji milczenie, a stojący obok kominka Rasseneur zdawał się śledzić w zamyśleniu rudawe smugi dymu.

Nagle w tej ociążalej ciszy przegrzanego pokoju rozległy się trzy krótkie stuknięcia w szybę; Suwarin odwrócił głowę i wstał poznając sygnał, jakim parokrotnie już posługiwał się Stefan dostrzegłszy go z zewnątrz siedzącego przy pustym stole i palącego papierosa. Nim jednak maszynista zdążył podejść do drzwi, Rasseneur otworzył je i ujrawszy w świetle padającym z okna stojącego tam mężczyznę, powiedział:

– Boisz się, że cię wydam czy co?... Wygodniej wam będzie pogadać tutaj niż na drodze.

Stefan wszedł. Pani Rasseneur uprzejmie zaproponowała mu kufelek; odmówił ruchem ręki.

– Już od dawna domyśliłem się, gdzie się skryłeś – dorzucił szynkarz. – Gdybym był szpicielem, tak jak twierdzą twoi koledzy, już tydzień temu mógłbym nasłać na ciebie żandarmów.

– Nie potrzebujesz się bronić – odparł młody człowiek – wiem, że nigdy nie jadłeś chleba z tego pieca... Można mieć różne zapatrywania, a mimo to szanować się nawzajem.

I na nowo zapanowało milczenie. Suwarin wrócił na swoje miejsce, oparł się plecami o ścianę i śledził wzrokiem dym z papierosa, lecz jego nerwowe palce poruszały się z niepokojem, przesuwały po kolanach szukając ciepłej sierści królicy, ale nie znajdując jej; coś mu dolegało, czegoś mu było brak, choć nie zdawał sobie sprawy, czego.

Siedzący po drugiej stronie stołu Stefan odezwał się wreszcie:

– Le Voreux rusza jutro. Mały Négrel sprowadził Belgów.

– Uhm, przywieziono ich nocą – szepnął Rasseneur. – Zeby tylko znów nie było bijatyki. A później dodał głośniejszym głosem:

– Nie, nie mam wcale zamiaru powracać do naszych kłótni, ale widzisz, jeżeli będziecie upierać się dalej, to to się źle skończy... Mówię ci, że z tą waszą sprawą jest zupełnie tak samo jak z twoją Międzynarodówką. Byłem przedwczoraj w Lilie, bo miałem tam interes, i spotkałem Plucharta. Otóż wygląda na to, że coś się ona psuje, ta jego machina.

I podał szczegóły. Stowarzyszenie, pozyskawszy sobie robotników całego świata, co dotąd jeszcze wzbudzało w burżuazji dreszcz zgrozy, teraz rozpada się podgryzane od wewnątrz ścieraniem się ambicji i próżności. Od chwili gdy wzięli w nim górę anarchiści, odsuwając w cień ewolucjonistów, wszystko rwie się, główny cel – zreformowanie systemu pracy najemnej – ginie w powodzi sekciarskich rozgrywek, wstręt do zachowywania dyscypliny godzi w naukowe podstawy stowarzyszenia i już teraz można przewidzieć końcowe fiasko tego pospolitego ruszenia ludzi pracy, które przez pewien czas groziło zmieceniem z powierzchni ziemi starego zgniłego społeczeństwa.

– Pluchart chory jest od tego wszystkiego – ciągnął Rasseneur – a przy tym do reszty stracił głos. Ale mimo to przemawia w dalszym ciągu, chce jechać do Paryża... I powtarzał mi ze trzy razy, że wasz strajk jest sprawą przegraną.

Stefan z oczami wbitymi w ziemię słuchał, nie przerywał tamtemu. Poprzedniego dnia rozmawiał z towarzyszami i wyczuł z ich strony urazę i pewną podejrzliwość, pierwsze tchnienie

niepopularności zwiastujące porażkę. Milczał chmurnie nie chcąc wyjawić swego przygnębienia człowiekowi, który przepowiedział mu niegdyś, iż nadejdzie dzień, kiedy tłum odwróci się od niego i obsypie go słowami pogardy niszcząc się za doznany zawód.

– Oczywiście, strajk jest sprawą przegraną, wiem o tym równie dobrze jak Pluchart – powiedział. – Było to do przewidzenia. Przyjęliśmy go wbrew naszej woli, jako konieczność, i nie liczyliśmy na to, że pozwoli on nam uporać się z Towarzystwem... Tylko człowiek sam się oszołamia, zaczyna spodziewać się Bóg wie czego, a gdy sprawy przyjmują zły obrót, zapomina, że powinien był się z tym liczyć, rozpacza i kłóci się z innymi, jakby ta katastrofa spadła nagle z nieba.

– Więc skoro uważasz, że sprawa jest przegrana, to dlaczego nie przemówisz kolegom do rozsądku? – zapytał Rasseneur.

Stefan utkwiał w nim oczy:

– Dosyć już tego, mój drogi... Ty masz swoje zapatrywania, ja mam swoje. Przyszedłem do ciebie, żeby ci pokazać, że szanuję cię mimo wszystko. Ale w dalszym ciągu uważam, że gdybyśmy nawet mieli zdechnąć z głodu, nasze wychudłe ciała bardziej przysłużą się sprawie ludu niż cała twoja polityka człowieka rozsądnego... Och! Gdyby któryś z tych przeklętych żołdaków wpakował mi kulę prosto w serce, jakież to byłby piękny koniec!

Oczy jego zwilgotniały, w okrzyku znalazło wyraz utajone pragnienie zwycięzonego, aby śmierć położyła kres jego udęce.

– Dobrze powiedziane! – oświadczyła pani Rasseneur, która w jednym spojrzeniu rzuconym mężowi zawarła całą swą dla niego pogardę, płynącą z jej radykalnych poglądów.

Suwarin siedział ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, nerwowo poruszając rękami, i zdawał się nic nie słyszeć. Jego dziewczęca twarz o wąskim nosie i drobnych spiczastych zębach przybierała chwilami wyraz dzikości, jakby przesuwaly się przed nim jakieś krwawe wizje. I nagle zaczął marzyć na głos, odpowiadając Rasseneurowi na któreś z jego zdań o Międzynarodówce, wyłowione z rozmowy:

– Wszyscy są nikczemni i tchórze, jeden tylko człowiek mógł uczynić z tej ich maszyny straszliwe narzędzie zniszczenia. Trzeba chcieć, a tymczasem nikt nie chce i dlatego rewolucja załamie się raz jeszcze.

Głosem pełnym niesmaku skarżył się dalej na głupotę ludzką, a dwaj pozostali mężczyźni słuchali, zmieszani, tych zwierzeń lunatyka czynionych ciemnościami. W Rosji sprawy

przedstawiały się jak najgorzej, był zrozpaczony wiadomościami, jakie stamtąd otrzymał. Jego dawni towarzysze przemieniali się w polityków, owi słynni nihilisci, przed którymi drżała Europa, synowie popów, drobnego mieszczaństwa, kupców, nie potrafili wznieść się ponad ideę wyzwolenia narodowego, zdawali się wierzyć, że gdy zabiją despotę panującego w ich kraju, wyzwolą cały świat, i z chwilą gdy zaczynał im mówić o skoszeniu starego społeczeństwa jak dojrzałego łąnu zboża, z chwilą nawet gdy wymawiał to dziecinne słowo „republika”, czuł, że staje się nie zrozumiany, że budzi niepokój i zostaje zaliczony do błędnych rycerzy rewolucyjnego kosmopolityzmu. Jego serce patrioty szamotało się jednak boleśnie i z goryczą powtarzał swój ulubiony zwrot:

– Zawracanie głowy!... Nigdy nic nie działają, jak będą trzymać się tych bzdur!

Później, jeszcze bardziej ścisząc głos, w gorzkich słowach wyjawiał im swoje dawne marzenia o braterstwie. Jeżeli wyrzekł się swej pozycji społecznej i swej fortuny, jeżeli stanął po stronie robotników, to dlatego, iż wierzył w powstanie nowej społeczności związanej wspólną pracą. Każdy zarobiony grosz oddawał dzieciom z osiedla, dla górników był jak brat, uśmiechem przyjmował ich nieufność, zdobywał ich sobie swym spokojem robotnika dokładnego w pracy i skąpego w słowa. A mimo to nie przyjęli go do swego grona, pozostał im obcy, obca pozostała im jego pogarda dla jakichkolwiek więzów pętających swobodę człowieka, jego uparte męstwo wyższe ponad czczą sławę i uciechy. Tego ranka szczególnie wzburzyła go wiadomość, którą wyczytał w gazetach.

Jego głos zmienił się nagle, oczy rozbłysły; utkwił je w Stefanie i zwrócił się wprost do niego:

– Pojmujesz ty to? Tę historię z kapelusznikami z Marsylii, którzy wygrali na loterii sto tysięcy franków i natychmiast nabyli za to rentę oświadczając, że nie zamierzają pracować dalej?!... Wy wszyscy, robotnicy francuscy, jesteście tacy sami: chcielibyście odkryć skarb, aby móc sycić się nim potem w egoistycznym nieróbstwie. I cóż z tego, że występujecie przeciwko bogaczom, skoro wam samym brak siły, aby oddać biednym pieniądze, które zsyła fortuna... Dopóty nie staniecie się godni szczęścia, dopóki cokolwiek posiadać będziecie na wyłączną własność i dopóki wasza nienawiść do burżuazji płynąć będzie jedynie z zajadłej potrzeby zajęcia jej miejsca.

Rasseneur parsknął śmiechem; myśl, że dwaj robotnicy z Marsylii mieliby wyrzec się wygranej, wydała mu się zupełnie bezsensowna. Lecz Suwarin zbladł, jego zmieniona twarz stała się przerażająca w nagłym porywie religijnego gniewu, który niósł ze sobą zagładę.

Krzyknął:

– Wszyscy zostaniecie zmieceni, rozgromieni, obrócenie w niwecz! Narodzi się jeszcze ten, który unicestwi waszą rasę tchórzów żądnych użycia. Spójrzcie na moje ręce: gdyby miały dość siły, wstrząsnęłyby ziemią tak, iż rozsypałyby się w proch, a wy zniknęlibyście pod jej szczątkami.

– Dobrze powiedziane – powtórzyła pani Rasseneur uprzejmie i z przekonaniem.

I znów zapanowało milczenie. Po chwili Stefan z powrotem zaczął mówić o robotnikach z Borinage. Wypytywał Suwarina, jakie postanowienia powzięto w le Vo-reux, lecz maszynista, który znów popadł w zamyślenie, odpowiadał mu półsłówkami; wiedział tylko, że żołnierzom strzegącym kopalni miano rozdać ostre naboje. Niepokój jego nerwowych palców błędzących po kolanach wzmógł się do tego stopnia, że wreszcie uświadomił sobie, czego mu brak: łagodnej, uspokajającej sierści zwierzęcia.

– A gdzie jest królicza? – zapytał.

Szynkarz ponownie parsknął śmiechem rzucając żonie porozumiewawcze spojrzenie, a po chwili wahania powiedział:

– Królicza? W piecu.

Od czasu przygody z Jankiem zwierzę, zapewne poniósłszy jakieś obrażenia, wydawało na świat martwe młode; aby więc nie żywić darmozjada, tego dnia zdecydowano się zrobić z niego potrawkę z kartoflami.

– Tak, tak, zjadłeś jej udko dziś na kolację... Jeszcześ się oblizywał, co?

Suwarin nie zrozumiał w pierwszej chwili, później jednak pobladł bardzo, broda skurczyła mu się, jakby chwyciły go mdłości, a w oczach wbrew chęci zachowania stoickiego spokoju ukazały się dwie wielkie łzy.

Nikt jednak nie zdążył zauważyć jego wzruszenia, gdyż drzwi otwarły się gwałtownie i ukazał się w nich Chaval popychając przed sobą Katarzynę. Kiedy obszedł już wszystkie szynki w Montsou sycąc się w nich piwem i przechwałkami, przyszło mu na myśl, aby pójść do Rasseneura, pokazać dawnym przyjaciółom, że się ich nie boi. Wszedł mówiąc do kochanki:

– Psiakrew, powiedziałem ci, że napijesz się tutaj piwa! Wybiję zęby każdemu, kto na mnie spojrzy krzywym okiem.

Na widok Stefana Katarzyna pobladła wstrząśnięta, a Chaval ujrawszy go wybuchnął złym śmiechem.

– Pani Rasseneur, dwa piwa! Oblewamy podjęcie pracy!

Kobieta bez słowa napełniła kufle jako szynkarka, która nikomu nie odmawia piwa. Zapanowało milczenie; ani szynkarz, ani dwaj pozostali nie ruszyli się z miejsc.

– Znam takich, co mówili, że jestem szpicel – podjął wyzywająco Chaval – i chciałbym, żeby mi to powtórzyli prosto w oczy, to byśmy się wreszcie mogli porachować.

Nikt nie odpowiedział, mężczyźni odwrócili głowy i rozglądali się po ścianach.

– Są tacy, co się lenią, i tacy, co się nie lenią – ciągnął Chaval podniesionym głosem. – Ja tam niczego nie ukrywam : puściłem kantem budę Deneulina i jutro rano zjeżdżam do le Voreux z dwunastoma Belgami: dali ich pod mój dozór, bo mnie mają za dobrego. robotnika. A jak się to komu nie podoba, to niech powie szczerze – pogadamy.

Widząc, że wciąż to samo pogardliwe milczenie jest jedyną odpowiedzią na jego zaczepki, wybuchnął gniewem na Katarzynę:

– Pijesz czy nie?... Trać się ze mną. Precz z łajdakami, co nie chcą pracować!

Katarzyna przysunęła swój kufel, lecz tak drżącą ręką, że szkło zabrzęczało lekko. Chaval wyciągnął teraz z kieszeni garść srebrnych monet i chępił się nimi po pijacku, mówiąc, że zarobił to własnym potem i że niech mu pokaże który z tych, co się lenią, chociaż dwa grosze, jeżeli ma. Wyprowadzony z równowagi zachowaniem kolegów przeszedł do otwartych obelg.

– Więc to nocą wyłażą krety, tak? Zbóje czekają, aż żandarmi posną, i wtedy dopiero można ich spotkać?

Stefan podniósł się, bardzo spokojny, zdecydowany.

– Dostyc już tego, słyszysz?... I owszem, jesteś szpiclem, twoje pieniądze cuchną jakimś nowym donosem i nie mam ochoty dotykać takiego sprzedawczyka jak ty. Ale wszystko jedno, już dawno powinniśmy się byli rozprawić ze sobą, nie ma tu miejsca dla nas obu.

Chaval zacisnął pięści.

– Och, trzeba ci dopiero powiedzieć do słuchu, żebyś się ruszył, ty tchórze!... Zapłacisz mi teraz za te wszystkie świństwa, jakie ze mną wyprawiali!

Wyciągnąwszy błagalnie ręce Katarzyna postąpiła ku nim parę kroków, lecz nim zdążyli ją odepchnąć, cofnęła się sama, powoli, czując, iż walka jest nieunikniona. Oparta o ścianę stała w milczeniu, tak przerażona, że nie drżała już nawet, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w mężczyzn, którzy mieli się bić o nią.

Pani Rasseneur sprzątnęła tylko kufle z kontuaru bojąc się, aby ich nie potłuczono, i usiadła

na ławeczce nie okazując nieprzystojnej ciekawości. Rasseneur uparł się jednak, aby rozłączyć tamtych dwóch, nie można przecież pozwolić, aby dawni koledzy mieli się teraz pozabijać! I dopiero Suwarin wziął go za ramię i odprowadził do stołu mówiąc:

– To nie twoja rzecz... O jednego z nich jest za dużo. Silniejszy zostanie.

Nie czekając, aż Stefan go zaatakuje, Chaval bił w próżnię zaciśniętymi pięściami. Był wyższy, poruszał się niezdarnie wściekłymi rzutami całego ciała i obu rąk, którymi manewrował jak szablami, celując w twarz przeciwnika. Nie przestawał przy tym mówić, pozował dla widzów, podniecał się obelgami.

– Ach, ty byku pieroński, dobioreę się jeszcze do twojego nosa i wetknę go sobie gdzieś!... Daj no tu mordę, dziwkarzu jeden, rozwalę ci ją na miazgę, będzie w sam raz dla świń, zobaczymy potem, czy jeszcze jaka dziewczucha za tobą poleci!

Milczący, z zaciśniętymi zębami, Stefan przestrzegał zasad poprawnej walki, twarz i pierś zasłaniając rękami, które wyprostowywał od czasu do czasu w straszliwych ciosach.

Z początku nie robili sobie wielkiej krzywdy. Hałaśliwe młynki jednego i chłodna rezerwa drugiego przedłużały walkę. Przewrócili krzesło, ich ciężkie saboty rozgniaty piasek, którym posypana była podłoga. Zadyszeli się, słyhać było, jak oddychają z trudem, a ich nabiegłe krwią twarze rozpały się od wewnętrznego ognia, który tryskał im płomieniami z oczu.

– Dostał! – krzyknął Chaval.

I rzeczywiście, jego pięść niby cep przeorała z ukosa ramię przeciwnika. Ten powściągnął pomruk bólu, rozległ się tylko głuchy odgłos uderzenia, na które odpowiedział prostym ciosem w piersi. Byłby powalił nim Chavala, gdyby tamten nie umknął mu skacząc ciągle jak koza. Jednakże cios dosięgnął go w lewy bok i tak był silny, że Chaval zachwiał się i stracił oddech. Gdy poczuł, że ręce wiotczą mu z bólu, ogarnęła go wściekłość i rzucił się jak zwierzę, obcasem mierząc w brzuch Stefana.

– Masz w bebechy! – wykrztusił zdławionym głosem – najwyższy czas, żebym ci je wypruł!

Stefan uniknął uderzenia, ale oburzony naruszeniem reguł uczciwej walki wybuchnął:

– Cicho bądź, bydlaku! I nogi trzymaj przy sobie, bo wezmę stołka i łeb ci rozbiję!

Walka stawała się coraz gwałtowniejsza. Rasseneur, pełen sprzeciwu, byłby usiłował jej przeszkodzić, gdyby nie surowe spojrzenie żony, które go powstrzymywało: czyż dwóch klientów nie ma prawa załatwić u nich swych porachunków? Zasłonił więc tylko sobą kominek, bojąc się, że walczący mogliby wpaść do ognia. Suwarin spokojnie skręcił papierosa, lecz

zapomniał go zapalić. Oparta o ścianę Katarzyna stała nieruchomo; nieświadoma tego, co robi, podniosła rękę do piersi i szarpała suknię. Cały jej wysiłek skierowany był ku temu, aby nie krzyczeć, aby swym krzykiem nie zdradzić, którego z tamtych dwóch woli, i tym wyznaniem nie przyczynić się do śmierci jednego z nich; tak była zresztą wzburzona, że sama już nie wiedziała, którego woli.

Wkrótce Chaval zmęczył się; oblany potem uderzał na oślep. Mimo wściekłości Stefan nie przestawał się osłaniać, odparowywał prawie wszystkie uderzenia, niektóre jednak dosięgły go. Ucho miał rozdarte, a gdy Chaval wyrwał mu paznokciem strzęp ciała z szyi, zaklął i obsypał go swymi straszliwymi ciosami prostymi. Jeszcze raz udało się Chawalowi uskoczyć, lecz pochylił się przy tym, pięść trafiła w twarz, zmiażdżyła nos, wgniotła oko. Trysnęła krew, oko zapuchło i podsiniało. Nieszczęśnik oślepiony czerwoną strugą, ogłuszony wstrząsem trzepotał rękami w powietrzu, gdy nowy cios, prosto w pierś, dobił go. Rozległ się łoskot, Chaval upadł na plecy ciężko jak worek gipsu.

Stefan czekał.

– Wstawaj! Jeżeli chcesz jeszcze, to możemy zacząć od nowa.

Po kilku sekundach oszołomiony Chaval poruszył się bez słowa, rozprostował członki. Dźwignął się z trudem, przez chwilę klęczał skulony z ręką w kieszeni. Później podniósłszy się rzucił się na Stefana z dzikim skowytem.

Lecz Katarzyna dostrzegła, czego szukała jego ręka w kieszeni, i wbrew woli wprost z serca wyrwał jej się okrzyk, który zdziwił ją samą jak wyznanie uczucia będącego dotąd dla niej tajemnicą.

– Uważaj, on ma nóż!

Stefan ledwo zdążył odparować pierwszy cios. Grube ostrze noża o drewnianej rękojeści rozcięło mu koszulę. Chwytał Chavala za przegub dłoni i rozpoczęła się straszliwa walka. Stefan wiedział, że jeżeli wypuści dłoń tamtego, jest zgubiony. Chaval zaś potrzasał ramieniem usiłując się wyrwać, aby móc uderzyć. Nóż zniżał się powoli, zmęczone członki obydwóch sztywniały, dwa razy już wydało się Stefanowi, że zimna stał dotyka jego skóry. Z najwyższym wysiłkiem zmiażdżył napięstek przeciwnika w uścisku tak silnym, że nóż wypadł z otwartej dłoni. Obydwaj rzucili się, aby go podnieść; Stefanowi udało się uprzedzić Chavala i on z kolei wznosił teraz broń, gotów zadać cios. Trzymał napastnika na kolanie, przegiętego do tyłu i groził, że poderżnie mu gardło.

– Zginiesz, zdrajco nikczemny!

Podnosił się w nim jakiś straszliwy głos, odbierał mu przytomność, dobywał się gdzieś z głębi, łomotem wypełniał czaszkę: nagła żądza mordu, pragnienie krwi. Nigdy atak nie wystąpił z podobną siłą. A przecież nie był pijany. Walczył z tym szaleństwem odziedziczonym po przodkach, wstrząsany dreszczem rozpaczy, podobnie jak erotoman szamoczący się z samym sobą, aby nie dopuścić się gwałtu. Zwyciężył wreszcie, odrzucił nóż za siebie i wyjął ochrypłym głosem:

– Wstawaj, wynoś się!

Tym razem Rasseneur rzucił się był w stronę walczących, nie ośmielił się jednak wsunąć między nich, żeby samemu nie narazić się na cios. Nie życzył sobie, aby ludzie mordowali się w jego szynku, i protestował tak zapamiętale, iż jego żona, nieruchoma i wyprostowana przy kontuarze, zwróciła mu uwagę, że zawsze podnosi alarm przed czasem. Suwarin, którego odrzucony przez Stefana nóż o mało nie zranił w nogę, zdecydował się wreszcie zapalić papierosa. Więc to już było skończone? Oglupiała Katarzyna patrzyła na obu mężczyzn, z których żaden nie zginął.

– Wynoś się! – powtórzył Stefan. – Wynoś się albo cię zabiję!

Chaval podniósł się. Wierzchem dłoni otarł krew płynącą mu z nosa i z okrwawioną twarzą, z rozbitym okiem skierował się w stronę drzwi powłócząc nogami, pokonany i pełen bezsilnej wściekłości. Katarzyna machinalnie ruszyła za nim. Widząc to wyprostował się, a jego nienawiść trysnęła stekiem obelg.

– Tego jeszcze brakowało, żebyś szła za mną, dziwko jedna! Jak ci się jego zachciało, to śpij z nim, ale nie pokazuj się u mnie więcej, jeżeli ci życie miłe!

I gwałtownie trzasnął drzwiami. Zapanowało głębokie milczenie, słychać było tylko cichy oddech palącego się w kominku ognia. Na podłodze leżało przewrócone krzesło, a krople krwi wsiąkały w piasek.

IV

Wyszedszy od Rasseneura Stefan i Katarzyna szli w milczeniu. Leniwa, chłodna odwilż znaczyła brudne plamy na śniegu nie roztopiając go jednak. Na mrocznym niebie, poprzez wielkie chmury – czarne łachmany, którymi targał porywisty wiatr – przezierał księżyc w pełni. Na ziemi panowała zupełna cisza, słychać było jedynie plusk kropeł spływających z dachów, skąd opadały miękko białe płaty śniegu.

Stefan zakłopotany obecnością dziewczyny, która przypadła mu w udziale, nie wiedział, co ma mówić. Myśl, aby zabrać ją ze sobą do Requillart i tam ją ukryć, wydała mu się bezsensowna. Miał zamiar odprowadzić ją do osiedla, do rodziców, ale zaprotestowała z przerażeniem: nie, nie, raczej wszystko inne niż stać się teraz dla nich ciężarem, gdy przedtem opuściła ich tak podle! Zamilkli oboje brnąc po drogach, które zamieniały się powoli w rzeki błota. Najpierw skierowali się w stronę le Voreux, a później skręcili na prawo pomiędzy hałdą a kanał.

– No, ale przecież gdzieś spać musisz – odezwał się wreszcie Stefan. – Gdybym miał pokój, chętnie wziąłbym cię ze sobą...

Lecz nagle ogarnęła go dziwna nieśmiałość. Przypomniał sobie ich wspólną przeszłość, godziny pożądania, wstyd i delikatność, które nie pozwoliły im się połączyć. Czyżby pragnął jej jeszcze, że czuł się taki zmieszany? Żądza ciepłą falą napływała mu do serca. Wspomnienie policzków otrzymanych od dziewczyny w Gaston-Marie podniecało go teraz zamiast napełniać urazą. Myśl, aby zabrać Katarzynę ze sobą do Requillart, stawała się czymś naturalnym i łatwym do wykonania.

– Zdecyduj się, dokąd cię mam zaprowadzić?... Widać musisz mnie teraz bardzo nie cierpieć, że nie chcesz zostać ze mną?

Dziewczyna szła za nim powoli, ślizgając się w błocie. Nie podniósłszy głowy szepnęła:

– Mój Boże, czy mało mam jeszcze udręki? Nie dręcz mnie ty przynajmniej. I cóż by nam z tego przyszło, żebyśmy się teraz zeszli, kiedy ja mam już kawalera, a ty swoją pannę?

Mówiła o Mouquette. Była pewna, że Stefan żyje z tamtą, tak jak opowiadali ludzie. Kiedy przysiągł jej, że nie, potrzęsnęła głową i przypomniała mu ów wieczór, gdy spotkała ich oboje całujących się.

– I po co były te wszystkie głupstwa! – powiedział Stefan półgłosem, zatrzymując się. – Tak by nam mogło być dobrze razem.

Dziewczyna zadrżała i odparła:

– Och, nie żałuj niczego, niewiele straciłeś. Gdybyś wiedział, jaka ze mnie pokraka i chudzielec. A swojego czasu to chyba nigdy nie dostanę, daję słowo!

Zwierała mu się bez skrępowania; jak o przewinienie oskarżała się o to, że wciąż jeszcze nie jest kobietą. Mimo że miała już kochankę, umniejszało ją to, degradowało. Człowiek ma chociaż jakieś usprawiedliwienie, jak może mieć dziecko.

– Moje biedactwo —szepnął Stefan ogarnięty wielką litością.

Znajdowali się u stóp hałdy, ukryci w jej olbrzymim cieniu. Czarna jak atrament chmura przesłoniła właśnie księżyc, nie dostrzegali już swych twarzy, oddechy ich łączyły się, wargi szukały pragnąc pocałunku, o którym myśl dręczyła ich niegdyś przez długie miesiące. Lecz nagle księżyc wyłonił się spoza chmur i na szczycie wzgórza pobielełego w świetle ujrzeli wyprostowaną sylwetkę wartownika. Nie zamieniwszy upragnionego uścisku odsunęli się od siebie ogarnięci wstydem, tym samym wstydem co dawniej, w którym był i gniew, i niejasna odraza, i wiele przyjaźni. Ciężko ruszyli przed siebie, po kostki grzęznąc w błocie.

– Więc nie chcesz? – zapytał Stefan.

– Nie – odparła. – Najpierw Chaval, teraz ty, co? a po tobie znów jakiś inny... Nie, to obrzydliwe i zresztą nie sprawia mi żadnej przyjemności, więc po co?

Zamilkli i uszli kilkadziesiąt kroków nie powiedziawszy ani słowa.

– Wiesz chociaż, dokąd idziesz? – podjął Stefan. – Nie mogę cię przecież zostawić na dworze w taką noc..

– Wracam do domu – odparła po prostu. – Zeszłam się z Chavalem, więc gdzież mam spać, jak nie u niego?

– Ależ on cię zatłucze na śmierć!

Znów zapadło milczenie. Dziewczyna wzruszyła ramionami z rezygnacją. Będzie ją bił, a jak się zmęczy, przestanie: czyż to nie lepsze niż włóczyć się po drogach jak ulicznica? Zresztą przyzwyczaiła się już do razów i pocieszała, że na dziesięć dziewcząt osiem na pewno nie trafia lepiej niż ona. I jeżeli kochanek ożeni się z nią kiedyś, to będzie i tak bardzo ładnie z jego strony.

Stefan i Katarzyna machinalnie skierowali się w stronę Montsou i w miarę jak się doń

zbliżali, milczenia pomiędzy nimi zapadały coraz dłuższe. Zdawało się, że nie są już razem. On nie znajdował żadnych słów, aby odwieść ją od powziętej decyzji, chociaż myślał, że powraca do Chavala, sprawiała mu ból. Lecz cóż mógł jej ofiarować? – nędzę i życie szczonego zwierzęcia, noc bez jutra, gdyby trafiła go jakaś kula. Może rzeczywiście rozsądniej jest cierpieć to, co się cierpi, zamiast szukać nowego cierpienia. Z opuszczoną głową odprowadzał ją więc do kochanka i nie zaprotestował, gdy zatrzymała go na szosie opodal warsztatów, o dwadzieścia metrów od szynku Piquette'a, mówiąc:

– Nie idź już dalej. Gdyby cię zobaczył, mógłby znowu zrobić awanturę.

Na wieży kościelnej wybiła jedenasta, szynk był zamknięty, lecz przez szpary wydobywało się światło.

– Żegnaj – szepnęła.

Podala mu rękę; zatrzymał ją w swojej i z trudem wysunął ją z jego dłoni. Nie oglądając się zniknęła w bocznych drzwiach szynku. Lecz on nie odchodził, stał wciąż w tym samym miejscu z oczyma utkwionymi w dom i nasłuchiwał z trwogą. Drżał, iż usłyszy krzyki bitej kobiety. Szynk pozostał ciemny i milczący i tylko w jednym z okien na pierwszym piętrze zabłysło światło, okno to otworzyło się i wychylił się przezeń znajomy mu wąły cień. Podszedł więc bliżej, a Katarzyna szepnęła wówczas:

– Nie wrócił jeszcze... Zaraz się położę... Błagam cię, idź już!

Stefan odszedł. Odwilż wzmagala się, z dachów spływały strumienie wody, mury, płoty, cała ta bezkształtna masa zabudowań fabrycznego przedmieścia ociekała wilgocią. W pierwszej chwili skierował się w stronę Requillart, chory ze smutku i znużenia, pragnąc już tylko jednego: zniknąć pod ziemią, zapaść się w jej głąb. Lecz później wróciła myśl o le Voreux, o robotnikach belgijskich, którzy mieli zjechać do pracy, o pełnych wściekłości na żołnierzy towarzyszach z osiedla, zdecydowanych nie puścić obcych do swojej kopalni. I zawrócił drogą nad kanałem wymijając kałuże.

Kiedy znalazł się opodal hałdy, księżyc wyłonił się, bardzo jasny. Stefan podniósł oczy, spojrzął w niebo, po którym mknęły chmury gnane wiatrem; stawały się coraz to bledsze, coraz bardziej postrzępione, podobne do zmętniałej wody, gdy przezierał przez nie księżyc; przepływały tak szybko, że co chwila wynurzał się spod nich w całej swej przejrzystości.

Stefan opuścił głowę mając oczy pełne światła, gdy wtem zwróciła jego uwagę scena rozgrywająca się na szczycie hałdy. Zesztywniały z zimna wartownik chodził teraz tam i z

powrotem, dwadzieścia pięć kroków w stronę Marchiennes i dwadzieścia pięć kroków w stronę Montsou. Ponad tą czarną postacią odcinającą się wyraźnie na bladym niebie połyskiwał biały płomień bagnetu. Co zaintrygowało młodego człowieka, to cień czający się za budką, do której w wietrzne noce chronił się dziadek Bonnemort. Po długiej i jakby pozbawionej kości sylwetce łasicy Stefan natychmiast poznał Janka. Niewidoczny dla wartownika, ten nieznośny chłopak na pewno przygotowywał jakiś złośliwy figiel, gdyż jego gniew na żołnierzy nie ustawał i nieraz pytał się, kiedy uwolnią się wreszcie od tych morderców nasłanych, aby strzelać do biednych ludzi.

Przez chwilę Stefan wahał się, czy go nie zawołać, aby nie dopuścić do jakiegoś głupiego wybryku. Księżyc skrył się i młody człowiek zauważył, że chłopiec skurczył się w sobie szykując do skoku; lecz księżyc wyjrzał znowu i dziecko zastygło przyczajone. Wartownik podchodził aż do budki, później odwracał się i oddalał. I nagle, gdy nadpływająca chmura rozpostarła swój cień, Janek skoczył na żołnierza jak dziki kot, wpił się weń pazurami i zatopił mu nóż w gardle. Twardy kołnierzyk stawiał opór, chłopiec musiał obiema rękami chwycić rękojeść i zawisnąć na niej całym ciężarem. Nieraz zdarzyło mu się zarzynać kury przychwycone gdzieś na wsi. Wszystko odbyło się tak szybko, że rozległ się jedynie zduszony okrzyk, a karabin z hałasem upadł na ziemię. I znów zabłysnął księżyc, bardzo biały.

Stefan patrzył znieruchomiały ze zdumienia. Wołanie zamarło w jego piersi. Hałda opustoszała, żaden cień nie zatrzymywał teraz panicznej ucieczki chmur. Rzucił się biegiem i zobaczył Janka na czworakach obok trupa wyciągniętego na wznak z rękami rozrzuconymi. W przejrzystym świetle księżyca jego czerwone spodnie i szary płaszcz odcinały się ostro od bieli śniegu. Nie spłynęła ani jedna kropla krwi, nóż tkwił w gardle, zanurzony aż po rękojeść.

W gniewnym uniesieniu Stefan ciosem pięści powalił chłopca na ziemię obok ciała.

– Dlaczegoś to zrobił? – wyjąkał w pasji.

Janek podźwignął się, oparł na rękach i przeciągnął jak kot, prężąc chudy grzbiet; jego odstające uszy, zielone oczy i silnie zarysowane szczęki drżały jeszcze i płonęły z podniecenia.

– Dlaczegoś to zrobił, do pioruna?

– Nie wiem, naszła mnie taka chęć...

Upierał się przy tej odpowiedzi. Już od trzech dni nachodziła go ta chęć. Nie dawało mu to spokoju, aż go głowa bolała, o tu, za uszami, tak o tym myślał. A co, może mają się cackać z tymi żołdakami, co wtrącają się do ich spraw i siedzą im tu na karku? Z pełnych gwałtowności

przemówień w lesie, z okrzyków zniszczenia i śmierci niesionych od jednej kopalni do drugiej, pięć czy sześć słów utkwilo mu w pamięci i powtarzał je jak dzieciak bawiący się w rewolucję. Nie potrafił powiedzieć nic więcej, nikt go nie namawiał do tego, co zrobił, po prostu naszła go taka chęć, jak czasem ogarniała go chęć ukraść parę cebul z cudzego pola.

Stefan przerażony tym głuchym dojrzwaniem zbrodni w umyśle chłopca odpędzał go od zwłok jak zwierzę, które nie odpowiada za swe czyny. Drżał na myśl, czy przypadkiem żołnierze w le Voreux nie usłyszeli krzyku wartownika, i za każdym razem, gdy ukazywał się księżyc, spoglądał w stronę kopalni. Lecz widząc, że nikt się tam nie rusza, pochylił się i dotknął rąk zmarłego, które lodowaciały zwolna, posłuchał serca zamilkłego pod wojskowym płaszczem. Nóż utkwiony był aż po kościaną rękojeść, na której wyryte czarnymi literami widniało słowo: „Miłość.”

Oczy Stefana przesunęły się od szyi zmarłego ku jego twarzy. I nagle poznał: był to ów rekrut, z którym rozmawiał kiedyś przed świtem. Ogarnęła go wielka litość na widok tej łagodnej, jasnej twarzy usianej piegami. Niebieskie oczy, szeroko otwarte, spoglądały w niebo tym samym upartym spojrzeniem, jakim niegdyś szukały na horyzoncie swych stron rodzinnych. Gdzież znajdowało się owo Plogof, które jawiło mu się skąpane w słońcu? Tam, daleko, morze huczało w tę wietrzną noc. Wicher dmący nad le Voreux dał i tam może. Dwie kobiety, matka i siostra, stały przytrzymując białe czepki i wypatrywały, one również, jakby mogły dojrzeć, co robi w tej chwili ich mały, oddalony o setki mil. Nigdy już nie skończy się teraz ich czekanie. Cóż to za straszliwa rzecz, gdy biedni zabijają się nawzajem dla bogaczy!

Należało uprzątnąć zwłoki. Stefanowi przyszło najpierw na myśl, aby wrzucić je do kanału. Pewność, że je tam odnajdą, kazała mu porzucić ten projekt. Ogarnął go popłoch; czas naglił – co zrobić? Nagle doznał olśnienia; gdyby udało mu się przenieść ciało do Requillart, ukryłyby je tam na zawsze.

– Chodź no tu – powiedział do Janka.

Dziecko trzymało się na uboczu, nieufne.

– Nie chcę, zbijesz mnie. Zresztą mam różne sprawy do załatwienia. Dobranoc.

W istocie, umówił się z Bébertem i z Lidką w kryjówce pod stertą kopalniaka w le Voreux. Zamierzali spędzić tam całą noc, aby rano być świadkami zjazdu Belgów do pracy i bójki, jaka się mogła wywiązać przy tej okazji.

– Chodź tu – powtórzył Stefan – bo jak nie, to zawołam żołnierzy i utną ci głowę.

Janek podszedł, Stefan zwinął chusteczkę do nosa i przewiązał nią silnie szyję żołnierza nie wyjmując noża, który nie pozwalał płynąć krwi. Śnieg topniał, na ziemi nie było ani czerwonej kałuży, ani śladów walki.

– Weź za nogi!

Janek wziął zmarłego za nogi, Stefan chwycił go za ramiona przerzuciwszy sobie karabin przez plecy. Ostrożnie zeszli z hałdy starając się nie strącać kamieni. Na szczęście chmury znów przesłoniły księżyc. Lecz gdy szli wzdłuż kanału, wyłonił się z powrotem, bardzo jasny; chyba cudem tylko nie dostrzeżono ich z posterunku. Posuwali się szybko, w milczeniu. Przeszkadzało im kołysanie się trupa, co kilkadziesiąt metrów musieli kłaść go na ziemi. Na rogu uliczki prowadzącej do Requillart zmroził ich jakiś hałas, ledwie zdążyli skryć się za murem, gdy minął ich patrol. Nieco dalej spotkali jakiegoś człowieka, na szczęście był pijany, oddalił się przeklinając. Wreszcie dobrnęli do dawnej kopalni, oblani potem i tak przejęci, że zęby im szczękały.

Stefan przygotowany był na to, iż niełatwo będzie spuścić ciało żołnierza przez wąski otwór szybiku. Okazało się to czymś strasznym. Janek, który pozostał na górze, wsunął zwłoki do otworu, a Stefan uwieszony u krzaków towarzyszył im i pomagał przebyć tę część drabiny, gdzie szczeble były połamane. Przy każdej nowej drabinie powtarzało się to samo: pierwszy zsuwał się na dół, a później przyjmował zwłoki w swe ramiona. Na przestrzeni dwustu dziesięciu metrów ciało zmarłego spadało nań co chwila. Karabin ocierał mu grzbiet. Nie zgodził się, aby chłopiec zeszedł najpierw po świeczkę, oszczędzał jej jak skąpiec. Po co zresztą świeczka? Przeszkadzałyby tylko w tym wąskim przesmyku. Jednak kiedy doszli do podszybia, zdyszany, wysłał małego po światło. Usiadł obok zwłok i w ciemnościach oczekiwał jego powrotu, a serce biło mu mocno.

Gdy Janek ukazał się ze świeczką, Stefan poradził się go, co robić dalej, gdyż malec znał wszystkie zakamarki dawnej kopalni, szczeliny, przez które człowiek nie mógł się przedostać. Ruszyli i na przestrzeni kilometra ciągnęli trupa labiryntem zrujnowanych chodników. Wreszcie strop obniżył się tak, że musieli uklęknąć. Nad nimi rozpościerała się spękana skała podtrzymywana na pół zmurszałymi stemplami. Tworzyło to rodzaj długiej skrzyni, w której złożyli małego żołnierzyka jak w trumnie; karabin położyli obok niego i ryzykując własne życie zaczęli rozbijać stemple kopiąc je.

Skała rozdarła się na dwoje i ledwie zdążyli się wyczołgać. Gdy Stefan nie mogąc się oprzeć

chęci spojrzenia w tamtą stronę odwrócił się, strop obsuwał się coraz bardziej, miażdżąc ciało, aż wreszcie ziemia wchłonęła je do swego wnętrza.

Wróciwszy do swojej złodziejskiej jaskini Janek wyciągnął się na sianie i śmiertelnie znużony mruknął:

– Prześpię się z godzinę, ci smarkacze poczekają na mnie.

Stefan zgasił świeczkę; został jej już tylko mały kawałeczek. On również czuł się zmęczony, ale nie mógł usnąć, bolesne myśli jak młotem biły mu w skronie. Wkrótce pozostała jedna tylko, torturująca go pytaniami, na które nie potrafił odpowiedzieć: Dlaczego nie zabił Chavala, kiedy miał go pod nożem, i dlaczego ten malec zamordował żołnierza, którego nawet imienia nie znał? Burzyło to jego rewolucyjną wiarę w odwagę i w prawo zadawania śmierci. Czyżby był tchórzem? Zagrzebany w sianie chłopiec zaczął chrapać jak pijak, jak gdyby zbrodnia zmogła go jak trunek. Pełen gniewu i obrzydzenia Stefan cierpiał słysząc go i czując jego obecność. Nagle zdrzął, tchnienie lęku owiało mu twarz. Wydało mu się, że z głębi ziemi dobiegł szelest czyichś kroków i łkanie. Wizja małego żołnierzyka leżącego z karabinem u boku pod skałami przejęła go dreszczem i zjeżyła włosy na głowie. Wiedział, że to niemądre, ale cała kopalnia rozbrzmiewała teraz jakimiś głosami, musiał zapalić świeczkę i uspokoił się dopiero, gdy w jej nikłym blasku przekonał się, że chodniki są puste jak zwykle.

Przez kwadrans jeszcze rozmyślał, trawiony wciąż tym samym pytaniem, z oczyma utkwionymi w płomieniu świecy. Lecz nagle knot zaskwierczał i wszystko pograżyło się z powrotem w ciemności. Stefanem znów wstrząsnął dreszcz; miał ochotę uderzyć Janka, aby przerwać jego chrapanie. Bliskość chłopca stawała się dlań nie do zniesienia, uciekł dręczony pragnieniem odetchnięcia pełną piersią, biegł chodnikami i spieszenie wspinał się po drabinach, jak gdyby tuż za sobą słyszał zdyszany oddech jakiegoś widma.

Dopiero na górze, pośród ruin Requillart, odetchnął swobodnie. Ponieważ nie miał dość odwagi, aby zabijać, sam musi umrzeć; myśl o śmierci, która przemknęła mu już kiedyś przez głowę, powróciła teraz, utwierdzała się w jego mózgu jako ostatnia nadzieja. Umrze odważnie, umrze dla rewolucji i w ten sposób zakończy wszystko, zakończy swe rozrachunki i wreszcie uwolni się od myślenia. Jeżeli towarzysze zaatakują Belgów, to on pójdzie w pierwszym szeregu, aby mieć sposobność narażenia się na śmierć. Pewnym krokiem ruszył w stronę le Voreux. Biła druga, z izby sztygarów, w której mieściła się wartownia, dochodziły podniesione głosy. Zniknięcie wartownika wywołało poruszenie wśród żołnierzy, obudzono kapitana, a po

dokładnych oględzinach hałdy zawyrokowano, że wartownik zdezerterował. Przyczajony w mroku Stefan przypomniał sobie o tym kapitanie – republikanie, o którym mówił mu żołnierz. Kto wie, może dałoby się go namówić, aby przeszedł na stronę ludu? Żołnierze podnieśliby karabiny i stałoby się to sygnałem rozprawy z burżujami. Uniesiony nowym marzeniem nie myślał już o śmierci, stał w błocie, na deszczu, rozgorączkowany nadzieją możliwego jeszcze zwycięstwa.

Aż do godziny piątej wypatrywał Belgów. Później zorientował się, iż Towarzystwo było na tyle przebiegłe, że kazało im spać tej nocy w le Voreux. Zjazd rozpoczął się już, kilku strajkujących z osiedla Dwieście Czterdzieści postawionych na straży wahało się, czy dać znać towarzyszą. To on powiadomił ich o podstępie; pobiegli, a on zatrzymał się za hałdą. Wybiła szósta, ziemiste niebo przybladło, rozjaśniło się czerwona jutrzienką, gdy u wylotu jednej z drózek ukazał się ksiądz Ranvier wysoko podnosząc sutannę i odsłaniając chude nogi. Każdego poniedziałku odprawiał mszę w kaplicy klasztoru położonego z drugiej strony kopalni.

– Dzień dobry, mój przyjacielu! – zawołał głośno, zmierzwiwszy młodego człowieka swym płomiennym wzrokiem.

Ale Stefan nie odpowiedział. W dali pomiędzy drewnianymi kozłami le Voreux dostrzegł sylwetkę kobiecą i rzucił się ogarnięty niepokojem, gdyż wydało mu się, że to była Katarzyna.

Od północy Katarzyna błąkała się po drogach. Wróciwszy do domu Chaval wyrzucił ją z łóżka, krzycząc, żeby natychmiast wynosiła się drzwiami, jeżeli nie chce wylecieć oknem. Płacząca, na pół ubrana, pobita, musiała zejść na dół pożegnana kopnięciem. To brutalne rozstanie oszołomiło ją, usiadła na kamiennym słupku przy drodze i spoglądała na szynk czekając wciąż, że Chaval ją zawoła; to przecież niemożliwe, na pewno śledzi ją wzrokiem i powie jej, żeby wróciła, gdy zobaczy, jak drży z zimna, opuszczona i bezdomna.

Po dwóch godzinach, przemarznięta do szpiku kości, jak pies wygnany na ulicę, wstała i odeszła. Po chwili zawróciła, lecz zabrakło jej odwagi, aby zawołać czy stukać do drzwi. Wreszcie oddaliła się szosą z myślą, że pójdzie do osiedla, do rodziców. Lecz kiedy znalazła się przed domem, ogarnął ją taki wstyd, iż ruszyła biegiem wzdłuż ogródków bojąc się, aby jej ktoś nie zobaczył, chociaż kolonia spała głębokim snem za opuszczonymi żaluzjami. Zaczęła się błąkać, najlżejszy nawet szelest budził w niej przerażenie; drżała z lęku, że mogłaby zostać zatrzymana i odstawiona do domu publicznego w Marchiennes, o którym myśl dręczyła ją jak koszmar od wielu miesięcy. Dwa razy otarła się o le Voreux, lecz wystraszyły ją podniesione

głosy dobiegające z wartowni i uciekła zadyszana oglądając się za siebie, czy nikt jej nie goni. Uliczka prowadząca do Requillart pełna była zawsze pijaków, powracała do niej jednak w niejasnej nadziei, że spotka tam tego, którego odepchnęła przed paroma godzinami.

Tego ranka Chaval miał zjechać do kopalni; myśl o tym kazała Katarzynie zawrócić do le Voreux, chociaż czuła, że wszelka rozmowa z nim jest bezcelowa: między nimi wszystko było skończone. Jean-Bart stanął, do pracy w le Voreux powrócić nie mogła, gdyż Chaval, który bał się, iż go skompromituje, zagroził, że zrobi z nią porządek, gdyby się tam pokazała – cóż więc miała robić? Iść gdzie indziej? Zdychać z głodu? Znosić razy każdego mężczyzny, który ją weźmie? Wlokła się potykając o koleiny, z obolałymi nogami, ubłocona do pasa. Odwilż przemieniła drogi w rzeki błota, Katarzyna tonęła w nich nie ośmielając się nawet usiąść na kamieniu, aby odpocząć.

Rozwidniło się. Katarzyna zobaczyła plecy Chavala przezornie okrążającego hałdę, a w chwilę później dostrzegła Lidkę i Béberta wyglądających z kryjówki pod stertą kopalniaka. Spędzili tam noc na czatach, nie mając odwagi wrócić do domu, gdyż Janek kazał im czekać. I podczas gdy on spał w Requillart pijany mordem, dzieci objęły się ramionami, aby się ogrzać. Wiatr gwizdał pomiędzy balami, a one kulily się jak w opuszczonej chatce drwała. Lidka nie śmiała wyjawić na głos swych cierpień małej kobietki, którą bije jej władca, tak samo jak Bébert nie znajdował dość odwagi, aby poskarżyć się, że policzki puchną mu od razów herszta; ale doprawdy przebrał on już miarę narażając ich na niebezpieczeństwo w swych zawadiackich wyprawach, a później odmawiając podziału łupów. W sercach dzieci podnosił się bunt i ucałowały się wreszcie mimo zakazu Janka i jego grózb, że niewidzialna ręka wymierzy im wtedy policzek. Lecz nie wymierzyła, a one ścisnęły się dalej, nie myśląc o niczym więcej, zamykając w tej łagodnej pieśczości całe ich długo tajone uczucie, wszystko, co w nich było udręczonego i spragnionego czułości. Przez całą noc ogrzewali się w ten sposób nawzajem, tak szczęśliwi w głębi swej kryjówki, że nie przypominali sobie, aby kiedykolwiek – nawet na świętą Barbarę, kiedy jedli pączki i pili wino – było im lepiej.

Niespodziewany głos trąbki przejął Katarzynę dreszczem. Wspięła się na palce i zobaczyła, że żołnierze na posterunku chwytają za broń. Nadbiegł Stefan; Bébert i Lidka jednym skokiem opuścili kryjówkę. W świetle wschodzącego dnia zbliżała się od osiedla grupa kobiet i mężczyzn gestykułując gniewnie.

V

Wszystkie wejścia do le Voreux pozamykano, a sześćdziesięciu żołnierzy z bronią u nogi zagradzało dostęp do jedynych drzwi, jakie pozostały otwarte, wąskimi schodami prowadzących do hali zjazdowej. Kapitan ustawił żołnierzy w dwóch rzędach; za sobą mieli ścianę, aby nie można ich było zaatakować od tyłu.

Z początku grupa górników przybyłych z osiedla trzymała się w pewnej odległości. Było ich najwyżej trzydziestu, rozmawiali hałaśliwie i bezładnie, zastanawiając się, co robić.

Maheudka rozczochrana, w chusteczce zawiązanej byle jak, ze śpiącą Estelką na rękę, przybiegła pierwsza i powtarzała gorączkowo:

– Nie wpuszczać i nie wypuszczać nikogo! Żebyśmy ich tam przychwycili wszystkich!

Maheu przytakiwał jej słowom, gdy tymczasem stary Mouque nadszedł właśnie z Requillart. Nie chciano go przepuścić, lecz on wyrwał się mówiąc, że czy jest rewolucja, czy nie, konie i tak muszą dostać owsa. A zresztą jeden koń zdechł i czekają tam na niego, żeby zwierzę wywieźć. Stefan pomógł stajennemu uwolnić się od strajkujących, a żołnierze wpuścili go do wnętrza, żeby zjechał. W kwadrans później – grupa górników wzrosła przez ten czas i stawała się groźna – otworzyły się szerokie drzwi na parterze i ukazało się kilku mężczyzn ciągnąc za sobą nieżywe zwierzę, ściśnięty jeszcze sznurami żaloszny pakunek, który porzucili pośród kałuż stopniałego śniegu. Wywarło to takie wrażenie, iż nikt nie przeszkodził im cofnąć się i na powrót zabarykadować drzwi. Wszyscy poznali konia, którego zeszywniały łeb przywiązany był do boku.

Przebiegł szept:

– To Trompette, prawda? To Trompette.

W istocie był to Trompette. Aż do ostatniej chwili nie potrafił zaaklimatyzować się pod ziemią. Osowiały, pracował niechętnie, jakby dręczyła go tęsknota za słońcem. Na próżno Bataille, nestor kopalni, ocierał się o niego przyjacielsko i pieszczotliwie chwytając zębami za szyję usiłując wpoić mu coś z własnej rezygnacji. Pieszczoty te wzmagaly jeszcze jego melancholię, zwierzenia kolegi, który zestarzał się w ciemnościach, jeżyły mu sierść na grzbiecie; za każdym razem, gdy spotkały się po drodze, ich parskanie zdawało się wyrażać straszliwy żal, u jednego, iż niczego już nie pamięta, a u drugiego, iż niczego zapomnieć nie

może. W stajni sąsiadowały ze sobą i stojąc z opuszczonymi łbami dzieliły się swym marzeniem o życiu na powierzchni, wizjami zielonych łąk, białych dróg, złotych plam światła.

Kiedy Trompette obłany potem konał na słomie, Bataille zaczął obwąchiwać go rozpaczliwie, prychając krótko, jakby płakał. Czuł, iż tamten staje się coraz chłodniejszy – kopalnia zabierała mu ostatnią jego radość, przyjaciela, który zjawił się z powierzchni przynosząc ze sobą woń ziemi, mówiąc o przeszłości. Gdy spostrzegł, że towarzysz przestał się poruszać, zerwał postronek rżąc ze strachu.

Już od tygodnia Mouque uprzedzał starszego sztygara, że koń jest chory. Ale kogo w tej chwili mógł obchodzić chory koń! Panowie z dyrekcji nie lubili zresztą wycofywać raz spuszczonej koni. Teraz jednak trzeba go było wywieźć na powierzchnię. Dzień przedtem stajenny wraz z dwoma mężczyznami owiązał Trompette'a sznurem. Zaprzągnięto Bataille'a, aby dowiózł go do szybu. Stary koń ruszył powoli ciągnąc zmarłego towarzysza chodnikiem tak wąskim, iż musiał nateżać wszystkie siły, aby się precisnąć; utrudzony potrząsał głową słysząc, jak ciało tamtego, na które czekał już oprawca, ociera się o ściany. Na podszybiu, kiedy go wyprzężono, zgasłym spojrzeniem śledził przygotowania do odjazdu na powierzchnię: ciało umieszczono na poprzecznicach ponad żapem, sznury przymocowano do spodu windy. Kiedy zabrzmiał sygnał, Bataille podniósł głowę, aby zobaczyć, jak tamten odjeżdża, najpierw powoli, później coraz prędzej, aż nagle pochłonęły go ciemności. Stary koń stał z wyciągniętą szyją, w jego osłabłej pamięci błąkały się jeszcze może jakieś wspomnienia spraw ziemskich. Lecz wszystko było skończone, towarzysz niczego już nie ujrzy, a on sam wydostanie się stąd też jedynie jako żalony pakunek owiązany sznurem. Nogi zaczęły mu drżeć, owionęła go woń dalekich pól i zabrakło mu tchu; kiedy ociężałym krokiem powrócił do stajni, był jak pijany.

Na placu przed kopalnią górniczy stali zasępieni nad zwłokami Trompette'a. Któraś z kobiet odezwała się półgłosem:

– Człowiek to jeszcze chociaż zjeżdża z dobra woli...

Od strony osiedla nadpłynęła nowa fala strajkujących; na czele szedł Levaque z Lewaczką i Bouteloupem krzycząc:

– Śmierć Belgom! Precz z obcymi! Śmierć, Śmierć! Wszyscy rzucili się naprzód i Stefan musiał ich zatrzymywać. Podeszedł do kapitana, wysokiego, szczupłego mężczyzny lat najwyżej dwudziestu ośmiu, o twarzy zdecydowanej i pełnej bólu; wyjaśnił mu całą sprawę, usiłując pozyskać go dla ludu, śledząc, jakie wrażenie wywierają jego słowa. Po co dopuszczać do

bezczelnego przelewu krwi? Czyż racja nie jest po stronie górników? Wszyscy są braćmi i powinni rozumieć się nawzajem, Na dźwięk słowa: republika, kapitan zrobił nerwowy ruch ręką. Lecz zachował wojskową sztywność i nagle powiedział:

– Cofnijcie się! Nie zmuszajcie mnie, abym spełnił swój obowiązek.

Trzy razy usiłował Stefan przemówić do niego. Z tyłu, za nim, towarzysze szemrali. Rozeszła się pogłoska, że pan Hennebeau jest w kopalni, odzywały się głosy, aby wrzucić go do szybu, niech sobie sam urabia swój węgiel. Lecz pogłoska ta była fałszywa, na terenie kopalni znajdowali się jedynie Négrel i Dansaert. W pewnej chwili obaj ukazali się w jednym z okien hali zjazdowej: starszy sztygar, zbity z tropu od czasu przygody z Pierronką, trzymał się nieco w tyle, gdy tymczasem inżynier odważnie przyglądał się tłumowi swymi żywymi oczkami, uśmiechając się z drwiącą pogardą, z jaką odnosił się do ludzi i rzeczy. Rozległy się gniewne okrzyki i tamci dwaj zniknęli. Na ich miejscu pojawiła się jasna twarz Suwarina. Pełnił akurat służbę; od chwili wybuchu strajku ani na jeden dzień nie porzucił swej maszyny, milczący i coraz bardziej pochłonięty pewną *idée fixe*, która połyskiwała stałą w głębi jego bladych oczu.

– Cofnijcie się! – powtórzył bardzo głośno kapitan. – Dla mnie nie ma tu nic do zrozumienia, otrzymałem rozkaz pilnowania szybu i wypełnię go... Przestańcie napierać na moich ludzi, bo zmuszę was do odstąpienia.

Mówił zdecydowanym głosem, lecz na widok coraz to przybierającej fali górników ogarniał go coraz większy niepokój; w południe miano go zlizować, bojąc się jednak, iż nie utrzyma się do tej pory, posłał chłopca z kopalni do Montsou po posiłki.

Złorzeczenia odpowiedziały jego słowom.

– Śmierć cudzoziemcom! Śmierć Belgom... Chcemy być panami we własnym domu!

Stefan cofnął się zrozpaczony. Nie pozostawało już nic innego, jak bić się i umrzeć. Przestał powstrzymywać towarzyszy, stanęli twarzą w twarz z żołnierzami. Górników było około czterystu, sąsiednie osiedla pustoszały i nadbiegali coraz to nowi. Wszyscy krzyczeli to samo, a Maheu i Levaque powtarzali z gniewem żołnierzom:

– Idźcie sobie stąd! Do was nie mamy żadnych pretensji, idźcie sobie!

– To nie wasza rzecz – podjęła Maheudka – dajcie nam załatwić samym nasze sprawy.

Stojąca za nią Lewaczka, bardziej gwałtowna, dorzuciła:

– Czyż mamy was najpierw pożreć, żeby przejść? Przecie mówimy jak do ludzi: wynoście się stąd!

Rozległ się nawet wątyły głosik Lidki, która wcisnąwszy się w tłum razem z Bébertem rzuciła piskliwie:

– Patrzcie tylko na te ciamajdy w mundurach!

Katarzyna przyglądała się i słuchała oszołomiona tą nową burzą, w środek której rzucił ją zły los. Czyż nie dosyć jeszcze cierpiała? Jakież dopuściła się zbrodni, że nieszczęście trzymało się jej tak uparcie? Wczoraj jeszcze gniewne uniesienia strajkujących były dla niej zupełnie niezrozumiałe, uważała, że gdy otrzymało się już od życia swoją porcję razów, nie należy upominać się o nowe, lecz w tej chwili w sercu jej wzbierała potrzeba nienawiści; przypominała sobie to, o czym Stefan opowiadał im niegdyś wieczorami, starała się pochwycić słowa, które mówił teraz do żołnierzy. Nazywał ich towarzyszami, przypominał, że oni również pochodzą z ludu, że powinni stać po stronie ludu przeciwko wyzyskiwaczom nędzy...

Tłum zakołysał się nagle, do pierwszych szeregów przecisnęła się jakaś stara kobieta. Była to la Brûlé; przerażająca w swej chudości wymachiwała rękami, rozwiane od biegu włosy siwymi kosmykami opadały jej na oczy.

– No, wreszcie jestem! – wyjąkała nie mogąc złapać tchu. – Ten sprzedawczyk Pierron zamknął mnie w piwnicy!

Nie słuchając nikogo rzuciła się na żołnierzy łząc ich z pasją:

– Łajdaki! Kanalie! Do biednych ludzi nie boicie się strzelać, ale oficerom to buty liżecie!

Inni przyłączyli się do niej, posypały się obelgi. Ten i ów krzyknął jeszcze: „Niech żyją żołnierze! Do szybu oficera”, lecz wkrótce słyhać już było jeden tylko okrzyk: „Czerwone spodnie precz!” Żołnierze, którzy niewzruszeni, z twarzą nieruchomą i milczącą przyjmowali braterskie wezwania, przyjazne próby zjednania ich sobie, pod gradem zniewag zachowali tę samą martwość. Oficer za nimi wyciągnął szablę, a ponieważ tłum napierał coraz bardziej i groziło im, że zostaną zmiażdżeni, kazał nastawić bagnety. Wykonali rozkaz i podwójny rząd stalowych ostrzy pochylił się ku piersiom strajkujących.

– Och, łajdaki! – zawyła stara Brûlé cofając się.

Pełni uniesienia i pogardy śmierci napierali dalej. Kobiety wysuwały się do pierwszych rzędów, Maheudka i Lewaczka wołały:

– Zabijcie nas! Zabijcie nas, jak chcecie! Domagamy się tego, co się nam należy!

Nie bacząc na niebezpieczeństwo Levaque chwycił gołymi rękami trzy bagnety i potrząsał nimi, ciągnął do siebie, aby je wyrwać, kręcił nimi, a gniew dodawał mu sił. Bouteloup, zły, że

poszedł za kolegą, stał z boku i przyglądał mu się ze spokojem.

– Dalej! Spróbujcie – powtarzał Maheu – spróbujcie tylko, żeby pokazać, coście warci!

Rozpinał kurtkę, odchyłał koszulę ukazując pierś nagą i owłosioną, wytatuowaną węglem. Nacierał na zwrócone ku niemu ostrza zmuszając żołnierzy do cofnięcia się, straszny w swym zuchwałym męstwie. Jeden z bagnetów zadrasnął go, rozjuszony starał się wbić go głębiej, aby usłyszeć, jak zazgrzyta o kości.

– Nędznicy, nie odważycie się nigdy... Za nami stoi dziesięć tysięcy towarzyszy. Dobrze, możecie nas zabić, ale wtedy przyjdzie wam zabić i tamtych dziesięć tysięcy.

Sytuacja żołnierzy, którym zapowiedziano surowo, że broni wolno im użyć tylko w ostateczności, stawała się krytyczna. Co zrobić z tymi szaleńcami, co sami chcą nadzieć się na ostrza? Przestrzeń między wojskiem a górnkami zmniejszała się coraz bardziej, wreszcie przyparciu do muru żołnierze nie mogli już cofać się dalej. Ta drobna garstka trzymała się dzielnie i ze spokojem wykonywała krótkie rozkazy kapitana. Zaciskał on nerwowo wargi lękając się jednego: aby żołnierze nie stracili cierpliwości słuchając obelg. Wysoki, chudy sierżant o nastroszonych wąsiskach mrugał już niepokojąco powiekami, a stojący obok niego stary wiarus z szewronami na rękawie, ogorzały w dziesiątkach bitew, poblądł ujrzawszy, iż czyjeś ręce gną jego bagnet jak słomkę. Inny, jakiś rekrut zapewne, pachnący jeszcze świeżo zoraną ziemią, czerwienił się za każdym razem, gdy posłyszał, że nazywają go łajdakiem i kanalią. A tymczasem obelgi nie ustawały, zaciśnięte pięści wysuwały się w stronę żołnierzy, wyzwiska, oskarżenia i groźby spadały na nich jak policzki. Trzeba było całej potęgi rozkazu, aby utrzymać ich w wyniosłym i smutnym milczeniu, jakie narzucała dyscyplina wojskowa.

Walka wydawała się nieunikniona, gdy wtem ukazał się sztygar Richomme ze swą siwą czupryną i twarzą poczciwego żandarma, zmienioną z przejęcia.

– To nie ma najmniejszego sensu! – zawołał głośno. – Człowiek nie może spokojnie patrzeć na takie głupstwa.

I rzucił się pomiędzy bagnety a górników.

– Koledzy, posłuchajcie tylko. Wiecie, że jestem starym robotnikiem i że nigdy nie przestałem być jednym z was. I, psiakrew, obiecuję wam, że jeżeli dyrekcja nie postąpi z wami po sprawiedliwości, sam pójdę i powiem im prawdę prosto w oczy... Ale to, co robicie, jest bez sensu, cóż wam z tego przyjdzie, że będziecie wydzierać się na tych Bogu ducha winnych biedaków i pchać się na bagnety, żeby sobie brzuch przedziurawić?

Jego słowa wywołały wahanie. Niestety na piętrze znów ukazał się ostry profil małego Négrela. Obawiał się on zapewne, żeby nie zarzucono mu, iż zamiast zejść tam, wysłał do strajkujących sztygara, i usiłował przemówić. Lecz słowa jego zagłuszyła tak straszliwa wrzawa, że wzruszywszy tylko ramionami odszedł od okna. Od tej chwili Richomme na próżno błagał ich w jego imieniu i przywoływał do rozsądku: odpychano go, wydawał się podejrzany. Lecz on uparł się i nie ustępował.

– Psiakrew, mogą mnie tu zabić razem z wami, ale nie odejdę, dopóki nie nabierzecie trochę rozumu!

Stefan, którego poprosił, aby pomógł mu dojść z nimi do ładu, bezradnie rozłożył ręce. Było za późno: liczba atakujących wzrosła do przeszło pięciuset, a wszyscy kipieli gniewem i przybiegli tu, aby wypędzić Belgów; ciekawscy żartownisie, którzy przyszli dla rozrywki, trzymali się w pewnej odległości. Pośród jednej z tych grup stojących z dala Zachariasz i Filomena przyglądali się całej scenie jak widowisku, oboje tak spokojni, że przyprowadzili ze sobą nawet dzieci, Achillesa i Désirée. Nowa fala górników nadpływała od strony Requillart, a między nimi Mouque i Mouquette: on natychmiast poszedł do swego przyjaciela Zachariasza i śmiejąc się klepnął go po ramieniu, gdy tymczasem ona, wzburzona bardzo, biegła na czele zbuntowanych.

Kapitan co chwila zwracał się w stronę Montsou. Żądane posiłki nie nadchodziły, jego sześćdziesięciu ludzi nie mogło opierać się dłużej. Aby wzbudzić postrach, kazał żołnierzom naładować karabiny. Wykonali rozkaz, lecz złorzeczenia, przechwałki i kpiny wzmogły się jeszcze.

– Patrzajcie tylko, te próżniaki będą teraz strzelać do celu! – śmiała się stara Brûlé, Lewaczka i inne.

Maheudka z piersią osłoniętą drobnym ciałkiem Estelki, która obudziła się i płakała, podeszła tak blisko, iż sierżant zapytał jej, co tu robi z dzieckiem.

– A tobie co do tego? – odparła. – Strzelaj do niego, Jak masz odwagę.

Mężczyźni potrząsali głowami z pogardą. Żaden z nich nie wierzył, aby żołnierze mogli użyć broni.

– Mają ślepe naboje – odezwała się Lewaczka.

– Czy to my Kozacy? – zawołał Maheu. – Nie będą przecież strzelać do Francuzów, u pioruna!

Inni powtarzali, że tym, co mają za sobą kampanię krymską, ołów nie straszny! I wszyscy razem napierali dalej na bagnety. Gdyby w tej chwili padła salwa, skosiłaby dziesiątki ludzi.

Mouquette dławiała się gniewem na myśl, że żołnierze mieliby strzelać do kobiet. Ciskała im w twarz jak najgorsze obelgi, a gdy zabrakło jej już zniewag, odwróciła się i obiema rękami podniosła spódnicę ukazując goły tyłek.

– Macie, to dla was, łajdaki! I tak jeszcze za czysty.

Wypinała się, pochylała, obracała w różne strony, aby nie pominąć nikogo.

– To dla oficera! – pokrzykiwała. – To dla sierżanta! A to dla szeregowych!

Buchnął śmiech, Bébert i Lidka skręcali się aż, a nawet Stefan, sposepniały w oczekiwaniu, przyklasnął tej obraźliwej nagości. Zarówno najbardziej zajadli, jak i żartownisie obrzucali teraz żołnierzy okrzykami pogardy, jak gdyby w ich oczach obryzgano ich nieczystościami. I tylko stojąca na uboczu Katarzyna milczała czując, jak obejmuje ją płomień nienawiści.

Nagle powstało zamieszanie. Kapitan, aby uspokoić swoich ludzi, postanowił zatrzymać parę osób. Mouquette wyrwała się jednym susem i umknęła przeciskając się między nogami towarzyszy. Trzech górników, Levaque i dwóch innych, zostało wziętych siłą; umieszczono ich w izbie sztygarów, skąd byli widoczni dla tłumu. Négreł i Dansaert wołali do kapitana, aby wszedł do wnętrza budynku i zamknął się razem z nimi. Odmówił czując, że te zabudowania o drzwiach bez mocnych zamków zostałyby wzięte szturmem, a on sam haniebnie rozbrojony. Jego oddziałek szemrał już ze zniecierpliwienia – czyż mieliby uciekać przed tymi obdartusami w sabotach? Sześćdziesięciu ludzi z nabitymi karabinami z powrotem zwróciło się twarzą ku strajkującym.

W pierwszej chwili tłum cofnął się, zapanowało głębokie milczenie. Górnicy zdumieni byli tym aktem przemocy, którego na nich dokonano. Po chwili rozległy się okrzyki domagające się natychmiastowego uwolnienia więźniów. Odezwało się parę głosów, że ich tam mordują w izbie sztygarów. I nagle, nie porozumiewając się nawet, ogarnięci tym samym uniesieniem, tym samym pragnieniem zemsty, wszyscy rzucili się do stosów cegieł leżących opodal, cegieł, do wyrobu których gliniasty grunt dostarczał materiału i które wypalano na miejscu. Dzieci przynosiły je jedną po drugiej, kobiety napełniały nim spódnice. Niebawem każdy miał u stóp zapas amunicji i walka rozpoczęła się.

Pierwsza dała sygnał stara Brûlé. Rozbijała cegły o chude kolano i rzucała je oburącz. Lewaczka wysilała się, jak mogła, lecz otyła i słaba musiała podejść blisko, aby trafiać.

Bouteloup ciągnął ją błagalnie do tyłu w nadziei, że uda mu się wycofać z nią razem teraz, kiedy męża nie było już na placu. Kobiety ogarnęła pasja, Mouquette, która zakrwawiła sobie tłuste uda rozłamując na nich cegły, rzucała je teraz w całości. Nawet dzieci stanęły do walki, Bébert uczył Lidkę celnych rzutów. Cegły padały jak potężne ziarna gradu, których upadek rozlegał się głucho. I nagle pośród rozjuszonych kobiet dostrzeżono Katarzynę z wyciągniętymi rękami, ciskającą połówki cegieł całą siłą swych wątłych ramion. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego to robi, czuła, że się dusi, że pragnęłaby obrócić w perzynę cały świat. Kiedyż skończy się wreszcie to przekłete życie w nędzy i nieszczęściu? Spoliczkowana i wypędzona przez kochankę, po godzinach włóczęgi błotnistymi drogami, jak pies wygnany z domu, nie mogąc zwrócić się do własnego ojca o łyżkę strawy, bo sam głodował – dość już miała wszystkiego. Nigdy nie będzie lepiej, przeciwnie, wszystko obracało się ku gorszemu, więc rozłupywała cegły i ciskała je przed siebie opanowana tą jedną jedyną myślą, aby zmieść wszystko, z oczyma tak nabiegłymi krwią, że – oślepiąca – nie widziała nawet, w kogo uderza.

Stefanowi, który stał tuż przed żołnierzami, o mało nie rozbiła głowy. Ucho mu obrzmiało, odwrócił się i zadrżał zrozumiałwszy, że cegłę, która go trafiła, rzuciły rozgorączkowane dłonie Katarzyny; narażając życie nie ruszał się z miejsca, patrzył na nią. Wiele innych osób również wpatrywało się w nią wymachując z podniecenia rękami. Mouquet oceniał rzuty, jak gdyby asystował przy grze hazardowej: – O! ten pierwszorzędnny! A ten się nie udał! – Chichotał i trącał łokciem Zachariasza klócającego się z Filomeną, gdyż przed chwilą spoliczkował Achillesa i Désirée, kiedy napierali się, aby ich wziął na ręce. Wzdłuż drogi zebrał się tłum gapiów. Na szczycie wzgórza, u wejścia do osiedla ukazał się dziadek Bonnemort; włókł się opierając na lasce, a później znieruchomiał wyprostowany na tle nieba koloru rdzy.

Skoro tylko padły pierwsze cegły, sztygar Richomme na nowo stanął pomiędzy żołnierzami a strajkującymi. Niebaczny na niebezpieczeństwo, tak zrozpaczony, że wielkie łzy płynęły mu z oczu, błagał jednych, przywoływał do rozsądku drugich. Wrzawa głużyła jego słowa, widać było jedynie jego wielkie, siwe wąsy, które drżały.

Lecz grad pocisków stawał się coraz gęściejszy, mężczyźni również zaczęli rzucać cegły za przykładem kobiet. Maheudka zauważyła wówczas, że Maheu stoi z tyłu. Ręce miał puste, twarz zasepioną.

– A tobie co się stało? – krzyknęła. – Tchórzysz?

Pozwolisz, żeby twoich towarzyszy zaprowadzili do więzienia?... Ach, gdybym nie miała ze

sobą małej, zobaczyłbyś dopiero!

Estelka, która kurczowo trzymała się jej szyi zanosząc się płaczem, przeszkadzała Maheudce przyłączyć się do starej Brûlé i reszty kobiet. Ponieważ mąż zdawał się nie słyszeć jej słów, nogą pchnęła cegły w jego stronę.

– Weźmiesz to czy nie? Mam ci napluć w twarz przy wszystkich, żebyś nabrał odwagi?

Maheu oblał się ciemnym rumieńcem, rozłupał parę cegieł i zaczął nimi rzucać. Żona chłostała go straszliwymi słowami, odbierała mu rozsądek, ujadała za plecami, konwulsyjnie przyciskając do piersi córkę; posuwał się naprzód, aż wreszcie znalazł się tuż przed linią karabinów.

Mały oddziałek nikał pod tą ulewą kamieni. Na szczęście padały za wysoko, mur usiany był śladami ich uderzeń. Co robić? Myśl o odwrocie zalała na chwilę purpurą bladą twarz kapitana; lecz było to niemożliwe, gdyby tylko ruszyli się z miejsca, tłum rzuciłby się na nich i rozszarpał. Cegła strzaskała daszek jego kepi, krople krwi spływały mu z czoła. Wielu jego ludzi odniosło rany; czuł, że rozpiętany instynkt samoobrony za chwilę każe im wypowiedzieć posłuszeństwo jego rozkazom.

Raniony w lewe ramię, otrzymawszy cios, który rozległ się głucho niby uderzenie kijanką w stos bielizny, sierżant zaklął. Draśnięty dwukrotnie rekrut miał zmiążdżony kciuk i otarte prawe kolano, które piekło go nieznośnie: czy długo jeszcze będą pozwalali się masakrować? Jakiś kamień, odbiwszy się, rykoszetem trafił starego wiarusa w podbrzusze, żołnierz pozieleniał, karabin zadrżał mu w rękach i wyciągnął się jak do strzału. Trzykrotnie już kapitan o mało nie kazał żołnierzom strzelać. Dławił go jakiś lęk, nie kończąca się walka, która trwała zaledwie kilka sekund, poruszyła w nim jego przekonania, jego poczucie obowiązku, wszystko, w co wierzył jako człowiek i jako żołnierz. Deszcz cegieł wzmógł się i kapitan otwierał już usta, aby zawołać: ognia! – gdy rozległy się wystrzały, najpierw trzy, później pięć, potem salwa, wreszcie po dłuższej chwili jeden, pośród głębokiej ciszy.

Zapanowało zdumienie. Tłum znieruchomiał, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć, że żołnierze strzelali. Lecz gdy trąbka obwieściła przerwanie ognia, odezwały się rozdzierające krzyki. Ludzi ogarnęła obłądana panika, rozproszyli się jak trzoda sieczona ogniem, rozbiegli się brnąc po błocie.

Przy pierwszych trzech strzałach Bébert i Lidka osunęli się jedno na drugie, dziewczynka ugodzona w twarz, chłopiec poniżej lewego ramienia. Mała, rażona kulą, zastygała, lecz on

poruszył się, wstrząsany drgawkami agonii chwycił ją w ramiona, jak gdyby chciał wznowić uścisk, który połączył ich w głębi ciemnej kryjówki, gdzie spędzili ostatnią noc. Janek, który nadbiegł właśnie z Requillart obrzmiały jeszcze od snu, zobaczył, jak objął on swą małą żoneczkę i skonał.

Następnych pięć strzałów położyło starą Brûlé i sztygara Richomme'a. Trafiony w plecy w chwili, gdy błagał towarzyszy, padł na kolana, a później osunąwszy się na bok charczał z oczyma pełnymi jeszcze łez. Ugodzona w pierś starucha upadła prosto przed siebie z chrzęstem wiązki chrustu, pełnymi krwi ustami bełkocąc ostatnie przekleństwo.

Salwa skosiła w promieniu stu kroków grupki gapiów ze śmiechem przyglądających się walce. Jedna z kul ugodziła w usta Mouqueta; runął do stóp Zachariasza i Filomeny obryzgując ich dzieci czerwonymi kroplami. W tej samej chwili Mouquette otrzymała dwie kule w brzuch. Zobaczywszy, iż żołnierze składają się do strzału, posłuszna odruchowi swego dobrego serca rzuciła się była przed Katarzynę wołając, aby uważała; trafiona krzyknęła głośno i upadła na wznak. Stefan podbiegł, chciał wziąć ją na ręce, odnieść na bok, lecz gestem powiedziała mu, że to już koniec. Dławiła ją czkawka, nie przestawała uśmiechać się do Katarzyny i Stefana, jak gdyby szczęśliwa, że odchodząc widzi ich razem.

Wszystko zdawało się zakończone, huragan kul zamilkł w oddali, między domami osiedla, gdy wtem padł ów ostatni strzał, pojedynczy, zapóźniony.

Maheu, trafiony w samo serce, zawirował i upadł twarzą w kałużę wody czarnej od pyłu węglowego.

Maheudka pochyliła się nad nim, oszołomiona.

– Stary, podnieś się! Nic ci się nie stało, prawda?

Estelka krępowała jej ruchy, musiała wsunąć ją sobie pod ramię chcąc odwrócić głowę męża.

– Odezwijże się! Gdzie cię boli?

Oczy miał puste, na wargach krwawą pianę. Wówczas zrozumiała: nie żył. Usiadła obok niego w błocie, z dzieckiem pod pachą, jakby to był pakunek, i spoglądała na męża ogłupiałym wzrokiem.

Kopalnia była wolna. Nerwowym gestem kapitan najpierw zdjął, a potem włożył z powrotem kępi z daszkiem rozłupanym przez kamień. Tak samo sztywny i blady jak przedtem, przyjmował klęskę całego swego życia, a jego ludzie w milczeniu na nowo ładowali broń. W oknie hali zjazdowej ukazały się przerażone twarze Négrela i Dansaerta. Za nimi stał Suwarin z czołem

przeiętym głęboką zmarszczką – groźnym znakiem dręczącej go *idée fixe*. Na szczycie płaskowzgórza widniała nieruchoma sylwetka dziadka Bonnemort. Jedną ręką opierał się na lasce, drugą podniósł do oczu, aby lepiej widzieć pogrom swoich. Ranni jęczeli głośno, zmarli zastygali w dziwacznych pozach, ubrudzeni lepkiem błotem i węglem, który czarnymi plamami wyzierał tu i ówdzie pomiędzy zbrukanych strzępów śniegu. Pośrodku tych drobniutkich zwłok człowieczych, żalonych w swej chudości, leżały zwłoki Trompette'a, wzgórek martwego mięsa, straszliwy i biedny.

Stefan nie został zabity. Czekał wciąż jeszcze obok Katarzyny zmożonej zmęczeniem i trwogą, gdy wtem wzdrygnął się słysząc czyjś przejmujący głos. Był to ksiądz Ranyier, który wracał odprawiwszy mszę i który z rękami wzniesionymi do nieba, ogarnięty gniewnym uniesieniem proroka, wzywał Boga, by pokarał morderców. Zwiastował nadejście ery sprawiedliwości i rychłe unicestwienie burżuazji, gdyż dopełniła ona miary swych niegodziwości przyczyniając się do masakry robotników i wydziedziczonych tego świata.

CZEŚĆ SIÓDMA

I

Strzały, które padły w Montsou, głośnym echem odbiły się w Paryżu. Od czterech dni wszystkie dzienniki opozycyjne wrzały oburzeniem i umieszczały na pierwszych stronach obszerne sprawozdania pełne mrozących krew w żyłach szczegółów: Dwudziestu pięciu rannych, czternastu zabitych, w czym dwoje dzieci i trzy kobiety; oprócz tego byli jeszcze aresztowani, Levaque urósł do roli bohatera, przypisywano mu odpowiedź sędziemu śledczemu – godną starożytnych. Cesarstwo ugodzone do żywego tymi paroma kulami udawało niewzruszony spokój istoty wszechmocnej, samo jeszcze nie zdając sobie sprawy z powagi odniesionej rany. Ot, po prostu przytrafiło się jakieś pożałowania godne nieporozumienie w odległej krainie węgla, niezmiernie daleko od bruku Paryża, na którym rodzi się opinia. Sprawa pójdzie szybko w zapomnienie. Towarzystwo otrzymało półoficjalne polecenie zatuszowania wszystkiego i położenia wreszcie kresu temu strajkowi, który przeciągał się w irytujący sposób i stawał społecznie niebezpieczny.

Tak więc we środę rano zjawilo się w Montsou trzech panów z zarządu. Wystraszone miasteczko, które do tej pory nie śmiało jeszcze cieszyć się masakrą, teraz odetchnęło z ulgą i syciło się radością ocalenia. Niebo rozpogodziło się również, świeciło słońce, jasne słońce lutego okrywające zielenią czubki gałązek bzu. W gmachu zarządu podniesiono wszystkie żaluzje, obszerny budynek wydawał się powracać do życia; rozchodziły się zeń jak najlepsze wieści, mówiono, że ci panowie ogromnie przejęli się katastrofą i przybyli, aby otworzyć ojcowskie

ramiona zbłąkanym owieczkom z kolonii. Teraz, kiedy urzeczywistniły się ich dążenia, w stopniu silniejszym może, niż sobie tego życzyli, skwapliwie przyjęli rolę wybawców i szafowali dowodami swej przychylności, wydawali zarządzenia spóźnione i wyśmienite. Przede wszystkim kazali odprawić Belgów nadając wielki rozgłos temu jak najdalej idącemu ustępstwu na rzecz robotników. Następnie usunęli wojsko z kopalń, dla których strajkujący, zmiażdżeni klęską, nie stanowili już żadnego niebezpieczeństwa. Wreszcie oni to przyczynili się do umorzenia dochodzeń w sprawie zaginionego wartownika z le Voreux: poszukiwania w okolicy nie dały żadnego skutku, nie znaleziono ani zwłok, ani karabinu i ostatecznie ogłoszono, że żołnierz zdezerterował, chociaż istniało podejrzenie zbrodni. Na każdym odcinku panowie z zarządu starali się łagodzić to, co zaszło, drżąc z lęku o jutro, uważając, iż byłoby rzeczą niebezpieczną wyjawiać, jak nieprzepartą siłę ma tłum, gdy rzuca się na zmurszałe rusztowania starego świata. Kroki pojednawcze nie przeszkadzały im zresztą zajmować się sprawami czysto administracyjnymi; widziano Deneulina udającego się do gmachu zarządu, gdzie spotkał się z panem Hennebeau. Toczyły się rokowania o sprzedaż Vandame i wielu twierdziło, że Deneulin przyjmie warunki tych panów.

Największe jednak wrażenie zrobiły wielkie żółte afisze, które trzej zarządcy kazali porozlepiać na murach, gdzie tylko znalazło się miejsce. Widniało na nich tych parę zdań wydrukowanych olbrzymimi literami:

„Robotnicy z Montsou, nie chcemy, aby błędne postępowanie, którego smutnych skutków byliście niedawno świadkami, miało pozbawić środków do życia pracowników rozsądnych i dobrej woli. W poniedziałek rano uruchomimy więc z powrotem wszystkie kopalnie, a gdy praca zostanie podjęta na nowo, starannie i z życzliwością rozpatrzemy kwestię zaprowadzenia ewentualnych zmian i ulepszeń. Zrobimy wszystko, co tylko okaże się słuszne i możliwe.” W ciągu jednego przedpołudnia dziesięć tysięcy górników przedfilowało przed tymi afiszami. Żaden nie odezwał się ani słowem, wielu potrząsało głowami, niektórzy oddalali się ociężałym krokiem i ani jeden mięsień nie drgnął na ich nieruchomych twarzach.

Osiedle Dwieście Czterdzieści trwało dotąd w zaciętym uporze. Wydawało się, iż krew towarzyszy, która pozostawiła czerwone plamy na błotnistym placu przed kopalnią, zagroziła do niej drogę pozostałym. Zaledwie może dziesięciu podjęło pracę, Pierron i paru innych szpicłów w jego rodzaju; gdy szli do kopalni i gdy z niej wracali, odprowadzały ich posępne spojrzenia, lecz nie padła żadna pogróżka, nikt nie poruszył się nawet. Porozklejane na kościele

afisze przyjęto nieufnie. Odezwa nie wspominała nic o zwróconych książeczkach: czyżby Towarzystwo nie zamierzało przyjąć ich z powrotem? Lęk przed represjami, braterskie pragnienie protestu przeciwko zwolnieniu najbardziej skrompromitowanych utwierdzało wszystkich w oporze. Sprawa wyglądała podejrzanie, należało odczekać pewien czas; wróć do kopalni, kiedy ci panowie zechcą szczerze wyjawić swe zamiary. Milczenie przytłaczało niskie domki, nawet głód stał się bez znaczenia, wszyscy mogli już umrzeć teraz, kiedy śmierć gwałtownym powiewem przeciągnęła ponad dachami.

Dom Maheuów, okryty żałobą, był szczególnie posępny i milczący. Od chwili kiedy odprowadziła męża na cmentarz, Maheudka raz zacisnąwszy zęby pozostała niewzruszona. Po walce pozwoliła Stefanowi przyprowadzić do domu Katarzynę obłożoną i ledwo żywą; kiedy rozbierała ją przy młodym człowieku, aby położyć ją do łóżka, wydało jej się nagle, że córka również została raniona, gdyż na koszuli widniały u dołu wielkie plamy krwi. Po chwili jednak zrozumiała, że inna była to krew, która trysnęła wreszcie po przeżyciach tego straszliwego dnia. Ach! to mi dopiero wielkie szczęście, to mi dopiero piękny prezent móc rodzić dzieci, które później staną się łupem żandarmów! Nie odzywała się ani słowem do Katarzyny, tak samo zresztą jak i do Stefana. Ten sypiał z Jankiem narażając się na aresztowanie, lecz myśl o powrocie do ciemności Requillart budziła w nim taką zgrozę, że wołał już więzienie: wstrząsał nim dreszcz, przerażał mrok pełen teraz śmierci, ogarniał lęk na wspomnienie żołnierzyka śpiącego tam pod skałami. Zresztą udrczonemu porażką więzienie wydawało się schronieniem; nikt jednak nie niepokoił go nawet, spędzał żalosne godziny nie wiedząc, czym zmęczyć swe ciało. Czasem tylko Maheudka spoglądała na nich oboje, na niego i na córkę, wzrokiem pełnym urazy, jak gdyby pytając ich, skąd wzięli się w jej domu i czego chcą tutaj,

I znów sypiali wszyscy w jednej izbie, dziadek Bonnemort zajął dawne łóżko dzieci, które przeszły do Katarzyny teraz, kiedy mała Alzira przestała już trącać garbem swą starszą siostrę. Właśnie wieczorem, kładąc się do zimnego łóżka zbyt obszernego na nią samą, uświadamiała sobie Maheudka pustkę, jaka zapanowała w domu. Na próżno brała do siebie Estelkę, aby zapełnić wolną przestrzeń, to nie mogło zastąpić jej męża; całymi godzinami płakała bezgłośnie. I znów dni zaczęły płynąć tak jak dawniej: zawsze ten sam brak chleba i głód, nie dość jednak silny, aby zabić; odpadki zbierane tu i ówdzie oddawały nędzarzom tę wątpliwą przysługę, że utrzymywały ich przy życiu. Dla Maheudki nic się nie zmieniło, tylko męża zabrakło.

Piątego dnia po południu Stefan, którego widok tej milczącej kobiety doprowadzał do

rozpaczy, opuścił izbę i ruszył wolno ulicą. Ciężąca mu beczynność popychała go do nieustannych spacerów; szedł wymachując rękami, z głową opuszczoną, dręczony wciąż tą samą myślą. Dreptał już tak od pół godziny, gdy nagle poczuł, że jego złe samopoczucie wzrasta i zorientował się, w czym leżała tego przyczyna: koledzy stali w drzwiach domów przypatrując mu się. Strzelanina w le Voreux zmiotła resztkę jego popularności i teraz za każdym razem, gdy wychodził, napotykał spojrzenia, których płomień prześladował go później. Kiedy podniósł głowę, ujrzał groźne postaci mężczyzn i sylwetki kobiet rozsuwających firanki w oknach; oskarżenie, nieme na razie, powściągnany gniew widniejący w tych wielkich oczach, rozszerzonych głodem i łzami, plątały rytm jego kroków. Ogarnął go taki lęk, iż całe osiedle wyległo na ulicę i rzuci mu w twarz okrzyk swej nędzy, że drżący zawrócił do domu.

Lecz scena, jaką zastał u Maheuów, do reszty pozbawiła go spokoju. Dziadek Bonnemort siedział przy zimnym piecu przykuty do krzesła, z którego nie ruszał się od dnia, kiedy – po walce w le Voreux – dwaj sąsiedzi znaleźli go na ziemi powalonego jak stare drzewo rażone piorunem; połamana na drobne kawałki laska leżała obok niego. Lenora i Henryk chcąc oszukać głód skrobali z ogłaszającym hałasem w garnku, w którym poprzedniego dnia gotowała się kapusta, a wyprostowana sztywno Maheudka, posadziwszy Estelkę na stole, wygrażała pięścią Katarzynie.

– Spróbuj tylko raz jeszcze powtórzyć to, co mówiłaś przed chwilą! Spróbuj tylko!

Katarzyna wyraziła bowiem chęć powrotu do pracy w le Voreux. Świadomość, że nie zarabia na życie, że zajmuje miejsce w domu matki jak zwierzę, z którego nie ma żadnego pożytku, stawała się dla niej coraz bardziej nieznośna i gdyby nie to, że bała się Chawała, zaraz we wtorek byłaby zjechała do kopalni.

– Cóż chcesz? – podjęła jękając się – nie można żyć nie pracując, a tak będziemy mieli przynajmniej na chleb.

Maheudka przerwała jej.

– Pierwszemu z was, które weźmie się do pracy, uknęczę szyję, zapamiętaj to sobie... Ach, nie! tego już byłoby za wiele! najpierw zabić ojca, a później wyzyskiwać jeszcze dzieci! Wolę, żeby was zabrali na cmentarz jak i jego!

Jej uporczywe milczenie rozdarł nagle wściekły strumień słów: To mi dopiero straszny majątek przyniosłaby Katarzyna! Najwyżej ze trzydzieści sous, a do tego jeszcze może ze dwadzieścia sous, gdyby dyrekcja znalazła jaką pracę dla tego bandyty Janka! Pięćdziesiąt sous i

siedem gąb do wyżywienia! Dzieciaki akurat zdatne są, żeby zupę z garnka wyjadać, ale nie więcej! A dziadkowi coś się chyba pomieszało w głowie, jak upadł; albo może się w nim krew zapiekła, jak zobaczył, że żołnierze strzelają do narodu, bo całkiem się teraz wydaje głupi.

– Prawda, dziadku, wykończyli was, co? Cóż z tego, że macie jeszcze siłę w garści, i tak jesteście już do niczego.

Bonnemort spoglądał na nią zagasłymi oczyma, nie rozumiejąc. Całymi godzinami siedział zapatrzony w jeden punkt i tyle mu jeszcze tylko zostało przytomności, że spluwał do miseczki pełnej popiołu, którą stawiano obok niego dla zachowania porządku.

I nie załatwili jego renty – ciągnęła Maheudka. – Pewna jestem, że odmówią, bo wiedzą, co my za jedni... Nie, mówię wam, że to już jest nie do wytrzymania z tymi przeklętymi ludźmi!

– Ale obiecują przecież na afiszach... – odważyła się wtrącić Katarzyna.

– Przystaniesz ty raz z tymi afiszami czy nie? Wypisują różności, żeby nas znęcić, a potem zrobią z nami, co zechcą. Mogą sobie dużo obiecywać, jak nam podziurawili skórę!

– No dobrze, mamusiu, ale dokąd pójdziemy? W osiedlu na pewno nie pozwolą nam zostać.

Maheudka odpowiedziała nieokreślonym gestem, pełnym straszliwej wymowy. Dokąd pójść? Nie wiedziała i starała się o tym nie myśleć, bo czuła, że ogarnia ją szaleństwo. Pójść gdzie indziej, wszystko jedno, gdzie. Wyprowadzona z równowagi skrobaniem garnka rzuciła się na Lenorę i Henryka i wymierzyła im po policzku. Upadek Estelki, która czołgała się na czworakach, wzmógł jeszcze hałas. Matka uspokoiła ją klapssem: najlepiej byłoby, gdyby od razu kark skręciła. Wspominała Alzirę i wszystkim dzieciom życzyła tego samego losu. A później, oparłszy głowę o ścianę, wybuchnęła nagle łkaniem.

Stefan stał bez ruchu nie ośmielając się wtrącić. Nic już nie znaczył w tym domu, nawet dzieci odsuwały się od niego nieufnie; lecz łzy nieszczęśliwej kobiety wstrząsnęły nim, szepnął:

– Odwagi, odwagi! Może się wszystko jeszcze jakoś ułożyć.

Wydawało się, że Maheudka nie dosłyszała jego słów, żaliła się teraz głosem jednostajnym i cichym:

– Och, Boże, czy to możliwe? Jeszcze przedtem można było jakoś wyżyć. Człowiek jadł suchy chleb, ale chociaż wszyscy byliśmy razem... Co się to stało, co myśmy takiego zrobili, że nas los tak ciężko pokarał? Jedni pod ziemią, a drudzy też by najchętniej położyli się do trumny... To prawda, że zaprzęgali nas do roboty jak konie do pługa i że nie było sprawiedliwości przy podziale. Człowiek obrywał kijem, wysługiwał się bogaczom i zbijał dla

nich majątek, a sam nie miał nadziei, że dojdzie kiedyś do czegoś lepszego. Co to za życie, jak nie ma nadziei? Nie, tak nie mogło być dłużej, trzeba było odetchnąć trochę... Ale kto to mógł przypuszczać! Czy to możliwe, żeby ściągnąć na siebie takie nieszczęście, gdy pragnie się sprawiedliwości?

Wzdychała ciężko, głos zamierał jej w bezmiernym smutku.

– Zawsze znajdują się spryciarze, co wam obiecują Bóg wie co i opowiadają, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę... Człowiek tak sobie tym głowę nabije, tak ma już dosyć własnej nędzy, że chciałby tego, czego nie ma. Ja sama wyobrażałam sobie nie wiedzieć co, marzyło mi się spokojne życie w zgodzie ze wszystkimi, jak głupia bujałam w obłokach! A potem człowiek spada nagle w błoto i ma wtedy za swoje!... Nieprawda, nie pomoże wyciągać rękę, nie ma nic z tego, czegośmy się spodziewali. Jest tylko bieda, och, i jaka bieda, i parę kul na dodatek!

Stefan słuchał tych skarg, a każda łza budziła w nim wyrzuty sumienia. Nie wiedział, jakimi słowami mógłby uspokoić Maheudkę złamaną straszliwym upadkiem z wyżyn ideału. Wróciła na środek izby i spoglądała na niego teraz, a wreszcie wykrzyknęła mówiąc mu „ty” w porywie wściekłości:

– A ty też uważasz, że powinniśmy wrócić do pracy po tym wszystkim, do czegoś nas wciągnął?... Nie powiem ci złego słowa, ale jakbym była na twoim miejscu, to dawno już umarłabym ze zmartwienia, zem tyle złego zrobiła towarzyszom.

Stefan chciał odpowiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami z rozpaczą: po cóż się tłumaczyć, kiedy zboleła kobieta i tak go nie zrozumie? Zbyttno jednak cierpiąc wyszedł i podjął swą rozpaczliwą wędrówkę.

Lecz osiedle zdawało się czekać na niego, mężczyźni stali we drzwiach, kobiety w oknach. Skoro tylko się ukazał, pomiędzy ludźmi przebiegł pomruk, liczba ich wzrosła. Od czterech dni posiew plotek coraz bardziej wzrastał, tryskał przekleństwem ze wszystkich ust. Pięści wyciągały się w stronę Stefana, matki pokazywały go dzieciom gestem pełnym urazy, starcy spluwali na jego widok. Był to gwałtowny zwrot, jaki następuje nazajutrz po porażce, nieuniknione załamanie, utrata popularności, którą podsycaly bezskuteczne cierpienia ostatnich miesięcy. Stefan płacił teraz za głód i śmierć. Zachariasz, który nadszedł z Filomeną, potracił Stefana, kiedy ten wychodził.

– Proszę! Jeszcze przytył – zaśmiał się złośliwie.– Widać cudzą krwią można się utuczyć!

Lewaczka stanęła z Bouteloupem we drzwiach. Mówiła o Bebercie, synku trafionym kulą, i

krzyknęła:

– Tak, są na świecie podli tchórze, co wysyłają dzieci na śmierć! Mojego pod ziemią musiałby szukać, żeby mi go oddać!

Nie myślała o mężu, gospodarstwo nie doznało uszczerbku, skoro Bouteloup został. Lecz w tej chwili przypomniawszy sobie o aresztowanym i dorzuciła piskliwym głosem:

– Łajdaki chodzą sobie na wolności, a porządni ludzie siedzą w kryminale!

Stefan chcąc ją ominąć napotkał Pierronkę, która nadbiegła przez ogród. Przyjęła ona jak wyzwolenie śmierć matki, której gwałtowne wystąpienia narażały ją i męża; nie opłakiwała też wcale córeczki Pierrona, tej rozpustnicy Lidki, szczęście, że się jej pozbyła. Ale stała teraz po stronie sąsiadek, w nadziei, że się z nimi pogodzi.

– A moja matka? A malutka? Poczekaj, widzieli cię, jak się chowałeś za nie, kiedy strzelali!

Co miał robić? Rzucić się na Pierronkę i innych, bić się z całym osiedlem? Przez chwilę miał na to ochotę. Krew szumiała mu w głowie, w myślach nazywał kolegów stadem bydła, drażniła go ich ciemnota i nieokrzesanie, które sprawiały, że do niego mieli pretensję o to, co narzuca logika wydarzeń. Co za głupota! Z niemożności ujarznienia tych ludzi na nowo płynęło uczucie niesmaku. Przyspieszył tylko kroku, jak gdyby głuchy na obelgi. Wkrótce jego marsz stał się ucieczką; z każdego domu dobiegały go okrzyki pogardy i gniewu, koledzy szli za nim, cały tłum ludzi przeklinających coraz donośniej, rozplomienionych nienawiścią. To on właśnie był wyzyskiwaczem, zbrodniarzem, jedyną przyczyną ich nieszczęścia. Wyszedł z osiedla błądzący, rozdygotany, uciekając przed tą wyjąca bandą, która następowała mu na pięty. Kiedy byli już na drodze, wielu zawróciło, paru jednak towarzyszyło mu uparcie. Nagle u stóp wzgórza, przed szynkiem „Tu najtaniej”, spotkali grupę górników wychodzących z le Voreux.

Znajdował się pomiędzy nimi stary Mouque i Chaval.

Po śmierci córki i syna Mouque w dalszym ciągu pracował jako stajenny, bez słowa skargi czy żalu. Lecz teraz na widok Stefana wstrząsnął nim spazm gniewu, z oczu trysnęły łzy, a z ust, okrwawionych od ciągłego żucia tytoniu, posypały się grubiańskie słowa:

– Łajdaku! Świnio! Potworze!... Poczekaj, zapłacisz mi za moje dzieci, już ja ci nie daruję!

Podniósł cegłę, rozłupał i cisnął w Stefana obydwie kawałki.

– Tak, tak, rozprawmy się z nim! – krzyknął Chaval, który przyglądał się ze śmiechem, podniecony i uradowany tą zemstą. – Przyszła i na ciebie kreska... Teraz tobie się dostanie, kanalio!

I on również rzucił się na Stefana ciskając kamienie. Podniosła się dzika wrzawa, wszyscy chwyтали cegły, rozłupywali je i rzucali, aby go zabić, tak jak chcieli pozabijać żołnierzy. Oszołomiony, przestał uciekać i stawiał im czoło usiłując uspokoić ich słowami. Jego dawne przemówienia, tak gorąco oklaskiwane niegdyś, powracały mu teraz na usta. Powtarzał zdania, które upajały ich w czasach, kiedy trzymał ich w swym ręku jak wierną trzodę; teraz potęga jego zgasła i kamienie były jedyną odpowiedzią. Zraniony w lewe ramię cofał się w poważnym niebezpieczeństwie, gdy spostrzegł, że napastnicy przyparli go do fasady szynku „Tu najtaniej”.

W drzwiach ukazał się Rasseneur.

– Wejdz – powiedział tylko.

Stefan wahał się, myślał, iż tu właśnie ma szukać schronienia, przytłaczała go.

– Wejdźże, ja z nimi pomówię.

Zrezygnowany schronił się w głąb sali, a szynkarz zagroził wejście swymi szerokimi barami.

– Słuchajcie, koledzy, bądźcie rozsądni... Wiecie dobrze, że ja nigdy was nie oszukiwałem. Zawsze byłem za tym, aby zachować spokój, i gdybyście byli mnie słuchali, na pewno nie stałoby się to, co się stało.

Kołysząc ramionami i brzuchem ciągnął dalej, dając upust swej wymowie; słowa płynęły bez trudu, łagodne i uspokajające jak letnia woda. I znów odzyskiwał dawną popularność, bez wysiłku, w sposób zupełnie naturalny, jak gdyby przed miesiącem nie został przez kolegów wysmiany i nazwany tchórzem. Rozległy się głosy uznania: Bardzo dobrze! racja! tak trzeba mówić! – Zagrzmiały oklaski.

Serce Stefana zalała gorycz. Przypomniawszy sobie przepowiednię Rasseneura, który wówczas w lesie groził mu niewdzięcznością tłumu. Cóż za głupota i brutalność! Co za ohydna niepamięć o przysługach, jakie im wyświadczył! Stanowili ślepa siłę bezustannie pożerającą siebie samą. Jego gniew, iż sami szkodzą własnej sprawie, krył w sobie rozpacz z powodu doznanej porażki, tragicznego końca własnych ambitnych marzeń. Jak to, więc wszystko skończone? Miał jeszcze w pamięci tę chwilę, kiedy pod bukami w Vandame trzy tysiące serc biło zgodnie z rytmem jego własnego serca. Tego dnia cały ten lud należał do niego, czuł, że jest jego władcą. Upajały go szalone marzenia: Montsou u jego stóp, w oddali Paryż, ława poselska, gromy ciskane na burżuazję przez pierwszego robotnika, który zasiadł w parlamencie.

A tymczasem wszystko było skończone! Ocknął się żalony, otoczony wzgardą, jego ludzie obrzucili go kamieniami.

– Nigdy gwałt nie był uwieńczony powodzeniem – podniósł się głos Rasseneura – świata nie można odmienić w przeciągu jednego dnia. Ci, którzy obiecywali wam, że wszystko naprawią za jednym zamachem, to żartownisie albo łajdacy.

– Brawo! Brawo! – rozległy się okrzyki w tłumie.

Któż więc ponosił winę? To pytanie, jakie sam sobie zadawał, do reszty przygnębiało Stefana. Czyż naprawdę on był winien temu nieszczęściu, od którego sam krwawił, nędzy jednych i śmierci drugich, temu, że wychudłe kobiety i dzieci nie miały ani kawałka chleba? Ta straszliwa wizja przesunęła się przed jego oczyma któregoś wieczora jeszcze przed nadejściem klęski. Lecz porwała go wówczas jakaś siła, uniosła razem z towarzyszami.

Nigdy zresztą nie kierował nimi, to oni wytyczali kierunek jego krokom, zmuszali go, aby robił rzeczy, których nigdy nie byłby zrobił, gdyby nie tłum napierający nań z tyłu. Każdy gwałt, jakiego się dopuszczali, budził w nim później zdumienie, gdyż żadnego z tych wydarzeń nie przewidywał ani nie chciał. Czyż mógł być przypuszczać na przykład, że jego wyznawcy z osiedla obrzucą go pewnego dnia kamieniami? Ci szaleńcy kłamali oskarżając go, iż obiecywał im życie wolne od pracy i opływające w smaczne kąski. W jego chęci usprawiedliwienia się przed samym sobą, w rozumowaniach, którymi starał się zagłuszyć wyrzuty sumienia, tkwił głuchy niepokój, że nie stanął na wysokości zadania; wątpliwości samouka, dręczące go od dawna. Teraz jednak czuł, że jest u kresu, nie wiązała go już nawet z towarzyszami nić sympatii, bał się ich, tej potężnej masy, ślepej i nieujarzmionej, zmiatającej wszystko wbrew regułom i teoriom. Uczucie niechęci odsunęło go od nich zwolna, razili jego upodobania coraz to bardziej wyrafinowane; im bardziej zbliżał się do wyższej warstwy społecznej, tym bardziej od nich odchodził.

W tej chwili entuzjastyczne krzyki zagłuszyły słowa Rasseneura.

– Niech żyje Rasseneur! Tylko on jeden nam został! Brawo! Brawo!

Szynkarz zamknął drzwi, tłum rozpierchnął się; obaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu. Obaj wzruszyli ramionami i siedli do stołu napić się razem piwa.

Tego samego dnia w Piolaine odbył się proszony obiad dla uczczenia zaręczyn Négrela i Cecylki. Państwo Grégoire'owie już poprzedniego dnia polecieli wypastować podłogę w jadalni i odkurzyć salon. Melania królowała w kuchni, pilnowała pieczystego i szykowała sosy, których zapach docierał aż do strychu. Zapadła decyzja, że stangret Franciszek będzie pomagał kucharce podawać do stołu. Ogrodniczka miała zmywać naczynia, ogrodnik otwierać bramę. Nigdy

jeszcze podobnie uroczyste przyjęcie nie zamąciło spokoju tego bogatego i patriarchalnego domostwa.

Wszystko odbyło się jak najlepiej. Pani Hennebeau okazywała wiele serdeczności Cecylce i uśmiechnęła się do Négrela, kiedy notariusz z Montsou, człowiek dobrze wychowany, wznosił toast za pomyślność przyszłego małżeństwa. Pan Hennebeau był również w jak najlepszym humorze.

Jego rozradowana mina zwróciła uwagę biesiadników, krążyły pogłoski, że odzyskawszy względy zarządu, ma zostać mianowany oficerem legii honorowej w nagrodę za energiczne stłumienie strajku. W rozmowach starannie omijano ostatnie wydarzenia, ale ogólna radość miała posmak triumfu. Obiad przemienił się w ucztę na cześć zwycięstwa. Wreszcie nadeszło wyzwolenie, można już jeść i spać w spokoju! Ktoś uczynił dyskretną wzmiankę o zabitych, których krew ledwo zdążyła wsiąknąć w błoto le Voreux: była to lekcja konieczna i wszyscy rozczulili się, gdy państwo Grégoire'owie oznajmili, iż w tej chwili obowiązkiem każdego jest opatrzyć rany cierpiących w koloniach. Gospodarze odzyskali dawny dobrotliwy spokój, znajdowali wytłumaczenie dla tych pocziwych górników, w myślach widzieli ich już w głębiach kopalń dających dobry przykład wiekowej uległości. Co znamienitsi obywatele Montsou – nie drżąc już teraz ze strachu – przyznali, że kwestia płac robotniczych powinna być, z zachowaniem należytej ostrożności, dokładnie przestudiowana. Zwycięstwo stało się całkowite, gdy przy pieczystym pan Hennebeau odczytał list od biskupa donoszący o przeniesieniu do innej parafii księdza Ranvier. Całe prowincjonalne mieszczaństwo komentowało z pasją sprawę tego księdza, który żołnierzy nazwał zbrodniarzami. Z pojawieniem się deseru notariusz oświadczył zdecydowanym głosem, że co do niego, to jest wolnomyślicielem.

Na kolacji był również Deneulin z córkami. Otoczony zewsząd radością starał się ukryć melancholię swej klęski. Tego ranka podpisał akt sprzedaży koncesji Vandame Towarzystwu. Zrujnowany, w sytuacji bez wyjścia, przyjął warunki zarządu, oddał wreszcie w ich ręce tą zdobycz, na którą czekali od tak dawna, dostając w zamian sumę wystarczającą zaledwie na zaspokojenie wierzycieli. W ostatniej chwili przyjął jeszcze, jako nielada okazję, ofiarowywane mu stanowisko kierownika ruchu, zrezygnowany do tego stopnia, iż zgadzał się doglądać jako płatny urzędnik tej kopalni, która pochłonęła jego majątek. Było to podzwonne małych przedsiębiorstw, które wkrótce miały zniknąć jedno za drugim, pożarte przez nienasyconego

potwora – kapitał, zatopione wzbierającą falą wielkich towarzystw akcyjnych. On sam poniósł kosztą całego strajku i zdawał sobie sprawę, iż wznosząc toasty, aby uczcić odznaczenie, jakie otrzymał pan Hennebeau, biesiadnicy piją za jego własną klęskę. Jediną pociechą był dla niego widok Łucji i Janki, uroczych w swych wielokrotnie przerabianych sukienkach, śmiejących się z porażki jak prawdziwe nowoczesne dziewczęta gardzące pieniądzem.

Kiedy towarzystwo przeszło do salonu na kawę, pan Grégoire odciągnął kuzyna na bok i pogratulował mu, iż zdobył się wreszcie na odwagę i powziął decyzję sprzedaży.

– Cóż, mój drogi, błędem z twojej strony było, że tak pochopnie sprzedałeś swój denar z Montsou, a uzyskany milion włożyłeś w urzędzenia Vandame. Zadałeś sobie olbrzymi trud, a denar stopniał, gdy tymczasem mój, nie wyjmowany z szuflady, żywi mnie i pozwala nie pracować, i będzie jeszcze żywił moje wnuki i prawnuki.

II

W niedzielę Stefan wymknął się z osiedla z nadejściem nocy. Z czystego nieba usianego gwiazdami spływała na ziemię niebieska poświata zmroku. Skierował się w stronę kanału i siedł jego brzegiem w kierunku Marchiennes. Był to jego ulubiony spacer, porosła trawą dróżka ciągnąca się prosto wzdłuż wody, podobnej do nie kończącej się sztabki roztopionego srebra.

Nigdy nie spotykał tu nikogo, lecz tego dnia z przykrością zauważył, że naprzeciw niego idzie jakiś mężczyzna. W bladym świetle gwiazd dwaj samotni spacerowicze poznali się dopiero wówczas, gdy stanęli twarzą w twarz.

– Ach, to ty! – szepnął Stefan.

Suwarin kiwnął tylko głową w odpowiedzi. Przez chwilę stali w milczeniu, a później ruszyli ku Marchiennes. Każdy z nich zdawał się snuć dalej własne myśli, jeden niezmiernie daleki od drugiego.

– Czytałeś w gazecie o sukcesie Plucharta w Paryżu? – zapytał wreszcie Stefan. – Ludzie czekali na niego na ulicy i urządzili mu owację, kiedy wychodził z zebrania w Belleville... oh! temu udało się wejść na dobrą drogę, mimo swojej chrypki. Teraz zajdzie już, dokąd będzie chciał.

Maszynista wzruszył ramionami. Żywił pogardę dla mówców, spryciarzy, którzy traktują politykę jak trybunał sądowy, gdzie pięknymi zdaniem można dorobić się majątku.

Stefan oddawał się teraz studiom nad Darwinem, Zapoznał się z nim w wydaniu popularnym i skróconym, za pięć sous; na podstawie tej lektury, nie całkowicie przez niego zrozumianej, ukuł rewolucyjną teorię walki o byt, według której chudzi mieli pożreć tłustych, prężny lud włączy burżuazję. Lecz Suwarin uniósł się gniewem występując przeciwko głupocie socjalistów, którzy przyjmują Darwina, tego apostoła nierówności, jego słynne prawo doboru naturalnego nadaje się w sam raz dla filozofów arystokratycznych. Lecz Stefan upierał się, usiłował dowodzić, że ma rację. Wówczas Suwarin zawarł swoje wątpliwości w formie hipotezy: przypuśćmy, że stare społeczeństwo przestało istnieć, że nawet ślad po nim nie pozostał – otóż czy nie należy się obawiać, że nowy świat odrośnie skażony tą samą niesprawiedliwością, że znów jedni będą chorzy, a drudzy pełni siły, jedni bardziej rzutcy, bardziej inteligentni i ci przywłaszczą sobie dobra, podczas gdy drudzy, leniwi i głupi, stoczą się do roli niewolników? Zgnębiony wizją tej nędzy, dla której nie było kresu. maszynista krzyknął dziko, że jeżeli sprawiedliwość nie da się zachować pośród ludzi, to człowiek powinien zniknąć z powierzchni ziemi. Każde zgniłe społeczeństwo powinna spotkać zagłada, aż wreszcie unicestwiona zostanie ostatnia istota ludzka. I znów zapanowało milczenie.

Suwarin długo szedł z opuszczoną głową, tak pochłonięty swymi myślami, iż posuwał się samym brzegiem Skarpy ze spokojem lunatyka kroczonego po rynnicy. W pewnej chwili wstrząsnął nim dreszcz, jak gdyby napotkał widmo. Podniósł głowę i ukazała się jego twarz, bardzo blada.

– Czy opowiadałem ci, jak ona umarła? – zapytał towarzysza łagodnie.

– Kto taki?

– Moja dziewczyna, tam w Rosji.

Stefan zrobił niewyraźny gest, zdziwiony drzeniem głosu i tą nagłą potrzebą zwierzeń u człowieka tak opanowanego zazwyczaj, ze stoicką obojętnością odnoszącego się do siebie samego i do bliźnich. Wiedział tylko, że Suwarin miał kochankę, którą powieszono w Moskwie.

– Nie powiodło się nam – mówił Suwarin z oczyma utkwionymi w białą smugę wody przemykającą pomiędzy niebieskawą kolumnadą wielkich drzew. – Przez dwa tygodnie siedząc w podkopie zakładaliśmy miny pod torem kolejowym, ale nie pociąg cesarski, lecz zwykły pociąg pasażerski wyleciał w powietrze... Anuszkę aresztowano. Każdego wieczora przynosiła

nam chleb przebrana za wieśniaczkę. I ona właśnie zapaliła lont, bo mężczyzna mógł zwrócić na siebie uwagę... Ukryty w tłumie, przez sześć długich dni asystowałem przy procesie...

Dławiący atak kaszlu kazał mu przerwać.

– Dwukrotnie miałem ochotę zawołać, rzucić się ku niej ponad głowami siedzących. Lecz do czego by to zaprowadziło? Mniej o jednego człowieka to znaczy mniej o jednego bojownika, i czułem, że jej wielkie, nieruchome oczy mówią mi: nie, spotykając się z moimi.

Zakasłał.

– Ostatniego dnia, na placu, byłem również... Padał deszcz, ci niezgrabiasze potracili głowy. Upłynęło dwadzieścia minut, zanim powiesili czterech pozostałych skazańców: sznur się urwał, nie mogli dać sobie rady z czwartym... Anuszką stała czekając. Wzrokiem szukała mnie w tłumie. Stałem na krawężniku, zobaczyła mnie i oczy nasze nie rozstały się już ani na chwilę. Nawet gdy była już nieżywa, patrzyła na mnie dalej... Uniosłem w górę kapelusz i odszedłem.

I znów zapadło milczenie. Biała wstęga kanału ciągnęła się w nieskończoność, obydwaj mężczyźni szli bezszelestnym krokiem, zatopieni każdy we własnej samotności. W oddali zwięzająca się coraz bardziej blada smuga wody zdawała się swym ostrzem przebijać horyzont.

– To była kara dla nas obojga – powiedział twardo Suwarin. – Zawiniliśmy, bośmy się kochali... Tak, dobrze się stało, że umarła, z jej krwi narodzą się bohaterowie, a ja wyplenilem wszelkie małostkowe przywiązanie z mego serca... Nie mam nikogo, ani rodziny, ani żony, ani przyjaciela, nie ma już we mnie nic, co mogłoby wprawić w drżenie moją rękę w dniu, gdy przyjdzie zażądać cudzego życia lub oddać własne!

Stefan zatrzymał się dygocąc od chłodu nocy. Nie wdając się w dyskusję powiedział tylko:

– Jesteśmy daleko, może byśmy wrócili?

Skierowali się wolno w stronę le Voreux, a Stefan dorzucił po chwili:

– Czytałeś te nowe ogłoszenia?

Mówił o nowych żółtych afiszach, które rozlepiono tego ranka z polecenia Towarzystwa. Szło ono na dalsze, bardziej sprecyzowane ustępstwa, obiecywało, że przyjmie z powrotem książeczki górników, którzy następnego dnia stawią się do pracy. Wszystko zostanie zapomniane, nawet najbardziej skompromitowani uzyskają przebaczenie.

– I owszem, czytałem – odparł maszynista.

– No i co myślisz o tym?

– Myślę, że to już koniec... Posłuszna trzoda z powrotem weźmie się do pracy. Jesteście

wszyscy zbyt tchórzliwi.

Stefan gorączkowo usprawiedliwiał towarzyszy: pojedynczy człowiek może być odważny, ale tłum ginący z głodu jest bezradny. Idąc krok za krokiem doszli do le Voreux i stojąc przed czarną masą zabudowań Stefan mówił dalej, przysięgał, że on sam nie podejmie pracy, ale wybaczal tym, którzy zjadą. Ponieważ krążyły pogłoski, że cieśle nie zdążyli naprawić oszalowania szybu, chciał dowiedzieć się, czy to prawda? Podobno belki tak silnie powyginały się do środka, że w jednym miejscu, na przestrzeni pięciu metrów, winda ociera się o ściany? Suwarin, na nowo pogrążony w milczeniu, odpowiadał krótko. Poprzedniego dnia był jeszcze w pracy, winda ocierała się rzeczywiście, maszyniści musieli nawet zwiększać tempo zjazdu, żeby przeszła przez to miejsce. Ale wszystkie uwagi na ten temat kierownicy przyjmowali tym samym, pełnym irytacji zdaniem: teraz potrzeba węgla, o naprawach będzie mowa później.

– Gdyby tak to wszystko trzasnęło! – szepnął Stefan – to by dopiero była uciecha.

Niewyraźny w mroku, z oczyma utkwionymi w kopalnię Suwarin zakończył spokojnie:

– Jeżeli trzaśnie, to koledzy dowiedzą się o tym, ponieważ radzisz, aby zjechali.

Na wieży w Montsou wybiła dziewiąta; słysząc, że jego towarzysz zamierza wracać od domu, maszynista dorzucił nie wyciągając nawet ręki:

– W takim razie, bądź zdrow. Ja odchodzę.

– Jak to, odchodzisz?

– No tak, poprosiłem o książeczkę i idę gdzie indziej.

Stefan spoglądał na niego zdumiony i podniecony. Mówił to dopiero teraz, po dwóch godzinach spaceru, i to głosem tak spokojnym, gdy tymczasem jemu na samą wiadomość o tym nagłym rozstaniu ścisnęło się serce. Znali się, trudzili wspólnie: to smutne pomyśleć, że już się nie zobaczą.

– Dokąd pójdziesz?

– Sam nie wiem.

– Ale zobaczymy się jeszcze?

– Nie, nie sądzę.

Zamilkli i przez chwilę stali jeden naprzeciw drugiego nie znajdując słów.

– W takim razie, bądź zdrow.

– Bądź zdrow.

Stefan skierował się w stronę osiedla, a Suwarin zawrócił brzegiem kanału. Samotny teraz

szedł w nieskończoność, z opuszczoną głową, tak pogrążony w ciemnościach, że był już tylko jednym z ruchomych cieni nocy. Chwilami zatrzymywał się i łowił dźwięki zegara w oddali. Kiedy wybiła dwunasta, udał się do le Voreux.

O tej porze kopalnia była pusta. Spotkał tylko jakiegoś zaspanego sztygara. W kotłowni miano rozpalać dopiero o drugiej, przed rozpoczęciem pracy następnego dnia. Suwarin udał, że zapomniał marynarki i poszedł po nią do szafy. W marynarkę zawinięte były narzędzia: świder, mała, bardzo silna piłka, młotek i dłuto. Zabrawszy je wyszedł. Ale zamiast wyjść przez ubieralnię, skierował się do wąskiego korytarzyka, który prowadził do szybiku z drabinami. Z marynarką pod pachą schodził wolno w głąb, bez światła, licząc drabiny, aby orientować się, gdzie się znajduje. Wiedział, że winda ociera się o ściany szybu na głębokości trzystu siedemdziesięciu czterech metrów. Kiedy naliczył pięćdziesiąt cztery drabiny, wyciągnął rękę i poczuł pod palcami wybrzuszenie brusów. Był na miejscu.

Ze zręcznością i zimną krwią dobrego robotnika, który od dawna już rozmyślał o swym dziele, zabrał się do pracy. Wyciął czworokątny otwór w przepierzeniu dzielącym szyb zjazdowy od szybiku z drabinami i zapalając jedną po drugiej zapalki, które natychmiast gasił, sprawdził, jaki jest stan oszalowania i jakie naprawy porobiono niedawno.

Pomiędzy Calais a Yalenciennes wiercenie szybów napotykało na niesłychane trudności ze względu na olbrzymie ilości wód zaskórnych. Szyby zabezpieczano w ten sposób, że szalowano je drewnianymi brusami, które stykały się ze sobą jak klepki w beczce; te drewniane ściany powstrzymywały napór wód bijących o nie głębokimi falami. Wierząc le Voreux musiano zainstalować dwa oszalowania: w poziomie górnym pośród łamliwego piaskowca i nasiąkniętych wodą jak gąbka warstw gliny i w poziomie dolnym, bezpośrednio nad złożami węgla, pośród miążkiego jak mąka, żółtego piasku. Tu właśnie przepływał ów Potok, owo podziemne morze, postrach kopalń północy, morze burzliwe, nieznanne, niezgłębione, toczące swe czarne fale przeszło trzysta metrów pod ziemią. Na ogół szalowania dobrze wytrzymały olbrzymi napór. Groźne dla nich było jedynie osiadanie przyległych terenów, powolne zapadanie się starych chodników i związane z tym wstrząsy. Osuwające się skały wywierały z czasem nacisk na ściany szybu, wypychały je do środka; stale groziło więc podwójne niebezpieczeństwo: zalewu wód i lawiny skał.

Siedząc okrakiem na wyciętym przez siebie otworze, Suwarin stwierdził poważne uszkodzenia w oszalowaniu. Brusy wygięły się do środka, niektóre wysunęły się nawet z

obramowań. Spomiędzy styków poprzez nasyczone smołą pakuły sączyły się strużki wody. Cieśle pracując w pośpiechu założyli jedynie żelazne naroża, i to tak niedbale, że nie wszystkie śruby zostały wkręcone.

Za szalowaniem w piaskach Potoku najwyraźniej następowały jakieś przesunięcia.

Suwarin porozkręcał śruby tak, aby za pierwszym wstrząsem mogły wylecieć. To, co robił, wymagało szalonej odwagi, w każdej chwili groził mu upadek z wysokości stu siedemdziesięciu metrów. Chwytał się dębowych prowadnic, po których zjeżdżały klatki, i zawieszony nad próżnią wędrował wzdłuż poprzecznie łączących je od czasu do czasu. Przesuwał się, siadał, odchyłał do tyłu wsparty na rękę tylko lub na kolanie, pełen spokojnej pogardy śmierci; wystarczyłby najłżejszy powiew, aby strącić go w głąb, trzy razy o mało nie spadł, lecz w ostatniej chwili uchwycił się czegoś nie drgnąwszy nawet ze strachu. Najpierw macał ręką, a później brał się do roboty zapalając zapalkę tylko wtedy, gdy gubił się pośród tych oślizgłych belek. Rozkręciwszy śruby zabrał się do samych brusów; niebezpieczeństwo wzrosło jeszcze. Wyszukał rozporę, która umacniała inne belki, i rzucił się na nią zajadle, dziurawiąc ją, piłując, zwięzając, aby ją osłabić. Tryskająca strumykami ze szpar i pęknięć woda oślepiła go, obryzgiwała lodowatym deszczem. Dwie zapalki zgasły. Reszta zamokła. Otworzyła się noc, głębia ciemności bez dna.

Wówczas Suwarina ogarnęła wściekłość. Technienie niewidzialnego odbierało mu przytomność, ohyda i groza tego czarnego leja, siezonego ulewą, rozpaliała w nim żądzę zniszczenia. Zadawał ciosy naoslep, dziurawił brusy dłutem, nacinał piłką, pragnąc, aby wszystko zawaliło się z nim razem. Czynił to z takim okrucieństwem, jak gdyby rozpruwał nożem ciało istoty żywej, której nienawidził. Wreszcie zabije ją, tę bestię o paszczy wiecznie rozwartej, le Voreux, które pochłoneło już tyle istnień ludzkich. Słychać było, jak jego narzędzia wgryzały się w ściany szybu, on sam wydłużał się, czołgał, zsuwał w dół i znów podnosił do góry, cudem tylko trzymając się chwiejących desek, podobny do ptaka nocnego, fruującego pomiędzy rusztowaniem dzwonnicy.

Po pewnym czasie uspokoił się jednak, niezadowolony z siebie. Czyż nie można załatwić tych spraw z zimną krwią? Odpoczął chwilę i nie spiesząc się powrócił do szybiku z drabinami, wkładając na miejsce wypiłowany czworokąt. Wystarczy tego, co zrobił, nie chciał zwracać uwagi zbyt wyraźnymi uszkodzeniami, które usiłowano by natychmiast naprawić. Bestia i tak została zraniona w same trzewia, czas pokaże, czy wyżyje do wieczora; wyrzył swój znak,

przerażeni ludzie dowiedzą się, że nie zginęła ona śmiercią naturalną. Zawinał starannie narzędzia w marynarkę i wolno ruszył ku górze. Wszedł na powierzchnię nie zauważony i nawet nie przyszło mu do głowy, aby się przebrać. Wybiła trzecia. Pozostał na drodze czekając.

O tej samej godzinie Stefana, który nie spał, zaniepokoił lekki szmer; w izbie panowała nieprzenikniona noc. Odróżniał nikłe oddechy dzieci, chrapanie Bonnemorta i Maheudki; tuż obok niego Janek poświstywał jak flet. Pomyślawszy, że widocznie mu się zdawało, Stefan wsunął się głębiej pod przykrycie, gdy wtem szmer się powtórzył. Był to szelest siennika; ktoś wstawał starając się robić to jak najciszej. Wówczas wyobraził sobie, że to Katarzyna zasłała.

– To ty? Co się stało? – zapytał szeptem.

Nikt nie odpowiedział, Maheudka i Bonnemort chrapali dalej. Przez pięć minut panowała cisza, później znów zaszeleścił siennik. Pewny tym razem, że się nie myli, Stefan przeszedł przez pokój i wyciągnął ręce w ciemność, aby natrafić na łóżko stojące naprzeciwko. Zdziwił się ogromnie, gdy jego dłonie napotkały Katarzynę przyczajoną, wstrzymującą oddech.

– Dlaczego mi nie odpowiadasz? Cóż ty znów wyprawiasz?

– Wstaję – odparła wreszcie.

– O tej porze wstajesz?

– Tak, idę do roboty.

Ogromnie poruszony Stefan usiadł obok niej na sienniku, a Katarzyna wyjaśniała mu przyczyny swej decyzji. Zbyt cierpiała żyjąc w beczynności i czując ciężące na niej spojrzenia pełne wyrzutu; wolała już, żeby Chaval pobił ją, gdy wróci do kopalni. A jeżeli matka nie będzie chciała przyjąć od niej pieniędzy, to jest już na tyle dorosła, aby gospodarować sama, osobno.

– Odejdź, bo chcę się ubrać. I nie mów nic matce, dobrze?

Lecz on pozostał przy niej, objął ją gestem żalostnej, pełnej litości pieśczości. W koszulach tylko, przytuleni do siebie na brzegu łóżka rozgrzanego jeszcze nocnym snem, czuli ciepło bijące od ich nagich ciał. W pierwszej chwili Katarzyna usiłowała wyswobodzić się z uścisku, lecz później rozplakała się cicho i objąwszy Stefana za szyję przygarnęła się do niego z rozpaczą. Siedzieli tak niczego już więcej nie pragnąc, świadomi przeszłości, uczucia, które nie zostało zaspokojone. Więc to już skończone na zawsze? Nigdy już nie ośmielą kochać się nawzajem teraz, kiedy oboje są wolni? Wystarczyłaby odrobina szczęścia, aby rozproszyć ich wstyd, ich niepokój, który przeszkadzał im połączyć się budząc w nich myśli dla nich samych niezupełnie jasne.

– Idź się położyć – szepnęła Katarzyna. – Nie chcę zapalać światła, bo matka mogłaby się obudzić... Muszę się już ubierać, puść mnie.

Lecz on nie słuchał i tulił ją do siebie, z sercem pełnym bezmiernego smutku. Ogarniała go potrzeba spokoju, niezwyciężona potrzeba szczęścia; w myślach widział siebie żonatego, w małym czystym domku, wolnego od innych ambicji i pragnień poza tym, by żyć i umrzeć tam we dwoje. Wystarczyłby mu suchy chleb, a gdyby miał tylko jeden kawałek, jej by go oddał. I po cóż chcieć czegoś więcej? Czyż życie więcej jest warte?

Katarzyna rozplotła jednak nagie ramiona.

– Proszę cię, puść mnie.

Wówczas pod wpływem uniesienia szepnął jej do ucha:

– Poczekaj, pójdę z tobą.

Sam zdziwił się, że powiedział coś takiego. Przysięgał, że nie podejmie pracy, skąd więc wzięło się to nagle, zupełnie nie przemyślane postanowienie? Zapanował w nim teraz taki spokój, tak całkowite uciszenie wszelkich wątpliwości, że upierał się przy swej decyzji jak człowiek uratowany przypadkiem, który wreszcie znalazł wyjście ze swej udręki. Nie chciał słuchać protestów Katarzyny, która zdawała sobie sprawę, że Stefan poświęca się dla niej, i bała się złego przyjęcia, jakie czekało go w kopalni. Lecz on drwił sobie ze wszystkiego, ogłoszenia obiecywały przebaczenie – to wystarczy.

– Chcę pracować... Ubierajmy się i nie róbmy hałasu.

Ubrali się w ciemnościach, zachowując mnóstwo ostrożności. Katarzyna po kryjomu przygotowała poprzedniego dnia swoje górnicze ubranie, Stefan wyjął z szafy spodnie i marynarkę; nie myli się, aby przypadkiem nie stuknąć miską. Wszyscy spali, lecz trzeba było przejść przez wąski korytarzyk, w którym stało łóżko matki. Nieszczęście chciało, że wychodząc potracili o krzesło. Maheudka obudziła się i zapytała w półprzytomnie:

– A to co takiego?

Katarzyna zatrzymała się drżąca, kurczowo ściskając rękę Stefana.

– Nic, nic, to ja – odparł młody człowiek. – Duszno mi, więc wychodzę się trochę przewietrzyć.

– Dobrze, dobrze.

I Maheudka usnęła z powrotem. Katarzyna nie śmiała się ruszyć. Wreszcie jednak zeszła na dół i podzieliła kromkę chleba, jaką odłożyła z całego bochenka ofiarowanego przez pewną

panią z Montsou. Potem cicho zamknęli drzwi i poszli.

Suwarin stał na zakręcie drogi, opodal „Tu najtaniej”. Od pół godziny przyglądał się górnikom idącym do pracy, niewyraźnym w mroku i tupoczącym jak stado bydła. Liczył ich jak rzeźnicy liczą zwierzęta u wejścia do rzeźni, i zdziwiony był ich ilością; mimo swego pesymizmu nie przypuszczał jednak, że liczba tchórzów będzie aż tak duża. Nadciągali coraz to nowi, a on stał sztywno, zimny, z zaciśniętymi ustami i jasnymi oczyma.

Lecz nagle zadrżał. Pomiedzy tymi ludźmi, których twarzy nie rozróżniał, dostrzegł jednego, którego poznał po chodzie. Postąpił parę kroków w jego stronę i zatrzymał go.

– Dokąd idziesz?

Stefan, wstrząśnięty, jękał coś zamiast odpowiedzi:

– Jak to, jeszcze tu jesteś?

A później wyznał, że wraca do kopalni. To prawda, przysięgał; ale to nie życie czekać z założonymi rękami na rzeczy, które nadejdą może za sto lat. A poza tym ma swoje powody, dla których podejmie pracę.

Suwarin wysłuchał go, drżący. Pochwyił go za ramię i odepchnął w stronę osiedla.

– Wracaj do domu, ja tak chcę, słyszysz?

Zbliżyła się Katarzyna; Suwarin poznał ją, a ona jego. Stefan protestował, oświadczył, że nikt nie ma prawa sądzić jego postępów. Oczy maszynisty przeniosły się z dziewczyny na towarzysza; cofnął się i opuścił ręce. Kiedy w sercu mężczyzny pojawi się kobieta, jest on przekreślony, może umrzeć. W nagłej wizji ujrzał może przed sobą kochankę powieszoną w Moskwie, tę ostatnią więź, po zerwaniu której mógł już dysponować życiem własnym i cudzym.

– Idź – rzekł po prostu.

Stefan, zmieszany, nie śpieszył się z odejściem, szukał jakiegoś przyjaznego słowa na pożegnanie.

– Więc odchodzisz stąd?

– Tak.

– No, to daj rękę, stary. Szczęśliwej drogi. I nie miej do mnie urazy.

Tamten wyciągnął do niego lodowatą dłoń. Ani przyjaciela, ani dziewczyny.

– Po raz ostatni: bądź zdrów.

– Bądź zdrów.

Znieruchomiały w ciemnościach Suwarin odprowadził wzrokiem Stefana i Katarzynę

wchodzących do le Voreux.

III

Zjazd rozpoczął się o czwartej. W lampiami siedział sam Dansaert; zapisywał każdego robotnika stawiającego się do pracy i polecał wydać mu lampę. Przyjmował wszystkich, jak to obiecywały ogłoszenia, nie robiąc żadnych uwag. Kiedy jednak zobaczył przy okienku Stefana i Katarzynę, zaczerwienił się mocno i poderwał, otwierając już usta, aby odmówić wpisania ich na listę przyjętych; zadowolił się jednak drwiącym: ho! ho! pełnym triumfu. Więc najbardziej nieugięty z nieugiętych też został pokonany? Widocznie Towarzystwo nie jest jeszcze takie najgorsze, skoro straszliwy wichrzyciel z Montsou przychodzi z powrotem prosić je o pracę? Stefan odebrał lampę i bez słowa skierował się do hali zjazdowej razem z ładowaczką.

Katarzyna lękała się jednak, że właśnie tu czeka go złe przyjęcie ze strony kolegów. Gdy wchodzili do sali, zobaczyła Chawała stojącego pośród kilkunastu górników w oczekiwaniu na wolną klatkę. Na widok dziewczyny ruszył ku niej z wściekłością, lecz zatrzymał się spostrzegłszy Stefana. Roześmiał się wymuszonym śmiechem i obraźliwie wzruszył ramionami. Doskonale! Nic go już teraz ta historia nie wzrusza, jeżeli tamten zgodził się zająć ciepłe jeszcze miejsce, bardzo mu to nawet na rękę! To już rzecz tego pana, czy lubi resztki po kimś. Ta ostentacyjna pogarda ukryć miała nowy przyływ zazdrości, od której drżał cały i oczy mu płonęły. Pozostali koledzy nie drgnęli nawet, stali w milczeniu z opuszczonymi oczami. Spojrzeli tylko z ukosa na nowoprzybyłych, a później, zbyt przybici, aby mieć siłę na gniew, z powrotem zapatrzili się w otwór szybu. Przeciągi panujące w hali przejmowały ich chłodem i drżeli w swych cienkich płóciennych ubraniach.

Wreszcie nadjechała klatka i zawołano na nich, aby wsiadali. Katarzyna i Stefan wcisnęli się do wózka, w którym siedział już Pierron i dwóch rębaczy. W drugim wózku, obok, Chawal odezwał się bardzo głośno do starego Mouque'a, że dyrekcja źle robi nie korzystając z okazji pozbycia się z kopalni nicponiów, którzy tylko psują innych robotników. Lecz stajenny, z powrotem zrezygnowany jak dawniej i pogodzony ze swym ciężkim losem, nie żywił już urazy o śmierć dzieci i na słowa Chawała odpowiedział pojednawczym gestem.

Klatka ruszyła, pomknęli w ciemności. Nikt się nie odzywał. Nagle, gdy przebyli już dwie trzecie drogi, winda zaczęła ocierać się straszliwie o ściany szybu. Żelazne okucia trzeszczały, wstrząs rzucił ludzi jednych na drugich.

– Psiakrew! – zaklął Stefan – cóż ani chcą nas tu zmiażdżyć? Jeszcze nas wszystkich diabli wezmą przez to pierońskie szalowanie. I to mówią, że naprawili!

Klatka pokonała jednak przeszkodę. Zjeżdżała dalej, a z góry lały się na nią tak ulewne strumienie deszczu, że górnicy zaniepokoiли się na nowo. Więc aż tyle szpar powstało w stykach?

Pracujący już od paru dni Pierron, do którego zwrócili się z zapytaniem, nie chciał okazać lęku, aby nie potraktowano tego jako wystąpienia przeciwko dyrekcji, i odparł:

– Och, nic się nie bójcie. To tak zawsze. Widocznie nie mieli czasu porządnie zatkać.

Woda bębniła nad ich głowami, dojeżdżając do ostatniego podszybia mieli wrażenie, że nastąpiło oberwanie chmury. Ani jednemu ze sztygarów nie przyszło do głowy, aby wejść po drabinach i sprawdzić, co się stało. Pompa wystarczy, a uszkodzenia naprawi się następnej nocy. Organizowanie pracy wymagało i tak wiele trudu. Inżynier zdecydował, że zanim rębacze udadzą się do właściwych przodków, przez pierwszych pięć dni wszyscy ludzie wykonywać będą najpilniejsze naprawy. Stropy wszędzie groziły zawaleniem, chodniki ucierpiały do tego stopnia, że w wielu miejscach trzeba było umacniać stemplowanie na przestrzeni kilkuset metrów. Tworzono więc dziesięcioosobowe ekipy, które pod kierownictwem sztygarów udawały się na odcinki najbardziej zagrożone. Kiedy wszyscy ludzie byli już na dole, policzono ich i okazało się, że zjechało trzystu dwudziestu dwóch górników, to znaczy mniej więcej połowa normalnego stanu przy pełnym wydobyciu.

Chaval wszedł w skład ekipy, do której należeli Stefan i Katarzyna; nie był to przypadek, gdyż najpierw ukrył się za plecami kolegów, a później zmusił sztygara, aby go przyjął. Grupa ta poszła usuwać osypisko przy końcu chodnika Nord, które tarasowało drogę do pokładu Osiemnaście Cali. Miejsce to znajdowało się o trzy kilometry od podszybia. Zabrano się do pracy oskardem i łopatą. Stefan, Chaval i pięciu innych usuwało skały, a Katarzyna z dwoma pomocnikami odwoziła je do pochylni. Górnicy nie odzywali się prawie, gdyż sztygar nie opuszczał ich ani na chwilę. Mimo to jednak kawalerowie Katarzyny o mało nie pobili się ze sobą. Pomrukując, że nic mu nie zależy na takiej łajdaczce, dawny kochanek nie odstępował jednak od dziewczyny i poszturchiwał ją cichaczem, tak że Stefan zagroził mu, że go obje, jeżeli

nie zostawi jej w spokoju. Pożerali się oczyma i musiano ich rozdzielić.

Koło ósmej nadszedł Dansaert, aby rzucić okiem na pracę. Był w fatalnym humorze i rozgniewał się na sztygara: co to za taka robota, przecież trzeba poprawiać stemplowanie, inaczej wszystko diabła jest warte! I odszedł zapowiadając, że wróci z inżynierem. Od rana czekał na Négrela i nie rozumiał, dlaczego tamten się spóźnia.

Upłynęła jeszcze godzina. Sztygar kazał przerwać usuwanie osypiska i wszystkich ludzi zatrudnił przy stemplowaniu. Nawet ładowaczka i dwaj pomocnicy nie pchali już wózków, ale przygotowywali i przynosili drzewo do obudowy. W tym odległym chodniku ich grupa stanowiła jakby straż przednią, zagubiona na krańcu kopalni, odcięta od pozostałych ekip. Trzy czy cztery razy jakieś dziwne odgłosy, odległy tupot kroków zwrócił uwagę pracujących: cóż to takiego? Mieli wrażenie, że chodniki pustoszeją, a koledzy wracają do podszybia, i to biegiem. Ale hałas niknął w głębokiej ciszy, oni zaś dalej klinowali stemple ogłuszeni uderzeniami młotów. Wreszcie po pewnym czasie wrócili do usuwania osypiska i wozacy znów ruszyli z wózkami.

Zaraz po pierwszej turze Katarzyna nadbiegła przestraszona mówiąc, że na dole przy pochylni nie ma nikogo.

– Wołałam, ale nikt nie odpowiada. Wymiotło wszystkich.

Ogarnęło ich takie przerażenie, że rzucili narzędzia i puścili się pędem. Myśl, że pozostali sami w głębi kopalni, tak daleko od podszybia, przyprawiała ich o szaleństwo. Wzięli ze sobą tylko lampy i biegli jeden za drugim, mężczyźni, chłopcy, ładowaczka; nawet sztygar stracił głowę, wołał, coraz bardziej przestraszony milczeniem, pustką chodników ciągnących się w nieskończoność. Co takiego mogło się stać, że nie spotykali ani żywej duszy? Co za wypadek wymiótł tak wszystkich kolegów? Nieznajomość niebezpieczeństwa, groźba, która nad nimi zawisła, którą wyczuwali nie wiedząc, na czym polega, wzmagala jeszcze trwogę.

Kiedy zbliżali się do podszybia, woda zagroziła im drogę. Sięgała do kolan, nie mogli już biec, z trudem przedzierali się pod prąd z tą myślą, że sekunda opóźnienia przyniesie im śmierć.

– Psiakrew, to szalowanie trzasnęło! – krzyknął Stefan. – A mówiłem, że nas tu diabli wezmą!

Od chwili gdy ludzie zjechali na dół, Pierron z coraz większym niepokojem patrzył, jak wzmagają się ulewa. Załadowując wózki z dwoma innymi zapychaczami, co chwila podnosił głowę: twarz miał mokrą od padających na nią wielkich kropli, w uszach mu szumiało od huku

nawalnicy szalejącej tam na górze. Najbardziej jednak przeraził się widząc, że żap, który miał dziesięć metrów głębokości, jest pełen; woda występowała już przez szpary w deskach pomostu, rozlewała się po żelaznych płytach. Dowodziło to, że pompa nie może już podołać napływowi wód. Słyszał, jak dyszy zachłystując się czkawką ze zmęczenia. Powiadomił o tym Dansaerta, który zaklął ze złością i odparł, że trzeba czekać na inżyniera. Pierron dwa razy wracał do niego, ale tamten wzruszał tylko ramionami z rozdrażnieniem. No dobrze, woda przybiera, ale cóż on może na to poradzić?

Ukazał się Mouque prowadząc do pracy Bataille'a; musiał przytrzymać go obiema rękami, gdyż stary, senny koń stanął nagle dęba i z głową wyciągniętą ku szybowi zarżał czując śmierć.

– A to co, filozofie? Co cię niepokoi?... Ach, nie podoba ci się, że pada? No chodź, to nie twoja sprawa.

Lecz po skórze zwierzęcia przebiegały dreszcze i stajenny musiał ciągnąć je siłą.

Prawie w tej samej chwili, kiedy Mouque i Bataille zniknęli w głębi chodnika, rozległ się loskot, a później odgłos upadku. Był to jeden z brusów szalowania, który oderwał się i spadł z wysokości stu osiemdziesięciu metrów, obijając się o ściany. Pierron i pozostali zapychacze zdążyli uskoczyć, dębowy bal zmiażdżył tylko pusty wózek. Jednocześnie, jakby spoza zerwanej tamy, runęła woda. Dansaert chciał udać się na górę zobaczyć, co się stało, lecz nim dokończył zdania, spadł drugi brus. Przerażony grożącą katastrofą nie wahał się już dłużej i dał rozkaz wyjazdu, rozesłał sztygarów, aby zawiadomili ludzi.

Zapanował nieopisany zamęt. Z każdego chodnika pędem nadbiegali górnicy i rzucali się do windy tratując i zabijając się wzajem, aby zdobyć pierwszeństwo i odjechać natychmiast. Niektórzy wpadli na pomysł, aby wyjść po drabinach, lecz zawrócili po chwili krzyżąc, że przejścia już nie ma. Po każdym odjeździe klatki pozostałych ogarniał lęk: ta jeszcze przeszła, lecz czy następna przejdzie także? Katastrofa rozszerzała się coraz bardziej, słychać było jedne za drugimi detonacje, belki pękały i ustępowały pod naporem wody spływającej coraz to większymi strumieniami. Jedna z klatek została uszkodzona i nie nadawała się już do użytku, druga ocierała się tak silnie, że lina mogła urwać się lada chwila. Pozostało jeszcze do wywiezienia stu ludzi, dyszących ciężko, czepiających się windy okrwawionymi rękami, tonących. Dwóch zabiły spadające belki. Trzeci, który uwiesił się klatki, spadł z wysokości pięciu metrów i zniknął w żapie.

Dansaert usiłował jednak zaprowadzić porządek. Uzbrojony w kilof groził, że rozbije głowę

każdemu, kto wyłamie się spod jego rozkazów; chciał ustawić robotników rzędem, krzychał, że zapychacze wyjadą ostatni, załadowawszy najpierw kolegów. Nie słuchano go, musiał przeszkodzić pobladłemu ze strachu Pierronowi, aby nie umknął jeden z pierwszych. Przy każdym odjeździe odpychał go uderzeniem. Lecz sam również szczekał zębami – jeszcze minuta i zostanie pochłonięty: na górze wszystko waliło się, woda płynęła jak rzeka, która wystąpiła z brzegów, padał morderczy deszcz belek. Kilku robotników nadbiegło jeszcze, gdy oszalały z przerażenia Dansaert wskoczył do jednego z wózków pozwalając Pierronowi wskoczyć za sobą. Klatka ruszyła.

W tej samej chwili grupa Stefana i Chavala dotarła do podszybia. Widząc, że klatka odjeżdża, rzucili się w tę stronę, lecz musieli się cofnąć: szalowanie zawało się ostatecznie, szyb był zatarasowany, winda nie zjedzie więcej. Katarzyna łkała, Chaval dławił się przekleństwami. Było ich w podszybiu około dwudziestu, czy ci dranie z dyrekcji zamierzają ich tu zostawić na pastwę losu? Stary Mouque, który bez pośpiechu przyprowadził z powrotem Bataille'a, trzymał go jeszcze za uzdę i oboje – człowiek i zwierzę – spoglądali z osłupieniem na szybki przybór wody. Sięgała już do wysokości uda. Stefan milczący, z zaciśniętymi zębami, wziął Katarzynę na rękę i podniósł. Dwudziestu ludzi krzychało z twarzą zwróconą ku górze, dwudziestu ludzi z głupim uporem spoglądało w szyb, zdruzgotaną otchłań plującą na nich strumieniami wody, skąd nie mógł przyjść żaden ratunek.

Wysiadając z windy Dansaert dostrzegł Négrela, który zbliżał się biegiem. Nieszczęście chciało, że tego ranka pani Hennebeau zatrzymała go, aby przejrzeć katalogi i pomógł jej w wyborze prezentu ślubnego. Była dziesiąta.

– Co się tam dzieje? – zawołał z daleka.

– Kopalnia stracona – odparł starszy sztygar. I jękając się opowiedział o katastrofie, ale inżynier z niedowierzaniem wrzucił ramionami: no, no, nie przesadzajmy! Szalowanie nie psuje się tak nagle, w ciągu godziny; trzeba sprawdzić, co się stało.

– Nikt nie został na dole, prawda?

Dansaert zmieszał się. Nie, nikt. Tak mu się przynajmniej wydaje. Ale możliwe, że jacyś robotnicy nie nadbiegli w porę.

– Więc jakim prawem wyjechaliście na powierzchnię? – krzyknął Négrel. – Kto tak zostawia swoich ludzi?

I natychmiast kazał policzyć lampy. Rano wydano trzysta dwadzieścia dwie, a teraz było ich

tylko dwieście pięćdziesiąt pięć; lecz niektórzy górnicy przyznali się, że zostawili swoje lampy na dole – wypadły im z ręki, gdy tłoczyli się ogarnięci panicznym strachem. Wobec tego usiłowano zrobić zbiórkę, ale nie można było ustalić dokładnej liczby tych, co pozostali w kopalni: niektórzy z górników pobiegli już do domu, inni nie słyszeli, gdy wywoływano ich nazwiska. Każdy twierdził co innego. Zostało może dwudziestu, a może czterdziestu. Jedna rzecz nie ulegała dla inżyniera wątpliwości: w głębi są ludzie; poprzez hałas spadających wód i łamiących się brusów dochodziły ich wycia, kiedy się było pochylić nad otworem szybu.

Négrel natychmiast posłał po pana Hennebeau i chciał zamknąć kopalnię. Lecz było już za późno, górnicy, którzy uciekli co prędzej do osiedla Dwieście Czterdzieści, jak gdyby gnani łoskotem walących się belek, wzbudzili popłoch i grupy kobiet, starców i dzieci nadbiegły krzyżąc i łkając. Trzeba było ich wypierać, dozorczy utworzyli kordon, aby nie wpuścić ich do zabudowań, gdyż przeszkadzaliby w akcji ratunkowej. Wielu robotników, którzy wydostali się z kopalni, trwało bez ruchu, ogłupiałych, nie myśląc nawet o tym, aby się przebrać; ten przerażający lej, na dnie którego o mało nie pozostali, urzekał ich i paraliżował lękiem. Przerażone kobiety otoczyły ich, błagały, wypytywały o nazwiska. Czy ten i ten był z nimi? A tamten? Nie wiedzieli, jękali coś bez związku, wstrząsani dreszczem, i gestem obłąkanych odsuwali od siebie jakąś straszliwą wizję, której nie mogli się pozbyć. Tłum wzrastał szybko, drogi rozbrzmiewały lamentem. A na szczycie hałdy, w budce Bonnemorta siedział jakiś człowiek – Suwarin, który nie oddalił się jeszcze i patrzył.

– Nazwiska! Nazwiska! – krzyczały kobiety głosem zduszonym od łez.

Négrel ukazał się na chwilę i rzucił:

– Jak tylko będziemy wiedzieli nazwiska, podamy je. Ale nie ma jeszcze nic straconego, wszyscy zostaną uratowani... Ja zaraz zjeżdżam.

Oniemiały z trwogi tłum czekał. Ze spokojną odwagą inżynier przygotowywał się do zjazdu. Kazał odczepić klatkę i zastąpić ją beczką, a ponieważ przypuszczał, że woda może zgasić mu lampę, polecił przyczepić drugą pod beczką, która miała ją chronić.

Sztygarzy bladzi, o zmienionych twarzach, z drżeniem pomagali w tych przygotowaniach.

– Zjedziecie ze mną, Dansaert – powiedział Négrel krótko.

Lecz kiedy zobaczył, jaki lęk ogarnął ich wszystkich, kiedy zobaczył, że starszy sztygar chwije się, pijany strachem, odsunął go pogardliwym gestem.

– Nie, przeszkadzalibyście mi tylko... Wolę już sam. I za chwilę znalazł się w wąskim

cebrzyku, który chwiał się u końca liny; jedną ręką trzymając lampę, drugą ściskając sznur alarmowy, zawołał do maszynisty:

– Pomału!

Maszyna wprawiła w ruch bębny. Négrel zniknął w otchłani, skąd dobywało się wycie pozostawionych w głębi nieszczęśników.

U góry nie było żadnych uszkodzeń. Inżynier stwierdził dobry stan górnego oszalowania. Kołysząc się pośrodku szybu, obracał się na wszystkie strony, oświetlał ściany: szpary w stykach tak były nieznaczne, że jego lampie nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Lecz na głębokości trzystu metrów, gdy dojechał do szalowania dolnego, lampa zgasła, tak jak to przewidywał, a woda trysnęła do wnętrza beczki. Odtąd tylko już zawieszona pod spodem lampa oświetlała drogę. Mimo wrodzonej śmiałości Négrel pobladł i zadrzał w obliczu okropnej klęski. Tylko kilka brusów trzymało się jeszcze, reszta zapadła się razem z obramowaniem. Na ich miejscu powstały olbrzymie wyrwy pełne żółtego, miążkiego jak mąka piasku, a wody Potoku, tego podziemnego morza o nie znanych nikomu burzach i katastrofach, rozlewały się, jakby przerwały tamę. Inżynier zjeżdżał jeszcze niżej, zagubiony pośród wzrastającej próżni, sieczony strumieniami wody, które kręciły beczką; w nikłym świetle umykającej pod nim lampy wydawało mu się, że w oddali, pośród wielkich ruchomych cieni dostrzega ulice jakiegoś zburzonego miasta. Praca rąk ludzkich na nic by się już tu nie przydała. Pozostała tylko jedna nadzieja: że uda się wyratować zagrożonych ludzi. W miarę jak zjeżdżał coraz to niżej, ich wycie stawało się coraz groźniejsze; musiał się jednak zatrzymać, gdyż szyb zagradzała przeszkoda nie do pokonania – gmatwanina belek, połamanych przewodnic, potrzaskanych przepierzeń, porwanych przewodów pompy. Przyglądał się temu długo, ze ściśniętym sercem, a wycie ucichło nagle. Widocznie wobec podnoszącego się gwałtownie poziomu wody nieszczęśni rozbiegli się chodnikami, o ile fala ich już nie zatopiła!

Zrezygowany, Négrel pociągnął za sznur alarmowy, aby go wyciągnięto. Później znów dał znak, aby zatrzymano. Ta nagła katastrofa, której przyczyny były dla niego niezrozumiałe, wprawiała go w osłupienie. Chciał przekonać się, co ją spowodowało, i przyjrzał się kilku belkom, które trzymały się jeszcze. Zaskoczyły go ślady nacięć, dziury widoczne w drzewie. Lampa gasła w przesyconym wilgocią powietrzu, wyciągnął więc rękę i poczuł wyraźnie ślady piły i świdra, ohydneho dzieła zniszczenia. Najwidoczniej ktoś pragnął tej katastrofy. Znieruchomiał w zdumieniu, a belki zatrzeszczały nagle i zapadły się razem z obramowaniem o

mało nie unosząc go ze sobą. Jego odwaga znikła, myśl o człowieku, który tego dokonał, zjeżyła mu włosy na głowie, ścięła go lodem zabobonnego lęku przed złem, jak gdyby człowiek ten był tu jeszcze, równie potężnych rozmiarów jak jego zbrodnia. Négreł wydał okrzyk i gorączkowo szarpnął sznurem; był już zresztą najwyższy czas, gdyż o sto metrów wyżej zauważył, że górne szalowanie również zaczyna się rozluźniać: styki rozwierały się, pakuły wylatywały, płynęła woda. Zapadnięcie się szybu było już teraz kwestią godzin.

Na powierzchni oczekiwał Négreła pan Hennebeau, zatrwożony.

– No i co? – zapytał.

Lecz inżynier, bliski omdlenia, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– To niemożliwe, nigdy nie zdarzyło się coś podobnego... obejrzałeś wszystko dokładnie?

Négreł przytaknął ruchem głowy, rozglądając się wokół nieufnie. Nie chciał udzielać wyjaśnień w obecności nasłuchujących sztygarów, odciągnął wuja o parę metrów, uznał, że to jeszcze za blisko, cofnął się dalej i wreszcie szeptem opowiedział mu na ucho o zamachu, o belkach podziurawionych i poprzecinanych piłą – kopalnię poderżnięto i teraz charczała w agonii. Poblądły dyrektor również zniżył głos w instynktownym odruchu, który każe nam pokrywać milczeniem ohydę czynów rozpustnych i wielkich zbrodni. Nie było sensu okazywać lęku wobec dziesięciu tysięcy robotników z Montsou; później zobaczą, jakie kroki trzeba będzie podjąć. I obaj szeptali dalej, przytłoczeni świadomością, że jakiś człowiek znalazł dosyć odwagi, aby spuścić się w głąb, zawisnąć w próżni, po wielokroć narażać własne życie dla dokonania tego straszliwego dzieła. Nie mogli zrozumieć tej szaleńczej brawury, tej żądzy zniszczenia, nie chcieli w nią uwierzyć, wątpili wbrew oczywistości, tak jak nie daje się wiary opowiadaniom o słynnych ucieczkach, o więźniach, którzy wyskakiwali oknem z wysokości trzydziestu metrów.

Kiedy pan Hennebeau podszedł do sztygarów, twarz ściągała mu się w nerwowym tiku. Uczynił gest rozpaczony i kazał natychmiast opróżnić budynki. Wysunął się z nich ponury orszak, ludzie w milczeniu spoglądali za siebie na wielkie ceglane budowle puste i stojące jeszcze, lecz których nic już nie mogło uratować.

Wychodzących na końcu dyrektora i inżyniera tłum przyjął powtarzanym uparcie wołaniem:

– Nazwiska! Nazwiska! Podajcie nazwiska!

Pomiędzy kobietami była również i Maheudka. Przypomniała sobie nocne szmery – córka i lokator wyszli widocznie razem i na pewno zostali tam na dole; najpierw wybuchnęła krzykiem, że dobrze im tak, że na nic lepszego nie zasłużyli, gałgany bez serca, a później pobiegła do

kopalni i stanęła w pierwszym szeregu, drżąc z trwogi. Nie śmiała się już ludzi, z rozmowy toczonej obok niej dowiedziała się prawdy. Tak, tak. Katarzyna została, Stefan też, jeden z kolegów widział ich. Co do innych jednak, robotnicy nie zawsze zgadzali się ze sobą. Nie, tego nie było, tylko właśnie tamten, może Chaval, chociaż jeden z pomocników przysięgał, że wyjechał z nim razem. Lewaczka i Pierronka, mimo że nie miały nikogo z rodziny w niebezpieczeństwie, lamentowały równie głośno jak inne kobiety. Wyszedłszy jeden z pierwszych Zachariasz, tak drwiący zawsze, uściskał płacząc żonę i matkę; pozostał obok Maheudki i drżał razem z nią, okazując w stosunku do siostry niespodziewane przywiązanie i serdeczność. Nie chciał uwierzyć, że została w głębi, dopóki dyrekcja nie poda tego oficjalnie do wiadomości.

– Nazwiska! Nazwiska! Przez litość, podajcie nazwiska!

Négreł, zdenerwowany, powiedział bardzo głośno do dozorców:

– Każcie im wreszcie zamilknąć! To już jest ponad ludzkie siły. Przecież my sami nie znamy nazwisk.

Upłynęły dwie godziny. W początkowym popłochu i zamieszaniu nikt nie pomyślał o drugim szybie, starym szybie w Requillart. Pan Hennebgau oznajmiał właśnie, że akcja ratunkowa rozpocznie się z tamtej strony, gdy przez tłum przebiegł głośny szmer: pięciu robotników zdołało uciec przed zalewem i wydostało się na powierzchnię po zmurszałych drabinach dawnego, nie używanego już szybiku w Requillart. Wymieniono nazwisko starego Mouque'a; wywołało to zdziwienie, gdyż nikt nie myślał, że został on na dole. Lecz opowieść pięciu uratowanych sprawiła, że lzy popłynęły jeszcze obficie: piętnastu towarzyszy nie mogło udać się za nimi, gdyż pogubili się, a nagle obsunięcia się skał zagroziły im drogę. Nie istniała już możliwość ratunku, bo woda w Requillart doszła do wysokości dziesięciu metrów. Wszystkie nazwiska były teraz wiadome, powietrze napelniło się jękiem śmiertelnie ranionego tłumu.

– Każcie im zamilknąć! – powtórzył Négreł z pasją. – I niech się cofną! Tak, tak, o sto metrów. Tu jest niebezpiecznie, odsuńcie ich, odsuńcie ich!

Trzeba było stoczyć walkę z nieszczęśnikami. Wyobrażali sobie coraz to nowe klęski i myśleli, że wypędzają ich, aby ukryć przed nimi zwłoki ofiar; sztygarzy musieli im wytłumaczyć, że szyb wchłonie zabudowania kopalni. Zamilkli wstrząśnięci i pozwolili wreszcie odsuwać się krok za krokiem, lecz trzeba było podwoić ilość strażników, którzy ich powstrzymywali, gdyż mimo woli powracali na dawne miejsca, jak gdyby przyciągała ich jakaś

siła. Mnóstwo osób tłoczyło się na drodze, ze wszystkich osiedli, nawet z Montsou, nadbiegali ludzie, a mężczyzna na szczycie hałdy, jasnowłosa mężczyzna o twarzy dziewczęcia, zapalał papierosa po papierosie i nie spuszczał z kopalni swych jasnych oczu.

Rozpoczęło się oczekiwanie. Nadeszło południe – nikt jeszcze nie jadł, ale nikt nie odchodził. Po zamglonym niebie, brudnoszarym, przepływały chmury koloru rdzy. Za płotem u Rasseneura jakiś wielki pies nie przestawał ujadać podrażniony żywym tchnieniem tłumu. Tłum ten rozlał się powoli po sąsiednich terenach, opasując kopalnię w odległości stu metrów. Pośrodku tej wielkiej próżni wznosiło się le Voreux. Ani jednego człowieka, ani jednego odgłosu, pustynia; otwarte drzwi i okna ukazywały opustoszałe wnętrza, jakiś zapomniany ryży kot czując, że ta pustka wróży niebezpieczeństwo, zeskoczył ze schodów i znikł. Paleniska płonęły widać jeszcze, gdyż z wysokiego ceglanego komina dobywał się dym nikać pod ciemnymi chmurami. Chorągiewka na szczycie wieży skrzypiała na wietrze, a jej piskliwe nawoływania były jedynym, melancholijnym głosem tych obszernych budowli skazanych na śmierć.

O drugiej nic jeszcze nie drgnęło. Pan Hermebeau, Négrel i kilku innych inżynierów, którzy nadbiegli na miejsce wypadku, tworzyło wysuniętą naprzód grupkę w surdutach i czarnych kapeluszach; i oni również nie odchodzili, zmęczeni, rozgorączkowani, chorzy z bezsilności, od czasu do czasu zamieniając szeptem parę słów jak przy łożu umierającego. Górne szalowanie zapadało się widocznie, słychać było nagłe łaskoty, krótkie odgłosy upadku, po których następowało głębokie milczenie. Rana powiększała się z każdą chwilą: obsunięcia, które rozpoczęły się na dole, przenosiły się ku górze, zbliżały się do powierzchni. Négrela ogarnęła nerwowa niecierpliwość, już wysuwał się, aby pójść zobaczyć, już znalazł się, sam, w obrębie przerażającego pustkowia, gdy ktoś pochwycił go za ramię. Po co się narażać? I tak nie powstrzyma niczego. Jakiemuś starym górnikowi udało się przemknąć pomiędzy pilnującymi i biegiem dopadł ubieralni, lecz za chwilę spokojnie wrócił z powrotem – poszedł tylko po saboty.

Wybiła trzecia. W dalszym ciągu nic. Ulewny deszcz przemoczył tłum, ale ludzie nie cofnęli się ani o krok. Pies Rasseneura znów zaczął szczekać. Dopiero dwadzieścia po trzeciej dał się odczuć pierwszy wstrząs. Le Voreux zadrżało, lecz wciąż jeszcze wznosiło się na powierzchni. W sekundę później z ust patrzących wydobył się przeciągły okrzyk: smołowane ściany sortowni zadygotały dwukrotnie i cały budynek zawalił się ze strasliwym trzaskiem. Jego drewniany szkielet załamał się, a belki tarły o siebie tak silnie, że tryskały z nich snopy iskier. Od tej chwili ziemia nie przestawała drżeć, wstrząsy następowały jeden po drugim, wewnętrzne obsunięcia,

pomruki wybuchającego wulkanu. W dali pies przestał szczekać i wył teraz żałośnie, jak gdyby obwieścił drgania ziemi, które przeczuwał. Kobiety, dzieci, cały ten tłum patrzących nie potrafił powstrzymać okrzyku grozy za każdym razem, gdy poczuł nowe szarpnięcia. W przeciągu niespełna dziesięciu minut łupkowy dach wieży szybu zapadł się, a hala zjazdowa i maszynownia rozłamały się prawie na dwoje. Później hałasy umilkły, osuwanie się ustało i na nowo zapanowała głęboka cisza.

Przez godzinę le Voreux trwało tak, zniszczone, jakby zbombardowane przez armię barbarzyńców. Krzyki umilkły, rozszerzony krąg widzów patrzył. Pod stosem belek sortowni można było dostrzec potrzaskane wywrotnice, powyginane i popękane koryta. Lecz najwięcej szczątków piętrzyło się w hali zjazdowej pomiędzy spadłymi cegłami, płatami ścian powalonymi na ziemię. Żelazne rusztowanie, na którym znajdowały się koła wyciągowe, zapadło się do połowy; zwisała jakaś jedna klatka, kołysał się kawałek urwanej liny; poniżej widniała gmatwanina wózków, żeliwnych płyt, drabin. Przypadek chciał, że lampiarnia pozostała nietknięta i ukazywała na lewo jasne szeregi lampek. W głębi rozprutej maszynowni można było dostrzec maszynę osadzoną twardo na murowanym fundamencie: metalowe części lśniły, stalowe człony wyglądały jak mięśnie, których niesposób zniszczyć, potężny korbówód, zgięty w powietrzu, podobny był do wielkiego kolana olbrzyma, leżącego na ziemi i spokojnego w poczuciu własnej siły.

Po tej godzinie wytchnienia w pana Hennebeau z powrotem wstąpiła nadzieja. Przesunięcia we wnętrzu ziemi już się widać skończyły i da się uratować maszynę i resztę budynków. W dalszym ciągu nie pozwalał jednak nikomu zbliżyć się do kopalni, chciał poczekać jeszcze z pół godziny. Oczekiwanie stało się nie do zniesienia, nadzieja zwiększała jeszcze trwogę, wszystkie serca były mocno. Ciemna chmura wzrastająca na horyzoncie przyśpieszyła zmierzch, ponure zapadnięcie zmroku nad tym szczątkiem ocalałym z burz ziemi. Od siedmiu godzin ludzie stali bez ruchu, bez jedzenia.

I nagle, kiedy inżynierowie ostrożnie wysuwali się naprzód, jeszcze jeden ostatni wstrząs we wnętrzu ziemi zmusił ich do ucieczki. Rozległy się podziemne detonacje, jak gdyby jakaś potworna artyleria ostrzeliwała otchłań szybu. Na powierzchni resztki zabudowań poprzewracały się zdruzgotane. Najpierw rodzaj wiru powietrznego porwał szczątki sortowni i hali zjazdowej. Później rozpadła się kotłownia i zniknęła. Następnie przyszła kolej na kwadratową wieżyczkę pompy, która charczała w jej wnętrzu; budynek ten przewrócił się jak człowiek skoszony kulą.

Patrzący ujrzeli wreszcie rzecz straszliwą – maszynę poćwiartowaną na swym fundamencie, z powyrywaniem członkami, walczącą przeciw śmierci: poruszyła się, rozprostowała korbówód, swe kolano olbrzyma, jak gdyby chciała się podnieść; lecz były to jej ostatnie chwile, zmiażdżoną pochłonęła ziemia. Tylko trzydziestometrowej wysokości komin stał jeszcze, wstrząsany, podobny do masztu podczas nawałnicy. Wszyscy przypuszczali, że rozsypie się na drobne kawałki, rozpadnie w proch, gdy nagle zanurzył się w całości wchłonięty przez ziemię, stopił się jak olbrzymia świeca i nic nie wystawało ponad powierzchnię, ani nawet ostrze piorunochronu. Skończyło się, zła bestia przyczajona w otchłani, obżarta mięsem ludzkim, przestała już oddychać swym oddechem głębokim i długim. Całe le Voreux zapadło się w przepaść.

Tłum rozpierzchł się wyjąć. Kobiety biegły zasłaniając sobie oczy. Przerazenie uniosło mężczyzn jak stos zeschniętych liści. Ludzie nie chcieli krzyżeć, a jednak nie mogli powstrzymać się od krzyku, wymachiwali rękami na widok tego potężnego leja, jaki powstał. Ten krater wygasłego wulkanu, głęboki na piętnaście metrów, ciągnął się od drogi aż do kanału na przestrzeni przynajmniej czterdziestu metrów. Ten sam los, co zabudowania, spotkał cały plac przy kopalni, potężne kozły, pomosty z szynami, wózki, trzy wagony, nie licząc zapasów kopalniaka, całego lasu belek wchłoniętych jak słomki. W głębi leja widniała gmatwanina desek, cegieł, żelastwa i tynku, straszliwych szczątków zmiażdżonych, poplątanych, brudnych. Zagłębienie powiększało się, pękało na brzegach, szczeliny rysowały się daleko poprzez pola. Jedna rozpadlina dotarła aż do szynku Rasseneura; fasada domu zapadła się. Czy i osiedle również miało zginąć? Dokąd trzeba uciec, aby znaleźć bezpieczne schronienie w tym dniu straszliwym, nad którym zawisły ołowiane chmury, które również zdawały się pragnąć zmiażdżyć ludzi.

Nagle Négrel wydał okrzyk bóleści. Pan Hennebeau, który się cofnął, zapłakał. Klęska nie była jeszcze dotąd całkowita: brzeg kanału rozwarł się i woda spłynęła w jedną z rozpadlin, zniknęła w niej, stoczyła się jak wodospad w głęboką dolinę. Kopalnia wchłaniała tę rzekę, powódź zatapiała chodniki na długie lata...

Wkrótce lej napemnił się; błotniste jezioro, podobne do owych jezior, pod którymi spoczywają przeklęte miasta, zajęło miejsce, gdzie kiedyś było le Voreux. Zapadło milczenie pełne grozy, słyhać było tylko odgłos spadającej wody, jej bulgot we wnętrzościach ziemi.

Wówczas na chwiejącej się hałdzie Suwarin powstał. Poznał Maheudkę i Zachariasza

łkających w obliczu tej katastrofy, której ciężar zawisł nad głowami nieszczęśników pozostałych w głębi. Rzucił ostatniego papierosa i oddalił się w ciemności nie oglądając się za siebie. Jego cień zmniejszał się coraz bardziej, aż wreszcie stopił w jedno z mrokiem.. Spokojny jak zawsze Suwarin szedł w nieznane, ku nowym zagładom, wszędzie tam, gdzie jest dynamit, aby wysadzać w powietrze miasta i ludzi. Jego to niechybnie będzie dzieło, gdy konająca burżuazja usłyszy, jak za każdym jej stąpieniem wypryskuje do góry bruk ulic.

IV

W nocy po zapadnięciu się le Voreux pan Hennebeau pojechał do Paryża chcąc osobiście powiadomić o wypadkach zarząd i uprzedzić w tym gazety. Kiedy wrócił następnego dnia, był bardzo spokojny, równie poprawny i oficjalny jak zawrże. Widocznie udało mu się zrzucić z siebie odpowiedzialność, i względy, jakimi cieszył się u zarządu, nie zmniejszyły się, przeciwnie – w dwadzieścia cztery godziny później został podpisany dekret mianujący go oficerem legii honorowej.

Lecz jeżeli dyrektor ocalał, to Towarzystwo zachwiało się pod tym straszliwym ciosem. Nie była to tylko strata paru milionów, lecz śmiertelna rana, nie ustający, głuchy lęk przed jutrem wobec tego morderstwa popełnionego na jednym z szybów. Towarzystwo odczuło to tak dotkliwie, że i tym razem również uciekło się do milczenia. Po cóż wyciągać tę ohydłą sprawę na światło dzienne? Po co, gdyby udało się odkryć złoczyńcę, czynić zeń męczennika, którego przerażające bohaterstwo mogłoby wyrzucić zgubny wpływ na innych, wydać na świat całe plemię podpalaczy i morderców? Zresztą nie domyślano się, kto jest winowajcą, przypuszczano, że istnieje cała szajka, gdyż wydawało się niemożliwe, aby pojedynczy człowiek znalazł dość odwagi i siły dla dokonania takiego czynu; i to właśnie stawało się obsesją, ta myśl o groźbie zawisłej odtąd nad wszystkimi kopalniami Towarzystwa. Dyrektor otrzymał polecenie zorganizowania rozgałęzionej sieci szpiegowskiej, a następnie zwolnienia jednego po drugim, bez hałasu, ludzi niebezpiecznych, podejrzanych, że brali udział w zbrodni. Wszystkie racje polityczne nakazywały zadowolić się tą czystką.

Tylko jedna osoba zwolniona została natychmiast, Dansaert, starszy sztygar, który

skompromitował się z Pierronką. Jako pretekst do zwolnienia posłużyło jego zachowanie się w czasie niebezpieczeństwa, to tchórzostwo kapitana, który pozostawia swych ludzi. Było to jednocześnie dyskretne ustępstwo na rzecz górników, którzy nie cierpieli Dansaerta.

Jednakże jakieś wieści przeniknęły do publiczności i dyrekcja musiała wysłać sprostowanie do jednej z gazet, aby zaprzeczyć pogłosce, że strajkujący zapalili w kopalni beczkę prochu. Po krótkim dochodzeniu inżynier przysłany z ramienia rządu opublikował raport, w którym stwierdzał, że szalowanie zarwało się na skutek naporu mas skalnych, spowodowanego ich osiadaniem; Towarzystwo wołało odpowiedzieć na to milczeniem i przyjąć naganę za brak dozoru. W prasie paryskiej już na trzeci dzień wiadomości o katastrofie powiększyły kronikę wypadków: jedynym tematem rozmów byli górnicy konający w głębi kopalni i łączywie czytano depesze publikowane każdego ranka. Nawet w Montsou mieszczanie bledli i tracili mowę na dźwięk samej nazwy le Voreux, powstała legenda, której nawet najodważniejsi nie potrafili słuchać bez drżenia. Wszystkie okoliczne miasta okazywały wielką litość dla dotkniętych katastrofą. Organizowano wycieczki do zniszczonej kopalni, zbierano się tam, aby w gronie całej rodziny wdrygać się nad szczątkami, które tak wielkim ciężarem zawisły nad głowami uwieczonych w głębi nieszczęśników.

Deneulin, mianowany kierownikiem ruchu, rozpoczął urzędowanie w chwili klęski; pierwszym jego staraniem było skierować wody kanału z powrotem do właściwego łożyska, gdyż ich napływ z każdą godziną zwiększał szkody. Należało podjąć olbrzymie prace, zatrudniono natychmiast kilkudziesięciu robotników przy budowie tamy. Napór fali przerywał ją dwukrotnie. Później zainstalowano pompy i rozpoczęła się zażarta walka, odzyskiwanie krok za krokiem zalanych terenów.

Lecz z jeszcze większą zajadłością wzięto się do ratowania pochłoniętych górników. Négreł otrzymał polecenie zrobienia wszystkiego, co tylko się da, a rąk do pomocy mu nie brakło; w braterskim porywie wszyscy górnicy ofiarowywali swój współdział. Zapomnieli o strajku, nie dbali o zapłatę, mogli pracować nawet i za darmo, byle im tylko wolno było narażać życie dla towarzyszy, którzy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Stawili się wszyscy z narzędziami, drżąc i czekając na wiadomość, w którym miejscu mają wziąć się do roboty. Wielu było takich, którzy chorzy jeszcze z przerażenia po wypadku, wstrząsani nerwowymi drgawkami, oblewający się co chwila zimnym potem i dręczeni koszmarami przyszli jednak i okazywali się najzjadlejsi w pragnieniu walki z ziemią, jakby chcieli zemścić się na niej. Na

nieszczęście nieodzowne dla rozpoczęcia celowej akcji pytania sprawiały kłopot: Co robić? W jaki sposób dostać się w głąb? Z której strony zaatakować skały?

Zdaniem Négrela ani jeden z nieszczęśników już nie żył, na pewno zginęli wszyscy piętnascioro, zatopieni lub uduszeni; lecz w wypadku katastrofy w kopalni zasadą jest, że uważa się za żyjących ludzi, którzy zostali zamurowani w głębi; i to nadawało kierunek jego rozumowaniom. Pierwszym problemem, jaki sobie stawiał, było dociec, dokąd mogli się schronić. Sztymarzy i starzy górnicy, których się radził, zgadzali się co do tego, że wobec niebezpieczeństwa koledzy uciekali coraz to wyżej, z jednego chodnika do drugiego, i na pewno dostali się do najwyższych pokładów. Zgadzało się to zresztą z informacjami starego Mouque'a, z którego zagmatwanej opowieści można było wnioskować, że w popłochu ucieczki górnicy podzielili się na małe grupki i rozpierchli po wszystkich piętrach. Lecz co do sposobów ratunku zdania sztygarów różniły się. Ponieważ najbliższe powierzchni chodniki znajdowały się na głębokości pięćdziesięciu metrów, nie mogło być mowy o kopaniu szybu. Pozostawało Requillart, jedyne miejsce, z którego można było przybliżyć się do nieszczęśników. Niestety jednak stara kopalnia, sama zatopiona również, nie prowadziła już do le Voreux, a ponad poziomem wody ocalały tylko skrawki chodników przynależnych do pierwszego podszybia. Wypompowywanie wody trwałoby lata, nie pozostawało więc nic innego, jak sprawdzić, czy te chodniki nie sąsiadują przypadkiem z zalanymi chodnikami le Voreux, na krańcach których, według przypuszczeń, schronili się zagrożeni śmiercią górnicy. Zanim powzięto tę rozsądną decyzję, toczyły się długie dyskusje, w czasie których odrzucono wiele niewykonalnych projektów.

Négrel poruszył kurz archiwów, a kiedy dotarł do dawnych planów obu kopalń, przestudiował je i wytyczył punkty, gdzie miały rozpocząć się poszukiwania. Powoli zapalał się do nich; i jego również, mimo zwykłej mu ironicznej niefrasobliwości w stosunku do ludzi i rzeczy, ogarnęła gorączka poświęcenia. Na pierwsze przeszkody natrafiono od razu przy zapuszczaniu się w głąb Rsquillart: trzeba było utorować drogę, wyciąć jarzębinę, usunąć krzewy dzikiej śliwy i głogu, a później naprawić drabiny. Następnie rozpoczęły się poszukiwania. Inżynier schodził z dziesięcioma robotnikami i kazał im kuć w niektóre części pokładu; w wielkiej ciszy każdy przykładł ucho do ściany, nasłuchiwał, czy jakieś odległe uderzenia nie rozlegną się w odpowiedzi. Na próżno jednak przemierzali wszystkie dostępne chodniki, nie odzywało się żadne echo. Trudności wzrastały: w którym miejscu wgrzać się w pokład, w którą stronę się

posuwać, skoro wydawało się, że nikogo tam nie ma? Szukano jednak dalej, z uporem i wzrastającym niepokojem.

Od pierwszego dnia Maheudka każdego ranka przychodziła do Requillart. Siadała na belce koło szybu i nie ruszała się stamtąd do wieczora. Gdy któryś z mężczyzn wychodził, podnosiła się i pytała go oczami: nic? Nie, nic! Siadała z powrotem, czekała dalej z twarzą zamkniętą i twardą. Widząc, że jego jaskinia jest w niebezpieczeństwie, Janek również kluczył wokół szybu jak wylęknione zwierzę, do którego łupów dobiera się jamnik: myślał o żołnierzyku leżącym pod skałami i bał się, aby nie zakłócono jego twardego snu; lecz ta część kopalni zalana była wodą, a poza tym poszukiwania szły bardziej w lewo, w kierunku zachodnim. Z początku przychodziła także i Filomena towarzysząc Zachariaszowi, który należał do ekipy poszukiwaczy; lecz wkrótce sprzykrzyło jej się marznąć bez potrzeby i bez skutku: zostawała w osiedlu kaszląc od rana do wieczora, pozbawiona energii, obojętna. Zachariasz tymczasem całkowicie oddał się poszukiwaniom, byłby połykał ziemię, byle tylko odnaleźć siostrę. Krzyczał nocami, widział ją przed sobą, słyszał, wychudłą z głodu, ochryplą od wołania o pomoc. Dwa razy zabierał się do kucia bez rozkazu, mówiąc, że to tutaj, że jest tego pewien. Inżynier nie pozwalał mu już schodzić w głąb, ale on nie odstępował od szybu, z którego go wypędzano, nie mógł nawet usiąść obok matki i czekać, trawiony potrzebą działania, krążąc bez wytchnienia.

Nadszedł trzeci dzień poszukiwań. Négreł, zdesperowany, postanowił, że wieczorem rzucać wszystko. W południe, wróciwszy ze swymi ludźmi z obiadu, zdziwił się widząc Zachariasza wychodzącego z kopalni. Chłopak był bardzo czerwony, gestykulował i krzyczał:

– Jest! Odpowiedziała mi! Chodźcie, chodźcie prędko!

Nie zważając na strażnika ześliznął się był po drabinach i teraz przysięgał, że w pierwszym chodniku pokładu Wilhelma ktoś uderzał w ścianę.

– Ależ myśmy już dwa razy przechodzili tamtędy – zauważył Négreł z niedowierzaniem. – No, ale dobrze, zobaczymy.

Maheudka podniosła się; trzeba ją było powstrzymać, aby nie zeszła do szybu. Czekala stojąc nad brzegiem, ze wzrokiem utkwionym w ciemną gardziel.

Na dole Négreł uderzył trzykrotnie w dużych odstępach czasu; później przyłożył ucho do ściany nakazując robotnikom jak największą ciszę. Nie dobiegł go żaden dźwięk, potrząsnął głową; biednemu chłopakowi najwidoczniej zdawało się tylko. Rozgorączkowany Zachariasz uderzył sam; i znów posłyszał odpowiedź, oczy mu błyszczały, ciałem wstrząsał dreszcz radości.

Wówczas pozostali robotnicy jedni po drugich podejmowali tę samą próbę: wszyscy ożywili się, chwyтали wyraźnie daleki odzew. Inżynier zdziwił się, raz jeszcze przyłożył ucho i posłyszał wreszcie szmer lekki jak tchnienie, rytmiczny sygnał górników znajdujących się w niebezpieczeństwie. Węgiel przenosi dźwięki na wielką odległość, czyste jak kryształ. Jeden ze sztygarów, znajdujący się na miejscu, twierdził, że dzielący ich od towarzyszy blok ma przynajmniej pięćdziesiąt metrów grubości. Lecz wydawało się mimo to, że można już do nich wyciągnąć rękę. Wybuchnęła radość. Négrel, musiał natychmiast zarządzić rozpoczęcie pracy.

Kiedy Zachariasz wyszedłszy na górę ujrzał Maheudkę uściskali się oboje.

– Nie trzeba się cieszyć naprzód – zauważyła z okrucieństwem Pierronka, która przysłała tego dnia do Requillart na spacer, przez ciekawość – bo jak Katarzyny tam nie ma, to was będzie potem serce bolało.

Była to prawda, Katarzyna znajdowała się może gdzie indziej.

– Wynoś się stąd! – krzyknął z wściekłością Zachariasz. – Ja wiem, że ona tam jest!

Maheudka usiadła z powrotem, milcząca, z nieruchomą twarzą, i czekała dalej.

Z chwilą gdy wieść o wydarzeniu rozeszła się po Montsou, napłynęła nowa fala ludzi. Nie widzieli nic, lecz mimo to pozostawali na miejscu i trzeba ich było odsuwać od szybu. Prace w głębi trwały dzień i noc. Bojąc się, aby nie natrafili na jakąś przeszkodę, inżynier kazał przebijać trzy chodniki zmierzające ku miejscu, w którym, według przypuszczeń, znajdowali się odcięci górnicy. W głębi wąskiego przesmyku mógł pracować tylko jeden rębacz; zmieniano go co dwie godziny, a urobionym węglem napełniano koszyki i podawano je sobie z rąk do rąk; sznur ludzi wydłużał się, w miarę jak korytarz się pogłębiał. Z początku praca posuwała się bardzo szybko: w ciągu jednego dnia zrobiono sześć metrów.

Zachariasz uzyskał to, że dopuszczono go do pracy. Był to zaszczyt, o który walczono. Chłopak wybuchał gniewem, kiedy po dwóch godzinach przychodziła zmiana. Pracował za siebie i za kolegów, nie chciał wypuszczać oskarda z ręki. Jego chodnik wyprzedził niedługo pozostałe, obrywał kęsy węgla z taką zaciekłością, iż z głębi przesmyku dobiegał jego głośny oddech podobny do sapania miecha. Kiedy wychodził umazany i czarny, pijany zmęczeniem, walił się na ziemię i trzeba go było okrywać. Później, chwiejąc się jeszcze, zanurzał się z powrotem i walka rozpoczynała się od nowa, głuche uderzenia, zduszone skargi, zwycięska zjadłość boju. Na nieszczęście jednak węgiel stawał się coraz twardszy, dwa razy Zachariasz złamał narzędzie, rozjątrzony, że nie posuwa się tak szybko jak przedtem. Cierpiał również z

powodu gorąca, gorąca wzmagającego się z każdym metrem, nie do zniesienia w głębi tego wąskiego leja, dokąd nie dochodziło powietrze. Ręczny wentylator nie wystarczał i trzykrotnie wynoszono rębaczy zemdlonych, bliskich uduszenia.

Négrel pozostawał na dole razem z robotnikami. Przynoszono mu tam posiłki, czasem przespał się ze dwie godziny na wiązce słomy, otulony płaszczem. Męstwo pracujących podtrzymywały błagania nieszczęśników, ich wezwania coraz wyraźniejsze i przynaglające. Słysząc je już było zupełnie wyraźnie, melodyjne jak dźwięki harmonijki. Kierowano się nimi teraz jak w bitwie odgłosem armat. Za każdym razem, gdy zmieniali się rębacze, Négrel wsuwał się w głąb chodnika, uderzał w ścianę, a później przykładał do niej ucho; i za każdym razem odpowiedź nadchodziła, szybka i nagła. Nie wątpił już, że posuwają się w dobrym kierunku; lecz jakże powoli! Nigdy nie byłiby tam dość wcześnie. W ciągu pierwszych dwóch dni posunęli się o trzynaście metrów, lecz trzeciego dnia tylko o pięć, a czwartego o trzy. Pokład stawał się coraz bardziej spoisty, coraz twardszy, tak że obecnie z trudem posuwali się o dwa metry. Dziewiątego dnia po nadludzkich wysiłkach doszli do trzydziestu dwóch metrów i obliczali, że zostało jeszcze około dwudziestu. Dla uwięzionych był to dwunasty dzień odcięcia, dwanaście razy po dwadzieścia cztery godziny bez chleba, bez ognia, w lodowatych ciemnościach! Pod wpływem tej straszliwej myśli wilgotniały oczy, natężały się ramiona przy pracy. Wydawało się niemożliwe, aby ci ludzie wytrzymali dłużej, stukanie stawało się coraz słabsze, ratujący drżeli, że za chwilę umilkną zupełnie.

Dzień w dzień Maheudka przychodziła i siadała przy wejściu do szybu. Przynosiła ze sobą Estelkę, której nie mogła zostawiać samej od rana do wieczora. Z godziny na godzinę śledziła przebieg pracy, dzieliła z górnikami nadzieję i przygnębienie. Dla zatrzymujących się koło szybu grup ludzi, a nawet dla mieszkańców Montsou rozpoczęło się gorączkowe oczekiwanie, komentarzom nie było końca. Wszystkie serca były wspólnym rytmem z tamtymi sercami pod ziemią.

Dziewiątego dnia w porze śniadania Zachariasz nie odpowiedział, gdy go zawołano. Zachowywał się jak szalony, obrywał kęsy węgla klnąc. Négrel wyszedł na chwilę, nie mógł więc zmusić go do posłuszeństwa; w szybie znajdował się tylko jeden sztygar i trzech górników. Widocznie Zachariasz, któremu było ciemno, rozgniewany migotliwym światelkiem opóźniającym jego pracę, popełnił tę nieostrożność i otworzył lampę, wbrew surowym zakazom wydanym ze względu na obecność gazów w wąskich chodnikach pozbawionych wentylacji.

Nagle rozległ się grzmot, z otworu buchnął ogień jak z armaty naładowanej kartaczami. Wszystko płonęło, z jednego końca chodników w drugi powietrze zapalało się jak proch. Ten ognisty strumień porwał sztygara i trzech robotników i trysnął z szybu niosąc ze sobą kawałki skał i belek. Ciekawscy pierzchnęli, a Maheudka wstała tuląc do piersi przerażoną Estelkę.

Kiedy powrócił Négrel z robotnikami, wstrząsnął nimi straszny gniew. Kopali obcasami ziemię jak kapryśną i okrutną macochę mordującą swe dzieci. Poświęcali się, nieśli pomoc towarzyszom i jeszcze teraz mieli ginąć? Po trzech długich godzinach wysiłków i niebezpieczeństw, kiedy udało się wreszcie dotrzeć do chodników, wyniesiono ofiary. Ani sztygar, ani robotnicy nie zginęli, lecz pokrywały ich straszliwe rany wydające woń przypieczonego mięsa; nałykali się ognia, oparzelina dotarła im aż do gardła i jęczeli przeciągle błagając, aby ich dobito. Spośród trzech górników jeden podczas strajku przedziurawił oskardem pompę w Gaston-Marie, dwaj pozostali mieli blizny na rękach, pokaleczone i poprzecinane palce – ślady rzucania cegieł w żołnierzy. Tłum, blady i drżący, odkrył głowy, kiedy ich niesiono.

Maheudka czekała stojąc. Ciało Zachariasza pojawiło się wreszcie. Ubranie było spalone, samo ciało przemienione w czarny węgiel, nie do poznania. Zmiażdżona wybuchem głowa nie istniała. Kiedy złożono na noszach te straszliwe szczątki, Maheudka ruszyła za nimi machinalnie, z płonącymi powiekami, bez jednej łzy. Trzymała w ramionach uśpioną Estelkę i szła, tragiczna, z włosami targanymi przez wiatr. W osiedlu Filomena przez chwilę stała oszołomiona, a później wybuchnęła potokiem łez przynoszących ulgę. Lecz matka zawróciła już do Requillart: odprowadziła syna, a teraz wracała, by czekać na córkę.

Upłynęły jeszcze trzy dni. Akcję ratunkową podjęto pośród niesłychanych trudności. Na szczęście chodniki nie zawały się na skutek wybuchu gazów, lecz powietrze było w nich tak rozpalone, tak ciężkie i zatrute, iż musiano zainstalować nowe wentylatory. Rębacze zmieniali się co dwadzieścia minut. Posuwano się naprzód; aby dotrzeć do towarzyszy, pozostało zaledwie dwa metry. Lecz pracowano teraz z chłodem w sercu, uderzano twardo jedynie przez zemstę, gdyż odgłosy umilkły, nie słychać już było rytmicznych, melodyjnych przyzywań. Był to dwunasty dzień prac ratunkowych, a piętnasty od chwili katastrofy; od rana po drugiej stronie ściany zapanowało śmiertelne milczenie.

Nowy wypadek zdwoił ciekawość mieszczan z Montsou i z takim zapalem organizowali wycieczki, że państwo Grégoire'owie również zdecydowali się pójść w ich ślady. Postanowiono, że udadzą się do le Voreux powozem, a pani Hennebeau przyjedzie tam z Łucją i Janką.

Deneulin zapozna ich ze swymi pracami, a później wrócił przez Requillart, gdzie dowiedzą się od Négrela, jak daleko posunęły się chodniki i czy ma jeszcze nadzieję, a wreszcie wieczorem zjedzą razem obiad.

Kiedy około godziny trzeciej państwo Grégoire'owie wysiedli koło zapadłej w ziemię kopalni, zastali tam panią Hennebeau, która przyjechała wcześniej. Ubrana w szafirowy kostium osłaniała się parasolką przed bladym słońcem lutego. Niebo, bardzo czyste, łagodne było jak wiosną. Pani Hennebeau z roztargnieniem słuchała rozmowy męża z Deneulinem i objaśnień, jakich ten udzielał o wysiłkach włożonych, aby zatrzymać wody kanału. Janina, z nieodłącznym albumem, w rękę, wzięła się do szkicowania, rozentuzjasmowana grozą, jaką tchnął obrany przez nią motyw; siedząca obok niej na szczątkach jakiegoś wózka Łucja wydawała okrzyki zachwytu, twierdząc, że widok jest „bajeczny”. Niedokończona tama przepuszczała liczne strumienie wody, które pieniać się spadały kaskadą w olbrzymi lej pochłoniętej kopalni. Krater ten opróżniał się jednak, wody wsysane przez ziemię opadały odsłaniając przerażający chaos dna. Pod łagodnym lazurem pogodnego dnia rozpościerała się kloaka, ruiny zburzonego miasta, unurzane w błocie.

– I człowiek zadaje sobie trud, żeby zobaczyć coś takiego! – wykrzyknął pan Grégoire, rozczarowany.

Cecylka, tryskająca zdrowiem, uszczęśliwiona, że oddycha tak czystym powietrzem, śmiała się, żartowała, gdy tymczasem pani Hennebeau krzywiła się z odrazą, szepcząc:

– Rzeczywiście, nic w tym ładnego.

Obydwaj inżynierowie roześmiali się. Starali się wzbudzić zainteresowanie zwiedzających, oprowadzali ich wszędzie, wyjaśniając działanie pomp i kataru wbijającego pale. Lecz panie zaniepokoiły się. Zadrżały dowiedziawszy się, że pompy będą czynne długie lata, przez sześć, siedem lat może, zanim szyb zostanie odbudowany i wszystka woda wydobyta. Nie, wołały myśleć o czym innym, te katastrofy mogły tylko sprowadzić złe sny.

– Jedźmy – powiedziała pani Hennebeau skierowując się w stronę powozu.

Janka i Łucja zaprotestowały. Jak to, tak prędko? A rysunek? Jeszcze nie jest skończony. Zdecydowały, że zostaną, a ojciec przywiezie je wieczorem na obiad. Pan Hennebeau, który również chciał zasięgnąć wiadomości od Négrela, zajął sam miejsce obok żony.

– Jedźcie państwo przodem – powiedział pan Grégoire. – My wstąpimy na chwilę do osiedla... Jedźcie, jedźcie, będziemy w Requillart razem z wami.

Wsiadł za panią Grégoire i Cecylką i podczas gdy pierwszy pojazd ruszył wzdłuż kanału, ich zjechał powoli ze wzgórza.

Był to miłosierny uczynek, który miał ukoronować wycieczkę. Śmierć Zachariasza wzbudziła w nich litość dla tej tragicznej rodziny Maheuów, o której mówili wszyscy w okolicy. Nie żalowali ojca, tego rozbójnika, tego zabijaki, którego należało zastrzelić jak wilka. Lecz wzruszała ich matka, ta biedna kobieta, która najpierw straciła męża, a potem syna, i której córka też była już może tylko trupem zagrzebanym w głębi ziemi; oprócz tego opowiadano jeszcze o zniedołężniałym dziadku, o chłopcu kulejącym po wypadku w kopalni i o dziewczynce umarłej z głodu w czasie strajku. Dlatego też, chociaż rodzina ta swoimi nieznośnymi przekonaniemiaszła częściowo na nieszczęścia, jakie ją spotykały, postanowili udowodnić, jak szeroko pojmują miłosierdzie i jak pragną pojednania i wymazania z pamięci dawnych spraw, osobiście zawożąc im jałmużnę. Dwie starannie zawinięte paczki leżały pod ławeczką pojazdu.

Jakaś stara kobieta wskazała stangretowi mieszkanie Maheuów, drugi blok, numer szesnaście. Wysiadłszy z paczkami Grégoire'owie na próżno jednak stukali, a później walili pięściami w drzwi: odpowiadało im ponure echo, jak w domach opustoszałych na skutek żałoby, lodowatych i ciemnych, nie zamieszkałych od dawna.

– Nie ma nikogo – odezwała się Cecylka zawiedziona. – To dopiero przykra niespodzianka! Cóż my zrobimy z tymi rzeczami?

Nagle otwarty się drzwi obok i ukazała się w nich Lewaczka.

– Och! przepraszam wielmożnych państwa! Przepraszam wielmożną panienkę!... Wielmożni państwo chcieli do sąsiadki. Ale jej nie ma, jest w Requillart...

Zalała ich potokiem słów, opowiedziała całą historię Maheuów, powtarzała, że trzeba pomagać sobie nawzajem, że bierze do siebie Lenorę i Henryka, aby matka mogła oczekiwać w Requillart. Wzrok jej padł na paczki i zaczęła mówić o swojej biednej córce, która owdowiała, roztaczać przed nimi obraz własnej nędzy, z oczyma błyszczącymi od pożądliwości. Wreszcie wyszeptała z wahaniem.

– Mam klucz. Jeżeli wielmożni państwo chcą koniecznie... Dziadek jest w domu.

Grégoire'owie spojrzeli na nią zdumieni. Jak to, dziadek jest w domu? Ależ nikt nie odpowiadał. Czyżby spał? Kiedy Lewaczka zdecydowała się otworzyć drzwi, to, co ujrzeli, kazało im zatrzymać się na progu.

Przykutym do krzesła Bonnemort siedział sam przy wystygłym piecu, z oczyma rozszerzonymi

i nieruchomo utkwionymi w jeden punkt. Ogołocona z zegara z kukułką i mebli z lakierowanej jedliny, które wypełniały ją, niegdyś, izba wydawała się większa; zielonkawą nagość ścian ożywiały jedynie portrety cesarza i cesarzowej uśmiechających się z oficjalną łaskawością różowymi wargami. Starzec nie poruszył się, nie zmrużył oczu, na które padł od drzwi snop światła, zidiociały, zdawał się nie dostrzegać nikogo. Koło jego nóg stała miseczka z popiołem, jaką stawia się kotom na ich nieczystości.

– Niech wielmożni państwo nie zwracają uwagi, że on taki niegrzeczny – mówiła uprzejmie Lewaczka. – Coś mu się pomieszało w głowie i już od dwóch tygodni nie odzywa się ani słowem.

Bonnemort zatrząsł się nagle, jakiś głęboki charkot dobył mu się jakby z brzucha; splunął do miseczki gęstą czarną plwocinę. Popiół pełen był tej węglowej mazi, wszystkiego węgla, jaki stary dobywał z piersi. Od czasu do czasu poruszał się, aby splunąć, a później zastęwał z powrotem.

Zmieszani, pełni odrazy, Grégoire'owie usiłowali jednak znaleźć jakieś przyjazne i pokrzepiające słowa.

– No i jak tam, mój dobry człowieku – odezwał się pan Grégoire – zaziębiliście się, co?

Stary z oczyma utkwionymi w ścianę nie odwrócił nawet głowy. I znów zapadło milczenie.

– Trzeba by wam naparzyć trochę ziółek – dorzuciła pani.

– Słuchaj no, ojczulku – szepnęła Cecylka – nam przecież mówiono, że on jest chory; tylko zapomnieliśmy o tym...

Przerwała, bardzo zakłopotana. Postawiwszy na stole garnuszek rosołu i dwie butelki wina rozpakowała drugą paczkę i wyciągnęła z niej parę olbrzymich butów. Był to prezent przeznaczony dla dziadka i trzymała teraz po jednym bucie w każdym ręku, zaskoczona, wpatrując się w obrzmiałe nogi nieszczęsnego człowieka, który nigdy już nie będzie chodzić.

– Trochę żeśmy się z nimi spóźnili, co, mój pocziwczu? – podjął pan Grégoire, aby rozweselić towarzystwo. – Ale to nic nie szkodzi, takie *rzeczy* zawsze się przydadzą.

Bonnemort nie słyszał i nie odpowiadał, przerażający, z twarzą zimną i twardą jak kamień.

Cecylka ukradkiem postawiła buty przy ścianie. Lecz na próżno starała się to zrobić jak najciszej, gwoździe w podeszwach zadźwięczały; te olbrzymie buciory wzbudzały uczucie zakłopotania.

– Och, podziękować to on nie podziękuje! – wykrzyknęła Lewaczka zerknąwszy na buty z

głęboką zazdrością. – Uczciwszy uszy, na tyle mu się te buty zdadzą, co umarłemu kadzidło.

I opowiadała dalej, starała się ściągnąć Grégoire'ów do siebie licząc, że uda jej się wzbudzić w nich litość. Wreszcie wymyśliła pewien pretekst, zaczęła wychwalać Henryka i Lenorę – co to za grzeczne, dobre dzieci, a takie przy tym rozgarnięte, umiejają odpowiedzieć jak aniołki, kiedy się ich o coś spytać! Od nich na pewno mogliby się wielmożni państwo dowiedzieć wszystkiego, czego tylko zechcą.

– Wstąpimy tam na chwilkę, córeczko?, – zapytał pan Grégoire, szczęśliwy, że może wyjść.

– Dobrze, zaraz tam przyjdę – odparła Cecylka. Została sama z Bonnemortem. Tym, co ją zatrzymało, urzeczoną i drżącą, była świadomość, że zna skądś tego starca: gdzie ona się zetknęła z tą ziemistą, kwadratową twarzą wytatuowaną węglem? I nagle przypomniała sobie, ujrzała otaczający ją tłum wydający gniewne okrzyki i poczuła zimne dłonie ściskające ją za gardło. To był on, teraz już wiedziała, spoglądała na jego ręce oparte o kolana, mocne jeszcze mimo starości ręce robotnika, w których mieści się cała jego siła. Dziadek Bonnemort zdawał budzić się zwolna; dostrzegł dziewczynę i przyglądał się jej szeroko rozwartymi oczami. Policzki pokrył mu rumieniec, usta, z których spływała wąska strużka czarnej śliny, drgały nerwowo. Przyciągani jakąś siłą trwali naprzeciw siebie, ona kwitnąca, tłusta i świeża, spadkobierczyni lenistwa i dostatku swej rasy, on zniekształcony puchliną wodną, brzydki żalostną brzydotą utrudzonego zwierzęcia, zniszczony ciężącymi na nim i na jego przodkach latami pracy i głodu.

Po dziesięciu minutach, kiedy Grégoire 'owie zdziwieni, że Cecylka nie przychodzi, wrócili do Maheuów, wydali straszliwy okrzyk. Ich córka leżała na ziemi z posiniąłą twarzą, uduszona. Na jej szyi widniały ślady olbrzymich dłoni. Bonnemort leżał obok niej i nie mógł się podnieść. Palce miał jeszcze zakrzywione jak szpony, rozwarte oczy spoglądały nieprzytomnie. Upadając stłukł swoją miseczkę, popiół rozsypał się, a błoto czarnych plwocin obryzgało izbę; para wielkich butów stała równo pod ścianą, nie doznawszy żadnego szwanku.

Nigdy nie udało się ustalić dokładnie przebiegu wydarzeń. Dlaczego Cecylka podeszła do starca? W jaki sposób Bonnemort, przykuty do krzesła, mógł chwycić ją za gardło? Widocznie, gdy miał ją już w swych rękach, ścisnął coraz mocniej, rozjuszony, dławiąc jej krzyki, a później przewrócił się z nią razem na podłogę. Ani jeden okrzyk, ani jedna skarga nie przedostały się przez cienkie przepierzenie do mieszkania sąsiadów. Należało przypuszczać, że Bonnemort uległ nagłemu atakowi szału, niewytłumaczonej żądzy mordy, jaką wzbudziła w nim ta biała szyja

dziewczęca. Taki poryw dzikości wydał się czymś zdumiewającym u tego chorego starca, człowieka poczciwego, który całe życie spędzał w zwierzęcej uległości, przeciwny nowym ideom. Jakaż to uraza, nie znana jemu samemu, z biegiem lat coraz bardziej zatruta, z wnętrzości podpłynęła mu do mózgu? Przerazenie i wstręt, jakie wzbudziła ta zbrodnia, skłoniły ludzi do przyjęcia, że był to czyn szaleńca.

Tymczasem państwo Grégoire'owie, na klęczkach, szlochali, zachłystywali się bólem. Ich ubóstwiana córeczka, ta córeczka, której pragnęli tak długo, a którą później otaczali wszelakim zbytkiem, do pokoju której wchodził na czubkach palców, aby popatrzeć, jak śpi, która nigdy nie wydawała się im dostatecznie odżywna, dostatecznie tłusta! Była to ruina całego ich życia – po cóż mieliby teraz żyć bez niej?

– A to stary rozbójnik! – krzyczała Lewaczka przerażona – co on też zrobił? Czy to człowiek mógł się spodziewać czegoś takiego?... A Maheudka wróci dopiero wieczorem! Może ja bym tak po nią poleciała?

Zdruzgotani, ojciec i matka nie odpowiadali.

– Co? Może by tak było lepiej?... Polecę!

Przed wyjściem jednak Lewaczka rzuciła okiem na buty. Całe osiedle było poruszone, tłum tłoczył się już przed domem. A może ktoś je skradnie? U Maheuów i tak nie ma mężczyzn, więc kto by je nosił? Po cichu wyciągnęła rękę i zabrała je. W sam raz dla Bouteloupa.

W Requillart państwo Hennebeau w towarzystwie Négrela długo czekali na Grégoire'ów. Négrel wyszedłszy z kopalni udzielał objaśnień: mieli nadzieję, że jeszcze tego wieczora dotrą do uwięzionych, z pewnością jednak wydobędą same tylko trupy, gdyż śmiertelne milczenie trwało dalej. Siedząca za inżynierem na belce Maheudka słuchała pobladła, gdy wtem nadbiegła Lewaczka i opowiedziała jej o pięknym wyczynie starego. Kobieta potrzęsnęła tylko ręką ze zniecierpliwieniem. i irytacją. Poszła jednak za sąsiadką.

Pani Hennebeau bliska była omdlenia. Co za ohyda!” Ta biedna Cecylka taka wesoła tego dnia, tak pełna życia jeszcze godzinę temu! Pan Hennebeau musiał wprowadzić żonę na chwilę do rudery starego Mouque'a. Niewprawnymi rękami rozpinał jej suknię, zmieszany wonią piżma, jaka dobywała się z rozchylonego stanika. I kiedy cała we łzach tuliła się do Négrela, oszołomionego tą śmiercią przecinającą jego małżeńskie projekty, mąż spoglądał na nich oboje uwolniony od niepokoju. To nieszczęście rozwiązywało sytuację, wolał zatrzymać siostrzeńca, bojąc się, aby jego miejsca nie zajął stangret.

V

Na dnie szybu pozostawieni swemu losowi nieszczęśnicy wyli z przerażenia. Woda sięgała im już do pasa. Łoskot strumienia ogłuszał, trzaski zapadającego się szalowania nasuwały myśl o końcu świata; lecz tym, co doprowadzało ich do szaleństwa, było rzenie koni zamkniętych w stajni, głos śmierci, straszliwy, nie do zapomnienia, głos mordowanych zwierząt.

Mouque puścił Bataille'a. Stary koń stał drżący i rozszerzonymi oczyma wpatrywał się we wzbierającą wodę. Podszybie wypełniało się prędko, w czerwonym świetle palących się jeszcze pod sklepieniem lamp widać było wznoszenie się zielonkawej toni. I nagle, czując, że lodowate fale sięgają mu do podbrzusza, koń rzucił się galopem w głąb jednego z chodników.

Ludzie ruszyli za nim w panicznej ucieczce.

– Nie mamy co sterczeć tu dłużej! – krzyczał Mouque. – Trzeba spróbować przez Requillart.

Myśl, że mogliby się wydostać przez starą kopalnię, jeżeli uda im się dotrzeć tam, zanim droga zostanie odcięta, unosiła ich teraz. Pchali się trzymając lampy w górze, aby woda ich nie zgasiła. Na szczęście chodnik wznosił się nieco i na przestrzeni dwustu metrów szli walcząc z falą, lecz nie pograżając się głębiej. Dawne wierzenia obudziły się teraz w tych przerażonych duszach, wzywali imienia ziemi, bo to ziemia zraniona mściła się zalewając ich swą krwią. Jakiś starzec bąkał zapomniane modlitwy odginając kciuki na zewnątrz, aby przebłagać złe duchy kopalni.

Lecz przy pierwszym rozwidleniu dróg wybuchła sprzeczka. Stajenny chciał iść na lewo, inni zaręczali, że idąc na prawo skrócą drogę. Minuta została stracona.

– A zdychajcie sobie tam, jak chcecie, dużo mnie to obchodzi! – wykrzyknął brutalnie Chaval. – Ja idę tędy.

Skręcił na prawo, dwóch kolegów poszło za nim. Reszta pobiegła za starym Mouque'em, który znał Requillart od dzieciństwa. A mimo to on sam też się wahał, nie wiedział, dokąd skręcić. W popłochu tracili głowy, najstarsi górnicy nie poznawali chodników, których pasma plątały się im w oczach. Na każdym skrzyżowaniu zatrzymywała ich niepewność, ale trzeba się było jednak decydować.

Stefan biegł na końcu, zatrzymywany przez Katarzynę obezwładnioną zmęczeniem i trwogą. On również byłby skręcił na prawo za Chavalem, przekonany, że wybiera dobrą drogę; lecz odłączył się od niego, gotów raczej pozostać w kopalni. Koledzy rozpraszali się po różnych chodnikach, za starym Mouque'em biegło już tylko siedem osób.

– Obejmij mnie za szyję, poniosę cię – powiedział Stefan do dziewczyny widząc, że słabnie.

– Nie, zostaw – szepnęła – już nie mogę, wolę umrzeć od razu.

Zostali o pięćdziesiąt metrów za tamtymi i mimo jej oporu Stefan brał właśnie Katarzynę na rękę, gdy strop przed nimi osunął się nagle: olbrzymi blok odgrodził ich od kolegów. Woda podmywała skały, chodniki zapadały się w wielu miejscach. Musieli zawrócić. Stracili orientację, nie wiedzieli, w jakim kierunku idą. Przepadło, nie mieli już co myśleć o wydostaniu się przez Requillart. Pozostała jedynie nadzieja, że dotrą do chodników położonych wyżej, skąd zostaną wydobyć, o ile wody opadną.

Wreszcie Stefan poznał pokład Wilhelma.

– W porządku – powiedział – wiem już, gdzie jesteśmy. Psiakrew! Szliśmy dobrą drogą; no, ale co z tego, teraz... Słuchaj, chodźmy prosto, wydostaniemy się na górę szybikiem.

Woda sięgała im po piersi, posuwali się bardzo wolno. Mieli jeszcze światło, nie tracili więc nadziei; zgasili jedną lampę, aby zaoszczędzić oliwy i przelać ją później do drugiej. Dochodzili do szybiku, kiedy jakiś hałas za nimi kazał im się odwrócić. Czyżby inni koledzy też natrafili na przeszkody po drodze i wracali? W oddali ktoś sapał utrudzony, nie wiedzieli, jak wytłumaczyć sobie tę nadciągającą w obłoku piany burzę. Wydali okrzyk widząc jakiś potężny białawy zarys wynurzający się z mroku; postać ta usiłowała dotrzeć do nich kalecząc się w zbyt wąskim przejściu.

Był to Bataille. Opuściwszy podszybie galopował mrocznymi chodnikami, oszalały. Wydawało się, że zna na pamięć drogi tego podziemnego miasta, które zamieszkiwał od jedenastu lat; jego oczy przywykłe do otaczającej go wieczyste nocy widziały w ciemnościach. Pędził, pędził, schylając głowę, wąsko stawiając nogi, uciekając przesmykami, które wypełniał swą postacią. Dróżki ciągnęły się jedna za drugą, rozwidlały na rozstajach, lecz on nie wahał się w ich wyborze. Dokąd tak biegł? Ku wizji swej młodości może, ku młynowi nad brzegiem Skarpy, gdzie się urodził, ku niejasnemu wspomnieniu słońca płonącego w górze jak wielka lampa? Chciał żyć, jego zwierzęca pamięć ocknęła się, pragnienie odetchnienia raz jeszcze powietrzem znad równin pchało go przed siebie, aż odkryje wreszcie jakieś przejście

prowadzące ku jasności i ciepłemu niebu. Poryw buntu zmiotł jego dawną rezygnację, ta kopalnia oślepiła go najpierw, a teraz nastaje na jego życie. Ścigające fale chłostały go po nogach, kąsały mu zad. Lecz w miarę jak oddalał się od podszybia, chodniki stawały się coraz ciaśniejsze i coraz niższe. Mimo to pędził dalej, raniąc się, zostawiając na stemplach strzępy ciała. Kopalnia zdawała się nacierać nań ze wszystkich stron, aby go pochwycić i zadusić.

Kiedy był już blisko nich, Stefan i Katarzyna spostrzegli, że dusi się wciśnięty między skały. Potknął się, połamał przednie nogi. Ostatnim wysiłkiem powłókł się jeszcze parę metrów, lecz nie mogąc się już dalej precyzyjnie uległ otoczony ze wszech stron, spętany przez ziemię. Jego skrwawiona głowa wyciągnęła się do przodu, wielkie zmętniało oczy wciąż jeszcze szukały jakiegoś wyjścia. Woda pokrywała go szybko i zaczął rzeć przeciągłym, straszliwym rzeniem, podobnie jak tamte konie, które zginęły już w stajni. Okrutne to było konanie, stare zwierzę z połamanymi nogami, unieruchomione, szamotało się we wnętrzu ziemi, daleko od światła. Jego rozpaczliwe wołanie nie ustawało, woda sięgała mu już po grzywę, a on wołał wciąż, coraz ochryplej, wyciągając pysk i otwierając go szeroko. Wreszcie rozległ się charkot, głuchy odgłos, jaki wydaje napełniona beczka. I zapanowało głębokie milczenie.

– Ach, mój Boże! Zabierz mnie – łkała Katarzyna. – Ach, mój Boże! Ja się boję, ja nie chcę umierać... Zabierz mnie! Zabierz mnie!

Zobaczyła śmierć. Zawalony szyb, zatopiona kopalnia, nic nie przejęło jej taką trwogą jak wołanie konającego Bataille'a. Słyszała je ciągle, w uszach jej szumiało, wzdrygała się co chwila.

– Zabierz mnie! Zabierz mnie!

Stefan chwycił ją i podniósł. Był już zresztą najwyższy czas, woda sięgała im do ramion. Weszli do szybiku; musiał pomagać dziewczynie, gdyż nie miała siły sama chwycić się szczebli. Trzykrotnie myślał już, że wymknie mu się z rąk i zatonie w głębokim morzu huczącym za nimi. Odetchnęli na chwilę doszedłszy do pierwszej dowieczni, wolnej jeszcze. Lecz woda ukazała się na nowo i trzeba było piąć się dalej. Wiele godzin trwała ta wędrówka pod górę, woda gnała ich od jednej dowieczni do drugiej, zmuszała do wdrapywania się coraz to wyżej. Kiedy byli na szóstej dowieczni, chwila wytchnienia obudziła w nich gorączkową nadzieję, wydało im się, że poziom wody ustala się. Lecz zaraz potem przybrała gwałtownie, musieli przenieść się do siódmej, później do ósmej dowieczni. Pozostała jeszcze tylko jedna i kiedy się w niej znaleźli, każdy centymetr przyboru napełniał ich trwogą. Więc jeżeli woda się nie zatrzyma, zginą jak

tamten stary koń, zmiżdżeni, zalani?

Co chwila rozbrzmiewały odgłosy zapadania się chodników. Cała kopalnia drżała, jej trzewia zbyt słabe nie wytrzymały nacisku rozpierających je wód. Stłoczone w głębi przejść powietrze powodowało olbrzymie eksplozje wśród potrzaskanych skał i powywracanych warstw gruntu. Panował przerażający zgiełk, jaki towarzyszy kataklizmom we wnętrzu ziemi, powtarzały się zmagania z czasów, kiedy potopy przewracały ziemię na nice, zatapiały góry pod dolinami.

Katarzyna wstrząsana dreszczem, ogłuszona tym nieustającym łoskotem składała ręce i jąkała bez przerwy wciąż te same słowa:

– Ja nie chcę umierać... Ja nie chcę umierać...

Aby dodać jej otuchy, Stefan przysięgał, że woda przestała się podnosić. Uciekają już na pewno od jakichś sześciu godzin, niedługo powinna nadejść pomoc. Stefan mówił o sześciu godzinach sam jednak nie orientując się, ile ich mogło upłynąć, gdyż oboje stracili poczucie czasu. W rzeczywistości ich wędrówka poprzez pokład Wilhelma trwała cały dzień.

Przemoczeni, drżący znaleźli sobie jakieś miejsce, aby odpocząć. Dziewczyna rozebrała się bez wstydu i wyjęła odzież, po czym włożyła spodnie i kurtkę, aby wyschły na niej do reszty. Ponieważ była boso, Stefan zmusił ją, aby włożyła jego saboty. Rozpoczęło się teraz dla nich czekanie, przygasili lampę zostawiając tylko nikły płomynek. Chwyciły ich skurcze żołądka i oboje zdali sobie sprawę, że umierają z głodu. Aż do tej chwili nie czuli, że żyją. Nie jedli dotąd śniadania, wyjęli więc kromki chleba nasiąknięte wodą, rozmiękle. Dopiero gdy Katarzyna się rozgniewała, Stefan przyjął swoją porcję. Ledwo zjadłszy dziewczyna usnęła ze zmęczenia na zimnej ziemi. On, trapiiony bezsennością, czuwał nad nią objawszy dłońmi czoło, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt.

Ile godzin upłynęło mu w ten sposób? Nie potrafiłby tego powiedzieć. Wiedział tylko, że w otworze szybiku znów ukazały się czarne, ruchome fale, prężący się grzbiet zwierzęcia, które starało się ich dosięgnąć. Z początku pojawiła się tylko wąska linia, zwinnie wąż, który się wydłużał; później rozszerzyło się to, przemieniło w ruchliwe, pełzające cielsko, które dotarło do nich wkrótce, woda dotknęła stóp śpiącej dziewczyny. Zatrwożony Stefan wahał się, czy ma ją obudzić. Czyż nie będzie okrucieństwem wrywać ją ze spoczynku, z nieświadomości kołyszącej ją może snami o wolnej przestrzeni i słońcu? Którędy zresztą uciekać? Szukał w myśli i przypomniał sobie, że zainstalowana w tej części pokładu pochylnia styka się z pochylnią

obsługującą górne podszybie. Stwarzało to możliwość ratunku. Stefan pozwolił dziewczynie spać, dopóki to było możliwe, patrząc na przybierającą wodę, czekając, aż wypędzi ich z tego miejsca. Wreszcie uniósł Katarzynę łagodnie, a ona wzdrygnęła się cała.

– Ach! Mój Boże! To prawda!... Znow się zaczyna, mój Boże!

Przypomniała sobie i krzykiem przyjęła nieustępliwą bliskość śmierci.

– Nie, uspokój się – szepnął Stefan – przysięgam ci, że możemy się stąd wydostać.

Aby dotrzeć do pochylni, musieli iść zgięci we dwoje, a woda znow sięgała im do ramion. Rozpoczęła się wspinaczka jeszcze bardziej niebezpieczna od poprzedniej, stumetrowej długości przesmykiem oszalowanym deskami. Najpierw chcieli pociągnąć linę, aby przymocować do niej jeden z wózków, gdyż jeśli drugi zsunąłby się podczas ich wędrówki, zmiażdżyłby ich. Lecz nic się nie poruszyło, mechanizm musiał być uszkodzony. Ruszyli więc nie śmiejąc korzystać z tej liny, która im zawadzała, wbijając paznokcie w śliskie deski. Stefan szedł z tyłu podtrzymując Katarzynę głową, gdy się osuwała. Nagle jakaś strzaskana belka zagroziła im drogę. Utworzone ponad nią osypisko nie pozwalało wspinać się wyżej. Na szczęście, znajdujące się w tym miejscu drzwiczki zaprowadziły ich do jakiejś przecinki. Przed sobą dostrzegli błysk lampy: zdumieli się. Jakiś mężczyzna krzyknął ku nim z wściekłością w głosie:

– Jeszcze jacyś dumie, tacy sami mądrzy jak ja!

Poznali Chawala zablokowanego osypiskiem zagrządzającym pochylnię; dwaj koledzy, którzy poszli za nim, zostali po drodze z rozłupanymi czaszkami. On sam, ranny w łokieć, miał jeszcze odwagę zawrócić na klęczkach, aby zabrać ich lampy i śniadania. Kiedy się wycofywał, skały za jego plecami osunęły się zamykając mu drogę.

Widząc tych ludzi wynurzających się z wnętrza ziemi przysiągł sobie, że nie podzieli się z nimi zapasami. Najchętniej byłby ich zamordował. Po chwili i on poznał ich również, jego gniew opadł; wybuchnął złym śmiechem.

– Ach, to ty, Katarzyno! Sparzyłaś się i teraz wracasz do swojego kawalera. Dobrze, dobrze! Potańczymy sobie jeszcze.

Udawał, że nie widzi Stefana. Ten ostatni, wstrząśnięty spotkaniem, uczynił w pierwszej chwili taki gest, jak gdyby chciał bronić ładowaczki, która tuliła się do niego. Musiał jednak pogodzić się z sytuacją. Zapytał więc kolegi po prostu, jakby godzinę temu rozstali się w najlepszej zgodzie:

– Patrzyłeś, nie można się wydostać urobiskiem?

Chaval nie przestawał śmiać się drwiąco.

– Aha, właśnie, urobiskiem! Wszystko się zawaliło, jesteśmy w pułapce... Ale możesz wrócić pochylnią, jak jesteś dobry pływak.

Rzeczywiście, woda przybierała, słychać było jej plusk. Odwrót był odcięty. Chaval miał rację, ten skrawek chodnika zamurowany z obu stron stanowił pułapkę, w której znaleźli się wszyscy troje.

– Więc zostajesz? – dorzucił Chaval drwiąco. – Masz rację, nie mogłeś zrobić nic lepszego, a jak mnie zostawisz w spokoju, to nawet i słówka do ciebie nie pisnę. Wystarczy tu miejsca dla nas obu... Przekonamy się niedługo, który zdechnie pierwszy, chyba żeby nas odratowali, w co mocno wątpię.

– A gdybyśmy tak zaczęli stukać? Może by nas jednak usłyszeli? – podjął młody człowiek.

– Jużem się zmęczył tym stukaniem... Masz, spróbuj sam tym odłamkiem.

Stefan podniósł kawałek piaskowca wyszczerbionego już przez Chavala i zaczął wystukiwać nim sygnał, jakim posługują się górnicy w niebezpieczeństwie. Później przyłożył ucho do ściany nasłuchując. Powtarzał to kilkanaście razy z uporem. Żaden dźwięk nie rozległ się w odpowiedzi.

Tymczasem Chaval zainstalowywał się udając całkowity spokój. Najpierw ustawił rzędem pod ścianą swoje trzy lampy: paliła się tylko jedna, pozostałe przydadzą się później. Następnie złożył na kawałku belki dwie skibki chleba, jakie miał jeszcze. Był to jego bufet, jeżeli będzie gospodarował rozsądnie, powinno wystarczyć mu tego na dwa dni. Odwrócił się mówiąc:

– Słuchaj no, Katarzyna, jak będziesz bardzo głodna, to się z tobą podzielę.

Dziewczyna milczała. Obecność tych dwóch mężczyzn unieszczęśliwiła ją do reszty.

Rozpoczęły się straszliwe dni. Chaval i Stefan siedzieli o parę kroków od siebie, lecz nie odzywali się ani słowem. Na propozycję Chavala Stefan zgasił swoją lampę, zbyteczny luksus, a później znów zapanowało milczenie. Katarzyna położyła się koło młodego człowieka zaniepokojona spojrzeniami, jakie rzucał jej dawny kochanek. Mijały godziny, słychać było cichy szmer stale przybierającej wody; głębokie wstrząsy i odległe hałasy obwieszczały od czasu do czasu o ostatnich przesunięciach skał. Kiedy lampa wyczerpała się i trzeba było otworzyć następną, aby ją zapalić, lęk przed gazami ogarnął ich na chwilę; woleli jednak od razu wylecieć w powietrze niż dłużej tkwić w ciemnościach. Lecz nie nastąpił żaden wybuch, gazów nie było. Ułożyli się z powrotem i godziny upływały dalej.

W pewnym momencie Stefan i Katarzyna usłyszeli jakiś szmer; podnieśli głowy. Chaval jadł, przekrajał jedną kromkę i żuł ją powoli, aby oprzeć się pokusie połknięcia wszystkiego od razu. Tamci, nękanii głodem, patrzyli na niego.

– Więc nie chcesz? – powiedział do ładowaczki z prowokującą miną. – To źle robisz.

Katarzyna spuściła powieki bojąc się, że ulegnie, dławiona takim skurczem, że łzy napływały jej do oczu. Rozumiała jednak, do czego zmierzał; już rano musnął ją w szyję; widok Katarzyny u boku tamtego budził w nim dawne żądze. W spojrzeniach, jakimi ją przyzywał, krył się płomień, który znała dobrze, płomień jego napadów zazdrości, kiedy bił ją i oskarżał o różne ohydne rzeczy. Drżała, iż wracając do niego sprawi, że ci dwaj mężczyźni rzucą się na siebie w tej wąskiej piwnicy, gdzie oczekiwali śmierci wszyscy troje. Mój Boże, czyż nie mogą umrzeć w zgodzie!

Stefan prędzej umarłby z wyczerpania, niż miałby zebrać u Chavala o kęs chleba. Milczenie ciążyło coraz bardziej, kapiące beznadziejne minuty zdawały przedłużać się w nieskończoność. Już cały dzień zamknięci byli razem. Druga lampa zbladła, zapalili trzecią.

Chaval wziął się do następnej kromki chleba mruczając:

– Chodźże, głupia!

Katarzyna zadrżała. Aby zostawić jej wolną rękę, Stefan odwrócił się. Czując, że się nie rusza, powiedział do niej cicho;

– Idź, moje dziecko.

Powstrzymywane przez nią łzy trysnęły teraz. Płakała długo nie znajdując nawet dość siły, aby wstać, nie wiedząc już sama, czy jest głodna, czując ból w całym ciele. Stefan wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem; na próżno wystukiwał sygnał górników, wściekły, że tę resztkę życia, jaka mu została, musi spędzić ze znieawidzonym rywalem. Żeby to chociaż było dość miejsca, aby umrzeć z dala jeden od drugiego! Ledwo uszedł dziesięć kroków, wpadał na tamtego. A ona, ta smutna dziewczyna, którą wyrwali sobie nawet w głębi ziemi! Dostanie się temu, który przeżyje; jeżeli on umrze pierwszy, to tamten znów mu ją skradnie. Godziny płynęły za godzinami, bez końca, ta budząca sprzeciw bliskość trojga więźniów stawała się coraz cięższa do zniesienia, powietrze zatruwały wyziewy nieczystości. Dwukrotnie Stefan rzucał się na skały, jakby chciał rozewrzeć je ciosami pięści.

Minął jeszcze jeden dzień, Chaval usiadł obok Katarzyny i podzielił się z nią ostatnią kromką chleba. Z trudem żuła małe kęsy, a on w swym uporze zazdrośnika za każdy kazał jej płacić

jakaś pieszczotą, chcąc pojąć ją raz jeszcze przed śmiercią, na oczach tamtego. Wyczerpana nie stawiała oporu. Lecz kiedy chciał ją wziąć, jęknęła:

– Och, zostaw, łamiesz mi kości.

Stefan, drżący, oparł był czoło o stempel, aby nie widzieć. Zawrócił jednym skokiem, oszalały.

– Zostaw ją, psiakrew!

– A tobie co do tego? – powiedział Chaval. – To moja dziewczyna czy nie?

I znów przygarnął ją do siebie, wyzywająco przyciskając rude wąsy do jej ust.

– Daj nam święty spokój! Rozumiesz? – ciągnął. – Bądź taki uprzejmy i zajrzyj no do pochylni, czy nas tam nie ma.

Lecz Stefan krzyknął pobladłymi wargami:

– Jak jej nie puścisz, zamorduję cię!

Chaval poderwał się, gdyż świszczący głos kolegi zdradził mu, że tamten rzeczywiście ma ten zamiar. Śmierć wydała im się zbyt powolna, jeden z nich musiał ustąpić z placu natychmiast. To ich dawna walka rozpoczynała się na nowo w głębi ziemi, gdzie niebawem spoczną jeden obok drugiego; mieli tak mało miejsca, że nie mogli wyciągnąć pięści, aby nie otrzeć ich o skałę.

– Uwważaj! – warknął Chaval. – Tym razem skończę z tobą.

Wówczas Stefana ogarnęło szaleństwo. Oczy przesłoniła mu czerwona mgła, do gardła napłynęła fala krwi. Opanowała go potrzeba zabijania, nieodparta potrzeba natury fizycznej, jak podrażnienie błony śluzowej, które wywołuje gwałtowny atak kaszlu. Obciążony dziedzicznie, nie potrafił się temu oprzeć, było to silniejsze niż jego wola. Chwycił płat łupku, bardzo szeroki, bardzo ciężki i szarpał go, wrywał. Nagle cisnął go oburącz na głowę Chavala.

Tamten nie miał nawet czasu uskokzyć do tyłu, Upadł z twarzą zmiażdżoną i pękniętą czaszką. Mózg opryskał strop chodnika, purpurowa strużka tryskała z rany, podobna do pulsującego źródła. Natychmiast utworzyła się kałuża, w której odbiła się zamglona gwiazda lampy. Mrok zagarniał tę zamurowaną piwniczkę, leżące na ziemi ciało wydawało się podobne do czarnej kupy węgla.

Pochylony Stefan wpatrywał się w nie rozszerzonymi oczyma. Stało się więc, zabił. Przypomniawszy sobie niejasno wszystkie walki, jakie staczał ze sobą, bezcelowe zmaganie z trucizną drzemiącą w jego mięśniach, z alkoholem nagromadzonym w nim z pokolenia na pokolenie. Odległe pijaństwo rodziców wystarczyło, aby teraz, pijany tylko głodem,

zamordował. Zgroza tej zbrodni jeżyła mu włosy; chociaż jednak wpojone przez wychowanie zasady kazały mu buntować się przeciw niej, serce biło mu radością, zwierzęcą radością z zaspokojenia dręczącej go potrzeby. A później ogarnęła go дума, дума silniejszego. Ujrzał małego żołnierzyka z gardłem przebitym nożem, zabitego przez dziecko. I on także zabił.

Lecz Katarzyna podrywając się krzyknęła.

– Mój Boże! Nie żyje!

– Żal ci go? – zapytał Stefan dziko.

Dławiła się, jąkała coś. Wreszcie chwając się padła w jego ramiona.

– Och! Zabij mnie także! Och! Umrzycjmy oboje?

Przywarła do niego, a on tulił ją również i oboje mieli nadzieję, że umrą lada chwila. Lecz śmierci nie śpieszyło się, więc rozpletli ramiona. A później, podczas gdy ona zasłaniała sobie oczy, on podniósł nieszczęśnika i wrzucił go do pochylni, aby nie zabierał im miejsca. Nie mogliby tu żyć mając trupa pod nogami. Przerazili się słysząc plusk i widząc, jak prysnęły krople. Więc woda wypełniła już pochylnię? Dostrzegli ją, podpływała do chodnika.

I znów rozpoczęła się walka. Zapalili ostatnią lampę, oświetliła przybór wody regularny, uparty, niepowstrzymany. Najpierw sięgała im do kostek, później omyła kolana. Chodnik wznosił się nieco, więc skierowali się w głąb zyskując parę godzin wytchnienia. Lecz fala dosięgła ich znowu, skapali się aż do pasa. Przyparciu do ściany, stojąc, patrzyli, jak wznosi się wciąż i wciąż. Kiedy sięgnie im do ust, będzie koniec. Lampa, którą powiesili, oświetlała żółtawym światłem szybkie drganie drobnych fal; później przybladła, widzieli już tylko półkole zmniejszające się stale, jak gdyby pożerane przez mrok wzrastający razem z przyływem. I nagle ogarnęła ich ciemność, lampa zgasła wypluwszy ostatnią kroplę oliwy. Była to noc zupełna, całkowita, noc we wnętrzu ziemi, gdzie zasnę nie ujrzawszy słońca.

– Psiakrew! – zaklął głucho Stefan.

Czując uścisk ciemności Katarzyna przytuliła się do niego. Szeptem powtórzyła górnicze powiedzenie:

– Śmierć zgasła lampę.

Lecz instynkt ich walczył przeciw niebezpieczeństwu, ogarnęło ich gorączkowe pragnienie życia. On zaczął gwałtownie skrobać łupek haczykiem od lampy, ona pomagała mu paznokciami. Wydrapali rodzaj wysoko wzniesionej ławki, na którą wśliznęli się i usiedli; nogi im zwisały, plecy mieli zgięte, gdyż strop zmuszał ich do pochylecia głowy. Z początku woda

sięgała im tylko do pięt; lecz wkrótce lodowaty jej chłód ogarnął ich kostki, łydki, kolana wznosząc się coraz wyżej. Ławka pokryła się oślizgłą wilgocią tak, że musieli trzymać się silnie, aby się nie zsunąć. Był to koniec, ileż czasu wytrzymają skuleni w tej niszy, gdzie nie śmieli się poruszyć, wyczerpani, zgłodniali, nie mając już ani chleba, ani światła. Najbardziej męczyły ich ciemności, które nie pozwalały widzieć zbliżania się śmierci. Panowała głęboka cisza, kopalnia opita wodą znieruchomiała. Czuli tylko, jak to morze pod nimi przybiera w milczeniu.

Godziny płynęły jedna za drugą, wszystkie jednakowo czarne, tak że wkrótce do reszty zaplątali się w rachubie czasu. Tortury, jakie znosili, zamiast wydłużać sekundy, porywały je. Wydawało im się, że są zamknięci dopiero od dwóch dni, gdy tymczasem już trzeci dobiegał końca. Stracili wszelką nadzieję ratunku, nikt nie wiedział, gdzie są, nikt nie mógł do nich dotrzeć i jeżeli powódź ich oszczędzi, to głód zmoże ich i tak. Po raz ostatni przyszło im na myśl, aby zastukać; lecz odłamek piaskowca został pod wodą. Zresztą, któż by ich usłyszał? Katarzyna, zrezygnowana, oparła o ścianę obolałą głowę, gdy wtem zadrżała.

– Posłuchaj! – powiedziała.

Stefan pomyślał w pierwszej chwili, że mówi o szmerze wzbierającej wody. Chcąc ją uspokoić skłaniał.

– To ja poruszam nogami.

– Nie, nie o tym mówię... Posłuchaj, tam! I przytknęła ucho do węgła. Zrozumiał i zrobił to samo. Tamując oddech czekali parę sekund. Później w dużych odstępach czasu usłyszeli trzy stuknięcia, bardzo odległe, bardzo słabe. Lecz wąpili jeszcze, może to w uszach im dzwoniło albo też były to trzaski wewnątrz pokładu. Nie wiedzieli, czym mają zastukać w odpowiedzi.

Stefan wpadł na pewien pomysł.

– Masz saboty. Zdejmij i zastukaj obcasem.

Zastukała i po chwili znów usłyszeli w oddali trzy uderzenia. Po wielokroć ponawiali swą próbę i po wielokroć otrzymywali odpowiedź. Rozplakali się i objęli uściskiem narażając na utratę równowagi. Wreszcie koledzy odnaleźli ich i nadchodzą. Przyływ szalonej radości i czułości uniósł ze sobą udręki czekania i sygnałów przez długi czas daremnych; wydawało im się, że wystarczy teraz, aby wybawcy palcem stuknęli w ścianę, a rozstąpi się i będą wolni.

– To dopiero szczęście, że oparłam głowę, co? – zawołała Katarzyna wesoło.

– Och, ty to masz słuch! – odparł Stefan. – Ja nic nie słyszałem.

Od tej pory zmieniali się, zawsze jedno z nich nasłuchiwało gotowe odpowiedzieć na

najlżejszy sygnał. Wkrótce posłyszeli uderzenia kilofów: rozpoczynano prace ratunkowe. Ani jeden dźwięk nie uchodził ich uwagi. Lecz radość ich opadła. Na próżno śmieli się, aby oszukać jedno drugie, rozpacz ogarniała ich na nowo. Najpierw zaczęli głośno rozważać sytuację, pomoc nadchodziła od strony Requillart, przebijano chodnik, a może nawet parę, gdyż pracowało troje ludzi. Później mówili coraz mniej, aż wreszcie zamilkli obliczywszy, jak gruby pokład dzieli ich od towarzyszy. W milczeniu snuli dalej swe rozważania, zastanawiali się, ile długich dni potrzeba, aby przebić taki blok. W żadnym razie pomoc nie nadejdzie na czas, zdążą dwadzieścia razy umrzeć do tej pory. Zasepieni i pełni trwogi nie śmieli zamienić już ani słowa, na sygnały odpowiadali bez nadziei, machinalnie dając znać, że żyją jeszcze. - Minał jeden dzień, drugi... Już od sześciu dni byli pod ziemią. Woda zatrzymawszy się u ich kolan nie wznosiła się ani nie opadała; mieli wrażenie, że nogi roztopią im się w tej lodowatej kąpieli. Mogli wyciągnąć je na jakąś godzinę, lecz pozycja stawała się wówczas tak niewygodna, że chwyciły ich straszliwe skurcze i opuszczali nogi z powrotem. Co dziesięć minut podciągali się do góry na oślizłej ławie. Ostre występy ściany wrzynały im się w plecy, pochyleni stale, aby nie rozbić sobie głowy, czuli dojmujący ból w karku. Powietrze zgęszczone w tym dzwonie, w jakim się znaleźli, stawało się coraz cięższe. Wydawało im się, że głosy ich dobiegają z bardzo daleka. W uszach im szumiało, słyszeli bicie dzwonów, nie kończący się tupot stada była uciekającego przed gradem.

Z początku Katarzyna cierpiała straszliwie z głodu. Podnosiła do piersi biedne zaciśnięte dłonie i jęczała, jak gdyby ktoś kleszczami rozrywał jej żołądek. Stefan, zdławiony tą samą torturą, szukał czegoś gorączkowo w ciemnościach, gdy wtem palce jego napotkały kawałek zmurszałego drzewa, rozkruszył je i podał garść ładowaczce, która połknęła je łapczywie. Przez dwa dni żywili się tym zmurszałym drzewem, zjedli całe; kiedy się skończyło, ogarnęła ich rozpacz, kaleczyli sobie ręce, aby odłamać inne kawałki, nie naruszone jeszcze, które nie chciały ustąpić. Ich męka wzrosła, najchętniej byliby gryźli płótno własnych ubrań. Skórzany pasek Stefana przyniósł im pewną ulgę. Rębacz pogryzł rzemień zębami na części i Katarzyna żuła je starając się przełknąć. Sam fakt, że poruszają szczękami, dawał im złudzenie jedzenia. Później, gdy skończyli pasek, zaczęli ssać płótno.

Lecz wkrótce gwałtowne ataki głodu ucichły, przemieniły się w głęboki utajony ból, w powolny, coraz to większy zanik sił. Z pewnością byliby zginęli, gdyby nie to, że mieli pod dostatkiem wody. Pochylali się tylko, nabierali dłonią i pili; powtarzali to często, nękanani tak

szalonym pragnieniem, że wszystka ta woda nie wystarczyłaby, żeby je ugasić.

Siódmego dnia pochyliwszy się, aby się napić, Katarzyna trąciła o jakiś przedmiot pływający u jej stóp.

– Słuchaj no, zobacz, co to takiego?

Stefan pomacał w ciemnościach.

– Nie wiem, wygląda jak kawałek tamy wentylacyjnej.

Schylając się drugi raz po wodę Katarzyna natrafiła dłonią na ten sam przedmiot. Wydała straszliwy okrzyk:

– Boże, to on!

– Kto?

– No on!... Poczułam jego wąsy.

Były to zwłoki Chavala, które wypłynęły z pochylni. Stefan wyciągnął rękę, rozpoznał wąsy, zmiażdżony nos tamtego; wstrząsnął nim dreszcz lęku i odrazy. Bliska wymiotów Katarzyna wypłuła resztę wody, jaka została jej w ustach. Wydało jej się, że napiła się krwi, że wszystka ta woda głęboka przed nią jest krwią tego człowieka.

– Poczekaj – wyjąkał Stefan – odepchnę go.

Kopnął zwłoki, oddaliły się. Lecz za chwilę poczuli, że znów podpłynęły do ich nóg.

– Psiakrew, wynoś się stąd!

Za trzecim razem Stefan dał za wygraną. Widocznie jakiś prąd przynosił zwłoki z powrotem. Chaval nie chciał odejść, chciał zostać z nimi, tuż obok nich. Był to straszliwy towarzysz, który do reszty zatrzał powietrze. Przez cały ten dzień nie pili, zmagali się ze sobą, woleli raczej umrzeć; lecz następnego dnia cierpienie zwyciężyło: odsuwali tylko trupa za każdym razem, gdy pochylali się nad wodą, i pili. I po cóż było go zabijać; skoro i tak powrócił do nich, uparty w swej zazdrości? Pozostanie przy nich do końca, nawet martwy, aby ich rozdzielić.

Jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden dzień. Za każdym drgnięciem wody Stefan czuł, jak człowiek, którego zabił, trąca go lekko – ot, sąsiad przypominający o swojej obecności. I za każdym razem przenikał go dreszcz

Widział go stale przed sobą, obrzmiałego, pozieleniałego, z rudymi wąsami na zmiażdżonej twarzy. Później niepamięć przesłoniła wszystko: nie zabił go, tamten pływa, chce go ugryźć. Katarzyna miewała teraz długie, nie kończące się ataki płaczu, po których wpadała w odrętwienie. Wreszcie ogarnęła ją nieprzewyciężona senność. Stefan budził ją, jąkała parę słów

i zasypiała z powrotem nie uniósłszy nawet powiek; bojąc się, aby nie utonęła, objął ją ramieniem. Teraz tylko on odpowiadał towarzyszącej. Stukot kilofa przybliżał się, słyszał go tuż za swymi plecami. Lecz i on również tracił siły i przestał uderzać w ścianę. Koledzy wiedzą i tak, że oni są tutaj, po cóż więc się męczyć? Przestało go to interesować, czy nadejdą. Ogłupiały długim oczekiwaniem doszedł do tego, że całymi godzinami nie pamiętał, na co czeka.

Pewna poprawa w położeniu dodała im nieco sił. Woda opadła i ciało Chavala odpłynęło. Od dziewięciu dni pracowano nad ich wyzwoleniem i zrobili właśnie po raz pierwszy kilka kroków po chodniku, gdy przerażający wstrząs rzucił ich na ziemię. Wyciągnęli ręce, aby się odnaleźć, przywarli do siebie przerażeni, nie rozumiejąc, co się stało, myśląc, że katastrofa rozpoczyna się od nowa. Stukot kilofów zamilkł, nie słyszeli już: żadnego dźwięku.

Usiedli w kącie i Katarzyna roześmiała się cicho.

– Musi być ładnie na dworze... Chodź, wyjdźmy stąd.

Stefan walczył z początku z ogarniającym go zamroczeniem. Lecz i jemu, choć był bardziej odporny, udzielało się ono i stracił poczucie rzeczywistości. Wszystkie zmysły odmawiały im posłuszeństwa, zwłaszcza Katarzynie podnieconej gorączką, dręczonej potrzebą słów i gestów. Szum w uszach był teraz dla niej szmerem płynącej wody, śpiewem ptaków; czuła odurzającą woń traw, przed oczyma krążyły jej wielkie żółte płyty, tak szerokie, iż myślała, że jest nad kanałem, pośród zbóż, w jakiś piękny dzień słoneczny.

– Ale ciepło, prawda?... Och, weź mnie, zostanemy już razem, na zawsze, na zawsze!

Tulił ją, a ona ocierała się oń pieszczotliwie i mówiła z niefrasobliwością szczęśliwego dziewczątka:

– Ależ myśmy byli niemądrzy, żeby czekać tak długo! Spodobałeś mi się od razu, tylko nie domyślałeś się tego, boczyłeś się... A później, pamiętasz, u nas, w nocy, nie mogliśmy spać i słuchaliśmy, jak drugie oddycha, i chciało nam się kochać.

Stefanowi udzieliła się ta wesołość i żartobliwie wspominał ich milczące uczucie.

– A raz mnie uderzyłaś, tak, tak! W twarz, z jednej i drugiej strony!

– To dlatego, że cię kochałam —szepnęła. — Widzisz, zakazywałam sobie myśleć o tobie, wmawiałam w siebie, że wszystko między nami skończone; ale w głębi serca wiedziałam, że zejdziemy się kiedyś... Trzeba było jakiejś okazji, jakiegoś szczęśliwego trafu, prawda?

Przejął go lodowaty dreszcz, chciał otrząsnąć ze siebie te marzenia i powiedział wolno:

– Nic nie jest nigdy skończone, wystarczy odrobina szczęścia, aby wszystko rozpoczęło się od

nowa.

– Więc weźmiesz mnie do siebie, tym razem już naprawdę?

Osunęła się bliska omdlenia. Była tak słaba, że jej przycichły głos gasnął. Przestraszony zatrzymał ją w objęciu.

– Boli cię coś?

Wyprostowała się zdziwiona.

– Nie, wcale... Dlaczego?

Lecz to pytanie wyrwało ją marzeniom. Spojrzała z rozpaczą w ciemności, załamała ręce i wybuchnęła łkaniem.

– Boże! Boże! Jak tu czarno!

Zniknęły zboża, zapach traw, śpiew skowronków, olbrzymie, żółte słońce; pojawiły się zalana wodą kopalnia, cuchnąca noc, ponure kapanie wody w tej piwnicy, gdzie konają od tyłu dni. Złudzenie, jakim obdarzyły ją zmysły, wzmogło jeszcze teraz grozę sytuacji, dziewczyna uległa zabobonnemu lękowi z czasów dzieciństwa, zobaczyła Czarnego Rębacza, starego górnika, nie żyjącego już, który powracał do kopalni i ukrecał szyje rozpustnym dziewczętom.

– Posłuchaj tylko. Słyszałeś?

– Nie, nic nie słyszałem.

– Ależ tak, to rębacz, wiesz?... O, widzisz, stoi tam... Ziemia zalała nas krwią, żeby się zemścić, żeśmy ją zranili; i on stoi tam, widzisz go, spójrz! Czarniejszy niż noc... Och! ja się boję! Ja się boję!

Zamilkła drżąca. A później dodała szeptem:

– Nie, to tamten.

– Jaki tamten?

– Ten, który jest z nami, ten, którego już nie ma. Obraz Chavala nie opuszczał jej; płacząc się opowiadała o ich żalnym pozyciu, o jedynym dniu, kiedy był dla niej dobry, w Jean-Bart, i o innych dniach, kiedy ją bił i dręczył, a później zamęczał pieszczotami.

– Mówię ci, że on przyjdzie, żeby nas rozłączyć... Znów go nachodzi ta jego zazdrość... Och! Nie puszczaj go tu! zabierz mnie, zabierz mnie całą!

W nagłym porywie zawisła mu na szyi, ustami szukała jego ust i przywarła do nich namiętnie. Ciemności rozjaśniły się, znów ujrzała słońce i znów zaśmiała się łagodnie jak zakochana. On, czując, jak tuli się do niego pólnaga w postrzępionym ubiorze, zadrżał i pochwycił ją w ramiona.

I w głębi tego grobu, na tym błotnistym łożu mieli swą noc poślubną, posłuszni pragnieniu zaznania szczęścia, zanim umrą, nieodpartemu pragnieniu życia i tworzeniu życia, po raz ostatni. Oddali się miłości w chwili ostatecznej rozpacz, w obliczu śmierci...

Później nie było już nic. Stefan siedział wciąż w tym samym kącie trzymając na kolanach Katarzynę leżącą nieruchomo. Płynęły godziny za godzinami. Przez długi czas myślał, że dziewczyna śpi; potem dotknął jej: była bardzo zimna, była martwa. Mimo to nie ruszał się, aby jej nie zbudzić. Myśl, że on pierwszy posiadał ją jako kobietę i że mogła być w ciąży, napełniała go wzruszeniem. Inne myśli, chęć wydostania się razem z nią na powierzchnię, radość ich przyszłego życia, powracały czasem, lecz tak niejasne, że zdawały się muskać jedynie jego czoło, jak technienie snu. Słabnął coraz bardziej, zostało mu już tylko tyle siły, aby nieznacznym gestem, powolnym ruchem dłoni upewniać się od czasu do czasu, że Katarzyna jest przy nim, śpi jak dziecko, nieruchoma i zimna. Wszystko zatracalo się, nawet noc znikła, nie znajdował się nigdzie, był poza przestrzenią, poza czasem. Wprawdzie jakieś pukanie rozlegało się coraz gwałtowniej obok jego głowy, ale odrętwiały zmęczeniem nie odpowiadał na nie; później nie uświadamiając sobie, skąd ono pochodzi, śnił, że to Katarzyna idzie przed nim stukając sabotami. Minęły dwa dni, a ona się nie poruszyła, dotykał jej swym machinalnym gestem i cieszył się, że jest taka spokojna.

Nagle poczuł wstrząs. Rozległy się jakieś głosy, odłamki skał potoczyły się aż do jego stóp. Kiedy zobaczył lampę, rozplakał się. Mrugając oczami wodził za nią wzrokiem i nie mógł się dość napatrzeć, rozradowany widokiem tego czerwonego punkcika ledwo znaczącego się w ciemności. Koledzy podnieśli go i wleli mu pomiędzy zaciśnięte zęby parę łyżeczek bulionu. Dopiero w chodniku Requillart poznał jedną z postaci, inżyniera Négreła stojącego nad nim; i ci dwaj ludzie, którzy pogardzali sobą nawzajem, zbuntowany robotnik i sceptyczny kierownik, rzucili się sobie na szyję łkając głośno. Ten wstrząs wyzwolił wszystko, co było w nich ludzkiego; bezmierny smutek, świadomość nędzy całych pokoleń i nadmiaru boleści, jaki może zaciążyć nad życiem.

– Na powierzchni Maheudka runęła obok ciała Katarzyny i wydała okrzyk, później drugi, później trzeci, skargi przeciągłe i nie ustające. Wyniesiono już wiele zwłok i ułożono je rzędem na ziemi: Chavala, co do którego przypuszczano, że zabiły go osuwające się skały, jednego pomocnika i dwóch rębaczy tak samo zdruzgotanych, ze zmiażdżonymi głowami, rozdętych od wody. Kobiety w tłumie odchodziły od zmysłów, rozdierały spódnice, drapały twarze.

Wyniesiono wreszcie Stefana, oswoiwszy najpierw ze światłem i pożywiwszy trochę. Był wychudzony i zupełnie siwy; ludzie ze drżeniem rozstępowali się przed tym starcem. Maheudka przestała krzyczeć i spojrzała na niego w osłupieniu szeroko rozwartymi oczami.

VI

Była czwarta rano. Chłodna noc kwietniowa łagodniała ze zbliżaniem się świtu. Na przejrzystym niebie drżały gwiazdy, na wschodzie jutrzienka rozlewała się purpurą. Nad czarnymi, uśpionymi polami unosiły się niejasne odgłosy, które poprzedzają chwilę przebudzenia.

Stefan szedł wielkimi krokami drogą do Vandame. Spędził sześć tygodni w Mantsou, na łóżku szpitalnym. Żółty jeszcze i bardzo chudy, skoro tylko poczuł, że ma siłę wstać, wstał i odszedł. Towarzystwo, które wciąż drżało o swe kopalnie i w dalszym ciągu zwalniało podejrzanych robotników, uprzedziło go, że nie zostanie przyjęty z powrotem. Obdarowało go zresztą stoma frankami zapomogi i ojcowską radą, aby nie wracał do pracy pod ziemią, zbyt teraz dla niego uciążliwej. Lecz on nie przyjął stu franków. Odpowiedź od Plucharta, list, w którym znajdowały się pieniądze na podróż, wzywał go do Paryża – jego dawne marzenie spełniło się. Poprzedniego dnia, wyszedłszy ze szpitala, spędził noc w „Bon-Joyeux” u wdowy Désir. Wstał wczesnym rankiem ożywiony jednym już tylko pragnieniem – pożegnania się z towarzyszami, zanim pójdzie do Marchiennes, aby o ósmej wsiąść do pociągu.

Droga różowiała zwolna; przystanął na chwilę. Dobrze było wciągnąć w płuca świeże powietrze tej wczesnej wiosny. Dzień zapowiadał się prześliczny. Rozwidniało się, życie ziemi budziło się razem ze słońcem. Ruszył dalej stukając głośno laską z dereniowego drzewa i spoglądając, jak w oddali równina wynurza się z nocnych mgieł. Od czasu katastrofy nie widział nikogo, Maheudka raz tylko odwiedziła go w szpitalu, później zapewne nie mogła już przyjść. Wiedział jednak, że ludzie z osiedla Dwieście Czterdzieści pracują teraz w Jean-Bart i że ona sama też wróciła do kopalni.

Opustoszałe drogi zaludniły się zwolna, nieustannie mijali Stefana górnicy, bladzi i milczący. Opowiadano, że Towarzystwo nadużywa swego zwycięstwa. Po dwóch i pół miesiącach strajku,

zmożeni głodem, kiedy powrócili do pracy, musieli przyjąć nową taryfę, tę ukrytą obniżkę płac, teraz, gdy z jej przyczyny popłynęła krew kolegów, szczególnie dla nich nienawistną. Kradziono im jedną godzinę pracy, zmuszano ich, aby sprzeniewierzali się swemu przyrzeczeniu, że nie ustąpią, i to narzucone krzywoprzysięstwo napępniało ich goryczą. Praca podjęta została wszędzie, w Mirou, w Madeleine, w Crèvecoeur, w Victoire. Wszędzie w porannej mgle, drogami zatopionymi w ciemności, ciągnęły szeregi ludzi pochylonych ku ziemi tupocząc jak bydło prowadzone do rzeźni. Drżeli od chłodu w swych cienkich, płóciennych ubraniach, krzyżowali ramiona, kołysali biodrami, kulili się, a wsunięte między koszulę i bluzę cegielki tworzyły na ich plecach garb. Czuło się, że te powracające masowo do pracy, milczące cienie, zupełnie czarne, idące bez jednego uśmiechu, bez jednego spojrzenia w bok zaciskają zęby w gniewie, że serca ich przepętnia nienawiść i tylko konieczność zaspokojenia głodu zmusza je do uległości.

Im bardziej zbliżał się Stefan do kopalni, tym więcej ich widział. Prawie wszyscy górnicy szli osobno, ci, którzy nadchodzili grupami, maszerowali gęsiego, zmęczeni już, znużeni innymi i sobą. Dostrzegł jakiegoś starca, którego oczy połyskiwały jak węgiel pod wyblakłym czołem, i jakiegoś młodego człowieka, którego głośny oddech zdawał się być oddechem nadchodzącej burzy. Wielu niosło saboty w rękach; ich stopy w grubych wełnianych pończochach plaskały miękko o ziemię. Był to nie kończący się strumień, przymusowy marsz pobitej armii, idącej z pochyloną głową i pełnej utajonego, gniewnego pragnienia podjęcia walki i pomszczenia klęski.

Kiedy Stefan znalazł się na miejscu, Jean-Bart wynurzał się z mroku, lampy zawieszane na kozłach paliły się jeszcze. Ponad ciemnymi budynkami wznosił się biały pióropusz pary delikatnie zabarwiony karminem. Młody człowiek przeszedł przez sortownię i skierował się do hali zjazdowej.

Zjazd rozpoczął się; robotnicy nadchodzili z ubieralni.

Przez chwilę stał nieruchomo pośród tego hałasu i ruchu. Przejeżdżające wózki wprawiały w drżenie żeliwne płyty podłogi., bębny kręciły się, sunęły liny, rozlegały się okrzyki i sygnały, dzwoniły dzwonki; odnajdował z powrotem potwora łykającego dzienną porcję mięsa ludzkiego, klatki wynurzały się i znów zagłębiały z ładunkiem, który gardziel żarłocznego olbrzyma wchłaniała bez trudu. Od czasu katastrofy kopalnia budziła w Stefanie wstręt i grozę: te znikające klatki przyprawiły go o nerwowe skurcze. Musiał odwrócić głowę, widok szybu doprowadzał go do rozpacz.

Lecz w obszernej, mrocznej jeszcze hali, rozjaśnionej tu i ówdzie nikłym światłem przygasających latarń, nie dostrzegął żadnej znajomej, przyjaznej mu twarzy. Czekający tu górnicy, bosci, z lampami w rękach, spoglądali na niego z niepokojem, opuszczali głowy i cofali się jakby ze wstydem. Znali go na pewno i nie czuli już do niego urazy, przeciwnie, zdawali się go lękać i oblewali rumieńcem na myśl, że zarzuci im tchórzostwo. Ta ich postawa poruszyła go głęboko, zapomniał, że ci nieszczęśliwcy ciskali w niego kamieniami, i znów oddał się marzeniom, aby przemienić ich w bohaterów, kierować ludem, tą siłą, która wyniszcza sama siebie.

Klatka zabrała ludzi, napłynęli nowi, pośród nich Stefan dojrzał jednego z towarzyszy najczynniejszych podczas strajku, zucha, który przysięgał, że zginie.

– Ty także! – szepnął z bólem,

Tamten pobladł, wargi mu drżały; gestem poprosił o wybaczenie, mówiąc:

– Cóż chcesz? Mam żonę.

Teraz pośród nowej fali, która napłynęła z ubieralni, Stefan poznawał wszystkich.

– Ty także! Ty także! Ty także!

A oni wzdrygali się jękając stłumionym głosem:

– Mam matkę... Mam dzieci... Nie można żyć bez chleba.

Klatka nie przyjeżdżała, czekali posepni, tak przytłoczeni porażką, że unikali swych spojrzeń i uparcie wpatrywali się w szyb.

– A Maheudka? – zapytał Stefan.

Nie odpowiedzieli. Jeden gestem dał do zrozumienia, że przyjdzie za chwilę. Inni podnieśli dłonie drżące litością: Ach! biedna kobieta! Co za straszny los! Milczenie trwało dalej, a gdy Stefan wyciągnął rękę, aby się z nimi pożegnać, wszyscy ściskali ją mocno, zamykając w tym niemym uścisku wściekłość ustępstwa i gorączkową nadzieję odwetu.

Klatka nadjechała, wsiedli i zniknęli pożarci przez otchłań.

Zjawił się Pierron z otwartą lampą sztygara, przytwierdzoną do skórzanego hełmu. Od tygodnia był kierownikiem grupy pracującej w podszybiu i robotnicy odsuwali się od niego, bo zaszczyty wbiły go w dumę. Widok Stefana sprawił mu przykrość, podszedł doń jednak i uspokoił się usłyszawszy, że młody człowiek wyjeżdża. Wdali się w rozmowę. Pierron oznajmił, że jego żona prowadzi teraz szynk „Postęp”, dzięki poparciu, jakiego udzielili jej panowie z dyrekcji, bardzo dla niej łaskawi. Przerwał i rozgniewał się na starego Mouque’a, że nie wywiózł

o przepisowej porze nawozu ze stajni. Stary słuchał go zgarbiwszy się. Poruszony tą naganą, zanim zjechał, uściśnął rękę Stefana tym samym uściskiem co inni, długim, gorącym od tajonego gniewu, drżącym zapowiedzią przyszłych buntów. Ta starcza dłoń dygocząca w jego dłoni, ten starzec, który wybaczał mu śmierć swoich dzieci, wzruszył go do tego stopnia, że bez słowa patrzył, jak tamten się oddalał.

– Cóż to, Maheudka nie przyjdzie dzisiaj? – zapytał Pierrona po chwili.

Sztygar udał najpierw, że nie rozumiał, bo wystarczy mówić o cudzym nieszczęściu, żeby i na siebie je ściągnąć. Dopiero odchodząc pod pretekstem konieczności wydania jakiegoś polecenia, powiedział wreszcie:

– Co, Maheudka?... A idzie właśnie.

Rzeczywiście Maheudka nadchodziła z ubioralni, w kaftanie i spodniach, z lampą. Tylko wyjątkowo, ulitowawszy się nad nieszczęsną kobietą tak okrutnie doświadczoną przez los, Towarzystwo zgodziło się przyjąć ją do pracy pod ziemią, chociaż miała już czterdzieści lat; ponieważ nie nadawała się na ładowniczkę, obsługiwała mały wentylator zainstalowany w chodniku Nord, w tych piekielnych regionach pod Tartaretem, dokąd nie docierało powietrze. Przez dziesięć godzin, zgięta we dwoje, kręciła koło w głębi rozpalonego chodnika, smażąc się przy czterdziestu stopniach gorąca. Zarabiała trzydzieści sous.

Dostrzegłszy ją, załosną w tym męskim ubiorze, z piersią i brzuchem jakby nabrzmiałymi od wilgoci kopalni, Stefan wyjąkał coś, wstrząśnięty, nie znajdując słów, aby jej wytłumaczyć, że wyjeżdża i że chciał się z nią pożegnać.

Patrzyła na niego nie słuchając, co do niej mówi, i wreszcie rzekła zwracając się do niego na ty:

– Dziwisz się, żeś mnie tu spotkał, co?... Bo prawda, wygrażałam kiedyś, że zamorduję pierwsze z dzieci, które by zjechało; a teraz zjechałam sama, więc siebie powinnam zamordować, no nie?... I dawno bym już to zrobiła, żeby nie dziadek i małe!

Mówiła dalej głosem zmęczonym i cichym. Nie tłumaczyła się, przytaczała tylko fakty, opowiadała, że o małe nie poumierali z głodu i że zdecydowała się pójść do pracy, żeby ich nie wyrzucili z osiedla.

– Jak się czuje dziadek? – zapytał Stefan.

– Spokojny bardzo i czysty. Ale w głowie to ma całkiem pomieszane... Nie skazali go za tamto, wiesz? Mieli go oddać do wariatów, ale ja nie chciałam, bo tam to by zaraz nogi

wyciągnął... Ale ta jego sprawa bardzo nam zaszkodziła, bo nie dostanie już nigdy renty, powiedział mi jeden z tych panów, że to było niemoralne, jakby mu dali.

– Janek pracuje?

– Tak, znaleźli dla niego pracę na powierzchni. Zarabia dwadzieścia sous... Och! nie skarzę się, ci panowie z dyrekcji byli dla mnie bardzo dobrzy, sami mi to wytłumaczyli... Mały dostaje dwadzieścia sous, ja trzydzieści, to razem pięćdziesiąt. Gdyby nie to, że nas jest sześcioro, byłoby co jeść. Estelka okropnie jest teraz zerta, a najgorsze, że trzeba jeszcze poczekać ze cztery, pięć lat, zanim Lenora i Henryk będą mogli pracować w kopalni.

Stefan nie mógł się powstrzymać od bolesnego gestu:

– Oni także?

Błede policzki Maheudki poczerwieniały, oczy zabłyśły. Lecz ramiona jej opadły, jakby przytłoczone ciężarem losu.

– Co robić, taka już nasza dola... Tamci zginęli, teraz na nich kolej.

Zamilkła, wozacy z nadszybia przeszkadzali im w rozmowie. Przez wielkie zakurzone okna spływało na latarnie szare światło; płynęły liny, klatka zjawiała się co trzy minuty i w dalszym ciągu połykała ludzi. – Prędej, leniuchy, prędzej! – krzyczał Pierron.

– Wsiadać, bo inaczej nie zjedziemy do wieczora.

Spojrzał na Maheudkę, ale ta nie drgnęła.

Przepuściła już trzy klatki i nagle powiedziała budząc się jakby i przypominając sobie pierwsze słowa Stefana:

– Więc odjeżdżasz?

– Tak, dziś rano.

– Masz rację, lepiej iść gdzie indziej, jeżeli można... Cieszę się, że cię zobaczyłam, przynajmniej będziesz wiedział, że nie mam do ciebie żalu w sercu. Bo była taka chwila, po tej strzelaninie, że bym cię była zabiła. Ale jak się tak zastanowić, prawda? to człowiek widzi, że to nie jest niczyja wina... Nie, nie, to nie twoja wina, wszyscy tu byli winni.

Mówiła teraz spokojnie o zmarłych, o mężu, o Zachariaszu, o Katarzynie; i tylko gdy wymówiła imię Alziry, łzy pojawiły się w jej oczach. Znów stała się spokojną, rozsądną kobietą i słowa jej pełne były rozwagi. To nie przyniesie szczęścia burżujom, że namordowali tyle narodu. Spotka ich jeszcze za to kara, bo nic nie pozostaje bez zapłaty. Robotnicy nie będą się nawet musieli do tego mieszać, cała buda sama wyleci w powietrze, żołnierze zaczną strzelać do

właścicieli, tak, jak przedtem strzelali do nich. W jej wiekowej uległości, w odziedziczonym nawyku do posłuchu, który kazał jej na nowo ugiąć karku, dokonała się pewna przemiana, powstała pewność, że niesprawiedliwość nie może trwać dłużej i że jeśli nie ma już dobrego Boga, narodzi się inny, aby pomścić biedaków.

Mówiła cicho, rozglądając się nieufnie. Później, widząc, że Pierron zbliża się w ich stronę, dorzuciła głośno.

– Ano, jak jedziesz, to zabierz od nas resztę swoich rzeczy... Zostały jeszcze dwie koszule, trzy chustki i jedno stare spodnie.

Stefan gestem odmówił zabrania tych paru łachmanów, które nie dostały się w ręce handlarza starzyzną.

– Nie, nie warto, zostaną dla dzieci... W Paryżu dam sobie jakoś radę.

Odjechały jeszcze dwie klatki i wreszcie Pierron zwrócił się wprost od Maheudki.

– Słuchajcie no, czekają na was! Czas byłby skończyć tę pogawędkę!

Lecz kobieta odwróciła się od niego plecami. Cóż on się zrobił taki gorliwy, ten sprzedawczyk? To nie jego rzecz, zjazd. A ludzie na podszybiu i tak go już nie cierpią. I uparcie stała z lampą w dłoni, zlodowaciała w przeciągach wiejących po hali mimo ciepłego dnia.

Ani Stefan, ani ona nie znajdowali już żadnych słów. Stali naprzeciw siebie z sercem tak ciężkim, że pragnęli powiedzieć sobie coś jeszcze.

Wreszcie kobieta odezwała się, byle tylko przerwać milczenie:

– Lewaczka jest w ciąży, Levaque jeszcze w więzieniu, więc Bouteloup go zastępuje.

– Ach tak, Bauteloup.

– A mówiłam ci już, że Filomena odeszła?

– Jak to, odeszła?

– No tak. Poszła z jednym górnikiem z Pas-de-Calais. Bałam się, żeby mi nie zostawiła dzieciaków. Ale nie, zabrała ze sobą... No i co ty na to? Pluła krwią i zdawało się, że lada chwila wyciągnie nogi, a tu masz!

Zamyśliła się na chwilę, a później podjęła powoli:

– A o mnie mało to naopowiadali!... Pamiętasz, mówili, że żyję z tobą. No cóż, po śmierci mojego mogło się tak zdarzyć, gdybym była młodsza, nie? Ale teraz to wolę, że tak nie było, bo na pewno byśmy tego żalowali.

– Tak, żalowałibyśmy tego – powtórzył Stefan z prostotą.

To było wszystko, więcej nie mówili już ze sobą. Klatka czekała, wołano Maheudkę grożąc jej karą. Zdecydowała się więc odejść i uścisnęła mu rękę. Bardzo wzruszony spoglądał na nią, wyniszczoną, o twarzy wyblakłej i bezbarwnych włosach wymykających się spod niebieskiej chustki; płócienne spodnie i kaftan deformowały jej kształty poczciwej samicy, zbyt płodnej. Ten ostatni uścisk dłoni przypomniał mu uściski kolegów, długie i milczące, które wyznaczały mu spotkanie w dniu, kiedy walka zacznie się od nowa. Zrozumiał to doskonale, w oczach Maheudki była jej spokojna wiara. „Do zobaczenia, lecz tym razem nie damy się już zwyciężyć!”

– A to dopiero próżniaczka! – krzyknął Pierran.

Popychana, poszturchiwana, Maheudka wsunęła się do wózka razem z czterema innymi górnikiemami. Pociągnięto za sznur sygnałowy i klatka ruszyła, zapadła się w ciemność i widać już było tylko pomykającą linę.

Wówczas Stefan opuścił kopalnię. Na dole, w sortowni, dostrzegł jakąś postać siedzącą na ziemi, z wyciągniętymi nogami, pośród sterty węgla. Był to Janek zatrudniony przy „oczyszczaniu z grubsza”. Trzymał bryłę węgla między udami i młotkiem odkuwał od niej kawałki łupku, pokryty tak grubą warstwą czarnego pyłu, że młody człowiek nigdy by go nie poznał, gdyby chłopiec nie podniósł ku niemu swego małego pyszczka o odstających uszach i małych zielonkawych oczkach. Roześmiał się drwiąco, rozbił bryłę i zniknął w tumanie pyłu podobnego do sadzy.

Znalazłszy się na drodze Stefan szedł przez chwilę zadumany. W głowie szumiały mu rozmaite myśli. Kiedy jednak poczuł, że znajduje się na otwartej przestrzeni, pod wolnym niebem, odetchnął pełną piersią. Na promiennym horyzoncie ukazało się słońce, cała okolica budziła się ze snu radośnie. Ze wschodu ku zachodowi spływała po niezmierzonej równinie struga złota. Życiodajne ciepło zataczało krąg coraz szerszy, budziło dreszcz młodości wibrujący westchnieniami ziemi, śpiewem ptaków, szeptem wód i lasów. Dobrze było żyć, stary świat pragnął przeżyć tę jeszcze jedną wiosnę.

Przeniknięty nadzieją Stefan zwolnił kroku ogarniając wzrokiem radosny rozkwit nowej pory roku. Rozmyślał o sobie, czuł się silny, dojrzały po ciężkich przejściach w głębi kopalni. Okres nauki skończył się, odchodził uzbrojony, jako żołnierz-myśliciel rewolucji, wypowiedziawszy wojnę społeczeństwu takiemu, jakim je widział i jakim je potępiał. Radość, że jedzie do Plucharta, że tak samo jak Pluchart stanie się przywódcą i zyska sobie posłuch, podsuwała mu

słowa przemówień, które układał w myśli. Zamierzał rozszerzyć swój program; mieszczańskie wysubtelnienie, które wyniosło go ponad własną klasę, wzmogło jeszcze jego nienawiść do burżuazji. Odczuwał potrzebę otoczenia nimbem chwały tych robotników, których cuchnąca nędza wprowadzała go teraz w zakłopotanie; ukaże ich jako jedynych ludzi wielkich i nieskazitelnych, jako jedyne szlachectwo, jedyną siłę mogącą ożywić ludzkość. W myślach widział się już na trybunie, triumfującego razem z ludem, o ile lud go nie pochłonie.

Śpiew skowronka skierował jego wzrok ku niebu. Drobne, czerwone chmurki, ostatnie opary nocy, rozpląwały się w przejrzystym błękicie; przed oczyma Stefana zamajaczały twarze Suwarina i Rasseneura. To jasne, że wszystko się psuje, kiedy każdy wyciąga rękę po władzę. I tak owa słynna międzynarodówka, która powinna była odnowić świat, załamuje się i rozpada skłócona wewnątrz. A więc Darwin miał rację, że życie jest walką, że silni pożerają słabych dla doskonalenia się i rozwoju gatunku? To pytanie niepokoiło go; rozstrzygnął je jak człowiek rad z własnej wiedzy. Tym, co rozproszyło wszystkie wątpliwości i rozradowało go, była myśl, aby w pierwszym przemówieniu podjąć swój dawny punkt widzenia. Jeśli jedna klasa społeczna skazana jest na zagładę, to czyż nie lud, rześki i pełen sił, pożre wyczerpaną rozkoszami burżuazję? Nowa krew stworzy nowe społeczeństwo. W tym oczekiwaniu na zalew barbarzyńców, którzy odrodzą zgrzybiałe, chylące się do upadku narody, znajdowała swój wyraz niezachwiana wiara w rychłą rewolucję, tę prawdziwą, robotniczą, której pożar rozjarzy koniec stulecia purpurą wschodzącego słońca, tego samego, jakie widział teraz przed sobą oblewające krwią niebios.

Szedł dalej rozmyślając, uderzając o kamienie laską z dereniowego drzewa; kiedy spoglądał wokół, widział znajome mu miejsca. Przy Fourche-aux-Boeufs objął, w dniu napaści na kopalnię, dowództwo nad strajkującymi. Dzisiaj zwierzęca, śmiertelna, źle płatna praca rozpoczynała się na nowo. Zdawało mu się, że słyszy uderzenia głucho, regularne, nieustanne, dochodzące z głębokości siedmiuset metrów pod ziemią: to towarzysze, których widział zjeżdżających, czarni towarzysze kuli z milczącą wściekłością. Zostali zwyciężeni, to prawda, ponieśli straty pieniężne i straty w ludziach; lecz Paryż nie zapomni salw, które padły w le Voreux, krew cesarstwa upłynie tą nie dającą się zagoić raną; nawet jeśli zakończy się okres kryzysu i jedne po drugich fabryki podejmą pracę, to wojna i tak została już wypowiedziana i pokój stał się niemożliwy. Górnicy popróbowali swych sił, ich wołanie o sprawiedliwość wstrząsnęło robotnikami całej Francji. Toteż ich porażka nie uspokoiła nikogo, mieszczenie z

Montsou czuli, iż w zwycięstwie, jakie odnieśli, kryje się zapowiedź przyszłych strajków, i oglądali się za siebie z głuchym niepokojem, nie wiedząc, czy owo milczenie nie oznacza przypadkiem nieuniknionego kresu ich panowania. Rozumieli, że duch buntu ożyć może w każdej chwili, choćby następnego dnia, przynosząc ze sobą strajk generalny, współdziałanie wszystkich robotników, którzy mając kasy zapomogowe będą mogli opierać się miesiącami, żywiąc się suchym chlebem. Tym razem było to tylko lekkie pchnięcie, wymierzone chyłacemu się ku ruinie społeczeństwu, ale posłyszeli już trzask i czuli, że nastąpią coraz to nowe wstrząsy, aż wreszcie stary gmach zapadnie się jak le Voreux, stoczy w przepaść.

Stefan skręcił na lewo drogą do Joiselle. Przypomniawszy sobie, że w tym miejscu powstrzymywał strajkujących od ataku na Gaston-Marie. W oddali widział zabudowania paru kopalń, Mirou, Madeleine, Crèvecoeur. Wszędzie huczała praca, zdawało mu się, że cała równina tętni stukotem kilofów. Jeszcze jedno uderzenie i jeszcze jedno, wciąż, bez ustanku, pod powierzchnią pól, dróg i wiosek: podziemna katorga tak głęboko ukryta pod olbrzymią warstwą skał, iż trzeba było wiedzieć o niej, aby pochwycić dobywające się stamtąd bolesne westchnienia. Stefan rozmyślał teraz o tym, że gwałt nie przyspieszy być może biegu wypadków. Poprzecinane liny, zniszczone tory, potłuczone lampy – jakąż z tego korzyść? Po cóż było trzytysięcznym tłumem biec od jednej kopalni do drugiej? Przeczuwał niejasno, iż postępowanie zgodne z prawem okaże się kiedyś straszliwsze w skutkach. Jego umysł dojrzał, osobiste urazy przestały być pobudką działania. Tak, Maheudka miała rację, następnym razem nie dadzą się już zwyciężyć: zorganizują się spokojnie, zjednoczą się w syndykatach z chwilą, gdy pozwolą na to prawa, poznają się nawzajem, a kiedy stać już będą ramię przy ramieniu, miliony robotników naprzeciw kilku tysięcy próżniaków, wezmą władzę w swe ręce. Ach! jakąż jutrzienka prawdy i sprawiedliwości! Obżarte bóstwo zginie wówczas, ów potworny bożek ukryty w głębi swego tabernakulum, niedostępny oczom nędzarzy, a żywiący się ich krwią.

Stefan doszedł do szosy. Na prawo widział Montsou znikające w dolinie. Przed sobą miał szczątki le Voreux, otchłań przeklętą, z której trzy pompy bez przerwy dobywały wodę. Na horyzoncie znaczyły się inne kopalnie, Victoire, Saint-Thomas, Feutry-Cantel; od strony północnej wyniosłe wieżę wielkich pieców i baterii koksowych dymiły w przejrzystym powietrzu poranka. Jeśli nie chciał spóźnić się na pociąg o ósmej, musiał się śpieszyć, gdyż miał jeszcze sześć kilometrów drogi.

Uparte uderzenia kilofów głęboko pod ziemią nie ustawały, koledzy towarzyszyli jego

crokom. Czy to nie Maheudka pracowała pod tym polem buraków, zgięta we dwoje? Słyszał jej chrzpliwy oddech, któremu wtórowało sapanie wentylatora. Na lewo, na prawo, przed sobą, pod zbożem, pod żywopłotami, pod kępami młodych drzew dostrzegał innych. Kwietniowe słońce ogrzewało płodną ziemię. Z jej łona tryskało życie, pączki rozwierały się w zielone liście, pola drżały pod naporem kielkujących traw. Wszędzie naokół nabrzmiące ziarna spragnione ciepła i światła wydobywały się na powierzchnię, płynęły bujne soki, szmer dobywających się kielków był głosem pocałunku. Wciąż i wciąż, coraz to wyraźniej, jak gdyby przybliżali się do powierzchni, towarzysze uderzali kilofami. Tym to właśnie dźwiękiem ciężarna była ziemia owego młodzieńczego ranka w pałających promieniach słońca. Wzrastała czarna armia mścicieli, w głębokich bruzdach kielkował wolno posiew, aby rozerwawszy skorupę ziemi przynieść plon w nadchodzącym stuleciu.

KONIEC